STENDHAL

Czerwone i czarne

wolnelektury.pl

FUNDACJA nowoczesna Polska

Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Nowoczesna Polska.

STENDHAL

Czerwone i czarne

TŁUM. TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

OD TŁUMACZA

Na przełomie wieku XVIII i XIX widzimy dwie postacie będące zupełnym niemal przeciwieństwem: Chateaubriand i Stendhal. Jeden czerpie w dawnej Francji idee hierarchii, dyscypliny społecznej, powagi królewskiej, ale odświeża je tchem religijnego odrodzenia; drugi sięga w wiek XVIII swą bezreligijnością, materializmem filozoficznym, radykalizmem społecznym: ale i on spłaca swój dług romantyzmowi epoki: staje się piewcą energii, namiętności wcielonej w rapsod napoleoński. I w kolejach sławy tych dwóch ludzi cóż za różnica: Chateaubriand, bożyszcze za życia, dziś jakże opuszczony! Stendhal nieznany, może nawet z imienia, większości współczesnych, doczekał się w pół wieku po śmierci kapliczki skupiającej wybrane umysły.

Henryk Beyle (Stendhal) urodził się w Grenoble (w Delfinacie), w r. 1783, z rodziny urzędniczej ocierającej się o szlachectwo; matka jego miała nieco krwi włoskiej. Dzieciństwo chłopca było smutne. W siódmym roku traci ukochaną matkę; ojciec, odstręczający dla niego fizycznie i moralnie, nie umiał w dziecku obudzić miłości. Chłopiec chował się u dziadka, lekarza, epikurejczyka-filozofa w typie XVIII w. Był to w domu jedyny człowiek, o którym Beyle zachował dobre wspomnienie. Malec wzrasta samotnie, z rówieśnikami nie wolno mu się bawić: od otoczenia czuje się zupełnie odmienny; żyje sam i tylko sobą. To uczucie odosobnienia, *różności* od innych, będzie mu towarzyszyło całe życie. Było to w epoce Terroru, niezbyt srogiego zresztą w Grenoble; rodzina Beyle żywiła tajemne sympatie monarchiczne, dzieciak był całą duszą rewolucjonistą. Sam pisze, iż chwila, w której przyszła wiadomość o straceniu króla, dała mu „jedną z najżywszych radości w życiu[1]". Rodzina pokładała nadzieje w armii emigrantów, on patrzał z zazdrością na piękne pułki dragonów ciągnące do Włoch.

Wyrwać się z Grenoble — której pamięć będzie mu zawsze nienawistna — to jedyne marzenie Henryka. Sława, a przez tę sławę miłość, oto jego ideał od wczesnej młodości. W tym celu studiuje żarliwie matematykę, w której kariera Bonapartego ukazała młodzieży francuskiej drogę do wielkości i sławy. Jakoż uzyskuje to, iż w 1799 r. rodzina wysyła go do Paryża dla dalszych studiów.

Przybywa opatrzony listem polecającym do krewnych Daru. Pan Daru był to surowy i suchy starzec, którego młody Beyle obchodził z daleka i z uszanowaniem. Starszy jego syn, Piotr Daru, był generalnym sekretarzem w ministerium wojny; później, jako hrabia Daru, miał się stać jednym z najczynniejszych pomocników Napoleona. Pierwsze wrażenie Paryża było nieszczególne: rozczarowany, iż owe piękne chimery, które sobie roił, nie wyciągają doń ramion, chłopiec błąka się smutny i bezczynny. (Dodajmy tu, iż Beyle był krępy, brzydki, jakkolwiek brzydotę jego okupowała żywość i oryginalność fizjonomii; był przy tym w stosunku do kobiet bardzo nieśmiały mimo donżuańskich teorii, które tworzył sobie całe życie). Wreszcie, rozchorowuje się. Rodzina Daru bierze go do siebie, a Piotr umieszcza go w swoim biurze.

Naraz w r. 1800 radosny zwrot: bracia Daru, powołani do Włoch do armii Bonapartego, polecają krewniakowi, aby pośpieszył za nimi. Siedemnastoletni chłopak, uszczęśliwiony, dosiada konia, jak umie, i przebywa przełęcz św. Bernarda w dwa dni po Bo-

[1] *Sam pisze (…) życiu* — [w:] *Życie Henryka Brulard* (Bibl. Boya).

napartem. Na domiar wrażenia po drodze pierwszy raz znalazł się w ogniu. Wieczorem, układając się do snu, szeptał sam do siebie słowa, które tak często miały mu wracać na usta: *To tylko tyle?*

Wejście do Mediolanu i pobyt w tym mieście wywarły na młodym Henryku wrażenie, pod którym miał zostać całe życie i które znalazło wyraz nawet na jego grobowym kamieniu. Miasto żyjące pod jarzmem Austrii w martwocie i nudzie z radością powitało w r. 1796 młodą armię francuską, której dwudziestosześcioletni generał był najstarszym żołnierzem! Beyle, nieśmiały i skrępowany w Paryżu, tu, w tym życiu włoskim, gwarnym, naturalnym, namiętnym, czuje się w swoim żywiole. Kosztuje nieco bitwy pod Marengo, rychło zostaje podporucznikiem, pierwszy pojedynek, pierwsza miłość (nieśmiała zresztą i platoniczna), słowem — pełnia życia.

Ale niedługo. Rychło znudzony obyczajami garnizonu, towarzystwem nieokrzesanych chwatów, Beyle zbyt często jak na młodego rycerzyka szuka pociechy w książkach. Wreszcie, korzystając z jakiejś niegroźnej choroby, bierze urlop, śpieszy do Paryża i zostaje tam. Od r. 1801 do 1806 pochłania go literatura: marzy o sławie, o „pisaniu komedyj jak Molier", czyta, — pracuje nad sobą, płodzi w pocie czoła liche wiersze. Wśród tego prawie aż do końca życia stale serce jego wypełnia miłość; przedmiot jej tylko zmienia się często. W tej epoce miłość do młodej aktorki Melanii Guilbert rzuciła go aż do Marsylii, gdzie spędził rok jako subiekt czy buchalter w sklepie kolonialnym!

Wróciwszy po tej eskapadzie do Paryża, Beyle, wciąż dzięki poparciu rodziny Daru, wstępuje do intendentury (było to w przededniu kampanii pruskiej) i odtąd pozostaje w służbie aż do odwrotu z Rosji. W karierze tej doszedł do wcale znacznych godności (był audytorem w Radzie Stanu etc.), a przy tym na włóczył się sporo po świecie. Jako intendent wojskowy okazał w trudnych okolicznościach wiele energii, odznaczył się w tak ważnym zadaniu zaopatrywania armii w odwrocie spod Moskwy, w czasie którego zjawiał się u swego szefa, hr. Daru, starannie ubrany i ogolony[2]. Ale w pełni tej heroicznej epoki Beyle znów czuje się sam i obcy, duch jego buja gdzieś daleko. W Smoleńsku marzy o Mediolanie; w Moskwie rzuca się na znaleziony angielski egzemplarz *Pawła i Wirginii*... Znów daje mu się we znaki towarzystwo *bohaterów*, powabniejszych pono dla artysty w historii, w poezji niż w życiu. „Wszystko tu jest grube, brudne, cuchnące fizycznie i moralnie" pisze do siostry ze Smoleńska. — „Jedyna moja przyjemność to słuchać trochy muzyki na rozstrojonym pianinie"... Ożywia go nieco pożar Moskwy. Ale pisze: „aby się tym rozkoszować, trzeba by być samemu albo w towarzystwie ludzi cywilizowanych. Dla mnie kampanię rosyjską zepsuło to, że ją odbyłem z ludźmi, którzy potrafiliby pomniejszyć Colosseum i Zatokę Neapolitańską"...

Odwrót spod Moskwy podkopał mocno zdrowie Beyle'a: w 1813 bierze urlop i śpieszy do Włoch. Już w czasie urlopu w 1811, Beyle odnalazł swój mediolański ideał sprzed lat jedenastu (Angela Pietragrua) i nawiązał wątek przerwanej miłości, tym razem śmielej i skuteczniej. Znalazłszy łaskawe przyjęcie, nasycony na długo heroizmem, nie chce słyszeć o niczym, co nie jest szczęściem i miłością. W miesiącu bitwy pod Lipskiem dziennik, który prowadził Stendhal, notuje jedynie drobne fakty tyczące stosunku z Angelą!

I powrót cesarza z Elby nie zdołał wyrwać Beyle'a z jego wywczasów. Uważał snadź losy Napoleona za spełnione. Ostateczny upadek cesarstwa pogrzebał i wszystkie pomyślności Stendhala; dość wesoło przyjmując tę odmianę fortuny, osiada we Włoszech, w kraju, w którym — jak gdzieś pisze — można bez hańby być biednym. W gruncie rzeczy w tym człowieku czynu zawsze tkwił kawał *dyletanta*, smakosza wrażeń, który tłukąc się z Wielką Armią, obnosił po Europie swą żywą i inteligentną ciekawość. Obecnie rozkoszuje się włoską muzyką, zwiedza miasta, kościoły, galerie, obraca się w towarzystwie włoskich patriotów, a przede wszystkim — kocha się. Po Angeli Pietragrua, która w końcu okazała się „niegodną", posiadła jego serce Metylda Dembowska (z domu Viscontini), żona wiernego generała napoleońskiego. Miłość ta, bez wzajemności, bez nadziei, odpła-

[2]*Jako intendent wojskowy (...)* — Zaznaczyć tu jednak trzeba, iż anegdotyczne rysy tworzące „legendę stendhalowską" są nieraz dość wątpliwe, mimo iż pochodzą w znacznej części od niego samego. W obfitym materiale autobiograficznym krytyka notuje co krok mniejsze lub większe, mówiąc łagodnie, nieścisłości. Jest to ciekawy objaw, iż pisarze, którzy biorą pióro do ręki z potrzeby *szczerości*, blagują zwykle jak najęci. Ale bo też nie koloryzować w swojej autobiografii jest to, zdaje się, zadanie nad siły ludzkie.

cana najgorszą monetą, bo monetą „przyjaźni", stanowiła przez kilka lat szczęście i udrękę Beyle'a; gwałtownie przerwana w r. 1821, stała się później natchnieniem książki *O miłości*.

W r. 1814 przypada pierwszy debiut w literaturze Stendhala, a raczej *Aleksandra Cezara Bombet*, jako że pod takim ukrył się pseudonimem. I dobrze zrobił, że się ukrył, książka jego bowiem *O Haydnie* okazała się zaczerpnięta, częściowo wręcz przełożona z *Haydinów* Carpaniego. Zrabowany autor podniósł krzyk, co dało powód do polemiki, dość przykrej dla tajemniczego Bombeta. W 1817 wydaje Beyle dwie książki: jedna to *Rzym, Neapol i Florencja* (pierwszy raz podpisana godłem *de Stendhal*, oficer kawalerii); druga to *Historia malarstwa we Włoszech*. Pierwszy utwór to opis podróży przeplatający drobiazgowe opisy uwagami i anegdotami, w których autor wciąż snuje paralelę między Włochami a Francją na niekorzyść swej ojczyzny. *Historia malarstwa* ujawnia niezwykłą na owe czasy znajomość i odczucie włoskiego Odrodzenia; najbardziej jednak zajmującym rysem jest tu dedykacja, ofiarująca to dzieło. *J. Ces. Mości Napoleonowi Wielkiemu*, a zakończona tak:

> „Oby, Najjaśniejszy Panie, niebo dało ci tyle życia, abyś mógł oglądać Francję szczęśliwą dzięki konstytucji, którą przekazał jej ostatni twój parlament. Wówczas, Najjaśniejszy Panie, przebaczy ci ona jedyny akt słabości, który ci może wyrzucać: to iż po Waterloo nie chwyciłeś w ręce dyktatury i zwątpiłeś o ratunku ojczyzny.
>
> Wówczas potomność, odzyskawszy bezstronność spojrzenia, będzie się wahała jedynie, czy ma pomieścić twoje imię obok czy ponad imieniem Aleksandra, a twoi nędzni wrogowie będą znani światu jedynie dzięki temu, iż mieli szczęście być twymi wrogami.
>
> Pozostaję, Najjaśniejszy Panie,
> z najgłębszym uszanowaniem
> Waszej Cesarskiej i Królewskiej Mość:
> bardzo uniżonym i powolnym sługą
> i poddanym, w swoim sercu,
> żołnierzem, którego ująłeś za klapę surduta pod Görlitz".

Dedykacja ta w 1817, w zaraniu Restauracji, kiedy nazwiska *Buonapartego* nie wymawiało się niemal bez akompaniamentu zniewag, była niewątpliwie aktem odwagi i charakteru. Zresztą, obie książki przeszły dość niespostrzeżenie.

W r. 1821 Beyle traci ojca; śmierć ta zostawia go dość obojętnym; łączy się z nią zawód majątkowy: ojciec, który uchodził za zamożnego człowieka, okazał się niemal zrujnowany. Równocześnie spotyka pisarza drugi cios: policja austriacka, nierada jego stosunkom z patriotami włoskimi, wyprasza go z Mediolanu. Zostawiając serce i duszę we Włoszech przy ukochanej Metyldzie, Stendhal wraca do Paryża, którego nie lubił i gdzie nie znał prawie nikogo. W Paryżu zostanie aż do rewolucji lipcowej (1830), przerywając ten pobyt jedynie paru wycieczkami do Anglii.

Stendhal, jak większość rozbitków napoleońskich, zbliża się z liberałami; wchodzi w dom Destutta de Tracy, filozofa i pisarza, którego z dawna uwielbiał; poznaje Lafayette'a, Beniamina Constant i in. Miesza się w pierwsze utarczki romantyków i klasyków, i w broszurze swojej *Racine a Szekspir* (1823) rzuca głośną definicję: „Literatura klasyczna, to ta, która dawała największą sumę przyjemności naszym pradziadom; literatura romantyczna, to ta, która daje największą sumę przyjemności nam". Mimo to Stendhal niewiele miał powinowactwa z budzącym się ruchem *romantycznym* we Francji; i tu, jak całe życie, pozostaje on odosobniony: a odrębność ta, która nie pozwoliła mu kosztować pełni uznania za życia, uczyniła go tym cenniejszym okazem dla potomnych.

Trudno o dosadniejszy przykład, jak niebezpiecznie jest w czasie masowych ruchów myśli chodzić oddzielnymi drogami. Aby zwyciężyć, trzeba by mieć wytrwałość i upór Balzaca, a tych Stendhal, traktujący literaturę niejako na marginesie życia, nie posiadał. W 1822 wydaje książkę swoją *O miłości*: od 1822 do 1833, czyli przez jedenaście lat, sprzedano siedemnaście egzemplarzy! Stendhal czuje to odosobnienie i tym bardziej zasklepia się w niechęci do epoki. W r. 1824 wydaje *Życie Rossiniego*, w 1829 *Przechadzki po Rzymie* oraz *Armance czyli sceny paryskie* z 1827.

Rewolucja lipcowa. Stendhal wita ją z sympatią, ale nie biorąc czynnego udziału; noc 29 lipca spędza u kochanki, „aby czuwać nad jej bezpieczeństwem". Zwycięstwo Orleanów jest zarazem odwetem bonapartystów. Odczuwa to Stendhal, gdyż otrzymuje zaraz stanowisko konsula w Trieście, gdzie się nudzi, marznie i gdzie, na szczęście, Austria go sobie nie życzy, pomawiając go o karbonaryzm. Przed wyjazdem z Paryża, zostawia pod prasą rękopis powieści *Czerwone i czarne*, która wychodzi z druku podczas jego nieobecności, bez powodzenia jak zwykle.

Odwołany z Triestu obejmuje stanowisko konsula w Civita Vecchia, miejscowości, która, gdyby nie bliskość Rzymu, byłaby dlań prawdziwym wygnaniem. Ale i tak, niewesoły jest ten schyłek życia Stendhala. Samotny, starzejący się, silący się tu i ówdzie wskrzesić wzruszenia, których czas minął, stara się stworzyć w sobie filozoficzną równowagę, kreśląc wspomnienia młodości. Poza tym wydaje *Pamiętniki turysty* oraz powieść, *Pustelnię parmeńską* (1839), która daje mu poznać smak triumfu literackiego w postaci entuzjastycznego artykułu Balzaca w „Revue de Paris". Umiera w r. 1842, licząc lat pięćdziesiąt dziewięć, rażony apopleksją; spoczywa na Montmartre. W ostatnich latach, oburzony *pokojem za każdą cenę*, który był dążeniem Ludwika Filipa, oświadczył, iż nie chce mienić się Francuzem; gorzki ten nastrój jak niemniej pamięć szczęśliwych chwil przeżytych w Mediolanie wyraziły się w nagrobku, który sobie sam ułożył:

ARIGO BEYLE
MILANESE
visse, serisse, amo
quant'anima
adorava
Cimarosa, Mozart e Shakespeare [3]

Oto życie Stendhala. A charakter? Niełatwy do określenia. Postać Juliana (*Czerwone i czarne*) niejedno objaśni, byle jej oczywiście nie utożsamiać z autorem. Zdaje się, że wrażenia dziecinne duży miały wpływ na dalszy rozwój. Natura wrażliwa, czuła, gorąca, zdławiona nieprzyjazną atmosferą, przyuczyła się wkładać maskę, kryć swoje najlepsze strony; toteż wciąż spotykamy u niego nieśmiałość pod ironią i brutalnością, sentymentalizm pod pozorami don Juana. Przy tym nieufność, podejrzliwość, ostrożność, które rozwiną się w manię[4]. Wzrosły w epoce porewolucyjnego zdziczenia moralnego, Stendhal ma w pojęciach swoich zupełną prawie amoralność i niespołeczność; podobny w sferze myśli do tych kondotierów napoleońskich, których maluje Balzac, zachowa jako jedyną busolę *punkt honoru* i ten *kult energii*, który tamci mieli instynktownie, a który on ma świadomie. Ów kult energii znajdzie wyraz w uwielbieniu dla Napoleona oraz w rozkoszowaniu się historią Włoch z epoki Odrodzenia. Tę stronę natury Stendhala łagodzi — nie sprzeciwiając się jej zresztą — szczera wrażliwość artystyczna, dająca mu w muzyce, zwłaszcza łatwej muzyce włoskiej, kosztować słodyczy niemal zmysłowych; natomiast w ciągłej wojnie z żywiołowością charakteru jest rozwinięty zmysł analizy, zdolność i nawyk kontrolowania, uświadamiania sobie uczuć. Stąd naturę Stendhala wypełnia raczej apostolstwo namiętności jako stanu dającego pełnię życia niżeli sama namiętność, którą poraża jasnowidzenie inteligencji. Gra tych sprzeczności daje Stendhalowi ciekawą i złożoną fizjonomię.

Jako umysłowość Stendhal tkwi korzeniami głęboko w XVIII wieku: racjonalizm Woltera i encyklopedystów, ateizm lubujący się w konceptach à la Chamfort na temat Boga, nienawiść do prawdziwych i mitycznych *jezuitów* dochodząca manii, oto cechy Stendhala, w których również dałoby się odnaleźć wpływy działające nań — pozytywnie lub negatywnie — w dzieciństwie. Celem człowieka jest szczęście, tzn. możliwie największa suma rozkoszy, wrażeń: oto zasada filozofii, którą on sam nazywał *beylizmem*. Ale poprzez te racjonalistyczne koncepcje czuć wiew romantycznego szaleństwa na zimno, które Stendhala broni od oschłości. Cóż wedle *beylizmu* może dać największą sumę

[3] *Arigo (…) e Shakespeare* — Henryk Beyle. Mediolańczyk, żył, pisał, kochał takim sercem, jakim ubóstwiał Cimarozę, Mozarta i Szekspira.

[4] *nieufność, podejrzliwość, ostrożność, które rozwiną się w manię* — W najniewinniejszych listach Stendhal nieustannie posługuje się kryptonimami.

wrażeń? Namiętność, choćby przyszło dla niej zaważyć życie, choćby bezcelowa, niedorzeczna. Ta apologia namiętności, tak oddalająca Stendhala od osiemnastowiecznych filozofów, z którymi ma tak bliski punkt wyjścia, świadczy, iż między XVIII wiekiem a nim był — Napoleon.

Ciekawy jest stosunek Stendhala do Napoleona. Zrazu, po 11 *brumaire*, jak przystało na młodego republikanina, widzi w nim tyrana, który „skradł ludowi wolność". Nie przeszkadza mu to zresztą iść za gwiazdą napoleońską; zachowanie się jego jednak w latach próby, w r. 1813, 14, 15, nie świadczyłoby o fanatyzmie... Nie było w nim materiału na jednego z Heinowskich „dwóch grenadierów". Ten inteligentny amator wrażeń oglądał epopeję napoleońską zanadto z bliska, od strony kulis[5]. Dopiero później obraz Napoleona i jego dzieje, oglądane z dalszej perspektywy, opromienione wspomnieniem własnej młodości Stendhala, staną się dlań przedmiotem trwałego uwielbienia.

Stendhal był, jak powiedzieliśmy, zjawiskiem odosobnionym. W epoce przełomu i potężnych prądów duchowych nie mieszał się z nikim, nie należał do żadnego obozu, był sobą. I nie mogło być inaczej; wszak i jego bieg życia odległy był, jak widzieliśmy, od utartych dróg literackich. Nie jest pisarzem-zawodowcem; patrzy na życie bezpośrednio, nie przez pryzmat kałamarza. Przy tym znaczną część życia spędza poza Francją; jak na francuskiego literata, dla którego często świat zamyka się w Paryżu[6], to zjawisko niezwykłe. Gdy romantycy opiewają Andaluzyjki i odalisy, siedząc u Tortoniego na bulwarach, on żyje bujnym życiem cyganerii wojskowej albo leniwym życiem Włoch, wypełniony wrażeniami: wrażeniami oczu, uszu i serca. I przez niego przepływa romantyczny prąd epoki, ale jakiś przetworzony. Stendhal, który we wszystkim jest przeciwnym biegunem Chateaubrianda, pod tym względem spotyka się z nim: każdy z nich na inny sposób przyczynił się do rozszerzenia horyzontu; obaj są wielkimi *globtroterami*, wybiegającymi myślą i uczuciem poza horyzont Francji. I zarazem, przy całej duchowej antypatii Stendhala do Chateaubrianda, możemy wszakże połączyć ich jednym nazwiskiem, aby zrozumieć, jak kręte drogi żłobi sobie bieg Romantyzmu. Nazwisko to, to Byron, który tyle czerpie z Chateaubrianda, a dla którego znowuż Stendhal ma tak gorące uwielbienie[7].

Interesujące są pośmiertne dzieje glorii Stendhala. Za życia utwory jego przechodziły dość niespostrzeżenie; nie tylko w kołach literackich, w których miał swoją reputację oryginała i żonglera paradoksów, ile wśród publiczności. Drugą część broszury *Racine a Szekspir*, która jest pamfletem wymierzonym w pana Auger, prezesa Akademii, zaczyna Stendhal od słów: „I ja, i pan Auger jesteśmy zupełnie nieznani"... Można sobie wyobrazić minę Akademika! Istotnie, około r. 1830 tyle świetnych nazwisk weszło na horyzoncie literatury, iż Stendhal, idący niedbale swoją koleją, poza wielkimi gościńcami, musiał pozostać nieznany.

Kiedy w 1854 Sainte-Beuve omawia jego zbiorowe dzieła, wydane staraniem wiernego przyjaciela, Colomba, notuje budzące się zainteresowanie Stendhalem; mimo to, sam *książę krytyki* odnosi się doń w sposób nader umiarkowany. Chwila Stendhala dopiero miała nadejść; i co ciekawsze, miała nadejść ściśle według daty, którą on sam przepowiedział: niejednokrotnie w zapiskach swoich powiada, iż będą go czytać w r. 1880. Istotnie w tej epoce sława Stendhala, zapoczątkowana uwielbieniem Taine'a, urasta do niesłychanych rozmiarów, zwłaszcza wśród „śmietanki" intelektualnej. Richepin podaje — a potwierdza to i Bourget[8] — iż w jego pokoleniu było kółko młodych pisarzy, umiejących dosłownie całe *Czerwone i czarne* na pamięć; gdyby nawet było w tym nieco przesady, kult Stendhala pozostaje faktem. Najsprzeczniejsze szkoły literackie powołują się na jego ojcostwo, przeciągają go do swego obozu, często z osobliwym skrzywieniem wizerunku Stendhala: Zola czyni go ojcem naturalizmu, Bourget widzi w nim pierwowzór wytwornego dyletanta, kosmopolity duchowego, gdy młoda szkoła francuska wywodzi zeń swój

[5]*oglądał epopeję napoleońską zanadto z bliska* — Przeglądając *Niewydane listy* Stendhala (*Souvenirs d'egotisme et lettres inedites*) natrafiłem na taki ustąp, bardzo znamienny w zestawieniu z militarno-heroicznymi marzeniami młodego Juliana Sorel. W r. 1801 Beyle pisze do przyjaciela: „Wyrzekłem się sławy wojskowej, ponieważ zanadto trzeba się płaszczyć, aby się docisnąć do pierwszych miejsc.

[6]*francuskiego literata, dla którego często świat zamyka się w Paryżu* — E. Goncourt, najczystszej krwi *literat*, powiada gdzieś, że tematem dla literatury może być paryżanin, reszta to *historia natuturalna*.

[7]*Byron (...) uwielbienie* — Kiedy Stendhal poznaje Byrona w Mediolanie, jest tak wzruszony, iż ledwie może się wstrzymać, aby go nie pocałować w rękę.

[8]*potwierdza to i Bourget* — [w:] *Essais de psychologie contemporaine*.

kult woli! Powstaje około lat dziewięćdziesiątych „Klub Stendhalistów" a pierwszym jego prezesem był rodak nasz, Kazimierz Stryjeński, wydawca (bardzo dziś krytykowany) i komentator pośmiertnych pism Beyle'a[9]. I dziś ten kult nie wygasł bynajmniej; jako dokument jego wystarczy wymienić rozpoczęte tuż przed wojną wspaniałe i rychło wyczerpane wydanie pism Stendhala oraz *stendhalianów*: mało który z francuskich pisarzy doczekał się podobnego[10]. A mimo to oficjalna historia literatury nie jest zgodna co do stanowiska Stendhala: jedni pomijają go prawie zupełnie[11], inni stawiają obok lub nawet powyżej Balzaca.

Przyjrzyjmy się powieści *Czerwone i czarne*. A trzeba się w niej nieco rozpatrzyć, gdyż książka ta, z pewnością jedna z niepospolitszych swego wieku, dziwnie jest skomplikowana; łatwiej się poddać jej wrażeniu niż je uświadomić i zanalizować.

Wystarczyłoby się *poddać*; ale i to wrażenie jest bardzo niejednolite; czytając ten utwór (zwłaszcza ponownie), to pływa się w rozkoszy, to znów wzrusza się ze zniecierpliwieniem ramionami; bądź co bądź, po odłożeniu książki, przemaga jej urok, pozostawiając w duszy ton niezatarty i odrębny. Zdaje mi się, iż trzeba by wyróżnić w tym dziele dwa elementy, nie zawsze dobrze zespolone, stąd te dysharmonie. Jeden element to powieść społeczna — *Kronika XIX wieku*, jak ją nazwał sam autor w podtytule. A sam tytuł? Uważano go niekiedy za niezrozumiały; jest chyba zupełnie jasny: *Czerwone i czarne*, to mundur i sutanna; to dwie Francje, Francja napoleońska i Francja Burbonów, która nastąpiła nagle po tamtej, brutalnie dławiąc rozkołysany w młodych duszach hymn sławy i czynu. Odczytajmy drugi rozdział *Spowiedzi dziecięcia wieku* Musseta:

> ... Dzieci patrzały na to wszystko myśląc ciągle, iż cień Cezara wyląduje w Cannes i zdmuchnie te upiory; ale cisza trwała ciągle, na niebie zaś widniał jeno odblask białych lilii. Kiedy chłopcy mówili o sławie, powiadano im: „Zostańcie księżmi"; kiedy mówili o ambicji: „Zostańcie księżmi"; o nadziei, miłości, sile: „Zostańcie księżmi"...

Pomiędzy Rewolucją a upadkiem Napoleona upłynęło lat dwadzieścia pięć. Przez ten czas lud zdobył ziemię, zdobył świadomość samego siebie, zdobył przede wszystkim dzięki swemu Cesarzowi — godność. Niejeden syn ludu został marszałkiem Francji, nie było wsi, gdzie by na piersiach robotnika, chłopa, nie czerwieniła się wstążeczka legii. W epopei napoleońskiej lud francuski, w czarodziejskim skrócie, przebył wieki bohaterskiej historii Francji; w siedmiomilowych butach dognał swoich starszych braci. Odebrawszy już poprzednio szlachcie wszystkie przywileje, wydarł jej ten ostatni, bez którego *zrównanie* nie byłoby nigdy istotny: przywilej bohaterstwa, przywilej umierania za ojczyznę, za chimerę sławy — szlachetniejszej jeszcze, ofiarniejszej, bo bezimiennej! — umierania pięknie, z chwałą; wydarł jej poezję heroizmu i przewyższył o tyle, o ile Napoleon przewyższył wszystkich dawnych wodzów. Z tą chwilą supremacja *urodzenia* pogrzebana była bez powrotu; z tą chwilą dopiero dzieło Rewolucji dokonało się w całej pełni.

I oto nagle, przy pomocy obcych bagnetów wraca miniony porządek rzeczy; złagodzony, to prawda, ale silący się odzyskać dawne prerogatywy; oto nagle zatrzaśnięto młodzieży francuskiej wrota do sławy, do czynu, które uchyliła Rewolucja, które otworzył na oścież Napoleon. I znowu jak przed wielką Rewolucją lud szarpie niecierpliwie swe pęta i szemrze; ale to już inny lud: ani śladu w nim dawnego niewolnika; lud górujący nad tymi, którzy chcą mu się narzucić za panów, wszystkim: inteligencją, polotem, wolą, odwagą. Między Ludwikiem XVI a Ludwikiem XVIII był — Napoleon. I niedługo da się utrzymać tamy: przyjdzie r. 1830 i lud zerwie się jeszcze raz, i zmiecie — prawie bez krwi rozlewu, tak słaby napotka opór — swoich niepowołanych opiekunów.

Wspomniałem, iż na schyłku, życia Stendhal podjął zadanie spisania historii swego Cesarza. Nie dokończył tej historii, która objęła ledwie kilka lat i pozostała w postaci brulionu; ale są w niej ustępy należące do pięknych kart francuskiego piśmiennictwa. Daleko tu jesteśmy od sceptycznych refleksji, które spotykaliśmy w listach kreślonych

---

[9] *pośmiertnych pism Beyle'a — Kroniki włoskie*, *Życie Napoleona*, *Nowele*, *Korespondencja*, *Pamiętnik egotysty*, *Lamiel*, *Życie Henryka Brulard*.

[10] *wydanie pism Stendhala oraz stendhalianów* — Paris. E. Champion.

[11] *pomijają go prawie zupełnie* — Faguet, *XIX Siècle*.

na gorąco z biwaków. Rzeczywistość szlachetnieje, przetwarza się w poezję; małe prawdy codzienności roztopiły się w wielkiej prawdzie dziejów.

> Doznaję uczucia jakby religijnego wzruszenia, kreśląc pierwsze zdanie dziejów Napoleona... Spodziewałem się, że ktoś z tych, którzy patrzyli na Cesarza, podejmie opowieść jego życia. Czekałem dwadzieścia lat. Ale w końcu widząc, że ten wielki człowiek staje się coraz bardziej nieznany, nie chciałem umrzeć nie wyraziwszy mniemania, jakie mieli o nim niektórzy towarzysze broni....
>
> ... We wszystkich sercach władało wówczas głębokie uczucie, którego nie widzę już śladów. Niechaj czytelnik, o ile ma mniej niż pięćdziesiąt lat, zechce sobie wyobrazić, wedle książek, iż w 1794 nic mieliśmy ani cienia religii; nasze wewnętrzne i pełne powagi uczucie skupiało się całe w tej myśli: być użytecznym ojczyźnie.
>
> Wszystko inne, odzież, żywność, stopnie, było w naszych oczach jedynie nędznym i znikomym szczegółem...
>
> On był naszą jedyną religią...

Z tego kultu, z tej religii wyrósł młody Julian Sorel, któremu przyjaciel jego, stary felczer armii napoleońskiej, zostawił za cały legat *Pamiętnik z wyspy św. Heleny* i swój krzyż legii honorowej.

Powieść Stendhala *Czerwone i czarne*, pisana tuż przed 1830, cudownie oddaje ton nowej Francji. Zestawmy trzy typy, w których ujawnia się lud w literaturze francuskiej; Kubuś[12], zacny, dobroduszny, pobłażliwy, przywiązany jeszcze do pana, którego przerasta inteligencją i charakterem; *Figaro*, zniecierpliwiony, gorzki i niebezpieczny już pod swą niefrasobliwą wesołością; wreszcie ten Julian Sorel, posępny, groźny, wcielenie napiętej ambicji, woli i myśli; co więcej, fanatyk *honoru*, mimo iż pojętego nieraz dość osobliwie.

Honor! To także przywilej, który lud wydarł szlachcie i który dziecko tego ludu, Julian Sorel, pielęgnuje z żarliwością neofity. Postawmy obok siebie te dwa wcielenia ludu: Figara, zwiastuna Wielkiej Rewolucji, i Juliana Sorel, zwiastuna dni lipcowych. Cóż za przepaść! Już to samo, że figury wyrażającej bunt ludu, figury, w którą włożył wiele z siebie, Beaumarchais nie wahał się zrobić lokajem, jest wymowne. Figaro ma wszystko: energię, inteligencję, talent, prawość, serce; ale brak mu jednego: — godności. Ta zostaje jeszcze dziedziną hrabiego Almaviva i najbardziej rewolucyjnemu pisarzowi nie przyszło na myśl mu jej wydzierać. Figaro jest jeszcze krewniakiem owego *vilain* z dawnej *komedii*: schowa do kieszeni policzek, byle osłodzony sakiewką.

Cóż za skok do Juliana! Ten cierpi na istny przerost godności osobistej, obolałej, podejrzliwej, zdolnej do wszelkiego szaleństwa, do zbrodni! Co mu ją dało? Owa wstążeczka legii przekazana mu w spadku przez starego felczera. Ta ewolucja, ta głęboka przemiana duchowa znajduje w powieści Stendhala dobitny wyraz.

To jeden motyw książki: a teraz drugi. Wspomnieliśmy w biografii Stendhala, iż wielkim zatrudnieniem jego życia była miłość. Jej oddał najlepsze siły, o niej napisał całe dzieło, ona wciska się we wszystkie jego pisma. I oto drugi element utworu: powieść *miłosna*, wcielenie marzeń o miłości, jakie Stendhal snuł całe życie. Zawdzięczamy temu głęboką analizę serca ludzkiego, zawdzięczamy wiele niezapomnianych scen, wreszcie dwa urocze i wspaniale prawdą typy kobiece; ale także i niejedną rysę w tym dziele. Julian, owo dziecko ludu, wcielenie jego upokorzeń, krzywd i odwetu, jest równocześnie „dzieckiem rozkoszy", rodzajem *belami*, którego ubóstwiają na kolanach wielkie damy, ku któremu wyciągają się wszystkie ramiona kobiece. Ba, nie tylko kobiece: w rezultacie, począwszy od wiernego Fouqué aż do margrabiego de la Mole, wszyscy, których Julian spotyka na drodze życia, licytują się formalnie o niego, śpieszą z ofiarą pieniędzy, gotowością stworzenia mu losu etc. I to przeszkadza nieco: kiedy Julian, który w rezultacie, poza przykrościami krótkiego pobytu w seminarium, pędzi życie arcywygodne i przed którym ściele się ono różami, wciąż występuje z pretensjami do społeczeństwa i uważa się za srodze pokrzywdzonego, ponieważ nie ma.... renty, mimo woli wzruszamy ramionami.

[12] *Kubuś* — [por.] Diderot, *Kubuś fatalista i jego pan*.

Ten rozdźwięk wynika może z pewnych niedostatków techniki. Stendhal bystro widzi i silnie ujmuje jej linię społeczną, ale w przeprowadzeniu nie umie może zespolić problemów społecznych z problemami miłosnymi książki. Balzac wie, że miłość plebejusza, człowieka pracy (*Córka Ewy*!) inne przybierze formy niż miłość człowieka, dla którego jest ona jedynym zajęciem; Stendhal osadza ją jeszcze w ramie trącącej abstrakcją XVIII w. Pałac de la Mole niedaleko leży od zamku w *Niebezpiecznych związkach*; Julian prowadzi tam istne życie jakiegoś Valmonta: w nocy odwiedza damskie sypialnie, w dzień harcuje na koniu „albo pędzi dni przy małym okienku na poddaszu", śledząc postać Matyldy w ogrodzie. O tym, iż rzecz toczy się w Paryżu, wiemy jedynie teoretycznie; nie widzimy ani śladu reakcji tego Paryża w Julianie. Porównajmy pod tym względem powieść Stendhala z *Ojcem Goriot* albo ze *Straconymi złudzeniami*.

Fakt tedy, iż *Czerwone i czarne* jest powieścią przedbalzakowską, z jednej strony pomnaża nasz podziw dla intuicji i talentu Stendhala, z drugiej tłumaczy nam wiele szczegółów utworu. Stendhal ma dość fantastyczne pojęcie o mechanizmie społecznym. I gdzie go miał poznać? Nie w biwakach armii ani na operze w Mediolanie. Sposób, w jaki Julian, ten kmiotek okrzesany przez panią de Rênal i świeżo przybyły z seminarium doprowadza do porządku interesy pana de la Mole, właściciela jednej z największych fortun we Francji, jest rozbrajający! Czuć, że jeszcze nie przyszedł Balzac i nie wprowadził do literatury swojej armii adwokatów, rejentów, giełdziarzy.... Julian Stendhala jest tu raczej faworytem, dworzaninem dawnych czasów...

Jedna jest jeszcze rzecz, którą różni się Stendhal od Balzaca. Balzac ma w odniesieniu do społeczeństwa bezstronność przyrodnika. Wiemy, że wyznawał on, może na wpół przez snobizm, zasady rojalistyczne, ale dzieło jego nic o tym nie wie. Oko artysty, myśliciela jest ponad Francję rojalistyczną, rewolucyjną, napoleońską: widzi całokształt społeczeństwa, jego przekroje, funkcjonowanie jego motorów, trybów, transmisji. Inaczej u Stendhala: książka jego jest pamfletem. Zapatrzony w epokę napoleońską, której czas bezpowrotnie minął i do której sam Stendhal inaczej się odnosił, póki trwała, nie chce rozumieć nowego społeczeństwa będącego amalgamatem dawnych i nowych idei. Podobny owym rozbitkom napoleońskim, których maluje Balzac, dąsa się na Burbonów, widzi wszędzie jezuitów i jezuickie intrygi[13]. Eks-żołnierz, gardzi w gruncie *cywilami*; w pracy ich, budującej nową Francję widzi jedynie zabiegi materialne kramarzy.

Tak jak Stendhal nie rozumie społeczeństwa, które go otacza, tak samo nie bardzo rozumie ludzi, poza sobą i kobietą, którą kocha. Każda z jego postaci to marionetka poruszana jednym sznurkiem. Przypomnijmy sobie to wspaniałe studium *entomologiczne*, jakim jest pan de la Baudraye w *Muzie z zaścianka* Balzaca; widzimy go w jego małostkach, śmiesznościach, charakterystycznych rysach i równocześnie widzimy w jego osobie tworzącą się nową Francję. A pan de Rênal, a Valenod? Dla Stendhala to tylko płaskie łajdaki. Zabiegi materialne wypełniające znaczną część społecznego życia są mu wstrętne. Jego Julian reprezentuje lud, ale brzydzi się wszystkim, co stanowi życie tego ludu; bić się albo mieć rentę to dla niego jedyne godne zajęcie. W tych rysach ujawnia się zupełna prawie niespołeczność Stendhala, wychowanego w wojnach napoleońskich; jakby brak solidarności z ludźmi i brak życzliwości dla nich. Ten Julian jest kondotierem, jak Filip Bridau lub Maksencjusz Gilet w *Kawalerskim gospodarstwie*. I jako taki jest bardzo znamiennym produktem epoki, osadem napoleonizmu.

Niedostatek w malowaniu ludzi występuje tu na każdym kroku. Przypomnijmy sobie pierwszą rozmowę księdza Pirard z Julianem o hrabi Norbercie i patrzymy, jak ta figura młodego de la Mole rozłazi się autorowi w palcach. Kogóż nie zniecierpliwi ciągłe wyliczanie, niby w uprzykrzonym refrenie, tej wiecznej trójcy pp. de Croisenois, de Caylus i de Luz?

Dość chyba się nazrzędziłem na książkę, którą serdecznie lubię. I tu staję wobec trudniejszego zadania. Powiedzieć, co w niej jest nielogiczne, nieprawdziwe, to dość łatwo; wytłumaczyć, na czym polega jej urok, jej niezatarte wrażenie, o wiele trudniej. Wnosi ona dwie rzeczy raczej rzadkie w literaturze francuskiej: jedna to jakaś zasadniczo *tragiczna koncepcja* życia; druga to — mimo że to dziwnie brzmi, kiedy się mówi o tym

[13]*widzi wszędzie jezuitów i jezuickie intrygi* — Niewątpliwie ujawnia się tu owa dochodząca do manii podejrzliwość, której tyle rysów odbija się w korespondencji Stendhala.

pozytywiście na wpół osiemnastowiecznym — jakiś mistyczny dech wiejący z tego utworu. Może to wiew namiętności, której istota zawsze się gubi w mrokach tajemnicy? Część książki, począwszy od zamachu na panią de Rênal aż do śmierci Juliana, jest czymś odrobinę niedorzecznym, a zarazem głęboko pięknym, porywającym, wprawiającym w dziwną zadumę... Piękną również jest transpozycja miłostek Bonifacego de la Mole z królową Małgorzatą na jego prawnuczkę i na tego hardego plebejusza. I mimo owej *rysy*, którą zaznaczyłem w koncepcji Juliana, krytykujemy go raczej rozumowo; gdy chodzi o wrażenie, przeważnie ulegamy autorowi: dzielimy jego wiarę w *niepospolitość* tego bladego i ponurego chłopca, którego fizjonomia ma coś z fizjonomii młodego Bonapartego, zanim jeszcze wstąpił na drogę chwały...

I po całej owej paraleli na korzyść Balzaca, którą przeprowadziłem poprzednio, muszę wyznać: równocześnie z korektą tej książki prowadziłem korektę paru przedruków Balzaca; otóż bezpośrednio po Stendhalu Balzac wydaje się — niemal płaski. Wiem, że jest w tym uczuciu wiele niesprawiedliwości! Łatwiej jest być poetycznym, kiedy się każe swemu bohaterowi wspinać w nocy po drabinie[14] do okien kochanki, niż kiedy się, jak Balzac, zawinie rękawy, aby się paprać w kuchni społecznej i demonstrować nam jej procedury; dlatego notuję to nie jako swój *sąd*, ale jako swoje, przelotne zresztą, *wrażenie*.

W jednym jest Stendhal na wskroś oryginalny i nowy, mianowicie w przesunięciu punktu ciężkości powieści na analizę psychologiczną. Ma on w tym poprzednika, na którego się sam powołuje[15], ale doprowadził tę sztukę daleko. Balzac dał powieści nowoczesnej silną więź społeczną i analizę psychologiczną w *czynach*; Stendhal głównym swym zadaniem uczynił analizę myśli, uczuć. Powieść ta jest przeważnie wewnętrznym monologiem, chwilami niemal snem na jawie; niedostrzegalnym drgnieniom duszy poświęca Stendhal całe rozdziały, gdy najważniejsze fakty zbywa w paru słowach. Stendhal daleko zaszedł w odkonwencjonalizowaniu uczuć; stwarza ich chemię: uczucie nawet pozornie elementarne jak miłość staje się u niego skomplikowanym mechanizmem. I tu wskazał mu drogę Marivaux: miłość Juliana i panny de la Mole, to *marivaudage* na tragiczno.

Jak na urodzonego *człowieka miłości* przystało, dla Stendhala istnieje naprawdę jedynie on sam i kobieta. Na tle nikłych cieni ludzkich, prymitywnych marionetek, którymi zaludnił swoją powieść, odcinają się dwa pełne typy kobiece, typy, których nie podobna zapomnieć, skoro się raz czytało tę książkę: pani de Rênal i Matylda, te dwie oddychające prawdą, poetyczne postacie.

Jedną z przyczyn, dla której lekceważono Stendhala w epoce Romantyzmu, a uwielbiano pod koniec XIX wieku, jest jego *styl*. *Styl ten* w istocie szczególnie odbija od szumnej poetyckiej prozy Chateaubrianda, Wiktora Hugo, Gautiera, Musseta. Te krótkie, rzeczowe zdańka silą się ściśle notować fakty, uczucia; unikają — aż do przesady — ornamentu, wielkich słów. Zauważmy: wszystkie najważniejsze zdarzenia, oddanie się pani de Rênal a potem Matyldy, pojedynek Juliana, ciąża Matyldy[16], zabójstwo pani de Rênal, wreszcie sama śmierć Juliana, zaznaczone są krótkimi zdaniami jakby mimochodem. Stendhal mawiał, iż pisząc powieść, odczytuje po parę stron kodeksu cywilnego dla nabrania *tonu*[17]. Bądź co bądź i on nie uniknął nieraz konwencjonalnej przesady, i przesada ta przy pozorach oschłości tym bardziej uderza[18]. I stylem tym styka się Stendhal z wiekiem XVIII; może najbliżej z powiastkami Woltera? Jednakże od czasu do czasu,

---

[14]*kiedy się każe swemu bohaterowi wspinać w nocy po drabinie* — Epizod, w którym pani de Rênal przechowuje przez całą dobę Juliana w swoim pokoju, ma analogię w życiu autora, który (już czterdziestoletni z górą), nie mogąc się inaczej widywać z kochanką, dostał się po drabinie do piwnicy w jej domu i tam pozostał trzy dni, w ciągu których ona zaopatrywała go w żywność oraz dopełniała innych mniej poetycznych, a koniecznych wszakże posług. Gdy mowa o źródłach do tej powieści, interesujące może będzie zaznaczyć, iż proces o usiłowane morderstwo w dość podobnych okolicznościach miał miejsce w rzeczywistości, i że podsądny, eks-seminarzysta Berthet, został w Grenoble skazany na śmierć i stracony (*Stryjeński*, *Soirées du Stendhal-Club*).

[15]*poprzednika, na którego się sam powołuje* — „Przygotowując się co rano odczytaniem kilkunastu stronic *Marianny* Marivaux, zrozumiesz zdobycze tkwiące w tym, aby trafnie opisywać drgnienie ludzkiego serca".

[16]*ciąża Matyldy* — Nawiasem mówiąc, chronologia tej ciąży nie wytrzymałaby, jak sądzę, krytyki ginekologa.

[17]*odczytuje po parę stron kodeksu cywilnego dla nabrania tonu* — Nie trzeba może tego zwierzenia brać zbyt dosłownie. W każdym razie zwrócono uwagę, iż mniej pilnie wczytywał się w kodeks karny, gdyż art. 1342, który cytuje Julian, nie istnieje.

[18]*przesada ta przy pozorach oschłości tym bardziej uderza* — Np. kiedy z okazji jakichś dokuczliwych zwierzeń Matyldy, Stendhal powiada, iż „Julian cierpiał bardziej, niż gdyby mu lano w piersi roztopiony ołów" (XLVIII).

gdy zechce, Stendhal umie za pomocą paru słów dać wizję głębiej zapadającą w duszę od wielu bogatych opisów.

Czerwone i czarne było przekładane na język polski w r. 1889 piórem kobiecym; na innym miejscu miałem sposobność wyrazić sąd o tym przekładzie i poprzeć go cytatami[19] oraz ogólniejszymi refleksjami na ten temat. Obecnie nie mogę sobie odmówić przyjemności, aby nie przytoczyć zeń jeszcze jednego kwiatka: „Automatyczny mąż szkodzi jej więcej niż pomaga" (*cet automate*[20] *de mari*...). I jeszcze jedno godne uwagi: nagłówek przedmowy zawiera nawias: „podług Brandesa". Jakżeby się zdumiał biskup Krasicki i inni uczestnicy „obiadów czwartkowych", gdyby im ktoś powiedział, że tak rychło przyjdzie czas, w którym myśl francuska będzie wędrować do nas znad Sekwany przez — Kopenhagę!!!

Kraków, w kwietniu 1921.

I. MAŁE MIASTECZKO

Put thousands together
  Less bad
But the cage less gay.

Hobbes.

Miasteczko Verrières może uchodzić za jedno z najładniejszych we Franche-Comté. Białe domy, spadziste dachy z czerwonych dachówek rozsiadły się na zboczu porosłym kępami rozłożystych kasztanów. Rzeka Doubs płynie o kilkaset stóp poniżej fortyfikacji zbudowanych niegdyś przez Hiszpanów, a obecnie zrujnowanych.

Od północy zasłania Verrières duża góra łącząca się z Pasmem Jurajskim. Okrzesane wierzchołki Verra pokrywają się śniegiem z nastaniem pierwszych październikowych chłodów. Strumień spadający z gór przerzyna Verrières, nim utonie w Doubs, i porusza mnogość tartaków; prosty ten przemysł zapewnia niejaki dobrobyt większej części mieszkańców, raczej wieśniaków niż mieszczan. Nie tartaki wszelako wzbogaciły to miasteczko. Fabryka perkalików stworzyła powszechną zamożność, dzięki której od upadku Napoleona przebudowano prawie wszystkie domy w Verrières.

Już wchodzącego do miasta ogłusza turkot hałaśliwej i straszliwej na pozór machiny. Dwadzieścia ciężkich młotów spadając z hukiem, od którego drży ulica, podnosi się za pomocą koła obracanego wodą. Każdy młot wyrabia co dzień fantastyczną ilość gwoździ. Młode dziewczęta, ładne i świeże, podsuwają pod ciosy tych olbrzymich młotów kawałki żelaza, które w jednej chwili zmieniają się w gwoździe. Ta praca, tak gruba na pozór, zdumiewa podróżnego, który zapuszcza się po raz pierwszy w góry dzielące Francję od Szwajcarii. Kiedy wjeżdżając do Verrières, zapytacie, do kogo należy ta piękna fabryka ogłuszająca przechodniów, odpowiedzą wam, przeciągając z lekka: „Tać do pana burmistrza".

O ile podróżny bodaj parę chwil zatrzyma się na głównej ulicy, która prowadzi do Doubs pod sam szczyt pagórka, można trzymać sto przeciw jednemu, że spotka tam wysokiego mężczyznę z ważną i poważną miną.

Na jego widok odkrywają się wszystkie głowy. Włosy ma szpakowate, ubrany jest szaro. Jest kawalerem licznych orderów, ma wydatne czoło, orli nos, rysy na ogół dosyć regularne: na pierwsze wrażenie twarz ta jednoczy nawet godność prowincjonalnego mera ze śladami urody, jakie może jeszcze zachować fizjonomia między czterdziestym ósmym

[19] *miałem sposobność wyrazić sąd o tym przekładzie* — Murger, *Cyganeria* (Bibl. Boya), od tłumacza.

[20] *cet automate* — *Automate* używa się po francusku w znaczeniu bałwan, głupiec. W tym samym tomie znajduje się przekład powieści La Chartreuse de Parme: rzucam okiem na pierwsze zdanie. Po francusku brzmi: „W 1796 generał Bonaparte wszedł do Mediolanu". Polska tłumaczka: „W r. 1796 Napoleon I wszedł do Mediolanu"... Zatem po to przeinacza tekst i fałszuje obraz (generał Bonaparte a Napoleon I, to daje wprost wzrokowo zupełnie inny obraz!), aby zdradzić grubą ignorancję historyczną. A to znowu z opisu bitwy pod Waterloo. W tekście markietanka poucza rekruta: jeśli ujrzysz nieprzyjaciela, pchnij go sztychem, nie baw się w rąbaninę (*si tu vois un soldat ennemi, pique le avec ton sabre, ne va pas t'amuser à le sabrer*). A nasza tłumaczka: „Jeżeli spotkasz nieprzyjacielskiego żołnierza, możesz go podrażnić szablą, ale nie zabijaj dla zabawki"! Wiemy przynajmniej, dzięki tłumaczce, jakie obyczaje panowały w bitwie pod Waterloo...

a pięćdziesiątym rokiem. Ale niebawem przykro uderzy paryżanina wyraz zadowolenia z siebie i tępej zarozumiałości. Czuje się, koniec końców, że talenty tego człowieka sprowadzają się do punktualnego ściągania cudzych należytości i płacenia możliwie najpóźniej własnych.

Taki jest burmistrz Verrières, pan de Rênal. Przeszedłszy poważnym krokiem ulicę, wchodzi do merostwa i ginie oczom podróżnego. Ale, jeśli ów pójdzie cokolwiek dalej, widzi o sto kroków wyżej dość okazały dom i poprzez żelazne sztachety wspaniałe ogrody. Dalej widnokrąg zamknięty pagórkami Burgundii, jakby stworzony dla rozkoszy oka. Widok ten pozwala podróżnemu odetchnąć po atmosferze zapowietrzonej drobnymi pieniężnymi interesami, które zaczynały go już dławić.

Dowiaduje się, że ta siedziba należy do pana de Rênal. Piękny ten dom zbudowany z ciosu, jeszcze niezupełnie skończony, zawdzięcza pan burmistrz zyskom, jakie mu daje fabryka gwoździ. Rodzina jego, powiadają, jest starożytnego hiszpańskiego pochodzenia, osiadła w okolicy o wiele przed podbojem Ludwika XIV.

Od 1815 pan de Rênal rumieni się, że jest przemysłowcem: rok 1815 zrobił go merem Verrières. Murowane terasy tego wspaniałego ogrodu, który piętrami opada aż do Doubs, są również nagrodą inteligencji pana de Rênal w przemyśle żelaznym.

Nie spodziewajcie się znaleźć we Francji malowniczych ogrodów, które otaczają przemysłowe miasta Niemiec: Lipsk, Frankfurt, Norymbergę, etc. We Franche-Comté im więcej wznosi ktoś murów, im więcej jeży swą posiadłość spiętrzonymi kamieniami, tym więcej nabywa praw do szacunku sąsiadów. Ogrody pana de Rênal, zapełnione murami, budzą podziw i przez to, że kupił na wagę złota niektóre partie gruntu. Na przykład tartak, który uderzył was przy wjeździe do Verrières swym oryginalnym położeniem i na którym widnieje nad dachem olbrzymimi literami nazwisko SOREL, otóż ten tartak zajmował sześć lat temu przestrzeń, gdzie wznosi się dzisiaj czwarta terasa ogrodów pana de Rênal.

Mimo swej dumy pan mer musiał się sporo nachodzić koło starego Sorela, twardego wieśniaka; musiał mu wyliczyć sporo pięknych ludwików, aby go skłonić do przeniesienia gdzie indziej fabryczki. Co do *publicznego* strumienia, który poruszał piłę, pan de Rênal dzięki wpływom, jakich zażywał w Paryżu, uzyskał, że go odwrócono. Uprzejmość ta spadła nań po wyborach w 182***.

Dał Sorelowi cztery morgi za jeden, o pięćset kroków niżej, nad Doubs. I mimo że to położenie było o wiele korzystniejsze dla handlu, Sorel znalazł sposób, aby z niecierpliwości i *manii posiadania* rozpierającej jego sąsiada wycisnąć sumę 6000 franków.

Prawda że miejscowi luminarze krytykowali tę transakcję. Jednego razu — było to w niedzielę, cztery lata temu — pan de Rênal, wychodząc z kościoła w uniformie mera, ujrzał z daleka starego Sorela w otoczeniu trzech synów: stary, patrząc nań, uśmiechał się. Uśmiech ten zaszczepił złowrogie podejrzenie w duszy pana mera; myśli od tego czasu, że mógł był dobić targu tańszym kosztem...

Aby dojść w Verrières do publicznego szacunku, główna rzecz jest, aby, wznosząc wiele murów, nie przejąć wszelako jakiegoś pomysłu przywiezionego z Włoch przez murarzy, którzy na wiosnę ciągną przez Jura do Paryża. Takie nowatorstwo ściągnęłoby na nieopatrznego budownika wiekuistą reputację *pomylonej głowy*: byłby na zawsze zgubiony w oczach roztropnych i umiarkowanych ludzi, którzy rozstrzygają o poważaniu we Franche-Comté.

W gruncie, owi roztropni ludzie wykonują tam najnudniejszy w świecie *despotyzm*; toteż z przyczyny tego brzydkiego słowa pobyt w małym miasteczku nieznośny jest dla kogoś, kto żył w wielkiej republice nazwanej Paryżem. Tyrania opinii i — co za opinii! — jest równie *głupia* w małych miasteczkach Franche-Comté, co w Stanach Zjednoczonych Ameryki.

II. MER

Znaczenie! Panowie, alboż to nic? Szacunek głupców, podziw dzieci, zazdrość bogaczy, wzgarda mędrca.

Barnave.

Szczęściem dla sławy pana de Rênal jako administratora w promenadzie publicznej biegnącej zboczem o jakie sto stóp nad Doubs okazało się potrzebne olbrzymie podmurowanie. Temu cudownemu położeniu zawdzięcza ta promenada jeden z najbardziej malowniczych widoków Francji. Ale co wiosnę deszcze orały bruzdy, żłobiły wyrwy i czyniły to miejsce przechadzki niepodobnym do użytku. Niedogodność ta, która dokuczyła wszystkim, dała panu de Rênal szczęśliwą sposobność unieśmiertelnienia swych rządów murem na dwadzieścia stóp wysokim, a długim na trzydzieści lub czterdzieści sążni.

Parapet ten — dla którego pan de Rênal musiał trzy razy jeździć do Paryża, przedostatni bowiem minister spraw wewnętrznych okazał się śmiertelnym wrogiem promenady w Verrières — otóż parapet wznosi się obecnie na cztery stopy nad ziemią. I jakby na urągowisko wszystkim obecnym i przeszłym ministrom, zdobi się go w tej chwili płytami z ciosu.

Ileż razy, dumając o świeżo porzuconych zabawach paryskich, z piersią opartą o te bloki sinego kamienia, tonąłem spojrzeniem w dolinie Doubs! Het w dali, po lewej stronie, wije się kilka dolinek, w których oko wyraźnie rozróżnia małe strumyki. Kręcą się, tworząc raz po raz nikłe siklawy, aby wreszcie utonąć w Doubs. Słońce jest w tych górach bardzo skwarne; skoro dopieka zbyt silnie, zaduma wędrowca znajduje schronienie na tej terasie w cieniu wspaniałych jaworów. Swój szybki wzrost oraz piękną zieloność z odcieniem prawie niebieskim drzewa te zawdzięczają nawiezionej ziemi, którą pan mer pomieścił za swoim olbrzymim podmurowaniem: wbrew opozycji bowiem rady gminnej rozszerzył promenadę przeszło o sześć stóp. (Mimo że mer jest *ultra*, ja zaś jestem liberałem, pochwalam mu ten czyn, dzięki któremu w opinii samego mera oraz w opinii pana Valenod, szczęśliwego dyrektora *przytułku* w Verrières, terasa ta może wytrzymać porównanie z terasą w Saint-Germain-en-Lave).

Co do mnie, znajduję jedną rzecz do zagadnienia w tej *Alei Wierności* (to oficjalne miano można wyczytać kilkanaście razy na marmurowych tablicach, które zyskały panu de Rênal jeden order więcej); mianowicie barbarzyński sposób, w jaki władza każe obcinać i strzyc do żywego te bujne jawory. Miast upodobniać się swymi niskimi, okrągłymi i spłaszczonymi głowami do najpospolitszej jarzyny, byłyby z ochotą przybrały owe wspaniałe kształty, jakie widuje się w Anglii. Ale wola pana mera jest despotyczna; dwa razy na rok wszystkie drzewa gminne ulegają bezlitosnej amputacji. Miejscowi liberałowie twierdzą (przesadzają!), że ręka oficjalnego ogrodnika stała się o wiele surowsza, odkąd ksiądz wikariusz Maison przyjął zwyczaj zagarniania dla siebie produktów tych postrzyżyn.

Młody ten duchowny przybył przed kilku laty z Besançon, przysłany dla nadzorowania księdza Chélan i paru innych proboszczów. Stary chirurg pułkowy osiadły w Verrières (zdaniem pana mera razem jakobin i bonapartysta), ośmielił się jednego dnia krytykować to systematyczne kaleczenie pięknych drzew.

— Lubię cień — odparł pan de Rênal z odcieniem wyższości naturalnej w rozmowie z felczerem, kawalerem legii honorowej — lubię cień, każę tedy przycinać moje drzewa, iżby dawały cień, i nie rozumiem, aby drzewo służyć mogło do czego innego, chyba że jak pożyteczny orzech *przynosi dochody*.

Oto wielkie słowo, które rozstrzyga o wszystkim w Verrières: *przynosić dochód*; streszcza ono stałą myśl trzech czwartych ludności.

Przynosić dochód to argument rozstrzygający o wszystkim w miasteczku, które zdało się wam tak powabne. Obcy, zachwycony świeżością i urodą dolin, które je otaczają, wyobraża sobie zrazu, że mieszkańcy jego wrażliwi są na *piękno*; mówią aż nazbyt często o piękności okolicy: nie można zaprzeczyć, że przywiązują do niej wagę; ale to dlatego, że ściąga cudzoziemców, których sakiewka wzbogaca oberżystów, co znowuż siłą mechanizmu podatkowego *przynosi dochód* miastu.

W piękny jesienny dzień pan de Rênal przechadzał się po *Alei Wierności* pod rękę z żoną. Słuchając męża, który rozprawiał z poważną miną, pani de Rênal ścigała niespokojnym okiem ruchy trzech chłopców. Najstarszy, może jedenastoletni, zbliżał się za często do parapetu z wyraźną chęcią wdrapania się na mur. Łagodny głos upominał wówczas małego Adolfa i dziecko odstępowało od ambitnego zamiaru. Pani de Rênal wyglądała na lat trzydzieści, ale była jeszcze dość ładna.

— Może łatwo tego pożałować ów fircyk paryski — mówił pan de Rênal wzburzony, z twarzą bledszą jeszcze niż zazwyczaj. — Ostatecznie mam parę życzliwych osób na Dworze...

Ale mimo że zamierzam przez dwieście stronic mówić o prowincji, nie posunę się do tego okrucieństwa, aby wam kazać słuchać mdłych i rozwlekłych prowincjonalnych rozmów.

Fircyk paryski, tak antypatyczny merowi Verrières, był to niejaki Appert, który dwa dni wprzódy zdołał się wcisnąć nie tylko do więzienia i przytułku, ale i do szpitala, gdzie bezinteresownie władali mer oraz główni miejscowi właściciele.

— Ale — rzekła nieśmiało pani de Rênal — cóż tobie może wadzić ten paryżanin, skoro zarządzasz mieniem ubogich najskrupulatniej?

— Przyjeżdża tylko po to, aby wydziwiać na wszystko, a potem zamieści artykuł w liberalnych dziennikach.

— I tak ich nie czytujesz.

— Ale ludzie gadają o tych jakobińskich artykułach: to nas niepokoi i *przeszkadza nam w czynieniu dobrego*[21]. Nie, co do mnie, nigdy tego nie wybaczę proboszczowi.

III. MIENIE UBOGICH

Zacny i z dala od intryg stojący proboszcz jest Opatrznością wioski.

Fleury.

Trzeba wiedzieć, że proboszcz z Verrières, starzec osiemdziesięcioletni, ale zawdzięczający ożywczemu powietrzu gór zdrowie i charakter z żelaza, miał prawo odwiedzać o każdej porze więzienie, szpital, a nawet przytułek. Pan Appert, polecony z Paryża proboszczowi, umyślnie przybył do ciekawego miasteczka o szóstej rano i natychmiast udał się na plebanię.

Przeczytawszy list margrabiego de la Mole, para Francji i najbogatszego właściciela w okolicy, ksiądz Chélan zadumał się.

„Jestem stary, kochają mnie tutaj — rzekł do siebie — nie śmieliby!" Następnie obrócił się ku paryżaninowi z oczami, w których, mimo podeszłego wieku, błyszczał ów święty ogień zrodzony przyjemnością spełnienia dobrego uczynku, połączonego z pewnym niebezpieczeństwem.

— Chodź pan ze mną, drogi panie; ale w obecności dozorcy więzienia, a zwłaszcza przytułku chciej nie wyrażać sądu o rzeczach, które będziemy widzieli.

Pan Appert zrozumiał, że ma do czynienia z dzielnym człowiekiem; udał się za czcigodnym proboszczem, zwiedził więzienie, areszt, zadał wiele pytań i mimo dziwnych odpowiedzi nie pozwolił sobie na najmniejszą krytykę.

Zwiedzanie trwało kilka godzin. Proboszcz zaprosił pana Appert na obiad, ale ten wymówił się pilną korespondencją: nie chciał bardziej jeszcze narażać swego szlachetnego towarzysza. Około trzeciej poszli dokończyć inspekcji przytułku, następnie wrócili do więzienia. Zastali w progu dozorcę, olbrzyma o sześciu stopach wzrostu i kabłąkowatych nogach: nikczemna jego fizjonomia stała się wstrętna pod wpływem strachu.

— Proszę dobrodzieja — rzekł na widok proboszcza — czy ten pan, który przyszedł z księdzem proboszczem, to nie pan Appert?

— A o co chodzi? — spytał proboszcz.

— Ano bo wczoraj otrzymałem najściślejszy rozkaz — od pana prefekta, żandarm pędził galopa całą noc! — aby nie wpuszczać pana Appert do więzienia.

— Oświadczam panu, panie Noiroud — rzekł proboszcz — że ten podróżny, który mi towarzyszy, to właśnie pan Appert. Czy uznajesz, że mam prawo wchodzić do więzienia o każdej porze dnia i nocy, wprowadzając kogo mi się podoba?

— Tak, księże proboszczu — odparł dozorca ciszej, spuszczając głowę jak buldog przed kijem. — Tylko, że proszę księdza, ja mam żonę i dzieci; skoro mnie ktoś zdradzi, wypędzą mnie, a to miejsce to całe moje utrzymanie.

---

[21] *gadają o tych jakobińskich artykułach: to nas niepokoi i przeszkadza nam w czynieniu dobrego* — Historyczne. [przypis autorski]

— I mnie byłoby przykro stracić swoje — odparł dobry proboszcz wzruszony.

— Cóż za różnica! — odparł żywo dozorca — Toć wiadomo, że ksiądz ma osiemset funtów renty, ładny kawałek ziemi...

Oto fakty, które komentowane, powiększane na dwadzieścia sposobów poruszały od dwóch dni namiętności małego miasteczka. One to właśnie stanowiły treść rozmowy państwa de Rênal. Tego rana w towarzystwie pana Valenod, dyrektora przytułku, mer udał się do proboszcza, aby mu wyrazić najwyższe niezadowolenie. Ksiądz Chélan nie miał protektorów, zrozumiał całą doniosłość tych słów.

— Dobrze więc, panowie, będę trzecim proboszczem, którego, w osiemdziesiątym roku życia, usuną w tej okolicy. Jestem tu od pięćdziesięciu lat; ochrzciłem prawie wszystkich mieszkańców miasta, które było lichą wioszczyną, kiedym przybył. Daję co dzień śluby młodym, których dziadkom dawałem ślub niegdyś. Verrières to moja rodzina; ale powiedziałem sobie, widząc tego przybysza: „Ten paryżanin może być w istocie liberałem; mamy ich nazbyt wielu; ale co może złego zrobić naszym biednym więźniom?".

Gdy wymówki mera, a zwłaszcza pana Valenod, dyrektora przytułku, stawały się coraz żywsze, stary proboszcz wykrzyknął drżącym głosem:

— Więc dobrze, panowie, usuńcie mnie. I tak zostanę w tych stronach. Wiadomo, że przed czterdziestu laty odziedziczyłem kawałek ziemi, przynoszący osiemset funtów; będę żył z tego. Nie robię oszczędności na swojej posadzie, panowie; dlatego może nie jestem zbyt przerażony groźbą jej utraty.

Pan de Rênal żył bardzo dobrze z żoną; ale nie wiedząc, co odpowiedzieć na jej nieśmiałą uwagę: „Cóż ten pan z Paryża może złego zrobić więźniom?", był już gotów wybuchnąć na dobre, kiedy pani wydała krzyk. Średni syn wdrapał się na parapet i biegł po nim, mimo że mur wznosił się na dwadzieścia stóp nad winnicą. Bojąc się przestraszyć syna i przyprawić go o upadek, pani de Rênal nie śmiała wyrzec słowa. Wreszcie dzieciak, uszczęśliwiony z tego aktu dzielności, spojrzawszy na matkę, ujrzał jej bladość, zeskoczył i podbiegł ku niej. Wyłajano go porządnie.

To drobne wydarzenie zmieniło bieg rozmowy.

— Trzeba bezwarunkowo wziąć do domu młodego Sorela, syna tracza — rzekł pan de Rênal — będzie dozorował dzieci, które jak dla nas robią się nadto wielkie zbijaki. Ten młody księżyk czy kleryk, dobry przy tym łacinnik, potrafi pokierować chłopcami; mówił mi proboszcz, że to tęgi charakter. Dam mu trzysta franków i życie. Miałem skrupuły co do jego moralności, był bowiem beniaminkiem starego felczera, kawalera legii, który pod pozorem pokrewieństwa odnajmował izdebkę z wiktem u Sorelów. Ten człowiek mógł w gruncie bardzo łatwo być po prostu tajnym agentem liberałów; powiadał, że górskie powietrze dobrze mu robi na astmę; ale ostatecznie to nie żaden dowód. Przebył wszystkie kampanie *Buonapartego* we Włoszech, a nawet, jak powiadają, podpisał swego czasu protest przeciw wprowadzeniu Cesarstwa. Ten liberał uczył po trosze łaciny młodego Sorela i zostawił mu książki, które przywiózł z sobą. Toteż nigdy nie przyszłoby mi do głowy brać tego chłopca do naszych dzieci; ale proboszcz właśnie w wilię sceny, która poróżniła nas na zawsze, powiedział mi, że Sorel studiuje od trzech lat teologię z zamiarem wstąpienia do seminarium; nie jest zatem liberałem, a umie po łacinie.

Kombinacja ta ma różne dobre strony — ciągnął pan de Rênal, spoglądając na żonę z miną dyplomaty. — Valenod jest bardzo dumny z pary cugowych normandów, które kupił; ale nie ma korepetytora.

— Żeby go nam tylko nie odmówił.

— Pochwalasz więc mój projekt? — rzekł pan de Rênal, dziękując uśmiechem żonie za szczęśliwą myśl. — Zatem rzecz postanowiona.

— Ach, Boże! Mężu, jak ty się szybko decydujesz!

— Bo ja mam charakter; proboszcz przekonał się o tym. Nie ma co owijać w bawełnę, jesteśmy tu otoczeni liberałami. Wszyscy ci fabrykanci perkalików zazdroszczą mi, wiem; paru z nich zbiło ładny majątek; dobrze tedy! Niech widzą synów pana de Rênal, idących na przechadzkę z *preceptorem*. To imponuje. Dziadek opowiadał nam często, że w młodości miał preceptora. Będzie mnie to kosztowało sto talarów, ale można je wciągnąć w rubrykę wydatków reprezentacyjnych.

To nagłe postanowienie pogrążyło panią de Rênal w zadumie. Była to wysoka, kształtna kobieta, już jako panna znana w okolicy z urody. Miała w sobie jakąś prostotę, coś młodego w ruchach: w oczach paryżanina ten naiwny wdzięk pełen niewinności i życia, zbudziłby może obrazy pełne słodkiej rozkoszy. Gdyby pani de Rênal mogła się domyślać triumfu tego rodzaju, uczułaby się z pewnością bardzo zawstydzona. Ani zalotność, ani mizdrzenie się nie zagościły nigdy w jej sercu. Szeptano, że Valenod, bogaty dyrektor przytułku, zalecał się do niej swego czasu, ale na próżno, co rzucało osobliwy blask na cnotę pani de Rênal; Valenod bowiem, słuszny młody człowiek o atletycznej budowie, z rumianą twarzą i bujnymi czarnymi bokodrodami, był z typu owych grubych i hałaśliwych brutalów, którym na prowincji daje się miano „przystojnych mężczyzn".

Panią de Rênal, osobę nader nieśmiałą, z pozoru bardzo nierówną, raziła zwłaszcza ustawiczna ruchliwość i donośny głos pana Valenod. Niechęć do tego, co w Verrières nazywa się wesołością, zyskała jej reputację osoby bardzo dumnej ze swego urodzenia. Nie czyniła tego rozmyślnie, ale była bardzo rada, że mieszkańcy Verrières rzadziej ją odwiedzają. Nie będziemy ukrywali, iż w oczach miejscowych pań uchodziła za głupią, ponieważ nie uprawiając wobec męża żadnej polityki, przepuszczała najlepsze sposobności zdobycia ładnych kapeluszy z Paryża lub z Besançon. Byle jej pozwolono błądzić samotnie po ogrodzie, nie skarżyła się nigdy.

Była to naiwna dusza, która nigdy nie odważyła się sądzić męża i przyznać sama przed sobą, że ją nudzi. Nie uświadamiając sobie tego jasno, przypuszczała, że stosunki między mężem a żoną nie bywają milsze. Lubiła zwłaszcza, kiedy jej mówił o przyszłości synów, z których jednego przeznaczył do wojska, drugiego do urzędu, a trzeciego na księdza. Ogółem wziąwszy, pan de Rênal wydawał się jej o wiele mniej nudny niż wszyscy inni.

Ten sąd był dość racjonalny. Burmistrz zawdzięczał reputację dowcipu, a zwłaszcza dobrego tonu kilkunastu anegdotom odziedziczonym po wuju. Stary kapitan de Rênal służył przed Rewolucją w pułku księcia Orleańskiego i kiedy bawił w Paryżu, miał wstęp na salony księcia. Poznał tam panią de Montesson, sławną panią de Genlis, pana Ducrest, twórcę *Palais-Royal*. Osobistości te powtarzały się aż nazbyt często w anegdotach pana de Rênal. Ale z czasem wywoływanie wspomnień rzeczy tak subtelnych stało się dlań pracą; toteż od pewnego czasu jedynie w ważnych okolicznościach wydobywał swoje anegdoty *orleańskie*. Ponieważ był zresztą bardzo grzeczny (z wyjątkiem gdy chodziło o pieniądze), uchodził słusznie za najdystyngowańszą[22] osobistość w całym Verrières.

IV. OJCIEC I SYN

E sarà mia colpa
Se cosi è?

Macchiavelli.

„Moja żona ma, doprawdy, rozum! — powiadał sobie nazajutrz o szóstej rano burmistrz, schodząc ku tartakowi starego Sorela. — Nie przyznałem jej tego, dla zachowania wyższości, jaka mi przynależy; niemniej nie pomyślałem o tym, że, jeśli nie wezmę tego księżyka, który podobno mówi po łacinie jak anioł, dyrektor przytułku, ten zachłanny człowiek, mógłby łatwo wpaść na tę samą myśl i sprzątnąć mi go. Z jaką by on arogancją mówił o swoim *preceptorze*!... Hm, czy ten chłopiec, skoro już będzie u mnie, zechce nosić sutannę?"

Pan de Rênal rozważał tę wątpliwość, kiedy ujrzał z dala wysokiego chłopa, który od świtu zdawał się wielce zajęty mierzeniem drzewa złożonego wzdłuż rzeki. Człowiek ten nie był zbytnio uszczęśliwiony z widoku mera; kloce zawalały gościniec i znajdowały się tam wbrew przepisom.

Stary Sorel (on to był bowiem) był bardzo zdziwiony, a jeszcze bardziej rad z osobliwej propozycji pana de Rênal. Mimo to wysłuchał z markotną i obojętną miną, jaką mieszkańcy owych stron tak dobrze umieją osłaniać swą przebiegłość. Przebywszy długi czas pod jarzmem hiszpańskim zachowali jeszcze ten rys egipskich *fellahów*.

[22] *najdystyngowańszą* — dziś popr.: najbardziej dystyngowaną.

Odpowiedź Sorela była zrazu i jakby na pamięć wyuczoną formułą szacunku. Podczas gdy powtarzał te czcze słowa z niepewnym uśmiechem potęgującym wrodzony jego fizjonomii wyraz fałszu i niemal hultajstwa, czynny umysł wieśniaka silił się odgadnąć, co za powód może mieć człowiek tak znaczny, aby brać do domu jego ladaco-synalka. On sam był bardzo niezadowolony z Juliana; i oto pan de Rênal ofiaruje zań nieoczekiwaną pensję trzystu franków rocznie, z życiem, a nawet ubraniem! Pan de Rênal przyjął ten ostatni warunek, który ojciec Sorel sformułował w lot z genialną przytomnością umysłu.

Pretensja ta uderzyła mera. „Skoro Sorel nie jest (jakby powinien być) uszczęśliwiony, zachwycony moją propozycją, jasne jest (rzekł sobie mer), iż musiał go już nagabywać kto inny; a któż by, jeśli nie Valenod?" Próżno pan de Rênal przyciskał Sorela, aby zaraz dobił targu; chytry stary bronił się uparcie. Musi, powiadał, poradzić się syna. Jak gdyby na prowincji bogaty ojciec radził się — inaczej niż dla formy — syna, który nie ma nic!

Podstawą tartaku jest buda nad strumieniem. Dach wznosi się na belkowaniu, które znowuż spoczywa na czterech słupach. Na wysokości dziesięciu stóp w szopie widać piłę, która porusza się pionowo, bardzo zaś prosty mechanizm popycha ku tej pile sztukę drzewa. Koło obracane wodą spełnia tę podwójną robotę.

Zbliżając się do swej budy Sorel zawołał Juliana stentorowym głosem; nikt nie odpowiedział. Ujrzał jedynie starszych synów, którzy zbrojni siekierami ociosywali pnie przeznaczone pod piłę. Bacząc pilnie na czarną linię wykreśloną wzdłuż bala, odłupywali za każdym uderzeniem olbrzymie szczapy. Nie słyszeli głosu ojca. Stary wszedł i na próżno szukał Juliana w jego zwykłym miejscu obok piły. Siedział o kilka stóp wyżej, okrakiem na belce; miast nadzorować czynność mechanizmu, chłopiec czytał. Nic bardziej nie drażniło starego: przebaczyłby może Julianowi jego szczupłą postać, mało sposobną do ciężkiej pracy i tak różną od starszych braci; ale ta mania czytania była mu wstrętna: on sam nie umiał czytać.

Daremnie wołał kilka razy. Hałas piły, ale bardziej jeszcze uwaga, z jaką chłopiec utonął w książce nie pozwoliły mu słyszeć straszliwego głosu ojca. Wreszcie, mimo swego wieku, stary wskoczył lekko na piłowane drzewo, a stamtąd na poprzeczną belkę podtrzymującą dach. Gwałtowne uderzenie posłało w strumień książkę, którą Julian miał w ręku; drugi cios, równie silny, wymierzony na odlew w głowę chłopca przyprawił go o utratę równowagi. Byłby się potoczył w dół, między miażdżące tryby, ale ojciec przytrzymał go lewą ręką.

— A, leniu! Wiecznie będziesz czytał swoje przeklęte książki, gdy masz pilnować roboty? Czytaj wieczór, wówczas gdy tracisz czas darmo u proboszcza; wtedy, owszem.

Julian, mimo iż ogłuszony i zlany krwią, udał się na swój posterunek koło piły. Miał łzy w oczach, nie tyle z bólu, ile z powodu straty uwielbianej książki.

— Złaź, ciemięgo, mam z tobą do pomówienia. — Hałas nie pozwolił Julianowi dosłyszeć tego rozkazu. Ojciec, który już zeszedł, nie chcąc powtórnie gramolić się na rusztowanie, wziął żerdź do strącania orzechów i trącił go po ramieniu. Ledwie Julian znalazł się na ziemi, stary pognał go przed sobą do domu. „Bóg wie, co mnie tam czeka!" — myślał chłopiec. Po drodze spoglądał smutno na strumień, w który wpadła jego książka; była to najulubieńsza ze wszystkich: *Pamiętnik z wyspy św. Heleny*.

Policzki miał purpurowe, oczy spuszczone. Był to nieduży chłopiec osiemnasto- lub dziewiętnastoletni, dość wątły; rysy miał nieregularne, ale delikatne, nos orli. Wielkie, czarne oczy, które w chwilach spokoju błyszczały inteligencją, w tej chwili wyrażały najdzikszą nienawiść. Ciemnokasztanowate włosy nad niskim czołem dawały w chwili gniewu twarzy jego zły wyraz. Pośród niezliczonych odmian fizjonomii ludzkich niełatwo spotkałoby się wyrazistszą. Smukła kibić zdradzała więcej lekkości niż siły. Od wczesnego dzieciństwa wyraz szczególnej zadumy oraz uderzająca bladość chłopca wyrobiły w ojcu mniemanie, że nie będzie żył lub stanie się rodzinie ciężarem. Będąc przedmiotem wzgardy całego domu, Julian nienawidził braci i ojca; w niedzielę podczas zabaw zawsze był ofiarą.

Od roku blisko ładna jego twarzyczka zaczynała mu zyskiwać sympatię młodych dziewcząt. Lekceważony przez wszystkich jako istota słaba, Julian uwielbiał owego starego felczera, który ośmielił się raz zagadnąć mera w kwestii jaworów.

Felczer ów płacił niekiedy Sorelowi dzienną robociznę za syna, aby go uczyć łaciny i historii, to znaczy tego, co wiedział z historii: kampanii włoskiej z 1796. Umierając,

zapisał mu swój krzyż legii, zaległość swej emerytury oraz kilkadziesiąt tomów, z których najcenniejszy skąpał się właśnie w *strumieniu publicznym*, odwróconym dzięki stosunkom pana mera.

Wszedłszy do domu, Julian uczuł na ramieniu potężną dłoń ojca; drżał, spodziewając się nowych razów.

— Odpowiadaj bez łgarstwa — zakrzyczał mu w ucho twardy głos starego chłopa, gdy ręka ojca kręciła nim jak dziecko ołowianym żołnierzem. Wielkie czarne oczy Juliana, napełnione łzami, znalazły się na wprost szarych oczków cieśli, który zdawał się czytać w samym dnie jego duszy.

V. UKŁADY

Cunctando restituit rem.

Ennius.

— Odpowiadaj bez łgarstwa, jeśli potrafisz, hyclu jeden: skąd znasz panią de Rênal? Kiedyś z nią mówił?

— Nigdym nie mówił — odparł Julian — widziałem ją w kościele.

— Aleś patrzył na nią, bezwstydne ladaco?

— Nigdy! W kościele widzę tylko Boga — dodał Julian z obłudną miną, stanowiącą w jego mniemaniu tarczę przeciw nowym uderzeniom.

— Coś w tym siedzi — mruknął chytry kmiotek i zamilkł na chwilę — ale z ciebie nic nie wycisnę, obłudniku przeklęty. Mniejsza z tym, uwolnię się od ciebie, a tartak tylko skorzysta. Pozyskałeś sobie proboszcza czy innego diabła, który ci się wystarał o ładną posadę. Idź spakować rzeczy, zaprowadzę cię do pana de Rênal, gdzie będziesz preceptorem przy dzieciach.

— Cóż za to dostanę?

— Życie, ubranie i trzysta franków rocznie.

— Ja nie chcę być lokajem.

— Tumanie, kto mówi o lokaju? Czy ja bym pozwolił, aby mój syn był lokajem?

— Ale z kim będę jadał?

Pytanie to zbiło z tropu starego; uczuł, że mówiąc więcej, mógłby strzelić bąka; uniósł się na Juliusza, którego zasypał obelgami wyrzucając mu łakomstwo, po czym odszedł, aby się naradzić z synami.

Julian ujrzał niebawem, jak wsparci na siekierach skupili się w poufnej rozmowie. Przyglądał się im długo, ale widząc, iż nic nie zdoła odgadnąć, przeszedł na drugą stronę tartaku, aby go nikt nie zaskoczył. Chciał dumać nad tą niespodzianą nowiną, która zmieniała jego losy, ale czuł się niezdolny do skupienia; wyobraźnia jego cała utonęła w rojeniach o tym, co ujrzy w pięknym domu pana de Rênal.

Raczej się go wyrzec, myślał, niż jadać ze służbą. Ojciec zechce mnie zmusić: prędzej zginę. Mam oszczędzonych przeszło piętnaście franków, drapnę tej nocy; w trzy dni bocznymi drogami, gdzie mnie żaden żandarm nie dosięgnie, będę w Besançon: zaciągnę się do wojska lub w danym razie przekradnę się do Szwajcarii. Ale wówczas przepadła kariera, przepadła ta piękna sukienka kapłańska, która wiedzie do wszystkiego.

Ten wstręt do jadania ze służbą nie był u Juliana wrodzony; aby *wypłynąć*, zgodziłby się na rzeczy o wiele cięższe. Odrazę tę zaczerpnął w *Wyznaniach* Russa: jedynej książce, z której czerpał pojęcie o świecie. *Biuletyny Wielkiej Armii* oraz *Pamiętnik z wyspy św. Heleny* uzupełniały jego Koran. Dałby się zabić za te trzy dzieła: nie wierzył w żadne inne. Na wiarę starego chirurga, wszystkie książki uważał za cygaństwa pisane przez szalbierzy dla kariery.

Obok płomiennej duszy Julian posiadał zdumiewającą pamięć, tak często zresztą zdarzającą się u ludzi skądinąd miernych. Aby sobie zjednać księdza Chélan, rozumiejąc, iż od niego zależy jego los, nauczył się na pamięć Nowego Testamentu po łacinie; znał też na wylot książkę *O Papieżu* pana de Maistre, ale równie mało wierzył w jedno jak i drugie.

Jakby za wspólną zgodą Sorel i jego syn unikali tego dnia rozmowy. Wieczorem Julian udał się na lekcję do proboszcza, ale nie uważał za właściwe wspomnieć o niezwykłej propozycji. „Może to pułapka — myślał — trzeba udać, żem zapomniał o wszystkim".

Nazajutrz wczesnym rankiem pan de Rênal posłał po starego Sorel, który, dawszy na siebie czekać dobrą godzinę, przybył w końcu, przepraszając od drzwi wśród mnóstwa ukłonów. Zagadując o tym i owym, Sorel wyrozumiał, że syn będzie jadał z państwem, w dnie zaś, gdy będą goście, sam z dziećmi. Wciąż mnożąc trudności w miarę, jak widział niecierpliwość mera, zresztą pełen nieufności i zdumienia, stary zażądał, aby mu pokazano sypialnię. Był to duży, przyzwoicie umeblowany pokój, do którego przenoszono właśnie łóżka chłopców.

Okoliczność ta była błyskiem światła dla starego wieśniaka; pewniejszym już głosem zażądał, aby mu pokazano ubranie syna. Pan de Rênal otworzył biurko i wyjął sto franków.

— Syn pański uda się z tą kwotą do pana Durand, sukiennika, i sprawi sobie kompletne czarne ubranie.

— A gdybym go odebrał — rzekł chłop, zapominając nagle o czołobitności — czy odzież zostanie przy nim?

— Oczywiście.

— Zatem — rzekł Sorel rozwlekłym głosem — zostaje tylko jedno; porozumieć się co do pensji, którą mu pan przeznacza.

— Jak to! — wykrzyknął pan de Rênal oburzony. — Zgodziliśmy się przecie wczoraj: daję trzysta franków; zdaje mi się, że to dużo, może za dużo.

— Tyle pan proponował, nie przeczę — rzekł stary jeszcze wolniej; po czym z genialną intuicją zdolną zdziwić jedynie tych, którzy nie znają chłopów z Franche-Comté, dodał, patrząc w oczy panu de Rênal — *Dają nam więcej.*

Na te słowa mer zmienił się na twarzy. Przyszedł wszelako do siebie; po wytrawnej rozmowie trwającej dobre dwie godziny, gdzie ani jedno słowo nie padło lekko, przebiegłość chłopa wzięła górę nad przebiegłością bogacza, dla którego ona nie jest kwestią życia. Ustalono punkty regulujące egzystencję Juliana: nie tylko pensję podniesiono do czterystu franków, ale miała być płatna z góry, z początkiem każdego miesiąca.

— Więc dobrze, wręczę mu trzydzieści pięć franków — rzekł pan de Rênal.

— Dla okrągłości, taki bogaty i hojny pan — rzekł chłop przymilnie — da już trzydzieści sześć.

— Niech będzie — rzekł pan de Rênal — ale skończmy już.

Tym razem gniew nadał jego słowom stanowczość. Chłop zrozumiał, że nie można iść dalej. Z kolei pan de Rênal zaczął robić trudności. Stanowczo nie zgodził się wręczyć płacy za pierwszy miesiąc staremu, który skwapliwie chciał ją odebrać za syna. Panu de Rênal przyszło na myśl, że będzie musiał zdać sprawę żonie z tej negocjacji.

— Oddajcie mi sto franków, które wam dałem — rzekł z podrażnieniem. — Durand jest mi coś tam winien; pójdę sam z Julianem zamówić ubranie.

Wobec tego wyskoku energii, Sorel cofnął się ostrożnie w formuły czołobitości, które zajęły dobry kwadrans. Wreszcie widząc, że już stanowczo nie ma nic do wytargowania, odszedł. Ostatni ukłon zakończył słowami:

— Zaraz przyślę syna do pałacu.

W ten sposób *poddani* pana mera nazywali jego dom, kiedy chcieli mu sprawić przyjemność.

Wróciwszy do tartaku, Sorel na próżno szukał syna. Niepewny, co się zdarzy, Julian wymknął się w nocy: chciał ubezpieczyć swoje książki i krzyż legii. Przeniósł wszystko do młodego handlarza drzewem, nazwiskiem Fouqué, swego przyjaciela, który mieszkał na zboczu góry nad Verrières.

Skoro się Julian zjawił, stary rzekł:

— Bóg to wie, przeklęty leniuchu, czy będziesz miał kiedy tyle sumienia, aby mi zwrócić to, co na ciebie łożę od tylu lat! Bierz swoje łachy i idź do pana mera.

Julian, zdziwiony, że się obeszło bez bicia, ruszył czym prędzej. Ale ledwie zszedł z oczu groźnemu ojcu, zwolnił kroku. Pomyślał, iż z korzyścią dla jego hipokryzji będzie wstąpić do kościoła.

Dziwi was to słowo? Nim doszła do tego ohydnego słowa, dusza młodego wieśniaka musiała przebiec wiele drogi.

W dzieciństwie widział, jak dragoni szóstego pułku[23] w długich, białych płaszczach, w kaskach z czarną włosianą kiścią, wracając z Włoch, wiązali konie do zakratowanego okna ojcowskiego domu: widok ten obudził w nim szaloną namiętność do wojska. Później słuchał z upojeniem o bitwach pod Lodi, Arcole, Rivoli, o których opowiadał mu stary chirurg. Widział płomienie w oczach starca, kiedy spoglądał na swój krzyż.

Ale kiedy Julian miał czternaście lat, zaczęto budować w Verrières kościół, który jak na małe miasteczko można było nazwać wspaniałym. Oko Juliana uderzyły zwłaszcza cztery marmurowe kolumny; stały się sławne w okolicy przez śmiertelną nienawiść, jaką wznieciły między sędzią pokoju a młodym wikarym przysłanym z Besançon i uchodzącym za szpiega kongregacji. Sędzia pokoju omal nie stracił miejsca: przynajmniej tak powszechnie mówiono. Ośmielił się wejść w zatarg z księdzem, który prawie co dwa tygodnie bywał w Besançon, gdzie, powiadano, widywał samego biskupa!

Wówczas to sędzia pokoju, ojciec licznej rodziny, wydał kilka wyroków rażących swą niesprawiedliwością: wszystkie godziły w obywateli czytujących dziennik „*Constitutionnel*". Dobra sprawa triumfowała. Chodziło, co prawda, tylko o sumy kilkufrankowe; jedna z tych grzywien dosięgła pewnego gwoździarza, chrzestnego ojca Juliana. Oburzony, człowiek ów wykrzyknął: „Cóż za zmiana i powiedzieć, że od dwudziestu z górą lat sędzia uchodził za uczciwego człowieka!".

Stary chirurg, przyjaciel Juliana, nie żył już wówczas.

Ksiądz, Żołnierz, Ambicja, Pozycja społeczna, Historia

Naraz Julian przestał mówić o Napoleonie i oznajmił, że pragnie zostać księdzem. Widywano go stale w tartaku, jak uczył się na pamięć łacińskiej Biblii pożyczonej od proboszcza. Dobry staruszek, zachwycony postępami chłopca, trawił całe wieczory, kształcąc go w teologii... Julian objawiał same pobożne uczucia. Któż by mógł zgadnąć, że ta dziewczęca twarzyczka, tak blada i słodka, kryje niewzruszone postanowienie zrobienia kariery za wszelką cenę?

Dla Juliana kariera to było przede wszystkim opuścić Verrières: nienawidził rodzinnego miasta; wszystko tam mroziło jego wyobraźnię.

Od wczesnego dziecięctwa miewał momenty egzaltacji. Myślał wówczas z rozkoszą, że kiedyś pozna piękne panie paryskie: potrafi ściągnąć na siebie uwagę jakim świetnym czynem. Czemu jedna z nich nie miałaby go pokochać, tak jak Napoleona, jeszcze wówczas biedaka, pokochała świetna pani de Beauharnais? Od wielu lat nie minęła może godzina w życiu Juliana, w której by sobie nie powtarzał, że Bonaparte, ubogi i nieznany podporucznik, zdobył królestwo świata ostrzem szpady. Myśl ta była mu pociechą w nieszczęściach, które zdawały mu się wielkie, a zdwajała jego radość, kiedy miał jaką.

Budowa kościoła i wyroki sędziego pokoju oświeciły go nagle; idea, która nim owładnęła, oszołomiła go na kilka tygodni, wreszcie zaś ogarnęła go z całą potęgą pierwszej myśli, którą płomienna dusza uważa za swój wynalazek.

„Kiedy zaczęto się zajmować Bonapartem, Francja była pod grozą najazdu; cnoty wojskowe były potrzebne i modne. Dziś czterdziestoletni księża mają po sto tysięcy franków pensji, to znaczy trzy razy tyle co słynni wodzowie napoleońscy. Oto nasz sędzia pokoju, zdolny, tak uczciwy dotąd, stary, poświęca honor, aby się nie narazić trzydziestoletniemu wikariuszowi. Trzeba zostać księdzem".

Raz, w pełni neofityzmu pobożności — mijały już dwa lata, jak Julian studiował teologię — zdradził Juliana nagły wybuch ognia pożerającego jego duszę. Było to u księdza Chélan; przy obiedzie, przed którym dobry proboszcz przedstawił go innym księżom jako cud nauki, zdarzyło mu się odezwać z uwielbieniem o Napoleonie! Przywiązał sobie prawe ramię do piersi, powiedział, że wytknął rękę, podważając drzewo, i wytrwał dwa miesiące w tej niewygodnej pozycji. Wycierpiawszy tę dotkliwą karę, przebaczył sobie. Takim był ów młodzieniec osiemnastoletni, ale wątły z pozoru i wyglądający najwyżej na lat siedemnaście, który niosąc zawiniątko pod pachą, wszedł do wspaniałego kościoła w Verrières.

Kościół był ciemny i pusty. Z powodu jakiejś uroczystości okna zasłonięto karmazynową materią; wnikające promienie tworzyły olśniewającą grę światła, wspaniałą i mistyczną zarazem. Julian zadrżał. Był sam; usiadł w najwspanialszej ławce zdobnej herbem pana de Rênal.

[23]*widział, jak dragoni szóstego pułku* — Autor był podporucznikiem w 6 pułku dragonów w 1800.

Na klęczniku Julian zauważył kawałek drukowanego papieru rozłożony jakby umyślnie. Spojrzał i przeczytał: „Szczegóły egzekucji i ostatnich chwil Ludwika Jenrel, straconego w Besançon..."

Reszty brakowało. Na drugiej stronie widniały tylko pierwsze słowa: *Pierwszy krok*.

„Kto mógł rzucić ten papier? — pomyślał Julian. — Biedny człowiek! — dodał z westchnieniem — nazwisko brzmi podobnie do mojego..."

I zmiął papier.

Wychodząc, Julian miał wrażenie, że widzi koło kropielnicy krew: rozlana święcona woda w odblasku czerwonych firanek przybrała kolor krwi.

Po chwili Julian zawstydził się swego tajemnego lęku.

— Byłżebym tchórzem? — szepnął — *do broni*!

To słowo, powtarzające się tak często w opowieściach starego chirurga, miało dla Juliana dźwięk bohaterski. Wstał i skierował się szybko ku domostwu pana de Rênal.

Mimo tych pięknych postanowień o dwadzieścia kroków od celu ogarnęła go straszliwa nieśmiałość. Żelazna brama (wydała mu się czymś wspaniałym) była otwarta; trzeba było wejść.

Nie tylko sam Julian wylękniony był swym przybyciem. Panią de Rênal, istotę nadzwyczaj nieśmiałą, niepokoiła myśl o tym obcym, który mocą swego stanowiska wiecznie się będzie znajdował między nią a dziećmi. Przywykła, iż chłopcy sypiali w jej pokoju; spłakała się tego rana, widząc, jak przenoszą łóżeczka do pokoju preceptora. Daremnie prosiła męża, aby jej zostawiono choć najmłodszego.

Pani de Rênal posiadała delikatność kobiecą rozwiniętą w wysokim stopniu. Tworzyła sobie najgorszy obraz pospolitego i rozczochranego osobnika mającego z urzędu łajać jej dzieci jedynie dlatego, że zna łacinę, barbarzyński język, za który jej synowie będą brali chłostę.

VI. NUDA

Non so più cosa son
Cosa facio.

Mozart, Figaro.

Z żywością i wdziękiem, które były jej wrodzone, kiedy się czuła z dala od męskich spojrzeń, pani de Rênal wychodziła oszklonymi drzwiami do ogrodu. Spostrzegła u bramy młodego wieśniaka, dziecko niemal, z twarzą bardzo ładną i noszącą ślady łez. Był w czystej koszuli, pod pachą zaś miał schludny surducik drelichowy.

Cera chłopca była tak biała, oczy tak słodkie, iż w romantycznym nieco umyśle pani de Rênal poczęła się zrazu myśl, że to może być przebrana dziewczyna, przychodząca prosić pana mera o jakąś łaskę. Uczuła litość dla nieboraka, który stał jak wryty i widocznie nie śmiał pociągnąć dzwonka. Pani de Rênal zbliżyła się, zapominając na chwilę o trosce, jaką budziła w niej myśl o preceptorze. Julian, wpatrzony w bramę, nie widział pani de Rênal. Zadrżał, kiedy łagodny głos ozwał się tuż nad jego uchem:

— Czego sobie życzysz tutaj, dziecko?

Julian obrócił się żywo; uderzony pełnym wdzięku spojrzeniem pani de Rênal zapomniał o swej nieśmiałości. Niebawem zdumiony jej urodą zapomniał wszystkiego, nawet po co przyszedł. Pani de Rênal powtórzyła pytanie.

— Zgodziłem się za nauczyciela, proszę pani — rzekł wreszcie zawstydzony łzami, które starał się otrzeć ukradkiem.

Pani de Rênal zatrzymała się w zdumieniu; mogli się sobie przyjrzeć z bliska. Julian nie widział nigdy istoty tak ładnie ubranej, ani zwłaszcza z tak olśniewającą cerą: w dodatku przemawiała doń tak łagodnie! Pani de Rênal patrzała na duże łzy toczące się po bladych wprzódy, tak różowych obecnie policzkach chłopca. Niebawem zaczęła się śmiać z szaloną, dziewczęcą pustotą; śmiała się z siebie, nie mogła się nacieszyć swoim szczęściem. Jak to! To jest ów nauczyciel, którego wyobrażała sobie jako brudnego i źle odzianego klechę mającego łajać i bić jej dzieci!

— Jak to! To pan — rzekła wreszcie — pan umie po łacinie?

To słowo *pan* oszołomiło Juliana, który zacukał się na chwilę.

— Tak, pani — rzekł nieśmiało.

Pani de Rênal czuła się tak szczęśliwa, iż odważyła się spytać:

— Nie będzie pan bardzo łajał biednych malców?

— Ja, pani? — rzekł Julian zdziwiony. — Dlaczego?

— Nieprawdaż — dodała po chwili z rosnącym wzruszeniem — będzie pan dobry dla nich, przyrzeka mi pan?

Po raz drugi, ta pięknie ubrana dama nazywała go zupełnie poważnie *panem*! To przechodziło wszelkie oczekiwania Juliana. W najśmielszych zamkach na lodzie, jakie budowała jego młodość, nie spodziewał się, aby prawdziwa dama raczyła doń przemówić słowo, zanim będzie w pięknym uniformie. Panią de Rênal znowuż zupełnie zwiodła piękna cera, duże czarne oczy i ładne włosy chłopca, które kręciły się bardziej niż zwykle, ponieważ, pragnąc się ochłodzić, umaczał głowę w studni. Ku wielkiej radości ów nieszczęsny preceptor, którego srogiej i odrażającej miny tak się lękała dla dzieci, wyglądał na nieśmiałą młodą dziewczynę. Dla spokojnej duszy pani de Rênal kontrast między jej obawami a rzeczywistością był wielkim wydarzeniem. Ochłonęła wreszcie; zarazem uczuła się zdziwiona, iż stoi tak pod bramą z młodym chłopcem ledwie że ubranym i tak blisko niego!

— Proszę, chciej pan wejść — rzekła lekko zakłopotana.

W życiu swoim nie doznała tak głębokiej i szczerej przyjemności; jakież lube zjawisko po dręczących obawach! Zatem te śliczne, tak przez nią wypielęgnowane dzieci nie dostaną się w ręce niechlujnego i zgryźliwego klechy. Wszedłszy do sieni, obejrzała się na Juliana, który kroczył za nią nieśmiało. Jego zdumienie na widok tak ładnego domu przydało mu jeszcze wdzięku w oczach pani de Rênal. Nie wierzyła własnym oczom. Wyobrażała sobie zwłaszcza, że preceptor musi być ubrany czarno.

— Więc to prawda — rzekła, przystając jeszcze i drżąc, aby to, co ją przepełniało takim szczęściem, nie okazało się omyłką — że pan umie po łacinie?

Słowa te uraziły dumę Juliana i rozproszyły czar, pod którym żył od kwadransa.

— Tak, pani — odparł, starając się przybrać oziębłą minę — umiem po łacinie równie dobrze jak ksiądz proboszcz; czasami nawet ksiądz Chélan raczy uznawać, że lepiej.

Pani de Rênal wydało się w tej chwili, że Julian ma minę bardzo surową. Podeszła doń i rzekła:

— Nieprawdaż, w pierwszych dniach nie będzie pan bił chłopców, choćby nawet nie umieli lekcji?

Słodki, prawie błagalny głos pięknej pani sprawił, że Julian zapomniał nagle o swej reputacji łacinnika. Twarz pani de Rênal była tuż przy jego twarzy; uczuł — cóż za wrażenie dla biednego kmiotka! — zapach letnich sukien kobiecych. Julian zarumienił się, odetchnął głęboko i rzekł drżącym głosem:

— Niech się pani nie lęka, zrobię wszystko, co pani każe.

W tej chwili dopiero, skoro minęła wszelka obawa o dzieci, uderzyła panią de Rênal nadzwyczajna uroda Juliana. Kobieca niemal delikatność rysów oraz wyraz zakłopotania nie wydały się zgoła śmieszne istocie również niezmiernie lękliwej. Wyraz męskości, uważany powszechnie za podstawę urody, byłby ją wystraszył.

— Ile pan ma lat? — spytała.

— Niedługo dziewiętnaście.

— Mój najstarszy ma jedenaście — odparła pani de Rênal zupełnie już uspokojona. — Będzie prawie pana kolegą, przemówi mu pan do rozsądku. Raz ojciec chciał go wybić, dziecko odchorowało to blisko tydzień, choć skończyło się na klapsie.

„Cóż za różnica! — pomyślał Julian. — Wczoraj jeszcze ojciec mnie zbił. Jacy ci bogacze szczęśliwi!"

Pani de Rênal już była wrażliwa na najlżejsze odcienie tego, co się działo w duszy preceptora; wzięła ten odruch smutku za nieśmiałość, chciała mu dodać odwagi.

— Jak panu na imię? — rzekła z wdziękiem, którego, mimo iż bezwiednie, Julian odczuł cały urok.

— Zowię się Julian Sorel; z drżeniem przestępuję pierwszy raz w życiu próg obcego domu; trzeba mi pani dobroci, trzeba, aby mi pani wiele wybaczyła w pierwszych dniach. Nie posyłano mnie do szkół, byłem za biedny, nie rozmawiałem z nikim prócz krewniaka

mego, chirurga polowego, kawalera legii oraz księdza Chélan. Proboszcz da pani o mnie dobre świadectwo. Bracia bili mnie zawsze; proszę im nie wierzyć, kiedy będą źle mówili o mnie; i niech mi pani daruje, jeśli co źle zrobię, bo to z pewnością nieumyślnie.

Julian ochłonął podczas tej przemowy; przyglądał się pani de Rênal. Oto skutek doskonałego wdzięku, wówczas kiedy jest wrodzony i naturalny: Julian, który znał się dobrze na urodzie kobiecej, byłby przysiągł w tej chwili, że pani de Rênal ma nie więcej niż dwadzieścia lat. Powziął śmiałą myśl, aby ją pocałować w rękę; niebawem uląkł się tej myśli, w chwilę potem rzekł sobie:

„Byłoby tchórzostwem nie spełnić zamiaru, który może mi dopomóc i zmniejszyć wzgardę tej pięknej pani dla biednego drwala!"

Od pół roku Julian słyszał czasem w niedzielę, jak dziewczęta nazywały go *ładnym chłopcem*; może to mu dodało odwagi? Gdy przechodził te wewnętrzne walki, pani de Rênal udzielała mu wskazówek co do pierwszego zbliżenia z dziećmi. Z wysiłku Julian znowu pobladł; rzekł zmienionym głosem:

— Przysięgam pani wobec Boga, że nigdy nie podniosę ręki na jej dzieci.

Mówiąc to, odważył się ująć dłoń pani de Rênal i podnieść ją do ust. Gest ten zdziwił ją w pierwszej chwili; potem nawet uraził. Ponieważ było bardzo gorąco, miała pod szalem ramiona zupełnie nagie: Julian, podnosząc rękę do ust, odsłonił je całkowicie. Po chwili pani de Rênal uczuła gniew na siebie samą: zdało się jej, że oburzenie nie przyszło dość szybko.

Słysząc głosy, pan de Rênal wyszedł z gabinetu: tym samym majestatycznym i ojcowskim tonem, jaki przybierał w merostwie wobec nowożeńców, rzekł do Juliana.

— Muszę z tobą pomówić, nim przyjdą dzieci.

Wpuścił Juliana do pokoju i zatrzymał żonę, kiedy chciała ich zostawić samych. Zamknąwszy drzwi, pan de Rênal usiadł z powagą.

— Proboszcz polecił mi cię jako dobrego chłopca, wszyscy będą cię tu traktowali uczciwie i jeśli mi się nadasz, pomogę ci w przyszłości znaleźć jaką posadkę. Nie życzę sobie, abyś odtąd widywał twoich krewnych i przyjaciół; ich ton nie może być właściwy dla moich dzieci. Oto trzydzieści sześć franków za pierwszy miesiąc; ale dasz mi słowo, że ani grosza z tej sumy nie oddasz ojcu.

Pan de Rênal czuł złość do starego Sorela, że w tej sprawie okazał się chytrzejszy od niego.

— A teraz, proszę *pana* (z mego rozkazu wszyscy będą cię tu nazywali *panem*; ocenisz całą korzyść pobytu w przyzwoitym domu), nie przystoi, aby dzieci widziały cię w bluzie. Czy służba widziała go? — rzekł pan de Rênal do żony.

— Nie, nie — odparła z wyrazem głębokiej zadumy.

— Doskonale. Włóż pan to — rzekł do zdumionego chłopca, podając mu własny surdut. — Chodźmy teraz do pana Durand, sukiennika.

W dobrą godzinę pan de Rênal wrócił z nowym preceptorem ubranym czarno: zastał żonę siedzącą na tym samym miejscu. Obecność Juliana uspakajała ją: przyglądając mu się, zapomniała o swoich obawach. Julian nie myślał o niej; mimo swej nieufności do losu i ludzi był w tej chwili w duszy jedynie dzieckiem; miał wrażenie, iż przeżył lata całe od chwili, kiedy przed trzema godzinami wchodził z drżeniem do kościoła. Zauważył lodowaty wyraz pani de Rênal: zrozumiał, iż gniewa się o to, że ośmielił się ją pocałować w rękę. Ale uczucie dumy z przyczyny stroju tak odbijającego od jego zwykłej odzieży rozpierało go do nieprzytomności: tak bardzo zaś pragnął ukryć swą radość, iż kręcił się niespokojnie jak szalony. Pani de Rênal przyglądała mu się ze zdziwieniem.

— Więcej powagi, radzę panu — rzekł pan de Rênal — jeśli chcesz wzbudzić szacunek w dzieciach i służbie.

— Państwo wybaczą — rzekł Julian — czuję się nieswój w tym nowym stroju; ja, biedny wieśniak, nosiłem dotąd jedynie bluzę. Jeśli państwo pozwolą, pójdę na chwilę do siebie.

— Jakże ci się wydaje nowy nabytek? — spytał pan de Rênal żony.

Instynktownym niemal odruchem, z którego z pewnością sama sobie nie zdała sprawy, pani de Rênal ukryła swe prawdziwe uczucie:

— Nie podzielam tego zachwytu — rzekła. — Względy twoje przewrócą chłopcu w głowie, tak iż nie minie miesiąc, a będziemy zmuszeni odesłać go z powrotem.

— Więc cóż! To go się odprawi; będzie mnie to kosztowało jakieś sto franków, a Verrières przyzwyczai się do widoku preceptora pana de Rênal. Gdybym go zostawił w odzieży robotnika, cel byłby chybiony. Jeśli go oddalę, zatrzymam, rozumie się, czarny garnitur, który zamówiłem u sukiennika. Zostawię mu tylko to, co znalazłem gotowego u krawca i w co go oblekłem na razie.

Godzina, którą Julian spędził w swoim pokoju, wydała się pani de Rênal chwilą. Dzieci, którym oznajmiono nowego preceptora, zasypywały matkę pytaniami. Wreszcie zjawił się Julian. Był to nowy człowiek. Powiedzieć, że był poważny, to mało; był wcieloną powagą. Przedstawiono go dzieciom; przemówił do nich tonem, który zdziwił nawet pana de Rênal.

— Jestem tutaj, panowie — rzekł kończąc — aby was nauczyć łaciny. Wiecie już, co znaczy wydawać lekcje. Oto Pismo Święte — rzekł, pokazując małą książeczkę w czarnej oprawie. — Jest tu oddzielnie historia Zbawiciela naszego, Jezusa Chrystusa; część, którą nazywamy Nowym Testamentem. Ja was będę często przesłuchiwał, przesłuchajcie i wy mnie.

Adolf, najstarszy, wziął książkę.

— Proszę otworzyć w dowolnym miejscu — rzekł Julian — i poddać mi pierwsze słowo pierwszego wiersza. Wyrecytuję na pamięć tę świętą księgę, najszczytniejszy wzór naszego życia, póki mnie nie zatrzymacie.

Adolf otworzył książkę, poddał słowo, Julian zaś wyrecytował całą stronicę tak swobodnie, jakby mówił po francusku. Pan de Rênal spojrzał na żonę z triumfem. Dzieci, widząc zdumienie rodziców, otwarły szeroko oczy. Julian wciąż mówił po łacinie i kiedy zjawił się w drzwiach służący, stanął w pierwszej chwili nieruchomo, następnie znikł. Niebawem zbliżyły się do drzwi pokojówka i kucharka; Adolf otwierał już książkę w szóstym miejscu, a Julian recytował wciąż z tą samą łatwością.

— Och, Boże! Jaki śliczny księżyk — rzekła głośno kucharka, poczciwa i nabożna dziewczyna.

Pan de Rênal uczuł się zaniepokojony w miłości własnej; zamiast egzaminować Juliana, szukał uporczywie w pamięci paru słów łacińskich; wreszcie wyjąkał jakiś wiersz z Horacego. Julian znał po łacinie tylko Biblię; odparł tedy, marszcząc brew:

— Święte powołanie, do którego się sposobię, zabrania mi czytać tak świeckiego poety.

Pan de Rênal przytoczył sporą ilość mniemanych wierszy Horacego. Objaśnił dzieciom, kto był Horacy; ale chłopcy, przejęci podziwem, nie zwracali na to uwagi. Patrzyli na Juliana.

Ponieważ służba ciągle stała w drzwiach, Julian uważał za stosowne przedłużyć próbę.

— Teraz — rzekł do najmłodszego — niech pan Stanisław także wskaże mi jaki ustęp.

Mały Staś, przejęty dumą, wysylabizował pierwsze słowo, Julian zaś wygłosił całą stronicę. Iżby nic nie brakowało do triumfu pana de Rênal, podczas gdy Julian recytował, weszli pan Valenod, posiadacz pięknej pary normandów, oraz podprefekt pan Charcot de Maugiron. Scena ta zjednała Julianowi tytuł *pana*: nawet służba nie śmiała mu go odmówić.

Wieczorem całe Verrières cisnęło się do pana de Rênal, aby ujrzeć to cudo. Julian odpowiadał wszystkim z miną chmurną, trzymając się z dala. Sława jego rozeszła się po mieście tak szybko, że w kilka dni potem pan de Rênal, lękając się, by mu go nie odmówiono, zaproponował podpisanie umowy na dwa lata.

— Nie, proszę pana — odparł chłodno Julian. — Gdyby mnie pan zechciał odprawić, zmuszony byłbym opuścić dom. Umowa, która wiąże mnie, nie zobowiązuje pana do niczego, nie jest równa, nie mogę jej przyjąć.

Julian umiał się tak postawić, iż w niespełna miesiąc sam pan de Rênal musiał go szanować. Ponieważ proboszcz poróżnił się z panami de Rênal i Valenod, nikt nie mógł zdradzić dawnego kultu Juliana dla Napoleona: on sam mówił o swym bożyszczu jedynie ze wstrętem.

VII. POWINOWACTWA Z WYBORU

Współczesny.

Dzieci ubóstwiały go, on ich nie lubił; myśl jego była gdzie indziej. Cokolwiek te smarkacze wyprawiały, nie niecierpliwił się nigdy. Chłodny, sprawiedliwy, niewzruszony, a mimo to kochany, ponieważ przybycie jego wypędziło poniekąd nudę, Julian był dobrym nauczycielem. On sam odczuwał jedynie nienawiść i wstręt do wyższego towarzystwa, gdzie go dopuszczano, co prawda, do szarego końca stołu, co tłumaczy może jego niechęć i wstręt. Zdarzały się wystawne obiady, w czasie których ledwie mógł wstrzymać nienawiść do wszystkiego, co go otaczało. Raz, w dzień Św. Ludwika, gdy pan Valenod rozprawiał w domu państwa de Rênal, Julian omal się nie zdradził; wymknął się do ogrodu pod pozorem poszukania dzieci.

— Cóż za pochwały uczciwości! — wykrzyknął — Powiedziałby kto, że najwyższa cnota; a równocześnie co za szacunek, co za uniżoność dla człowieka, który najoczywiściej podwoił i potroił majątek od czasu, jak zarządza mieniem ubogich! Założyłbym się, że zarabia nawet na funduszach podrzutków, biedaków, których nędza świętsza jest od innej! Och! Potwory! Potwory! I ja także jestem podrzutkiem, znienawidzonym przez ojca, braci, rodzinę.

Na kilka dni przed św. Ludwikiem Julian, przechadzając się i odmawiając brewiarz w lasku nad Aleją Wierności, na próżno starał się uniknąć braci, których ujrzał z daleka na ścieżce. Piękne czarne ubranie, schludny wygląd młodszego brata, wzgarda wreszcie, jaką im okazywał, obudziły zawiść w tych gruboskórnych robotnikach; zbili Juliana tak, iż legł na drodze zemdlony i zlany krwią. Pani de Rênal, przechadzając się z panem Valenod i podprefektem, zaszła przypadkowo do lasku: ujrzała Juliana na ziemi, sądziła, że nie żyje. Wzruszenie jej obudziło zazdrość w panu Valenod.

Niepokój jego był przedwczesny. Julian podziwiał urodę pani de Rênal, ale nienawidził jej za jej piękność; była to pierwsza rafa, o którą omal nie rozbił się jego los. Jak najmniej odzywał się do niej, aby zatrzeć w jej pamięci wzruszenie, które pierwszego dnia kazało mu ją pocałować w rękę.

Eliza, pokojówka pani de Rênal, zakochała się w młodym preceptorze; na trącała o nim często pani. Miłość panny Elizy ściągnęła na Juliana nienawiść służącego. Jednego dnia Julian słyszał, jak mówił do Elizy:

— Nie chcesz ze mną gadać od czasu, jak ten śmierdzący bakałarz wszedł do domu.

Julian nie zasługiwał na tę obelgę; mimo to, czując się ładnym chłopcem, podwoił dbałość o swoją osobę. Niechęć pana Valenod wzrosła również: odzywał się publicznie, że taka kokieteria nie przystała młodemu klerykowi: oprócz sutanny bowiem strój Juliana był niemal księży.

Pani de Rênal zauważyła, że Julian częściej niż zwykle rozmawia z panną Elizą: dowiedziała się, iż przyczyną tych rozmów były niedostatki garderoby chłopca. Miał tak mało bielizny, iż często zmuszony był dawać ją do prania poza domem; Eliza pomagała mu w tych kłopotach. Ubóstwo to, którego się nie domyślała, wzruszyło panią de Rênal; byłaby chętnie wyekwipowała chłopca, ale nie śmiała: ta wewnętrzna rozterka była pierwszym przykrym uczuciem związanym z osobą Juliana. Dotąd imię Juliana spływało się dla niej z uczuciem czystej, na wskroś uduchowionej radości. Dręczona myślą o ubóstwie Juliana pani de Rênal poddała mężowi myśl, aby mu sprawić bieliznę.

— Cóż za niepraktyczność — odparł. — Jak to! Dawać podarki człowiekowi, z którego jesteśmy zupełnie zadowoleni i który dobrze spełnia obowiązki? A, gdyby się zaniedbywał, wówczas trzeba by podsycić jego zapał.

Takie poglądy urażały delikatność pani de Rênal; przed przybyciem Juliana nie zwróciłaby na to uwagi. Widząc nadzwyczajną — bardzo prostą zresztą — schludność młodego kleryka, myślała w duchu: biedny chłopiec, jak on sobie radzi?

Niebawem wszystkie braki Juliana miast[24] ją razić budziły w niej współczucie.

Pani de Rênal należała do gatunku tych mieszkanek prowincji, które w pierwszych tygodniach znajomości mogą uchodzić za głupie. Nie znała zupełnie życia i nie siliła się rozprawiać. Miała duszę delikatną i dumną, oraz zmysł szczęścia wrodzony wszystkim istotom; co sprawiało, że po największej części nie zwracała uwagi na postępki gruboskórców, wśród których los ją pomieścił.

[24] *miast* — tu: zamiast.

Przy jakim takim wykształceniu żywość i naturalność jej umysłu wyszłyby niechybnie na jaw; ale jako posażną pannę wychowano ją u zakonnic żywiących namiętny kult *Serca Jezusowego* i przejętych nienawiścią dla społeczeństwa wrogiego jezuitom. Pani de Rênal miała tyle zdrowego rozsądku, aby zapomnieć niebawem wszystkich absurdów, jakich się nauczyła w klasztorze; ale nie wstawiła nic na to miejsce i w końcu nie umiała nic. Przedwczesne pochlebstwa, którymi ją otaczano jako bogatą dziedziczkę oraz wybitna skłonność do dewocji stworzyły w niej nawyk do życia w sobie. Przy pozorach doskonałej uległości, wyrzeczenia się swej woli (które mężowie w Verrières stawiali za przykład żonom, ku wielkiej pysze pana de Rênal), zachowanie jej było w istocie wynikiem dumy. Niejedna księżniczka głośna ze swej pychy nieskończenie więcej zwraca uwagi na to, co robi jej dwór, niż ta kobieta tak łagodna, tak skromna na pozór zważała na wszystko, co robił lub mówił jej mąż. Do przybycia Juliana zajmowały ją naprawdę tylko dzieci. Ich choroby, ich drobne strapienia i radości zaprzątały całą wrażliwość tej duszy, która w życiu swoim uwielbiała jedynie Boga, wówczas gdy była w *Sacré-Coeur*.

Nie zwierzając się z tym nikomu, każdy napad gorączki któregoś z synów odczuwała tak, jakby dziecko już umarło. Kiedy w pierwszych latach, wiedziona potrzebą zwierzeń chciała się podzielić tym z mężem, odpowiedzią był zawsze rubaszny śmiech, wzruszenie ramion i jakaś trywialna uwaga o niedorzeczności kobiet. Tego rodzaju żarciki, zwłaszcza gdy chodziło o chorobę dzieci, przeszywały sztyletem serce pani de Rênal. Oto co znalazła w miejsce obleśnych pochlebstw jezuickiego klasztoru, w którym spędziła młodość. Wychowaniem jej stało się cierpienie. Zbyt dumna, aby mówić o tego rodzaju zgryzotach nawet swojej przyjaciółce, pani Derville, wyobraziła sobie, że wszyscy mężczyźni są tacy jak jej mąż, jak Valenod i podprefekt Charcot de Maugiron. Gruboskórność oraz najbrutalniejsza nieczułość na wszystko, co nie jest kwestią pieniądza, awansu lub orderu; ślepa nienawiść do wszelkiej myśli będącej im nie na rękę, wydawały się jej przyrodzoną właściwością tej płci, podobnie jak filcowy kapelusz i buty.

Po wielu latach pani de Rênal nie przyzwyczaiła się jeszcze do tych groszorobów, wśród których przyszło jej żyć.

Stąd przyjaźń jej do młodego wieśniaka, do Juliana. W sympatii tej szlacheckiej i hardej duszy znajdowała słodycze pełne nowości. Wybaczała mu jego rażącą nieświadomość, która stanowiła jeden wdzięk więcej, oraz nieokrzesanie, z którego zdołała go poprawić. Słuchała go z uwagą nawet wówczas, gdy chodziło o najpospolitsze rzeczy, nawet o biednego psa przejechanego przez wóz chłopski. Obraz ten wywołał gruby śmiech męża, gdy piękne, czarne i sklepione brwi Juliana zmarszczyły się. Z wolna zdało się jej, że szlachetność, wzniosłość, ludzkość, są tylko w nim jednym. Czuła dlań całą sympatię, a nawet podziw, jaki te cnoty budzą w duszach z czystego kruszcu.

Miasto, Wieś, Miłość, Flirt, Książka

W Paryżu stosunek Juliana i pani de Rênal uprościłby się niebawem; ale w Paryżu miłość jest córą romansów. Młody preceptor i jego nieśmiała chlebodawczyni znaleźliby wyjaśnienie swego położenia w pierwszej lepszej powieści, piosence nawet. Powieść wyznaczyłaby im role, wskazała wzór do naśladowania i wcześniej lub później, mimo że bez przyjemności, może z niechęcią, próżność skłoniłaby Juliana do pójścia za tym wzorem.

W okolicy Aveyron lub Pirenejów, w ognistym klimacie najmniejszy przypadek spowodowałby przełom. Pod naszym chłodniejszym niebem młody człowiek może widywać co dzień trzydziestoletnią kobietę szczerze cnotliwą, zajętą dziećmi i nieczerpiącą zgoła wzoru w romansach. Na prowincji wszystko idzie wolno, wszystko spełnia się pomału, życie płynie naturalniej.

Często, myśląc o ubóstwie młodego preceptora, pani de Rênal rozczulała się do łez. Jednego dnia Julian zastał ją płaczącą na dobre.

— Co pani? Stało się jakie nieszczęście?

— Nie, panie Julianie — odparła. — Niech pan zawoła dzieci; chodźmy się przejść.

Ujęła jego ramię i oparła się o nie w sposób, który wydał się Julianowi szczególny. Pierwszy raz nazwała go *panem Julianem*.

Pod koniec przechadzki Julian zauważył, że pani de Rênal rumieni się często. Zwolniła kroku.

— Słyszał pan zapewne — rzekła, nie patrząc nań — że jestem spadkobierczynią bardzo bogatej ciotki w Besançon. Obsypuje mnie podarkami... Chłopcy nasi robią postępy... tak zadziwiające, że chciałabym prosić, aby pan przyjął mały upominek, jako znak

mej wdzięczności. Ot, po prostu kilka ludwików... aby pan mógł sobie sprawić bieliznę. Ale... — dodała, rumieniąc się jeszcze bardziej i zamilkła.

— Co takiego, pani? — spytał Julian.

— Nie ma potrzeby — ciągnęła, spuszczając głowę — mówić o tym mężowi.

— Jestem ubogi, pani, ale nie jestem podły — odparł Julian, zatrzymując się z oczyma błyszczącymi od gniewu i prostując się. — Nad tym się pani nie zastanowiła. Byłbym czymś poniżej lokaja, gdybym był zmuszony ukrywać przed panem de Rênal cokolwiek, co tyczy *moich pieniędzy*.

Pani de Rênal zmartwiała.

— Pan mer — ciągnął Julian — wręczył mi pięć razy po trzydzieści sześć franków od czasu, jak jestem w tym domu; gotów jestem pokazać swoje rachunki panu de Rênal i każdemu, nawet panu Valenod, który mnie nienawidzi.

Po tym wybuchu pani de Rênal szła obok Juliana blada i drżąca; do końca przechadzki żadne nie znalazło pretekstu do nawiązania rozmowy. W dumnym sercu Juliana miłość do pani de Rênal stawała się coraz większym niepodobieństwem: ona zaś szanowała go, podziwiała: skrzyczał ją! Pod pozorem mimowolnej przykrości, jaką mu sprawiła, otoczyła go najserdeczniejszą tkliwością. Ta nowa faza stała się na cały tydzień źródłem szczęścia dla pani de Rênal. Julian udobruchał się; w głowie mu nie postało, że na dnie tego mógł tkwić odcień żywszego uczucia.

„Oto bogacze — mówił sobie — upokarzają, a potem zdaje się im, że wszystko naprawią trochą mizdrzenia".

Serce pani de Rênal było zbyt wezbrane, a jeszcze zbyt niewinne, aby mimo postanowień mogła zataić przed mężem propozycję, jaką uczyniła Julianowi i sposób, w jaki ją odrzucił.

— Jak to! — rzekł de Rênal oburzony. — I ty mogłaś ścierpieć odmowę ze strony służącego?

Gdy zaś pani de Rênal okrzyknęła się na to, dodał:

— Mówię, moja droga, jak nieboszczyk książę de Condé, przedstawiając młodej małżonce szambelanów: „*wszyscy ci ludzie*, rzekł, *to nasi służący*". Czytałem ci z pamiętników Besenvala ten ustęp, bardzo godny uwagi w przedmiocie etykiety. Każdy nieszlachcic, który jest w twoim domu i otrzymuje zapłatę, jest twoim służącym. Powiem parę słów temu panu Julianowi i dam mu sto franków.

— Och! Mężu — rzekła pani de Rênal drżąca — ale chociaż nie przy służbie.

— Tak, mogliby być zazdrośni i słusznie — rzekł mąż, oddalając się i ważąc w myślach wysokość sumy.

Pani de Rênal padła na krzesło wpół omdlała z bólu. Ten człowiek upokorzy Juliana i to z jej winy! Uczuła wstręt do męża, zasłoniła sobie twarz. Przyrzekła sobie nie zwierzać się nigdy z niczym.

Ujrzawszy Juliana, drżała jeszcze; w piersiach czuła taki ucisk, że nie mogła wyrzec słowa. W zakłopotaniu ujęła go za ręce i ściskała je.

— I cóż, panie Julianie — rzekła wreszcie — czy pan rad z mego męża?

— Jakżebym nie był rad? — odparł z gorzkim uśmiechem — dał mi sto franków.

Popatrzyła nań niepewnie.

— Niech mi pan poda ramię — rzekła wreszcie z akcentem determinacji, jakiej Julian nigdy u niej nie widział.

Odważyła się iść do miejscowej księgarni, mimo że księgarz zażywał reputacji okropnego liberała. Wybrała za dziesięć ludwików książek i dała je chłopcom; ale były to książki, o których wiedziała, że Julian ich pragnie. Kazała zaraz w sklepie każdemu z synów podpisać książki, które mu przypadły. Podczas gdy pani de Rênal poiła się zadośćuczynieniem, na które się zdobyła wobec Juliana, ten zdumiewał się ogromną ilością książek w księgarni. Nigdy nie ośmielił się wejść do tak wyklętego miejsca; serce mu biło. Nie domyślając się tego, co się działo w sercu pani de Rênal, dumał głęboko nad sposobem, w jaki on, biedny student, mógłby zdobyć niektóre z tych książek. Wreszcie wpadł na pomysł, iż przy pewnej zręczności, można by podsunąć panu de Rênal jako temat wypracowań dla synów życiorysy wybitnych ludzi z okolicznej szlachty. Po miesiącu Julian dopiął celu; w jakiś czas później ośmielił się podać panu merowi krok jeszcze cięższy dla tego *dobrze*

myślącego człowieka: chodziło mianowicie o zbogacenie[25] liberała przez wzięcie abonamentu w księgarni. Pan de Rênal uznawał, że byłoby racjonalne dać starszemu synowi bliższe pojęcie o wielu dziełach, o których będzie słyszał, gdy się znajdzie w szkole wojskowej; mimo to nie chciał się posunąć dalej. Julian czuł jakąś tajemną przyczynę, ale nie mógł jej odgadnąć.

— Zastanowiłem się, proszę pana — rzekł raz — że byłoby bardzo niewłaściwe, aby dobre szlacheckie nazwisko jak pańskie miało figurować w plugawych rejestrach księgarni. — (Czoło pana de Rênal rozjaśniło się). — Byłoby również złym świadectwem — ciągnął Julian pokorniej — dla biednego studenta teologii, gdyby ktoś odkrył jego nazwisko na liście wypożyczalni. Liberałowie mogliby mnie obwinić o czytanie najbezecniejszych książek, kto wie nawet, może wypisaliby tytuł tych ohydnych dzieł obok mego nazwiska.

Ale Julian wszedł na fałszywy trop. Fizjonomia mera przybrała wyraz zakłopotania i niechęci.

„Mam go" — rzekł sobie.

W kilka dni potem, skoro najstarszy chłopiec zagadnął w obecności pana de Rênal o książkę oznajmioną w „*Quotidienne*", młody preceptor rzekł:

— Aby uchylić wszelki pozór triumfu jakobinów, a mimo to dać możność objaśnienia pana Adolfa, można by wziąć abonament na imię kogoś ze służby.

— Niezła myśl! — rzekł pan de Rênal, widocznie uradowany.

— Ale trzeba by zastrzec — rzekł Julian owym poważnym i stroskanym niemal tonem, który umieją przybrać niektórzy ludzie, kiedy widzą, iż sprawy przybierają z dawna upragniony obrót — trzeba zastrzec, że służący nie będzie miał prawa brać romansów. Wcisnąwszy się do domu, te niebezpieczne książki mogłyby zepsuć garderobianą pani, a nawet lokajów.

— Zapomina pan o pamfletach politycznych — dodał pan de Rênal wyniośle. Chciał ukryć podziw, jaki w nim obudził mądry półśrodek preceptora.

Życie. Juliana składało się tedy z drobnych spraw, a powodzenie ich zaprzątało go o wiele więcej niż wyraźna sympatia, którą byłby mógł z łatwością wyczytać w sercu pani de Rênal.

W domu mera znów Julian wszedł w rolę, w jakiej tkwił przez całe życie. I tu, jak w ojcowskim tartaku, głęboko pogardzał ludźmi, z którymi się stykał, oni zaś płacili mu nienawiścią. Słuchając rozmów podprefekta, pana Valenod i innych o rzeczach, na które patrzał razem z nimi, czuł, jak ich pojęcia odległe są od rzeczywistości. Niechby mu się jakiś postępek wydał wspaniały, u nich z pewnością spotkał się z naganą. Raz po raz wykrzykiwał w duchu: „Cóż za potwory!" albo „co za głupcy!". Zabawne jest, że przy całej tej wyniosłości, często nie rozumiał tego, co mówiono.

W życiu swoim rozmawiał szczerze jedynie ze starym chirurgiem; to trochę, co wiedział, odnosiło się do włoskich kampanii Bonapartego albo do chirurgii. Jego młodzieńcza odwaga lubowała się w szczegółowym opowiadaniu o najboleśniejszych operacjach.

„Ja bym ani drgnął!" — powiadał sobie.

Pierwszy raz, kiedy pani de Rênal próbowała nawiązać z nim rozmowę poza tematem wychowania, zaczął mówić o operacjach: zbladła i prosiła, aby przestał.

Poza tym nie wiedział nic. Toteż ilekroć znalazł się sam z panem de Rênal, zapadało osobliwe milczenie. W salonie mimo jego skromności pani de Rênal widziała w oczach Juliana błysk wyższości intelektualnej wobec innych gości. Skoro zostali sami, czuła, że jest zakłopotany. Niepokoiło ją to; instynktem kobiecym odgadywała, że to zakłopotanie nie ma bynajmniej podkładu tkliwości.

Wedle pojęć przejętych od starego chirurga o wykwintnym towarzystwie — takim, jak się przedstawiało staremu wiarusowi — Julian czuł się upokorzony, ilekroć zapanowało milczenie w obecności damy, tak jakby ono wyłącznie było jego winą. Wrażenie to było jeszcze sto razy dotkliwsze sam na sam. Wyobraźnia jego, napełniona przesadnie romantycznymi pojęciami o tym, co powinien rzec mężczyzna, kiedy się znajdzie sam z kobietą, podsuwała mu niemożliwe pomysły. Dusza jego bujała w obłokach, mimo to nie umiał się wyrwać z upokarzającego milczenia. Okrutne męki, jakie przechodził w czasie długich przechadzek z panią de Rênal i z dziećmi, pogłębiały surowość wyrazu jego

[25] *zbogacenie* — dziś: wzbogacenie.

twarzy. Gardził sobą straszliwie; jeżeli zaś nieszczęściem zmusił się do mówienia, plótł brednie. Na domiar nieszczęścia widział i przesadzał jeszcze swą niedorzeczność; ale czego nie widział, to wyrazu swoich oczu: były tak piękne i zwiastowały tak płomienną duszę, iż, podobne dobrym aktorom, dawały niekiedy urocze znaczenie czemuś, co go wcale nie miało. Pani de Rênal zauważyła, że będąc z nią sam, jedynie wtedy zdołał powiedzieć coś do rzeczy, kiedy zaskoczony czymś nieprzewidzianym, nie silił się na wyskoki dworności. Ponieważ przyjaciele domu nie przekarmiali jej nowymi i świetnymi myślami, syciła się z rozkoszą błyskami umysłu Juliana.

Od upadku Napoleona wszelki cień płochości wygnany jest z życia prowincji. Każdy lęka się stracić posadę. Hultaje szukają oparcia w kongregacji; obłuda rozwinęła się nawet wśród liberałów. Nuda wzrasta. Jedyne przyjemności, jakie zostały, to czytanie i gospodarstwo.

Pani de Rênal, bogata dziedziczka nabożnej ciotki, wyszedłszy w szesnastym roku za przyzwoitego szlachcica, w całym życiu nie doświadczyła ani nie widziała nic, co by było choć trochę podobne do miłości. Jedynie zacny ksiądz Chélan mówił jej o miłości z okazji zalotów pana Valenod i nakreślił tak ohydny obraz, iż słowo to wcielało dla pani de Rênal najwstrętniejszą rozpustę. Miłość taką, jaką znalazła w paru powieściach, które przypadkiem wpadły jej w ręce, uważała za wyjątek lub za fakt zgoła nienaturalny. Dzięki tej nieświadomości pani de Rênal, zupełnie szczęśliwa, zajęta Julianem bez przerwy nie czuła najlżejszych wyrzutów.

VIII. DROBNE WYPADKI

Then there were sighs, the deeper for suppression,
And stolen glances, sweeter for the theft,
And buning blashes, though for no transgression.

Don Juan, *I, 74.*

Anielską słodycz pani de Rênal płynącą z charakteru i z jej obecnego szczęścia mąciła jedynie myśl o pokojówce Elizie. Dziewczyna ta odziedziczyła mały spadek, poszła się wyspowiadać do księdza Chélan i zwierzyła mu się z zamiarami na Juliana. Proboszcz ucieszył się szczerze szczęściem młodego przyjaciela; toteż zdumiał się bardzo, kiedy Julian oznajmił stanowczo, że propozycja panny Elizy zgoła mu nie odpowiada.

— Rozpatrz się, dziecko, w sercu — rzekł proboszcz, marszcząc brwi. — Winszuję ci twego powołania, jeśli to tylko ono skłania cię do wzgardzenia losem aż nadto wystarczającym. Z górą pięćdziesiąt lat jestem proboszczem w Verrières; i tak wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, usuną mnie. Martwi mnie to, a wszakże mam osiemset funtów renty! Mówię ci to, iżbyś sobie nie robił złudzeń co do widoków w zawodzie kapłańskim. Jeśli zechcesz zabiegać o łaskę tych, którzy dzierżą władzę, zguba twoja wieczna jest pewna. Możesz zrobić los, ale trzeba by krzywdzić nędzarzy, schlebiać podprefektowi, merowi, ludziom wpływowym, iść na rękę ich namiętnościom. Postępowanie to, zwane powszechnie *umiejętnością życia*, może dla człowieka świeckiego nie być absolutnie sprzeczne z drogą zbawienia; ale w naszym stanie trzeba wybierać; chodzi o triumf na tym świecie albo na tamtym: nie ma środka. Idź, drogie dziecko, zastanów się i wróć za trzy dni dać mi odpowiedź. Ze smutkiem widzę w tobie jakąś posępną żarliwość niezwiastującą umiarkowania ani doskonałego wyrzeczenia się ziemskich korzyści, które jest potrzebne u księdza. Mam wysokie pojęcie o twoich zdolnościach, ale pozwól sobie powiedzieć — dodał zacny proboszcz ze łzami — że w stanie kapłańskim drżę o twoje zbawienie.

Julian wstydził się swego wzruszenia; pierwszy raz w życiu czuł, że go ktoś kocha; płakał z rozkoszą i poszedł ukryć łzy w lasach nad Verrières.

„Czego ja się tak wzruszam — rzekł wreszcie — czuję, że dałbym życie za tego poczciwinę Chélan, który mi dowiódł, że jestem tylko głupcem. Jego przede wszystkim powinien bym oszukać, a on mnie przejrzał. Ów tajemny żar, o którym mówi, to moje postanowienie wybicia się. Uważa mnie za niegodnego kapłaństwa, gdy ja sobie wyobrażałem, że wyrzeczenie się tysiąca franków renty da mu najwyższe wyobrażenie o mej pobożności i moim powołaniu.

Na przyszłość — ciągnął Julian — będę polegał na sobie tylko o tyle, o ile się wypróbuję. Kto by powiedział, że znajdę przyjemność w wylewaniu łez? Że będę kochał tego, kto mi udowodni, że jestem dudkiem!"

W trzy dni potem Julian znalazł pozór, do którego powinien się był uciec od razu; pozór ten był potwarzą, ale cóż to znaczy? Po wielu omawianiach wyznał księdzu, że przyczyna, której nie może odsłonić, ponieważ zaszkodziłaby osobie trzeciej, oddala go od tego małżeństwa. Znaczyło to rzucić cień na Elizę. Ksiądz Chélan ujrzał w tym postępowaniu pobudki zgoła świeckie, bardzo różne od tych, które powinny by ożywiać młodego lewitę.

— Mój chłopcze — rzekł jeszcze raz — bądź raczej zacnym, uczciwym i światłym rolnikiem, niżbyś miał być księdzem bez powołania.

Julian odpowiedział na to bardzo wymownie, gdy chodzi o słowa: znalazł wyrazy, jakich by użył młody i gorliwy seminarzysta; ale jego ton, zaledwie powściągany ogień tryskający z jego oczu zaniepokoiły księdza Chélan.

Nie trzeba nadto źle wróżyć o przyszłości Juliana: posługiwał się wzorowo językiem przemyślnej obłudy. Jak na jego wiek było to nieźle. Co się tyczy tonu i gestów, trzeba mieć na uwadze, że wyrósł on wśród chłopów, nie mając przed oczami pierwszorzędnych wzorów. W dalszym życiu, skoro tylko mu było dane zbliżyć się do elity, cudownie opanował tak gesty, jak słowa.

Pani de Rênal dziwiła się, że Eliza tak mało jest ucieszona spadkiem; dziewczyna wciąż wymykała się do proboszcza i wracała ze łzami w oczach: wreszcie zwierzyła się pani ze swych małżeńskich planów.

Pani de Rênal miała uczucie, że jest chora; trawiła ją jakby gorączka, bezsenność, żyła jedynie wówczas, gdy widziała w pobliżu pokojówkę albo Juliana. Nie była zdolna myśleć o niczym innym jak tylko o nich, o ich przyszłym szczęściu. To skromne gospodarstwo, na którym na wszystko miało starczyć pięćdziesiąt ludwików renty, przedstawiało się jej w czarujących barwach. Julian mógłby wszak zostać adwokatem w Bray, powiatowym mieście o dwie mile od Verriéres: wówczas widywałaby go niekiedy.

Pani de Rênal szczerze myślała, że zwariuje; powiedziała to mężowi i w końcu rozchorowała się. Tegoż samego dnia, gdy Eliza kręciła się po pokoju, zauważyła, że dziewczyna popłakuje. W tej epoce nie znosiła Elizy i właśnie połajała ją za coś; przeprosiła ją. Eliza rozpłakała się na dobre: prosiła pani, aby jej pozwoliła zwierzyć się ze swym nieszczęściem.

— Mów — rzekła pani de Rênal.

— Otóż, proszę pani, nie chce mnie, niegodziwcy nagadali mu coś o mnie i on wierzy.

— Kto cię nie chce? — spytała pani de Rênal, ledwie mogąc oddychać.

— A któż by, proszę pani? Pan Julian — odparła dziewczyna, szlochając. — Ksiądz proboszcz nie mógł go przekonać; ksiądz proboszcz uważa, że nie powinien odtrącać uczciwej dziewczyny dlatego tylko, że była pokojówką. Toć ostatecznie ojciec pana Juliana jest drwalem, a on sam jak zarabiał na życie, nim się dostał do jaśnie państwa?

Pani de Rênal nie słuchała już; nadmiar szczęścia niemal pozbawił ją rozumu. Kazała sobie kilka razy powtórzyć, że Julian odmówił w sposób stanowczy, wykluczający nadzieję, aby się dał zwrócić na rozsądniejszą drogę.

— Spróbuję ostatniego sposobu — rzekła — pomówię z nim.

Nazajutrz po śniadaniu, pani de Rênal sprawiła sobie tę nieopisaną rozkosz, aby przemawiać za swą rywalką i patrzeć, jak przez godzinę Julian niewzruszenie odtrąca rękę i majątek Elizy.

Stopniowo Julian przestał ważyć słowa i z żywością odpowiadał na przedłożenia pani de Rênal. Nie mogła się oprzeć strumieniowi szczęścia, który zalewał jej duszę po tylu dniach rozpaczy. Zrobiło się jej słabo. Kiedy przyszła do siebie i spoczęła wygodnie w swoim pokoju, oddaliła wszystkich. Była zdumiona.

— Czyżbym kochała Juliana? — rzekła w duchu.

Odkrycie to, które w innej chwili stałoby się źródłem wyrzutów i głębokiego wstrząsu, było dla niej czymś dziwnym, ale obojętnym. Dusza jej, wyczerpana ostatnimi przejściami, jak gdyby stępiała, straciła wrażliwość.

Pani de Rênal chciała się czymś zająć, ale zapadła w głęboki sen; kiedy się obudziła, czuła się mniej strwożona, niżby należało. Była nadto szczęśliwa, aby się czymś troskać. Ta poczciwa parafianka, naiwna i niewinna, nie umiała się dręczyć po to, aby z siebie wycisnąć

jakiś nowy odcień uczucia lub cierpienia. Zupełnie pochłonięta przed przybyciem Juliana ogromem zatrudnień, który na prowincji zaprząta gospodynię i matkę rodziny, pani de Rênal myślała o namiętnościach jak my o loterii: pewne oszukaństwo, szczęście, za którym upędzają się szaleńcy.

Rozległ się dzwon na obiad. Pani de Rênal zaczerwieniła się, usłyszawszy głos Juliana rozmawiającego z dziećmi. Od czasu, jak kochała, stała się zręczniejsza; aby usprawiedliwić rumieniec, użaliła się na straszny ból głowy.

— Oto kobiety! — wykrzyknął pan de Rênal z rubasznym śmiechem. — Zawsze coś tam jest do naprawy w tej maszynerii.

Mimo że przywykła do tego rodzaju dowcipów, ton męża uraził panią de Rênal. Dla zatarcia wrażenia spojrzała na Juliana; gdyby był najszpetniejszy w świecie, w tej chwili podobałby się jej.

Pilnie naśladując obyczaje Dworu, z początkiem wiosny pan de Rênal przeniósł się do Vergy: była to owa wioska wsławiona tragiczną przygodą Gabrieli. O kilkaset kroków od malowniczych ruin gotyckiego kościoła pan de Rênal posiadał stary zamek z czterema wieżami i ogród na wzór tuilleryjskiego z alejami kasztanowymi strzyżonymi dwa razy do roku. Sąsiednie pole zasadzone jabłoniami służyło za miejsce przechadzki. Na końcu sadu rosło z dziesięć wspaniałych orzechów; pyszne ich gałęzie wznosiły się może na osiemdziesiąt stóp.

— Każdy z tych przeklętych orzechów — mawiał pan de Rênal, kiedy żona zachwycała się nimi — kosztuje mnie pół morgi zbiorów: zboże nie rodzi się w ich cieniu.

Widok wsi uderzył panią de Rênal jak gdyby był dla niej czymś nowym; nie posiadała się z uniesienia. Uczucie, jakie ją ożywiało, tchnęło w nią inteligencję i energię. Kiedy w dwa dni po przybyciu do Vergy sprawy urzędowe powołały pana de Rênal do miasta, sama najęła na swój koszt robotników. Julian poddał myśl wykopania ścieżki, która, wysypana piaskiem, wiłaby się po sadzie i wśród kasztanów tak, aby dzieci mogły uganiać od rana, nie rosząc bucików. Myśl tę wprowadzono w czyn w niespełna dwadzieścia cztery godziny. Pani de Rênal spędziła wesoło z Julianem cały dzień, doglądając roboty.

Wróciwszy z miasta, pan mer zdziwił się mocno, widząc aleję. Również panią de Rênal zdziwiło przybycie męża: zapomniała o jego istnieniu. Dwa miesiące odzywał się cierpko o śmiałości, z jaką bez naradzenia się z nim podjęto *wkład* tak doniosły: pocieszało go trochę to, że pani de Rênal dokonała go swoim kosztem.

Całe dni spędzała z dziećmi w sadzie, uganiając za motylami. Sporządzono siatki z białej gazy, w które chwytano te biedne *lepidoptery*. To barbarzyńskie miano usłyszała pani de Rênal z ust Juliana; sprowadziła z Besançon piękne dzieło Godarda i Julian opowiadał jej o szczególnych obyczajach tych zwierzątek.

Przyszpilano je bez litości w tekturowym pudle, też sporządzonym przez Juliana.

Wreszcie był między panią de Rênal a Julianem temat do rozmowy; nie przechodził już straszliwych mąk, o jakie przyprawiały go chwile milczenia.

Rozmawiali bez ustanku z zainteresowaniem, mimo że o rzeczach bardzo niewinnych. To czynne, zatrudnione i wesołe życie przypadło do smaku wszystkim z wyjątkiem Elizy, która utyskiwała na nadmiar roboty. Nigdy, nawet w karnawale, mówiła, w epoce balów w Verrières pani nie dbała tak o strój; zmieniała suknie po dwa i trzy razy dziennie.

Ponieważ nie mamy zamiaru schlebiać nikomu, nie będziemy taić, że pani de Rênal, która miała pyszne ciało, kazała sobie suknie skroić w ten sposób, iż gors i ramiona były mocno odsłonięte: z czym było jej nadzwyczaj ładnie.

„Nigdy pani *nie była tak młoda*" — powiadali przyjaciele domu, gdy zjawili się na obiad w Vergy. (Próbka miejscowego stylu).

Rzecz osobliwa i trudna wręcz do wiary, to iż pani de Rênal rozwijała te starania bez wyraźnej intencji. Znajdowała w tym przyjemność; nie zastanawiając się bliżej, o ile nie uganiała za motylami z dziećmi i z Julianem, trawiła czas z Elizą na sporządzaniu toalet. Jedyną wyprawę do Verrières spowodowały nowe suknie letnie, które nadeszły z Milhuzy.

Przywiozła do Vergy młodą kobietę, swoją kuzynkę. Od zamążpójścia pani de Rênal żyła w przyjaźni z panią Derville, koleżanką z *Sacré-Coeur*.

Pani Derville serdecznie się bawiła tym, co nazywała *szaleństwami* kuzynki. „Mnie by to nigdy do głowy nie przyszło" — mówiła. Sama z mężem pani de Rênal wstydziła się tych wyskoków; obecność pani Derville dodawała jej odwagi. Zwierzała się jej zrazu

nieśmiało; stopniowo ożywiała się i długi poranek mijał jak chwilka wśród wesołości obu przyjaciółek. Tym razem rozsądna pani Derville znalazła kuzynkę o wiele mniej wesołą, a o wiele szczęśliwszą.

Julian od czasu pobytu na wsi żył jak dziecko; uganiał za motylami równie szczęśliwy jak jego uczniowie. Po takim nakładzie przymusu i obłudy, sam, z dala od ludzkich oczu, instynktownie czując się swobodny wobec pani de Rênal, wśród najpiękniejszych gór w świecie oddawał się tak naturalnej w tym wieku rozkoszy istnienia.

Skoro przybyła pani Derville, Julian miał uczucie, że to jest jego przyjaciółka; skwapliwie pokazywał jej widok ze szczytu nowej alei; widok, jeżeli nie ładniejszy, to równy wszystkiemu, co Szwajcaria i włoskie jeziora mają najpiękniejszego. Wdrapawszy się na zbocze zaczynające się o parę kroków wyżej, dochodzi się niebawem do urwisk porosłych dębiną, ciągnących się prawie do rzeki. Na te okrzesane wierzchołki, Julian szczęśliwy, wolny, a nawet coś więcej — król domu, zaprowadził obie przyjaciółki i cieszył się ich zachwytem.

— To dla mnie niby muzyka Mozarta — powiadała pani Derville.

Zawiść braci, bliskość ojca despoty i gbura zbrzydziły Julianowi okolice Verrières. W Vergy nie czyhały nań te gorzkie wspomnienia; pierwszy raz w życiu nie czuł w pobliżu wroga. Kiedy pan de Rênal był w mieście, co mu się często zdarzało, Julian ośmielał się czytać. Zamiast czytać w nocy i to kryjąc lampę pod doniczką, mógł się wysypiać: za to w dzień, po lekcji chronił się w te skały z książką, jedyną busolą swego postępowania i przedmiotem zachwytu. Znajdował w niej zawsze szczęście, upojenie i pociechę w chwilach zniechęcenia.

Niektóre zdania Napoleona o kobietach, uwagi o romansach modnych za jego czasu, obudziły w Julianie myśli, które każdy z jego rówieśników miałby zapewne od dawna.

Przyszły upały. Wieczory spędzano pod lipą o kilka kroków od domu. Panowała tam głęboka ciemność. Jednego wieczora Julian rozprawiał żywo; upajał się przyjemnością własnej wymowy, i to wobec młodych kobiet. Gestykulując, dotknął ręki pani de Rênal wspartej o poręcz ogrodowego krzesła.

Ręka cofnęła się szybko; Julian zaś pomyślał, że *obowiązkiem* jego jest uzyskać, aby pani de Rênal nie cofała tej ręki, gdy jej dotknie. Myśl o tym nałożonym sobie obowiązku, o śmieszności lub raczej o poniżeniu, jeśli tego nie dokona, zniweczyła natychmiast w jego sercu wszelką rozkosz.

IX. WIECZÓR NA WSI

Strombeck

Nazajutrz Julian spoglądał na panią de Rênal dziwnym wzrokiem; obserwował ją jak nieprzyjaciela przed bitwą. Spojrzenia te, tak różne od wczorajszych, zmieszały panią de Rênal: była dlań dobra, a on zdawał się zagniewany! Nie mogła oderwać ócz od jego oczu.

Obecność pani Derville pozwalała Julianowi mniej mówić, a więcej oddawać się myślom. Przez cały dzień silił się umocnić czytaniem natchnionej książki, w której hartował duszę.

Skrócił znacznie lekcje; następnie pod wpływem obecności pani de Rênal podniecającej jego ambicję postanowił, że tego wieczora ręka jej bezwarunkowo musi pozostać w jego ręce.

Skoro z zachodem słońca zbliżył się stanowczy moment, serce Juliana zaczęło bić gwałtownie. Zapadła noc; zauważył, że będzie bardzo ciemna: olbrzymi ciężar spadł mu z piersi. Niebo pokryte chmurami, które przeganiał bardzo ciepły wiatr, zwiastowało burzę. Przyjaciółki przechadzały się do późna. Zachowanie ich zdawało się Julianowi bardzo dziwne: rozkoszowały się tą aurą, która dla delikatnych dusz pomnaża niejako rozkosz kochania.

Usiadły wreszcie; pani de Rênal obok Juliana, pani Derville koło przyjaciółki. Julian pochłonięty swym zamiarem milczał, rozmowa nie kleiła się.

„Czy będę równie drżący i nieszczęśliwy przy pierwszym pojedynku?" — myślał; zbyt podejrzliwy był wobec siebie i drugich, aby nie widzieć stanu swojej duszy.

Odczuwał tak nieznośny lęk, że wolałby raczej wszelkie inne niebezpieczeństwo. Ileż razy pragnął, aby panią de Rênal odwołała jakaś sprawa! Gwałt, jaki sobie zadawał, odbił się w zmienionym głosie Juliana. Niebawem głos pani de Rênal zaczął drżeć również, ale Julian nie zauważył tego: straszliwa walka *obowiązku* z nieśmiałością pochłaniała go całkowicie. Trzy kwadranse na dziesiątą wybiły na zamkowym zegarze, a on jeszcze nic nie zdziałał. Oburzony własnym tchórzostwem, rzekł sobie:

„Z uderzeniem dziesiątej spełnię, com postanowił, albo też pójdę do siebie i strzelę sobie w łeb".

Jeszcze moment oczekiwania i lęku, w ciągu którego Julian był prawie nieprzytomny ze wzruszenia, i dziesiąta wybiła na zegarze nad jego głową. Każde uderzenie nieszczęsnego młota rozlegało mu się w piersi: czuł je niemal fizycznie.

Wreszcie, gdy ostatni dźwięk drżał jeszcze w powietrzu, wyciągnął rękę i ujął dłoń pani de Rênal, która cofnęła się szybko. Julian, nie bardzo wiedząc, co czyni, chwycił ją na nowo. Mimo że sam był bardzo wzruszony, uderzył go lodowaty chłód ręki, którą ściskał konwulsyjnie. Ręka uczyniła jeszcze ostatni wysiłek, aby się wydrzeć, ale w końcu została w jego dłoni.

Fala szczęścia zalała duszę Juliana; nie iżby kochał panią de Rênal, ale okropna męczarnia ustała. Sądził, że trzeba coś mówić dla odwrócenia uwagi pani Derville: głos jego brzmiał donośnie i silnie. Głos pani de Rênal przeciwnie zdradzał takie wzruszenie, że przyjaciółka zlękła się, iż jest niezdrowa i zaproponowała powrót. Julian uczuł niebezpieczeństwo:

„Jeśli pani de Rênal wróci do salonu, popadnę znów w katusze, w jakich spędziłem cały dzień. Zbyt krótko trzymałem tę rękę, abym mógł to uważać za zdobyty przywilej".

W chwili, gdy pani Derville ponawiała propozycję, Julian ścisnął silnie rękę zwisającą w jego dłoni. Pani de Rênal, która już wstawała, siadła z powrotem, mówiąc omdlewającym głosem:

— Czuję się w istocie nieco cierpiąca, ale świeże powietrze orzeźwi mnie.

Słowa te potwierdziły szczęście Juliana, które w tej chwili odczuwał w całej pełni. Zaczął mówić, zapomniał o udawaniu, oczarował obie przyjaciółki. Ale było jeszcze nieco tchórzostwa w tym potoku wymowy. Obawiał się śmiertelnie, aby pani Derville, spłoszona wiatrem, który się zerwał przed burzą, nie zechciała sama wrócić. Zostałby wówczas sam na sam z panią de Rênal. Zdobył się prawie przypadkiem na ślepą odwagę; ale czuł, że nie byłby zdolny wyrzec słowa do pani de Rênal. Wymówka z jej strony, choćby najlżejsza, znalazłaby go bezbronnym; owoc zwycięstwa byłby stracony.

Szczęściem, tego wieczora jego gorąca wymowa znalazła łaskę w oczach pani Derville, której zazwyczaj wydawał się dziecinnie niezręczny i nudny. Pani de Rênal z dłonią w dłoni Juliana nie myślała o niczym: żyła! Godziny spędzone pod lipą zasadzoną, wedle podania, przez Karola Śmiałego, były dla niej epoką szczęścia. Słuchała z rozkoszą szumu wiatru w gęstwinie oraz szelestu kropel spadających na liście. Julian nie zauważył okoliczności, która byłaby mu znacznie dodała ducha; pani de Rênal, która cofnęła rękę, aby pomóc kuzynce podnieść obaloną wiatrem doniczkę, siadłszy z powrotem, oddała mu na nowo dłoń prawie bez trudności, jak gdyby to już była rzecz umówiona.

Północ wybiła od dawna; trzeba było wreszcie opuścić ogród. Pani de Rênal, upojona rozkoszą kochania, w naiwności swojej nie czyniła sobie prawie wyrzutów. Szczęście odjęło jej sen. Julian natomiast, śmiertelnie znużony przebytą walką, spał jak zabity.

Nazajutrz zbudzono go o piątej: i — rzecz, która zabolałaby okrutnie panią de Rênal, gdyby to wiedziała — zaledwie pomyślał o niej. Spełnił *swój obowiązek; i to obowiązek heroiczny*. Przejęty szczęściem tego uczucia, zamknął się na klucz i utonął z nową przyjemnością w lekturze swego bohatera.

Skoro rozległ się dzwonek na śniadanie, Julian, zatopiony w biuletynach Wielkiej Armii, zapomniał wszystkich triumfów dnia poprzedniego. Schodząc do salonu, szepnął sobie:

„Trzeba powiedzieć tej kobiecie, że ją kocham".

Miast przepojonych rozkoszą wspomnień, których się spodziewał, ujrzał surową fizjonomię pana de Rênal, który, przybywszy od dwóch godzin z Verrières, nie ukrywał

swego niezadowolenia, iż Julian cały ranek nie zatroszczył się o dzieci. Nic szpetniejszego jak ten człowiek przejęty swą ważnością, czujący się w prawie dać uczuć swój niehumor.

Każde cierpkie słowo przeszywało serce pani de Rênal. Julian był tak oszołomiony, tak jeszcze pełen wielkich czynów, które przez kilka godzin przesuwały się przed jego oczami, iż w pierwszej chwili ledwie raczył zauważyć wymówki pana de Rênal. W końcu odparł dość ostro:

— Byłem niezdrów.

Ton odpowiedzi byłby uraził człowieka nawet o wiele mniej drażliwego niż pan de Rênal. W pierwszej chwili chciał go wypędzić bez zwłoki; powściągnęła go tylko zasada, iż nie należy się nigdy śpieszyć w interesach.

„Ten smarkacz — pomyślał sobie — zyskał dzięki memu domowi pewną reputację: pójdzie do Valenoda albo ożeni się z Elizą i tak czy tak będzie sobie drwił ze mnie".

Mimo tej przezornej refleksji, pan de Rênal dał upust niezadowoleniu w szorstkich słowach, które w końcu rozdrażniły Juliana. Pani de Rênal omal się nie rozpłakała. Zaraz po śniadaniu poprosiła Juliana, aby jej podał ramię i przeszedł się z nią trochę; wspierała się na nim przyjacielsko. Na wszystko, co mówiła, Julian zdołał tylko szepnąć:

— *Oto bogacze!*

Pan de Rênal szedł tuż za nimi; obecność jego wzmagała gniew Juliana. Uczuł nagle, iż pani de Rênal wspiera się znacząco na jego ramieniu; zdjęty nagłym wstrętem, odepchnął ją gwałtownie i wyrwał ramię.

Szczęściem pan de Rênal nie widział tego nowego zuchwalstwa; zauważyła je tylko pani Derville; przyjaciółka jej zalała się łzami. W tej chwili pan de Rênal zaczął pędzić precz kamieniami małą wieśniaczkę, która szła niedozwoloną drogą, skracając przez sad.

— Panie Julianie, przez litość — szepnęła pani Derville — niech się pan uspokoi, pomyśl pan, wszyscy miewamy swoje humory.

Julian zmierzył ją zimno oczami, w których malowała się najwyższa wzgarda.

Spojrzenie to zdumiało panią Derville, a byłoby ją zdziwiło o wiele bardziej, gdyby odgadła jego istotną treść; wyczytałaby w nim mętną nadzieję najokrutniejszej zemsty. Bez wątpienia takie upokorzenia tworzyły Robespierrów.

— Twój Julian jest bardzo gwałtowny, przeraża mnie — szepnęła do przyjaciółki.

— Ma prawo do urazy — odparła. — Przy tak zadziwiających postępach, jakie chłopcy robią, cóż znaczy, że przez jeden ranek nie zajmował się nimi. Trzeba przyznać, że mężczyźni są bardzo bezwzględni.

Pierwszy raz w życiu pani de Rênal uczuła jakby chęć zemsty na mężu. Bezgraniczna nienawiść do bogaczy, jaka kipiała w Julianie, miała wybuchnąć. Szczęściem pan de Rênal przywołał ogrodnika i zaczął z nim grodzić cierniem niedozwoloną ścieżkę. Julian nie odpowiadał ani słowa na uprzejmość pań. Ledwie pan de Rênal się oddalił, przyjaciółki utrzymując, że są zmęczone, poprosiły go obie o ramię.

Między tymi dwiema kobietami, spłonionymi z zakłopotania, twarz Juliana, pokryta wyniosłą bladością, posępna i stanowcza tworzyła osobliwy kontrast. Czuł wzgardę dla tych kobiet i dla wszystkich tkliwych uczuć.

„Ha! — myślał — ani pięciuset franków renty dla dokończenia studiów! Och! Jakżebym plunął na nich!"

Pochłonięty tymi ponurymi myślami ledwie raczył słuchać obu pań; każde słowo raziło go jako niedorzeczne, głupie, mdłe, słowem *kobiece*.

Papląc byle co dla podtrzymania rozmowy, pani de Rênal wspomniała, że mąż przybył z Verrières, ponieważ zamówił u jednego z dzierżawców kukurydzianą słomę. (W tych stronach używa się kukurydzianej słomy do wypychania sienników).

— Mąż nie wróci — dodała — zajęty jest z ogrodnikiem i służącym zmienianiem słomy w siennikach w całym domu. Rano załatwili się z pierwszym piętrem, teraz poszli na drugie.

Julian zbladł, spojrzał znacząco na panią de Rênal i przyśpieszając kroku odciągnął ją na stronę. Pani Derville puściła ich przodem.

— Ratuj mnie pani — wykrzyknął — pani jedna to może; wie pani, że lokaj nienawidzi mnie śmiertelnie. Muszę się przyznać: w sienniku w moim łóżku schowany jest portret.

Na te słowa pani de Rênal znowuż pobladła.

— Pani jedna może w tej chwili wejść do mego pokoju; niech pani sięgnie tak, aby nikt nie widział, do siennika, w rogu blisko okna; znajdzie tam pani czarne puzderko.

— W nim portret... — rzekła pani de Rênal, ledwie mogąc utrzymać się na nogach.

Julian spostrzegł jej wzruszenie i skorzystał z niego w lot.

— Mam panią prosić o drugą łaskę: błagam, aby pani nie oglądała portretu, to moja tajemnica.

— Tajemnica! — powtórzyła pani de Rênal gasnącym głosem.

Ale mimo iż wzrosła między ludźmi dumnymi z majątku i wrażliwymi jedynie na pieniądz, dusza jej wyszlachetniała już przez miłość. Okrutnie zraniona, pani de Rênal zdobyła się wszelako na akcent szczerego poświęcenia, zadając Julianowi parę niezbędnych pytań.

— Zatem — rzekła, odchodząc — okrągłe pudełko z czarnego kartonu?

— Tak, pani — odparł Julian z owym twardym wejrzeniem, jakie przybierają mężczyźni w chwilach niebezpieczeństwa.

Weszła na drugie piętro, blada, jak gdyby szła na śmierć. Na domiar nieszczęścia czuła, iż bliska jest omdlenia; ale chęć ratowania Juliana dodała jej siły.

— Muszę mieć to pudełko — rzekła, przyśpieszając kroku.

Usłyszała, jak mąż mówił coś do służącego: byli w pokoju Juliana; szczęściem przeszli do pokoju dzieci. Podniosła materac i zanurzyła rękę w sienniku tak gwałtownie, że sobie podrapała palce. Ale mimo że bardzo wrażliwa na ból, nie czuła zgoła nic, gdyż w tej chwili zmacała pudełko. Chwyciła je i wyszła.

Ledwie znalazła się poza niebezpieczeństwem, zrobiło się jej słabo.

Julian zakochany! To portret kobiety, którą kocha!

Osunąwszy się na krzesło, pani de Rênal przechodziła wszystkie męki zazdrości. Znowuż naiwność przyszła jej z pomocą: zdumienie paraliżowało ból. Julian wszedł, chwycił pudełko, nie dziękując, bez słowa; pobiegł do swego pokoju, rozniecił ogień i spalił je w jednej chwili. Był blady, bez tchu; przesadzał rozmiar minionego niebezpieczeństwa.

„Portret Napoleona — mówił, potrząsając głową — u człowieka, który popisuje się taką nienawiścią do *uzurpatora*! Gdyby go dostał w ręce pan de Rênal, taki klerykał i taki wściekły na mnie! W dodatku z odwrotnej strony kilka wierszy kreślonych moją ręką, niezostawiających żadnej wątpliwości co do bezmiaru mego uwielbienia! i każdy z tych wybuchów miłości nosi datę! Ostatni z przedwczoraj.

Cała moja reputacja obalona, obrócona w niwecz w jednej chwili! — powtarzał Julian, patrząc na płonące pudełko — a moja reputacja to całe moje mienie, żyję tylko nią... a i to jeszcze co za życie, wielki Boże!"

W godzinę później znużenie i litość dla samego siebie nastroiły go tkliwie. Spotkał panią de Rênal, ujął jej rękę i ucałował szczerzej niż kiedykolwiek. Zarumieniła się ze szczęścia i prawie w tej samej chwili odepchnęła Juliana w paroksyzmie gniewu i zazdrości. Duma Juliana, tak świeżo zraniona, sprawiła, że postąpił jak głupiec. Widział w pani de Rênal jedynie bogaczkę; puścił jej rękę ze wzgardą i oddalił się. Zadumany przechadzał się po ogrodzie; niebawem gorzki uśmiech wykwitł na jego wargach.

„Przechadzam się tutaj spokojnie jak człowiek rozrządzający swoim czasem! Nie zajmuję się dziećmi! Narażam się na słuszne zniewagi pana de Rênal".

Poszedł do chłopców. Pieszczoty najmłodszego, którego bardzo lubił, ukoiły nieco piekący ból.

„Ten nie pogardza mną jeszcze" — myślał Julian. Ale niebawem zaczął sobie wyrzucać to roztkliwienie, nowy objaw słabości. „Te dzieci pieszczą mnie tak, jakby pieściły młodego psa, którego mają od wczoraj".

X. WIELKIE SERCE I MAŁA DOLA

But passion most dissembles, yet betrays
Even by its darkness; as the blackest sky
Foretells the heaviest tempest.

Don Juan, *I, 75*.

Pan de Rênal, obszedłszy wszystkie pokoje, wrócił do sypialni dzieci ze służbą, która odnosiła sienniki. Widok jego był dla Juliana kroplą wody, która przelała naczynie.

Ponury, bledszy niż zwyczajnie rzucił się ku niemu. Pan de Rênal zatrzymał się, spojrzał na służących.

— Panie — rzekł Julian — czy pan przypuszcza, że z każdym nauczycielem dzieci zrobiłyby takie postępy? A jeżeli nie — ciągnął, nie pozwalając panu de Rênal dojść do słowa — jak pan śmie wyrzucać mi, że je zaniedbuję?

Pan de Rênal, ochłonąwszy z przestrachu, wywnioskował z tonu młodego korepetytora, że ma w kieszeni korzystniejszą propozycję i że go opuści. Gniew Juliana wzrastał.

— Dam sobie radę bez pana — dodał.

— Doprawdy, bardzo mi przykro, że pan się tak przejmuje — odparł pan de Rênal, zająkując się nieco. (Służący słali łóżko tuż koło nich).

— To mi nie wystarcza, proszę pana — ciągnął Julian niemal bezprzytomny. — Proszę sobie przypomnieć, w jaki ohydny sposób odzywał się pan do mnie i to wobec kobiet!

Pan de Rênal rozumiał aż nadto dobrze, czego żąda Julian, i ciężka walka toczyła się w jego duszy. Przypadkowo Julian w istocie, oszalały z gniewu, wykrzyknął:

— Wiem, dokąd się udać, skoro opuszczę pański dom.

Na te słowa pan de Rênal ujrzał go już u pana Valenod.

— Zatem, proszę pana — rzekł w końcu z westchnieniem i z miną taką, jakby wzywał chirurga dla bolesnej operacji — godzę się. Od pojutrza, to znaczy od najbliższego miesiąca, daję panu pięćdziesiąt franków miesięcznie.

Julian miał ochotę się śmiać, stanął osłupiały: cały gniew znikł.

„Nie dość gardziłem bydlęciem — rzekł sobie. — Oto zapewne szczyt zadośćuczynienia, na jakie może się zdobyć dusza tak podła".

Dzieci, które słuchały tej sceny z szeroko otwartymi ustami, pobiegły do ogrodu powiedzieć matce, że pan Julian bardzo się gniewał, ale że będzie miał pięćdziesiąt franków miesięcznie.

Julian z przyzwyczajenia udał się za nimi, nie spojrzawszy nawet na pana de Rênal, którego zostawił w stanie silnego podrażnienia.

„Hm — mówił sobie mer — ten Valenod kosztuje mnie sto sześćdziesiąt osiem franków. Muszę mu powiedzieć parę ciepłych słów w sprawie jego dostaw do podrzutków".

W chwilę potem Julian stanął znów przed panem de Rênal.

— Potrzebuję w sprawach mego sumienia widzieć się z księdzem Chélan; mam zaszczyt uprzedzić, że przez kilka godzin będę nieobecny.

— Ależ, drogi panie Julianie — rzekł mer, śmiejąc się nieszczerze — cały dzień, jeśli pan chce, i cały jutrzejszy. Niech pan weźmie konia od ogrodnika.

„Aha — pomyślał — idzie dać odpowiedź panu Valenod; nic mi nie przyrzekł, ale trzeba dać ochłonąć tej gorącej głowie".

Julian wymknął się szybko i zapuścił się w lasy, którymi można się dostać z Vergy do Verrières. Nie chciał zbyt rychło przybyć do księdza Chélan; niepilno mu było do nowej sceny obłudy. Potrzebował rozpatrzyć się jasno w swej duszy, dać głos przeróżnym uczuciom, jakie nim miotały.

„Wygrałem bitwę — rzekł, znalazłszy się w lesie z dala od spojrzeń ludzkich — wygrałem bitwę!"

Słowo to odmalowało mu jego położenie w pięknych kolorach i uspokoiło go nieco.

„Mam tedy pięćdziesiąt franków miesięcznie. Musi pan de Rênal mieć tęgiego stracha. Ale przed czym?"

Dociekanie, co mogło przestraszyć szczęśliwego i potężnego człowieka, na którego przed godziną jeszcze wrzał cały gniewem, do reszty rozpogodziło Juliana. Przez chwilę czuł się niemal upojony czarem cudnego lasu. Olbrzymie złomy skał zwalały się tu niegdyś z gór. Wielkie buki wznosiły się prawie tak wysoko jak skały, których cień dawał rozkoszny chłód na parę kroków od miejsc palonych nieznośnym żarem.

Julian wytchnął chwilę, po czym zaczął piąć się na nowo. Niebawem idąc wąską, ledwie widzialną ścieżką wydeptaną przez pasterzy, znalazł się na szczycie turni z poczuciem przestrzeni dzielącej go od świata. Uśmiechnął się: stanowisko to było symbolem pozycji, jaką tak żarliwie pragnął osiągnąć. Czyste, górskie powietrze wlało pogodę, nawet radość

w jego duszę. Burmistrz był wprawdzie ciągle w jego oczach wcieleniem bogaczy i gnębicieli, ale Julian czuł, że nienawiść jego nie ma mimo swej gwałtowności nic osobistego. Gdyby stracił z oczu pana de Rênal, w ciągu tygodnia zapomniałby o nim, o jego zamku, psach, dzieciach i całej rodzinie.

„Zmusiłem go, sam nie wiem jak, do najcięższej ofiary. Jak to! Więcej niż pięćdziesiąt dukatów rocznie? Chwilę przedtem ocaliłem się z największego niebezpieczeństwa. Oto dwa zwycięstwa w ciągu dnia; drugie nie jest moją zasługą, trzeba by odgadnąć jego sprężyny. Ale do jutra z mędrkowaniem".

Stojąc na wysokiej skale, Julian spoglądał w niebo gorejące sierpniowym słońcem. W polu poniżej śpiewały koniki polne; skoro milkły, wszystko dokoła stawało się ciszą. Widział u swoich stóp okolicę na dwadzieścia mil wokoło. Spomiędzy skał wzbił się nad jego głową jastrząb i zakreślał w milczeniu olbrzymie koła. Oko Juliana goniło machinalnie drapieżnego ptaka. Uderzały go jego spokojne i potężne ruchy; zazdrościł tej siły, zazdrościł tej samotności.

To był los Napoleona; czy będzie kiedy jego losem?

XI. WIECZÓR

Yet Julia's very coldnes still was kind.
And tremulously gentle her small hand
Withdrew itself from his, but left behind
A little pressure, thrilling, and so bland
And slight, so very slight that to the mind
'Twas but a doubt.

Don Juan, *I, 71.*

Ale trzeba pokazać się w Verrières. Szczęśliwym trafem, wychodząc z plebanii, Julian spotkał pana Valenod, któremu opowiedział skwapliwie o podwyżce pensji.

Wróciwszy do Vergy, Julian zszedł do ogrodu aż z zapadnięciem nocy. Dusza jego była zmęczona wzruszeniami tego dnia. „Co ja im powiem?" — pytał z niepokojem, myśląc o paniach. Nie zdawał sobie sprawy, że właśnie dusza jego znajduje się na poziomie drobnych okoliczności, którymi zazwyczaj interesują się kobiety. Często Julian był zagadką dla pani Derville, a nawet dla jej przyjaciółki, i nawzajem on sam na wpół tylko rozumiał to, co one doń mówiły. Przyczyną tego była siła i, jeśli wolno się tak wyrazić, rozpięcie namiętności, jakie poruszały duszę ambitnego chłopca. W tym dziwnym sercu prawie co dzień szalała burza.

Wchodząc tego wieczoru do ogrodu, Julian skłonny był dostroić się do tonu ładnych kuzynek. Czekały go niecierpliwie. Usiadł na zwykłym miejscu, obok pani de Rênal. Niebawem zapadła głęboka ciemność. Chciał ująć białą rękę, którą od dawna widział blisko siebie, opartą o poręcz. Ręka zawahała się chwilę, wreszcie cofnęła się z gestem niezadowolenia. Julian gotów był pogodzić się z losem i dalej wieść wesołą rozmowę, kiedy usłyszał kroki pana de Rênal.

Chłopak miał jeszcze w uszach obelżywe słowa usłyszane rano. „Czyżby to nie był — rzekł sobie — wspaniały sposób zadrwienia z tego człowieka, tak obsypanego darami fortuny, trzymać za rękę jego żonę właśnie w jego obecności? Tak, ja to uczynię, ja, z którym obszedł się tak wzgardliwie".

Spokój Juliana, tak obcy jego charakterowi pierzchnął, całą duszę jego wypełniło zaprawne lękiem pragnienie, aby pani de Rênal zechciała mu dać swą rękę.

Pan de Rênal, silnie poirytowany, zaczął mówić o polityce: chodziło o paru przemysłowców, którzy wyrósłszy mu ponad głowę majątkiem, próbowali pokrzyżować wybory. Pani de Derville słuchała. Julian, podrażniony tymi wywodami, przysunął krzesło do pani de Rênal. Ruchy jego ginęły w ciemności. Odważył się oprzeć rękę tuż przy ładnym ramieniu, które wychylało się obnażone z sukni. Zamęt jakiś ogarnął jego myśli, nie wiedział, co robi; zbliżył policzek do tego pięknego ramienia, ośmielił się położyć na nim wargi.

Pani de Rênal zadrżała. Mąż był o cztery kroki; czym prędzej dała rękę Julianowi, odpychając go równocześnie nieco. Gdy pan de Rênal miotał dalej zniewagi na bogacących się chłystków i jakobinów, Julian okrywał dłoń jego żony namiętnymi pocałunkami: takimi wydawały się przynajmniej pani de Rênal. A jednak tegoż nieszczęsnego dnia biedna kobieta miała dowód, że człowiek, którego ubóstwiała, nie przyznając się do tego przed sobą, kocha inną! Przez cały czas nieobecności Juliana była pastwą straszliwej boleści, która pobudziła ją do zastanowienia.

„Jak to! Czyżbym kochała? — mówiła sobie. — Miałażby to być miłość? Ja, kobieta zamężna, byłabym kochana? Ależ — mówiła sobie — nigdy mąż nie budził we mnie tego dzikiego szału, który sprawia, że nie mogę oderwać myśli od Juliana. W gruncie rzeczy to dziecko pełne szacunku dla mnie! To szaleństwo minie. Cóż obchodzą mego męża uczucia moje dla tego chłopca? Jego znudziłyby rozmowy, jakie prowadzę z Julianem o rzeczach duchowych, on myśli tylko o interesach. Nie krzywdzę go w niczym dla Juliana".

Ani cień obłudy nie mącił tej czystej, naiwnej duszy, zbłąkanej nieznaną dotąd namiętnością. Błądziła, ale bezwiednie: cnota jej wszelako wzdrygała się instynktownie. Takie walki toczyły się w pani de Rênal, kiedy Julian zjawił się w ogrodzie. Usłyszała jego głos; równocześnie prawie chłopiec usiadł przy niej. Duszą jej owładnęło owo błogie szczęście, które od dwóch tygodni bardziej jeszcze zdumiewało ją, niż pociągało. Wszystko było dla niej niespodzianką. Po chwili jednak rzekła sobie: „Wystarczy tedy obecność Juliana, aby zmazać wszystkie jego winy?" — Przelękła się: wówczas cofnęła rękę.

Namiętne pocałunki, jakich nie znała dotąd, zatarły w jej pamięci myśl, że on może kocha inną kobietę. Niebawem przestał być winnym w jej oczach. Dotkliwy ból zrodzony podejrzeniem znikł wobec szczęścia, o jakim pani de Rênal nawet nie marzyła: ogarnął ją szał miłości i wesela. Wieczór ten był uroczy dla wszystkich z wyjątkiem dla pana mera, który nie mógł strawić zbogaconych[26] przemysłowców. Julian zapomniał o swej posępnej ambicji, o projektach tak trudnych do wykonania. Pierwszy raz w życiu uległ czarowi piękności. Zatopiony w mglistym i słodkim marzeniu, tak obcym jego naturze, przyciskając łagodnie tę śliczną rękę, słuchał z roztargnieniem szumu liści poruszanych lekkim wiatrem oraz dalekiego szczekania psów.

Ale wzruszenie to było rozkoszą, nie miłością. Idąc do swego pokoju, myślał tylko o jednym szczęściu, mianowicie aby wrócić do swej ulubionej książki; w dwudziestym roku myśl o świecie i o czekającej w nim roli przeważa wszystko.

Niebawem jednak odłożył książkę. W miarę jak wgłębiał się w zwycięstwa Napoleona, ujrzał coś nowego w swoim własnym. „Tak, wygrałem bitwę — rzekł — trzeba zmiażdżyć pychę tego szlachetki, gdy się cofa. To najczystsza metoda napoleońska. Muszę go poprosić o trzy dni urlopu dla odwiedzenia mego przyjaciela. Jeśli odmówi, dam mu jeszcze raz wóz albo przewóz; ale on ustąpi!"

Pani de Rênal nie mogła zmrużyć oka. Zdawało się jej, że nie żyła do tej chwili. Nie mogła się oderwać od rozkosznej myśli o pocałunkach, jakimi Julian okrywał jej rękę.

Naraz błysło jej okropne słowo: cudzołóstwo. Wszystko, czym najohydniejsza rozpusta może pokalać pojęcie fizycznej miłości, nasunęło się jej wyobraźni. Myśli te siliły się zaćmić tkliwy i boski obraz Juliana oraz szczęście kochania go. Przyszłość jawiła się jej w straszliwych barwach. Czuła się nędznicą.

Był to straszny moment; dusza jej wchodziła w nieznane kraje. W wilię zakosztowała nieznanego wprzód szczęścia; obecnie zanurzyła się w okrutnej męczarni. Nie miała najmniejszego pojęcia o takich cierpieniach; odchodziła od zmysłów.

Przez chwilę przyszło jej do głowy wyznać mężowi, że się boi pokochać Juliana. W ten sposób mówiłaby choć o nim! Szczęściem przypomniała sobie przestrogę ciotki w dzień ślubu: aby się nigdy nie zwierzać mężowi, który ostatecznie jest *panem*. W bezmiarze boleści pani de Rênal łamała ręce.

Szarpały ją okrutne i sprzeczne obrazy. To lękała się, że Julian jej nie kocha, to dręczyło ją straszliwe poczucie zbrodni, jak gdyby nazajutrz miała się znaleźć pod pręgierzem, na placu, z napisem objaśniającym pospólstwo o cudzołóstwie, którego się dopuściła.

Pani de Rênal nie miała pojęcia o życiu; nawet na jawie i w pełni rozumu nie dostrzegłaby różnicy między winą w obliczu Boga a piętnem powszechnej wzgardy.

---

[26] *zbogacony* — dziś: wzbogacony.

Kiedy ochłonęła nieco z myśli o wiarołomstwie i o hańbie, jaką w jej pojęciu zbrodnia ta wlecze za sobą, kiedy zatonęła w marzeniach o słodyczy niewinnego życia obok Juliana jak wprzódy, naraz ogarniała ją straszliwa myśl, że Julian kocha inną. Widziała jeszcze jego bladość na myśl, że postrada *jej* portret lub też narazi ją, wydając go obcym spojrzeniom. Pierwszy to raz ujrzała lęk na tej spokojnej i szlachetnej twarzy. Nieznośny ból doszedł do nasilenia, w którym duszy ludzkiej nie podobna go udźwignąć. Bezwiednie pani de Rênal wydała krzyk, który obudził pokojową. Naraz ujrzała koło łóżka błysk światła i poznała Elizę.

— Ciebie kocha? — wykrzyknęła nieprzytomna.

Pokojówka zdumiona stanem swej pani nie zwróciła na szczęście uwagi na to szczególne pytanie. Pani de Rênal zrozumiała swą nierozwagę.

— Mam gorączkę — rzekła — zdaje się trochę maligny; zostań przy mnie.

Rozbudzona i zmuszona panować nad sobą uczuła się mniej nieszczęśliwa: rozsądek odzyskał władzę postradaną w tym półsennym stanie. Aby się uwolnić od wzroku pokojówki, kazała jej czytać gazetę. Przy dźwięku jednostajnego głosu dziewczyny czytającej długi artykuł z *Quotidienne* pani de Rênal powzięła cnotliwe postanowienie, aby skoro ujrzy Juliana, zachować najzupełniejszą obojętność.

XII. PODRÓŻ

W Paryżu znajdują się ludzie eleganccy, na prowincji mogą się znaleźć ludzie z charakterem.

Sièyes.

Nazajutrz o piątej rano, nim pani de Rênal pojawiła się, Julian uzyskał u mera trzydniowy urlop. Wbrew swemu oczekiwaniu Julian pragnął ją widzieć, myślał o jej pięknej ręce. Zeszedł do ogrodu, gdzie pani de Rênal dała długo na siebie czekać. Ale gdyby Julian kochał, byłby ją ujrzał za uchyloną żaluzją na piętrze, z czołem przylepionym do szyby. Patrzała nań. Wreszcie mimo postanowień zeszła do ogrodu. Zwykła jej bladość ustąpiła miejsca żywym kolorom. Ta kobieta tak pełna prostoty wyraźnie była wzburzona: uczucie przymusu, a nawet gniewu mąciło wyraz pogody jak gdyby unoszącej się ponad pospolitymi interesami życia i dającej tyle uroku tej niebiańskiej twarzy.

Julian zbliżył się żywo; podziwiał piękne ramiona widniejące spod narzuconego naprędce szala. Chłód poranku podnosił jeszcze blask cery, którą przejścia tej nocy czyniły tym czulszą na wszelkie wrażenia. Ta skromna i wzruszająca piękność, pełna myśli, których nie spotyka się w gminie, ujawniła niejako Julianowi nieznaną dotąd stronę własnej jego duszy. Pochłonięty wdziękami i pożerając je chciwym okiem, nie myślał zgoła o życzliwym przyjęciu, którego był pewny. Tym bardziej uderzył go lodowaty chłód, jaki pani de Rênal siliła się okazać; zdawało mu się nawet, że dostrzega intencję osadzenia go w miejscu.

Luby uśmiech zamarł mu na ustach; przypomniał sobie stanowisko swoje w społeczeństwie, zwłaszcza w oczach bogatej szlachcianki. W tej chwili twarz jego odbijała jedynie dumę i złość na siebie. Wściekły był, że opóźnił podróż po to, aby doznać upokarzającego przyjęcia.

„Tylko głupiec — powiedział sobie — wpada w gniew na innych; kamień spada, bo jest ciężki. Czy zawsze będę dzieckiem? Kiedyż wreszcie nauczę się dawać ze swej duszy ludziom tylko tyle, ile się im należy za ich pieniądze? Jeśli chcę, aby mnie szanowali i abym ja szanował sam siebie, trzeba im pokazać, że to ubóstwo moje paktuje z ich bogactwem, ale że serce moje jest o tysiąc mil od ich buty i przebywa w sferze zbyt wysokiej, aby je mogły dosięgnąć drobne oznaki wzgardy lub łaski".

Gdy te uczucia cisnęły się tłumnie w duszy młodego preceptora, żywa jego fizjonomia przybrała wyraz obolałej dumy i okrucieństwa. Pani de Rênal zmieszała się. Cnotliwy chłód, jaki chciała nadać powitaniu, ustąpił miejsca wyrazowi życzliwości i zdumienia z powodu nagłej przemiany, na którą patrzyła. Banalne słowa, jakie się wymienia co rano na temat zdrowia, pogody, zastygły obojgu na ustach. Julian, którego myśli nie mąciło uczucie, umiał zaznaczyć wobec pani de Rênal, że swój stosunek do niej uważa za bardzo daleki; nie wspomniał nic o zamierzonej podróży, skłonił się i odszedł.

Gdy spoglądała za nim zmiażdżona posępną dumą, którą czytała w tym tak ujmującym wczoraj spojrzeniu, najstarszy chłopiec, nadbiegając z ogrodu, rzekł, ściskając matkę:

— Mamy wolne, pan Julian jedzie.

Na te słowa pani de Rênal uczuła śmiertelny chłód; cierpiała okrutnie w swym poczuciu moralnym, bardziej jeszcze w poczuciu swej słabości.

Nowe to wydarzenie zaprzątnęło całą jej wyobraźnię; zapomniała o postanowieniach powziętych tej straszliwej nocy. Nie chodziło już o to, aby się opierać temu lubemu chłopcu, ale aby go nie stracić na zawsze!

Nadeszło śniadanie. Na domiar męki pan de Rênal i pani Derville mówili cały czas o wyjeździe Juliana. Mer zauważył coś niezwykłego w tonie preceptora, gdy prosił o urlop.

— Ten chłopak ma z pewnością w kieszeni czyjąś propozycję. Ale temu komuś, choćby to był Valenod, zrzednie mina, skoro usłyszy, że trzeba wyłożyć 600 franków rocznie. Wczoraj w Verrières zażądano od niego trzechdniowej zwłoki dla namysłu; dziś rano, aby nie być zmuszony odpowiedzieć mi, panicz puszcza się w góry. Liczyć się z lada bezczelnym chłystkiem, wyrobnikiem! Oto do czegośmy doszli.

„Skoro mąż, który nie wie, jak głęboko zranił Juliana, przypuszcza, że on nas opuści, cóż ja dopiero mam myśleć? — rzekła w duchu pani de Rênal. — Och! Wszystko przepadło".

Aby móc przynajmniej płakać w spokoju i nie odpowiadać na pytania pani Derville, udała ból głowy i poszła się położyć.

— Och, te kobiety — powtórzył pan de Rênal — zawsze jest coś nie w porządku w tej skomplikowanej maszynerii. — I odszedł, dowcipkując.

Gdy pani de Rênal przechodziła burzę straszliwej namiętności, w jaką zawikłał ją przypadek, Julian wędrował ochoczo wśród najpiękniejszych górskich widoków. Trzeba mu było przebyć łańcuch gór na północ od Vergy. Ścieżka, wznosząc się pomału w bukowym lesie, tworzy liczne skręty na zboczu góry zamykającej od północy dolinę. Niebawem spojrzenia wędrowca, biegnąc nad pagórki określające bieg rzeki od południa, utonęły w żyznych równinach Burgundii i Beaujolais. Mimo iż dusza ambitnego młodzieńca niezbyt była tkliwa na te wrażenia, nie mógł się wstrzymać, aby nie przystanąć od czasu do czasu, ogarniając okiem wspaniały krajobraz.

Wreszcie dosięgnął szczytu wysokiej góry, w koło której trzeba było się przewinąć, aby dotrzeć do samotnej doliny, gdzie mieszkał jego przyjaciel, młody handlarz drzewa. Julianowi nie było śpieszno ujrzeć go, jak w ogóle żadnej ludzkiej istoty. Ukryty niby drapieżny ptak wśród nagich skał wieńczących górę, mógł z dala dojrzeć każdego, kto by się przybliżył. Odkrył w prostopadłej niemal skale małą grotę; puścił się ku niej, niebawem znalazł się w tym schronieniu. „Tutaj — rzekł z błyszczącymi radością oczami — ludzie nie zdołają mi uczynić nic złego". Skusiła go rozkosz spisania swoich myśli; wszędzie gdzie indziej rzecz tak niebezpieczna! Graniasty kamień posłużył mu za pulpit. Pióro jego pomykało, nie widział nic dokoła siebie. W końcu spostrzegł, iż słońce kryje się za górami, het, daleko za Beaujolais.

— Czemu nie miałbym spędzić tutaj nocy? — rzekł — mam chleb i *jestem wolny*! — Na dźwięk tego wielkiego słowa dusza jego wezbrała radością; obłuda jego sprawiała, że nie był wolny nawet u Fouquégo. Z głową wspartą na rękach Julian trwał w tej grocie szczęśliwszy niż kiedykolwiek, kołysany marzeniami i pijaństwem wolności. Nie myśląc o tym, patrzył, jak gasną kolejno płomienie zachodzącego słońca. W tej olbrzymiej ciemności dusza jego tonęła w obrazach tego wszystkiego, co sobie wyobrażał, że kiedyś ujrzy w Paryżu. Przede wszystkim — kobieta, o wiele piękniejsza, świetniejsza niż wszystkie, które mógł spotkać na prowincji. Kochał ją namiętnie, posiadał jej wzajemność. Jeśli się rozłączał z nią na chwilę, to jedynie po to, aby się okryć chwałą i zasłużyć na więcej miłości.

Każdy inny młodzieniec, nawet z wyobraźnią Juliana, lecz wychowany pośród smutnych prawd paryskiego życia, obudziłby się w tym punkcie romansu pod ukłuciem zimnej ironii. Zniknęłyby wielkie czyny i nadzieje, aby ustąpić miejsca znanej maksymie: „Kto rozstaje się z kochanką, naraża się niestety na to, że go zdradzi parę razy dziennie". Młody kmiotek nie widział nic, co by go dzieliło od najbardziej heroicznych czynów; nic, prócz braku sposobności.

Ale zapadła już głęboka noc, a do sioła, w którym mieszkał Fouqué były jeszcze dwie mile. Nim opuścił grotę, Julian rozniecił ogień i spalił troskliwie wszystko, co napisał.

Zdumiał mocno przyjaciela, pukając do jego drzwi o pierwszej z rana. Fouqué siedział przy rachunkach. Był to wysoki młody człowiek, dość niezręczny, o grubych, twardych rysach i nieskończenie długim nosie. Pod tym odpychającym pozorem fizjonomia jego kryła wiele dobroduszności.

— Pokłóciłeś się z merem, że spadasz tak niespodziewanie?

Julian opowiedział wczorajsze wypadki, przekształcając je odpowiednio.

— Zostań ze mną — rzekł Fouqué — widzę, że znasz de Rênal, pana Valenod, podprefekta, proboszcza; przeniknąłeś charakter i słabostki tych ludzi, mógłbyś stawać przy licytacjach. Rachujesz lepiej ode mnie, będziesz mi prowadził książki: zarabiam grubo. Nie podobna załatwić wszystkiego samemu, biorąc zaś wspólnika, lękam się, bym nie trafił na hultaja; dlatego co dzień muszę odrzucać doskonałe interesy. Ot, miesiąc temu dałem zarobić sześć tysięcy franków Michaudowi z Saint-Amand, którego nie widziałem od pięciu lat; spotkałem go przypadkiem na licytacji w Pontarlier. Czemu ty byś nie miał zarobić sześciu albo choć trzech tysięcy? Gdybym miał ciebie tego dnia, licytowałbym wyżej i utrzymałbym się przy kupnie. Zostań mym wspólnikiem.

Propozycja ta zepsuła humor Julianowi i krzyżowała jego szaleństwo. Podczas wieczerzy, którą przyrządzili sami niby bohaterowie Homera — Fouqué sam prowadził gospodarstwo — druh pokazywał Julianowi rachunki i dowodził, jak bardzo handel drzewem jest rentowny. Fouqué miał wysokie pojęcie o inteligencji i o charakterze Juliana.

Skoro wreszcie chłopiec znalazł się w samotnej izdebce, pomyślał: „Prawda, mogę tu zarobić kilka tysięcy, następnie zaś oblec w lepszych warunkach mundur lub sutannę, wedle tego, jaka moda będzie wówczas we Francji. Trochę uzbieranego grosza usunie drobne trudności. Żyjąc samotnie w tych górach, okrzeszę się trochę z nieświadomości tylu rzeczy stanowiących treść salonów. Ale Fouqué nie ma zamiaru się żenić; powtarza, że samotność mu cięży. Jasne jest, że jeśli bierze wspólnika bez kapitału, to w nadziei zyskania towarzysza, który go nie opuści".

— Mamże oszukiwać przyjaciela? — zawołał wzburzony. Ten chłopak, w którym obłuda i bezwzględność stanowiły zwyczajną drogę do celu, nie mógł w tym wypadku znieść myśli o najmniejszej nielojalności wobec człowieka, który go kochał.

Naraz ogarnęła go radość: miał powód, aby odmówić.

— Jak to! Miałbym zmarnować nędzne kilka lat! Dobić tak do dwudziestego ósmego roku! Ależ w tym wieku Napoleon dokonał już największych czynów! Kiedy uciułam parę groszy, targując wyręby i zabiegając się o względy hultajów, któż mi ręczy, czy będę miał jeszcze ten święty ogień potrzebny, aby zdobyć imię?

Nazajutrz rano Julian odpowiedział spokojnie dobremu Fouqué, który uważał sprawę spółki za ubitą, że powołanie do stanu kapłańskiego nie pozwala mu przyjąć propozycji. Fouqué nie mógł się opamiętać.

— Ależ pomyśl — powtarzał — ja cię biorę za wspólnika lub, jeżeli wolisz, daję ci cztery tysiące franków rocznie i ty chcesz wracać do tego pana de Rênal, który tobą gardzi! Kiedy będziesz miał oszczędzonych dwieście ludwików, któż ci broni wstąpić do seminarium! Powiem więcej, podejmuję ci się wystarać o najpiękniejsze probostwo w okolicy. Toć — dodał Fouqué ciszej — ja dostarczam drzewa na opał panom X, Y, Z... Daję im najlepszą dębinę, za którą płacą jak za zwykłe drwa; ale trudno by o lepszą lokatę pieniędzy.

Nic nie mogło przezwyciężyć wokacji Juliana. Fouqué pomyślał w końcu, że on ma źle w głowie. Trzeciego dnia rankiem Julian pożegnał przyjaciela. Spędził dzień wśród skał; odnalazł grotę, ale nie miał już spokoju w duszy; odebrała mu go propozycja przyjaciela. Jak Herkules znalazł się nie między występkiem a cnotą, ale między miernością dającą pewny dobrobyt a heroicznymi marzeniami młodości.

„Nie mam tedy prawdziwego charakteru — powiadał sobie; i ta wątpliwość bolała go najwięcej. — Nie jestem z kruszcu, z którego wykuwa się wielkich ludzi, skoro się lękam, aby kilka lat poświęconych pracy na chleb nie odebrało mi owej szczytnej energii, która działa cuda".

XIII. AŻUROWE POŃCZOCHY

Powieść jest to zwierciadło, które obnosi się po gościńcu.

Saint-Réal

Ujrzawszy malownicze ruiny starego kościoła w Vergy, Julian zauważył, że od przedwczoraj ani razu nie pomyślał o pani de Rênal. „W dniu kiedy puszczałem się w drogę ta kobieta przypomniała mi nieskończoną odległość, jaka nas dzieli; potraktowała mnie jak wyrobnika. Z pewnością chciała tym wyrazić żal, że pozwoliła mi ściskać swą rękę poprzedniego wieczora... Bądź co bądź, śliczna ręka! A co za wdzięk, co za godność!"

Możliwość zrobienia majątku przy Fouquém złagodziła niejako tok myśli Juliana; ubóstwo i nicość przestały go tak upokarzać. Spoglądał na świat niby z wyniosłego cypla; wznosił się nad krańcową nędzę oraz nad dostatek, który jeszcze nazywał bogactwem. Nie umiał się zdobyć na filozofię, ale miał tyle jasności spojrzenia, aby się czuć innym po tej wycieczce.

Uderzyło go głębokie wzruszenie, z jakim pani de Rênal wysłuchała sprawozdania z podróży, poprosiwszy go o nie.

Fouqué miał na sercu niedoszłe małżeństwo, zawód miłosny; zwierzył się obszernie Julianowi. Dostąpiwszy szczęścia zbyt wcześnie, spostrzegł, że nie on jeden cieszył się względami ukochanej. Zwierzenia te uderzyły Juliana; dowiedział się wielu rzeczy nowych. Jego samotne życie utkane z marzeń i nieufności, trzymało go z dala od wszystkiego, co by go mogło uświadomić.

Podczas jego nieobecności życie było dla pani de Rênal pasmem udręczeń wręcz nie do zniesienia; była naprawdę chora.

— Przede wszystkim — rzekła do niej pani Derville, widząc Juliana z powrotem — nie chodź wieczorem do ogrodu, wilgoć zaszkodziłaby ci.

Pani Derville ujrzała ze zdumieniem, że przyjaciółka, którą mąż łajał zawsze za nadmierną skromność w ubraniu, włożyła ażurowe pończochy i śliczne sprowadzone z Paryża pantofelki. Od trzech dni jedyną rozrywką pani de Rênal było przykrawanie i szycie z Elizą letniej sukni z ładnej i modnej lekkiej materii. Suknię ukończono tuż po przybyciu Juliana; pani de Rênal włożyła ją natychmiast. Przyjaciółka nie miała już wątpliwości. „Kocha go, nieszczęśliwa!" — rzekła sobie pani Derville. Zrozumiała całą tę dziwną chorobę.

Widziała, jak pani de Rênal rozmawiała z Julianem. Bladość zajęła miejsce rumieńca; we wzroku utkwionym w oczach młodego preceptora malował się lęk. Czekała, że powie coś stanowczego, czy zostaje w domu, czy też odchodzi. Julian nie odzywał się ani słowa w tym przedmiocie, nie myślał zresztą o tym. Po straszliwych walkach pani de Rênal ośmieliła się rzec drżącym głosem, w którym odbijała się cała jej miłość:

— Czy opuści pan swoich uczniów dla innej posady?

Drżący głos i spojrzenie pani de Rênal uderzyły Juliana. „Ta kobieta kocha mnie — pomyślał — ale skoro się upewni, że zostanę, odzyska dawną pychę, pożałuje przelotnej słabości". W mgnieniu oka ogarnął sytuację i odparł z namysłem:

— Bardzo by mi było przykro opuścić dzieci tak miłe i tak *dobrze urodzone*, ale może będzie trzeba. Mam obowiązki i względem siebie.

Wymawiając owo *dobrze urodzone* (jedno z arystokratycznych wyrażeń, których nauczył się od niedawna), Julian doznał uczucia wstrętu.

„W oczach tej kobiety ja — mówił sobie — nie jestem dobrze urodzony".

Słuchając go, pani de Rênal podziwiała jego inteligencję, urodę; serce się jej ściskało na myśl o rozstaniu. Znajomi, którzy w nieobecności Juliana przybyli na obiad, winszowali jej, jakby z umysłu, zdumiewającego człowieka, jakiego mąż jej miał szczęście odkryć. Nie znaczy to, aby w czymkolwiek byli zdolni ocenić postępy chłopców. Umiał na pamięć Biblię i to po łacinie! Ten fakt przejął Verrières podziwem, który przetrwał może wiek.

Julian, który nie rozmawiał z nikim, nie wiedział o tym. Gdyby pani de Rênal miała bodaj trochę przenikliwości, powinszowałaby mu reputacji, jaką sobie zyskał; w ten sposób, zaspokojony w swej dumie, byłby dla niej miły i słodki, tym bardziej, iż nowa suknia wydała mu się czarująca. Pani de Rênal, też rada z nowej sukni i z pochwał Julia-

na, chciała się przejść trochę; wkrótce oznajmiła, że nie jest w stanie iść, przyjęła ramię Juliana, a dotknięcie tego ramienia nie tylko nie dało jej sił, ale odjęło je zupełnie.

Była noc; ledwie usiedli, Julian korzystając z dawnego przywileju ośmielił się przytknąć wargi do ramienia pięknej sąsiadki i ująć ją za rękę. Myślał o przedsiębiorczości Fouquégo wobec kochanek, a nie o pani de Rênal; słowo *dobrze urodzeni* ciążyło mu jeszcze na sercu. Nawet uścisk dłoni nie sprawił mu żadnej przyjemności. Uczucie, które pani de Rênal zdradzała tego wieczora aż nazbyt wyraźnie, nie budziło w nim dumy ani wdzięczności; piękność, wykwint, świeżość zostawiały go niemal obojętnym. Czystość duszy wolna od drgnień nienawiści przedłuża bez wątpienia młodość. U większości ładnych kobiet twarz starzeje się najwcześniej.

Julian był markotny cały wieczór; dotąd dąsał się jedynie na społeczeństwo; od czasu jak Fouqué ofiarował mu płaski sposób zdobycia dobrobytu, wściekły był na siebie. Zatopiony w myślach, mimo że od czasu do czasu odzywał się parę słów do pań, bezwiednie puścił rękę pani de Rênal. Postępek ten wstrząsnął do głębi biedną kobietą, ujrzała w nim obraz swego losu.

Pewna miłości Juliana znalazłaby może w cnocie siłę oporu. Drżąc, że go straci na zawsze, w namiętności swej posunęła się tak daleko, że sama ujęła dłoń Juliana, którą w roztargnieniu oparł o poręcz. Postępek ten obudził z zadumy ambitnego chłopaka: byłby chciał, aby jego świadkiem byli wszyscy ci dumni pankowie, którzy przy stole, gdzie siedział na szarym końcu z dziećmi, przyglądali mu się z protekcjonalnym uśmiechem. „Ta kobieta nie może mną pogardzać; w takim razie mogę ulec jej piękności; wobec samego siebie mam obowiązek zostać jej kochankiem". Ta myśl nie przyszłaby mu do głowy przed naiwnymi zwierzeniami przyjaciela.

Kobieta, Mężczyzna, Pożądanie, Pozycja społeczna

Postanowienie to sprawiło mu przyjemność. Mówił sobie: „Muszę mieć jedną z tych dwóch kobiet". Wolałby o wiele starać się o względy pani Derville; nie aby była powabniejsza, ale że poznała go już jako szanowanego dla swej wiedzy preceptora, a nie jako chłopaka ciesielskiego w drelichowej bluzie, jak go ujrzała pani de Rênal.

Otóż w pamięci pani de Rênal najwięcej miał uroku wówczas, kiedy jako młody robotnik zarumieniony stał pod furtką, nie śmiejąc zadzwonić.

Rozważając dalej sytuację, Julian osądził, że nie należy myśleć o podboju pani Derville, która zauważyła z pewnością skłonność przyjaciółki. Trzeba wrócić do tamtej. „Co ja wiem o charakterze tej kobiety? — myślał Julian. — Jedynie to: przed mą podróżą ja brałem ją za rękę, ona cofała ją; dziś ja usuwam rękę, ona ujmuje ją i ściska. Ładna sposobność odpłacenia jej wzgardy. Bóg wie, ilu miała kochanków! Wybrała mnie jedynie dla łatwości schadzek".

Oto, niestety, wynik nadmiernej cywilizacji. W dwudziestym roku dusza młodego człowieka z odrobiną bodaj wykształcenia odległa jest o tysiąc mil od owego zapału, bez którego miłość bywa jedynie najnudniejszym z obowiązków.

„Tym bardziej jesteś sobie winien — ciągnęła drobna próżność Juliana — zdobyć tę kobietę, iż jeśli kiedyś wypłyniesz i ktoś ci zarzuci podłą kondycję preceptora, będziesz mógł powiedzieć, że to miłość kazała ci przyjąć to miejsce".

Julian znów cofnął rękę; następnie ujął dłoń pani de Rênal i uścisnął ją. Gdy koło północy wracano do salonu, pani de Rênal szepnęła:

— Opuszcza pan nas, jedzie pan?

Julian odparł z westchnieniem:

— Muszę jechać, bo kocham panią bez pamięci; to grzech, i co za grzech dla młodego kleryka!

Pani de Rênal oparła się na jego ramieniu i pochyliła się tak, że uczuła na twarzy ciepło oddechu Juliana.

Noc spłynęła obojgu bardzo różnie. Pani de Rênal upajała się najgórniejszymi wzlotami wyobraźni. Zalotna młoda dziewczyna przyzwyczajona za młodu do tych wzruszeń, później, kiedy dojdzie wieku prawdziwej namiętności, nie znajduje w niej uroku nowości. Pani de Rênal nie czytywała romansów; wszystkie odcienie szczęścia były dla niej nowe. Żadna smutna prawda nie mroziła jej, nawet widmo przyszłości. W rojeniach swych widziała się równie szczęśliwa za dziesięć lat jak w tej chwili. Myśl o cnocie i wierze małżeńskiej, tak dręcząca przed kilku dniami, próżno nastręczała się jej duszy; oddalała ją

jak natrętnego gościa. „Nigdy nie pozwolę Julianowi posunąć się dalej — myślała — będziemy żyli nadal tak, jak żyjemy od miesiąca. Będzie moim przyjacielem".

XIV. ANGIELSKIE NOŻYCZKI

Szesnastoletnia dziewczyna miała różaną płeć i używała różu.

Polidori.

Propozycja Fouquégo zmąciła szczęście Juliana; nie mógł się zdobyć na postanowienie.

— Może mi brak charakteru; byłbym lichym żołnierzem Napoleona. Ba! stosuneczek z panią domu rozerwie mnie na chwilę.

Szczęściem dla niego, nawet w tym podrzędnym epizodzie, wnętrze jego niezupełnie było zgodne z zuchwalstwem słów. Onieśmielała go ładna suknia pani de Rênal. Ta suknia była dlań niby awangarda Paryża. Duma jego nie chciała się w niczym poddać przypadkowi i chwili. W myśl zwierzeń Fouquégo oraz mętnych pojęć o miłości zaczerpniętych z Biblii ułożył plan kampanii. Ponieważ, nie przyznając się do tego przed sobą, był bardzo wzruszony, spisał sobie ów plan.

Nazajutrz rano spotkał się na chwilę z panią de Rênal w salonie.

— Czy pan nie ma innego imienia prócz Julian? — spytała.

Na to pochlebne zapytanie, bohater nasz nie wiedział, co odpowiedzieć. Nie przewidział tej okoliczności. Gdyby nie ten niemądry pomysł, aby *stworzyć plan*, żywy umysł Juliana znalazłby w tej niespodziance nową podnietę.

Odpowiedział niezdarnie: za chwilę, wyrzucał sobie przesadnie swoje niezgrabstwo. Pani de Rênal przebaczyła je szybko. Widziała w nim rys uroczej naiwności: tego zaś właśnie brakło w jej oczach chłopcu, którego talenty tak podziwiano.

— Ten księżyk nie budzi we mnie zaufania — mówiła niekiedy pani Derville. — Robi wrażenie, że wciąż myśli i że działa jedynie z wyrachowania. To filut.

Julian poczuł się głęboko upokorzony, że nie umiał zręcznie odpowiedzieć pani de Rênal.

„Winien to jestem sobie, aby naprawić tę porażkę!" — myślał. Jakoż chwytając chwilę, gdy przechodzili do drugiego pokoju, uważał za obowiązek pocałować ją.

Było to w równym stopniu nienaturalne, niesmaczne i nieostrożne. Omal że ich nie spostrzeżono. Pani de Rênal myślała, że Julian oszalał. Przeraziło ją to, a zwłaszcza zraziło. Osielstwo to przypomniało jej pana Valenod.

„Cóż by było — pomyślała — gdybym się z nim znalazła sam na sam!"

Wszystkie skrupuły cnoty wróciły, ponieważ miłość pierzchła na chwilę. Odtąd pani de Rênal starała się, aby któreś z dzieci zawsze było przy niej.

Dzień spłynął Julianowi mdło; najniezgrabniej silił się przeprowadzać uwodzicielskie plany. Każde spojrzenie jego na panią de Rênal miało swoje znaczenie; mimo to — czuł, że nie udaje mu się być ani miłym, ani tym mniej niebezpiecznym.

Pani de Rênal zdumiona była tym skojarzeniem niezręczności i zuchwalstwa.

„To nieśmiałość serca przy genialnym umyśle! — rzekła sobie wreszcie z niewysłowioną radością. — Byłoż by możliwe, że ona, moja rywalka, nigdy go nie kochała!"

Po śniadaniu pani de Rênal przeszła do salonu, aby przyjąć podprefekta, pana Charcot de Maugiron. Haftowała coś na krosienkach: pani Derville siedziała obok. W tej pozycji w biały dzień bohater nasz uznał za stosowne wysunąć but i przycisnąć nóżkę pani de Rênal, której ażurowa pończocha i paryski trzewiczek ściągały chciwie spojrzenia dwornego podprefekta.

Pani de Rênal zlękła się straszliwie; upuściła nożyczki, kłębek, igły; gest Juliana mógł uchodzić za niezręczną chęć złapania nożyczek. Szczęściem małe angielskie nożyczki złamały się: pani de Rênal zaczęła ubolewać, że Julian się nie znalazł bliżej.

— Spostrzegł pan, że lecą, byłby je pan schwycił, gdy tak gorliwość pańska zdała się tylko na to, że mnie pan pokopał.

Wszystko to oszukało podprefekta, ale nie panią Derville. „Ładny chłopiec, ale straszny cham — pomyślała: etykieta prowincjonalna nie przebacza tego rodzaju błędów. Pani de Rênal znalazła chwilę, aby szepnąć Julianowi:

— Proszę być ostrożniejszym; rozkazuję panu.

Julian czuł swoje niezgrabstwo i był wściekły. Długo zastanawiał się, czy ma się obrazić o to: *rozkazuję panu*. Głuptas rozumował tak: mogłaby mi powiedzieć *rozkazuję*, gdyby chodziło o wychowanie dzieci; ale odwzajemniając mą miłość, stawia się ze mną na stopie równości. Nie można kochać bez *równości*... Tu zapuścił się myślą w komunały o równości. Podrażniony, powtarzał sobie wiersz Corneille'a, który usłyszał parę dni wprzód w ustach pani Derville:

Nie! równości nie szuka miłość, lecz ją stwarza.

Julian, siląc się odgrywać don Juana, mimo że nie miał pojęcia, co to kobieta, zachowywał się cały dzień jak skończony głupiec. Jedną miał tylko szczęśliwą myśl: znudzony sobą i panią de Rênal, patrzał z lękiem na zbliżanie się wieczoru, kiedy znajdzie się w ogrodzie, obok niej i po ciemku. Oświadczył panu de Rênal, że idzie do proboszcza; wyszedł po obiedzie i wrócił aż w nocy.

W Verrières zastał księdza proboszcza Chélan zajętego przenosinami; usunięto go ostatecznie, miejsce jego obejmował wikary Maslon. Julian pomógł zacnemu staruszkowi, po czym wpadł na myśl, aby napisać do Fouquégo. Pisał, iż nieprzezwyciężona wokacja nie pozwoliła mu przyjąć jego przyjacielskiej ofiary; obecnie jednak, patrząc na jaskrawy przykład niesprawiedliwości, zastanawia się, czy nie będzie korzystniej dla jego zbawienia wyrzec się myśli o stanie duchownym.

Dumny był, że tak sprytnie wyzyskał usunięcie proboszcza, aby sobie zostawić furtkę i wrócić do handlu, o ile w duszy jego mizerna trzeźwość odniesie zwycięstwo nad heroizmem.

XV. PIANIE KOGUTA

Amour en latin faict amor;
Or done provient d'amour le mort,
Et, par avant, soulcy qui mord,
Deuil, plours, pieges, forfaitz, remords.

Blason d'Amour.

Gdyby Julian miał nieco tego sprytu, który sobie tak bezzasadnie przypisywał, byłby nazajutrz dumny z rezultatu swej wycieczki. Nieobecność zatarła pamięć jego niezgrabstwa. Cały dzień dąsał się znowu; wieczór zaś strzeliła mu do głowy niedorzeczna myśl, której udzielił pani de Rênal z rzadkim zuchwalstwem.

Ledwie usiedli w ogrodzie, Julian, nie czekając, aż się dostatecznie ściemni, zbliżył usta do ucha pani de Rênal i narażając ją straszliwie rzekł:

— Dziś w nocy o drugiej przyjdę do pani pokoju, mam pani coś do powiedzenia.

Drżał z pragnienia, aby się nie zgodziła; rola uwodziciela ciążyła mu niezmiernie. Chętnie schowałby się na kilka dni, nie pokazując się paniom na oczy. Rozumiał, iż swą uczoną taktyką wczorajszą zniweczył wszystkie piękne pozory z poprzedniego dnia i doprawdy nie wiedział, z której beczki zacząć.

Pani de Rênal przyjęła tę bezczelną propozycję ze szczerym, wcale nieprzesadnym oburzeniem. Julian dopatrzył się wzgardy w jej krótkiej odpowiedzi, wyrzeczonej szeptem. Pod pozorem zajrzenia do dzieci wyszedł, za powrotem zaś usiadł koło pani Derville, z dala od pani de Rênal, pozbawiając się możliwości ujęcia jej za rękę. Rozmowa weszła na tory poważne; Julian podtrzymywał ją z powodzeniem, poza paru chwilami milczenia, przez które łamał sobie głowę. „Gdybyż wynaleźć jaki sposób — dumał — aby wymusić na pani de Rênal owe niedwuznaczne objawy czułości, które pozwalały wierzyć trzy dni temu, że jest moją!"

Fatalna sytuacja, jaką sam wytworzył, nękała Juliana, ale powodzenie wprawiłoby go w jeszcze większy kłopot.

Zostawszy sam o północy, rozmyślał na ten temat, że pani Derville nim gardzi, przyjaciółka jej zaś też nie lepsze żywi dlań uczucia.

Upokorzony, wściekły, nie mógł zasnąć. Przez myśl mu nie przeszło poniechać wszelkiego udania, taktyki i ot, żyć z dnia na dzień przy pani de Rênal, zadowalając się jak

dziecko szczęściem każdego dnia. Wysilił mózg obmyślaniem uczonych manewrów, które w chwilę potem zdawały mu się niedorzeczne; był, jednym słowem, bardzo nieszczęśliwy, kiedy na zegarze zamkowym wybiła druga.

Dźwięk ten zbudził go jak świętego Piotra pianie koguta. Uczuł się w obliczu najprzykrzejszej konieczności. Bezczelną jego propozycję przyjęto tak źle, że nie pomyślał o niej od tej chwili!

— Powiedziałem, że przyjdę o drugiej — rzekł, wstając — mogę być nieokrzesany prostak, chłopski syn, jak mi dała do zrozumienia pani Derville, ale przynajmniej nie będę tchórzem.

Julian miał prawo szczycić się swym męstwem: nigdy jeszcze nie zadał sobie sroższego przymusu. Otwierając drzwi, drżał tak, że kolana uginały się pod nim, musiał się oprzeć o ścianę.

Był bez trzewików. Zatrzymał się pod drzwiami pana de Rênal; usłyszał regularne chrapanie. Rozpacz! Nie miał już pozoru, aby nie iść. Boże! Co on tam pocznie? Nie miał planu, a gdyby nawet miał, był tak wzruszony, że nie byłby zdolny go wykonać.

Wreszcie z uczuciem gorszym sto razy, niż gdyby szedł na śmierć, zapuścił się w korytarzyk wiodący do sypialni pani de Rênal. Otworzył drżącą ręką, czyniąc straszliwy hałas.

W pokoju było światło: lampka nocna stała w kominku; nie spodziewał się tego nowego nieszczęścia. Na jego widok pani de Rênal zerwała się.

— Nieszczęśliwy! — krzyknęła. Nocny jej strój był w nieładzie.

Julian zapomniał o swoich czczych planach i wrócił do naturalnych uczuć: niełaska tej uroczej kobiety wydała mu się największym nieszczęściem. Na jej wymówki upadł jej po prostu do nóg, ściskał jej kolana. Przemawiała doń bardzo surowo, rozpłakał się.

Kiedy w parę godzin później Julian wychodził od pani de Rênal, można powiedzieć stylem romansów, że nie zostawało mu nic do życzenia. Zwycięstwo, do którego nie doprowadziłaby go cała niezręczna przemyślność, zawdzięczał miłości pani de Rênal oraz nieprzewidzianemu wrażeniu, jakie na nim zrobiły jej uroki.

Ale w najsłodszych chwilach party jakąś dziką ambicją jeszcze silił się odgrywać rolę zdobywcy kobiet: dokładał niesłychanych wysiłków, aby niszczyć swój naturalny wdzięk. Zamiast chłonąć uniesienia kochanki, wyrzuty, które podnosiły ich żywość, on nie tracił ani na chwilę myśli o obowiązku. Lękał się wiekuistej zgryzoty i śmieszności, gdyby się odchylił od idealnego wzoru, jaki sobie założył. Słowem, to właśnie, co stanowiło niepospolitość Juliana, broniło mu kosztować szczęścia, ścielącego mu się pod stopy. Był niby szesnastoletnia dziewczyna, która ma rumieńce, a która, idąc na bal, szpeci sobie policzki różem.

Śmiertelnie przerażona zjawieniem się Juliana pani de Rênal stała się niebawem pastwą okrutniejszych wzruszeń. Płacze i rozpacz Juliana wnosiły głęboki zamęt w jej duszę.

Nawet kiedy już wszystko się stało, odpychała Juliana ze szczerym oburzeniem, następnie zaś rzucała się w jego ramiona. Nie było w tym żadnego planu ani zamiaru. Uważała się za potępioną bez ratunku i siliła się przesłonić sobie obraz piekła, obsypując Juliana pieszczotami. Słowem, niczego by nie brakło do szczęścia naszego bohatera, nawet palących wzruszeń posiadanej kobiety, gdyby umiał sycić się tym szczęściem. Odejście Juliana nie położyło kresu wzruszeniom, walkom i wyrzutom pani de Rênal.

— Mój Boże! Być szczęśliwym, być kochanym, więc to tylko to? — to była pierwsza myśl Juliana, skoro wrócił do swego pokoju. Ogarnął go stan owego osłupienia oraz dziwnego zamętu, w jaki popada dusza, skoro otrzyma to, czego dawno pragnęła. Przywykła pragnąć, nie ma już czego pragnąć, a nie ma jeszcze wspomnień. Jak żołnierz po powrocie z rewii, Julian z uwagą przechodził szczegóły swego postępowania. „Czy nie chybiłem w czym samemu sobie? Czy dobrze grałem rolę?"

I jaką rolę! Człowieka nawykłego do popisów niezrównanego kochanka.

XVI. NAZAJUTRZ

He turn'd his lip to hers, and with his hand
Call'd back the tangles of her wandering hair.

Don Juan, *I, 170.*

Szczęściem dla Juliana pani de Rênal była zbyt wzruszona i nieprzytomna, aby spostrzec śmiesznostki człowieka, który w ciągu jednej nocy stał się dla niej całym światem.

Nakłaniała go, aby wyszedł, widząc, że świta:

— Och Boże — mówiła — jeśli mąż słyszał hałas, jestem zgubiona.

Julian, który w wolnych chwilach obmyślał sobie frazesy, przypomniał sobie taki:

— Żałowałabyś życia?

— Och, bardzo, w tej chwili! Ale nie żałowałabym, żem ciebie poznała.

Julian uważał za obowiązek swej godności wrócić umyślnie w jasny dzień i bez zachowania ostrożności.

Baczność, z jaką obliczał najdrobniejsze uczynki w tej niedorzecznej myśli, aby uchodzić za doświadczonego człowieka, miała tylko jedną korzyść: skoro się spotkał z panią de Rênal przy śniadaniu, zachowanie jego było arcydziełem roztropności.

Ona rumieniła się po białka za każdym spojrzeniem, a nie mogła wytrwać ani chwili, aby nań nie patrzyć: czuła swe pomieszanie, a siląc się je ukryć, mieszała się tym bardziej. Julian raz tylko podniósł na nią oczy. Zrazu pani de Rênal zachwycona była tą ostrożnością; niebawem jednak widząc, że to spojrzenie nie powtarza się, uczuła lęk: „Czyżby mnie już nie kochał? — myślała. — Ach, niestety, za stara jestem dla niego; starsza o dziesięć lat!"

Przechodząc do ogrodu, ścisnęła go za rękę. Zdumiony tym niezwykłym objawem uczucia, spojrzał na nią namiętnie; przy śniadaniu wydała mu się bardzo ładna; mimo że miał spuszczone oczy, cały czas rozbierał w myśli jej wdzięki. Spojrzenie to pocieszyło panią de Rênal; nie stłumiło wszystkich niepokojów, ale w zamian niepokoje te tłumiły zupełnie wyrzuty i myśli o mężu.

Przy śniadaniu mąż nie zauważył nic; pani Derville przeciwnie; ale sądziła, że pani de Rênal jest dopiero nad przepaścią. Przez cały dzień śmiała i energiczna przyjaciółka starała się za pomocą wymownych aluzji malować w okropnych barwach grożące niebezpieczeństwo.

Pani de Rênal płonęła niecierpliwością, aby zostać sama z Julianem; chciała go spytać, czy kocha ją jeszcze. Mimo niezmąconej słodyczy charakteru kilka razy omal nie dała uczuć przyjaciółce, jak bardzo jest natrętna.

Wieczorem w ogrodzie pani Derville postarała się usiąść między panią de Rênal a Julianem. Pani de Rênal, która napawała się w myślach rozkoszą ściskania ręki Juliana i tulenia jej do ust, nie mogła się doń nawet odezwać.

Ta przeszkoda wzmogła jej niepokój, dręczyła ją jedna zgryzota. Tak ostro połajała Juliana za nieostrożność, jaką popełnił, przychodząc do niej poprzedniej nocy, że drżała, iż tej nocy nie przyjdzie. Wcześnie opuściła ogród i poszła czekać na niego w pokoju. Ale nie mogąc opanować niecierpliwości, zakradła się pod drzwi Juliana i przyłożyła do nich ucho. Mimo obawy i namiętności, które ją pożerały, nie śmiała wejść; to wydawało się jej zbyt szpetne.

Służba jeszcze nie spała: ostrożność zmusiła wreszcie panią de Rênal do odwrotu. Dwie godziny oczekiwania zdały się jej dwoma wiekami męczarni.

Ale Julian nadto był wierny temu, co nazywał *obowiązkiem*, aby uczynić wyłom w swoim programie. Z uderzeniem pierwszej wysunął się cicho z pokoju, upewnił się, że Pan domu śpi i zjawił się u pani de Rênal. Tego dnia znalazł więcej szczęścia w objęciach kochanki; nie myślał tak ustawianie o przepisanej roli. Miał oczy ku widzeniu i uszy ku słyszeniu. Lamenty pani de Rênal nad jej wiekiem dodały mu nieco pewności.

— Ach, jestem o dziesięć lat starsza od ciebie! Jak możesz mnie kochać? — powtarzała z całą szczerością, mocując się ustawicznie z tą myślą.

Julian nie pojmował tej troski, ale widział, że jest szczera i zbył się prawie zupełnie obawy śmieszności. Niedorzeczna myśl, że jego urodzenie może go poniżać w oczach tej kobiety, pierzchła również. Uspokojona nieco pieszczotami Juliana pani de Rênal czuła się lepiej, zarazem odzyskiwała zdolność sądzenia kochanka. Szczęściem tego dnia nie miał zupełnie owej pozy, która sprawiła, że we wczorajszej schadzce znalazł więcej triumfu niż przyjemności. Gdyby spostrzegła w nim grę, smutne to odkrycie zabiłoby w niej na zawsze szczęście. Tego dnia widziała tylko smutne objawy różnicy wieku.

Pani de Rênal nie zastanawiała się nigdy nad teoriami miłości; ale różnica wieku jest po różnicy majątkowej najulubieńszym tematem prowincjonalnych konceptów za każdym razem, kiedy jest mowa o miłości.

W krótkim czasie Julian, odzyskawszy cały zapał młodości, zakochał się bez pamięci.

— Trzeba przyznać — myślał — że jest anielsko dobra i śliczna przy tym.

Zapomniał prawie zupełnie o wszelkich rolach. W chwili wylania, wyznał jej nawet swoje lęki. Zwierzenie to przepełniło miarę miłości pani de Rênal. „Nie miałam tedy szczęśliwej rywalki" — powtarzała sobie z rozkoszą. Odważyła się spytać o portret, do którego przywiązywał taką wagę; Julian przysiągł, że to był portret mężczyzny.

Kiedy pani de Rênal była nieco przytomniejsza i zdolna do zastanawiania się, nie mogła się nadziwić, że takie szczęście istnieje i że nie przeczuwała go nawet.

„Ach — mówiła sobie — gdybym znała Juliana przed dziesięciu laty, kiedy mogłam uchodzić za ładną".

Julian obcy był podobnym myślom. Miłość jego była w znacznej części ambicją; była to radość, że on, nieszczęśliwy, wzgardzony, posiada kobietę tak piękną. Jego uwielbienia, szały na widok powabów kochanki uspokoiły ją w końcu co do różnicy wieku. Gdyby pani de Rênal znała życie, jak je zna kobieta trzydziestoletnia w bardziej cywilizowanych krajach, zadrżałaby o trwałość uczucia, które podtrzymywała jedynie ciekawość i upojenie miłości własnej.

W momentach zapomnienia o ambicji Julian podziwiał z zapałem nawet kapelusze, nawet suknie pani de Rênal. Nie mógł się nasycić ich zapachem; otwierał szafę i godziny całe podziwiał piękność i ład jej wnętrza. Pani de Rênal wsparta na nim patrzyła nań; on patrzył na klejnoty, szmatki, które w wilię zamęścia wypełniały koszyk weselny.

„Mogłam była wyjść za takiego człowieka! — myślała niekiedy pani de Rênal — cóż za płomienna dusza! Cóż za cudowne życie przy nim!"

Julian nigdy nie widział z bliska tych straszliwych przyrządów artylerii kobiecej. „Nie podobna — myślał — aby mogło w Paryżu istnieć coś ładniejszego!" Wówczas szczęście jego zdawało mu się bez zarzutu. Częsty, szczery podziw i upojenia kochanki pozwalały mu zapomnieć o czczych teoriach, pod wpływem których był tak sztywny, tak śmieszny niemal w pierwszym okresie. Czasami mimo nałogu obłudy znajdował przyjemność w tym, aby tej wielkiej damie, która go podziwiała, wyznać swą nieświadomość mnóstwa drobnych zwyczajów. Stanowisko kochanki podnosiło go. Pani de Rênal znajdowała znowuż słodycz w tym, aby w zakresie tych drobiazgów oświecać niepospolitego chłopca, któremu wszyscy wróżyli wspaniałą przyszłość. Nawet podprefekt i pan Valenod nie mogli się wstrzymać od podziwu dla Juliana, przez co wydawali się pani de Rênal mniej głupi. Pani Derville nie podzielała tych uczuć. Zrozpaczona tym, czego się domyślała, widząc, że głos rozsądku stał się wstrętny kobiecie, która dosłownie straciła głowę, opuściła Vergy bez wyjaśnień: nikt ich zresztą nie wymagał. Pani de Rênal uroniła parę łez, ale wkrótce uczuła zdwojoną pełnię szczęścia. Dzięki temu wyjazdowi była prawie cały dzień sam na sam z kochankiem.

Julian chętnie zanurzał się w tym słodkim obcowaniu; tym chętniej, że za każdym razem, kiedy został sam, trapiła go nieszczęsna propozycja Fouquégo.

W pierwszych dniach nowego życia chłopak ten, który nigdy jeszcze nie kochał i nie był kochany, znajdował taką rozkosz w szczerości, że omal nie wyznał pani de Rênal ambicji wypełniającej dotąd treść jego istnienia. Chętnie poradziłby się jej nawet co do dziwnej pokusy, jaką budziła w nim propozycja Fouquégo, ale drobne wydarzenie uniemożliwiło mu wszelką szczerość.

XVII. PAN WICEMER

O, how this spring of love resembleth
The uncertain glory of an April day,
Which now shows all the beauty of the sun
And by and by a cloud takes all way!

Two gentlemen of Verona.

Jednego wieczora, o zachodzie słońca, siedząc obok kochanki w sadzie, z dala od natrętów, Julian dumał głęboko. „Czy wiecznie będą trwały te słodkie chwile?" Duszę jego zaprzątała całkowicie trudność kariery; bolał nad tą niedolą, która kładzie kres dziecięctwu i psuje pierwsze lata niezasobnej młodości.

— Ach! — wykrzyknął — jakąż opatrznością dla młodzieży był Napoleon! Któż go zastąpi? Co zrobią bez niego nieszczęśliwi, nawet bogatsi ode mnie, mający ledwie parę groszy na zdobycie wykształcenia, a nie dość, aby kupić sobie zastępcę w dwudziestym roku i rozpocząć jakąś drogę. Mimo wszystko — dodał z westchnieniem — to nieszczęsne wspomnienie zatruje nam na zawsze wszelkie szczęście!

Naraz ujrzał, że pani de Rênal marszczy brew; przybrała chłodny i wzgardliwy wyraz; pojęcia te wydawały się jej godne lokaja. Wychowana w poczuciu swego dostatku, uważała za rzecz naturalną, że i Julian go posiada. Kochała go tysiąc razy więcej niż życie, a nie dbała o pieniądze.

Julian nie mógł odgadnąć jej myśli. To zmarszczenie brwi sprowadziło go na ziemię. Był na tyle przytomny, aby się wycofać: wytłumaczył szlachetnej pani siedzącej obok na darniowej ławeczce, że powtarzał jedynie słowa swego przyjaciela, handlarza drzewa. Ot, majaczenie niedowiarków!

— Nie zadawaj się już z tymi ludźmi — rzekła pani de Rênal; zachowując jeszcze odcień chłodu, który nagle ustąpił miejsca tkliwości.

To zmarszczenie brwi lub raczej wyrzut z powodu jego nieostrożności było pierwszym rozdarciem atmosfery złudzeń otaczającej Juliana. Rzekł sobie: „Jest dobra i słodka, jest do mnie szczerze przywiązana, ale wychowała się w nieprzyjacielskim obozie. Ba! oni nikogo się tak nie boją, jak zuchów, którzy osiągnąwszy wykształcenie, nie mają na tyle pieniędzy, aby się o coś zaczepić. Co by się stało z tymi jaśnie wielmożnymi, gdybyśmy mogli walczyć równą bronią! Ja na przykład, gdybym był merem, człowiekiem dobrej woli, uczciwym, jakim jest w gruncie pan de Rênal, jakbym ja sobie dał rady z wikarym, panem Valenod i wszystkimi szelmostwami! Jaka sprawiedliwość zapanowałaby w Verrières! To nie są głowy, które by mi mogły stanąć w drodze; co oni wiedzą? Ot, kręcą się po omacku".

Tego dnia Julian mógł posiąść trwałe szczęście; ale nie umiał być szczery. Trzeba było zdobyć się na to, aby wydać bitwę, ale *natychmiast*. Panią de Rênal zdumiało odezwanie Juliana, ponieważ ludzie z *towarzystwa* powtarzali, że zbytnie wykształcenie młodych proletariuszy to widmo powrotu Robespierre'a. Chłód pani de Rênal trwał dość długo i wydał się Julianowi rozmyślny. Było to stąd, że miejsce chwilowej niechęci spowodowanej jego odezwaniem zastąpił wyrzut, że czymś może uraziła Juliana. Troska ta odbiła się żywo w jej rysach, tak czystych i szczerych, kiedy się czuła szczęśliwa, z dala od natrętów.

Julian już nie śmiał marzyć swobodnie. Ochłonąwszy nieco z szałów miłości, uznał, że nierozważnie jest odwiedzać panią de Rênal w jej pokoju. Lepiej, aby ona przychodziła do niego; gdyby ją kto spotkał, tysiąc pozorów mogło usprawiedliwić jej obecność na schodach.

Ale i ten system miał swoje niedogodności. Julian dostał od Fouquégo książki, których on, uczeń teologii, nigdy nie mógłby zażądać w księgarni. Ważył się zaglądać do nich jedynie w nocy. Często byłby bardzo rad, aby mu nie przerywały odwiedziny, których oczekiwanie jeszcze w wilię sceny w sadzie czyniłoby go niezdolnym do czytania.

Dzięki pani de Rênal rozumiał książki w zupełnie nowy sposób. Odważył się ją wypytywać o mnóstwo drobiazgów, których nieświadomość paraliżuje inteligencję młodego człowieka urodzonego poza społeczeństwem, choćby najbardziej obdarzonego z natury.

To wychowanie *miłosne* udzielone przez bardzo niewykształconą kobietę było nader szczęśliwe. Julian ujrzał Wprost społeczeństwo takie, jakim jest dzisiaj. Umysł jego nie zaćmił się opowiadaniami o tym, czym ono było niegdyś, przed dwoma tysiącami lat lub bodaj przed sześćdziesięciu laty, za czasu Woltera i Ludwika XV. Ku niewymownej radości Juliana zasłona spadła mu z oczu, zrozumiał wreszcie rzeczy, które się działy w Verrières.

Na pierwszym planie ukazały się bardzo zawiłe intrygi, osnute od dwu lat około prefekta z Besançon. Wchodziły w tę grę i listy z Paryża, kreślone przez najdostojniejsze dłonie. Szło o to, aby pana de Moirod, najpobożniejszego człowieka w okolicy, zrobić nie drugim, ale pierwszym wicemerem Verrières.

Rywalem jego był bogaty fabrykant, którego należało bezwarunkowo zepchnąć na stanowisko drugiego wicemera.

Julian zrozumiał wreszcie półsłówka, które pochwycił, kiedy grube ryby zjeżdżały się na obiad do pana de Rênal. To dostojne towarzystwo mocno zajmowało się ową kandydaturą, gdy reszta miasta, liberałowie, nawet nie podejrzewali jej możliwości. Wagi dodawała okoliczność, iż, jak każdy wie, wschodnią stronę głównej ulicy w Verrières miano cofnąć przeszło o dziesięć stóp, ponieważ droga ta stała się gościńcem królewskim. Otóż jeżeli panu Moirod, który miał trzy domy podlegające tej ustawie, uda się zostać pierwszym wicemerem, a później merem, w razie gdyby pana de Rênal wybrano posłem, zamknąłby oczy i można by podjąć w domach wychodzących na gościniec niedostrzegalne naprawki, przy pomocy których przetrwałyby sto lat. Mimo znanej pobożności i uczciwości pana de Moirod nie ulegało wątpliwości, że będzie *można z nim gadać*, miał bowiem dużo dzieci. Wśród domów przeznaczonych na zburzenie dziewięć należało do śmietanki Verrières.

W oczach Juliana intryga ta była donioślejsza niż bitwa pod Fontenoy, której nazwę wyczytał pierwszy raz w książkach Fouquégo. Wiele rzeczy zdumiewało Juliana już od pięciu lat, odkąd zaczął chodzić wieczorami do proboszcza. Ale ponieważ dyskrecja i pokora ducha są to główne przymioty adepta teologii, nie podobna mu było pytać o cokolwiek.

Jednego dnia pani de Rênal dała jakiś rozkaz lokajowi męża, owemu wrogowi Juliana.

— Ależ, proszę pani, to dziś ostatni piątek — odparł szczególnym tonem.

— Idź — rzekła pani de Rênal.

— Więc cóż! — rzekł Julian — pójdzie do owego spichrza, który był dawniej kościołem i który teraz świeżo zwrócono religii; ale po co? To jedna z tajemnic, których nigdy nie zdołałem przeniknąć.

— Jest to instytucja bardzo zbawienna, ale nader osobliwa — odparła pani de Rênal. — Kobiety nie mają tam wstępu! Tyle tylko wiem, że wszyscy się tam *tykają*. Nasz lokaj na przykład spotka tam pana Valenod: ten pyszałek, głupiec nie pogniewa się, skoro go nasz Jan zagadnie *per ty*; ba, sam odpowie w tym samym tonie. Jeśli ci zależy na tym, aby wiedzieć, co się tam dzieje, poproszę Maugirona i Valenoda o szczegóły. Płacimy po dwadzieścia franków od każdego służącego, iżby pewnego dnia nie wyrżnęli nas.

Czas leciał. Urok kochanki odrywał Juliana od jego posępnej ambicji. Nie mógł z nią mówić o rzeczach smutnych i poważnych, skoro należeli do przeciwnych obozów: okoliczność ta pomnażała bezwiednie szczęście Juliana i wpływ pani de Rênal.

W chwilach, gdy obecność zbyt inteligentnych dzieci kazała się im zamykać w granicach chłodnej i rozsądnej gawędy, Julian bez cienia buntu, patrząc na nią oczami promieniującymi uczuciem, słuchał jej wyjaśnień o tym, jak światek się toczy. Czasem wśród opowiadania o jakimś sprytnym oszustwie przy budowie drogi albo dostawie, pani de Rênal traciła nagle głowę z tkliwości: Julian musiał ją łajać, pozwalała sobie z nim na te same poufałe gesty co z dziećmi. Bo też były dni, w których miała złudzenie, że kocha go jak własne dziecko. Czyż bez ustanku nie musiała odpowiadać na jego naiwne pytania w kwestiach, które dziecku *dobrze urodzonemu* wiadome są w piętnastym roku? W chwilę później podziwiała go jak swego mistrza. Polot jego przerażał ją; z każdym dniem wyraźniej widziała przyszłego wielkiego człowieka w tym młodym kleryku. Widziała go papieżem albo pierwszym ministrem jak Richelieu.

— Czy będę żyła dość długo, aby cię widzieć w twojej chwale? — mówiła do Juliana. — Jest miejsce dla wielkiego człowieka; tron, religia potrzebują go.

XVIII. KRÓL W VERRIÈRES

Czy jesteście warci tylko tego, aby was odrzucić niby trupa bez duszy i bez krwi w żyłach?

Przemówienie biskupa w kaplicy

Trzeciego września o dziesiątej wieczór żandarm obudził całe Verrières, galopując główną ulicą; przynosił wiadomość, że Jego Królewska Mość przybędzie w niedzielę. Było to we wtorek. Prefekt zezwalał, to znaczy nakazywał utworzenie straży honorowej; należało rozwinąć możliwą okazałość. Wyprawiono sztafetę do Vergy. Pan de Rênal przybył w nocy i zastał miasto w poruszeniu. Każdy się na coś silił; najobojętniejsi najmowali balkony, aby widzieć króla.

Kto będzie dowodził strażą honorową? Pan de Rênal spostrzegł natychmiast, jak ważne jest w interesie domów skazanych na zburzenie, aby godność ta przypadła panu de Moirod. To mogło mu utorować drogę do stanowiska wicemera. Nic nie można było nadmienić przeciw wysokiej nabożności pana de Moirod, ale faktem jest, iż nigdy nie siedział na koniu. Był to człowiek trzydziestoletni, lękliwy, równie obawiający się spaść z konia, co ośmieszyć się.

Mer kazał go wezwać już o piątej rano.

— Widzi pan, drogi panie, zasięgam pańskiej rady, jak gdybyś już zajmował stanowisko, na które wszyscy przyzwoici ludzie pana sobie życzą. W tym nieszczęsnym mieście przemysł kwitnie, liberały dochodzą do milionów, sięgają po władzę, potrafią ukuć broń ze wszystkiego. Weźmy pod uwagę interes króla, monarchii, a przede wszystkim naszej świętej religii. Jak pan sądzi, komu powierzyć dowództwo straży?

Mimo strasznego lęku, jakim przejmował go koń, pan de Moirod przyjął w końcu ten zaszczyt jako męczeństwo.

— Potrafię godnie wywiązać się z zadania — rzekł.

Zaledwie był czas, aby odświeżyć uniformy, które zostały sprzed siedmiu lat, z okazji przejazdu jakiegoś księcia krwi.

O siódmej przybyła z Vergy pani de Rênal z Julianem i z dziećmi. W salonie zastała pełno żon liberałów, które głosiły zjednoczenie stronnictw i błagały o miejsce dla mężów w straży honorowej. Jedna utrzymywała, że gdyby jej męża nie wybrano, zbankrutowałby z rozpaczy. Pani de Rênal szybko pozbyła się wszystkich. Zdawała się czymś mocno zajęta.

Julian czuł się zdziwiony, a jeszcze bardziej dotknięty tym, że pani de Rênal nie chce mu zdradzić przyczyn roztargnienia. „Przewidywałem to — myślał z goryczą — miłość jej pierzchła wobec szczęścia podejmowania króla w swym domu. Cały ten zgiełk oszołomił ją. Wróci do mnie, skoro arystokratyczne fumy ustąpią jej z mózgu".

Rzecz osobliwa, kochał ją za to tym więcej.

Tapicerzy uwijali się po całym mieszkaniu; Julian na próżno czyhał na sposobność szepnięcia słówka do pani de Rênal. Wreszcie dopadł ją, kiedy wychodziła z pokoju, niosąc jego ubranie. Byli sami; chciał coś mówić: uciekła, nie słuchając.

„Głupi jestem, aby kochać podobną kobietę; ambicja uderzyła jej na mózg; oszalała jak jej mąż".

Tak, i więcej jeszcze: jednym z jej gorących pragnień (nigdy tego nie wyznała Julianowi, aby go nie urazić) była chęć ujrzenia go bodaj przez dzień inaczej niż w tym smutnym czarnym ubraniu. Ze zręcznością w istocie cudowną w tak naturalnej kobiecie uzyskała najpierw u pana de Moirod, później u podprefekta nominację Juliana do straży honorowej z pominięciem młodych ludzi, synów zamożnych fabrykantów, chłopców — dwóch przynajmniej — bardzo nabożnych. Pan Valenod, który zamierzał ofiarować swój powóz najpiękniejszym damom i oprowadzać w całym blasku swoje pyszne normandy, zgodził się oddać jednego konia od pary Julianowi, istocie, którą nienawidził najbardziej pod słońcem. Ale wszyscy gwardziści mieli własne albo pożyczone piękne niebieskie mundury ze srebrnymi epoletami, które błyszczały wspaniale przed siedmiu laty. Pani de Rênal chciała, aby Julian miał ubranie zupełnie nowe, a zostało ledwie cztery dni, aby posłać do Besançon i sprowadzić uniform, broń, kapelusz, etc., słowem wszystko, co tworzy honorowego gwardzistę. Zabawne jest, że pani de Rênal uważała za nieostrożność kazać robić ubranie Juliana w Verrières. Chciała go zaskoczyć, jego i całe miasto.

Dokonawszy dzieła gwardii honorowej oraz przygotowania *nastrojów*, mer musiał się zająć ceremonią religijną: król nie chciał minąć Verrières, nie odwiedziwszy słynnej relikwii św. Klemensa przechowywanej w Bray-le-Haut, o milkę od miasta. Pożądany był liczny udział duchowieństwa, z czego wynikły wielkie trudności; ksiądz Maslon, nowy proboszcz, chciał za wszelką cenę uniknąć obecności księdza Chélan. Próżno pan de Rênal przedstawiał mu niebezpieczeństwo tego kroku. Margrabia de la Mole, którego przodkowie byli tak długo namiestnikami prowincji, towarzyszył królowi! Znał od trzydziestu lat księdza Chélan, spyta z pewnością o niego; dowiedziawszy się o dymisji, gotów odwiedzić go z całym orszakiem w jego ustroni. Cóż za policzek!

— Jeśli ten człowiek pojawi się wśród mego duchowieństwa — odparł proboszcz — jestem zhańbiony, tu i w Besançon. Jansenista, wielki Boże.

— Gadaj co chcesz, drogi proboszczu — mówił pan de Rênal — nie narażę rady miasta Verrieres na policzek pana de la Mole. Nie znasz go, na dworze jest pełen namaszczenia, ale tu na prowincji jest to nielitościwy kpiarz, żartowniś, rad, kiedy może, spłatać figla. Potrafiłby, ot, dla rozrywki, ośmieszyć nas w oczach liberałów.

Zaledwie w noc z soboty na niedzielę, po trzechdniowym zmaganiu się, ambicja księdza Maslon ugięła się wobec strachu mera przemienionego w odwagę. Trzeba było napisać słodki liścik do księdza Chélan z prośbą, aby zechciał wziąć udział w ceremonii, o ile podeszły wiek i niedomagania mu pozwolą. Ksiądz Chélan zażądał karty uczestnictwa dla Juliana, który miał mu towarzyszyć jako poddiakon.

W niedzielę od wczesnego rana tysiące mieszkańców, którzy ściągnęli z gór, zaległy ulice. Dzień był prześliczny. Wreszcie koło trzeciej w tłumie zapanował ruch; spostrzeżono wielki ogień na skale, o dwie mile od Verrieres. Sygnał ten zwiastował, że król wkroczył w granice departamentu. Zaczęto bić w dzwony; salwy starej hiszpańskiej armaty należącej do miasta również wyraziły radość z tego wydarzenia. Część ludności wdrapała się na dachy; wszystkie kobiety były na balkonach. Straż honorowa zaczęła się krzątać. Podziwiano świetne uniformy, każdy rozpoznawał krewnego, przyjaciela. Dworowano sobie z pana de Moirod, który ostrożnie, w każdej chwili gotów był chwycić się łęku u siodła. Ale jedno zjawisko przesłoniło wszystkie inne: pierwszy jeździec w dziewiątym szeregu, bardzo ładny szczupły chłopiec, którego zrazu nie poznano. Niebawem okrzyk zgorszenia u jednych, milczące zdumienie u drugich dały wyraz powszechnemu wrażeniu. W młodym człowieku dosiadającym jednego z normandów pana Valenod poznano młodego Sorela, syna cieśli. Podniósł się jeden krzyk oburzenia na mera, zwłaszcza wśród liberałów. Jak to! Dlatego że ten podły robociarz przebrany za kleryka jest preceptorem jego smarkaczy, odważa się wpychać go w gwardię honorową z uszczerbkiem tego lub owego z bogatych fabrykantów?

— Ci panowie — mówiła bankierowa — powinni by zrobić jakiś afront temu smarkaczowi urodzonemu w błocie.

— Ba! Kiedy urwis ma szablę — odpowiadał sąsiad — mógłby być na tyle niedelikatny i pokiereszować im gęby.

Uwagi wyższej sosjety były jeszcze jadowitsze. Damy pytały, czy ten gruby nietakt jest dziełem samego mera. Wzgarda jego dla ludzi niskiego pochodzenia była powszechnie znana i uznana.

Podczas gdy tyle języków strzępiło się na nim, Julian czuł się najszczęśliwszym z ludzi. Śmiały z natury, trzymał się na koniu lepiej niż większość młodych tubylców górskiego miasteczka. W oczach kobiet czytał, że o nim mowa.

Epolety jego bardziej błyszczały, ponieważ były nowe. Koń wspinał się co chwila; Julian był w upojeniu.

Szczęście jego nie miało granic, kiedy podczas defilady, w pobliżu starego szańca huk armatni wypłoszył jego konia z szeregów. Istnym cudem nie spadł; od tej chwili uczuł się bohaterem: był oficerem ordynansowym Napoleona i szarżował baterię.

Jedna osoba było szczęśliwsza od niego. Najpierw widziała go z okna ratusza, jak przejeżdżał; następnie wsiadłszy do powozu i czyniąc szybko wielkie koło przybyła na czas, aby z drżeniem ujrzeć, jak koń unosi Juliana z szeregów. Wreszcie puściwszy się galopem drugą bramą, zdołała dopaść drogi, którą król miał przybyć i mogła jechać o dwadzieścia kroków za strażą w tumanach dostojnego kurzu. Dziesięć tysięcy chłopa krzyczało: *Niech żyje król!* — gdy mer miał zaszczyt przemawiać do Jego Królewskiej Mości. W godzinę później, kiedy wysłuchawszy przemówień, król miał jechać dalej do miasta, armatka zaczęła walić w przyśpieszonym tempie. Ale zdarzył się wypadek; nie kanonierom, którzy przeszli szkołę pod Lipskiem i pod Montmirail, ale przyszłemu wicemerowi, panu de Moirod. Koń złożył go miękko w jedynej kałuży, jaka się znajdowała na gościńcu, co spowodowało zamęt, ponieważ trzeba go było wyciągnąć, aby powóz mógł przejechać.

Jego Królewska Mość wysiadła pod pięknym, nowym kościołem, który tego dnia przybrany był bogato karmazynowym suknem. Król miał spożyć obiad, a zaraz potem wsiąść z powrotem do powozu, aby odwiedzić czcigodną relikwię świętego Klemensa. Zaledwie król wszedł do kościoła, Julian puścił się z powrotem do domu. Tam złożył z westchnieniem błękitny mundur, szablę, epolety, aby przywdziać czarne wyświechtane

ubranko. Wsiadł z powrotem na konia i w kilka chwil znalazł się w Bray-le-Haut, na szczycie malowniczego wzgórza.

— Zapał mnoży tych chłopków — pomyślał. — W Verrières nie można się poruszać, a tu, dokoła tego starożytnego opactwa jest ich przeszło dziesięć tysięcy".

Kościół, wpół zrujnowany przez wandalizm Rewolucji, odbudowano z nastaniem Restauracji wspaniale i zaczynano bąkać o cudach. Julian odszukał księdza Chélan, który połajał go ostro i dał mu sutannę i komżę. Ubrał się spiesznie i obaj księdzem Chélan poszli do młodego biskupa z Agde. Był to siostrzeniec pana de la Mole, świeżo mianowany: on miał pokazać relikwie królowi. Ale nie podobna było odnaleźć biskupa.

Księża niecierpliwili się. Oczekiwali zwierzchnika w posępnym gotyckim klasztorze starego opactwa. Ściągnięto dwudziestu czterech proboszczów, iżby reprezentowali dawną kapitułę Bray-le-Haut składającą się przed 1789 z dwudziestu czterech kanoników. Nabiadawszy się trzy kwadranse nad młodością biskupa, księża uchwalili, aby ksiądz dziekan udał się do Jego Dostojności uprzedzić, że król przybędzie lada chwila i że czas byłby przejść na chór. Dziekanem był ksiądz Chélan dla swego podeszłego wieku; mimo iż nierad z Juliana, dał mu znak, aby się udał za nim. Julian nosił bardzo godnie swoją komeżkę. Za pomocą jakichś tajemnic eklezjastycznej toalety uczesał bujne faliste pukle zupełnie gładko; ale przez zapomnienie, które zdwoiło gniew księdza Chélan, pod fałdami sutanny można było dostrzec ostrogi gwardzisty.

U wejścia do apartamentów biskupa świetni lokaje, suto szamerowani złotem, ledwie raczyli odpowiedzieć staremu księdzu, że Jego Dostojność nie przyjmuje w tej chwili. Wyśmiano go, kiedy przedkładał, iż w charakterze dziekana szlachetnej kapituły Bray-le-Haut ma o każdej porze przywilej wstępu do celebrującego biskupa.

Zuchwalstwo lokajów oburzyło ambitnego Juliana. Przebiegł korytarze starego opactwa, próbując wszystkich drzwi, które napotkał. Jedne drzwiczki ustąpiły pod jego dłonią: Julian znalazł się w celi wśród pokojowców Jego Dostojności, czarno przybranych, z łańcuchami na szyi. Z pośpiechu Juliana sądzili, że przybywa na wezwanie biskupa i pozwolili mu przejść. Postąpił kilka kroków i znalazł się w wielkiej gotyckiej sali, bardzo ciemnej i wyłożonej czarnym dębem; z wyjątkiem jednego, okna sklepione w łuk były zamurowane. Nagie cegły stanowiły smutny kontrast ze starożytnym przepychem boazerii. Wzdłuż ścian tej sali, słynnej wśród burgundzkich antykwariuszy, a zbudowanej około 1470 przez Karola Śmiałego dla odpokutowania jakiegoś grzechu, ciągnęły się bogato zdobione drewniane stalle. Wyobrażone tam były w mozaice z różnokolorowego drzewa tajemnice Apokalipsy.

Ta melancholijna wspaniałość oszpecona widokiem nagich cegieł i świeżego tynku wzruszyła Juliana. Zatrzymał się w milczeniu. W drugim końcu sali, koło jedynego okna, przez które wnikało światło, ujrzał ruchome zwierciadło oprawne w mahoń. Młody człowiek w fioletowej sukni, w koronkowej komży, z gołą głową, stał przed lustrem. Sprzęt ten wydawał się dziwny w tym miejscu; przywieziono go zapewne z miasta. Julian zauważył, że młody człowiek ma minę poirytowaną; prawą ręką rozdawał poważne błogosławieństwa w stronę lustra.

„Co to może znaczyć? — pomyślał. — Czy ten młody księżyk dopełnia jakiej wstępnej ceremonii? To może sekretarz biskupa... Będzie niegrzeczny, jak ci lokaje... A no cóż, mniejsza! Próbujmy".

Ruszył naprzód i przebył dość wolno całą długość sali, wciąż z oczami zwróconymi w stronę, gdzie młody człowiek uroczystym gestem bez przerwy rozdawał tysiączne błogosławieństwa.

W miarę jak się zbliżał, mógł tym wyraźniej oglądać zagniewaną minę młodego księżyka. Na widok bogatej koronkowej komży zatrzymał się mimo woli o kilka kroków od wspaniałego zwierciadła.

„Obowiązkiem moim jest zagadać doń" — rzekł sobie wreszcie; ale piękność sali onieśmieliła go; przy tym z góry już czuł się przykro dotknięty opryskliwością, jakiej się spodziewał.

Młody człowiek, spostrzegłszy Juliana w lustrze, odwrócił się i wypogadzając twarz, rzekł łagodnie:

— I cóż, drogi panie, gotowe wreszcie?

Julian zdumiał się. W chwili, gdy młody człowiek się odwracał, Julian ujrzał krzyż na jego piersiach: był to biskup z Agde.

„Taki młody — pomyślał Julian — najwyżej sześć lub siedem lat starszy ode mnie!..."

I zawstydził się swoich ostróg.

— Wasza Dostojność — odparł nieśmiało — przychodzę z polecenia dziekana kapituły, księdza Chélan.

— A, tak! Bardzo gorąco mi go rekomendowano — rzekł biskup grzecznym tonem, który podwoił zachwyt Juliana. — Przepraszam bardzo, myślałem, że pan mi przyniósł infułę. Źle mi ją zapakowano w Paryżu; srebrna lama uszkodziła się mocno u wierzchołka, to będzie fatalnie wyglądało — dodał młody biskup smutnie — i jeszcze tak mi każą czekać.

— Jeśli Wasza Dostojność pozwoli, przyniosę infułę.

Piękne oczy Juliana zrobiły swoje.

— Proszę bardzo — odparł biskup z czarującą grzecznością — muszę ją mieć natychmiast. Przykro mi bardzo, że kapituła czeka.

W połowie sali Julian odwrócił się i spostrzegł, że biskup znowu się zabrał do rozdzielania błogosławieństw. „Co to być może? — myślał — to z pewnością jakieś duchowne przygotowanie do ceremonii". Wszedłszy do celi, w której siedzieli lokaje, ujrzał infułę w ich rękach. Ulegając bezwiednie rozkazującemu spojrzeniu Juliana powierzyli mu infułę Jego Dostojności.

Czuł się dumny, że ją niesie: szedł powoli, trzymał infułę z szacunkiem. Biskup siedział przed lustrem, ale od czasu do czasu prawa jego ręka, mimo iż znużona, udzielała błogosławieństwa. Julian pomógł mu włożyć infułę. Biskup potrząsnął głową.

— Będzie się trzymać — rzekł z zadowoleniem. — Zechce pan oddalić się nieco?

Biskup przeszedł szybko na środek, po czym, zbliżając się wolno do lustra, przybrał znowu stroskaną minę i zaczął poważnie rozdzielać błogosławieństwa.

Julian osłupiał i próbował zrozumieć, ale nie śmiał. Biskup zatrzymał się i spoglądając na chłopca z miną, która straciła nagle uroczysty wyraz, rzekł:

— Co pan powie o infule, dobrze siedzi?

— Bardzo dobrze, Wasza Dostojność.

— Nie zanadto w tył? To by wyglądało trochę głupkowato; ale znowu nie można jej nasuwać na oczy jak czako oficerskie.

— Zdaje mi się, że jest bardzo dobrze.

— Król przywykł widywać duchowieństwo czcigodne i zapewne bardzo poważne. Nie chciałbym, zwłaszcza z przyczyny mego wieku, wyglądać zbyt płocho.

I biskup zaczął się na nowo przechadzać, rozdając błogosławieństwa.

„To jasne — rzekł sobie Julian, ośmielając się wreszcie zrozumieć — ćwiczy się w błogosławieństwach".

Po paru chwilach, biskup rzekł:

— Jestem gotów. Niech pan zechce uprzedzić księdza dziekana i kapitułę.

Niebawem ksiądz Chélan w towarzystwie dwóch najstarszych księży wszedł przez wspaniałe rzeźbione drzwi, których Julian nie zauważył. Ale tym razem trzymał się na swoim miejscu, ostatni ze wszystkich i mógł oglądać biskupa jedynie poprzez ramiona księży, którzy cisnęli się tłumnie.

Biskup przeszedł z wolna salę; skoro stanął w progu, księża ustawili się procesjonalnie. Po krótkim zamieszaniu procesja ruszyła, intonując psalm. Biskup kroczył ostatni, między księdzem Chélan a drugim proboszczem starowiną. Julian wślizgnął się w pobliże Jego Dostojności jako przydzielony księdzu Chélan. Posuwali się długimi korytarzami, które mimo jarzącego słońca były ciemne i wilgotne. Wreszcie dotarli do przedsionka klasztoru. Julian olśniony był wspaniałością obrzędu. Ambicja rozbudzona młodym wiekiem biskupa, łagodność i doskonała grzeczność tego prałata wniosły zamęt w jego serce. Jakże odbijała ta grzeczność od grzeczności pana de Rênal, nawet gdy się starał być uprzejmy! „Im wyżej ku szczytom — myślał Julian — tym wyborniejszy wdzięk się spotyka".

Procesja weszła do kościoła bocznymi drzwiami; naraz straszliwy huk wstrząsnął starożytnym sklepieniem; Julian myślał, że mury się walą. Była to znowu armatka; przywie-

ziona przez osiem koni w galopie przybyła w tej chwili; w mig ustawiona i narządzona przez kanonierów spod Lipska waliła pięć razy na minutę, jak gdyby do Prusaków.

Ale ten wspaniały huk nie robił wrażenia na Julianie; nie myślał już o Napoleonie i o sławie wojskowej. „Tak młody — myślał — już biskup w Agde! Ale gdzie jest to Agde? Ile to przynosi? Dwieście, trzysta tysięcy franków?"

Lokaje Jego Dostojności zjawili się ze wspaniałym baldachimem; ksiądz Chélan ujął jeden drążek, w istocie jednak dźwigał go Julian. Biskup zajął miejsce pod sklepieniem. Osiągnął to, że wyglądał niemal sędziwie: Julian patrzył nań z bezgranicznym podziwem. „Czegóż nie można dokazać przy zręczności!" — myślał.

Wszedł król. Julian miał to szczęście, że widział go bardzo z bliska. Biskup przemówił z namaszczeniem, podkreślając starannie lekki odcień zmieszania, bardzo pochlebny dla Jego Królewskiej Mości. Nie będziemy powtarzali opisu ceremonii; dwa tygodnie wypełniały szpalty miejscowych dzienników. Z przemowy biskupa Julian dowiedział się, że król pochodzi od Karola Śmiałego.

Później przypadła Julianowi funkcja sprawdzenia rachunków uroczystości. Pan de la Mole, który uzyskał dla siostrzeńca infułę, wziął przez dworność wobec niego wszystkie koszta na siebie. Sama ceremonia w Bray-le-Haut kosztowała trzy tysiące osiemset franków.

Po przemowie biskupa i odpowiedzi króla monarcha zajął miejsce pod baldachimem, następnie zaś ukląkł pobożnie na poduszce koło ołtarza. Stalle wznosiły się o dwa stopnie nad posadzkę. Julian usiadł na najniższym stopniu u nóg księdza Chélan, niby paź u stóp kardynała w kaplicy Sykstyńskiej. Nastąpiło *Te Deum*, fale kadzidła, niezliczone salwy z muszkietów i armat; wieśniacy byli pijani ze szczęścia i pobożności. Taki dzień niweczy pracę stu numerów gazet jakobińskich.

Julian był o kilka kroków od króla, który w istocie utonął w modlitwie. Był to człowiek średniego wzrostu, o rozumnym spojrzeniu, ubrany skromnie, prawie bez haftów. Na tym prostym stroju widniała niebieska wstęga wysokiego orderu. Natomiast panowie ze świty mieli ubranie tak zahaftowane złotem, że, jak mówił Julian, nie było widać materii. Jeden z nich, jak się dowiedział w chwilę później, był to margrabia de la Mole. Na oko wydał mu się dumny, nawet wzgardliwy.

„Margrabia nie byłby tak grzeczny jak ów śliczny biskupek — myślał. — O, tak, stan duchowny daje rozum i słodycz. Ale król przybył, aby oglądać relikwie, a ja tu żadnej relikwii nie widzę. Gdzie może być święty Klemens?"

Młody kleryk stojący obok objaśnił go, że czcigodna relikwia znajduje się na górze, w *gorejącej kaplicy*.

„Co to jest gorejąca kaplica?" — pomyślał Julian.

Ale nie chciał pytać i patrzał ze zdwojoną uwagą.

W razie odwiedzin panującego etykieta nie pozwala, aby kanonicy towarzyszyli biskupowi. Ale ruszając w pochód do *gorejącej kaplicy*, biskup skinął na księdza Chélan; Julian ośmielił się iść za nim.

Przebywszy długie schody, dotarli do małych, ale wspaniale wyzłoconych drzwiczek; wyglądały na to, że przepych ich datuje ledwie od wczoraj. Przed drzwiami klęczały dwadzieścia cztery dziewczęta z najprzedniejszych rodzin w Verrières. Nim otworzono drzwi, biskup ukląkł wśród tych ładnych dziewczątek. Modlił się głośno, one zaś nie mogły dość napodziwiać jego pięknych koronek, jego wdzięku, jego młodej i słodkiej twarzy. Widok ten oszołomił do reszty naszego bohatera; w tej chwili byłby się bił za inkwizycję i to szczerze. Naraz otworzyły się drzwi. Kapliczka ukazała się zalana światłem. Na ołtarzu płonęło przeszło tysiąc świec w ośmiu szeregach oddzielonych bukietami; Słodki zapach najczystszego kadzidła wychodził kłębami z sanktuarium. Kaplica, wyzłocona świeżo, była mała, ale bardzo wysoka. Julian zauważył na ołtarzu świece mające przeszło piętnaście stóp. Dziewczęta nie mogły wstrzymać okrzyku podziwu. Do przedsionka wpuszczono tylko dwadzieścia cztery dziewczęta, dwóch proboszczów i Juliana.

Niebawem wszedł król samotrzeć[27] z panem de la Mole i wielkim ochmistrzem. Nawet straż została zewnątrz, na klęczkach, prezentując broń. Wówczas dopiero Julian,

[27]*samotrzeć* (daw.) — sam w towarzystwie dwóch osób; we trzech.

przylepiony do złoconych drzwi, ujrzał ponad obnażone ramię młodej panny śliczny posążek św. Klemensa. Był ukryty pod ołtarzem, w stroju młodego rzymskiego żołnierza: na szyi miał szeroką krwawą ranę. Artysta przeszedł tu sam siebie. Gasnące, ale pełne wdzięku oczy były przymknięte. Lekki puszek zdobił czarujące usta, które wpół otwarte jeszcze zdawały się modlić. Na ten widok młoda panna klęcząca obok zalała się gorącymi łzami; jedna łza padła na rękę Juliana.

Po chwili modłów wśród najgłębszej ciszy, zmąconej jedynie odległym dźwiękiem dzwonów w sąsiednich wsiach na dziesięć mil wkoło, biskup poprosił króla, aby mu wolno było przemówić. Niedługą, bardzo wzruszającą mówkę zakończył słowami prostymi, ale sprawiającymi tym niezawodniejsze[28] wrażenie.

— Nie zapominajcie nigdy, młode chrześcijanki, żeście widziały jednego z największych królów świata na kolanach przed sługami wszechmocnego i straszliwego Boga. Owi słudzy, słabi, prześladowani, mordowani na ziemi, jak to widzicie z krwawiącej jeszcze rany św. Klemensa, święcą triumf w niebie. Nieprawdaż, młode chrześcijanki, zapamiętacie na zawsze ten dzień, będziecie nienawidziły bezbożników? Zawsze będziecie wierne temu wielkiemu, straszliwemu, ale tak dobremu Bogu.

Z tymi słowy biskup podniósł się z powagą.

— Przyrzekacie? — rzekł, wyciągając natchnionym gestem ramię.

— Przyrzekamy — odparły dziewczęta, zalewając się łzami.

— W imię straszliwego Boga przyjmuję wasze przyrzeczenie! — dodał biskup grzmiącym głosem. Ceremonia skończyła się.

Sam król płakał. Dopiero w długi czas później Julian ochłonął na tyle, aby spytać, gdzie znajdują się kości świętego przysłane z Rzymu Filipowi drugiemu, księciu Burgundii. Pouczono go, że są ukryte w ślicznej woskowej figurze.

Jego Królewska Mość raczyła pozwolić panienkom, które towarzyszyły Jej do kaplicy, aby nosiły czerwoną wstążkę z wyhaftowanym napisem: *Nienawiść bezbożnikom, wiekuista adoracja*.

Pan de la Mole kazał rozdać między wieśniaków dziesięć tysięcy butelek wina. Wieczorem w Verrières liberałowie iluminowali okna sto razy wspanialej niż rojaliści. Przed odjazdem król złożył wizytę panu de Moirod.

XIX. MYŚL RODZI CIERPIENIE

Pocieszność codziennych wydarzeń zasłania wam wprawdzie niedole namiętności.

Barnave

Przywracając do dawnego porządku meble w pokoju, który zajmował pan de la Mole, Julian znalazł ćwiartkę grubego papieru złożoną we czworo. Wyczytał na pierwszej stronicy u dołu:

> *Do J. E.*[29] *margrabiego de la Mole, para Francji, kawalera orderów, etc.*[30]*, etc.*

Było to podanie wypisane niewprawnym pismem kucharki.

> „Jaśnie wielmożny Panie Margrabio!
>
> Całe życie byłem wierny zasadom religii. Przebyłem bombardowanie Lyonu w czasie oblężenia, w roku haniebnej pamięci 1793. Przyjmuję komunię, bywam co niedzielę na mszy w parafialnym kościele. Nigdy nie poniechałem wielkanocnej spowiedzi; nawet w ohydnej pamięci roku 1793. Kucharka moja (przed rewolucją miałem liczną służbę!) pości co piątek. Cieszę się w Verrières powszechnym i, mogę powiedzieć, zasłużonym szacunkiem. Na procesji idę pod baldachimem obok księdza proboszcza i pana mera. W wielkie uroczystości niosę grubą świecę, zakupioną z własnych funduszów. Świadectwa na to wszystko znajdują się w Paryżu w ministerium

[28] *niezawodniejsze* — dziś popr.: bardziej niezawodne.
[29] *J. E.* — Jego Ekscelencji.
[30] *etc.* (łac. *et caetera*) — i tak dalej, i tym podobne.

finansów. Upraszam J. W. margrabiego o powierzenie mi kantoru loterii w Verrières, który niebawem zawakuje w ten czy inny sposób, ile że dzierżawca jego jest chory, przy tym głosuje nielojalnie podczas wyborów, etc.

De Cholin".

Na marginesie dopisek pana de Moirod:

„Miałem zaszczyt przemówić wczoraj w przedmiocie niniejszej prośby etc."

„Tak więc nawet ten głupiec de Cholin wskazuje mi drogę, po której należy iść" — rzekł do siebie Julian.

W tydzień po przyjeździe króla wśród niezliczonych kłamstw, wniosków, pociesznych dyskusji, których przedmiotem byli kolejno król, biskup, margrabia de la Mole, dziesięć tysięcy butelek wina, katastrofa pana de la Moirod, który w nadziei orderu przesiedział w domu cały miesiąc po wypadku, najdłużej była komentowana niewłaściwa obecność Juliana Sorel, syna cieśli, w gwardii honorowej.

Trzeba było posłuchać na ten temat zbogaconych[31] fabrykantów, którzy od rana do wieczora aż chrypli w kawiarniach, rozprawiając o równości! To owa wyniosła dama, pani de Rênal, była sprawczynią tej ohydy. A powód? Ładne oczy i świeży buziak młodego kleryka dopowiadały reszty.

Wkrótce po powrocie do Vergy najmłodszy z chłopców, Stanisław, dostał gorączki. Panią de Rênal ogarnęły straszliwe zgryzoty sumienia. Pierwszy raz zaczęła się zastanawiać nad swą miłością i wyrzucać ją sobie; zrozumiała jakby cudem ogrom występku, do jakiego dała się pociągnąć. Mimo że z natury religijna, do tej chwili nie pomyślała, czym jest jej zbrodnia w obliczu Boga.

Niegdyś, w *Sacré-Coeur*, kochała Boga z całą namiętnością; teraz drżała przed nim w ten sam sposób. Walki rozdzierające jej duszę były tym straszliwsze, iż umykały się zupełnie działaniu rozumu. Julian przekonał się, że najlżejsze rozumowanie drażni ją miast uspakajać: widziała w nim podszept diabelski. Ponieważ i Julian kochał małego Stasia, lepiej rozumieli się, rozmawiając o jego chorobie. Niebawem przybrała ona poważny charakter. Wówczas nieustanne wyrzuty odjęły pani de Rênal wręcz możność snu; zacięła się w jakimś upartym milczeniu; gdyby otwarła usta, to po to, aby wyznać swą zbrodnię przed Bogiem i ludźmi.

— Zaklinam cię — powtarzał Julian, gdy zostali sami — nie mów do nikogo; niech ja sam będę powiernikiem twych cierpień. Jeśli mnie kochasz jeszcze, milcz; twoje słowa nie zmniejszą gorączki biednego Stasia.

Ale perswazje zostały bez skutku; pani de Rênal mówiła sobie, że aby uśmierzyć gniew zazdrosnego Boga, trzeba jej znienawidzić Juliana albo też być przygotowaną na śmierć syna. Czuła, że nie może znienawidzić kochanka i dlatego była tak nieszczęśliwa.

— Uchodź ode mnie — rzekła jednego dnia — na miłość boską, opuść ten dom: to twoja obecność zabija mego syna. Bóg mnie karze — dodała ciszej — on jest sprawiedliwy, korzę się przed jego sprawiedliwością: zbrodnia moja jest straszna i ja żyłam w niej bez wyrzutów! To pierwszy znak, że Bóg mnie opuścił: mam być podwójnie ukarana.

Julian był głęboko wzruszony; nie mógł w tym widzieć obłudy ani przesady. „Ona myśli, że zabija syna, kochając mnie, a jednak nieszczęśliwa kocha mnie więcej niż syna. Nie ma wątpliwości, zgryzota ją zabija; oto zaprawdę wielkie uczucie. Jakim cudem zdołałem natchnąć taką miłość ja biedny, bez wychowania, nieokrzesany, czasem tak gminny, tak brutalny?"

Jednego dnia z chłopcem było bardzo źle. Około drugiej w nocy pan de Rênal zaszedł go odwiedzić. Dziecko trawione gorączką było bardzo czerwone i nie poznało ojca. Naraz pani de Rênal rzuciła się do stóp męża: Julian uczuł, że wyzna wszystko i zgubi się na zawsze.

Szczęściem wybuch ten zniecierpliwił pana de Rênal.

— Dobranoc, dobranoc — rzekł, odchodząc.

— Nie, słuchaj mnie — wykrzyknęła klęcząc i siląc się go zatrzymać. — Dowiedz się prawdy. To ja zabiłam syna. Dałam mu życie i odbieram mu je. Niebo mnie karze;

[31] *zbogacony* — dziś: wzbogacony.

w oczach Boga winna jestem mordu. Muszę się zgubić, upokorzyć siebie samą, może ta ofiara ułagodzi Stwórcę.

Gdyby pan de Rênal miał trochę lotniejszą wyobraźnię, domyśliłby się wszystkiego.

— Romantyczne baśnie! — zawołał, usuwając żonę, która siliła się objąć jego kolana. — Romantyczne baśnie! Julianie, każ pan zawołać doktora o świcie.

I poszedł spać. Pani de Rênal osunęła się wpół zemdlona, odpychając konwulsyjnym ruchem Juliana, który chciał jej przyjść z pomocą.

Julian zdumiał się.

„Więc to jest wiarołomstwo! — rzekł do siebie. — Byłoby możliwe, aby ci księża, tacy szalbierze... mieli słuszność? Oni, którzy popełniają tyle grzechów, czyżby posiadali przywilej prawdziwej teorii grzechu? Dziwna rzecz!..."

Upłynęło dwadzieścia minut, jak pan de Rênal odszedł; Julian patrzał na ukochaną kobietę klęczącą z głową wspartą o łóżeczko, martwą, prawie bezprzytomną.

„Oto kobieta o niepospolitej duszy znalazła się w otchłani nieszczęścia dlatego, że mnie poznała, myślał. Godziny mkną szybko. Co mogę dla niej uczynić? Trzeba się zdobyć na coś. Nie chodzi tu już o mnie. Co mi ludzie i ich płaskie błazeństwa! Co mogę zrobić dla niej?... Opuścić ją? Zostawiłbym ją na pastwę najstraszliwszej boleści. Mąż, ten bezduszny bałwan, raczej zaszkodziłby jej, niż pomógł. Brutal zrani ją jakim twardym słowem, kobieta może popaść w szaleństwo, rzuci się z okna. Jeśli ją opuszczę, jeśli przestanę czuwać nad nią, wyzna wszystko. I kto wie, mimo spadku, jaki mu żona wniesie, ten człowiek byłby zdolny zrobić skandal. Gotowa wszystko powiedzieć, wielki Boże! temu drabowi Maslon, który, pod pozorem choroby sześcioletniego dziecka, nie rusza się z tego domu, i nie bez intencji! Ona w swoim bólu i lęku przed Bogiem zapomina wszystkiego, co wie o człowieku, widzi jedynie kapłana".

— Idź stąd — rzekła nagle pani de Rênal, otwierając oczy.

— Dałbym tysiąc razy życie, aby ci pomóc — odparł Julian; — nigdy cię tyle nie kochałem, drogi aniele, lub raczej dopiero od tej chwili zaczynam cię ubóstwiać tak, jak zasługujesz. Co ja pocznę z dala od ciebie i ze świadomością, żeś nieszczęśliwa przeze mnie! Ale nie mówmy o moich cierpieniach. Wyjadę, tak, ukochana moja. Ale jeśli cię opuszczę, jeśli przestanę czuwać nad tobą, być wciąż między tobą a mężem, powiesz mu wszystko, zgubisz się. Pomyśl, on wygna cię haniebnie z domu; całe Verrières, Besançon będą mówić o tym skandalu. Zwalą na ciebie wszystko; nigdy w życiu nie podźwigniesz się z hańby...

— Chcę tego — wykrzyknęła, wstając. — Będę cierpiała, tym lepiej.

— Ale przez taki okropny skandal unieszczęśliwisz i jego!

— Ale upokorzę się sama, rzucę się w błoto; w ten sposób może ocalę dziecko. To poniżenie w oczach wszystkich to może publiczna pokuta. O ile mnie nędznej wolno o tym sądzić, czyż to nie jest największe poświęcenie, jakie mogę uczynić Bogu?... Może raczy przyjąć moje upokorzenie i wróci mi syna! Wskaż mi cięższą jaką ofiarę, a spełnię ją natychmiast.

— Pozwól mnie, abym się ukarał. Jam także winien. Chcesz, bym wstąpił do trapistów? Surowość tej reguły zdoła może przebłagać twego Boga?... Och, Boże, czemu nie mogę wziąć na siebie choroby Stasia!...

— Och, ty go kochasz — rzekła pani de Rênal, rzucając się w jego ramiona.

W tej samej chwili odtrąciła go ze zgrozą.

— Wierzę ci, wierzę — mówiła, padłszy na nowo na kolana — o mój jedyny przyjacielu! Czemu nie jesteś ojcem Stasia! Wówczas nie byłoby straszliwym grzechem kochać cię więcej niż twego syna.

— Pozwolisz mi, bym został i abym odtąd kochał cię jak brat? To jedyna rozsądna pokuta; nią zdołamy przebłagać gniew Najwyższego.

— Ale ja — wykrzyknęła, wstając, ujmując w dłonie głowę Juliana i przyciągając ją do siebie — ja, czy potrafię kochać cię jak brata? Czy jest w mej mocy kochać cię jak brata?

Julian zalał się łzami.

— Będę cię słuchał — mówił u jej stóp — będę cię słuchał, co bądź rozkażesz; to jedno mi pozostało. Duch mój grzęźnie w ciemnościach; nie widzę drogi. Jeśli cię opuszczę, powiesz wszystko mężowi, zgubisz siebie i jego. Nigdy po takim ośmieszeniu

nie wybiorą go posłem. Jeśli zostanę, będziesz we mnie widziała przyczynę śmierci syna i umrzesz z boleści. Chcesz spróbować, jak podziała na ciebie mój wyjazd? Jeśli chcesz, skarżę się za naszą winę tygodniową rozłąką. Spędzę ten czas, gdzie każesz, w klasztorze na przykład: ale przysięgnij, że w czasie mej nieobecności nic nie wyznasz mężowi. Pomyśl, że nie będę mógł wrócić, jeżeli powiesz...

Przyrzekła; Julian opuścił dom, ale po dwóch dniach wezwała go z powrotem.

— Nie podobna mi bez ciebie dotrzymać przysięgi. Powiem wszystko mężowi, jeśli ciebie nie będzie wciąż tutaj, aby mi wzrokiem nakazywać milczenie. Każda godzina tego strasznego życia trwa dla mnie całą dobę.

Wreszcie niebo ulitowało się nad nieszczęśliwą matką; Stasiowi przestało grozić niebezpieczeństwo. Ale stało się; pani de Rênal objęła myślą rozmiar występku, nie mogła już odzyskać równowagi. Wyrzuty zostały i stały się tym, czym musiały być w tak prostym sercu. Życie było dla niej niebem i piekłem; piekłem, kiedy nie widziała Juliana, niebem, kiedy był u jej nóg.

— Nie mam złudzeń — mówiła w chwilach upojenia — jestem przeklęta, przeklęta bez ratunku. Tyś młody, uległeś mym pokusom, niebo ci przebaczy; ale ja jestem stracona. Mam tego nieomylny znak, boję się; któż by się nie bał, widząc przed sobą piekło. Ale w głębi nie żałuję: popełniłabym na nowo swój błąd, gdyby to było możebne. Niech tylko niebo nie karze mnie na tym świecie i nie ściga w mych dzieciach, a będę miała więcej niż zasługuję. Ale ty bodaj, Julianie — wołała kiedy indziej — czy jesteś szczęśliwy? Czy uważasz, że dosyć cię kocham?

Nieufność i drażliwość Juliana, który łaknął nad wszystko miłości heroicznej, nie ostały się wobec tak wielkiego, tak oczywistego i ciągłego poświęcenia. Ubóstwiał panią de Rênal. „Mimo że szlachcianka, a ja syn robotnika, kocha mnie... Nie jestem dla niej lokajem podniesionym do funkcji kochanka". Wyzbywszy się tej obawy, Julian pogrążył się we wszystkie szaleństwa miłości, w jej śmiertelne niepokoje.

— Gdybym bodaj mogła ci dać szczęście przez ten krótki czas, który mamy przed sobą! — wołała, widząc, że wątpi o jej miłości. — Spieszmy się, jutro może już nie będę twoją. Jeśli niebo ugodzi mnie w dzieciach, próżno siliłabym się żyć, kochać cię, nie widzieć, że to twoja zbrodnia je zabija. Nie przeżyłabym tego. Gdybym chciała nawet, nie mogłabym, oszalałabym. Och! Gdybym mogła wziąć na siebie twój grzech, jak ty chciałeś tak szlachetnie wziąć gorączkę Stasia!

Ten wstrząs moralny zmienił charakter uczuć Juliana. Miłość jego nie była już tylko podziwem dla piękności, dumą posiadania. Szczęście ich wzbiło się o wiele wyżej; płomień, który ich pożerał, zyskał jeszcze na sile. Miewali chwile graniczące z szaleństwem. Ale nie odnaleźli już rozkosznej słodyczy, błogości bez chmurki, pogodnego szczęścia pierwszej epoki ich miłości, kiedy jedyną troską pani de Rênal było to, że Julian nie dość ją kocha. Szczęście ich miało niekiedy coś ze zbrodni.

W najsłodszych, najspokojniejszych na pozór chwilach, pani de Rênal wykrzykiwała nagle:

— Och! Wielki Boże! Widzę piekło! — i ściskała konwulsyjnie rękę Juliana. — Cóż za straszliwe męki! Ach, zasłużyłam na nie! — Ściskała go, tuląc się doń jak bluszcz do muru.

Próżno silił się Julian uspokoić tę oszalałą duszę. Brała go za rękę, okrywała pocałunkami. I znowu popadała w posępne majaki.

— Piekło — mówiła — piekło byłoby dla mnie dobrodziejstwem; miałabym jeszcze na ziemi jakiś czas z nim przed sobą; ale piekło na tym świecie, śmierć dzieci... Jednak za tę cenę może by mi odpuszczono zbrodnię... Och! Wielki Boże, nie chcę łaski za tę cenę. Te biedne dzieci nie obraziły cię: to ja, ja sama jestem winna: kocham człowieka, który nie jest moim mężem!

Czasami następowały chwile pozornego spokoju. Pani de Rênal siliła się panować nad sobą; nie chciała zatruwać życia ukochanemu.

Wśród tych kolejnych przypływów miłości, zgryzoty i rozkoszy dnie mijały z szybkością błyskawicy. Julian stracił nałóg zastanawiania się.

Panna Eliza wybrała się z powodu jakiegoś drobnego procesu do Verrières. Spotkała pana Valenod, który miał Juliana mocno na wątrobie. Ona sama nienawidziła Juliana i często natrącała o nim dyrektorowi przytułku.

— Zgubiłby mnie pan, gdybym powiedziała całą prawdę!... — rzekła jednego dnia do pana Valenod. — Gdzie chodzi o ważne rzeczy, tam państwo trzymacie z sobą... Nie przebacza się biednym sługom, jeśli zdradzą pewne tajemnice...

Po tych zwykłych ceregielach, które podrażniona ciekawość pana Valenod umiała skrócić, dygnitarz ten dowiedział się rzeczy nader dotkliwych dla swej miłości własnej.

Kobieta najdystyngowańsza w okolicy, którą od sześciu lat otaczał takimi względami, i to, nieszczęściem, z wiedzą i na oczach całego świata; kobieta tak dumna, której lekceważenie przyprawiło go tyle razy o rumieniec, pasowała na swego kochanka czeladnika przebranego za preceptora. I — aby nic nie brakło upokorzeniu pana Valenod — pani de Rénal ubóstwia tego kochanka!

— Co więcej, dodawała służąca z westchnieniem — pan Julian nie raczył nawet zabiegać się o to, nie porzucił wobec pani zwykłej swej obojętności.

Eliza zyskała pewność tego dopiero na wsi, przypuszcza jednak, że romans zaczął się o wiele dawniej.

— Dlatego to z pewnością — dodawała z żalem — nie chciał swego czasu ożenić się ze mną. A ja, głupia, radziłam się pani de Rênal, prosiłam ją, aby pomówiła z preceptorem!

Tego samego dnia pan de Rênal otrzymał wraz z dziennikami długi anonimowy list objaśniający go najszczegółowiej o wszystkim, co się dzieje w domu. Julian spostrzegł, że czytając ten list skreślony na sinym papierze, pan de Rênal blednie i obrzuca go nienawistnym spojrzeniem. Przez cały wieczór mer nie zdołał ochłonąć; próżno Julian starał się go rozchmurzyć, wypytując o genealogię pierwszych rodzin w okolicy.

XX. ANONIMY

Du not give d'alliance,
Too much the rein, the strongest
oaths are straw,
To the fire i'the blood.

Tempest.

Opuszczając salon koło północy, Julian zdołał szepnąć kochance:

— Nie przychodź do mnie dziś w nocy, mąż podejrzewa nas; przysiągłbym, że ten duży list, który czytał z tak chmurną miną, to anonim.

Szczęściem Julian zamykał się na klucz. Pani de Rênal powzięła szaloną myśl, że ta przestroga była jedynie pozorem dla uniknięcia schadzki. Straciła zupełnie głowę: o zwykłej porze przyszła pod drzwi. Słysząc hałas w korytarzu, Julian zgasił natychmiast lampę. Ktoś silił się otworzyć drzwi: pani de Rênal czy zazdrosny mąż?

Nazajutrz bardzo wcześnie kucharka, życzliwa Julianowi, przyniosła mu książkę: na okładce widniało co następuje, skreślone po włosku: *Guardate alla pagina 130.*

Julian zadrżał na widok tej nieostrożności, otworzył na wskazanej stronicy i znalazł przypięty szpilką list, pisany w pośpiechu, oblany łzami i pełen ortograficznych błędów. Zazwyczaj pani de Rênal pisała bardzo poprawnie; wzruszony tym szczegółem, Julian zapomniał nieco o jej strasznej nierozwadze.

„Nie chciałeś mnie wpuścić tej nocy? Bywają chwile, w których zdaje mi się, że nie zdołam nigdy zajrzeć w głąb twej duszy. Spojrzenia twoje przerażają mnie. Boję się ciebie. Wielki Boże! Możeś ty mnie nigdy nie kochał? W takim razie niech mąż dowie się o naszym stosunku, niech mnie zamknie w więzieniu, na wsi, z dala od dzieci. Może Bóg tak chce. Umrę rychło; ale ty będziesz potworem.

Nie kochasz mnie? Znużony jesteś mym szaleństwem, mymi wyrzutami, ty, bezbożny? Chcesz mnie zgubić? Dam ci łatwy sposób. Pokaż ten list w całym Verrières, albo raczej tylko panu Valenod. Powiedz mu, że cię kocham; ale nie, nie wymawiaj takiego bluźnierstwa; powiedz mu, że cię ubóstwiam, że życie zaczęło się dla mnie dopiero od dnia, gdy cię ujrzałam; że w najszaleńszych pragnieniach młodości nie śniłam nawet

o szczęściu, jakie ci zawdzięczam; że poświęciłam ci życie, duszę. Wiesz, że poświęcam ci daleko więcej.

Ale czy ten człowiek wie, co to poświęcenie? Powiedz mu, powiedz, aby go podrażnić, że ja gardzę ludzką złośliwością, że istnieje dla mnie na świecie jedno tylko nieszczęście, stracić serce jedynego człowieka, który mnie trzyma przy życiu. Cóż za szczęściem byłoby dla mnie stracić to życie, złożyć je w ofierze i nie drżeć już o dzieci.

Bądź pewny, jedyny mój, jeśli był jaki anonim, pochodzi on od tego wstrętnego człowieka, który przez sześć lat prześladował mnie swoim grubym głosem, przechwałkami z jazdy konnej, swą głupią i nadętą zarozumiałością!

Czy był jaki anonim? Ty niedobry, o tym właśnie chciałam mówić z tobą; ale nie, dobrze zrobiłeś. Tuląc cię w ramionach, może ostatni raz, nie byłabym zdolna do chłodnego zastanowienia, na jakie zdobyłam się w samotności. Od tej chwili szczęście nasze nie będzie już tak łatwe. Czy to będzie przykrość dla ciebie? Może; w dni, w których nie dostaniesz od pana Fouqué jakiej ciekawej książki. Zdobyłam się na poświęcenie; jutro, czy istnieje anonim czy nie, ja też powiem mężowi, że otrzymałam anonim i że trzeba natychmiast wynagrodzić cię hojnie, znaleźć przyzwoity pozór i odesłać cię bezzwłocznie do rodziców.

Ach, jedyny mój, rozstaniemy się na dwa tygodnie, miesiąc może! Och! Wierzę, chcę wierzyć, że będziesz cierpiał tyle co ja. Ale to jedyny sposób, aby sparaliżować ów anonim; nie pierwszy to, jaki mąż otrzymał o mnie. Ach, dawniej śmiałby się z tego!

Plan mój ma jeden tylko cel; przekonać męża, że list pochodzi od Valenoda; nie wątpię zresztą, że tak jest w istocie. Skoro opuścisz dom, udaj się do Verrières; postaram się, aby i mąż wybrał się tam na jakie dwa tygodnie, by dowieść głupcom, że nic nie zaszło między tobą a nim. Znalazłszy się w Verrières, nawiąż stosunki ze wszystkimi, nawet z liberałami; wiem, że kobiety będą cię rozrywały.

Nie szukaj zwady z Valenodem: ani nie myśl o żadnym *obcinaniu uszu*, jak się odgrażałeś kiedyś; owszem bądź dlań najuprzejmiejszy. Trzeba, aby gadano w Verrières, że masz wstąpić do Valenodów lub do innego domu jako preceptor.

Tego mąż nie zniesie. A gdyby nawet się z tym pogodził, będziesz mieszkał w Verrières, chłopcy moi, którzy cię tak kochają, będą cię odwiedzali od czasu do czasu. Boże wielki! Czuję, że bardziej kocham moje dzieci dlatego, że one ciebie kochają. Co za męka! Jak się to wszystko skończy?... Zmysły tracę... słowem, wiesz jak postępować; bądź miły, grzeczny, uprzejmy dla tych chamów, błagam cię na kolanach: w ich rękach będzie nasz los. Bądź przekonany, że w postępowaniu z tobą mąż nagnie się do tego, co mu każe *opinia publiczna*.

Ty masz mi dostarczyć anonimu: uzbrój się w cierpliwość i nożyczki. Powykrawaj z książki słowa, które ci nakreślę, naklej je potem na arkuszu sinego papieru, który dołączam; mam go od pana Valenod. Bądź przygotowany na rewizję; spal resztę książki, z której powycinasz słowa. Jeśli nie znajdziesz całych słów, miej cierpliwość złożyć je litera po literze. Aby ci umniejszyć trudu, ułożyłam list aż nazbyt krótki. Ach, jeśli mnie już nie kochasz — a obawiam się tego — jakże długi wyda ci się mój własny.

> ANONIM
> *Pani!*
> *Wszystkie twoje intryżki są znane; ale uprzedzono już osoby, które powołane są, aby je poskromić. Przez resztkę przyjaźni dla pani wzywam cię, abyś zerwała z tym parobczakiem. Jeżeli zdobędziesz się na ten rozsądny krok, mąż pomyśli, iż ostrzeżenie, które otrzymał jest fałszem, i nikt nie wyprowadzi go z błędu. Pomnij, że mam twoją tajemnicę; drżyj, nieszczęśliwa; odtąd będziesz tak tańczyć, jak ja ci zagram.*

Skoro skończysz naklejać ten list (czy poznajesz styl dyrektora?) wyjdź z domu, postaram się spotkać z tobą.

Udam się w stronę wsi i wrócę niby zmęczona: ach, i będę w istocie! Wielki Boże! Na co ja się narażam, a wszystko tylko dlatego, że, *jak ci się zdaje*, ów list to był anonim! Wzruszona, oburzona, oddam mężowi ten list wręczony mi rzekomo przez nieznajomego. Ty wybierz się z dziećmi do lasu i nie wracaj aż na obiad.

Z wysokości skał możesz dostrzec wieżę gołębnika. Jeśli sprawy obrócą się dobrze, wywieszę białą chusteczkę; w przeciwnym razie nie będzie nic.

Czy serce twoje, niewdzięczny, nie znajdzie przed tą przechadzką sposobu powiedzenia mi, że mnie kochasz? Co bądź się zdarzy, bądź pewien jednego: nie przeżyję ani o dzień naszej ostatecznej rozłąki. Och! Zła matka ze mnie; ale te dwa słowa są dla mnie tylko czczym dźwiękiem, drogi Julianie. Nie czuję ich, jedynie o tobie mogę myśleć w tej chwili, napisałam je jedynie, abyś mnie nie potępiał. Teraz, kiedy za chwilę mogę cię stracić, po cóż udawać? Tak, choćby dusza moja miała ci się wydać ohydną, nie chcę kłamać przed człowiekiem, którego ubóstwiam. Za wiele już oszukiwałam w życiu. Jeśli mnie już nie kochasz, przebaczam ci. Nie mam czasu odczytać listu. Nic to dla mnie opłacić życiem szczęsne dni spędzone w twych ramionach. Wiesz, że będą mnie kosztowały więcej".

XXI. ROZMOWA Z PANEM

Alas, our fyrailty is the cause, not we;
Tor such as we are made of, such we be.

Twelfth Night.

Z dziecinną przyjemnością Julian składał przez godzinę wyrazy. Wychodząc z pokoju spotkał chłopców oraz panią de Rênal; wzięła list z prostotą i spokojem, który go przeraził.

— Guma dosyć wyschła? — spytała.

„Czy to jest owa kobieta, którą wyrzuty doprowadziły do szaleństwa? — pomyślał. — Co ona zamyśla w tej chwili?" Zbyt dumny był, aby spytać; ale nigdy może nie wydała mu się tak urocza.

— Jeśli rzecz źle się obróci — dodała z tą samą zimną krwią — zabiorą mi wszystko. Niech pan ukryje ten skarbczyk w jakiej dziupli; będzie to może kiedyś moja jedyna ucieczka.

Wręczyła mu safianowe pudełko zawierające złoto i nieco brylantów.

— Idźcie teraz — rzekła.

Uściskała chłopców, najmłodszego dwa razy, Julian stał nieruchomo. Pani de Rênal oddaliła się szybko, nie patrząc nań.

Od chwili otrzymania anonimu pan de Rênal męczył się straszliwie. Tak wzruszony nie był nawet przed pojedynkiem, którego omal nie miał w 1816; trzeba mu oddać sprawiedliwość, perspektywa kuli mniej by go uczyniła nieszczęśliwym. Oglądał list ze wszystkich stron. Czy to nie jest pismo kobiece, dumał; w takim razie, co za kobieta mogła to pisać? Przechodził myślą wszystkie znajome w Verrières, nie mogąc ustalić podejrzeń. Miałżeby ten list dyktować mężczyzna? Ale kto? Taż sama niepewność: większość osób, które znał, zazdrościły mu, ba, nienawidziły go zapewne. „Trzeba się poradzić żony" — rzekł sobie z przyzwyczajenia, podnosząc się z fotelu, w którym osunął się bezwładnie.

— Boże wielki! — wykrzyknął, uderzając się w czoło — toż przed nią zwłaszcza trzeba się mieć na baczności; ona jest moim wrogiem w tej chwili. Z rozdrażnienia łzy stanęły mu w oczach.

Przez słuszną odpłatę za oschłość serca, która stanowi treść całej prowincjonalnej mądrości, dwaj ludzie, których w tej chwili pan de Rênal najwięcej się obawiał, byli jego najserdeczniejszymi przyjaciółmi.

„Prócz nich mam może jeszcze z dziesięciu przyjaciół — i szacował w myśli stopień pociechy, jakiej mógłby się po nich spodziewać. — Wszystkim! Wszystkim — powtarzał z wściekłością — moja okropna przygoda sprawi przyjemność". Szczęściem czuł, że to zazdrość, i nie bez racji. Prócz wspaniałego domu w mieście, uświetnionego świeżo noclegiem króla, miał ślicznie urządzony pałacyk w Vergy: biała fasada, zielone okiennice. Myśl o tych przepychach pocieszyła go na chwilę. Faktem jest, że pałac widać było na parę mil wokoło, ku wielkiemu przygnębieniu wszystkich dworów wiejskich, czyli tak zwanych pałaców w sąsiedztwie, którym pozostawiono ich skromną, szarą barwę nadaną przez patynę czasu.

Pan de Rênal mógł liczyć na łzy i współczucie jednego tylko z przyjaciół, skarbnika parafii; ale ten tuman płakał nad wszystkim. Druh ten był wszelako jedyną jego ucieczką.

— Czy może być ktoś nieszczęśliwszy ode mnie? — wykrzyknął wściekły. — Cóż za osamotnienie! Czy podobna — powtarzał ten człowiek, w istocie godzien pożałowania — czy podobna, abym w tej niedoli nie miał jednego przyjaciela, którego bym się mógł poradzić? Zmysły tracę, czuję to! Ach! Falcoz! Ach! Ducros!

Były to nazwiska dwóch przyjaciół z dzieciństwa, których odstręczył butą swoją w roku 1814. Nie byli szlachtą, nie mógł tedy ścierpieć nadal poufałości, w jakiej żył z nimi od dziecka.

Jeden z nich, Falcoz, rozumny i tęgi człowiek, kupiec papieru w Verrières, nabył drukarnię w stolicy departamentu i założył dziennik. Kongregacja postanowiła go zrujnować; zamknięto mu dziennik, odebrano koncesję. W tych ciężkich opałach spróbował napisać do pana de Rênal pierwszy raz od dziesięciu lat. Mer dał odpowiedź godną dawnego Rzymianina. „Gdyby pan minister uczynił mi ten zaszczyt i spytał o zdanie, odpowiedziałbym: Zniszcz bez litości wszystkie prowincjonalne drukarnie, stwórz monopol druku, jak istnieje monopol tytoniu". Dziś pan de Rênal przypomniał sobie ze zgrozą ten list do serdecznego przyjaciela, list, który całe Verrières podziwiało w swoim czasie. „Kto by rzekł, iż, przy moim stanowisku, majątku, orderach, pożałuję go kiedyś?" W tych paroksyzmach gniewu, to na siebie, to na całe otoczenie, spędził okropną noc; ale na szczęście nie przyszło mu do głowy szpiegować żonę.

„Przywykłem do Ludwiki — powiadał sobie — zna wszystkie moje interesy; gdybym mógł się ożenić choćby jutro, nie potrafiłbym jej zastąpić". Za czym chętnie zwracał się ku myśli, że żona jest niewinna; takie stanowisko nie zmuszało go do okazywania charakteru i w ogóle było o wiele wygodniejsze: ileż to kobiet spotwarzono niewinnie!

— Jak to! — wykrzykiwał nagle znowu, biegając gorączkowo po pokoju — mamż ścierpieć, jak gdybym był jakim chłystkiem, hołyszem, aby ona natrząsała ze mnie z kochankiem?! Mam czekać, aż całe Verrières zacznie sobie opowiadać baśnie o mej ślepocie? Czegóż nie nagadano się o takim Charmier? — (był to mąż notorycznie oszukiwany przez żonę) — Skoro go wspomnieć, czyż uśmiech nie pojawia się na wszystkich wargach? Jest dobrym adwokatem, czy wspomni kto o jego wymowie? „A, Charmier!", powiadają, „ten Charmier od Bernarda": tak go nazywają od nazwiska człowieka, który go okrył hańbą!

„Dzięki niebu — mówił sobie pan de Rênal innym razem — nie mam córki: kara, jaką wymierzę matce, nie zaszkodzi przyszłości mych dzieci. Mogę przydybać tego chłopaka z żoną i zabić ich oboje: w tym wypadku tragizm przygody uwolni mnie może od śmieszności". Ta myśl uśmiechnęła się panu de Rênal; rozważył ją we wszystkich szczegółach. „Kodeks jest za mną; w razie czego kongregacja, przyjaciele zasiadający jako przysięgli wykręciliby mnie". Obejrzał ostry nóż myśliwski; ale wzdrygnął się na myśl o krwi.

„Mogę oćwiczyć batami chłystka i wypędzić go: ale cóż za skandal w Verrières, w departamencie! Po zamknięciu dziennika Falcoza, kiedy naczelny redaktor wyszedł z więzienia, postarałem się go wysadzić z miejsca przynoszącego mu sześćset franków. Powiadają, że ten pismak ośmielił się znów wypłynąć w Besançon; może mnie opisać tak zręcznie, iż nie podobna mi będzie go pozwać. Pozwać!... Bezczelnik na tysiąc sposobów da do zrozumienia, że mówił prawdę. Człowieka dobrze urodzonego, szanującego swoje stanowisko, nienawidzą wszyscy plebejusze. Wezmą mnie na języki te plugawe dzienniki paryskie; o mój Boże! cóż za ohyda! starożytne imię Rênalów w kałuży śmieszności. Gdybym gdzie wyjeżdżał, trzeba by mi zmienić nazwisko; jak to! rzucić to nazwisko, które stanowi mą chwałę i siłę. Cóż za otchłań!

Jeśli nie zabiję żony i wypędzę ją haniebnie, ma ciotkę w Besançon, która jej odda ciepłą ręką cały majątek. Pojedzie sobie do Paryża z Julianem; dowie się o tym całe Verrières i znowuż wyjdę na durnia".

Nieszczęśliwy człowiek spostrzegł po blednącym świetle lampy, że świta. Wyszedł do ogrodu odetchnąć nieco powietrzem. W tej chwili prawie był zdecydowany nie robić skandalu, głównie dla tej przyczyny, że skandal napełniłby radością jego serdecznych przyjaciół.

Przechadzka uspokoiła go nieco.

— Nie — wykrzyknął — nie mogę rozstać się z żoną, zanadto mi jest potrzebna

Wyobraził sobie ze zgrozą, czym byłby dom bez żony; miał za całe krewieństwo[32] jedynie margrabinę de R., starą, głupią i złą.

Ta tak roztropna myśl błysła mu wprawdzie, ale wykonanie wymagało siły charakteru o wiele wyższej niż ta, którą nieborak rozporządzał. „Jeśli zostanę z żoną — myślał — znam siebie: jednego dnia, skoro mnie czym podrażni, wypowiem jej wszystko. Ona jest dumna, poróżnimy się i to zanim odziedziczy po ciotce! Wówczas dopiero będą sobie kpić ze mnie! Żona kocha dzieci, wszystko z czasem przejdzie na nie, a ja będę pośmiewiskiem całego Verrières. Jak to, powiedzą, nie umiał się nawet zemścić! Czy nie lepiej poprzestać na podejrzeniach i nie dochodzić bliżej? Ale wówczas wiążę sobie ręce i nie będę mógł jej w przyszłości nic wyrzucić".

W chwilę potem zraniona próżność znowuż przychodziła do głosu. Pan de Rênal przypomniał sobie szczegółowo anegdoty cytowane w *Kasynie* albo w *Kole szlacheckim* w Verrières, kiedy który z żartownisiów przerwał pulę, aby się zabawić kosztem jakiego zdradzonego męża. Jakże mu się w tej chwili koncepty wydały okrutne!

„Boże! Dlaczego ona nie umarła! Byłbym wówczas bezpieczny od wszelkiej śmieszności. Czemuż nie jestem wdowcem! Spędzałbym pół roku w Paryżu, w najlepszym towarzystwie... — tej chwili rojeń o szczęsnym wdowieństwie myśl jego wróciła do sposobów zdobycia prawdy. — A gdyby tak o północy, kiedy wszyscy się udadzą na spoczynek, rozsypać otręby pod drzwiami Juliana? nazajutrz, o świcie, zostałby odcisk kroków?"

— Bzdurstwo! — wykrzyknął nagle z wściekłością. — Szelma Eliza zauważy otręby i w całym domu będą gadać, że jestem zazdrosny.

W innej anegdocie opowiadanej w *Kasynie*, mąż stwierdził zdradę, umocowując za pomocą odrobiny wosku włos, który zamykał niby pieczęcią drzwi żony i kochanka.

Ten sposób wydał mu się stanowczo najlepszy; układał już w głowie, jak się nim posłużyć, kiedy na zakręcie alei ujrzał tę żonę, którą chciał widzieć na marach.

Wracała ze wsi. Poszła wysłuchać mszy w kościele w Vergy. Tradycja bardzo niepewna w oczach krytycznego filozofa, ale wiarygodna dla pani Rênal utrzymuje, że kościółek ów był niegdyś kaplicą zamkową pana de Vergy. Wyobrażała sobie bez ustanku, jak mąż niby przypadkiem zabija na polowaniu Juliana, a potem wieczorem daje jej serce kochanka do zjedzenia.

„Los mój — rzekła sobie — zależy od jego pierwszego wrażenia. Po tym nieszczęsnym kwadransie nie znajdę już może sposobności do rozmowy. To nie jest człowiek działający z rozwagi; potrafię tedy przy pomocy mego słabego rozsądku przewidzieć, co on zrobi albo powie. On rozstrzygnie o naszym wspólnym losie; władza jest w jego ręku. Ale ten los spoczywa w mej zręczności, w zdolności pokierowania tym gwałtownikiem, który zaślepiony gniewem, nie widzi nic koło siebie. Wielki Boże! Trzeba mi sprytu, zimnej krwi, skąd ich wziąć?"

Wchodząc do ogrodu i widząc z dala męża, odzyskała jakby czarami spokój. Włosy i ubiór w nieładzie świadczyły, że spędził noc bezsennie.

Podała mu list rozpieczętowany, ale złożony. Pan de Rênal, nie otwierając, spoglądał na żonę błędnymi oczami.

— Patrz — rzekła — oto ohyda, którą mi wręczył jakiś człowiek, niedaleko ogrodu rejenta. Utrzymywał, że cię zna i że ci jest winien wdzięczność. Żądam od ciebie jednej rzeczy: abyś odesłał i to bez zwłoki tego pana Juliana do rodziców.

Pani de Rênal wyrzekła to zdanie z pośpiechem, za wcześnie nawet może, aby się uwolnić od straszliwej myśli, że ma je powiedzieć.

Ogarnęła ją radość na widok radości, jaką sprawiła mężowi. Z uporczywego spojrzenia, jakie w nią wlepiał, odgadła, że domysł Juliana był prawdziwy. Zamiast się trapić prawdziwym nieszczęściem, myślała: „Cóż za inteligencja! Co za doskonałe odczucie, i to w młodym niedoświadczonym chłopcu! Do czegóż on dojdzie z czasem! Ach, wówczas, wśród swoich triumfów, zapomni o mnie".

Ten przelotny akt uwielbienia dla ubóstwianego kochanka rozproszył do reszty jej pomieszanie. Czuła się dumna ze swego kroku. „Byłam godna Juliana" — powtarzała sobie ze słodką i cichą rozkoszą.

---

[32]*krewieństwo* — krewni, rodzina.

Nie mówiąc ni słowa z obawy, aby się nie wiązać, pan de Rênal obejrzał ów drugi anonim, ułożony, jeżeli czytelnik sobie przypomina, z literek naklejonych na sinym papierze.

„Wszyscy drwią sobie ze mnie — pomyślał z uczuciem znużenia. — Znów jakieś zniewagi, a wciąż z powodu żony!"

Omal że jej nie rzucił w twarz najbrutalniejszych obelg; myśl o besansońskim spadku ledwie zdołała go wstrzymać. Potrzebując wywrzeć gniew na czymś, zgniótł papier i zaczął się przechadzać wielkimi krokami. Po jakimś czasie wrócił do niej już spokojniejszy.

— Trzeba się zdobyć na stanowczy krok i oddalić Juliana — rzekła — ostatecznie to tylko syn robotnika. Załagodzisz go paru talarami; zresztą to chłopak z głową, znajdzie bez trudu miejsce, na przykład u pana Valenod albo u podprefekta. Nie stanie mu się wtedy krzywda.

— Ot, gadasz jak głupia! — wykrzyknął pan de Rênal straszliwym głosem. — Skądże zresztą spodziewać się rozumu po kobiecie? Nigdy nie zainteresujesz się niczym rozsądnym; skąd miałybyście coś wiedzieć? Lenicie się, gnijecie, ożywiacie się jedynie wtedy, gdy idzie o łapanie motyli!... Et, marne stworzenia, które na nasze nieszczęście trzeba nam cierpieć w domu!

Pani de Rênal dała mu się wygadać; gadał też jak najęty. Pozwoliła mu się wyburzyć.

— Mężu — rzekła wreszcie — mówię jak kobieta obrażona w swoim honorze, to znaczy w tym, co ma najcenniejszego.

Przez cały czas przykrej rozmowy, od której zależała możliwość dalszego życia pod jednym dachem z Julianem, pani de Rênal zachowała niezmąconą zimną krew. Szukała najlepszej drogi do opanowania ślepego gniewu męża. Była obojętna na wszystkie obelgi, nie słyszała ich: myślała o Julianie. „Czy będzie ze mnie zadowolony?"

— Ten chłopak, któregośmy obsypali względami, a nawet podarkami, może być niewinny — rzekła wreszcie — niemniej jednak jest przyczyną pierwszej zniewagi, jaka mnie spotkała. Słuchaj: kiedy przeczytałam ten ohydny papier, postanowiłam sobie, że albo on, albo ja opuścimy ten dom.

— Chcesz wywołać skandal, aby zniesławić mnie i siebie? Dostarczysz żeru plotkarzom w całym Verrières.

— To prawda, zazdroszczą ci rozumu, powodzenia, tak w życiu publicznym jak prywatnym... Dobrze więc! Wpłynę na Juliana, aby cię poprosił o miesiąc urlopu; niech jedzie do tego drwala w górach. Ot, godny przyjaciel parobczaka.

— Ani się waż — rzekł pan de Rênal dość spokojnie. — Pierwsza rzecz, której żądam, to abyś z nim nie mówiła. Uniosłabyś się i poróżniłabyś mnie z nim: wiesz dobrze, jaki ten panicz jest drażliwy.

— Ten chłopak nie ma taktu — odparła pani de Rênal. — Może być uczony, ty się znasz na tym; ale w gruncie, to prosty chłop. Co do mnie, nigdy nie miałam o nim dobrego pojęcia od czasu, jak odrzucił rękę Elizy — prawdziwy los dla takiego chłystka! — i to pod pozorem, że ona czasami po kryjomu odwiedza pana Valenod.

— A! — rzekł pan de Rênal, podnosząc wysoko brwi — Julian ci to mówił?

— Nie, nie wprost... mówił zawsze o swym powołaniu do stanu duchownego; ale wierzaj mi, pierwszym powołaniem tych hołyszów, to mieć pewny chleb. Dawał mi wszelako dość wyraźnie do zrozumienia, że te tajemne wizyty nie są mu obce.

— A ja, ja nie wiedziałem o nich! — wykrzyknął znowu pan de Rênal. — Dzieją się u mnie w domu rzeczy, o których nie wiem... Jak to? Jest coś między Elizą a panem Valenod?

— Ech! To stara historia, mój drogi — rzekła, śmiejąc się, Pani de Rênal. — Może nic tam nie było znów tak złego. To z tych czasów, kiedy twój przyjaciel Valenod nie byłby od tego, aby w Verrières myślano, że między nim a mną istnieje mały stosuneczek... Och, bardzo platoniczny...

— Przychodziło mi to na myśl — wykrzyknął pan de Rênal, uderzając z wściekłością w czoło przy tym nowym odkryciu. — I tyś mi nic nie mówiła?

— Miałamż różnić dwóch przyjaciół dla próżnostki kochanego dyrektora? Czy jest w towarzystwie choć jedna kobieta, do której by nie napisał paru dwornych, nawet czułych liścików?

— Co! Pisał do ciebie?

— On tak wiele pisuje...

— Pokaż mi te listy natychmiast, ja każę!... (Pan de Rênal urósł o sześć stóp).

— Niech Bóg broni — odparła łagodnie, niemal obojętnie — pokażę ci kiedyś, kiedy będziesz spokojniejszy.

— Natychmiast, do krocset! — wykrzyknął pan de Rênal pijany gniewem, a mimo to dziwnie szczęśliwy.

— Przysięgniesz mi — rzekła pani de Rênal bardzo poważnie — że nigdy się nie poróżnisz z dyrektorem z powodu tych listów?

— Poróżnię się czy nie, mogę mu odebrać dom podrzutków — ciągnął z wściekłością. — Chcę mieć natychmiast te listy; gdzie są?

— W moim sekretarzyku; ale możesz być pewny, że nie dostaniesz klucza.

— Potrafię wyłamać zamek — rzekł, biegnąc do pokoju żony.

Rozbił w istocie żelazną sztabą kosztowny mahoniowy sekretarzyk sprowadzony z Paryża, który nieraz wycierał połą surduta, kiedy spostrzegł na nim najmniejszą plamę.

Pani de Rênal przebiegła pędem sto dwadzieścia stopni wiodących na szczyt gołębnika i przywiązała białą chusteczkę do kraty. Nie posiadała się ze szczęścia. Ze łzami w oczach spoglądała w stronę lesistej góry. „Spod któregoś z tych rozłożystych buków — myślała — Julian wygląda sygnału". Długo nadstawiała ucha, przeklinając monotonny głos polnych koników i ćwierkanie ptaków. Gdyby nie ten natrętny hałas, doleciałby tu może okrzyk radości od skał! Chciwe oko pani de Rênal pożerało ten zwał ciemnej i jednostajnej jak łąka zieloności, jaki tworzyły wierzchołki drzew. „Że jemu nie przyszło do głowy — myślała wzruszona — znaleźć jakiś sygnał dla wyrażenia, że podziela me szczęście!" Zeszła z gołębnika dopiero wówczas, kiedy się zlękła, że mąż może jej szukać.

Zastała go wściekłym. Przebiegał ckliwe frazesy pana Valenod, nieprzywykłe do tego, aby je ktoś czytał z takim wzruszeniem. Korzystając z chwilowej pauzy między wykrzyknikami męża, pani de Rênal rzekła:

— Wracam wciąż do mojej myśli, trzeba, aby Julian znikł na jakiś czas z oczu. Mimo swej łaciny, to ostatecznie chłop, często nieokrzesany i bez taktu. Raz po raz sądząc, że się okaże grzeczny, pali mi strzeliste komplementy, których uczy się na pamięć z jakiegoś romansu...

— Nie czytuje romansów — wykrzyknął pan de Rênal. — Upewniłem się o tym. Czy sądzisz, że jestem ślepy i że nie wiem, co się dzieje w domu?

— Zatem, jeżeli nigdzie nie wyczytał tych głupich komplementów, w takim razie sam je wymyśla, to jeszcze gorzej. Musiał odzywać się o mnie w tym tonie w Verrières... a nie szukając tak daleko — dodała pani de Rênal z miną taką, jakby robiła odkrycie — musiał tak mówić wobec Elizy, to znaczy jak gdyby wobec pana de Valenod.

— Ha! — wykrzyknął pan de Rênal, waląc w stół z taką siłą, że wszystko się zatrzęsło w pokoju. — Dzisiejszy anonim i listy Valenoda są na jednym papierze.

„Nareszcie!..." — pomyślała pani de Rênal; po czym, jak gdyby zmiażdżona tym odkryciem i nie mając siły dodać ani słowa, siadła na kanapie w głębi.

Bitwa była wygrana; zaledwie z wielkim trudem zdołała Pani de Rênal wstrzymać męża od rozmówienia się ze sprawcą anonimu.

— Jak ty nie czujesz, że robić panu Valenod scenę bez dostatecznych dowodów byłoby szczytem niezręczności? Zazdroszczą ci; i czyja w tym wina? Twoich zdolności: twoja roztropna administracja, budowy pełne smaku, posag, jaki ci wniosłam, a zwłaszcza spadek, którego się spodziewam po ciotce — spadek, którego ludzie przeceniają rozmiary! — uczyniły z ciebie pierwszą osobistość w Verrières.

— Zapominasz o urodzeniu — rzekł pan de Rênal z lekkim uśmiechem.

— Należysz do najstarszej szlachty w okolicy — podjęła skwapliwie pani de Rênal. — Gdyby król miał wolną rękę i mógł sprawiedliwie nagradzać urodzenie, zasiadłbyś z pewnością w Izbie parów etc. I ty, zajmując taką pozycję, chcesz dostarczyć zawiści plotek? Wspomnieć panu Valenod o anonimie, znaczy obwieścić w całym Verrières, co mówię, w Besançon, w całej okolicy, że ten łyk dopuszczony, niebacznie może, do poufałości z *Rênalem* zdołał go obrazić. Gdyby listy, które znalazłeś, dowodziły, że cię zdradziłam z panem Valenod, powinien byś mnie zabić, zasługiwałabym na to tysiąc razy, ale i wówczas nie powinien byś okazać gniewu. Pomyśl, że wszyscy wkoło czekają tylko sposob-

ności, aby się pomścić za twą wyższość; pomyśl, że w 1816 przyczyniłeś się do pewnych aresztowań... Ten człowiek, który się schronił na dach...

— Ty nie masz dla mnie ani szacunku, ani przyjaźni — wykrzyknął pan de Rênal z całą goryczą, jaką rozbudziło w nim podobne wspomnienie. — I nie zostałem parem!

— A ja myślę — odparła z uśmiechem pani de Rênal — że będę kiedyś bogatsza od ciebie, że jestem twoją żoną od dwunastu lat, i że z tych wszystkich tytułów powinnam mieć prawo głosu, zwłaszcza w dzisiejszej sprawie. Jeśli przekładasz nade mnie takiego pana Juliana — dodała ze źle ukrywanym podrażnieniem — jestem gotowa wyjechać na całą zimę do ciotki.

Słowa te powiedziane były z akcentem bardzo szczęśliwym. Kryła się w nich stanowczość pod uprzejmą formą; przekonały pana de Rênal. Ale jak typowy mieszkaniec prowincji, gadał jeszcze długo, powtarzając w kółko argumenty. Żona pozwoliła mu się wygadać, gdyż w głosie jego wciąż jeszcze dźwięczał gniew. Wreszcie dwie godziny bezużytecznego mielenia wyczerpały tego człowieka, który całą noc miotał się w paroksyzmach gniewu. Ustalił linię postępowania wobec pana Valenod, Juliana, nawet Elizy.

Małżeństwo, Mąż, Pozycja społeczna, Kobieta, Mężczyzna, Żona

Parę razy podczas tej długiej sceny pani de Rênal żal się robiło tego nieboraka, z którym przeżyła zgodnie dwanaście lat. Ale prawdziwa namiętność jest samolubna. Przy tym oczekiwała ciągle przyznania się męża do listu anonimowego, jaki otrzymał w wilię, a zwierzenie to nie nadchodziło. Pani de Rênal nie czuła się bezpieczna, nie znając myśli nurtujących człowieka, od którego zależał jej los. Na prowincji mężowie są panami opinii. Mąż, który się skarży, ośmiesza się (rzecz z każdym dniem coraz mniej niebezpieczna we Francji!), ale żona, o ile mąż nie da jej pieniędzy, spada do rzędu wyrobnic za kilkadziesiąt groszy dziennie, a i to jeszcze dobre dusze wzdragają się dawać jej zarobek.

Odaliska w seraju może ze wszystkich sił kochać sułtana; jest wszechpotężny, ona zaś nie ma żadnej nadziei umknąć się za pomocą drobnych sztuczek jego władzy. Zemsta pana jest straszna, krwawa, ale rycerska, wspaniałomyślna; jeden cios kończy wszystko. W XIX wieku mąż zabija żonę ciężarem wzgardy publicznej, zamyka jej drzwi salonów.

Skoro pani de Rênal znalazła się u siebie, obudziło się w niej tym żywiej poczucie niebezpieczeństwa: uderzył ją nieład w pokoju. Strzaskano zamki przy najładniejszych szkatułkach i puzderkach; podważono kilka desek w posadzce. „Byłby dla mnie bez litości — pomyślała. — Zepsuć tak mozaikową, posadzkę, którą tak lubił; kiedy które z dzieci stąpi na nią w wilgotnych trzewikach, on czerwieni się z gniewu! Zniszczona zupełnie".

Widok tego brutalstwa[33] rozproszył ostatnie wyrzuty, jakie sobie czyniła z powodu swego zbyt łatwego zwycięstwa. Na chwilę przed dzwonem obiadowym Julian wrócił z dziećmi. Przy deserze, po odejściu służby pani de Rênal rzekła doń sucho:

— Wspominał mi pan, że pragnąłbyś spędzić dwa tygodnie w Verrières: otóż pan de Rênal godzi się udzielić panu urlopu. Może pan jechać, kiedy się panu podoba. Aby zaś chłopcy nie tracili czasu, co dzień będzie pan otrzymywał ich wypracowania do przejrzenia.

— Tak — rzekł pan de Rênal cierpko — ale zwalniam pana nie dłużej niż na tydzień.

Julian wyczytał w jego twarzy niepokój i udrękę.

— Nic jeszcze nie postanowił — rzekł do kochanki, skoro na chwilę zostali sami w salonie.

Pani de Rênal opowiadała mu śpiesznie, co zdziałała w ciągu rana.

— Dziś w nocy bliższe szczegóły — dodała, śmiejąc się.

„O przewrotności kobieca! — pomyślał Julian. — Co za przyjemność, co za instynkt pcha je ku temu, aby nas oszukiwać?"

— Mam wrażenie, że miłość oświeca cię i zaślepia równocześnie — rzekł z pewnym chłodem. — Postępowanie twoje dzisiejsze jest cudowne; ale czy to rozsądnie chcieć widzieć się wieczór? Dom pełen jest wrogów: pomyśl o nienawiści, jaką pała do mnie Eliza.

— Ta nienawiść bardzo jest podobna do gwałtownej obojętności, jaką ty pałasz do mnie.

[33] *brutalstwo* — dziś: brutalność.

— Nawet w razie obojętności winien jestem ratować cię z niebezpieczeństwa, w jakie cię pogrążyłem. Jeżeli przypadkowo pan de Rênal weźmie na spytki Elizę, w dwóch słowach dowie się wszystkiego. Może się zaczaić koło mego pokoju uzbrojony...

— Jak to! Więc nawet odwagi!... — rzekła pani de Rênal, w której zbudziła się dumna szlachcianka.

— Nie zniżę się nigdy do tego, aby mówić o swojej odwadze — rzekł Julian — to nikczemność. Niechaj świat sądzi z czynów. Ale — dodał, ujmując ją za rękę — ty nie masz pojęcia, jaki jestem do ciebie przywiązany i jakim szczęśliwy, że mogę się pożegnać z tobą przed tym okrutnym rozstaniem.

XXII. METODY Z ROKU 1830

O. Malagrida.

Ledwie przybywszy do Verrières Julian zaczął sobie wyrzucać swą niesprawiedliwość względem pani de Rénal. „Pogardzałbym nią jako słabym kobieciątkiem, gdyby przez brak odwagi zawiodła w scenie z mężem. Wywiązała się z niej jak skończony dyplomata i oto ja staję po stronie pokonanego, który jest mym wrogiem. Ot, mieszczańskie sentymenty: próżność moja czuje się obrażona, ponieważ pan de Rênal jest mężczyzną! Dostojna i liczna korporacja, do której mam zaszczyt należeć: ot, głupiec ze mnie".

Ksiądz Chélan, usunąwszy się z plebanii, nie przyjął gościny, jaką mu na wyprzódki ofiarowali najwybitniejsi liberałowie w miasteczku. Dwa pokoje, które wynajął, zawalone były książkami. Julian, chcąc podnieść jeszcze powagę księdza w Verrières, wziął od ojca tuzin sosnowych desek i zaniósł je sam na grzbiecie przez całą główną ulicę. Pożyczył od dawnego kolegi narzędzi i rychło sporządził półki, na których pomieścił książki księdza Chélan.

— Myślałem, że próżności świeckie zepsuły cię — rzekł starzec, płacząc z radości. — Czyn ten okupuje w zupełności dziecinne zachcenie owego błyszczącego munduru gwardzisty, który ci zrobił tylu nieprzyjaciół.

Pan de Rênal kazał Julianowi zamieszkać u niego w domu. Nikt nie domyślał się tego, co zaszło. Trzeciego dnia w pokoju Juliana zjawił się ni mniej, ni więcej, jak tylko sam pan podprefekt. Ledwie po dwóch godzinach czczej gadaniny, jeremiad na temat niegodziwości ludzkiej, niesumienności w szafowaniu groszem publicznym, niebezpieczeństwach biednej Francji, etc., etc., wyjechał z istotnym celem wizyty. Już byli na schodach, biedny na wpół zdegradowany bakałarz odprowadził z należytym szacunkiem przyszłego prefekta jakiegoś szczęśliwego departamentu, kiedy nagle dygnitarz zaczął się troszczyć o los Juliana, chwalić jego umiarkowanie, bezinteresowność, etc. Wreszcie z ojcowskim gestem zaproponował mu, aby opuścił pana de Rênal i przyjął miejsce u pewnego urzędnika, który ma dzieci do *edukowania*. Nauczyciel otrzymałby osiemset franków pensji płatnych nie miesięcznie („to nie jest *dystyngowane*" — dodał pan Maugiron), ale kwartalnie i zawsze z góry.

Z kolei zabrał głos Julian, który od półtorej godziny czekał znudzony, aż będzie się mógł odezwać. Odpowiedź jego była wzorowa, a zwłaszcza długa jak list pasterski; pozwalała się wszystkiego domyślać, a jednak nic nie mówiła jasno. Był tam i szacunek dla pana de Rênal, i cześć dla mieszkańców Verrières, i wdzięczność dla dostojnego podprefekta. Dygnitarz, zdumiony, że trafił na większego jezuitę od siebie, próżno starał się zeń wydobyć coś określonego. Julian, uszczęśliwiony tym ćwiczeniem, podjął na nowo swą odpowiedź w innych wyrazach. Nigdy wymowny minister, korzystając z końca posiedzenia, kiedy większość Izby już drzemie, nie zawarł mniej treści w obfitszych słowach. Ledwie pan de Maugiron wyszedł, Julian zaczął się śmiać jak szalony. Aby skorzystać ze swego jezuickiego rozpędu, napisał do pana de Rênal list na dziesięć stronic, w którym zdawał mu sprawę ze wszystkiego, prosząc pokornie o radę. „Hultaj nie wymienił osoby czyniącej tę propozycję! — myślał Julian. — To z pewnością Valenod, który wygnanie moje uważa za następstwo anonimu".

Wysławszy list, Julian, rad niby myśliwiec, który o szóstej rano w piękny jesienny dzień sunie równiną obfitująca w zwierzynę, wyszedł, aby się poradzić księdza Chélan. Ale nim doszedł do proboszcza, niebo, jak gdyby gotując mu nowe rozkosze, skierowało

na jego drogę pana Valenod. Julian nie ukrywał mu swej dusznej rozterki: biedny chłopiec jak on powinien cały się oddać powołaniu, które niebo tchnęło w jego serce; ale powołanie to jeszcze nie wszystko na tym padole. Aby pracować w winnicy pańskiej i stać się godnym światłych współpracowników, trzeba nauki: trzeba przebyć seminarium w Basançon. Te dwuletnie studia są bardzo kosztowne: trzeba by robić oszczędności, o co łatwiej przy ośmiuset frankach płatnych kwartalnie niż przy sześciuset, które się przejada z miesiąca na miesiąc. Z drugiej strony niebo, powierzając mu młodych de Rênal, a zwłaszcza rodząc w nim osobliwe do nich przywiązanie, czyż nie wskazuje mu, że nie powinien szukać innej drogi?...

Julian doszedł do takiej doskonałości w tym rodzaju wymowy, która zastąpiła energię Cesarstwa, że w końcu znudził go dźwięk własnego głosu.

Wróciwszy do domu, zastał lokaja pana Valenod w pełnej liberii: szukał go po całym mieście z listem zapraszającym na obiad.

Julian nigdy nie był w domu tego człowieka; jeszcze kilka dni wprzódy, łamał sobie głowę nad tym, jakby mu wygrzmocić skórę, nie narażając się na znajomość z policją poprawczą. Mimo że obiad był o pierwszej, Julian uważał, że lepiej wyrazi swój szacunek, zjawiając się już o wpół do pierwszej w gabinecie pana dyrektora. Zastał go w całym blasku dostojeństwa, wśród mnóstwa tek i papierów. Wielkie czarne bokobrody, bujne włosy, grecka czapeczka nieco na bakier, olbrzymia fajka, haftowane pantofle, grube złote łańcuszki krzyżujące się na piersi, cały ten przepych prowincjonalnego finansisty, który się ma za zjadacza serc, nie olśniły Juliana: tym goręcej myślał o kijach, które mu w duchu ślubował.

Poprosił o ten zaszczyt, aby go przedstawiono pani Valenod; kończyła toaletę i nie mogła go przyjąć. W zamian za to miał przyjemność asystować toalecie dyrektora. Następnie przeszli do pani Valenod, która ze łzami w oczach przedstawiła Julianowi dzieci. Dama ta, jedna z najznaczniejszych w Verrières, miała dużą, męską twarz, silnie na tę uroczystość ubarwioną różem. Rozwinęła cały patos macierzyństwa.

Julian myślał o pani de Rênal. Nie chciał dopuścić w sobie innych wspomnień prócz tych, które się rodzą z kontrastu: ale to wystarczyło, aby go wprawić w roztkliwienie. Wygląd domu dyrektora spotęgował jeszcze to wrażenie. Oprowadzano go po pokojach. Wszystko było tam wspaniałe i nowe; wymieniano cenę każdego przedmiotu. Ale Julian czuł w tym coś plugawego, coś, co trąciło pieniądzem. Wszystko, aż do służby nawet zdawało się nadrabiać miną, aby się obronić od wzgardy.

Poborca podatków, dyrektor podatków pośrednich, oficer żandarmerii i jeszcze paru urzędników przybyło z żonami. Oznajmiono obiad. Julian, już bardzo nieswój, pomyślał, że za ścianą jadalni, znajdują się biedni więźniowie, że na ich porcjach oszczędzono może środki do nabycia tego całego niesmacznego zbytku, którym go chciano olśnić.

„Może oni są tam głodni w tej chwili?" — myślał; gardło mu się ściskało, nie mógł ani jeść, ani mówić. Gorzej jeszcze było za kwadrans; w oddali rozległy się dźwięki popularnej piosenki — trzeba przyznać, nieco plugawej — śpiewanej przez jednego z więźniów. Pan Valenod spojrzał na lokaja w szamerowanej liberii: sługus wyszedł i niebawem śpiew ustał. Równocześnie służący nalewał Julianowi wino reńskie do zielonego kieliszka, przy czym pani Valenod uważała za stosowne objaśnić, że wino to kosztuje na miejscu po dziesięć franków butelka. Julian, trzymając w ręku zielony kieliszek, zagadnął pana Valenod:

— Przestali śpiewać tę bezczelną piosenkę?

— Tam do licha! Myślę sobie — odparł dyrektor triumfalnie — kazałem zamknąć gęby hołocie.

Odezwanie to dobiło Juliana: posiadł obejście, ale nie posiadł jeszcze wnętrza swego stanu. Mimo nawyku obłudy, uczuł, że duża łza spłynęła po jego twarzy: próbował ukryć ją za zielonym kieliszkiem, w żaden sposób jednak nie mógł przełknąć kropli reńskiego wina. „*Zabronił śpiewać*! — powtarzał sobie w duchu — o Boże, i ty to cierpisz!"

Szczęściem nikt nie zauważył tego niewłaściwego rozczulenia. Poborca zaintonował rojalistyczną piosenkę. Podczas hałaśliwego refrenu śpiewanego chórem, sumienie Juliana szeptało doń: „Oto plugawa kariera, jaka cię czeka, a osiągniesz ją jedynie pod tym warunkiem i w takim towarzystwie! Dochrapiesz się może posady na dwadzieścia tysięcy, ale trzeba ci będzie opychać się łakociami, zabronić śpiewać biednemu więźniowi; będziesz wyprawiał obiady za pieniądze odkradzione z jego nędznego jadła, a podczas

twoich obiadów on będzie jeszcze dotkliwiej czuł swą nędzę. O Napoleonie! Jak słodko było za twoich czasów piąć się ku fortunie wśród niebezpieczeństw! Ale pomnażać nikczemnie niedolę biedaków!..."

Wyznaję, że słabość, jakiej dowód składa Julian w tym monologu, daje mi o nim dość lichą opinię. Byłby godnym kolegą owych spiskowców w glansowanych rękawiczkach, którzy zamyślają zmienić postać wielkiego kraju, a nie chcą wziąć na sumienie najlżejszego draśnięcia.

W tej chwili przywołano gwałtownie Juliana do jego roli. Jeżeli go zaproszono na obiad w tak wytwornym towarzystwie, to nie po to, aby dumał i nic nie robił.

Zbogacony[34] fabrykant perkalików, członek-korespondent akademii w Besançon i w Uzes, zagadnął go z końca stołu, czy to prawda, co mówią powszechnie o jego nadzwyczajnej znajomości Nowego Testamentu.

Zapanowało głębokie milczenie: łaciński tekst Nowego Testamentu znalazł się jakby cudem w rękach uczonego członka dwu akademii. Odczytano na los szczęścia urywek łacińskiego zdania. Julian wyrecytował dalszy ciąg: pamięć go nie zawiodła; obecni zaś wyrazili podziw z całą hałaśliwością, jaka ogarnia zwykle towarzystwo pod koniec obiadu. Julian powiódł okiem po rozpromienionych twarzach kobiet; niektóre były niebrzydkie. Zauważył zwłaszcza żonę poborcy, a zarazem amatora-śpiewaka.

— Wstyd mi, w istocie, tak długo mówić po łacinie przy paniach — rzekł spoglądając w jej stronę. — Gdyby pan Rubigneau — (ów członek dwu akademii) — zechciał przeczytać pierwsze z brzegu zdanie, wówczas zamiast recytować dalszy ciąg tekstu, spróbowałbym go naprędce przetłumaczyć.

Ta druga próba dopełniła jego chwały. Było tam kilku bogatych liberałów, ale zarazem ojców rodziny marzących o stypendiach dla synów: co było przyczyną, że ludzie ci nawrócili się raptownie podczas ostatniej *misji*. Mimo tego wysoce politycznego zwrotu, pan de Rênal nie dopuszczał ich do swego domu. Poczciwi ci ludzie, znający Juliana jedynie z reputacji i z konnego występu podczas wjazdu króla, oklaskiwali go najgłośniej.

„Kiedyż tym głupcom sprzykrzy się słuchać biblijnego stylu, z którego nie rozumieją ani słowa?" — myślał. Ale, przeciwnie, styl ten bawił ich swą niezwykłością: śmiali się. Julian uczuł się znużony.

Z uderzeniem szóstej wstał poważnie, tłumacząc, że musi się nauczyć rozdziału z nowej teologii Ligoria, aby go wydać nazajutrz księdzu Chélan. — Moim zadaniem — dodał z wdziękiem — jest kolejno słuchać lekcji i wydawać je samemu.

Przyjęto to śmiechem, zachwytem: oto dowcip na miarę Verrières. Gdy Julian wstał, wszyscy podnieśli się mimo woli; taka jest władza ducha. Pani Valenod zatrzymała go jeszcze kwadrans; musiał przesłuchać dzieci z katechizmu; popełniały najpocieszniejsze omyłki, które on jeden zauważył. „Cóż za nieznajomość elementarnych zasad!" — pomyślał. Pożegnał się wreszcie, mniemając, iż zdoła się wymknąć; ale trzeba mu było wycierpieć jeszcze bajkę Lafontaine'a.

— To autor wysoce niemoralny — rzekł Julian do pani Valenod. — W powiastce o Janie Chouart ośmiela się podawać w pośmiewisko rzeczy najgodniejsze szacunku. Najlepsi komentatorowie potępiają go surowo.

Przed odejściem Julian otrzymał kilka zaproszeń na obiad. „Ten młody człowiek przynosi chlubę miastu" — wykrzyknęli oczarowani goście. Zaczęli nawet przebąkiwać o pensji z funduszów gminnych dla studiów w Paryżu.

Podczas gdy ta niebaczna myśl zrodziła się w jadalni, Julian chyżym krokiem wydostał się za bramę. „Och! kanalia! kanalia!" — wykrzyknął z cicha kilka razy z rzędu, z przyjemnością zaciągając się świeżym powietrzem.

Czuł się w tej chwili na wskroś arystokratą, on, którego tak długo ranił wzgardliwy uśmiech oraz protekcjonalna wyższość przebijająca przez wszystkie uprzejmości w domu pana de Rênal. Mimo woli czuł olbrzymią różnicę. „Zapomnijmy nawet — mówił, oddalając się — pieniądze skradzione biednym więźniom, którym zabrania się śpiewać! Czy kiedy panu de Rênal przyszłoby na myśl oznajmiać gościom cenę butelki, którą im podajecie? A ten Valenod przy bezustannym wyliczaniu swoich posiadłości, nie może, o ile żona jest obecna, mówić o swoim domu, gruncie inaczej niż *twój* dom, *twój* grunt".

[34] *zbogacony* — dziś: wzbogacony.

Dama ta, widocznie tak tkliwa na rozkosze posiadania, zrobiła podczas obiadu straszliwą scenę służącemu, który stłukł kieliszek z *tuzina*; służący zaś odpowiedział wysoce grubiańsko.

„Cóż za towarzystwo! — myślał Julian — gdyby mi nawet dali połowę tego, co kradną, i tak nie chciałbym żyć z nimi. Wcześniej czy później zdradziłbym się: nie mógłbym ukryć wzgardy, jaką we mnie budzą".

Trzeba było wszelako w myśl rozkazów pani de Rênal przebyć kilka podobnych obiadów. Julian wszedł w modę; przebaczono mu mundur gwardzisty lub raczej nieopatrzność ta była przyczyną jego powodzenia. Niebawem całe Verrières mówiło tylko o tym, kto zwycięży w zapasach o uczonego młodzieńca: pan de Rênal czy dyrektor więzienia. Te dwie osobistości wraz z księdzem Maslon stanowiły triumwirat, który od szeregu lat tyranizował miasto. Zazdroszczono merowi, liberałowie mieli powody krzywić się na niego, ale ostatecznie był szlachcicem i zrodzonym do splendorów, gdy pan Valenod nie miał po ojcu ani sześć funtów renty. Trzeba było przejść w stosunku do niego drogę od współczucia, jakie budził w młodości wiecznym zielonkawym kubraczkiem, do zazdrości towarzyszącej obecnie jego normandzkim koniom, złotym łańcuszkom, ubraniu z Paryża i całej świeżej pomyślności.

Wśród tego tak nowego dlań świata Julian zauważył jednego, zdaje się, zacnego człowieka: był to geometra, nazwiskiem Gros, który uchodził za jakobina. Julian, nałożywszy sobie obowiązek ustawicznego fałszu wobec świata, musiał się mieć na ostrożności przed panem Gros.

Z Vergy otrzymywał pakiety wypracowań oraz rady, aby często odwiedzał ojca: poddawał się tej smutnej konieczności. Słowem, łatał wcale nieźle swą reputację, kiedy pewnego ranka ku jego zdumieniu obudziły go dwie rączki zasłaniające mu oczy.

Była to pani de Rênal, która wybrała się do miasta, i która, wpadłszy pędem na schody, gdy dzieci zabawiały się z ulubionym królikiem, wślizgnęła się na chwilę przed nimi do pokoju Juliana. Była to chwila rozkoszna, ale bardzo krótka: skoro dzieci przybyły z królikiem, aby go pokazać nauczycielowi, pani de Rênal znikła. Julian ucieszył się wszystkim, nawet królikiem. Miał uczucie, że odnajduje swą rodzinę; czuł, że kocha te dzieci, że miło mu gawędzić z nimi. Uderzyła go słodycz ich głosu, prostota i dystynkcja; potrzebował obmyć swą wyobraźnię ze wszystkich pospolitości, ze wszystkich szpetnych myśli, których atmosferą oddychał w Verrières. Była to wciąż obawa braku, wciąż zbytek i nędza szamocące się z sobą. Ludzie, u których jadł obiad, czynili przy pieczystym zwierzenia upokarzające dla nich samych, a ohydne dla tego, kto ich słuchał.

— Wy, szlachta, macie wszelkie prawo być dumni — mówił do pani de Rênal. I opowiadał jej wszystkie obiady, które przecierpiał.

— Jesteś tedy w modzie! — I śmiała się z całego serca na myśl o różu, którym pani Valenod uważała za obowiązek się zdobić, ilekroć oczekiwała Juliana. — Sądzę, że ona ma na ciebie zamiary — dodała.

Śniadanie było rozkoszne. Obecność dzieci, krępująca na pozór, w rzeczywistości mnożyła jeszcze wspólne szczęście. Poczciwe dzieciaki nie wiedziały, jak objawiać swą radość, że znów oglądają Juliana. Służba rozpowiedziała im oczywiście, że dają Julianowi o dwieście franków więcej za to, żeby *hedukował* małych Valenod.

Przy śniadaniu Staś, jeszcze blady po chorobie, spytał nagle matki, ile warte jest jego srebrne nakrycie i kubek.

— Dlaczego?

— Chcę je sprzedać i oddać pieniądze panu Julianowi, żeby nie był *dudkiem*, jeśli zostanie u nas.

Julian ściskał go ze łzami w oczach. Matka płakała, podczas gdy Julian, biorąc Stasia na kolana, tłumaczył mu, że nie trzeba używać słowa *dudek*, które w tym znaczeniu jest wyrażeniem gminnym, godnym służby. Widząc, że sprawia tym przyjemność pani de Rênal, starał się objaśnić za pomocą malowniczych przykładów i ku wielkiej zabawie dzieci, co znaczy być *dudkiem*.

— Rozumiem — rzekł Staś — to tak jak ten kruk, na tyle głupi, że upuścił kawał sera, który pochwycił lis pochlebca.

Pani de Rênal w upojeniu szczęścia okrywała dzieci pocałunkami, czego nie mogła uczynić, nie opierając się trochę o Juliana. W tej chwili drzwi się otworzyły i wszedł pan de Rênal. Twarz jego, surowa i niezadowolona, tworzyła osobliwy kontrast z miłą radością spłoszoną jego przybyciem. Pani de Rênal zbladła; nie czuła się na siłach, aby czemukolwiek przeczyć. Julian zaczął bardzo głośno opowiadać merowi historyjkę o kubku srebrnym, który Staś chciał sprzedać. Pewien był, że opowiadanie to sprawi złe wrażenie. Pan de Rênal ściągnął ze zwyczaju brwi na samo wspomnienie o pieniądzach. „Wzmianka o tym kruszcu — mówił — jest zawsze wstępem do jakiegoś zamachu na moją sakiewkę".

Ale tutaj chodziło o coś więcej niż o kwestię pieniężną; sytuacja komplikowała się nawrotem podejrzeń. Wyraz szczęścia ożywiający rodzinę w jego nieobecności nie mógł korzystnie nastroić równie drażliwego jak próżnego człowieka. Gdy żona chwaliła dowcip i wdzięk, z jakim Julian wpaja dzieciom nowe pojęcia, mąż rzekł:

— Tak, tak, wiem, zohydza mnie wobec dzieci; łatwo mu być dla nich sto razy milszym niż ja, który, ostatecznie, jestem ich panem. Wszystko w naszej epoce zmierza do tego, aby zohydzić *prawą władzę*. Biedna Francja!

Pani de Rênal nie zastanawiała się nad odcieniami mężowskiego zachowania. Widziała możliwość spędzenia dwunastu godzin z Julianem. Miała mnóstwo sprawunków; oświadczyła przy tym, że chce jeść obiad w restauracji i mimo przedłożeń męża uparła się przy swoim. Dzieci zachwycone słowem *restauracja* z entuzjazmem poparły projekt.

Pan de Rênal zostawił żonę zaraz w pierwszym magazynie, sam zaś udał się z paru wizytami. Wrócił jeszcze markotniejszy; zyskał przeświadczenie, że całe miasto zajmuje się nim i Julianem. Mimo to, nikt nie uchylił mu rąbka skandalicznych komentarzy krążących z ust do ust: to co mu powtórzono, odnosiło się jedynie do kwestii, czy Julian zostanie u niego z sześciuset frankami, czy też przyjmie osiemset u dyrektora.

Sam dyrektor, kiedy go pan de Rênal spotkał w towarzystwie, był bardzo oziębły. Postępowanie to było wcale zręczne; w ogóle na prowincji roztrzepanie jest rzeczą dość rzadką: mało rzeczy się dzieje, wszystko zatem przetrawia się gruntownie.

Cechą natury pana Valenod były tupet i chamstwo. Od roku 1815 triumfalna jego kariera spotęgowała te szacowne zalety. Panował, można powiedzieć, w Verrières pod berłem pana de Rênal; ale o wiele ruchliwszy, nierumieniący się o nic, mieszający się do wszystkiego, biegający, piszący, rozprawiający bez przerwy, zapominający upokorzeń, wyzuty z godności osobistej, przeważył w końcu wpływ mera w oczach władzy duchownej. Valenod powiedział niejako miejskim łykom: dajcie mi dwóch najgłupszych spomiędzy was; urzędnikom: wskażcie mi dwóch największych nieuków; lekarzom: dostarczcie mi dwóch największych szarlatanów. Kiedy zgromadził w ten sposób najbezwstydniejszych z każdego zawodu, rzekł: rządźmy razem.

Sposoby, w jakie poczynali sobie ci ludzie, raziły pana de Rênal. Gruboskórności Valenoda nie dotykało nic; nawet zarzuty łgarstwa, jakich ten filut, ksiądz Maslon, nie szczędził mu publicznie.

Wśród tej pomyślności Valenod czuł wszelako potrzebę ubezpieczenia się drobnymi sztuczkami przeciw tym wielkim prawdom, które — czuł to dobrze — każdy miał prawo rzucić mu w oczy. Stał się bardzo czynny zwłaszcza od czasu niepokojących odwiedzin pana Appert. Trzy razy jeździł do Besançon; pisał kilka listów każdą pocztą: inne znowuż wysyłał przez nieznanych osobników, którzy wsuwali się doń o zmierzchu. Źle może zrobił, usuwając starego księdza Chélan; ten akt zemsty zyskał mu w oczach paru dobrze urodzonych dewotek opinię niedobrego człowieka. Poza tym usługa ta podała go w zupełną zależność od wielkiego wikariusza de Frilair; otrzymywał też odeń szczególne zlecenia. W tym punkcie znajdowała się jego polityka, kiedy dał się skusić przyjemności napisania anonimowego listu. Na domiar kłopotów żona oświadczyła mu, że chce mieć Juliana u siebie: próżnostka ta utkwiła jej ćwiekiem w głowie.

W tym położeniu Valenod przewidywał stanowczą scenę ze swym dawnym sprzymierzeńcem, panem de Rênal. Słowne zniewagi były mu obojętne; ale mer mógł napisać do Besançon, a nawet do Paryża! Kuzyn jakiego ministra mógł spaść do Verrieres i przejąć zarząd przytułku. Valenod postanowił zbliżyć się do liberałów: dlatego to kilku z nich znalazło się na obiedzie, na którym był Julian. Poparliby go potężnie przeciw merowi: ale

wśród tego mogły przyjść wybory; otóż aż nadto było jasne, że jego posada i antyrządowy wynik wyborów byłyby nie do pogodzenia. Pani de Rênal, która doskonale przejrzała tę politykę, wyłożyła ją w krótkości Julianowi, w drodze od jednego do drugiego sklepu. Niebawem gawęda ta zawiodła ich do Alei Wierności, gdzie spędzili kilka godzin prawie tak przyjemnie, jak w Vergy.

Przez ten czas Valenod starał się uchylić stanowczą rozprawę z dawnym zwierzchnikiem, traktując go z wyniosłą i obrażoną miną: system ten powiódł się, ale pomnożył jeszcze zły humor mera.

Nigdy próżność pasująca się ze sknerstwem nie wprawiły człowieka w stan przykrzejszy niż ów, w jakim znajdował się pan de Rênal, wchodząc do restauracji. Nigdy natomiast dzieci nie były weselsze i bardziej rozbawione. Kontrast ten podrażnił go tym więcej.

— Widzę, że jestem zbyteczny we własnej rodzinie — rzekł tonem, który chciał uczynić imponującym.

Za całą odpowiedź żona wzięła go na bok i wyłożyła mu konieczność oddalenia Juliana. Kilka godzin szczęścia wróciło jej spokój nieodzowny do przeprowadzenia planu, który obmyślała od dwóch tygodni. Miary zgryzot biednego mera dopełniało to, że wiedział, iż w mieście żartują sobie publicznie z jego sknerstwa. Valenod był szczodry jak złodziej; jakoż świetnie się popisał w czasie ostatnich kwest na Stowarzyszenie św. Józefa, Matki Boskiej, na Kongregację św. Sakramentu etc. Między nazwiskami okolicznej szlachty, zręcznie zestawionymi na rejestrach wedle wysokości ofiar, nazwisko pana de Rênal nieraz zajmowało ostatnie miejsce. Na próżno powtarzał, że on nic nie zarabia. Duchowieństwo w tych rzeczach nie zna żartów.

Religia, Ksiądz, Pieniądz

XXIII. STRAPIENIA URZĘDNIKA

Il piacere di alzar la testa tutto l'anno, é ben pagato da certi quarti d'ora che bisogna passar.

Casti.

Ale zostawmy tę małą figurę jej małym troskom; po cóż brał do domu *człowieka*, kiedy mu trzeba było duszy lokajskiej? Czemu nie umie dobierać sobie ludzi? Prawidłem XIX wieku jest, że kiedy dostojna i można osobistość napotka *człowieka* zabija go, skazuje na wygnanie, wtrąca do więzienia lub upokarza do tego stopnia, że tamten jak głupiec umiera z bólu. Tutaj przypadkowo nie człowiek z duszą jest tym, który cierpi. Nieszczęściem miasteczek Francji oraz rządów opartych na wyborach, jak Nowy Jork, jest to, że nie mogą zapomnieć o istnieniu ludzi z gatunku pana de Rênal. W dwudziestotysięcznym miasteczku tacy ludzie tworzą *opinię*, a opinia to straszna rzecz w konstytucyjnym kraju! Człowiek o duszy szlachetnej, wzniosłej, który byłby twoim przyjacielem, ale który mieszka o sto mil, sądzi o tobie na podstawie opinii twego miasteczka złożonej z głupców urodzonych szczęśliwie w szlachectwie, zamożności i *zasadach*! Biada temu, kto się wyróżnia.

Zaraz po obiedzie rodzina odjechała do Vergy; ale już trzeciego dnia wszyscy znowu ściągnęli do Verrières.

Od pierwszej chwili po przyjeździe Julian spostrzegł, że pani de Rênal coś ukrywa. Przerywała rozmowę z mężem, gdy on się zjawiał, zdawało się niemal, że pragnie, aby się oddalił. Julian nie czekał, aż mu to da ponownie do zrozumienia. Stał się zimny i powściągliwy; pani de Rênal spostrzegła to i nie szukała wyjaśnień.

„Czyżby mi już przeznaczała następcę? — myślał Julian. — Przedwczoraj jeszcze była tak serdeczna! Ale to są podobno wielkie damy! To tak jak król: najuprzejmiejszy jest dla ministra, gdy ten, wróciwszy do domu, ma zastać dymisję".

Julian zauważył, że w rozmowach, które urywały się za jego nadejściem, często była mowa o domu należącym do gminy, starym, ale obszernym i wygodnym, na wprost kościoła, w najruchliwszym punkcie. „Co może być wspólnego między tym domem a nowym kochankiem?" — myślał Julian. W strapieniu swoim powtarzał sobie wierszyki Franciszka I, które zdały mu się nowe, ponieważ ledwie przed miesiącem nauczyła go ich pani de Rênal. I za pomocą iluż przysiąg, pieszczot starała się zadać kłam każdemu z tych słów:

Kobieta zmienną jest,
Szalony kto wierzy jej[35]...

Pan de Rênal wyjechał pocztą do Besançon. Podróż tę postanowiono w ciągu dwóch godzin: mer zdawał się stroskany. Za powrotem rzucił na stół pakiet owinięty szarym papierem.

— Oto ta głupia sprawa! — rzekł do żony.

W godzinę później Julian ujrzał, że afiszer zabiera pakiet; pośpiesznie udał się za nim: „Dowiem się sekretu na najbliższym rogu" — pomyślał.

Czekał cierpliwie za plecami afiszera, który mazał grubym pędzlem grzbiet afisza. Ledwie go przyklejono, ciekawe oczy Juliana wyczytały szczegółowe ogłoszenie najmu w drodze publicznej licytacji owego starego domu, który tak często powtarzał się w rozmowach państwa de Rênal. Wynik licytacji zapowiedziano na następny dzień o drugiej, w sali gminnej, do zgaśnięcia trzeciej świecy.

Julian zdumiał się; termin wydał mu się nieco krótki: w jaki sposób konkurenci dowiedzą się o sprawie? Poza tym afisz datowany o dwa tygodnie wcześniej nie powiadał mu absolutnie nic, mimo że odczytał go od deski do deski na trzech rogach ulicy.

Poszedł obejrzeć dom do wynajęcia. Odźwierny, nie zauważywszy Juliana, szeptał tajemniczo do sąsiada:

— Et, szkoda zachodu! Ksiądz Maslon przyrzekł mu, że dostanie dom za trzysta franków; że zaś mer stawał okoniem, wielki wikariusz wezwał go do biskupa.

Obecność Juliana była, zdaje się, nie w smak rozmawiającym: nie rzekli już ani słowa.

Julian nie omieszkał zjawić się na licytacji. W dość ciemnej sali było pełno osób, wszyscy spoglądali na siebie spode łba. Oczy obecnych wlepione były w stół, gdzie Julian zauważył na cynowej tacy trzy zapalone ogarki. Woźny krzyczał: „Trzysta franków, panowie!".

— Trzysta franków! To niesłychane — rzekł ktoś półgłosem do sąsiada, tuż obok Juliana. — Wart jest więcej niż osiemset; idę do tej sumy.

— Rzucasz się z motyką na słońce! Dużo zyskasz, że sobie ściągniesz na kark księdza Maslon, Valenoda, biskupa, tego piekielnego wikariusza de Frilair i całą klikę?

— Trzysta dwadzieścia! — krzyknął tamten.

— Ośle koronny! — mruknął sąsiad. — Patrz, właśnie tu stoi szpieg burmistrza.

Julian obrócił się żywo, aby zażądać porachunku za te słowa; ale tamci już nie zwracali nań uwagi; obojętność ich otrzeźwiła go. W tej chwili ostatni ogarek zgasł: rozległy głos woźnego przysądził dom, na dziewięć lat panu de Saint-Giraud, naczelnemu sekretarzowi prefektury w***, za cenę trzystu trzydziestu franków rocznie.

Skoro tylko mer opuścił salę, zaczęły się komentarze:

— Ot, i wyskok Grogeota przyniósł gminie trzydzieści franków — mówił jeden.

— Ale też Saint-Giraud odpłaci to Grogeotowi — odparł drugi.

— Cóż za łajdactwo! — powiadał jakiś grubas tuż obok Juliana — dom, za który ja dałbym osiemset franków na moją fabrykę i jeszcze zrobiłbym interes.

— Ba! — odparł młody fabrykant, liberał — alboż Saint-Giraud nie należy do kongregacji? Czyż jego czterej synowie nie pobierają stypendiów? Biedaczek! Gmina musi mu wypłacić pięćset franków nadwyżki do pensji, ot i wszystko.

— I powiedzieć, że mer nie mógł temu zapobiec! — zauważył trzeci. — Bo on jest wstecznik, przyznaję; ale przynajmniej nie kradnie.

— Nie kradnie? — odparł drugi — Nie, gdzieżby znowu! Wszystko to idzie do wspólnego worka, dzielą się z końcem roku. Ale patrzcie, patrzcie: ten smarkacz Sorel; chodźmy stąd.

Julian wrócił mocno podrażniony, zastał panią de Rênal smutną.

— Wracasz z licytacji? — spytała.

— Tak, pani, gdzie miałem zaszczyt uchodzić za szpiega pana mera.

— Radziłam mu, żeby wyjechał!

[35] *Kobieta zmienną (...) wierzy jej* — [fr.:] *Souvent femme varie,/ Bien foil est qui s'y fie.*

W tej chwili ukazał się pan de Rênal bardzo ponury. Obiad upłynął bez słowa. Pan de Rênal kazał Julianowi wracać z dziećmi do Vergy; podróż była markotna. Pani de Rênal pocieszała męża.

— Powinieneś się już do tego przyzwyczaić, mój drogi.

Wieczorem wszyscy siedzieli w milczeniu koło kominka; trzask płonącego buku stanowił jedyną rozrywkę. Była to jedna z owych chwil smutku, jakie się zdarzają w najbardziej kochających się rodzinach. Nagle któryś z chłopców wykrzyknął radośnie:

— Dzwonek! Dzwonek!

— Do kaduka! Jeżeli to Saint-Giraud przychodzi mnie nękać jeszcze pod pozorem podziękowania, powiem mu parę słów prawdy; to już nadto. Valenod będzie miał jego wdzięczność, a ja się skompromitowałem. Co pocznę, jeśli te przeklęte dzienniki jakobińskie zaczną sobie gęby strzępić?

W tej chwili służący wprowadził przystojnego mężczyznę z dużymi, czarnymi bokobrodami.

— Panie merze, jestem signor Geromino. Oto list, jaki kawaler de Beauvaisis, sekretarz ambasady w Neapolu, dał mi do pana w dzień odjazdu; zaledwie dziewięć dni temu — dodał wesoło signor Geromino, spoglądając na panią de Rênal. — Signor de Beauvaisis, kuzyn pani, a mój dobry przyjaciel, powiadał mi, że pani mówi po włosku.

Dobry humor Neapolitańczyka rozweselił ten smutny wieczór. Pani de Rênal zatrzymała gościa na kolacji, wprawiła w ruch cały dom, chciała za wszelką cenę dać zapomnieć Julianowi miano szpiega, które dwa razy tego dnia doleciało jego uszu. Signor Geromino był sławnym śpiewakiem, człowiekiem dystyngowanym, a mimo to wesołym: dwa przymioty, które we Francji nie dadzą się dziś bezwarunkowo pogodzić. Po wieczerzy odśpiewał duecik z panią de Rênal. Opowiedział parę zabawnych historyjek. Około pierwszej, kiedy Julian zaproponował chłopcom, aby poszli spać, ani chcieli słyszeć o tym.

— Jeszcze tę historię — rzekł najstarszy.

— To moja własna, signorino — rzekł Geronimo. — Przed ośmiu laty byłem jak ty młodzieńcem, uczniem konserwatorium w Neapolu, to znaczy byłem w twoim wieku; ale nie miałem zaszczytu być synem dostojnego mera pięknego miasta Verrières.

Przy tych słowach pan de Rênal westchnął i spojrzał na żonę.

— Signor Zingarelli — ciągnął młody śpiewak, przesadzając nieco akcent ku wielkiej radości dzieci — signor Zingarelli był nauczycielem bardzo surowym. Nie kochają go w konserwatorium; ale chce, aby postępować tak, jakby się go kochało. Wymykałem się, jak tylko mogłem; zachodziłem do teatrzyku San Carlino, gdzie słuchałem boskiej muzyki; ale, o nieba! co począć, aby zdobyć osiem su na bilet? Olbrzymia suma — rzekł, patrząc na dzieci, a dzieci w śmiech. — Signor Giovannone, dyrektor San Carlino, usłyszał, jak śpiewam. Miałem szesnaście lat. „Ten chłopiec to skarb", rzekł.

— Chcesz abym cię zaangażował? — spytał.

— A ile mi pan da?

— Czterdzieści dukatów na miesiąc. Moi młodzi panowie, to znaczy sto sześćdziesiąt franków. Myślałem, że niebo mi się otwiera. Ale co począć, rzekłem, aby ten srogi Zingarelli mnie wypuścił? „*Lascia fare a me*".

— Zostaw to mnie — wykrzyknął najstarszy chłopiec.

— Właśnie, mój młody panie. Signor Giovannone rzekł: „*Caro*, najpierw kontrakcik". Podpisuję: daje mi trzy dukaty.

Nigdy nie widziałem tyle pieniędzy. Następnie powiada mi, co mam robić.

Nazajutrz proszę o audiencję u straszliwego pana Zingarelli. Wpuszcza mnie stary służący.

— Czego chcesz, urwisie? — rzekł Zingarelli.

— *Maestro* — rzekłem — żałuję moich błędów; nigdy już nie wymknę się przez sztachety i podwoję pilność.

— Gdybym się nie obawiał uszkodzić najpiękniejszy bas, jaki w życiu słyszałem, zamknąłbym cię na dwa tygodnie o chlebie i wodzie, ladaco.

— *Maestro* — rzekłem — będę wzorem całej szkoły, *credete a me*. Ale proszę o jedną łaskę: gdyby ktoś zażądał, abym śpiewał poza szkołą, niech pan odmówi. Niech pan powie, błagam, że to niemożliwe.

— Kiż diabeł by się dopraszał o takiego nicponia jak ty? Czyż ja pozwolę kiedy, abyś ty opuścił konserwatorium? Kpisz sobie ze mnie? Ruszaj precz! — wykrzyknął celując mi nogą w z... — albo strzeż się suchego chleba i więzienia.

W godzinę potem Giovannone zjawił się u dyrektora.

— Przychodzę z prośbą, abyś mnie pan postawił na nogi — rzekł — daj mi Geromina. Niech zaśpiewa w moim teatrze, a w ciągu zimy złożę sobie posag dla córki.

— Co tobie się ubrdało z tym nicponiem! — odparł Zingarelli. — Nie chcę, nie pozwolę; zresztą, choćbym nawet i zgodził, on sam nigdy nie zechce opuścić konserwatorium; przysiągł mi.

— Jeżeli tylko o jego wolę chodzi — rzekł poważnie Giovannone, wydobywając kontrakt — *carta canta*! Oto jego podpis.

Zingarelli wściekły dzwoni: „Wypędzić mi Geronima z konserwatorium!", krzyczy, pieniąc się. Wypędzono mnie tedy, śmiałem się jak szalony. Tego wieczora śpiewałem arię *del Moltiplico*. Poliszynel chce się żenić, liczy na palcach sprzęty, jakie mu będą potrzebne, i co chwila plącze się w rachunku...

— Och, niech pan zaśpiewa tę arię — rzekła pani de Rênal.

Geronimo zaśpiewał, wszyscy uśmiali się do łez. Signor Geronimo udał się na spoczynek aż o drugiej, zostawiając całą rodzinę w zachwycie nad jego dobrym ułożeniem, grzecznością i humorem.

Nazajutrz oboje państwo de Rênal wręczyli mu polecające listy do osób na dworze.

„Zatem wszędzie fałsz — myślał Julian. — Ten signor Geronimo jedzie do Londynu z sześćdziesięcioma tysiącami franków płacy. Gdyby nie spryt dyrektora San Carlino, boski jego głos zalśniłby w świecie może o dziesięć lat później... Na honor, wolałbym być Geronimem niż Rênalem. Nie zażywa tylu honorów w społeczeństwie, ale też nie musi urządzać takich licytacji jak dzisiejsza i pędzi wesołe życie".

Jedna rzecz dziwiła Juliana: samotne tygodnie spędzone w Verrières, w domu pana de Rênal były dlań epoką szczęścia. Niesmak i przygnębienie znajdował jedynie na obiadach, na jakie go zapraszano: w tym samotnym domu mógł czytać, pisać, dumać bez przeszkody! Świetnych jego rojeń nie przerywała co chwilę okrutna konieczność, nie musiał śledzić poruszeń niskich dusz i to jeszcze po to, aby je oszukiwać przy pomocy obłudnych słów i uczynków.

„Byłożby szczęście tak łatwe do osiągnięcia!... Życie takie kosztuje tak niewiele; mogę do wyboru ożenić się z Elizą lub zostać wspólnikiem Fouquégo... Tak podróżny, który się wdrapał na stromą górę, siada na szczycie i znajduje rozkosz w tym, aby spocząć. Ale czy byłby szczęśliwy, gdyby mu kazano spoczywać ciągle?"

Pani de Rênal zaszła na krawędź niebezpiecznych myśli. Mimo postanowień, zdradziła Julianowi tajemnicę licytacji. „Zapomnę tedy dla niego o wszystkich przysięgach!" — myślała.

Poświęciłaby bez wahania życie dla ocalenia męża, gdyby był w niebezpieczeństwie. Była z tych szlachetnych i romantycznych natur, dla których widzieć możliwość wzniosłego czynu i nie dokonać go równa się niemal zbrodni. Bywały wszelako dni, w których nie mogła odegnać obrazu bezgranicznego szczęścia, gdyby owdowiawszy nagle, mogła zaślubić Juliana.

Kochał jej synów więcej niż ojciec; oni zaś, mimo jego surowej sprawiedliwości, ubóstwiali go. Czuła, iż wychodząc za Juliana, musiałaby opuścić to Vergy, którego cienisty park był jej tak drogi. Wyobrażała sobie, jak osiada w Paryżu i wychowuje synów z troskliwością budzącą ogólny podziw. Dzieci, ona, Julian, wszyscy byliby szczęśliwi.

Dziwny skutek małżeństwa takiego, jakim uczynił je wiek XIX! Nuda małżeńskiego życia nieuchronnie zabija miłość, o ile istniała przed ślubem. Równocześnie, powiadał pewien filozof, u ludzi żyjących w dostatku bez pracy wywołuje ono głębokie znudzenie wszystkimi spokojnymi uciechami. Wreszcie co się tyczy kobiet — z wyjątkiem bardzo oschłych natur — nastraja je do miłości.

Refleksja filozofa usprawiedliwia panią de Rênal w moich oczach, ale nie w oczach miasteczka. Nic nie wiedziała o tym, iż całe Verrières zajmuje się jedynie jej gorszącą miłostką. Dzięki tej wielkiej sprawie jesień była tego roku mniej nudna niż zazwyczaj.

Jesień, część zimy minęły bardzo szybko. Trzeba było opuścić lasy Vergy. Towarzystwo miejscowe zaczęło się oburzać, że jego krytyki tak mało czynią wrażenia na panu de Rênal. Poważne figury, które z lubością szukają wytchnienia po swej powadze w tego rodzaju misjach, zaczęły nasuwać merowi, wciąż w na wskroś oględnej formie, najokrutniejsze podejrzenia.

Valenod, nie myśląc dać za wygraną, umieścił Elizę w dystyngowanym domu, gdzie było pięć kobiet. Eliza, obawiając się, jak mówiła, że nie znajdzie miejsca w zimie, zgodziła się na płacę znacznie niższą niż to, co otrzymywała u mera. Sama z siebie dziewczyna wpadła na doskonałą myśl, aby się wyspowiadać u dawnego proboszcza, księdza Chélan, jak równie u nowego, i opowiedzieć obu księżom szczegółowo miłostki Juliana.

Nazajutrz po przybyciu Juliana do Verrières, ksiądz Chélan wezwał go do siebie.

— Nie pytam o nic — rzekł — proszę, a w potrzebie rozkazuję, abyś nie mówił nic; żądam tylko, abyś w ciągu trzech dni wyjechał do seminarium w Besançon lub do przyjaciela swego Fouqué, który wciąż gotów jest zapewnić ci świetny los. Wszystko przewidziałem, wszystko ułożyłem: trzeba jechać i nie pokazywać się przez rok w Verrières.

Julian nie odpowiedział; zastanawiał się, czy nie powinien się dopatrzyć obrazy w opiece, jaką ksiądz Chélan, nie będąc ostatecznie jego ojcem, nad nim rozciąga.

— Jutro o tej porze będę miał zaszczyt zgłosić się ponownie — rzekł wreszcie.

Ksiądz Chélan, który spodziewał się, że zdoła ugnieść w ręku tak młodego człowieka, rozwinął wiele wymowy. Julian, opancerzywszy się postawą i fizjonomią pełną pokory, nie otworzył ust.

Wyszedł wreszcie i pobiegł wszystko powtórzyć pani de Rênal; zastał ją w rozpaczy. Mąż odbył z nią właśnie dość szczerą rozmowę. Wrodzona słabość charakteru, wspierana nadzieją ciotczynego spadku, skłoniły go do uznania niewinności żony. Zdał jej sprawę z osobliwego nastroju, w jakim zastał opinię w Verrières. Publiczność omamiona przez zawistnych sądzi fałszywie, ale wreszcie co począć?

Pani de Rênal łudziła się przez chwilę, że Julian może przyjąć propozycję pana Valenoda i zostać w Verrières. Ale nie była to już owa prosta, lękliwa kobieta z zeszłego roku: nieszczęsna namiętność, wyrzuty oświeciły ją. Niebawem słuchając męża, doszła do przeświadczenia, że rozstanie, przynajmniej chwilowe, stało się konieczne. „Z dala ode mnie Julian wróci do swych ambitnych projektów, tak naturalnych, kiedy ktoś nie ma nic. A ja, wielki Boże, jestem tak bogata! I tak bezużytecznie! Zapomni o mnie. On, taki uroczy... pokocha go ktoś i on pokocha. Och, nieszczęśliwa.... Czyż mam prawo się skarżyć? Niebo jest sprawiedliwe, nie mam tej zasługi, bym się otrząsnęła ze zbrodni, odejmuje mi rozum. Mogłam wszakże opłacić milczenie Elizy, nie było nic łatwiejszego. Nie zadałam sobie trudu, aby się zastanowić chwilę, szał miłości pochłaniał mnie całą. Ginę teraz".

Julian zdumiał się, iż kiedy oznajmił pani de Rênal straszliwą nowinę, nie spotkał się z żadną egoistyczną przeszkodą. Czyniła wyraźnie wysiłki, aby się nie rozpłakać.

— Trzeba nam hartu, drogi mój. — (Ucięła sobie pukiel włosów). — Nie wiem, co się ze mną stanie — mówiła — ale, jeśli umrę, przyrzeknij mi, że nie zapomnisz nigdy o moich dzieciach. Z daleka czy z bliska, staraj się z nich zrobić dzielnych ludzi. Jeżeli będzie nowa rewolucja, wyrżną całą szlachtę; pan de Rênal będzie musiał emigrować z powodu tego chłopa ubitego na dachu. Czuwaj nad rodziną... Daj mi rękę. Bądź zdrów, drogi mój! To ostatnie chwile. Dokonawszy tego poświęcenia, mam nadzieję, że zdobędę się na to, aby myśleć o swej reputacji".

Julian spodziewał się rozpaczy. Prostota tego pożegnania wzruszyła go.

— Nie, nie przyjmuję takiego pożegnania. Pojadę, chcę tego; i ty również. Ale w trzy dni po wyjeździe, przyjdę cię odwiedzić w nocy.

W istnieniu pani de Rênal zaszła zmiana. Julian kochał ją tedy, skoro sam z siebie powziął myśl tych odwiedzin! Straszliwa jej boleść zmieniła się w skurcz radości. Wszystko stało się jej łatwe. Pewność ujrzenia kochanka odjęła ostatnim chwilom ich rozpacz. Odtąd zachowanie i fizjonomia pani de Rênal stały się szlachetne, nieugięte i pełne godności.

Niebawem wrócił pan de Rênal; był w najwyższym stopniu wzburzony. Opowiedział wreszcie żonie o anonimie otrzymanym przed dwoma miesiącami..

— Zaniosę go do kasyna, pokażę jako dowód nikczemności Valenoda, którego z żebraka uczyniłem bogaczem. Zhańbię go publicznie, a potem wyzwę go. To już za wiele.

„Mogłabym zostać wdową, wielki Boże!" — pomyślała pani de Rênal. Ale prawie równocześnie, powiedziała sobie:

— Jeśli nie zapobiegnę pojedynkowi, co niewątpliwie mogę uczynić, będę morderczynią męża.

Nigdy nie zagrała tak zręcznie na jego próżności. W niespełna dwie godziny wykazała mu i to wciąż za pomocą jego własnych argumentów, iż powinien być dla pana Valenod uprzejmiejszy niż kiedykolwiek, a nawet przyjąć z powrotem Elizę. Ciężko było pani de Rênal zdobyć się na to, aby znów ujrzeć przy sobie tę dziewczynę, sprawczynię całego nieszczęścia. Ale myśl ta pochodziła od Juliana.

Pod wpływem kilkakrotnych ostrożnych wzmianek żony, pan de Rênal doszedł sam do myśli finansowo nader przykrej, iż najdotkliwszym dlań ciosem byłoby, gdyby Julian, wśród wzburzenia i plotek całego Verrières, został w miasteczku jako nauczyciel domowy pana Valenod. W oczywistym interesie Juliana leżało przyjąć propozycje dyrektora. Przeciwnie, honor pana de Rênal wymagał, aby Julian opuścił Verrières po to, by wstąpić do seminarium w Besançon albo Dijon. Ale jak skłonić go do tego, a potem[36] skąd weźmie środki?

Pan de Rênal, widząc wiszącą nad nim ofiarę pieniężną, był bardziej zrozpaczony niż żona. Ona po tej rozmowie znajdowała się w położeniu desperata, który, zmęczony życiem, zażył dawkę szaleju; działa już, można powiedzieć, jedynie automatycznie, obojętny jest na wszystko. W takim stanie był Ludwik XIV, kiedy umierając powiedział: *gdy byłem królem*. Cudownie powiedziane!

Nazajutrz wczesnym rankiem pan de Rênal otrzymał nowy anonim, tym razem pisany stylem wysoce obelżywym. W każdym wierszu mieściły się najgrubsze aluzje do jego roli. Wyglądało to na dzieło jakiegoś zawistnika niskiej klasy. List ten obudził w nim na nowo myśl wyzwania pana Valenoda. Niebawem myśl ta skrystalizowała się wyraźnie: pan de Rênal wyszedł, udał się do rusznikarza po pistolety i kazał je nabić.

„Cóż — powtarzał sobie — gdyby nawet odżyła surowa administracja cesarza Napoleona, osobiście nie mam sobie do wyrzucenia ani jednego szeląga. Co najwyżej, zamykałem oczy; ale mam w biurku nie lada listy uprawniające mnie do tego!"

Zimna wściekłość męża przeraziła panią de Rênal; znów jęła ją oblegać nieszczęsna myśl o wdowieństwie, którą z takim trudem zdołała odtrącić. Zamknęła się z mężem w gabinecie. Kilka godzin uspakajała go na próżno: ostatni anonim przebrał miarę. Wreszcie zdołała przeobrazić odwagę spoliczkowania pana Valenoda na odwagę ofiarowania sześciuset franków Julianowi celem opłacenia seminarium. Pan de Rênal, przeklinając po sto razy dzień, w którym powziął nieszczęsną ideę wzięcia preceptora, zapomniał o anonimie.

Pocieszyła go trochę myśl, z której nie zwierzył się żonie: przy pewnej zręczności, wyzyskując romantyczne poglądy młodzieńca, spodziewał się, iż zdoła go skłonić tańszym kosztem do odrzucenia propozycji pana Valenod.

O wiele trudniej było pani de Rênal przekonać Juliana, iż wyrzekając się dla próżności męża korzystnej posady, może bez upokorzenia przyjąć kompensatę.

— Ależ — powtarzał Julian — nigdy, ani przez chwilę, nie miałem zamiaru przyjąć tej propozycji. Zanadto przyzwyczailiście mnie do wykwintu: gruboskórność tych ludzi zabiłaby mnie.

Okrutna konieczność ugięła swą żelazną ręką wolę Juliana. Duma podsuwała mu ten pozór, aby sumę ofiarowaną przez mera przyjąć jedynie jako pożyczkę i wystawić oblig ureczający[37] za pięć lat zwrot jej z procentami.

Pani de Rênal wciąż miała jakieś kilka tysięcy franków ukryte w grocie. Ofiarowała mu je ze drżeniem, aż nadto czując, iż odrzuci z gniewem tę ofiarę.

— Czy chcesz mi zohydzić pamięć naszej miłości?

Wreszcie Julian opuścił Verrières. Pan de Rênal był uszczęśliwiony: w obmierzłej chwili przyjmowania pieniędzy poświęcenie okazało się zbyt ciężkie dla Juliana. Odmówił

[36] *potem* — tu w znaczeniu: poza tym.
[37] *ureczający* — dziś: zaręczający.

stanowczo. Pan de Rênal rzucił mu się na szyję ze łzami w oczach. Kiedy Julian poprosił go o świadectwo, nie mógł w swoim entuzjazmie znaleźć dość chlubnych wyrażeń na jego pochwałę. Bohater nasz miał zaoszczędzonych pięć ludwików; o takąż sumę zamierzał prosić Fouquégo.

Był bardzo wzruszony. Ale o milę za Verrières, gdzie zostawił tyle miłości, myślał już tylko o szczęściu oglądania Besançon, stolicy, dużego warownego miasta.

W czasie krótkiej trzydniowej rozłąki pani de Rênal była pastwą jednej z najokrutniejszych złud miłości. Życie było jej znośne, między nią a ostatecznym nieszczęściem było jeszcze to oczekiwane ostatnie widzenie z Julianem. Liczyła godziny, minuty, które ją od niego dzieliły. Wreszcie trzeciego dnia, w nocy usłyszała z daleka umówiony sygnał. Przebywszy tysiąc niebezpieczeństw, Julian stanął przed nią.

Od tej chwili miała już tylko jedną myśl: „widzę go po raz ostatni". Zamiast odpowiadać na tkliwe wybuchy kochanka, była jak trup ledwie zdradzający resztki życia. Kiedy się zmuszała do tego, aby mu powtarzać, że go kocha, czyniła to jakby z przymusem. Nic nie mogło jej oderwać od myśli o wiekuistym rozłączeniu. Podejrzliwy Julian myślał przez chwilę, że już o nim zapomniała. Na cierpkie jego słowa odpowiedziały jedynie dwie łzy spływające w milczeniu oraz konwulsyjny niemal uścisk ręki.

— Ależ, na miły Bóg, jakże chcesz, abym ci wierzył? — odpowiadał Julian na chłodne zaklęcia kochanki. — Sto razy więcej serca objawiałaś pani Derville, prostej znajomej.

Pani de Rênal skamieniała, nie wiedziała, co odpowiedzieć.

— Nie podobna więcej cierpieć... Mam nadzieję, że umrę... Czuję, że serce mi stygnie...

Więcej Julian nie zdołał z niej wydobyć.

Kiedy o świcie trzeba się było rozstać, łzy pani de Rênal ustały nagle zupełnie. Patrzała bez słowa, bez pieszczoty jak Julian przywiązywał sznur do okna. Na próżno mówił:

— Przyszło nareszcie to, czego tak pragnęłaś. Odtąd będziesz mogła żyć bez wyrzutów. Za najmniejszym niedomaganiem dzieci nie będziesz ich widziała w grobie.

— Żal mi, że nie możesz uścisnąć Stasia — odparła chłodno.

Zimne uściski tego żyjącego trupa uczyniły na Julianie przejmujące wrażenie; przez kilka mil nie mógł myśleć o niczym innym. Przejęty był do głębi; nim znikł za górami, dopóki mógł widzieć wieżę kościoła w Verrières, oglądał się często.

XXIV. STOLICA

Ileż zgiełku, iluż krzątających się ludzi! Ileż marzeń o przyszłości w dwudziestoletniej głowie! Cóż za odtrutka dla miłości!

Barnave

Wreszcie ujrzał na odległej górze czarne mury: była to cytadela w Besançon. „Jakżeby to było inaczej — pomyślał, wzdychając — gdybym przebywał do tej wspaniałej fortecy jako podporucznik pułku walczącego w jej obronie!"

Besançon jest nie tylko jednym z najładniejszych miast we Francji; obfituje prócz tego w tęgich i bystrych ludzi. Ale Julian był sobie prostym i ubogim chłopcem; nie miał zgoła sposobności zbliżyć się do wybitniejszych osób.

Pożyczył od Fouguégo zwykłego ubrania i w tym stroju przeszedł zwodzony most. Z głową nabitą oblężeniem z r. 1764, Julian pragnął zobaczyć, nim go zamkną w seminarium, szańce cytadeli. Parę razy omal go nie przytrzymała warta; wciskał się w miejsca, do których inżynieria wojskowa broni publiczności wstępu, aby sprzedać z nich corocznie za dwanaście lub piętnaście franków siana.

Oglądanie wysokich murów, głębokich fos, straszliwych armat zajęło mu kilka godzin; wreszcie znalazł się na bulwarze tuż przed wielką kawiarnią. Stanął niemy z podziwu; próżno czytał słowo KAWIARNIA wypisane wielkim pismem nad ogromnymi drzwiami, nie mógł uwierzyć oczom. Przemógł wreszcie lękliwość, odważył się wejść i znalazł się w sali długiej na trzydzieści lub czterdzieści kroków, a wysokiej co najmniej na dwanaście stóp. Tego dnia wszystko było dlań cudem.

Dwa bilardy były w ruchu; garsoni[38] wykrzykiwali punkty, gracze uwijali się otoczeni widzami. Obłoki dymu spowijały ich siną chmurą. Wysoka postawa mężczyzn, barczyste ramiona, ciężki chód, olbrzymie bokobrody, długie surduty, wszystko ściągało uwagę Juliana. Ci szlachetni potomkowie starożytnego Bisontium mówili strasznie głośno i przybierali miny groźnych wojowników. Julian zmartwiał w podziwie; myślał o ogromie i wspaniałości stolicy takiej jak Besançon. Nie śmiał poprosić o kawę jednego z wyniosłych panów, którzy wykrzykiwali punkty przy bilardzie.

Ale bufetowa zauważyła ładną twarzyczkę młodego prostaka, który przystanąwszy o trzy kroki od pieca z małym tobołkiem pod pachą, przyglądał się gipsowemu biustowi monarchy. Bufetowa, rosła dziewczyna, bardzo zgrabna i ubrana jak się godzi reprezentantce przyzwoitej kawiarni, dwa razy już szepnęła stłumionym głosem przeznaczonym dla ucha Juliana: „Panie, panie!". Julian ujrzał duże niebieskie oczy patrzące bardzo tkliwie i zrozumiał, że do niego mówiono.

Zbliżył się żywo do bufetu i do ładnej dziewczyny, jak gdyby szedł do nieprzyjaciela. Przy nagłym ruchu tobołek upadł mu na ziemię.

Ileż politowania wzbudzi nasz parafianin w studencikach paryskich, którzy w piętnastym roku umieją już wchodzić do kawiarni z tak wytworną miną! Ale ci chłopcy, tak dobrze ułożeni w piętnastym roku, w osiemnastym *pospolicieją*. Kurczowa nieśmiałość, jaką spotyka się na prowincji, raz przezwyciężona staje się szkołą woli. Zbliżając się do ślicznej dziewczyny, która raczyła doń zagadać, Julian, zdławiwszy lęk, stawał się odważny. Pomyślał: „Muszę jej powiedzieć prawdę".

— Pani — rzekł — jestem pierwszy raz w Besançon i chciałbym za zapłatą dostać bułkę i filiżankę kawy.

Panna uśmiechnęła się lekko i zarumieniła, bała się, aby ten ładny chłopiec nie ściągnął na siebie ironii i konceptów graczy. Spłoszony, nie pokazałby się więcej.

— Siądź pan tu, koło mnie — rzekła, wskazując marmurowy stolik prawie zupełnie zasłonięty olbrzymim mahoniowym bufetem.

Wychyliła się z bufetu, co dało jej sposobność rozwinięcia wspaniałej talii. Julian zauważył to; natychmiast myśli jego wzięły inny obrót. Piękna panna postawiła przed nim filiżankę, cukier i bułkę. Zawahała się, czy ma zawołać o kawę, rozumiejąc, że z nadejściem garsona sam na sam skończyłoby się.

Julian zamyślony porównywał tę wesołą i piękną blondynę z pewnymi wspomnieniami oblegającymi go uparcie. Świadomość uczucia, które zostawił za sobą, uczyniła go śmielszym. Piękna panna w lot zrozumiała spojrzenie Juliana.

— Ten dym przyprawia pana o kaszel, niech pan przyjdzie na śniadanie jutro przed ósmą; wówczas jestem prawie sama.

— Jak pani na imię? — spytał Julian z pieszczotliwym, mimo iż uroczo nieśmiałym uśmiechem.

— Amanda Binet.

— Czy pozwoli pani, abym przesłał pani za godzinę paczkę, ot, taką jak ta?

Piękna panna zastanowiła się nieco.

— Pilnują mnie: to by mnie mogło narazić, ale napiszę panu swój adres na kartce, którą pan przypnie do pakunku. Niech pan przyśle bez obawy.

— Nazywam się Julian Sorel — rzekł chłopiec — nie mam tu nikogo.

— A, rozumiem — rzekła wesoło — przybył pan do szkoły prawnej.

— Niestety, nie — odparł Julian — przysłano mnie do seminarium.

Głębokie rozczarowanie odbiło się na twarzy Amandy; zawołała garsona, już się przestała obawiać. Garson, nie patrząc na Juliana, nalał mu kawy.

Amanda odbierała przy bufecie pieniądze; Julian dumny był, że się ośmielił przemówić. Przy bilardzie wszczęła się kłótnia. Krzyki i wymyślania graczy rozlegające się w olbrzymiej sali robiły hałas, który pochłonął uwagę Juliana. Amanda zamyśliła się i spuściła oczy.

— Jeżeli pani pozwoli — rzekł nagle śmiało — powiem, że jestem jej kuzynem.

Determinacja ta spodobała się Amandzie. „Zuch chłopak" — pomyślała. Odparła szybko, nie patrząc nań i śledząc bacznie, czy się kto nie zbliża:

[38] *garson* — kelner.

— Jestem z Genlis koło Dijon, powiedz pan, że jesteś też z Genlis, krewny mojej matki.

— Nie zapomnę.

— Co czwartek o godzinie piątej seminarzyści przechodzą koło tej kawiarni.

— Jeżeli pani będzie o mnie myślała, proszę, kiedy będę przechodził, byś miała w ręku bukiecik fiołków.

Amanda spojrzała nań zdziwiona, spojrzenie to spotęgowało odwagę Juliana; mimo to zarumienił się mocno, mówiąc:

— Czuję, że zakochałem się w pani na śmierć.

— Ciszej, na miłość boską — rzekła przestraszona.

Julian silił się przypomnieć sobie frazesy z luźnego tomu *Nowej Heloizy*, który znalazł w Vergy. Pamięć posłużyła mu dobrze; dziesięć minut recytował oczarowanej Amandzie *Nową Heloizę*; upojony był własną śmiałością, kiedy nagle bufetowa przybrała wyraz lodowaty. Któryś z jej kochanków zjawił się w drzwiach.

Zbliżył się do bufetu, pogwizdując i wypinając pierś, mimo woli spojrzał na Juliana. Natychmiast w wyobraźni chłopca wciąż poruszającej się w krańcowych wyobrażeniach, błysła myśl pojedynku. Zbladł, odsunął filiżankę, przybrał minę bardzo pewną siebie i zaczął bystro wpatrywać się w rywala. Gdy ten pochylił się nad bufetem, nalewając sobie poufale kieliszek wódki, Amanda spojrzeniem nakazała Julianowi, aby spuścił oczy. Usłuchał i przez dwie minuty trwał nieruchomo w miejscu blady, gotów na wszystko, nie myśląc o tym, co się stanie; w tej chwili wyglądał w istocie chwacko. Wyraz Juliana uderzył jego rywala; przełknął jednym haustem kieliszek wódki, rzucił parę słów Amandzie, wsadził ręce w kieszenie obszernego surduta, po czym odszedł do bilardu gwiżdżąc i patrząc w stronę Juliana. Julian podrażniony wstał; ale nie wiedział, co zrobić, aby się zachować wyzywająco. Położył tobołek, po czym rozmyślnie niedbałym krokiem zbliżył się do bilardu.

Próżno rozsądek mówił mu, że pojedynek na samym wstępie położyłby koniec jego duchownej karierze.

„Mniejsza! Nie powie nikt, żem pozwolił sobie ubliżać".

Amandę ujęła jego odwaga, stanowiąca uroczy kontrast z nieśmiałością chłopca; w jednej chwili pobił w jej oczach surdutowego dryblasa. Wstała i udając, iż zauważyła kogoś przechodzącego ulicą, zagrodziła drogę Julianowi:

— Nie waż się szukać zwady z tym panem. To mój szwagier.

— Wszystko jedno. Przyglądał mi się.

— Chcesz mego nieszczęścia? Oczywiście, przyglądał ci się, może cię nawet zagadnie. Powiedziałam mu, że jesteś krewny mojej matki i że przybywasz z Genlis. On jest z Franche-Comté i nigdy nie wyściubił nosa poza Dôle; możesz mówić, co ci się podoba, nie lękaj się o nic.

Julian wahał się jeszcze; ona kłamała szybko dalej, z zawodową wprawą bufetowej:

— Oczywiście przyglądał ci się, bo właśnie w tej chwili pytał mnie, kto ty jesteś; on już jest taki poufały ze wszystkimi, nie chciał cię obrazić.

Oko Juliana pobiegło w stronę mniemanego szwagra, właśnie obstawiał numer przy drugim bilardzie. Julian usłyszał, jak krzyknął grzmiącym głosem: *Tu pieniądze*! Wyminął szybko Amandę i poszedł do bilardu. Amanda chwyciła go za ramię.

— Zapłać pan najpierw — rzekła.

„Słusznie — pomyślał Julian — boi się, abym nie wyszedł bez zapłacenia". Amanda była równie zmieszana jak on i bardzo czerwona; Wydała mu resztę jak mogła najwolniej, równocześnie mówiąc cicho:

— Wyjdź natychmiast z kawiarni, albo cię nie chcę znać, a chciałabym bardzo...

Julian wyszedł, ale z wolna. „Czy nie jest moim obowiązkiem — powtarzał sobie — abym teraz ja przyjrzał się temu brutalowi?" W tej niepewności stał godzinę na ulicy: czekał, czy rywal nie przyjdzie. Nie zjawił się, Julian odszedł wreszcie.

Bawił w Besançon dopiero od kilku godzin, a już napytał się zgryzoty. Stary chirurg udzielił mu niegdyś mimo swej podagry paru lekcji fechtunku; oto cała umiejętność, jaką Julian miał w paroksyzmie swego gniewu na podorędziu. Ale kłopot ten byłby niczym, gdyby Julian wiedział, w jaki sposób wyrazić swoje niezadowolenie inaczej niż policz-

kując przeciwnika; otóż gdyby przyszło do walki ręcznej, rywal jego, olbrzymi dryblas, poturbowałby go i odszedł spokojnie.

„Dla takiego nieboraka jak ja — myślał Julian — bez stosunków i bez pieniędzy, niewielka będzie różnica między seminarium a więzieniem; trzeba mi złożyć świecką odzież w jakiej gospodzie, gdzie przebiorę się na czarno. Jeśli mi się uda kiedy wyrwać na kilka godzin, będę mógł przebrać się znowu i odwiedzić Amandę. Rozumowanie było bardzo piękne, ale Julian mijał jedną gospodę po drugiej, nie śmiejąc wejść.

Wreszcie kiedy przechodził pod *Hotelem Ambasadorów*, niespokojne jego oczy spotkały się z oczami zażywnej kobiety, dość młodej jeszcze, rumianej, o wesołej i życzliwej twarzy. Zbliżył się i zwierzył ze swego kłopotu.

— Oczywiście, mój śliczny księżuniu — odparła gospodyni — przechowam twoje suknie, nawet przetrzepię je od czasu do czasu. W tej porze niedobrze jest zostawić sukienne ubranie, nie ruszając go po trosze.

Wzięła klucz i zaprowadziła go sama do pokoju, polecając spisać na kartce, co zostawia.

— Boże drogi, ależ panu do twarzy w tym stroju, księże Sorel — rzekła pulchna kobieta, kiedy Julian zeszedł do kuchni. — Zaraz panu przygotuję smaczny obiadek; i — dodała ciszej — będzie pana kosztował tylko dwadzieścia su, a nie pięćdziesiąt, jak wszyscy płacą! Trzeba oszczędzać pańską sakiewkę.

— Mam dziesięć ludwików — rzekł Julian z niejaką dumą.

— Och, dobry Boże! — zawołała poczciwa gospodyni z przestrachem. — Niech pan nie mówi tak głośno, dosyć jest nicponiów w Besançon. Ukradną to panu, ani się obejrzysz. Zwłaszcza nie zachodź nigdy do kawiarni: aż się tam roi od hultajów.

— A, tak? — rzekł Julian, któremu te słowa dały do myślenia.

— Przychodź pan tylko do mnie: sama zrobię panu kawę. Pamiętaj, że zawsze znajdziesz tu życzliwe serce i dobry obiad za franka: to się nazywa chyba uczciwie mówić. A teraz do stołu: obsłużę pana sama.

— Nie mógłbym jeść — rzekł Julian — nadto jestem wzruszony: prosto stąd mam iść do seminarium.

Przed odejściem poczciwa kobieta wypchała mu kieszenie przysmakami. Wreszcie Julian puścił się w stronę straszliwego przybytku; gospodyni, stojąc w drzwiach, wskazywała mu drogę.

XXV. W SEMINARIUM

Trzysta trzydzieści sześć obiadów po 85 centymów, trzysta trzydzieści sześć kolacji po 38 centymów, czekolada dla uprzywilejowanych; ile można zyskać na dostawie?

Valenod z Besançon.

Z dala ujrzał złocony krzyż na drzwiach; zbliżył się wolno, nogi uginały się pod nim. „Oto więc owo piekło, z którego nie zdołam się wyrwać!" Wreszcie zdobył się na to, aby zadzwonić. Odgłos dzwonu rozległ się jak w pustkowiu. Po dziesięciu minutach blady, czarno ubrany człowiek przyszedł otworzyć. Julian spojrzał nań i natychmiast spuścił oczy. Odźwierny ów miał osobliwą fizjonomię. Zielone źrenice były okrągłe jak u kota; nieruchome powieki zdradzały absolutną obojętność; z wąskich, wpół rozwartych warg sterczały zęby. Mimo to fizjonomia ta nie zwiastowała zbrodni; raczej ową doskonałą bezczułość, która o wiele więcej budzi grozy w młodym sercu. Jedynym uczuciem, jakie bystre spojrzenie Juliana zdołało odgadnąć na zwiędłej twarzy bigota, była głęboka wzgarda dla wszystkiego, co nie tyczy spraw nieba.

Julian podniósł z wysiłkiem oczy i głosem drżącym ze wzruszenia oznajmił, że chciałby się widzieć z księdzem Pirard, rektorem seminarium. Bez słowa człowiek w czerni dał mu znak, aby szedł za nim. Weszli na drugie piętro szerokimi schodami z drewnianą poręczą. Dalej od muru stopnie przechylały się mocno i zdawały się grozić zawaleniem. Małe drzwiczki, nad którymi widniał wielki cmentarny krzyż z prostego drzewa, pomalowany czarno otworzyły się z trudnością; odźwierny wpuścił chłopca do niskiego i ciemnego pokoju, którego ściany, bielone wapnem, strojne były dwoma wielkimi obrazami sczerniałymi od starości. Tam zostawił Juliana samego; chłopiec był wpół żywy, serce biło mu

jak młotem, czułby się szczęśliwy, gdyby się odważył płakać. Grobowa cisza panowała w całym domu.

Po kwadransie, który wydał się chłopcu dniem, odźwierny ukazał się w progu i nie racząc przemówić, skinął ręką. Julian wszedł do większego jeszcze niż poprzedni i bardzo licho oświetlonego pokoju. Ściany były również bielone, ale nie było żadnych mebli. Jedynie w rogu koło drzwi Julian ujrzał proste drewniane łóżko, dwa wyplatane krzesła i sosnowy niewyścielony fotel. W drugim końcu pokoju, przy okienku z pożółkłymi szybami, przybranym paroma niechlujnie utrzymanymi doniczkami spostrzegł siedzącego przy stole człowieka w zniszczonej sutannie. Wyglądał zagniewany; brał jedną po drugiej kwadratowe kartki i skreśliwszy po kilka słów, układał je na stole. Nie zauważył obecności Juliana. Chłopiec stał nieruchomo na środku, odźwierny wyszedł zamykając drzwi.

Dziesięć minut upłynęło w ten sposób; człowiek w zniszczonej sutannie wciąż pisał. Wzruszenie i groza Juliana doszły do tego nasilenia, że zdawało mu się, iż padnie. Filozof powiedziałby, może błędnie, że było to gwałtowne działanie szpetoty na duszę stworzoną do piękna.

W końcu piszący podniósł głowę; Julian spostrzegł to dopiero po chwili, a i wówczas stał dalej nieruchomy, jak gdyby śmiertelnie rażony straszliwym spojrzeniem. Zmętniałe oczy Juliana ledwie rozróżniały twarz podłużną i pokrytą czerwonymi plamami z wyjątkiem czoła, które było blade. Między czerwonymi policzkami a białym czołem błyszczała para małych czarnych oczu zdolnych przestraszyć najodważniejszego. Szerokie kontury czoła określone były gęstymi, gładko uczesanymi i czarnymi jak heban włosami.

— Zbliżysz się nareszcie? — rzekł w końcu niecierpliwie.

Julian podszedł niepewnym krokiem; wreszcie chwiejąc się, blady jak jeszcze nigdy w życiu zatrzymał się o trzy kroki od prostego drewnianego stołu pokrytego kartkami papieru.

— Bliżej — rzekł ksiądz.

Julian postąpił jeszcze wyciągając rękę i bezwiednie szukając oparcia.

— Nazwisko?

— Julian Sorel.

— Spóźniłeś się bardzo — rzekł ksiądz, mierząc go ponownie strasznymi oczyma.

Julian nie mógł znieść tego spojrzenia, wyciągnął rękę, jak gdyby chcąc się oprzeć o coś i runął jak długi na podłogę.

Ksiądz zadzwonił. Julian nie stracił przytomności; nie widział tylko nic i nie mógł się poruszać; ale słyszał kroki.

Podniesiono go, posadzono na fotelu. Usłyszał, jak straszny człowiek mówi do odźwiernego:

— Widać mą wielką chorobę[39]; tego nam jeszcze brakowało.

Skoro Julian zdołał otworzyć oczy, człowiek o czerwonej twarzy znowu pisał; odźwierny znikł... „Trzeba być mężnym — rzekł sobie nasz bohater — a zwłaszcza kryć to, co się czuje. — (Doznawał gwałtownego bólu w sercu). — Jeśli dostanę ataku, Bóg wie, co o mnie pomyślą".

Wreszcie ksiądz przestał pisać i rzekł, patrząc spod oka na Juliana.

— Możesz odpowiadać?

— Tak, ojcze — rzekł Julian słabym głosem.

— No, to wielce szczęśliwie.

Człowiek w czerni podniósł się nieco, szukając z niecierpliwością jakiegoś listu w szufladzie, która zaskrzypiała przy otwieraniu. Znalazł, usiadł z wolna i rzekł, patrząc znowu na Juliana z miną odbierającą chłopcu resztkę życia:

— Poleca cię ksiądz Chélan, najlepszy proboszcz w diecezji, najzacniejszy człowiek pod słońcem i mój przyjaciel od trzydziestu lat.

— A, więc to z księdzem Pirard mam zaszczyt mówić — rzekł Julian zamierającym głosem.

— Prawdopodobnie — odparł dyrektor seminarium, patrząc nań zgryźliwie.

---

[39] *wielka choroba* — epilepsja.

Małe oczki zaiskrzyły się zdwojonym blaskiem, któremu towarzyszył mimowolny skurcz w kątach ust. Była to fizjonomia tygrysa smakującego zawczasu rozkosz pożarcia ofiary.

— List krótki — rzekł jakby sam do siebie. — *Inteligenti pauca*; w dzisiejszych czasach im mniej się pisze, tym lepiej. — Czytał głośno:

„Polecam ci Juliana Sorel z mojej parafii, którego ochrzciłem niespełna przed dwudziestu laty; ojciec jest bogatym cieślą, ale mu nic nie daje. Julian będzie wybitnym pracownikiem w winnicy Pańskiej. Pamięć i inteligencja niepospolite; umie poważnie myśleć. Czy jego powołanie będzie trwało? Czy jest szczere?"

— *Szczere*! — powtórzył ksiądz Pirard zdziwiony, patrząc na Juliana, ale już łagodniej — *Szczere*! — powtórzył ciszej, podejmując czytanie.

„Zechciej przyjąć Juliana Sorel jako stypendystę, poddawszy go egzaminom. Obznajmiłem go nieco z teologią; z ową dawną, dobrą teologią — Bossuet, Arnauld, Fleury. Jeśli chłopiec ci się nie nada, odeślij mi go; dyrektor przytułku, którego znasz, ofiarowuje mu osiemset franków za miejsce preceptora. Ja jestem spokojny, dzięki Bogu. Przyzwyczajam się do straszliwego ciosu. *Vale et me ama*".

Ksiądz Pirard, zwalniając głos przy czytaniu podpisu, wymówił z westchnieniem słowo *Chélan*.

— Spokojny jest — rzekł — w istocie, cnota jego zasługiwała na tę nagrodę; oby Bóg mógł mi jej użyczyć, gdy przyjdzie pora!

Podniósł oczy ku niebu i uczynił znak krzyża. Na widok tego świętego znaku Julian uczuł, iż groza, która od chwili wejścia do tego domu ścięła go lodem, zaczyna ustępować.

— Mam tu trzystu dwudziestu jeden aspirantów do najświętszego stanu — rzekł wreszcie ksiądz Pirard tonem surowym, lecz nie gniewnym — siedmiu lub ośmiu zaledwie posiada rekomendację ludzi takich jak ksiądz Chélan; tak więc na trzystu dwudziestu jeden, będziesz dziewiąty. Ale względy moje nie są łaską ani słabością; jest to zdwojenie baczności i surowości w razie przewinień. Zamknij drzwi na klucz.

Julian uczynił wysiłek, aby nie upaść. Zauważył, że okienko w pobliżu drzwi wychodzi na pola. Popatrzył na drzewa; widok ten orzeźwił go, jak gdyby ujrzał starych przyjaciół.

— *Loquerisne linguam latinam*? (Czy mówisz po łacinie) — rzekł ksiądz Pirard, kiedy Julian wrócił.

— *Ita, pater optime* (tak, najlepszy ojcze) — odparł Julian, przychodząc nieco do siebie. To pewna, iż od pół godziny żaden człowiek w świecie nie wydawał mu się mniej *najlepszy* niż ksiądz Pirard.

Rozmowa potoczyła się po łacinie. Wzrok księdza złagodniał; Julian odzyskał nieco zimnej krwi. „Jakiż ja jestem słaby — myślał — że daję się wziąć na te pozory świętości! Człowiek ten okaże się po prostu frantem jak ksiądz Maslon". I Julian rad był z siebie, że prawie wszystkie pieniądze ukrył w butach.

Ksiądz Pirard wziął Juliana na egzamin z teologii i zdumiał się jego wiedzą. Zdziwienie jego wzrosło, kiedy przeszedł do szczegółowych pytań z Pisma świętego. Ale kiedy przyszło do ojców Kościoła, okazało się, że Julian nie zna nawet imion świętego Hieronima, Augustyna, Bonawentury, Bazylego etc.

„Tak, tak — pomyślał ksiądz Pirard — wciąż ta nieszczęsna skłonność do protestantyzmu, którą zawsze wyrzucałem Chélanowi. Głęboka, zanadto głęboka znajomość Pisma..."

(W tej chwili, Julian, nie czekając na pytania, zaczął rozprawiać o *prawdziwej* epoce powstania Genezy[40], Pięcioksięgu etc.).

„Do czego wiedzie to wieczne roztrząsanie Pisma świętego — myślał ksiądz Pirard — jeżeli nie do *samoistnej oceny*, to znaczy najokropniejszego protestantyzmu? A obok tej niebezpiecznej wiedzy nic o ojcach, którzy mogliby przeciwważyć tę skłonność".

Ale zdziwienie dyrektora seminarium nie miało granic, kiedy zagadnął Juliana w kwestii autorytetu papieża. Spodziewał się spotkać z zasadami starego gallikańskiego Kościoła; tymczasem chłopiec wyrecytował mu całą książkę pana de Maistre.

„Osobliwy człowiek ten Chélan — pomyślał ksiądz Pirard — czy dał mu tę książkę po to, aby nauczyć go z niej drwić?"

---

[40] *Geneza* — tu: Księga Rodzaju; łac. *Genesis*.

Próżno brał Juliana na spytki, siląc się odgadnąć, czy serio wierzy w zasady pana de Maistre. Chłopiec odpowiadał jedynie mechanicznie. W tej chwili Julian zachowywał się zupełnie dobrze, czuł, że panuje nad sobą. Po bardzo długim egzaminie miał wrażenie, że srogość księdza Pirarda jest już tylko przybrana. W istocie, gdyby nie surowe zasady, jakie od lat piętnastu nałożył sobie wobec uczniów, dyrektor uściskałby Juliana w imię logiki, tak odpowiedzi jego wydały mu się bystre, ścisłe i jasne.

„Umysł zdrowy i śmiały — pomyślał — ale *corpus debile* (ciało słabe)".

— Często padasz w ten sposób? — rzekł do Juliana, wskazując na podłogę.

— Pierwszy raz w życiu; fizjonomia odźwiernego tak mnie zmroziła — odparł Julian, rumieniąc się jak dziecko.

Ksiądz Pirard niemalże się uśmiechnął.

— Oto skutek próżności świata; przyzwyczaiłeś się widać do uśmiechniętych twarzy, zwierciadeł kłamstwa. Prawda jest surowa, młodzieńcze. A nasze zadanie na tym padole, czy nie jest surowe? Trzeba się mieć na straży przed tą słabością: *za wiele wrażliwości na czcze pozory*.

— Gdyby mi cię nie polecono — dodał ksiądz Pirard, wracając z widoczną przyjemnością do łaciny — gdyby mi cię nie polecił taki człowiek jak ksiądz Chélan, mówiłbym do ciebie pustym językiem tego świata, do którego, jak się zdaje, zbyt jesteś przyzwyczajony. Całkowite zwolnienie od opłaty, powiedziałbym ci, jest rzeczą niezmiernie trudną. Ale smutne by było, gdyby ksiądz Chélan po pięćdziesięciu sześciu latach pracy apostolskiej nie rozporządzał jednym wolnym miejscem w seminarium.

Po tych słowach ksiądz Pirard zalecił Julianowi, aby nie wstępował do żadnego tajnego towarzystwa ani kongregacji bez jego zezwolenia.

— Ręczę honorem — rzekł Julian z zapałem uczciwego człowieka.

Dyrektor seminarium pierwszy raz się uśmiechnął.

— To słowo jest tu nie na miejscu — rzekł — zanadto przypomina czczy honor światowych ludzi, który ich wiedzie do tylu błędów, a często i zbrodni. Winien mi jesteś posłuszeństwo na podstawie siedemnastego paragrafu bulli *Unam Ecclesiam* świętego Piusa V. Jestem twoim duchownym przełożonym. W tym domu, mój ukochany synu, *usłyszeć* znaczy *usłuchać*. Ile masz pieniędzy?

(„Aha — pomyślał Julian — to dlatego był ów *ukochany syn*").

— Trzydzieści pięć franków, ojcze.

— Zapisuj skrzętnie użytek tych pieniędzy; będziesz mi zdawał zeń sprawę.

Ta męcząca rozmowa trwała trzy godziny. Julian zawołał odźwiernego.

— Zaprowadź Juliana Sorel do celi nr 103 — rzekł ksiądz Pirard.

Przez szczególniejsze wyróżnienie przeznaczono Julianowi oddzielne mieszkanie.

— Zanieś tam jego walizę — dodał.

Julian spuścił oczy i ujrzał swoją walizę tuż przed sobą; patrzał na nią od trzech godzin i nie poznał jej.

Znalazłszy się w numerze 103, izdebce o powierzchni ośmiu stóp kwadratowych na najwyższym piętrze Julian zauważył, że okno wychodzi na wały, poprzez które widać było ładną równinę między rzeką a miastem.

— Cóż za uroczy widok! — wykrzyknął Julian bezwiednie i jakby nie rozumiejąc znaczenia słów. Wzruszenia, jakie przeszedł od kilku godzin w Besançon, wyczerpały jego siły. Usiadł koło okna na jednym drewnianym krześle, jakie było w celi i zapadł w głęboki sen. Nie słyszał dzwonu na wieczerzę ani na modlitwę; zapomniano o nim.

Kiedy pierwsze promienie słońca obudziły go nazajutrz rano, Julian leżał wyciągnięty na podłodze.

XXVI. ŚWIAT ALBO CZEGO BRAKUJE BOGACZOM

Jestem sam na ziemi, nikt nie raczy myśleć o mnie. Wszyscy, co dochodzą do czegoś, posiadają bezczelność lub twardość, do których nie czuję się zdolnym. Nienawidzą mnie dla mej dobroduszności. Och, niebawem umrę bądź z głodu, bądź ze zgryzoty, iż ludzie są tak twardzi!

Young.

Czym prędzej oczyścił suknie i zszedł na dół; spóźnił się. Zastępca nauczyciela połajał go surowo; miast się usprawiedliwiać, Julian skrzyżował ręce na piersi:

— *Peccavi, pater optime* (zgrzeszyłem, wyznaję mą winę, ojcze) — rzekł skruszonym głosem.

Ten pierwszy występ zyskał uznanie. Sprytniejsi uczniowie odgadli, że mają do czynienia z kimś, komu arkana rzemiosła nie są obce. Skoro nadeszła pora rekreacji, Julian uczuł, że jest przedmiotem powszechnej ciekawości; ale odpowiedział na nią wstrzemięźliwością i milczeniem. Zgodnie z zasadami, jakie sobie stworzył, patrzał na swoich trzystu dwudziestu jeden kolegów jako na wrogów; najniebezpieczniejszym zaś ze wszystkich był w jego oczach ksiądz Pirard.

Wkrótce potem przyszło Julianowi wybrać spowiednika; wręczono mu listę.

— Ech, Boże! Za kogo mnie oni mają — rzekł sobie w duchu — czy myślą, żem ja fryc? — I wybrał księdza Pirard.

Nie wiedział nawet, jak bardzo ten krok był doniosły. Młodziutki seminarzysta rodem z Verrières, który od początku garnął się do Juliana, pouczył go, iż roztropniej było może wybrać wicedyrektora, księdza Castanède.

— Ksiądz Castenède jest wrogiem księdza Pirard, którego podejrzewa o jansenizm — dodał, nachylając się do ucha Juliana.

Pierwsze kroki naszego bohatera, który tak wiele mniemał o swej przebiegłości, były wszystkie, jak wybór spowiednika, omyłką. Zaślepiony wyobraźnią brał w swoim zarozumieniu[41] intencję za czyny i sądził, że jest skończonym hipokrytą. W szaleństwie swym dochodził do tego, że wyrzucał sobie nadmierną doskonałość w obłudzie, tej sztuce ludzi słabych.

„Niestety! To moja jedyna broń! W innej epoce — mówił sobie — *zarabiałbym na chleb* wymową czynów w obliczu nieprzyjaciela".

Julian, rad ze swego postępowania, rozglądał się dokoła; wszędzie znajdował pozory najsurowszej cnoty.

Jakiś dziesiątek seminarzystów żył w aureoli świętości, miewali widzenia jak święta Teresa i święty Franciszek, wówczas gdy wystąpiły u niego stygmaty na górze Vernia w Apeninach. Ale to była wielka tajemnica. Ci biedni młodzi wizjonerzy byli prawie zawsze w infirmerii[42]. Setka innych łączyła z niezłomną wiarą niestrudzoną pilność. Zapracowywali się aż do choroby, bez wielkich rezultatów. Paru wyróżniło się istotnymi zdolnościami, między innymi niejaki Chazel; ale Julian czuł do nich odrazę i wzajemnie.

Ksiądz, Religia

Reszta seminarzystów to byli nieokrzesani chłopcy, kujący łacińskie wyrazy, których ledwie rozumieli znaczenie. Prawie wszystko chłopscy synowie, którzy woleli zarabiać na chleb lichą łaciną niż pracą na roli. Na podstawie tych spostrzeżeń Julian od pierwszych dni oddał się nadziei rychłych triumfów. „W każdej służbie trzeba ludzi inteligentnych — powiadał sobie — ostatecznie ktoś musi coś robić. Pod Napoleonem byłbym sierżantem; między tymi przyszłymi proboszczami będę wielkim wikariuszem".

„Wszyscy ci nieboracy — myślał dalej — od dzieciństwa chodzący w kieracie, żyli aż do przybycia tutaj zsiadłym mlekiem i czarnym chlebem. W domu jadali mięso ledwo kilka razy na rok. Podobni żołnierzom rzymskim, którym wojna zdawała się odpoczynkiem, ci nieokrzesani chłopi oczarowani są rozkoszami seminarium".

W tępych ich oczach Julian czytał zawsze zwierzęce zaspokojenie po obiedzie, a oczekiwanie przed obiadem. Oto ludzie, wśród których trzeba mu się wybić! Ale czego Julian nie wiedział, czego nie zdradzono przed nim, to, że być pierwszym we wszelkich kursach dogmatyki, historii kościelnej etc., było w ich oczach jedynie grzeszną pychą. Od czasu Woltera, od czasu rządu dwu Izb, będącego w gruncie jedynie *nieufnością i osobistym dociekaniem*, Kościół we Francji zrozumiał pono, że książki są jego prawdziwym wrogiem. Pokora serca jest wszystkim w jego oczach. Triumfy w naukach nawet duchownych są mu podejrzane i słusznie. Któż przeszkodzi wybitnej inteligencji przejść do przeciwnego obozu, jak Sièyes albo Grégoire? Wystraszony Kościół czepia się papieża jako jedynej deski zbawienia. Jeden papież może się pokusić o sparaliżowanie ducha krytyki i za pomocą wspaniałych ceremonii swego dworu usypia znudzone i chore dusze światowców.

[41] *zarozumienie* — dziś: zarozumiałość.

[42] *infirmeria* (z łac. *infirmus*: słaby, chory) — pomieszczenie szpitalne w klasztorze, koszarach wojskowych, internacie itp.

Na wpół przenikając te prawdy, którym wszelako każde słowo w seminarium sili się przeczyć, Julian popadł w melancholię. Pracował wiele, starając się szybko nauczyć rzeczy użytecznych dla księdza, a fałszywych i bezwartościowych w jego własnych oczach. Sądził, że to jest wszystko, co ma do roboty.

„Czyżby już wszyscy o mnie zapomnieli?" — myślał. Nie wiedział, że ksiądz Pirard otrzymał i rzucił w ogień kilka listów z pieczątką z Dijon, w których mimo nienagannej formy przebijała namiętna miłość walcząca widocznie z ciężkimi wyrzutami. „Tym lepiej — pomyślał ksiądz Pirard — przynajmniej kobieta, którą kochał ów młody człowiek, nie jest bezbożnicą".

Jednego dnia dostał się w ręce księdza Pirard list wpół zatarty łzami: było to wiekuiste pożegnanie. „Wreszcie — pisała ta osoba do Juliana — niebo pozwoliło mi w swojej łasce znienawidzić nie sprawcę mej winy — on będzie dla mnie zawsze najdroższą istotą — ale samą winę. Ofiara spełniona, drogi mój. Dobro istot, wobec których mam obowiązki, istot, które ty tak kochałeś, przeważyło. Bóg sprawiedliwy, lecz straszny nie będzie mścił się na nich za zbrodnie matki. Żegnaj, Julianie, bądź sprawiedliwy dla ludzi".

Koniec był ledwie czytelny; pisząca przesyła Julianowi adres w Dijon, mimo iż spodziewa się, że Julian nigdy nie odpowie lub też odpowie w słowach, które kobieta odrodzona dla cnoty będzie mogła czytać bez rumieńca.

Melancholia Juliana, złączona z lichym pożywieniem, jakiego dostarczał przedsiębiorca obiadów po 83 centymy, zaczęła podkopywać jego zdrowie, kiedy jednego rana, Fouqué zjawił się nagle w pokoju.

— Wreszcie mnie wpuścili. Byłem, nie wymawiając, pięć razy w Besançon, aby cię zobaczyć. Ani dudu. Posadziłem kogoś na czatach u bramy: czemuż ty, u kaduka, nigdy nie wychodzisz?

— Nałożyłem sobie próbę.

— Bardzoś zmieniony. Ostatecznie rad jestem, że cię widzę. Dwa nadobne talary przekonały mnie, że jestem głupiec, iżem ich nie ofiarował za pierwszą wizytą.

Gawęda przeciągała się w nieskończoność. Naraz Julian zmienił się na twarzy, kiedy Fouqué powiedział:

— Ale, ale! Czy wiesz? Matka twoich wychowanków popadła w ostateczną dewocję.

Mówił to swobodnym tonem, który sprawia tak osobliwe wrażenie na duszy owładniętej namiętnością, kiedy ktoś potrąci nieświadomie jej najdroższe uczucia.

— Tak, mój drogi, w dewocję najcięższego kalibru. Powiadają, że odbywa pielgrzymki. Ale, na wiekuisty wstyd księdza Maslon, który tak długo szpiegował biednego księdza Chélan, pani de Rênal odprawiła go z kwitkiem. Spowiada się w Dijon albo w Besançon.

— Bywa w Besançon! — zawołał Julian, oblewając się pąsem.

— Dość często — odparł Fougué.

— Masz przy sobie „*Constitutionnel*"?

— Co? — odparł Fouqué.

— Pytam, czy masz „*Constituteonnel*"? — powtórzył Julian najspokojniej w świecie. — Sprzedają go tu po trzydzieści su za numer.

— Jak to! Liberalizm nawet w seminarium! — wykrzyknął Fouqué. — Biedna Francja! — dodał, przybierając obleśny i słodkawy głos księdza Maslon.

Odwiedziny te sprawiłyby na naszym bohaterze głębokie wrażenie, gdyby zaraz nazajutrz odezwanie się owego młodziutkiego seminarzysty z Verrières, który zdawał się Julianowi takim dzieckiem, nie otwarło mu oczu na ważne odkrycie. Od przybycia do seminarium postępowanie Juliana było jedynie szeregiem fałszywych kroków. Zaśmiał się z goryczą z samego siebie.

W istocie w ważnych sprawach życia umiał się pokierować zręcznie; ale nie dość dbał o szczegóły, wygi zaś seminaryjne patrzą tylko na szczegóły. Toteż już miał u kolegów opinię niedowiarka. Zdradzało go mnóstwo drobiazgów.

W ich oczach posiadał najoczywiściej tę olbrzymią przywarę, że *myślał, sądził samodzielnie*, zamiast iść ślepo za autorytetem i przykładem. Ksiądz Pirard nie był mu żadną pomocą; nie odezwał się doń ani razu poza konfesjonałem, gdzie też na ogół więcej słuchał, niż mówił. Byłoby zgoła inaczej, gdyby wybrał księdza Castanède.

Odkąd Julian zrozumiał własną nieopatrzność, nie zaznał ani chwili nudów. Zapragnął poznać całą rozciągłość złego; w tym celu wyszedł nieco z wyniosłego i upartego

milczenia, jakim odtrącał kolegów. Wówczas zemszczono się na nim. Pojednawcze jego kroki przyjęto ze wzgardą i szyderstwem. Poznał, że od chwili wstąpienia do seminarium nie było ani godziny, zwłaszcza podczas rekreacji, która by nie pociągnęła dodatnich lub ujemnych konsekwencji; która by nie pomnożyła liczby jego wrogów lub nie zjednała mu życzliwości jakiegoś szczerze cnotliwego lub mniej gruboskórnego seminarzysty. Naprawić zło, które już się stało, było niezmiernie trudno. Odtąd Julian miał się bez ustanku na baczności; chodziło o to, aby się dać poznać w zupełnie nowym charakterze.

Gra oczu na przykład sprawiała mu wiele kłopotu. Nie bez racji w seminarium mają je wszyscy spuszczone. Ksiądz

„Jakiż ja byłem zarozumiały w Verrières — powiadał sobie Julian — myśląc, że znam życie! Ja się dopiero przygotowywałem; oto wreszcie znalazłem się w świecie takim, z jakim będę miał do czynienia do końca mej roli, otoczony prawdziwymi wrogami! Cóż to za piekielnie trudna rzecz — dodawał — ta hipokryzja o każdej minucie; zaiste, bledną przy tym prace Herkulesa. Herkules naszych czasów, to Sykstus V oszukujący przez piętnaście lat skromnością swoją czterdziestu kardynałów, którzy znali go porywczym i dumnym za młodu.

Nauka jest tu więc niczym! — powiadał sobie z goryczą — postępy w dogmatyce, w historii kościelnej, znaczą coś tylko na pozór. Wszystko, co mówię, to jedyny potrzask, w który łapie się dudków takich jak ja. Ha! Cała moja wartość zasadzała się na szybkich postępach, na zdolności przyswajania sobie tych banialuków. Czyżby w gruncie szacowali te rzeczy tyle, ile są warte? Czy sądzą o nich tak jak ja? A ja byłem na tyle głupi, aby się pysznić swą wiedzą! Owe pierwsze stopnie, które ciągle zdobywam, posłużyły mi tylko na to, aby mi stworzyć zajadłych wrogów. Chazel, który umie więcej ode mnie, wsunie zawsze w swoje zadanie jakiś gruby błąd, spychający go na pięćdziesiąte miejsce; jeśli czasem zdobędzie pierwsze, to przez roztargnienie. Och! Jakąż byłoby mi pomocą jedno jedyne słowo księdza Pirard!"

Z chwilą, gdy Julian poznał swój błąd, długie ćwiczenia w ascezie, jak również pięć razy dziennie kantyczki do Serca Jezusowego etc., przedtem tak śmiertelnie nudne, stały się dlań najbardziej zajmującymi aktami życia. Zastanawiając się surowo nad sobą, starając się zwłaszcza nie przeceniać własnych środków, Julian nie silił się jak owi wzorowi seminarzyści wspinać do wyżyn chrześcijańskiej doskonałości. W seminarium jest sposób jedzenia jajka, który świadczy o szczeblu osiągniętym w hierarchii pobożności.

Czytelnik, który uśmiecha się może w tym miejscu, zechce sobie przypomnieć wszystkie błędy, jakich dopuścił się, jedząc jajko, ksiądz Delille zaproszony na śniadanie do pewnej wielkiej damy na dworze Ludwika XVI.

Julian starał się zrazu dojść do *non culpa*, to znaczy do stanu młodego seminarzysty, którego chód, sposób poruszania oczami, rękami nie zdradzają wprawdzie światowości, ale nie wskazują jeszcze istoty pochłoniętej myślą o drugim życiu i o zupełnej nicości tego świata.

Bez ustanku spotykał Julian takie zdania wypisane węglem na ścianach: „Cóż znaczy sześćdziesiąt lat próby, w porównaniu z wiecznością rozkoszy lub z wiecznością wrzącej oliwy w piekle!". Nie lekceważył ich już; zrozumiał, że należy je mieć ciągle przed oczami. „Cóż będę czynił przez całe życie? — myślał. — Będę sprzedawał wiernym miejsce w niebie. Jak zdołam im uwidocznić to miejsce? Za pomocą zewnętrznej różnicy między sobą a człowiekiem świeckim". Ksiądz

Po kilku miesiącach nieustannego wysiłku Julian jeszcze wyglądał na człowieka, który *myśli*. Sposób poruszania oczami, składania ust nie zdradzał jeszcze wiary ślepej, gotowej we wszystko wierzyć i wszystkiemu dać świadectwo, choćby męczeństwem. Z wściekłością widział Julian, że najtępsi chłopi przewyższają go w tej mierze. Ci z zupełnie naturalnych przyczyn nie mogli wyglądać na myślicieli.

Ileż mąk zadawał sobie, aby osiągnąć ten pozór żarliwej i ślepej wiary, gotowej przed wszystkim się ukorzyć i wszystko wycierpieć, którą spotyka się tak często we włoskich klasztorach i której tak pyszne wzory zostawił nam Guerchin w kościelnych malowidłach.

W uroczyste święta dawano seminarzystom kiełbaski z kapustą. Sąsiedzi Juliana zauważyli, że jest nieczuły na to szczęście; była to jedna z pierwszych jego zbrodni. Koledzy widzieli w tym wstrętną i głupią obłudę; nic nie przysporzyło mu tylu wrogów. „Patrzcie Ksiądz, Jedzenie

mieszczucha, pyszałka — mówili — który udaje, że gardzi najlepszą wyżerką, kiełbaskami z kapustą! Fuj, paskudziarz! Zarozumialec!"

„Ach, tak! Głupota tych młodych kmiotków, moich kompanów, jest dla nich ogromną przewagą — wzdychał Julian w chwili zniechęcenia. — Na progu seminarium nie muszą się otrząsać z mnogości świeckich myśli, które ja wnoszę i które mimo wszystkich starań biją mi z twarzy".

Ksiądz, Pieniądz

Z uwagą, zazdrością niemal, studiował Julian najtępszych chłopskich synów przybyłych do seminarium. W chwili, gdy im ściągano z grzbietu siermięgę, aby włożyć sutannę, wychowanie ich ograniczało się do bezgranicznego szacunku dla pieniędzy, zwłaszcza w gotowiźnie.

Chłop, Ksiądz, Władza, Jedzenie, Własność, Głód

Dla tych seminarzystów, jak dla bohaterów powiastek Woltera, szczęście polega na tym, aby się dobrze najeść. Prawie u wszystkich odkrył Julian kult dla ludzi odzianych w *cienkie sukno*. Pod wpływem tego uczucia oceniają oni wymiar sprawiedliwości, jaki można zyskać w naszych trybunałach, wedle jego wartości, a nawet poniżej wartości. „Na co się zdało — powtarzają często — prawować się z *grubą rybą*?"

Słowem tym określa się w dolinie Jura bogatego człowieka. Można stąd osądzić szacunek ich dla istoty najbogatszej ze wszystkich: dla rządu!

Nie uśmiechnąć się z szacunkiem na samo imię pana prefekta uchodzi w oczach chłopów z Franche-Comté za zuchwalstwo; owóż u biedaka zuchwalstwo pociąga za sobą rychło utratę chleba.

Wzgarda, która dławiła Juliana z początku, zmieniła się w litość: rodzicom większości kolegów zdarzyło się nieraz wrócić wieczorem w zimie do chaty, i nie znaleźć ani chleba, ani kasztanów, ani kartofli... „Cóż dziwnego — powiadał sobie Julian — jeżeli za szczęśliwego w ich oczach uchodzi przede wszystkim ten, kto zjadł dobry obiad, kto posiada dobrą odzież! Moi koledzy mają silne powołanie, to znaczy widzą w stanie duchownym nieprzerwaną trwałość tego szczęścia: mieć dobry obiad i ciepłe ubranie w zimie".

Julian usłyszał raz, jak młody seminarzysta, obdarzony snadź wyobraźnią, mówił do kolegi:

— Czemu nie miałbym zostać papieżem jak Sykstus piąty, który pasał świnie?

— Papieżami robią tylko Włochów — odparł przyjaciel — ale to pewna, że będą losować między nami posady wielkich wikariuszów, kanoników, może biskupów. Ojciec biskupa z Châlons był bednarzem: tak jak i mój.

Jednego dnia podczas lekcji dogmatyki ksiądz Pirard kazał zawołać Juliana. Nieborak cieszył się, że wyrwie się na chwilę z moralnej i fizycznej atmosfery otoczenia.

Julian spotkał u rektora to samo przyjęcie, które go tak zmroziło w dzień przybycia.

— Wytłumacz mi tę kartkę — rzekł patrząc nań strasznym wzrokiem.

Julian przeczytał:

„Amanda Binet, w kawiarni *Pod Żyrafą*, przed ósmą. Powiedzieć, że przybywasz z Genlis i jesteś kuzynem mojej matki".

Julian zrozumiał cały ogrom niebezpieczeństwa: policja księdza Castanède wykradła mu ten adres.

— W dniu, w którym przybyłem tutaj — rzekł, patrząc na czoło księdza Pirard, nie mógł bowiem znieść jego straszliwych oczu — drżałem cały; ksiądz Chélan uprzedził mnie, że roi się tu od donosicielstwa i dokuczliwości i że uczniów zachęca się do szpiegowania i denuncjacji. Niebo tak chce, aby ukazać młodym księżom życie takim, jak jest i wszczepić im odrazę do świata i jego pokus.

— Ty mi będziesz tu plótł frazesy! — krzyknął ksiądz Pirard wściekły. — Ladaco!

— W Verrières — ciągnął spokojnie Julian — bracia bili mnie, kiedy im dawałem powód do zawiści...

— Do rzeczy! Do rzeczy! — wykrzyknął ksiądz Pirard nieprzytomny z wściekłości.

Niezatrwożony bynajmniej Julian podjął opowiadanie:

— Skorom przybył do Besançon koło południa, byłem głodny, wszedłem do kawiarni. Serce moje zdejmował wstręt do tak plugawego miejsca, ale sądziłem, że śniadanie wypadnie mi tam taniej niż w gospodzie. Dama wyglądająca na właścicielkę wzruszyła się moim nieśmiałym wejrzeniem. „Besançon pełne jest hultajów — rzekła — boję się o pana. Gdyby się panu zdarzyło co złego, zwróć się pan do mnie, prześlij do mnie przed

ósmą. Jeśli odźwierny nie zechce spełnić pańskiego zlecenia, powiedz pan, że jesteś moim krewnym, rodem z Genlis..."

— Każę sprawdzić tę gadaninę! — wykrzyknął ksiądz Pirard, który nie mogąc wytrwać w miejscu, przechadzał się po pokoju. — Ruszaj do celi!

Ksiądz udał się za Julianem i zamknął go na klucz. Chłopiec wziął się natychmiast do przetrząśnięcia walizy, na której dnie nieszczęsna kartka była starannie ukryta. Nic nie brakło w walizie, ale rzeczy były poprzewracane; a przecież miał zawsze klucz przy sobie! „Co za szczęście — myślał Julian — że w czasie mej ślepoty nie skorzystałem nigdy z pozwolenia wyjścia: rozumiem teraz dobroć, z jaką ksiądz Castanède ofiarowywał mi je tak często. Może skusiłbym się zmienić ubranie i odwiedzić piękną Amandę; zgubiłbym się. Skoro ten plan zawiódł wówczas, aby nie zmarnować poszlaki, użyto jej do denuncjacji".

W dwie godziny później rektor zawołał Juliana.

— Nie skłamałeś — rzekł patrząc mniej surowo — ale przechowywać taki adres to nierozwaga, z której nie możesz sobie nawet zdać sprawy. Nieszczęsne dziecko! Za dziesięć lat jeszcze może ci to zaszkodzić.

XXVII. PIERWSZE DOŚWIADCZENIE

Współczesność, wielki Boże! To Arka święta: blada temu, kto jej dotknie.

Diderot.

Czytelnik daruje nam, że z tej epoki życia Juliana niewiele przytoczymy ścisłych i jasnych faktów. Nie aby ich brakowało; przeciwnie; ale to, co ujrzał w seminarium, byłoby może zbyt czarne w stosunku do kolorytu, jaki staraliśmy się zachować w tej książce. Współcześni, nawet znosząc pewne rzeczy, doznają na ich przypomnienie wstrętu paraliżującego wszelką przyjemność, nawet tę, która płynie z czytania powieści.

Studia nad hipokryzją gestów szły Julianowi dość opornie; chwilami ogarniał go wstręt, zniechęcenie. Nie mógł osiągnąć sukcesu, do tego w karierze, która mu była wstrętna. Najmniejsza pomoc z zewnątrz wystarczyłaby, aby mu dodać otuchy, trudności nie były zbyt wielkie; ale czuł się sam, jak łódka wśród oceanu.

„A gdybym nawet zwyciężył — powiadał sobie — całe życie spędzić w tym ohydnym towarzystwie! Obżartuchy marzący jedynie o omlecie ze słoniną na obiad lub też tacy księża Castanède, dla których żadna zbrodnia nie jest zbyt czarna! Dojdą do władzy, ale za jaką cenę, wielki Boże!

Wola ludzka jest potęgą czytam to wszędzie, ale czy wystarczy, aby pokonać taki wstręt? Zadanie wielkich ludzi było łatwe: niebezpieczeństwo, mimo całej grozy, zdało się im piękne, a któż zdoła zrozumieć, z wyjątkiem mnie, ohydę tego, co mnie otacza?"

Była to najcięższa próba w jego życiu. Tak łatwo by mu było zaciągnąć się do którego ze świetnych pułków stojących w Besançon! Mógł zostać nauczycielem łaciny; tak niewiele potrzebował, aby wyżyć! Ale wówczas żadnych widoków, żadnego pokarmu dla wyobraźni: to znaczy śmierć. Oto co mu się zdarzyło jednego z owych smutnych dni.

„Tak często pyszniłem się w duchu, że jestem różny od innych, młodszych wieśniaków! Otóż dość długo żyję, aby zrozumieć że *różnica płodzi nienawiść*" — powiadał sobie jednego rana. Tę wielką prawdę odgadł pod wpływem jednej ze swych najjaskrawszych porażek. Pracował cały tydzień nad pozyskaniem względów pewnego ucznia otoczonego aureolą świątobliwości. Przechadzał się z nim po dziedzińcu, słuchając z rezygnacją bredni przyprawiających o mdłości. Naraz zaciągnęło się na burzę, zahuczał grzmot: w tej chwili świątobliwy kolega wykrzyknął, odpychając go brutalnie:

— Słuchaj, każdy musi myśleć o sobie; nie mam ochoty zginąć od pioruna: Bóg może cię zdruzgotać jak bezbożnika, jak Woltera.

Z zębami zaciętymi z wściekłości, z oczyma wzniesionymi ku niebu w błyskawicach Julian wykrzyknął:

— Wart byłbym, aby utonąć, gdybym zasnął podczas burzy. Spróbujmy zdobyć innego jakiegoś cymbała.

Zadzwoniono na wykład historii kościelnej.

Młodym kmiotkom, tak drżącym przed ciężką pracą i przed rodzicielską nędzą, ksiądz

Ksiądz, Władza, Korzyść

Castanède wykładał tego dnia, iż rząd, owa instytucja tak straszna w ich oczach, posiada istotną i prawą władzę jedynie dzięki pełnomocnictwu zastępcy bożego na ziemi.

— Stańcie się godni łask papieża świętością życia, posłuszeństwa, bądźcie jako kij w jego ręku — dodał — a każdy z was otrzyma świetną posadę, na której będzie władał samodzielnie, bez kontroli, posadę niewzruszoną, której dochody pokrywa w jednej trzeciej rząd, w dwóch trzecich zaś wierni urobieni waszą wymową.

Wychodząc z klasy, ksiądz Castanède zatrzymał się na dziedzińcu.

— O proboszczu można z całą słusznością powiedzieć, że wartość miejsca zależy od człowieka — rzekł do uczniów, którzy otoczyli go kołem. — Sam znałem zapadłe górskie parafie, które przynosiły więcej niż niejedno probostwo w mieście: i to w samej gotowiźnie, nie licząc tłustych kapłonów, a jajek, a świeżego masła, tysiąca miłych drobnostek... Ksiądz jest tam, bez kwestii, pierwszą figurą: nie ma większego obiadu, aby go nie proszono, nie goszczono etc.

Ledwie ksiądz Castanède odszedł, uczniowie podzielili się na grupy. Julian nie należał do żadnej; zastawiono go jak parszywą owcę. W każdej gromadzie jakiś uczeń rzucał grosz w górę: jeśli zgadł, na którą stronę padnie, koledzy wnosili, iż niebawem otrzyma tłuste probostwo.

Później następowały anegdoty. Młody księżyk, ledwie od roku wyświęcony, ofiarowawszy oswojonego królika służącej starego proboszcza, uzyskał to, że ksiądz powołał go na wikarego, wkrótce zaś potem (proboszcz umarł rychło) zajął jego miejsce w dobrej parafii. Inny znów wcisnął się jako następca starego, sparaliżowanego księdza, zabawiając go przy stole i krając mu zręcznie kurczęta.

Seminarzyści, jak zresztą młodzi adepci wszelkich zawodów, przeceniają znaczenie tych środeczków działających na ich wyobraźnię swą niezwykłością.

„Muszę — powtarzał sobie Julian — włożyć się do[43] tych rozmów".

Kiedy nie rozmawiano o kiełbaskach z kapustą i o tłustych probostwach, rozmawiano o świeckim zastosowaniu zasad duchownych, o sprawach między biskupami i prefektami, między merem a proboszczem. W oczach Juliana rodziło się pojęcie jakby drugiego Boga, ale Boga o wiele groźniejszego i potężniejszego niż tamten: ten drugi Bóg to był papież. Powiadano sobie, zniżając głos, kiedy była pewność, że ksiądz Pirard nie słyszy, że jeśli papież nie zadaje sobie trudu mianowania wszystkich prefektów i merów we Francji, to dlatego, iż powierzył ten trud królowi, mianując go starszym synem Kościoła.

Religia, Ksiądz, Władza

Wówczas to Julian sądził, iż może wyzyskać ku swej chwale znajomość książki *O Papieżu* pana de Maistre. W istocie, zadziwił kolegów, ale znów obróciło się to przeciw niemu. Podrażnił ich, formułując lepiej niż oni sami ich własne mniemania. Ksiądz Chélan był nieopatrzny za Juliana, jak był nieopatrzny za samego siebie. Wpoiwszy mu nawyk ścisłego rozumowania i odrazę do czczych słów, zapomniał go pouczyć, że u chudego pachołka narów ten jest zbrodnią; wszelkie logiczne rozumowanie ma w sobie coś obrażającego.

Wymowę Juliana poczytywano mu za nową zbrodnię. Mówiąc o nim, koledzy zdołali wreszcie wyrazić jednym słowem wstręt, jaki w nich budził: nazwali go *Marcinem Lutrem*; zwłaszcza, mówili, z przyczyny owej piekielnej logiki, którą się tak pyszni.

Niejeden młody seminarzysta miał świeżą cerę i mógł pobić Juliana urodą; ale on miał białe ręce, i nie mógł ukryć niektórych nałogów wyszukanej czystości. Zaleta ta nie była zgoła zaletą w ponurym gmachu, do którego los go rzucał. Niechlujni chłopi, którzy go otaczali, okrzyknęli go rozpustnikiem. Lękamy się znużyć czytelnika tysiącznymi niedolami naszego bohatera. Najsilniejsi z klasy chcieli wprowadzić znęcanie się nad nim: trzeba mu było uzbroić się w żelazny cyrkiel i oznajmić, ale tylko gestem, że zrobi zeń użytek. Gesty trudniej wyzyskać w raportach donosicieli słowa.

XXVIII. PROCESJA

Wszystkie serca ogarnęło wzruszenie. Zdawało się, że obecność Boga zstąpiła w te wąskie gotyckie uliczki przybrane ze wszystkich stron i wysypane piaskiem dzięki staraniu wiernych.

Young.

[43] *włożyć się do czegoś* — przystosować się, przyuczyć do czegoś.

Daremnie Julian silił się być małym i głupim, nie mógł pozyskać sympatii, nadto był inny. „A wszakże — powiadał sobie — profesorowie ci to ludzie bardzo sprytni, wybrani spośród tysiąca; w jaki sposób nie smakują w mojej pokorze?" Jeden tylko był na tyle uprzejmy, że wierzył we wszystko i wszystko dawał w siebie wmówić. Był to ksiądz Chas-Bernard, mistrz ceremonii przy katedrze, gdzie od piętnastu lat obiecywano mu miejsce kanonika; tymczasem wykładał wymowę kościelną w seminarium. W epoce swego zaślepienia Julian najczęściej celował na tym kursie; ksiądz Chas nabrał dlań sympatii i po lekcji nieraz brał go pod ramię, aby się z nim przejść po ogrodzie.

„Do czego on zmierza?" — myślał Julian, słuchając jak przez całe godziny ksiądz opowiadał mu o bogactwach katedralnej szatni. Było tam 17 ornatów haftowanych złotem, nie licząc żałobnych. Wiele rachowano na starą prezydentową de Rubempré; dama ta licząca dziewięćdziesiąt lat przechowywała od siedemdziesięciu lat co najmniej wyprawne suknie ze wspaniałych materii liońskich przetykanych złotem.

— Wyobraź sobie, chłopcze — mówił ksiądz, zatrzymując się nagle, i otwierając szeroko oczy — te suknie stoją same na ziemi, tyle w nich złota. Przypuszczają powszechnie w Besançon, że dzięki testamentowi prezydentowej skarbiec katedralny wzbogaci się o więcej niż dziesięć ornatów, nie licząc kilku kap na uroczyste święta. Ba! Więcej jeszcze — dodał ksiądz Chas, zniżając głos — mam powody przypuszczać, że prezydentowa zostawi nam osiem wspaniałych pozłacanych świeczników nabytych, jak wieść niesie, we Włoszech przez Karola Śmiałego, którego ulubionym ministrem był jeden z przodków tej damy.

„Dokąd ten człowiek zmierza z tą rupieciarnią? — myślał Julian. — Te zręczne przygotowania trwają już cały wiek, a za nic nie chce puścić farby. Musi mi strasznie nie ufać. Sprytniejszy jest niż wszyscy inni, których tajemne cele można przeniknąć w ciągu dwóch tygodni. Rozumiem, ten człowiek cierpi w swej ambicji od piętnastu lat!"

Jednego wieczora podczas lekcji zawołano Juliana do księdza Pirard.

— Jutro mamy święto *Corpus Domini* (Bożego Ciała); ksiądz Chas-Bernard potrzebuje cię przy zdobieniu katedry; idź i bądź posłuszny.

Ksiądz Pirard przywołał go jeszcze i dodał z wyrazem współczucia:

— Od ciebie zależy, czy chcesz skorzystać ze sposobności i przejść się po mieście.

— *Incredo per ignes* (mam ukrytych wrogów) — odparł Julian.

Nazajutrz wczesnym rankiem Julian udał się ze spuszczonymi oczyma do katedry. Widok ulic i rozpoczynającego się ruchu dobrze nań oddziałał. Na wszystkie strony zdobiono okna dywanami. Cały czas spędzony w seminarium wydał się Julianowi jedną chwilą. Myśl jego była w Vergy oraz przy pięknej Amandzie Binet, którą mógł spotkać, gdyż kawiarnia była opodal. Spostrzegł z dala księdza Chas-Bernard w bramie jego ukochanej katedry; był to zażywny człowiek o wesołej i szczerej twarzy. Ten dzień, to był dzień jego triumfu.

— Czekałem na ciebie, drogi synu — zawołał z daleka, spostrzegłszy Juliana — bywajże mi! Ciężki będziemy mieli dzień i długi; pokrzepmy się pierwszym śniadaniem; drugie czeka nas o dziesiątej podczas sumy.

— Pragnę, proszę ojca — rzekł Julian poważnie — nie być ani chwili sam; ojciec raczy zauważyć — dodał wskazując na zegar wieżowy — że przybywam o piątej bez jednej minuty.

— Ha, ha! Boisz się tych filutów z seminarium! Masz też o czym myśleć! — rzekł ksiądz Chas — Czy droga jest mniej piękna dlatego, że w płotach, które ją otaczają rosną ciernie? Podróżny idzie naprzód, a złośliwym cierniom pozwala tkwić w miejscu. Ale, do roboty, chłopcze, do roboty!

Ksiądz Chas miał słuszność, mówiąc że praca będzie ciężka. Poprzedniego dnia odbywała się w katedrze wielka uroczystość żałobna; nie można było nic przygotować, trzeba było tedy w ciągu jednego ranka przybrać czerwonym adamaszkiem do wysokości trzydziestu stóp wszystkie słupy gotyckie tworzące trzy nawy. Biskup sprowadził z Paryża ekstra pocztą czterech tapicerów, ale nie mogli nastarczyć wszystkiego; zamiast zaś wspomagać dobrą radą niezręczność besansońskich kolegów, zdwajali ją za pomocą drwin.

Julian zrozumiał, że trzeba wyleźć samemu na drabinę: wrodzona zwinność przydała mu się. Podjął się kierować pracą miejscowych tapicerów. Ksiądz Chas zachwycony

patrzał, jak młodzieniec buja z drabiny na drabinę. Skoro wszystkie kolumny obleczono adamaszkiem, trzeba było umieścić pięć olbrzymich bukietów z piór na baldachimie nad głównym ołtarzem. Jest to bogate sklepienie ze złoconego drzewa, wspierające się na ośmiu kręconych kolumnach z włoskiego marmuru. Ale, aby się dostać na środek baldachimu, ponad *tabernaculum*, trzeba było przejść po starym drewnianym gzymsie, może spróchniałym, na wysokości czterdziestu stóp.

Widok tej niebezpiecznej drogi zagasił wesołość i koncepty paryżan; przyglądali się, rozprawiali, ale nie kwapili się wejść. Julian chwycił bukiety i wbiegł pędem na drabinę. Umocował je zręcznie w kształt korony, w samym środku baldachimu. Kiedy zeszedł z drabiny, ksiądz Chas-Bernard uściskał go.

— *Optime*! — wykrzyknął zacny ksiądz — Opowiem to Jego Dostojności.

Drugie śniadanie spłynęło bardzo wesoło. Nigdy katedra nie wydała się księdzu Chas tak strojna.

— Drogi chłopcze — rzekł do Juliana — matka moja wynajmowała krzesła w tej świątyni, wychowałem się poniekąd w tym gmachu. Terror Robespierre'a zrujnował nas; ale w ósmym roku sługiwałem już do mszy w pokoju i dostawałem wikt w dzień mszy. Nikt nie umiał tak złożyć ornatu jak ja, żaden galon nie był załamany. Od przywrócenia obrządków przez Napoleona mam szczęście wszystkim zarządzać w tej czcigodnej świątyni. Pięć razy do roku oczy moje oglądają ją przystrojoną w uroczyste szaty. Ale nigdy nie była tak wspaniała, nigdy bryty adamaszkowe nie przylegały do filarów tak pięknie jak dziś.

„Wreszcie zdradzi mi swą tajemnicę — pomyślał Julian — zaczyna mówić o sobie, przejdziemy do wynurzeń". Ale, mimo iż wyraźnie podniecony, ksiądz nie powiedział ani jednego niebacznego słówka. „A wszakże on też wiele pracował, jest szczęśliwy, nie żałował sobie winka. Cóż za człowiek! Co za przykład dla mnie; należą mu się szlify". (To brzydkie wyrażenie przejął Julian od starego chirurga).

Kiedy podczas sumy zadzwoniono na *Sanctus*, Julian chciał przywdziać komżę, aby towarzyszyć biskupowi we wspaniałej procesji.

— A złodzieje, mój synu, a złodzieje! — wykrzyknął ksiądz Chas. — Czyś zapomniał o tym? Procesja wyjdzie z kościoła, my we dwóch będziemy pilnowali. Możemy mówić o szczęściu, jeśli będzie brakowało tylko paru łokci tej ślicznej materii, która stroi dół filarów. To także dar pani de Rubempré; pochodzi od słynnego hrabiego, jej prapradziadka; czyste złoto, drogie dziecko — szepnął ksiądz do ucha Julianowi z widocznym podnieceniem — czyściutenieczkie! Polecam ci dozór w skrzydle północnym, nie wychodź stamtąd. Ja biorę na siebie skrzydło południowe i wielką nawę. Baczność na konfesjonały: z nich konfidenci złodziejscy wypatrują chwilę, gdy obrócimy się plecami.

W tej chwili wybiły trzy kwadranse na dwunastą: natychmiast rozległ się wielki dzwon. Pełne i uroczyste dźwięki wzruszyły Juliana. Dusza jego uleciała ponad ziemię.

Zapach kadzidła i listków róży, które dziewczątka w bieli rzucały przed świętym sakramentem, odurzyły go do reszty.

Religia, Ksiądz, Pieniądz

Te uroczyste dźwięki dzwonu powinny były obudzić w Julianie jedynie myśl o pracy dwudziestu ludzi płatnych po pięćdziesiąt centymów i wspomaganych może przez piętnastu lub dwudziestu wiernych. Powinien był myśleć o zużywaniu się sznurów i budynku, o niebezpieczeństwie samego dzwonu, który spada co dwa wieki, oraz zastanowić się nad sposobem zmniejszenia zarobku zakonników albo też spłacenia ich jakim odpustem czy inną łaską Kościoła, nie nadwerężając sakiewki.

W miejsce tych roztropnych myśli dusza Juliana podniecona pełnią tych dźwięków błądziła w urojonych przestrzeniach. Nigdy nie będzie zeń dobry ksiądz ni dobry administrator. Dusze ulegające podobnym wzruszeniom zdolne są co najwyżej wydać artystę. Tutaj ukazuje się w całym blasku zarozumiałość Juliana. Koledzy jego, nawykli zwracać uwagę na realności życia — ile że czują się otoczeni powszechną nienawiścią oraz przyczajonym w ich mniemaniu na każdym kroku *jakobinizmem* — myśleliby, słysząc dzwon katedralny, jedynie o płacy dzwonników. Obliczyliby z matematyczną ścisłością, czy stopień wzruszenia tłumu wart jest kwoty wydanej na dzwonników.

Gdy w cudną pogodę procesja obchodziła z wolna Besançon, zatrzymując się przy wspaniałych stacjach wzniesionych przez władze, kościół utonął w głębokim milczeniu. Panował w nim mrok oraz miły chłód; jeszcze unosiły się zapachy kwiatów i kadzidła.

Cisza, samotność, chłód długich naw wprawiały Juliana w stan coraz słodszego marzenia. Nie mącił mu go ksiądz Chas, zajęty w innej części kościoła. Dusza chłopca niemal opuściła śmiertelną powłokę, która przechadzała się z wolna po północnym skrzydle powierzonym jego pieczy. Czuł się spokojny, ile że przy konfesjonałach znajdowało się jedynie kilka prostych kobiet: wzrok jego biegł bez myśli przed siebie.

Wyrwał go poniekąd z roztargnienia widok dwóch kobiet bardzo wykwintnie ubranych; obie klęczały, jedna przy konfesjonale, druga tuż obok na klęczniku. Julian patrzał, nie widząc; jednakże bądź przez mętną świadomość obowiązków, bądź pod wpływem podziwu dla prostego, lecz szlachetnego stroju pań, zauważył, że w konfesjonale nie było księdza. „To szczególne — pomyślał — że te piękne panie, jeśli są nabożne, nie klęczą przy której ze stacji; lub jeśli to światowe damy, że się nie umieściły na widoku, w pierwszym rzędzie balkonu. Jak ta suknia doskonale leży! Co za wdzięk!" Zwolnił kroku, aby się im przyjrzeć.

Osoba klęcząca przy konfesjonale odwróciła głowę na odgłos kroków Juliana wśród ciszy. Naraz wydała głośny krzyk i zemdlała.

Czując, że mdleje, dama osunęła się na kolana i przegięła się w tył; przyjaciółka pośpieszyła jej z pomocą. Równocześnie Julian ujrzał biust zemdlonej damy: znany naszyjnik z dużych szlachetnych pereł uderzył jego oko. Cóż się z nim stało, kiedy poznał włosy pani de Rênal! Była to ona. Osobą, która starała się jej podtrzymać głowę i nie dać całkiem upaść, była pani Derville. Julian, nieprzytomny, rzucił się ku nim; pani de Rênal, padając, byłaby może pociągnęła przyjaciółkę, gdyby Julian ich nie podtrzymał. Ujrzał głowę pani de Rênal bladą, zwisłą bez czucia. Pomógł pani Derville umieścić tę śliczną głowę na wezgłowiu wyplatanego krzesła, ukląkł obok.

Pani Derville obróciła się i poznała go.

— Oddal się pan! — zawołała z gniewem. — Niech ona już pana nie zobaczy. To pewne, że widok pański musi w niej budzić wstręt: była tak szczęśliwa nim pana poznała! Postępowanie pańskie jest okrutne. Uciekaj; oddal się, jeśli ci została resztka wstydu.

Słowa te brzmiały tak stanowczo, a Julian czuł się w tej chwili tak słaby, że oddalił się. „Zawsze mnie nienawidziła" — rzekł, myśląc o pani Derville.

W tej samej chwili nosowy śpiew księży wracających z procesją rozległ się w kościele. Ksiądz Chas-Bernard zawołał kilkakrotnie na Juliana, który nie słyszał: wreszcie podszedł, aby go wyciągnąć zza filaru, gdzie Julian ukrył się wpół żywy. Chciał go przedstawić biskupowi.

— Słabo ci się zrobiło, dziecko — rzekł ksiądz widząc go bladym i niezdolnym uczynić kroku — zbyt się napracowałeś. Ksiądz ujął go pod rękę. — Chodź, usiądź na ławeczce przy kropielnicy za mną, ja cię zasłonię. — (Stali w pobliżu głównych drzwi). — Uspokój się, mamy jeszcze dobrych dwadzieścia minut, nim Jego Dostojność się zjawi. Staraj się przyjść do siebie; kiedy biskup będzie przechodził, ja cię podniosę; mimo swoich lat silny jestem i krzepki.

Ale kiedy biskup nadszedł, Julian był tak drżący, że ksiądz poniechał zamiaru.

— Nie martw się — rzekł — znajdziemy inną sposobność.

Wieczorem kazał zanieść do kaplicy seminarium dziesięć funtów świec oszczędzonych, jak mówił, dzięki staraniom Juliana i szybkości, z jaką je kazał zgasić. Czysty wymysł! Chłopiec sam był zgaszony; od czasu, jak ujrzał panią de Rênal, nie wiedział, co się z nim dzieje.

XXIX. PIERWSZE ODZNACZENIE

Zwiastun.

Julian nie ocknął się jeszcze ze wzruszenia, w jakim pogrążyło go spotkanie w katedrze, kiedy jednego ranka surowy ksiądz Pirard wezwał go do siebie.

— Ksiądz Chas-Bernard pisał właśnie do mnie za tobą. Jestem na ogół dość zadowolony z twego postępowania. Jesteś mimo pozorów nierozważny i roztrzepany; jednakże jak dotąd serce dobre, nawet szlachetne, zdolności niepospolite... W sumie: widzę w tobie iskrę, której nie należy zaniedbywać.

Po piętnastu latach pracy przyjdzie mi prawdopodobnie opuścić ten zakład: zbrodnią moją jest, że zostawiłem seminarzystom wolność myśli i nie popierałem ani też nie tępiłem sekretnego stowarzyszenia, o którym mówiłeś mi przy spowiedzi. Nim odejdę, chciałbym coś uczynić dla ciebie: byłbym to zrobił dwa miesiące wcześniej, gdyby nie denuncjacja oparta na znalezionym u ciebie adresie Amandy Binet. Mianuję cię repetytorem Starego i Nowego Testamentu.

Julian przejęty wdzięcznością chciał paść na kolana i podziękować Bogu, ale szczery odruch wziął górę. Zbliżył się do księdza Pirard, ujął jego rękę i chciał ją podnieść do ust.

— Co to jest? — wykrzyknął rektor gniewnie; ale oczy Juliana wyraziły więcej niż jego uczynek.

Ksiądz Pirard popatrzył nań ze wzruszeniem jak człowiek, który od wielu lat odwykł od spotykania szczerych uczuć. To zdradziło rektora; zmienionym głosem rzekł:

— Tak, drogie dziecko, przywiązałem się do ciebie. Bóg widzi, że mimo woli; powinien bym być sprawiedliwy, nie mieć dla nikogo miłości ani nienawiści. Droga twoja będzie ciężka. Widzę w tobie coś, co drażni pospólstwo. Będą cię ścigały zazdrości i potwarz. Gdzie bądź pomieści cię Opatrzność, wszędzie towarzysze będą cię nienawidzili; jeśli będą udawali życzliwość, to tylko po to, aby cię tym pewniej zdradzić. Na to jest tylko jedno lekarstwo: chroń się ze wszystkim do Boga, który, aby cię ukarać za twą pychę, zesłał na ciebie tę nienawiść. Niech twoje postępowanie będzie czyste, to jedyny ratunek dla ciebie. Jeśli będziesz się trzymał prawdy z niezłomną wytrwałością, wcześniej lub później wrogowie twoi będą pognębieni.

Od tak dawna Julian nie słyszał przyjaznego głosu, że trzeba mu darować tą słabość: rozpłakał się. Ksiądz Pirard wziął go w ramiona; była to chwila bardzo słodka dla obu.

Julian szalał z radości. Było to pierwsze jego odznaczenie, przynoszące olbrzymie korzyści. Aby je pojąć, trzeba być skazanym na miesiące całe bez chwili samotności, w bezpośrednim zetknięciu z dokuczliwymi i natrętnymi kolegami. Same ich krzyki wystarczyłyby, aby delikatniejszy ustrój doprowadzić do choroby. Hałaśliwa radość dobrze odkarmionych i dobrze odzianych chłopskich synów znajdowała dopiero wówczas pełny upust, kiedy krzyczeli, ile im tchu starczyło.

Obecnie Julian jadał sam lub prawie sam, w godzinę po innych. Miał klucz od ogrodu, mógł się przechadzać samotnie.

Ku wielkiemu zdumieniu Julian spostrzegł, że go mniej nienawidzą, gdy on spodziewał się zdwojenia nienawiści. Tajemna chęć odosobnienia się, chęć aż nazbyt widoczna, która zyskała mu tylu wrogów, przestała być oznaką śmiesznej pychy. W oczach otaczających go gruboskórców było to słuszne poczucie godności. Nienawiść osłabła znacznie, zwłaszcza między młodszymi, którzy stali się uczniami Juliana i których traktował wielce uprzejmie. Stopniowo nawet zyskał stronników; stało się w złym tonie nazywać go Marcinem Lutrem.

Ale po co wymieniać jego przyjaciół, wrogów? Wszystko to jest brzydkie, tym brzydsze, im intencja szczersza. Oto są wszelako jedyni nauczyciele moralności, jakich ma lud; a co by się z nim stało bez nich? Czyż dziennik zdoła kiedy zastąpić proboszcza?

Od czasu nowej godności Juliana rektor Pirard uważał, aby z nim nigdy nie mówić na osobności. Była to ostrożność wskazana tak ze względu na przełożonego, jak na ucznia: ale zwłaszcza była to *próba*. Niewzruszoną zasadą surowego jansenisty Pirarda było: gdy dany człowiek wart jest coś w twoich oczach, stawiaj mu przeszkody we wszystkich jego życzeniach i zamiarach. Jeśli wartość jest istotna, zdoła zwyciężyć albo ominąć przeszkody.

Był to czas polowania. Fouqué wpadł na myśl, aby posłać do seminarium jelenia i dzika, niby od rodziców Juliana. Złożono zwierzynę w przejściu między kuchnią a refektarzem; tam ujrzeli ją seminarzyści, idąc na obiad. Ciekawość była ogromna. Dzik, choć martwy, budził lęk w najmłodszych; dotykali jego kłów. Cały dzień mówiono tylko o tym.

Dar ten, wznosząc rodzinę Juliana do wyżyn powszechnego szacunku, zadał śmiertelny cios zazdrości. Urok dobrobytu uświęcił jego wyższość. Chazel i najwybitniejsi koledzy zaczęli mu nadskakiwać: maluczko, a byliby mu robili wyrzuty, że ich nie uprzedził o swej zamożności i tym samym naraził na możliwość chybienia szacunku pieniądzom.

Nadszedł pobór do wojska; Juliana zwolniono jako seminarzystę. Okoliczność ta wzruszyła go głęboko. „Oto więc minęła na zawsze chwila, w której przed dwudziestu laty zaczęłoby się dla mnie życie bohatera!"

Przechadzając się w ogrodzie, usłyszał rozmowę dwóch murarzy naprawiających coś koło muru.

— I cóż, trzeba iść, nowy pobór!

— Gdyby to za *niego*, niechby! Murarz zostawał oficerem, generałem; ho, ho! widzieli to ludzie.

— Aha, właśnie! Teraz same dziady idą. Kto ma za co, zostaje w domu.

— Biedak zostanie biedakiem i tyle!

— Słuchaj no, czy to prawda, co mówią, że *on* umarł? — wtrącił trzeci murarz.

— To ino bogacze tak mówią, kapujesz? Bali się *jego*.

— Cóż za różnica, hej! Jak to robota szła za tamtych czasów! I powiedzieć, że to właśni marszałkowie go zdradzili: to trzeba być szelmą!

Rozmowa ta pocieszyła nieco Juliana. Oddalając się, powtarzał z westchnieniem:

Jedyny Król, co w ludu ostał się pamięci!

Nadszedł czas egzaminów. Julian zdał świetnie; zauważył, że nawet Chazel stara się pokazać całą swą wiedzę.

Pierwszego dnia egzaminatorzy mianowani przez słynnego wielkiego wikariusza de Frilair bardzo byli nieradzi, iż pierwsze, a najwyżej drugie miejsce na liście muszą dawać temu Julianowi Sorel, o którym wiedzieli, że jest beniaminkiem księdza Pirard. Uczniowie zakładali się, że na ogólnej nocie Julian otrzyma pierwszy stopień, co przynosi z sobą zaszczyt obiadu u księdza biskupa. Pod koniec egzaminu, kiedy pytano z ojców Kościoła, zręczny egzaminator, zagadnąwszy Juliana o św. Hieronima i jego sympatie dla Cycerona, wspomniał o Horacym, Wergilim i innych świeckich autorach. Bez wiedzy kolegów Julian wyuczył się na pamięć sporo ustępów z tych pisarzy. Odurzony powodzeniem zapomniał, gdzie się znajduje, i na ponowne pytanie egzaminatora wyrecytował z zapałem oraz rozebrał kilka ód Horacego. Pozwoliwszy mu brnąć przez dwadzieścia minut, naraz egzaminujący zmienił wyraz i ostro zaczął mu wyrzucać czas stracony na świeckie studia oraz bezużyteczne i występne myśli, jakimi nabił sobie głowę.

— Głupiom postąpił, ojcze, moja wina — rzekł Julian skromnie, rozumiejąc, iż padł ofiarą zręcznego podstępu.

Ta sztuczka egzaminatora wywołała oburzenie nawet w seminarium, co nie przeszkodziło księdzu Frilair (owemu filutowi, który tak doskonale zorganizował sieć kongregacji besansońskiej i którego raporty paryskie przyprawiały o drżenie sędziów, prefekta, a nawet generałów) pomieścić swą potężną ręką numer 198 obok nazwiska Juliana. Miał tę satysfakcję, że mógł dokuczyć swemu wrogowi, janseniście Pirard.

Od dziesięciu lat dokładał starań, aby mu odebrać rektorat seminarium. Ksiądz Pirard, trzymając się sam linii postępowania, którą wskazał Julianowi, był szczery, pobożny, daleki od intryg, oddany obowiązkom. Ale niebo w swym gniewie obdarzyło go żółciowym temperamentem odczuwającym głęboko zniewagi i nienawiści. Żadna krzywda nie zacierała się w tej namiętnej duszy. Byłby sto razy podał się do dymisji, lecz sądził, że jest użyteczny na stanowisku, na którym Opatrzność go pomieściła. „Tamuję postęp jezuityzmu i bałwochwalstwa" — myślał.

W porze egzaminów od dwóch miesięcy blisko nie mówił z Julianem; mimo to przechorował cały tydzień, kiedy, otrzymawszy urzędowy wynik, ujrzał numer 198 przy nazwisku ucznia, którego uważał za chlubę zakładu. Jedyną pociechą dla tej surowej natury było otoczyć Juliana najściślejszym nadzorem: z radością ujrzał, że nie ma w nim ani gniewu, ani żądzy zemsty, ani zniechęcenia.

W kilka tygodni później Julian zadrżał, otrzymując list z paryską pieczęcią. Wreszcie, pomyślał, pani de Rênal przypomniała sobie swoje obietnice. Jakiś pan, rzekomo Paweł Sorel, mieniący się jego krewnym, przysłał mu czek na pięćset franków. Dodawał, iż, jeżeli Julian będzie nadal tak gorliwie studiował klasyków, otrzyma co roku tę samą kwotę.

„To ona, to jej dobroć — pomyślał Julian rozczulony — chce mnie pocieszyć; ale czemu ani jednego przyjaznego słowa?"

Mylił się: pani de Rênal opanowana przez przyjaciółkę, panią Derville, oddawała się całkowicie głębokiej skrusze. Mimo woli często myślała o szczególnym człowieku, którego zjawienie się zburzyło jej egzystencję, ale nie byłaby się odważyła doń pisać.

Gdybyśmy się posługiwali językiem seminarium, musielibyśmy uważać tę przesyłkę za cud i powiedzieć, iż niebo użyło samego księdza de Frilair za narzędzie swej łaski.

Dwanaście lat wprzódy ksiądz de Frilair przybył do Besançon ze szczupłym tłumoczkiem, który wedle kroniki zawierał całe jego mienie. Obecnie był jednym z najbogatszych posiadaczy w okolicy. W rozkwicie swej pomyślności kupił połowę majątku, którego druga połowa przypadła drogą sukcesji panu de la Mole. Stąd zaciekły proces między tymi osobistościami.

Mimo swej paryskiej świetności i dworskich urzędów margrabia czuł, iż niebezpiecznie jest walczyć w Besançon przeciw wielkiemu wikariuszowi, o którym mówiono, że mianuje i usuwa prefektów. Zamiast wykołatać pod jakimkolwiek pozorem gratyfikację pięćdziesięciotysięczną i zaniechać procesu o takąż sumę z księdzem de Frilair, margrabia uparł się. Uważa, że ma rację: dobra racja!

Owóż niech mi wolno będzie powiedzieć: któryż sędzia nie ma syna lub bodaj kuzyna, dla którego potrzebuje protekcji?

Aby oświecić najbardziej ślepych, w tydzień po wygranej w pierwszej instancji ksiądz de Frilair wziął powóz biskupa i osobiście zawiózł swemu adwokatowi krzyż legii honorowej. Pan de la Mole osłupiał: czując, że adwokaci jego słabną, poradził się księdza Chélan, który zapoznał go z księdzem Pirard.

W epoce naszego opowiadania stosunki te trwały już od kilku lat. Ksiądz Pirard włożył w tę sprawę cały swój namiętny temperament. Stykając się bez ustanku z adwokatami margrabiego, zgłębił proces i uważając go za słuszny, stał się jawnym rzecznikiem margrabiego przeciw wszechpotężnemu wikariuszowi. To zuchwalstwo i to ze strony mizernego jansenisty oburzyło księdza de Frilair!

— Patrzcie, czym są w rezultacie ci panowie ze dworu, którzy się uważają za tak potężnych! — mówił do swoich zaufanych. — Pan de la Mole nie wyjednał nawet nędznego krzyża swemu pełnomocnikowi w Besançon i pozwoli, aby go w krótkiej drodze usunięto z posady. A jednak, jak słyszę, nie minie tydzień, aby ten szlachetny par nie wysiadywał krzeseł w salonie każdorazowego ministra sprawiedliwości.

Mimo całej energii księdza Pirard i mimo że pan de la Mole był wciąż w najlepszych stosunkach z ministrem sprawiedliwości, a zwłaszcza z jego kancelarią, wszystko, co mógł uczynić po sześciu latach starań, było to, że nie przegrał jeszcze ostatecznie procesu.

Pozostając w ciągłej korespondencji z księdzem Pirard dla sprawy, którą obaj prowadzili z zapałem, margrabia zasmakował z czasem w umyśle księdza. Stopniowo, mimo przepaści społecznej, korespondencja ich przybrała ton przyjacielski. Ksiądz Pirard zwierzył się margrabiemu, że go chcą szykanami zmusić do dymisji. Oburzony niegodną jego zdaniem sztuczką, jakiej użyto wobec Juliana, opisał margrabiemu jego historię.

Mimo że bardzo bogaty, magnat ów nie był skąpy. Nigdy nie mógł skłonić księdza Pirard, aby przyjął bodaj zwrot kosztów pocztowych, jakimi obarczył go proces. Chwycił sposobność przesłania pięciuset franków jego ulubionemu uczniowi.

Pan de la Mole sam sobie zadał trud napisania listu towarzyszącego przesyłce; to przypomniało mu księdza Pirard.

Jednego dnia rektor seminarium otrzymał bilecik, który w naglącej sprawie wzywał go do gospody. Zastał tam intendenta margrabiego.

— Pan margrabia polecił mi oddać do rozporządzenia księdza karetę — rzekł intendent. — Spodziewa się, że po przeczytaniu tego listu, zechce ksiądz rektor za kilka dni wybrać się do Paryża. Czas, który mi ksiądz pozostawi, obrócę na objazd majątków pana margrabiego; po czym w dniu, który będzie księdzu dogadzał, pojedziemy do Paryża.

List był krótki.

„Otrząśnij się, drogi księże, ze wszystkich prowincjonalnych utrapień i przyjedź odetchnąć swobodniej do Paryża. Posyłam ci mój powóz, który przez cztery dni będzie czekał twojej decyzji. Ja sam będę cię czekał w Paryżu do wtorku. Wystarczy jednego słowa, abym podpisał w twym imieniu akt objęcia jednej z najtłustszych parafii w okolicy Paryża. Najbogatszy z twych parafian nie widział Cię jeszcze, ale jest Ci oddany więcej, niż możesz przypuszczać: jest nim margrabia de la Mole".

Sam o tym nie wiedząc, surowy ksiądz Pirard kochał to przepełnione wrogami seminarium, któremu od piętnastu lat poświęcał wszystkie myśli. List pana de la Mole był niby zjawieniem się chirurga mającego dokonać bolesnej, ale koniecznej operacji. Dymisja była rzeczą pewną. Przyrzekł intendentowi odpowiedź za trzy dni.

Dwie doby żył w gorączce niepewności. Wreszcie napisał do pana de la Mole oraz ułożył list do biskupa, nieskazitelny w swym duchownym stylu, mimo że przydługi. Trudno byłoby znaleźć wyrażenia bardziej nienaganne i oddychające doskonalszym szacunkiem. List ten, pisany z zamiarem skompromitowania księdza de Frilair wobec zwierzchnika, streszczał wszelako wszystkie przedmioty poważnych zarzutów, aż do pogłosek i dokuczliwości, które po sześcioletniej cierpliwej rezygnacji, zmuszały wreszcie księdza Pirard do opuszczenia diecezji.

Kradziono mu drzewo w drewutni, otruto psa etc.

Ukończywszy list, ksiądz kazał zbudzić Juliana, który o ósmej już spał, jak wszyscy seminarzyści.

— Wiesz, gdzie jest pałac biskupi? — rzekł doń w wytwornej łacinie — zanieś ten list Jego Dostojności. Nie będę ci ukrywał, że posyłam cię do jaskini wilków. Zmień się cały we wzrok i w słuch. Wystrzegaj się w odpowiedziach wszelkiego kłamstwa; ale pamiętaj, że ten, kto cię pyta, znalazłby może szczerą przyjemność w tym, aby ci zaszkodzić. Rad jestem, dziecko, że mogę przed odejściem użyczyć ci tego doświadczenia, nie będę ci bowiem taił, że list, który niesiesz, zawiera dymisję.

Julian stał nieruchomy, kochał księdza Pirard. Daremnie wyrachowanie mówiło mu:

„Po ustąpieniu tego zacnego człowieka stronnictwo *Serca Jezusowego* usunie mnie z posady, a może wypędzi!"

Nie mógł myśleć o sobie. Obracał w głowie zdanie, które chciał ubrać w grzeczną formę i nie umiał.

— I cóż, chłopcze, nie idziesz?

— Bo, proszę ojca — rzekł nieśmiało Julian — powiadają, że przez cały czas rektoratu ojciec nic nie odłożył. Mam sześćset franków.

Łzy nie pozwoliły mu mówić.

— *I to będzie zapisane* — rzekł chłodno rektor. — Idź do biskupa, późno jest.

Przypadek chciał, że tego wieczora ksiądz de Frilair urzędował w biskupim salonie. Jego Dostojność był na obiedzie w prefekturze. Julian wręczył tedy list samemu księdzu de Frilair, którego nie znał.

Julian ujrzał ze zdziwieniem, jak ksiądz otwiera śmiało list adresowany do biskupa. Piękna twarz wikariusza przybrała wyraz zdziwienia połączony z żywą przyjemnością, po czym oblekła się w powagę. Podczas czytania Julian uderzony jego imponującą fizjonomią miał czas mu się przyjrzeć. Twarz ta miałaby jeszcze więcej powagi, gdyby nie spryt przebijający się w niektórych rysach, spryt, który łatwo przybrałby odcień fałszu, gdyby właściciel pięknej twarzy przestał się nią choć chwilę zajmować. Nos bardzo wydatny tworzył zupełnie prostą linię i na nieszczęście dawał wytwornemu profilowi podobieństwo z fizjonomią lisa. Ksiądz ten, tak widocznie zainteresowany dymisją księdza Pirard, ubrany był z wykwintem, który zachwycił Juliana: nigdy nie widział nic podobnego u żadnego księdza.

Później dowiedział się Julian o specjalnym talencie księdza de Frilair. Umiał zabawiać biskupa, miłego staruszka stworzonego do życia w Paryżu i czującego się w Besançon jak na wygnaniu. Biskup miał słaby wzrok, a namiętnie lubił ryby: ksiądz de Frilair wyjmował mu ości.

Julian przyglądał się w milczeniu czytającemu księdzu, kiedy nagle drzwi otwarły się z trzaskiem. Bogato ubrany lokaj przeszedł spiesznie. Julian ledwie miał czas obrócić się ku drzwiom; ujrzał małego staruszka z krzyżem biskupim na piersiach. Skłonił się nisko: biskup, przechodząc, uśmiechnął się dobrotliwie. Piękny ksiądz udał się za nim; Julian został sam w salonie i mógł podziwiać do woli jego zbożny przepych.

Biskup, człowiek ciężko doświadczony, ale nie złamany na duchu długimi latami emigracji, miał przeszło siedemdziesiąt pięć lat i bardzo niewiele troszczył się o to, co się stanie za lat dziesięć.

— Kto jest ten seminarzysta, któremu tak sprytnie patrzy z oczu? — spytał. — Czy wedle moich przepisów nie powinien już spać o tej porze?

— Och, ten jest bardzo rozbudzony, ręczę za to, Wasza Dostojność, i przynosi nam wielką nowinę: dymisję jedynego jansenisty, jakiego mieliśmy w diecezji. Wreszcie niewzruszony ksiądz Pirard zrozumiał.

— Ba! — rzekł biskup, śmiejąc się. — Spróbujcie znaleźć kogoś godniejszego na jego miejsce. Żeby wam pokazać, jak go wysoko cenię, zaproszę go jutro na obiad.

Wielki wikariusz chciał natrącić[44] parę słów co do wyboru następcy, ale prałat, nieusposobiony do poważnej rozmowy, rzekł:

— Nim zamianujemy nowego, dowiedzmy się, czemu ten odchodzi. Zawołaj mi seminarzystę; prawda przemawia przez usta maluczkich.

Przywołano Juliana. „Stanę wobec dwóch inkwizytorów" — pomyślał. Nigdy nie czuł w duchu więcej męstwa.

W chwili, gdy wszedł, dwaj lokaje ubrani lepiej niż sam pan Valenod rozbierali Jego Dostojność. Nim prałat spytał o księdza Pirard, uważał za właściwe zagadnąć Juliana o nauki. Zaczął od dogmatów i zdumiał się. Niebawem przeszedł do klasyków, do Wergilego, Horacjusza, Cycerona. „Te nazwiska — pomyślał Julian — zyskały mi numer 198. Nie mam nic do stracenia, starajmy się popisać". Udało mu się; prałat, sam wyborny humanista, był zachwycony.

Podczas obiadu w prefekturze młoda panna ciesząca się słusznym rozgłosem deklamowała poemat o Magdalenie; to usposobiło biskupa do rozmowy o literaturze. Zapomniał rychło o księdzu Pirard i o wszystkich kłopotach, zagadawszy się z seminarzystą o tym, czy Horacy był biedny czy bogaty. Prałat przytoczył kilka ustępów, ale niekiedy pamięć go zawodziła; natychmiast Julian ze skromną miną recytował całą odę. Najbardziej uderzyła biskupa naturalność Juliana; recytował kilkadziesiąt łacińskich wierszy tak, jakby opowiadał wydarzenia z seminarium. Długo mówili o Wergiliuszu, o Cyceronie. Wreszcie prałat nie mógł się wstrzymać, aby nie powinszować młodemu seminarzyście.

— Nie podobna lepiej opanować przedmiotu.

— Wasza Dostojność — rzekł Julian — znajdzie w seminarium stu dziewięćdziesięciu uczniów o wiele godniejszych Jej zaszczytnego uznania.

— Jak to? — spytał prałat zdziwiony tą cyfrą.

— To, co opowiadam Waszej Dostojności, mogę potwierdzić urzędowym dowodem. Przy dorocznym egzaminie, odpowiadając właśnie z przedmiotów, które zjednały mi w tej chwili pochwałę Waszej Dostojności, otrzymałem numer 198.

— A, to jest ów beniaminek księdza Pirard — wykrzyknął biskup, śmiejąc się i spoglądając na wikariusza. — Powinienem był się domyślić. Ha, na wojnie jak na wojnie! Nieprawdaż, dziecko — dodał, zwracając się do Juliana — że obudzono cię, aby cię przysłać tutaj?

— Tak, Wasza Dostojność. Wyszedłem sam z seminarium jedynie raz w życiu, aby pomóc księdzu Chas-Bernard w przystrojeniu katedry w Boże Ciało.

— *Optime* — rzekł biskup — jak to, to ty złożyłeś dowód takiej odwagi, umocowując bukiety na baldachimie? Co rok drżę, patrząc na nie; zawsze się obawiam, aby nie kosztowały życia człowieka. Moje dziecko, zajdziesz daleko; ale nie chcę podcinać twej przyszłości, która będzie niewątpliwie świetna, skazując cię na śmierć głodową.

Na rozkaz biskupa podano malagę i biszkopty; Julian wziął się do nich żwawo, a jeszcze bardziej ksiądz de Frilair, który wiedział, że biskup lubi, aby przy nim jeść wesoło i z apetytem.

Prałat, coraz bardziej rad z zakończenia wieczoru, natrącił coś z historii kościelnej. Spostrzegł, że Julian nie rozumie. Zagadnął o ducha państwa rzymskiego za cesarzów w epoce Konstantyna. Schyłkowi pogaństwa towarzyszył ten sam stan niepokoju i rozterki, który w XIX w. trapi smutne i zwątpiałe dusze. Biskup zauważył, że Julian prawie nic nie słyszał o Tacycie.

Julian odpowiedział po prostu, ku zdumieniu prałata, że autora tego nie ma w bibliotece seminarium.

— Bardzom rad z tego — rzekł biskup wesoło. — Wywiodłeś mnie z kłopotu; od dziesięciu minut myślę, jak ci podziękować za miły wieczór, któregoś mi dostarczył, i to

[44]*natrącić* — wspomnieć, nadmienić.

zupełnie niespodziewanie. Nie spodziewałem się znaleźć takiego humanisty w wychowanku mego seminarium. Mimo że to dar niezbyt kanoniczny, daruję ci Tacyta.

Prałat kazał sobie przynieść osiem wspaniale oprawionych tomów i własnoręcznie wypisał na pierwszej stronicy łacińską dedykację. Biskup szczycił się wytworną łaciną. W końcu rzekł poważnym tonem, który szczególnie odbijał od całej rozmowy:

— Młodzieńcze, *jeśli będziesz rozsądny*, czeka cię z czasem najlepsze probostwo w diecezji i to niezbyt daleko od biskupiego pałacu; ale trzeba być *rozsądnym*.

Kiedy Julian obładowany książkami wyszedł mocno zdziwiony z pałacu, biła dwunasta.

Biskup nie wspomniał ani słowa o księdzu Pirard. Julian zdumiony był zwłaszcza nadzwyczajną uprzejmością prałata. Nie miał pojęcia o takim wdzięku, połączonym z równie naturalną godnością. Odczuł żywo ten kontrast na widok ponurego księdza Pirard, który czekał go z niecierpliwością.

— *Quid tibi dixerunt?* (Co ci powiedzieli) — zakrzyknął donośnie na widok Juliana.

Kiedy Julian plątał się nieco, przekładając na łacinę słowa biskupa, eks-rektor rzekł swoim twardym głosem z niezręczną gestykulacją:

— Mów po francusku i powtarzaj wiernie słowa Jego Dostojności, nic nie dodając, nic nie ujmując.

— Osobliwy podarek biskupa dla seminarzysty! — mruknął, przeglądając wspaniałego Tacyta, którego złocony brzeg zdawał się go przejmować wstrętem.

Wybiła druga, kiedy po bardzo szczegółowym sprawozdaniu ksiądz pozwolił swemu ulubieńcowi udać się na spoczynek.

— Zostaw mi pierwszy tom swego Tacyta, z dedykacją Jego Dostojności — rzekł. — Tych kilka łacińskich wyrazów będzie dla ciebie gromochronem po moim wyjeździe. *Erit tibi, fili mi, successor meus tanquam leo quaerens quem devoret*. (Następca mój będzie dla ciebie, synu, niby lew szukający, kogo by pożarł).

Nazajutrz rano Julian zauważył, że koledzy odnoszą się doń w szczególny sposób. To zdwoiło jego ostrożność. „Oto — pomyślał — następstwa dymisji księdza Pirard. Całe seminarium wie o tym, a ja uchodzę za jego faworyta. Musi być coś zelżywego w tym obejściu". Ale nie mógł się niczego dopatrzyć. Przeciwnie, wszystkie oczy wolne były od nienawiści. Co to ma znaczyć? Zapewne jakaś pułapka; trzymajmy się ostro. Wreszcie mały seminarzysta z Verrières bąknął, śmiejąc się: *Cornelii Taciti opera omnia* (Dzieła wszystkie Korneliusza Tacyta).

Na te słowa wszyscy jęli na wyprzódki winszować Julianowi nie tylko wspaniałego podarku, ale zaszczytu dwugodzinnej rozmowy z Jego Dostojnością. Wiedzieli wszystko do najdrobniejszych szczegółów. Od tej chwili ustała wszelka zawiść, zaczęto mu się łasić nikczemnie: ksiądz Castanède, który jeszcze poprzedniego dnia obchodził się z nim najbrutalniej, ujął go pod ramię i zaprosił na śniadanie.

Nieszczęśliwa natura Juliana: chamstwo tych gruboskórców robiło mu przykrość, uniżoność sprawiała mu niesmak, a żadnej przyjemności.

Około południa ksiądz Pirard pożegnał uczniów, nie bez surowego napomnienia.

— Pragniecie zaszczytów świata — rzekł — przewag społecznych, przyjemności rozkazywania, lekceważenia praw i traktowania wszystkiego z góry? Czy też pragniecie zbawienia wiecznego? Najtęższy z was potrzebuje jeno otworzyć oczy, aby rozróżnić te dwie drogi.

Ledwie wyszedł, dewoci z *Serca Jezusowego* pobiegli zaintonować w kaplicy *Te Deum*. Nikt w seminarium nie wziął na serio przemowy eks-rektora. „Wściekły jest o dymisję" — mówili. Ani jeden nie był tak naiwny, aby uwierzyć w dobrowolne zrzeczenie się posady, która daje tyle stosunków z dostawcami.

Ksiądz Pirard zamieszkał w najlichszej gospodzie w Besançon i pod pozorem interesów, których nie miał, zamierzał spędzić tam dwa dni.

Biskup zaprosił go na obiad i chcąc wyprawić psotę wielkiemu wikariuszowi, starał się dać mu sposobność błyśnięcia talentami. Właśnie podczas deseru przyszła z Paryża nieoczekiwana wiadomość, że ksiądz Pirard otrzymał wspaniałe probostwo w N*** o cztery mile od stolicy. Zacny prałat powinszował mu serdecznie. W całej tej sprawie widział doskonale rozegraną partię, która wprawiła go w dobry humor i dała mu wysokie pojęcie o zdolnościach księdza. Wypisał mu po łacinie wspaniałe świadectwo i zamknął usta księdzu de Frilair, który pozwalał sobie na uwagi.

Wieczorem biskup dał wyraz swoim zachwytom u margrabiny de Rubempré. Wśród besansońskiej arystokracji nowina ta sprawiła wielkie wrażenie; łamano sobie głowę nad źródłem tego nadzwyczajnego faworu. Wróżono już księdzu Pirard infułę. Najsprytniejsi przypuszczali, że pan de la Mole został ministrem i pozwolił sobie tego dnia uśmiechnąć się z władczej miny, jaką ksiądz de Frilair przybierał w salonach.

Nazajutrz rano niemalże goniono za księdzem Pirard na ulicy; kupcy wychodzili na próg, kiedy ich mijał, udając się do sędziów w sprawie margrabiego: pierwszy raz spotkał się z grzecznym przyjęciem. Surowy jansenista, oburzony tym wszystkim do głębi, odbył długą naradę z adwokatami, których wybrał dla pana de la Mole, i odjechał do Paryża. Miał tę słabość, że paru przyjaciołom z kolegium, którzy go odprowadzili aż do bogatej karety, zwierzył się, że po piętnastu latach zarządu seminarium opuszcza Besançon z pięćset dwudziestoma frankami. Przyjaciele uścisnęli go, płacząc, po czym rzekli między sobą: „Poczciwina mógłby sobie oszczędzić tego kłamstwa; to już nadto śmieszne".

Ludzie pospolici, zaślepieni miłością grosza, nie mogli zrozumieć, że właśnie w szczerości swojej ksiądz Pirard znalazł potrzebne siły, aby walczyć sześć lat przeciw Marii Alacoque, przeciw *Sercu Jezusowemu*, jezuitom i własnemu biskupowi.

XXX. AMBICJA

Istnieje tylko jeden tytuł arystokratyczny, mianowicie książę; margrabia jest śmieszny; na słowo książę wszystko odwraca głowę.

Edinburgh Review.

Margrabia de la Mole przyjął księdza Pirard bez owych wielkopańskich manier, tak grzecznych, a tak lekceważących dla kogoś znającego się na tym. Byłaby to strata czasu: margrabia zaś miał za wiele ważnych spraw na głowie.

Od pół roku intrygował, aby narzucić królowi i narodowi pewne ministerium, które przez wdzięczność zrobiłoby go księciem.

Od wielu lat margrabia domagał się próżno od adwokata w Besançon jasnego i zwięzłego sprawozdania w kwestii swoich procesów we Franche-Comté. W jaki sposób sławny adwokat miał je wyłożyć, skoro ich sam nie rozumiał?

Ćwiartka papieru, którą mu wręczył ksiądz, tłumaczyła wszystko.

— Drogi księże — rzekł margrabia, uporawszy się w niespełna pięć minut z formułkami grzeczności oraz kwestiami osobistymi — drogi księże, wśród mej rzekomej pomyślności brak mi czasu na poważne zajęcie się dwiema małymi, a wszelako dość poważnymi sprawami: interesami i rodziną. Troszczę się w wielkich liniach o losy swego domu, mogę go wznieść wysoko; dbam o swoje przyjemności, co powinno iść w pierwszym rzędzie, przynajmniej w moich oczach — dodał, spostrzegając zdziwienie na twarzy księdza Pirard. (Mimo iż człowiek wytrawny, proboszcz zdumiał się, słysząc, że starzec może tak szczerze mówić o swoich przyjemnościach).

— Oczywiście, praca istnieje w Paryżu — ciągnął wielki pan — ale gdzieś na piątym pięterku; z chwilą zaś gdy ktoś się styka ze mną, zaraz bierze mieszkanie na drugim, a żona jego wyznacza dni przyjęć; tym samym koniec z pracą, cały wysiłek obraca się na to, aby być lub udawać, że się jest światowym człowiekiem. To ich jedyna troska z chwilą, gdy mają chleb.

Co do moich procesów, ściśle mówiąc — i to wziąwszy każdy proces z osobna — mam adwokatów, którzy się zabijają pracą; przedwczoraj jeden umarł mi na suchoty. Ale co do moich spraw w ogólności, czy uwierzyłbyś księże, iż od trzech lat zrezygnowałem ze znalezienia człowieka, który by, pisząc do mnie, raczył zastanowić się bodaj trochę? Zresztą wszystko to, to tylko wstęp.

Szanuję cię, księże, i śmiem dodać, mimo że widzimy się po raz pierwszy, kocham cię. Czy chcesz być moim sekretarzem z płacą ośmiu tysięcy franków lub dwa razy tyle? Zyskałbym na tym jeszcze, przysięgam; i zobowiązuję się zachować księdzu owo piękne probostwo na czas, kiedy by nam przyszło się rozstać.

Ksiądz odmówił, ale pod koniec rozmowy szczery kłopot margrabiego obudził w nim myśl.

— Zostawiłem w seminarium biednego chłopca, którego, jeśli się nie mylę, czeka srogie prześladowanie. Gdyby był po prostu zakonnikiem, już by się znalazł *in pace*. Dotąd ten młody człowiek zna jedynie łacinę i Pismo święte; ale możliwe jest, że kiedyś rozwinie wielkie talenty czy jako kaznodzieja, czy jako pasterz dusz. Nie wiem, co będzie robił, ale jest w nim święty ogień, może zajść daleko. Zamierzałem go umieścić przy biskupie, gdybyśmy kiedy mieli na tym stanowisku człowieka podzielającego pański sposób patrzenia na ludzi i sprawy.

— Skąd ten młody człowiek?

— Podobno jest synem cieśli z naszych stron, ale raczej bym przypuszczał, że jest naturalnym dzieckiem jakiegoś bogatego człowieka. Widziałem, jak otrzymał list anonimowy lub pseudonimowy z przekazem na pięćset franków.

— A, to Julian Sorel — rzekł margrabia.

— Skąd pan zna jego nazwisko? — rzekł proboszcz zdumiony i w tej samej chwili zarumienił się.

— Tego nie mogę powiedzieć — rzekł margrabia.

— Zatem — rzekł ksiądz — niech pan spróbuje uczynić go swoim sekretarzem; ma energię, rozum; słowem, warto zrobić próbę.

— Czemu nie? — rzekł margrabia. — Tylko czy to nie będzie człowiek zdolny przyjąć łapówkę od prefekta policji lub kogo innego, aby mnie szpiegować w moim domu? Oto jedyna wątpliwość.

Wobec korzystnych upewnień księdza Pirard, margrabia wyjął bilet tysiącfrankowy.

— Poślij to, księże, Julianowi Sorel na drogę i niech przybywa.

— Widać — rzekł ksiądz Pirard — że pan margrabia mieszka w Paryżu. Nie zna pan jarzma, jakie ciąży na nas, biednych mieszkańcach prowincji, a zwłaszcza na księżach nie cieszących się łaską jezuitów. Nie wypuszczą bezwarunkowo Juliana, potrafią znaleźć tysiąc pozorów, odpowiedzą, że jest chory, że list zaginął, etc.

— Poproszę ministra o list do biskupa — rzekł margrabia.

— Zapomniałem jednej okoliczności — rzekł proboszcz — młodzieniec ten mimo niskiego pochodzenia jest bardzo ambitny; jeśli się draśnie jego dumę, nie będzie zeń żadnego pożytku; stępieje.

— To mi się podoba — rzekł margrabia. — Będę go traktował jak kolegę mego syna; czy to wystarczy?

W jakiś czas potem Julian otrzymał list pisany nieznanym charakterem i noszący pieczątkę z Châlon: wewnątrz znalazł przekaz pieniężny i polecenie natychmiastowego udania się do Paryża. List podpisany był zmyślonym nazwiskiem, ale otwierając go Julian zadrżał: do stóp jego upadł liść, był to znak umówiony z księdzem Pirard.

W niespełna godzinę wezwano Juliana do konsystorza, gdzie biskup przyjął go z ojcowską dobrocią. Nawiązując zręcznie do Horacego, powinszował chłopcu wysokich losów, jakie go czekają, spodziewając się w zamian jako podziękowania pewnych wyjaśnień. Julian nie mógł nic powiedzieć, choćby dlatego, że nic nie wiedział, co sprawiło, że prałat powziął dlań wielki szacunek. Jeden z młodszych księży odniósł się do merostwa, wskutek czego sam mer przyniósł paszport podpisany, ale z miejscem *in blanco* na nazwisko podróżującego.

Wieczorem, przed północą, Julian zjawił się u Fouquégo; rozsądny młodzieniec więcej okazał zdziwienia niż zachwytu karierą przyjaciela.

— Wszystko to się skończy — rzekł zawzięty liberał — jakąś rządową posadą zmuszającą cię do postępków, które staną się żerem dzienników. Wieść o tobie dojdzie mnie wraz z twą hańbą. Pamiętaj, iż, nawet biorąc pieniężnie, lepiej zarobić sto ludwików w uczciwym handlu drzewem, będąc swoim panem, niż otrzymać cztery tysiące franków od rządu, chociażby rządu króla Salomona.

Julian widział w tych słowach jedynie mieszczańską ciasnotę. Nareszcie miał wypłynąć na wielką arenę. Marzył o Paryżu: wyobrażał sobie, że jest w nim pełno intrygantów i hipokrytów, ale równie uprzejmych jak biskup z Besançon lub z Agde: to przysłaniało wszystko. Wytłumaczył przyjacielowi, że list księdza Pirard odbiera mu swobodę rozstrzygania o swym losie.

Nazajutrz koło południa przybył do Verrières; czuł się najszczęśliwszym z ludzi, spodziewając się ujrzeć panią de Rênal. Udał się najpierw do swego protektora, zacnego księdza Chélan. Ksiądz przyjął go surowo.

— Czy uważasz, żeś mi coś winien? — rzekł ksiądz nie odpowiadając na przywitanie. — Zjesz śniadanie ze mną, przez ten czas najmę ci innego konia, i opuścisz Verrières, *nie widząc się z nikim*.

— *Usłyszeć znaczy usłuchać* — odparł Julian z miną seminarzysty; po czym była już mowa jedynie o teologii i klasycznej łacinie.

Wsiadł na konia, ujechał milę, po czym ujrzawszy las i pewny, że go nikt nie widzi, zapuścił się weń. O zachodzie słońca odesłał konia; następnie zaszedł do wieśniaka, który zgodził się sprzedać mu drabinę i zanieść ją za Julianem do lasku nad Aleją Wierności w Verrières.

„To jakiś biedny dezerter albo przemytnik — pomyślał wieśniak, rozstając się z Julianem — ale co mi tam! Zapłacił uczciwie za drabinę, a wszak i mnie zdarzało się to i owo w życiu".

Noc była ciemna. Około pierwszej. Julian dźwigając drabinę, wszedł do miasteczka. Zeszedł co rychlej w łożysko potoku, który przerzyna wspaniałe ogrody pana de Rênal, ocembrowane murem dziesięć stóp wysokim. Julian przebył z łatwością potok przy pomocy drabiny. „Jak przyjmą mnie psy? W tym cała kwestia". Psy zaczęły szczekać i puściły się pędem na niego; gwizdnął z cicha, zaczęły się łasić.

Pnąc się z terasy na terasę, mimo że wszystkie furtki były zamknięte, dostał się z łatwością pod okno pani de Rênal, położone na jakie dziesięć stóp nad ziemią.

W okiennicach znajdował się mały otwór w kształcie serca, dobrze znany Julianowi. Ku jego zmartwieniu, otwór był ciemny, nie oświecała go od wewnątrz lampka nocna.

„Wielki Boże! — pomyślał — widocznie tej nocy pani de Rênal nie śpi u siebie. Gdzie ona może być? Cały dom bawi w Verrières, skoro widziałem psy; ale mogę się natknąć w tym pokoju na pana de Rênal lub kogoś obcego, wówczas co za skandal!"

Najrozsądniej było wycofać się, ale Julian wzdrygał się przed tym. „Jeśli to ktoś obcy, umknę pędem, zostawiając drabinę; jeżeli ona, jakie mnie czeka przyjęcie? Popadła w skruchę i w dewocję, to nie ulega wątpliwości; ale ostatecznie musi pamiętać o mnie, skoro pisała". Ten argument przeważył.

Z drżącym sercem, mimo to zdecydowany ujrzeć ją lub zginąć rzucił w okiennicę parę kamyczków; żadnej odpowiedzi. Oparł drabinę tuż koło okna i sam zaczął pukać w okiennicę zrazu lekko, potem silniej. „Mimo że jest tak ciemno, może ktoś wygarnąć do mnie z fuzji" — pomyślał. Ta myśl sprowadzała szalone przedsięwzięcie do kwestii odwagi.

„Albo pokój jest tej nocy pusty, albo osoba, która w nim śpi, musiała się obudzić. Z tym więc nie ma się co liczyć, chodzi tylko o to, aby nie usłyszał kto w sąsiednich pokojach".

Zeszedł, oparł drabinę o okiennicę, wszedł na nią z powrotem i wsunąwszy rękę w otwór, znalazł szczęśliwie haczyk. Pociągnął i ujrzał z niewysłowioną radością, że okiennica się otwiera.

„Trzeba otworzyć z wolna i odezwać się".

Uchylił okiennicę na tyle, aby wsunąć głowę i rzekł kilka razy z cicha: *To ja*.

Wytężył słuch: nic nie zamąciło ciszy pokoju. W kominku nie było lampki, nawet przyćmionej: zły znak.

„A jeśli strzelą?" Zastanowił się chwilę; następnie odważył się zapukać w szybę: żadnej odpowiedzi; zapukał mocniej. „Gdybym miał nawet stłuc szybę, trzebaż z tym skończyć". Zastukał bardzo mocno: zdawało mu się, że widzi w mroku biały cień przesuwający się przez pokój. Wreszcie nie mógł wątpić: ujrzał cień zbliżający się powoli. Naraz ujrzał twarz opartą o szybę, do której on przyciskał oko.

Zadrżał, odsunął się nieco. Ale noc była tak ciemna, że nawet z tej odległości nie mógł poznać, czy to pani de Rênal. Zląkł się pierwszego krzyku; słyszał, jak psy krążą i warczą koło drabiny. „To ja — powtarzał dość głośno — swój". Żadnej odpowiedzi, białe widmo znikło. „Otwórz, muszę z tobą mówić, nie męcz mnie tak" — i pukał z całych sił do okna.

Rozległ się lekki, suchy trzask; zasuwka puściła, pchnął ramę i wskoczył lekko do pokoju.

Biała postać cofnęła się, chwycił ją za rękę: była to kobieta. Cała odwaga Juliana pierzchła. Jeśli to ona, co powie? Cóż się z nim stało, kiedy po lekkim krzyku, poznał, że to pani de Rênal!

Chwycił ją w ramiona, ledwie miała siłę go odepchnąć.

— Nieszczęśliwy! Co robisz?

W słowach tych, wymówionych zdławionym głosem Julian odczuł najszczersze oburzenie.

— Przychodzę cię odwiedzić po czternastu miesiącach okrutnej rozłąki.

— Wychodź, opuść mnie natychmiast. Och! Czemuż ksiądz Chélan zabronił mi pisać do ciebie! Byłabym zapobiegła tej ohydzie — mówiła, odpychając go siłą. — Żałuję mej zbrodni; niebo raczyło mnie oświecić — powtarzała przerywanym głosem. — Wyjdź, wyjdź stąd!

— Nie! Po czternastu miesiącach męki nie odejdę, nie pomówiwszy z tobą. Chcę wiedzieć wszystko, coś robiła. Ach! Dosyć cię kochałem, aby zasłużyć na to... Chcę wszystko wiedzieć.

Mimo woli pani de Rênal, stanowczy ton jego głosu podziałał na nią.

Julian, który obejmował ją namiętnie i nie pozwalał się jej uwolnić, puścił ją. Gest ten uspokoił nieco panią de Rênal.

— Usunę drabinę, aby nas nie zdradziła, gdyby ktoś ze służby obudzony hałasem wyszedł do ogrodu.

— Och wyjdź, wyjdź raczej — rzekła we wspaniałym porywie gniewu. — Co mi ludzie? Ale Bóg widzi straszliwą scenę, na jaką mnie narażasz i skaże mnie za nią. Nadużywasz nikczemnie uczuć, które miałam dla ciebie, ale których już nie mam. Słyszy pan, panie Julianie!

Wciągnął drabinę bardzo wolno, aby nie robić hałasu.

— Czy twój mąż w domu? — rzekł, nie aby ją drażnić, ale z dawnego nawyku.

— Nie mów tak do mnie, zaklinam, albo zawołam męża. Zbyt występna już jestem, że nie wypędziłam pana, bez względu na następstwa. Zlitowałam się nad panem — rzekła, siląc się zranić jego dumę i znając jego drażliwość.

To odtrącenie jego ty, ta brutalność, z jaką zrywała serdeczny węzeł, doprowadziły miłość Juliana do szału.

— Jak to! Czy to możliwe, abyś mnie już nie kochała! — rzekł z akcentem, którego tak trudno słuchać bez wzruszenia.

Nie odpowiedziała. Julian płakał gorzko, po prostu nie miał siły mówić.

— Zatem jedyna istota, która mnie kochała w życiu zapomniała o mnie zupełnie! Na co żyć?

Odkąd nie groziło mu już spotkanie z mężczyzną, cała odwaga opuściła go; wszystko pierzchło z jego serca, z wyjątkiem miłości.

Długo płakał w milczeniu. Ujął jej rękę, ona chciała ją cofnąć; mimo to po paru konwulsyjnych niemal ruchach zostawiła mu dłoń. Było zupełnie ciemno; siedzieli obok siebie na łóżku.

„Jakaż różnica czternaście miesięcy temu a dziś — pomyślał Julian i łzy popłynęły mu obficiej. — Tak więc rozłąka niweczy nieodzownie uczucia ludzkie!"

— Zechciej mi pani odpowiedzieć, co się stało — rzekł wreszcie Julian zakłopotany milczeniem. Łzy dławiły jego głos.

— Zapewne — odparła pani de Rênal twardo i z odcieniem wyrzutu — szaleństwa moje w chwili pańskiego wyjazdu znane były całemu miastu. Był pan tak nieostrożny! W jakiś czas później, kiedy tonęłam w rozpaczy, zaszedł do mnie czcigodny ksiądz Chélan. Długi czas na próżno silił się wydobyć ze mnie wyznanie. Pewnego dnia zawiódł mnie do owego kościoła w Dijon, gdzie przystępowałam do pierwszej komunii. Tam odważył się przemówić pierwszy... — (Łzy przerywały pani de Rênal). — Cóż za straszna chwila wstydu! Wyznałam wszystko. Zacny człowiek był tak dobry, że nie okazał mi całego oburzenia; podzielił mą zgryzotę. W owym czasie pisywałam codziennie listy, których nie śmiałam ci przesłać; chowałam je troskliwie, a kiedy byłam zbyt nieszczęśliwa, zamykałam się w pokoju i odczytywałam je.

Wreszcie ksiądz Chélan wymógł na mnie, że mu je oddałam. Niektóre, spokojniejsze, wysłałam do ciebie; nie odpowiedziałeś ani razu.

— Nigdy, przysięgam ci, nie otrzymałem w seminarium żadnego listu.

— Wielki Boże! Któż je przejął?

— Osądź mą boleść: do owego dnia, w którym ujrzałem cię w katedrze, nie wiedziałem nawet, czy żyjesz.

— Bóg mi uczynił tę łaskę, że pozwolił mi zrozumieć, jak bardzo grzeszyłam wobec niego, wobec dzieci, męża — podjęła pani de Rênal. — Nigdy mnie nie kochał tak, jak myślałam wówczas, że ty mnie kochasz...

Julian rzucił się w jej ramiona, zupełnie bezwiednie, nie panując nad sobą. Ale pani de Rênal odepchnęła go i mówiła:

— Czcigodny mój pasterz, ksiądz Chélan, przedstawił mi, że, zaślubiając pana de Rênal, oddałam mu wszystkie me uczucia, nawet te, których nie znałam i których nie doświadczyłam nigdy przed tą nieszczęsną miłością... Odkąd złożyłam w ofierze owe tak drogie mi listy, życie płynęło mi jeśli nie szczęśliwie, to przynajmniej spokojnie. Nie mąć mi go, bądź mi przyjacielem, najlepszym przyjacielem. — (Julian okrywał jej ręce pocałunkami, czuła, że płacze jeszcze). — Nie płacz, taką mi robisz przykrość... Powiedz mi teraz ty, co robiłeś. — (Julian nie mógł mówić). — Chcę wiedzieć, jak tam żyłeś w seminarium — powtórzyła — potem pójdziesz.

Nie zastanawiając się, co mówi, Julian opowiedział zawiści i intrygi, z jakimi się spotkał zrazu, a potem jak od czasu nominacji życie jego ułożyło się spokojniej.

— Wówczas — dodał — po długim milczeniu, którym zapewne chciałaś mi okazać to, co aż nadto widzę dzisiaj, że mnie nie kochasz i że ci jestem już obojętny... — (Pani de Rênal ścisnęła go za rękę) — przesłałaś mi pięćset franków.

— Nigdy — rzekła pani de Rênal.

— List datowany był z Paryża i podpisany Paweł Sorel, aby zmylić podejrzenia.

Wszczęła się dyskusja o możliwym pochodzeniu tego listu. Nastrój zmienił się. Bezwiednie pani de Rênal i Julian porzucili ton uroczysty, wrócili do tkliwej przyjaźni. Nie widzieli się, tak było ciemno, ale głos wyrażał wszystko. Julian objął ramieniem przyjaciółkę; gest ten krył w sobie wiele niebezpieczeństw. Próbowała usunąć ramię Juliana, który wcale zręcznie starał się ją zagadać jakimś szczegółem. O ramieniu zapomniano, zostało, jak było.

Po wielu domysłach co do pieniężnego listu Julian snuł dalej swe dzieje; uspokoił się nieco, mówiąc o minionym życiu, które wobec chwili obecnej obchodziło go tak mało. Cała jego uwaga skupiła się na tym, jak się skończy jego wizyta.

— Musisz odejść — powtarzała raz po raz pani de Rênal stanowczo.

„Cóż za wstyd dla mnie, jeśli dam się odprawić z kwitkiem! to wspomnienie zatrułoby mi całe życie — myślał. — Ona nie napisze do mnie nigdy; Bóg wie, kiedy tu wrócę!" Wszystkie niebiańskie uczucia pierzchły z jego serca. Siedząc obok ubóstwianej kobiety, tuląc ją w ramionach, w tym pokoju, gdzie bywał tak szczęśliwy, w głębokiej ciemności, słysząc wyraźnie jej płacz, czując po ruchu piersi jej szlochanie, nieszczęśnik stał się chłodnym politykiem, niemal tak wyrachowanym i zimnym, jak kiedy w seminarium czuł się pastwą żarcików silniejszego kolegi. Julian przeciągał opowiadanie, malował swoje nieszczęśliwe życie od czasu, jak opuścił Verrières.

„Tak więc — powiadała sobie pani de Rênal — po roku rozłąki, gdy ja zapomniałam o nim, on bez wszelkiego znaku mej pamięci myślał jedynie o szczęśliwych dniach w Vergy!" Szlochania jej wzmogły się. Julian uczuł, że trzeba spróbować ostatecznego ciosu: przeszedł nagle do listu, który otrzymał z Paryża.

— Byłem się pożegnać z biskupem.

— Jak to, nie wracasz do Besançon! Opuszczasz nas na zawsze?

— Tak — odparł Julian z mocą — tak, opuszczam strony, gdzie zapomniała o mnie nawet ta, którą najbardziej kochałem; opuszczam je, aby nigdy nie wrócić. Jadę do Paryża...

— Jedziesz do Paryża! — krzyknęła pani de Rênal.

Głos jej, zdławiony łzami, zdradził jej bezmierne wzruszenie. Julian potrzebował tej zachęty; miał zdobyć się na krok, który mógł wszystko zgubić: przed tym wykrzyknikiem, nie widząc pani de Rênal, nie wiedział zupełnie, jakie wrażenie osiągnął. Już się nie wahał; obawa wstydu wróciła mu zimną krew; wstał i rzekł chłodno:

— Tak, pani, opuszczam cię na zawsze; bądź szczęśliwa, żegnaj.

Uczynił kilka kroków w stronę okna; już je otwierał. Pani de Rênal pomknęła ku niemu i padła w jego ramiona.

Tak więc w trzeciej godzinie rozmowy Julian uzyskał to, czego tak namiętnie pragnął przez dwie pierwsze. Ten nawrót tkliwości, uśpienie wyrzutów pani de Rênal, gdyby przyszły nieco wcześniej, byłyby dlań boskim szczęściem; teraz, uzyskane podstępem, stały się tylko przyjemnością. Mimo próśb kochanki Julian chciał koniecznie zapalić lampkę.

— Chcesz więc — mówił — aby mi nie zostało żadne wspomnienie? Miłość, która płonie w tych cudnych oczach, ma być dla mnie stracona? Mam nie ujrzeć tej ślicznej białej rączki? Pomyśl, że cię opuszczam na długo!

Na tę myśl, od której rozpływała się we łzach, pani de Rênal nie była zdolna niczego odmówić. Ale już na górze, na wschód od Verrieres, ranek wyraźnie znaczył kontury świerków. Zamiast odejść Julian pijany rozkoszą prosił panią de Rênal, aby mógł spędzić cały dzień ukryty w jej pokoju i odejść dopiero następnej nocy.

— Czemu nie? — odparła. — Ten nieszczęsny nawrót odjął mi wszelki szacunek dla samej siebie i dopełnia na zawsze miary mego nieszczęścia. — (To mówiąc, tuliła go do serca). — Mąż zmienił się dla mnie, podejrzewa coś; sądzi, żem sobie zadrwiła z niego w tej sprawie, ma żal do mnie. Jeśli usłyszy najlżejszy szmer, jestem zgubiona, wypędzi mnie jak ostatnią nędznicę!

— Och! Mówi przez twoje usta ksiądz Chélan — rzekł Julian. — Nie mówiłabyś tak do mnie przed odjazdem; kochałaś mnie wówczas!

Julian otrzymał nagrodę za swą przytomność; kochanka zapomniała natychmiast o niebezpieczeństwie ze strony męża, aby myśleć o większym znacznie niebezpieczeństwie: o tym, że Julian może wątpić o jej miłości. Robiło się coraz jaśniej, pokój napełniał się żywym światłem. Julian odnalazł wszystkie upojenia, widząc w swoich ramionach, prawie u swoich stóp tą uroczą kobietę, jedyną, jaką kochał w życiu. Jeszcze przed paru godzinami tonęła w lęku przed straszliwym Bogiem i w miłości swoich obowiązków! Umocnione rokiem wytrwania postanowienie nie mogło się ostać wobec jego śmiałości.

Niebawem zrobił się w domu ruch: pani de Rênal zaniepokoiła się czymś, o czym nie pomyślała dotąd.

— Ta nieznośna Eliza może tu wejść lada chwila, co zrobić z tą ogromną drabiną, rzekła, gdzie ją ukryć? Zaniosę ją na strych! — wykrzyknęła niemal radośnie.

— Ależ trzeba przejść przez pokój służącego — rzekł Julian zdumiony.

— Zostawię drabinę na korytarzu, zawołam służącego i dam mu jakieś zlecenie.

— Przygotuj pozór w razie, gdyby służący, przechodząc przez korytarz, spostrzegł drabinę.

— Dobrze, aniele — rzekła pani de Rênal, całując go. — Ty uważaj, aby się skryć pod łóżko w razie, gdyby w mej nieobecności Eliza weszła tutaj.

Ta nagła wesołość zdumiała Juliana. „Tak więc — pomyślał — bliskość niebezpieczeństwa, miast ją mieszać, wraca jej wesołość, ponieważ daje zapomnieć o wyrzutach! Cóż za szlachetna kobieta! Och, władać w takim sercu, to prawdziwa chluba!" — Julian był oczarowany.

Pani de Rênal ujęła drabinę; widoczne było, że jest za ciężka. Julian chciał jej pospieszyć z pomocą; podziwiał tę wytworną kibić tak nie zdradzającą swej siły, kiedy nagle, bez pomocy, pani de Rênal chwyciła drabinę i uniosła ją, jakby to było krzesło. Zaniosła ją szybko na korytarz na trzecim piętrze i ułożyła przy ścianie. Zawołała służącego i aby mu dać czas się ubrać, poszła do gołębnika. W pięć minut później, wróciwszy, nie zastała już drabiny. Co się z nią stało? Gdyby Julian był poza domem, niebezpieczeństwo to nie obeszłoby jej wcale. Ale w tej chwili, gdyby mąż spostrzegł drabinę! Mogło to pociągnąć straszliwe następstwa. Pani de Rênal obiegła cały dom. Wreszcie znalazła drabinę na strychu, gdzie służący zaniósł ją i nawet ukrył. Dawniej szczególna ta okoliczność byłaby ją zaniepokoiła.

„Cóż mi znaczy — pomyślała — co się może zdarzyć jutro, kiedy Julian już odejdzie? Czyż wszystko nie będzie dla mnie wówczas ohydą i wyrzutem?"

Miała jak gdyby mętną myśl, że powinna się rozstać z życiem, ale cóż jej to znaczyło? Po rozłące, którą uważała za wieczną, wrócił do niej, oglądała go znowu, a to, co uczynił, aby się dostać do niej, zdradzało tyle miłości!

Opowiadając Julianowi wypadek z drabiną, mówiła:

— Co powiem mężowi, jeśli służący zaraportuje mu, że znalazł drabinę? — Zadumała się na chwilę. Trzeba im będzie całej doby, aby odnaleźć wieśniaka, który ci ją sprzedał. Rzuciła się w objęcia Juliana i ściskając go konwulsyjnie, wykrzyknęła — Och, umrzeć tak! — To mówiąc, okrywała go pocałunkami.

— Ale nie trzeba ci dać umrzeć z głodu — rzekła, śmiejąc się. — Chodź, ukryję cię w pokoju pani Derville: jest zawsze zamknięty. — Stanęła na czatach w korytarzu; Julian przebiegł spiesznie. — Nie otwieraj, choćby kto pukał — rzekła, zamykając go — zresztą mogłyby to uczynić jedynie dzieci wśród zabawy.

— Ściągnij je do ogrodu, pod okno — rzekł Julian — chciałbym się im przyjrzeć, mów co do nich.

— Dobrze, dobrze — rzekła pani de Rênal, odchodząc.

Wróciła niebawem, niosąc pomarańcze, biszkopty i butelkę malagi; nie podobna jej było skraść chleba.

— Co robi mąż? — spytał Julian.

— Targuje się z chłopami.

Tymczasem wybiła ósma; w domu wszczął się wielki ruch. Gdyby pani de Rênal się nie zjawiła, szukano by jej wszędzie; trzeba jej było opuścić Juliana. Wróciła niebawem, urągając wszelkiej ostrożności, z filiżanką kawy: drżała, by nie umarł z głodu. Po śniadaniu udało się jej ściągnąć dzieci pod okno. Julianowi zdawało się, że wyrosły, ale nabrały czegoś pospolitego: może jego pojęcia się zmieniły. Pani de Rênal zagadnęła chłopców o Juliana. Najstarszy wspomniał dawnego nauczyciela z sympatią i żalem; młodsi zapomnieli go prawie zupełnie.

Pan de Rênal nie wychodził tego ranka; wciąż kręcił się po domu zajęty sprzedażą kartofli, które kupowali chłopi. Do obiadu pani de Rênal nie mogła ani chwili poświęcić więźniowi. Skoro zadzwoniono na obiad i podano do stołu, wpadła na myśl, aby ukraść dlań talerz ciepłej zupy. Kiedy, niosąc ostrożnie talerz, zbliżyła się bez szelestu do pokoju Juliana, spotkała się twarzą w twarz ze służącym, tym samym, który rano ukrył drabinę. Szedł na palcach przez korytarz, jakby nadsłuchując. Prawdopodobnie Julian niebacznie chodził po pokoju. Służący oddalił się nieco zmieszany. Pani de Rênal weszła śmiało do Juliana; spotkanie to przejęło go lękiem.

— Boisz się! — rzekła — Co do mnie, naraziłabym się bez zmrużenia oka na wszystkie niebezpieczeństwa. Lękam się tylko jednej rzeczy: chwili, gdy zostanę sama po twoim wyjeździe. — To mówiąc, wybiegła pędem.

„Ha! — pomyślał Julian w zachwycie — wyrzuty są jedynym niebezpieczeństwem, jakiego się lęka ta wzniosła dusza!"

Wreszcie nadszedł wieczór. Pan de Rênal wybrał się do kasyna.

Pani oznajmiwszy, że ma nieznośną migrenę, udała się do siebie, odprawiła Elizę i zerwała się natychmiast, aby wypuścić Juliana.

W tej chwili Julian doprawdy umierał z głodu. Pani de Rênal poszła do kredensu po chleb. Julian usłyszał krzyk. Pani de Rênal wróciła i odpowiedziała mu, że wchodząc bez światła i zbliżając się do szafy, gdzie znajdował się chleb, dotknęła ramienia kobiety. Była to Eliza i ona to wydała krzyk słyszany przez Juliana.

— Cóż ona tam robiła?

— Kradła słodycze lub może szpiegowała nas — rzekła pani de Rênal z zupełną obojętnością. — Ale na szczęście, znalazłam pasztet i bochenek chleba.

— Co tu masz? — rzekł Julian wskazując kieszenie fartuszka.

Pani de Rênal zapomniała, że w czasie obiadu napełniła je chlebem.

Julian wziął ją w ramiona z upojeniem; nigdy nie wydała mu się tak piękna. „Nawet w Paryżu — majaczyło mu w głowie — nie mógłbym spotkać wspanialszego charakteru". Miała całą niezręczność kobiety nienawykłej do takich sytuacji, a równocześnie odwagę osoby, która lęka się jedynie niebezpieczeństw innej kategorii, o ileż straszliwszych!

Gdy Julian zajadał się z apetytem, ona żartowała sobie z tej skromnej wieczerzy — unikała bowiem wszelkiej rozmowy serio — ktoś nagle wstrząsnął mocno drzwiami. Był to pan de Rênal.

— Dlaczego się zamknęłaś? — krzyknął.

Julian ledwie miał czas wślizgnąć się pod kanapę.

— Jak to! — rzekł pan de Rênal, wchodząc — jesteś zupełnie ubrana, jesz kolację i zamknęłaś się na klucz!

W zwykłych okolicznościach pytanie to, zadane z całą małżeńską oschłością, zmieszałoby panią de Rênal; w tej chwili jednak czuła, że mężowi wystarczyłoby się schylić, aby spostrzec Juliana; pan de Rênal rozsiadł się na krześle, które dopiero co zajmował Julian, na wprost kanapy.

Migrena posłużyła jej za wymówkę. Gdy mąż opowiadał jej obszerną historię puli, którą wygrał w kasynie — dziewiętnaście franków, bagatela! — ona spostrzegła na krześle, o trzy kroki, kapelusz Juliana. Z zimną krwią zaczęła się rozbierać i w upatrzonej chwili, przechodząc śpiesznie za krzesłem męża, rzuciła suknię na kapelusz.

Wreszcie pan de Rênal odszedł. Poprosiła Juliana, aby raz jeszcze opowiedział jej życie w seminarium.

— Wczoraj nie słuchałam cię — rzekła — gdy ty mówiłeś, ja myślałam tylko, jak się zdobędę na to, aby cię wyprawić.

Była strasznie nieostrożna. Mówiła bardzo głośno; mogła być druga po północy, kiedy przerwało im gwałtowne tłuczenie do drzwi. Był to znów pan de Rênal.

— Otwórz prędko, złodzieje w domu! — wołał — Jan znalazł drabinę dziś rano.

— Wszystko skończone — wykrzyknęła pani de Rênal, rzucając się w objęcia Juliana. — Zabije nas oboje, on nie wierzy w złodziei; umrę w twoich ramionach, szczęśliwsza w chwili śmierci niż byłam za życia.

Nie odpowiadała na wołanie męża, który się wściekał, ściskała Juliana namiętnie.

— Ratuj matkę dla Stasia — rzekł Julian z rozkazującym spojrzeniem. — Wyskoczę na dwór przez okno w alkierzu i schowam się w ogrodzie, psy mnie poznały. Zwiń moje ubranie i jak tylko będziesz mogła, wyrzuć je do ogrodu. Tymczasem pozwól mu wyważyć drzwi. Tylko żadnych wyznań, zakazuję ci; lepiej niech ma podejrzenia niż pewność.

— Nie skacz, zabijesz się! — to była jej jedyna odpowiedź i jedyna obawa.

Odprowadziła go do okna, następnie ukryła odzież. Wreszcie poszła otworzyć mężowi pieniącemu się z gniewu. Przepatrzył bez słowa pokój, alkierz i znikł. Pani de Rênal rzuciła Julianowi ubranie, pochwycił je i zbiegł pędem ku rzece.

Biegnąc, usłyszał świst kuli i równocześnie prawie strzał z fuzji.

„To nie pan de Rênal — pomyślał — zanadto źle ktoś strzela jak na niego". Psy biegły obok Juliana w milczeniu, drugi strzał strzaskał widocznie łapę psu, który zaczął wyć żałośnie. Julian zeskoczył z terasy, przebiegł pod jej zasłoną jakie pięćdziesiąt kroków, po czym zaczął uciekać w innym kierunku. Usłyszał nawołujące się głosy, ujrzał wyraźnie służącego, swego wroga, jak pali doń z fuzji; jakiś chłop strzelił również z drugiej strony; ale już Julian dobił rzeki.

Ubrał się śpiesznie. W godzinę potem, był o milę od Verrières, na drodze do Genewy. „Jeśli się czegoś domyślą, będą mnie szukali na drodze do Paryża".

XXXI. PRZYJEMNOŚCI WIEJSKIE

Horacy.

— Pan czeka zapewne na dyliżans do Paryża? — spytał właściciel gospody, gdzie Julian zatrzymał się na śniadanie.

— Dzisiejszy, jutrzejszy, wszystko mi jedno — rzekł Julian.

W chwili, gdy tak udawał obojętność, dyliżans przybył właśnie. Były dwa miejsca wolne.

— Jak to, to ty, poczciwy Falcoz — rzekł podróżny przybywający od strony Genewy do kogoś, kto wsiadł równocześnie z Julianem.

— Myślałem, że sobie siedzisz gdzieś pod Lyonem — rzekł Falcoz — w rozkosznej dolinie Rodanu!

— Ładnie siedzę! Uciekam.

— Co! Ty, uciekasz? Ty, Saint-Giraud? Ty, z tą rozsądną miną popełniłeś jaką zbrodnię? — rzekł Falcoz, śmiejąc się.

— Na honor, na jedno by wyszło. Uciekam od straszliwego życia prowincji. Lubię

Polityka, Wieś, Miasto

chłód lasów i spokój wiejski, wiesz o tym; nieraz obwiniałeś mnie o romantyzm. Nie chciałem nigdy słyszeć o polityce, i polityka mnie wypędza.

— Do jakiegoż ty stronnictwa należysz?

— Do żadnego, i to mnie gubi. Oto całe moje życie polityczne: lubię muzykę, malarstwo, dobra książka jest dla mnie istnym świętem, przekroczyłem właśnie czterdziestkę! Cóż mi zostaje? Piętnaście, dwadzieścia, trzydzieści lat najwyżej. Więc cóż! Twierdzę, że za trzydzieści lat ministrowie będą nieco sprytniejsi, ale tak samo uczciwi jak dziś. Historia Anglii jest dla mnie zwierciadłem naszej przyszłości. Zawsze znajdzie się król, który zechce rozszerzyć swoje przywileje; zawsze ambicje poselskie, sława i dochody jakiegoś Mirabeau będą mąciły sen zamożnych prowincjałów; nazywają to miłością wolności i ludu. Zawsze chętka zostania parem lub szambelanem skusi *reaków*. Każdy na okręcie Państwa zechce być sternikiem, bo to jest popłatne. Czyż nigdy nie znajdzie się skromne miejsce dla biednego pasażera?

— Przejdźmy do faktów, które muszą być bardzo zabawne przy twojej spokojnej naturze. Czy to ostatnie wybory wypędziły cię z prowincji?

— *Przekleństwo dawniej sięga*. Miałem przed czterema laty czterdzieści lat i pięćset tysięcy franków; dziś mam o cztery lata więcej i prawdopodobnie o pięćdziesiąt tysięcy franków mniej, stracę je bowiem na sprzedaży dworku w Montfleury, cudnie położonego w pobliżu Rodanu. W Paryżu znużyła mnie ustawna komedia, do której zniewala wasza tak zwana cywilizacja XIX wieku. Byłem spragniony swobody i prostoty. Kupuję tedy majątek w górach niedaleko Rodanu, nic piękniejszego pod słońcem! Wikary oraz okoliczna szlachta nadskakują mi przez pół roku; karmię ich obiadami. „Opuściłem Paryż, powiadam im, aby w życiu nie słyszeć ani nie mówić o polityce; jak panowie widzicie, nie abonuję żadnego dziennika, im mniej listonosz doręcza mi listów, tym bardziej rad jestem".

To stanowisko nie zupełnie odpowiadało intencjom księdza wikarego; niebawem stałem się pastwą tysiąca natarczywych żądań, utrapień. Chciałem dać dwieście lub trzysta franków rocznie na ubogich; żądają, abym dał coś na pobożne stowarzyszenia: a świętego Józefa, a Niepokalanej Dziewicy, etc. Odmawiam: spada na mnie tysiąc szykan. Popełniam to głupstwo, że się irytuję. Nie mogę wyjść rano z domu ucieszyć się pięknością gór, aby mnie jakaś przykrość nie wyrwała z marzeń, przypominając mi dotkliwie ludzi i ich niegodziwość. Podczas procesji w dni krzyżowe na przykład (lubię te śpiewy, to musi być prawdopodobnie melodia grecka), nie błogosławią moich pól, bo, powiada wikary, należą do bezbożnika. Krowa starej wieśniaczki, bigotki, umiera; oczywiście z powodu stawu należącego do mnie, niedowiarka, paryskiego filozofa! W tydzień później patrzę, jak moje ryby wypływają brzuchem do góry, otrute wapnem. Prześladują mnie na wszelki sposób. Sędzia pokoju, zacny człowiek, ale drżący o swą posadę, zawsze rozstrzyga na moją niekorzyść. Spokój wiejski stał się dla mnie piekłem. Z chwilą, gdy ujrzano, że mnie opuścił wikary, głowa wiejskiej kongregacji, nie popiera mnie zaś pensjonowany kapitan, wódz liberałów, wszyscy wsiedli na mnie, nawet murarz, któregom żywił od roku, nawet stelmach, który chciał mnie orżnąć przy naprawie pługów. Aby zyskać oparcie i wygrać bodaj raz jaki proces, robię się liberałem; ale, jak powiadasz, nadchodzą te szelmowskie wybory, żądają mego głosu...

— Za kimś, kogo nie znasz?

— Gdzież tam, za kimś, kogo znam dobrze. Odmawiam, straszna nieostrożność! Z tą chwilą mam i liberałów na karku: położenie staje się nie do zniesienia. Sądzę, iż gdyby wikaremu wpadło do głowy obwinić mnie o zamordowanie służącej, znalazłoby się w obu stronnictwach dwudziestu świadków, gotowych przysiąc, że widzieli, jak spełniam zbrodnię.

— Chcesz żyć na wsi, nie podzielając namiętności sąsiadów, nie słuchając ich bajań. Szaleństwo!

— Dobrze więc, naprawiłem je. Montfleury jest na sprzedaż; stracę, jeśli trzeba, pięćdziesiąt tysięcy, ale rad jestem, żem się wyrwał z tego piekła obłudy i szykan. Poszukam samotności i sielskiego spokoju w jedynym miejscu, gdzie one istnieją we Francji, gdzieś na czwartym pięterku, wychodzącym na Pola Elizejskie w Paryżu. I jeszcze zastanawiam się, czy nie rozpocznę kariery politycznej w mej dzielnicy, składając jaki grosik na rzecz parafii.

— Wszystko to nie byłoby możliwe za Bonapartego! — rzekł Falcoz z oczami błyszczącymi od gniewu i żalu.

— Wybornie, ale czemuż nie umiał się trzymać na stanowisku ten twój Bonaparte? Wszystko, co ja dziś cierpię, to jego wina.

Julian podwoił baczność. Zrozumiał od pierwszego słowa, że bonapartysta Falcoz jest przyjacielem z lat dziecinnych pana de Rênal, filozof zaś Saint-Giraud musiał być bratem owego urzędnika w prefekturze X., który umiał tak tanio zdobyć na licytacji dzierżawę budynków gminnych.

— Tak, wszystko to sprawił twój Bonaparte — ciągnął Saint-Giraud. — Uczciwy człowiek, ot, do rany przyłożyć, liczący czterdzieści lat i pięćset tysięcy franków, nie może spokojnie skłonić głowy na prowincji; *jego księża i jego szlachta* wypędzają go stamtąd.

— Nie mów o nim nic złego! — wykrzyknął Falcoz. — Nigdy Francja nie stała tak wysoko w szacunku ludów, co przez trzynaście lat jego panowania. Wówczas wszystko, co się działo, było wielkie.

— Twój cesarz, niech go diabli porwą — odparł Saint-Giraud, — był wielki jedynie na polu bitwy i wówczas gdy odbudował finanse w 1802. Co znaczy całe jego późniejsze postępowanie? Ci szambelani, ta pompa, recepcje w Tuilleriach, to było nowe wydanie wszystkich monarchicznych głupstw. Wydanie co prawda poprawione, mogło trwać jeszcze wiek lub dwa. Szlachta i księża chcieli wrócić do dawnego, ale nie mają dość żelaznej ręki, aby je narzucić publiczności.

— Et, bajania drukarza-emeryta!

— Więc kto mnie wypędza z majątku? — ciągnął eks-drukarz z gniewem. — Księża, których Napoleon wskrzesił przez swój konkordat, zamiast ich traktować tak, jak państwo traktuje lekarzy, adwokatów, astronomów, widzieć w nich tylko obywateli, nie troszcząc się o rzemiosło, którym zarabiają na życie. Czy istnieliby dzisiaj butni szlachcice, gdyby Napoleon nie porobił baronów i hrabiów? Nie, wyszli już z mody. Obok księży, właśnie te szlachetki wiejskie zalały mi sadła za skórę i zmusiły mnie do zostania liberałem!

Rozmowa ciągnęła się w nieskończoność; przedmiot ten będzie zaprzątał Francję jeszcze pół wieku. Gdy Saint-Giraud powtarzał wciąż, że nie podobna żyć na prowincji, Julian przytoczył nieśmiało pana de Rênal.

— Do krocset, młody człowieku, paradny jesteś! — wykrzyknął Falcoz. — Ten człowiek stał się młotem, aby nie być kowadłem, i w dodatku straszliwym młotem. Ale zdystansował go jeszcze Valenod. Znasz tego hultaja? To numer pierwszy. Co powie twój Rênal, kiedy pewnego pięknego poranka usuną go, a zamianują Valenoda w jego miejsce?

— Zostanie sam na sam ze swymi zbrodniami — rzekł Saint-Giraud. — Znasz tedy Verrières, młodzieńcze? No więc! Bonaparte, niech go niebo pognębi, jego i jego monarchistyczną tandetę, uczynił możliwym panowanie Rênalów, Chélanów, z którego wynikło panowanie Valenodów i Maslonów.

Ta gorzka polityczna rozmowa uderzyła Juliana i rozwiała jego rozkoszne dumania.

Pierwsze wrażenie Paryża widzianego z oddali nie było zbyt silne. Zamki na lodzie przyszłego losu musiały walczyć z żywym jeszcze wspomnieniem doby w Verrières. Przysięgał sobie nigdy nie opuścić dzieci swej ukochanej i wszystko poniechać dla ich obrony, gdyby zachłanność księży miała sprowadzić republikę i prześladowania szlachty.

Cóż by się z nim stało owej nocy, gdyby, w chwili gdy przystawiał drabinę do okna, zastał w pokoju kogoś obcego lub też pana de Rênal? Ale w zamian jak rozkoszne były te pierwsze dwie godziny, kiedy ona szczerze chciała go wyprawić, on zaś bronił swej sprawy, siedząc obok niej w ciemności! Dusze takie jak Juliana zachowują podobne wspomnienie całe życie. Reszta wspomnień spływała się już z pierwszym okresem ich miłości przed czternastu miesiącami.

Julian zbudził się z głębokiej zadumy: dyliżans zatrzymał się. Stanęli na dziedzińcu pocztowym, przy ul. *J. J. Rousseau*.

— Proszę mnie zawieźć do Malmaison — rzekł do przejeżdżającego fiakra.

— O tej godzinie, proszę pana, po co?

— Co wam do tego! Jedźcie.

Wszelka prawdziwa namiętność myśli tylko o sobie. Dlatego to, jak sądzę, namiętności śmieszne są w Paryżu, gdzie każdy sąsiad ma pretensje, aby się nim zajmowano. Nie

będę opowiadał wzruszeń Juliana w Malmaison. Płakał. Jak to! Mimo szpetnych białych murów, wzniesionych świeżo i tnących park na kawałki?

Tak; dla Juliana jak i dla potomności nie zaszło nic pomiędzy Arcole, świętą Heleną a Malmaison.

Wieczorem Julian długo się wahał, zanim się udał do teatru; miał dziwne pojęcie o tym miejscu zepsucia. Nieufność nie pozwoliła mu podziwiać żyjącego Paryża; przemawiały doń jedynie pomniki zostawione przez jego bohatera.

— Oto więc jestem w centrum intryg i obłudy. Tu władają protektorzy księdza de Frilair.

Wieczorem trzeciego dnia ciekawość pokonała zamiar obejrzenia wszystkiego przed zgłoszeniem się do księdza Pirard. Ksiądz objaśnił mu chłodno zajęcia, jakie go czekają u pana de la Mole.

— Jeżeli po kilku miesiącach nie okażesz się użyteczny, wrócisz do seminarium, ale już na innej stopie. Będziesz mieszkał u margrabiego, jednego z największych magnatów Francji. Będziesz się ubierał czarno, ale jak człowiek w żałobie, nie jak duchowny. Żądam, abyś trzy razy na tydzień uczęszczał na kursy teologii w seminarium, gdzie cię polecę. Co dzień w południe stawisz się w bibliotece margrabiego, który zamierza posługiwać się tobą w korespondencji tyczącej procesu oraz w innych sprawach. Margrabia zaznaczy w paru słowach na marginesie listu, w jakim duchu ma być odpowiedź. Zaręczyłem, iż za jaki kwartał nauczysz się sporządzać te odpowiedzi tak, że na tuzin przedłożonych margrabia będzie mógł podpisać osiem lub dziewięć. Wieczorem o ósmej uporządkujesz biuro, o dziesiątej będziesz wolny.

Może się zdarzyć — ciągnął ksiądz Pirard, że jakaś starsza dama lub jakiś jegomość o słodkiej mince ukaże ci ogromne korzyści lub po prostu ofiaruje pieniądze za pokazanie listów, które odbiera margrabia.

— Och! — wykrzyknął Julian, rumieniąc się.

— Osobliwa rzecz — rzekł ksiądz z gorzkim uśmiechem — iż, będąc biedakiem i po roku seminarium, znajdujesz jeszcze w sobie tak cnotliwe oburzenie. Musiałeś być tedy bardzo ślepy.

Byłabyż to siła krwi — ciągnął ksiądz półgłosem, jakby sam do siebie. — Co jest osobliwe — dodał, spoglądając na Juliana — to że margrabia cię zna... Nie wiem skąd. Daje ci, na początek, sto ludwików rocznie. Człowiek ten powoduje się tylko kaprysem, to jego wada, będzie z tobą wojował o drobiazgi. Jeśli będzie rad z ciebie, pensja twoja może wzrosnąć z czasem do ośmiu tysięcy franków.

Ale rozumiesz dobrze — podjął ksiądz zgryźliwie — że nie będzie ci płacił dla twoich pięknych oczu. Chodzi o to, abyś mu się nadał. Na twoim miejscu odzywałbym się bardzo mało, zwłaszcza zaś nie mówiłbym o tym, czego nie wiem. A — dodał jeszcze ksiądz — zasięgnąłem dla ciebie informacji; zapomniałem o rodzinie pana de la Mole. Ma dwoje dzieci, córkę i dziewiętnastoletniego syna, panicza, eleganta, przy tym trochę trzpiota, który nigdy nie wie z rana, co będzie robił wieczór. Chłopak z głową i dzielny, odbył kampanię hiszpańską. Margrabia spodziewa się, nie wiem czemu, że ty się zaprzyjaźnisz z młodym Norbertem. Powiedziałem, żeś tęgi łacinnik; może liczy, że nauczysz chłopca paru komunałów z Wergilego lub Cycerona.

Na twoim miejscu nigdy nie pozwoliłbym dworować z siebie temu lalusiowi; długo by poczekał, nim bym się dał ująć jego tonom bardzo grzecznym, ale niewolnym od cienia ironii.

Nie taję ci, że młody hrabia będzie cię zrazu lekceważył dla twego urodzenia. Jego przodek był dworzaninem i dostąpił tego zaszczytu, że mu ucięto głowę na placu Grève, 26 kwietnia 1574, za polityczne intrygi.

Ty jesteś synem cieśli z Verrières; co więcej, domownikiem ojca. Zważ dobrze te odcienie i wystudiuj historię tej rodziny w Morerim; wszyscy pochlebcy, którzy tu bywają na obiedzie, robią do niej od czasu do czasu delikatne (w swoim mniemaniu!) aluzje.

Uważaj dobrze na sposób, w jaki będziesz odpowiadał na żarciki hrabiego Norberta de la Mole, dowódcy szwadronu huzarów i przyszłego para Francji, i nie przychodź do mnie potem z utyskiwaniami.

— Zdaje mi się — rzekł Julian, rumieniąc się mocno — że nie powinien bym w ogóle mówić z człowiekiem, który mną gardzi.

— Nie znasz tego rodzaju wzgardy, objawi się ona jedynie przesadną uprzejmością. Gdybyś był głupcem, mógłbyś się na to złapać; jeśli chcesz do czegoś dojść, powinieneś się na to złapać.

— A gdyby mi to wszystko nie odpowiadało — rzekł Julian — czy będę uchodził za niewdzięcznika, jeśli wrócę do mej celki pod numer 108?

— Oczywiście — odparł ksiądz — dworacy margrabiego będą cię spotwarzać, ale wówczas wystąpię ja. *Adsum qui feci*. Powiem, że ode mnie wyszło to postanowienie.

Cierpki i niemal wrogi ton księdza Pirard przygnębił Juliana; ton ten zepsuł całkowicie jego ostatnią odpowiedź.

Faktem jest, że ksiądz wyrzucał sobie w sumieniu przywiązanie do Juliana, jak również odczuwał jak gdyby świętą zgrozę, że się miesza do czyjegoś życia.

— Ujrzysz jeszcze — dodał tak samo niechętnie i jakby spełniając uciążliwy obowiązek — ujrzysz panią de la Mole. Jest to duża blondynka, dewotka, wyniosła, grzeczna i nieznacząca. Jest córką starego księcia de Chaulnes, znanego ze swych kastowych uprzedzeń. Dama ta jest jakby streszczeniem kobiet owego świata. Nie kryje się z tym, że rodowód sięgający wojen krzyżowych jest jedyną godną szacunku zaletą. Pieniądz idzie znacznie później; dziwisz się? Nie jesteśmy na prowincji, moje dziecko.

Spotkasz w jej salonie kilku wielkich panów, wyrażających się niezwykle lekko o panującej rodzinie. Co do pani de la Mole, ta zniża z szacunkiem głos, ilekroć wymienia jakiego księcia, a zwłaszcza księżnę krwi. Nie radziłbym ci powiedzieć przy niej, że Filip II albo Henryk VIII byli potworami. Byli KRÓLAMI, co im daje niewzruszone prawa do szacunku istot *nieurodzonych*, jak ty i ja. Jednakże — dodał ksiądz Pirard — jesteśmy księżmi (bo i ciebie będzie uważać za księdza); z tego tytułu uważa nas za lokajów niezbędnych dla jej zbawienia.

— Mam uczucie, proszę ojca — rzekł Julian — że niedługo zabawię w Paryżu.

— Jak zechcesz; ale zważ, że dla ludzi takich jak my nie ma innej drogi niż przez wielkich panów. Masz w swoim charakterze, przynajmniej dla mnie, coś nieokreślonego, co sprawia, iż, jeśli się nie wywindujesz, będą cię prześladować; nie ma dla ciebie pośredniej drogi. Nie łudź się. Ludzie widzą, że ich towarzystwo nie sprawia ci przyjemności; w kraju tak towarzyskim jak nasz będziesz zgubiony, o ile nie zdołasz narzucić szacunku.

Co by się z tobą stało w Besançon, gdyby nie kaprys margrabiego? Kiedyś zrozumiesz, co on dla ciebie uczynił i jeśli nie jesteś potworem, będziesz miał dla niego i dla jego rodziny wiekuistą wdzięczność. Iluż biednych księży, wykształceńszych[45] od ciebie, lata całe żyło w Paryżu, mając jedynie piętnaście su za mszę i dziesięć su z Sorbony! Przypomnij sobie, co ci opowiadałem zeszłej zimy o pierwszych latach tego ladaco, kardynała Dubois. Jesteś może na tyle zarozumiały, aby myśleć, że masz więcej zdolności od niego?

Ja na przykład, spokojny i mierny człowiek, spodziewałem się, że dokończę życia w mym seminarium i popełniłem to dzieciństwo, aby się do niego przywiązać. I ot! Miano mnie usunąć, kiedy wniosłem dymisję. Czy wiesz, ile wynosił mój majątek: miałem, ni mniej ni więcej, pięćset dwadzieścia franków; ani jednego przyjaciela, ledwie paru znajomych. Pan de la Mole, którego w życiu nie widziałem, wyratował mnie; wystarczyło mu rzec słowo i dano mi probostwo, którego parafianie są ludzie zamożni, wolni od małostkowych przywar; dochodów zaś wstydzę się po prostu, w takim są niestosunku do mej pracy. Rozgadałem się tak obszernie jedynie po to, aby cię nauczyć chodzić po ziemi.

Jeszcze jedno: mam to nieszczęście, że jestem popędliwy; bardzo być może, iż przestaniemy z sobą mówić. Jeśli wyniosłość hrabiny lub niewczesne żarciki syna uczynią ci pobyt stanowczo nie do zniesienia, radzę ci dokończyć studia w jakim seminarium w Paryżu, raczej na północy niż na południu. Północ jest cywilizowańsza[46]; i — dodał zniżając głos — muszę wyznać, że bliskość paryskich dzienników trzyma w karbach prowincjonalnych tyranów.

Jeśli pozostaniemy nadal w dobrych stosunkach, a dom margrabiego nie będzie ci odpowiadał, ofiaruję ci miejsce mego wikarego i podzielę z tobą do połowy dochód z probostwa. Winien ci to jestem i więcej jeszcze — dodał przerywając dziękczynienia Juliana,

[45] *wykształceńszy* — dziś popr.: bardziej wykształcony.
[46] *cywilizowańszy* — dziś popr.: bardziej cywilowany.

— za niezwykłą rzecz, z jaką ofiarowałeś mi się w Besançon. Gdybym zamiast pięciuset dwudziestu franków nie miał nic, byłbyś mnie ocalił.

Głos księdza stracił zwykłą surowość. Ku wielkiemu swemu wstydowi Julian uczuł, że ma łzy w oczach; miał nieprzepartą ochotę uściskać zacnego księdza: wreszcie rzekł, siląc się na ton męski:

— Ojciec nienawidził mnie od kolebki; to było jedno z mych największych nieszczęść; ale nie będę się już skarżył na los, skoro w księdzu znalazłem drugiego ojca.

— Dobrze już dobrze — rzekł ksiądz zakłopotany; po czym, odnajdując szczęśliwie styl rektora seminarium, dodał — Nie trzeba nigdy mówić los, moje dziecko, mów zawsze *Opatrzność*.

Fiakier zatrzymał się; woźnica podniósł brązowy młotek wiszący przy olbrzymiej bramie, był to PAŁAC DE LA MOLE; aby zaś przechodnie nie mogli o tym wątpić, słowa te były wyryte na czarnym marmurze nad drzwiami.

Pompa ta nie podobała się Julianowi. „A oni się tak boją jakobinów! Widzą Robespierre'a i gilotynę za każdym płotem, czasem są z tym bezgranicznie śmieszni; a równocześnie znaczą tak swoje domy, iżby w czas rozruchów motłoch poznał je i obrabował". Julian podzielił się swą myślą z księdzem Pirard.

— Och, dziecko, dziecko, wkrótce będziesz moim wikarym. Cóż za straszna myśl przyszła ci do głowy!

— Wydaje mi się bardzo prosta — rzekł Julian.

Powaga odźwiernego, przede wszystkim zaś schludność dziedzińca wzbudziły jego podziw. Dzień był słoneczny.

— Cóż za wspaniała architektura! — wykrzyknął.

Był to jeden z owych banalnych pałaców, które wyrosły przy bulwarze Saint-Germain w epoce śmierci Woltera. Nigdy moda i piękność nie były równie odległe od siebie.

XXXII. WEJŚCIE W ŚWIAT

Śmieszne i wzruszające wspomnienie: pierwszy salon, w którym, mając lat osiemnaście, znalazłem się sam i bez opieki! Lada spojrzenie kobiety wystarczało, aby mnie onieśmielić. Im bardziej się siliłem na dworność, tym bardziej stawałem się niezręcznym. Tworzyłem sobie o wszystkim najfałszywsze pojęcia; to otwierałem duszę bez potrzeby, to znów widziałem w człowieku wroga dlatego, że spojrzał na mnie poważnie. Ale, mimo straszliwych mąk nieśmiałości, jakże wówczas piękny dzień był pięknym!

Kant.

Julian zatrzymał się w dziedzińcu oszołomiony.

— Opamiętajże się — rzekł ksiądz Pirard — przychodzą ci do głowy potworne myśli; zupełne przy tym z ciebie dziecko! Gdzież owo *nil admirari* Horacego (Bez entuzjazmu). Pomyśl, że skoro wejdziesz w ten dom, czereda lokajów zacznie się bawić twoim kosztem; będą widzieli w tobie równego im, postawionego niesłusznie po nad nimi. Pod pozorem życzliwości, dobrych rad, pomocy, będą ci się starali podstawić nogę.

— Niech spróbują — rzekł Julian, zagryzając wargi i odzyskał całą nieufność.

Salony, które przebywali, nim dotarli do gabinetu margrabiego, zdałyby ci się, czytelniku, równie smutne jak wspaniałe. Gdyby ci je dano tak, jak są, nie chciałbyś w nich mieszkać; jest to ojczyzna ziewania i smutnego rozsądku. Julian był coraz więcej zachwycony. „Jak można być nieszczęśliwym — myślał — kiedy się mieszka w tak wspaniałym pałacu".

Wreszcie dotarli do najbrzydszego pokoju w tym pysznym apartamencie. Panował tam prawie zupełny mrok; przy biurku siedział mały, szczupły człowieczek o żywym oku i blond peruce. Ksiądz obrócił się do Juliana i przedstawił go. Był to margrabia. Julian z trudnością go poznał, tak bardzo wydał mu się uprzejmy. Nie był to już ów wyniosły magnat, którego widział w Bray-le-Haut. Julian odniósł wrażenie, że peruka margrabiego ma za wiele włosów; obserwacja ta rozproszyła jego nieśmiałość. Potomek kompana Henryka III wydał mu się na pierwszy rzut oka dość niepozorny. Był bardzo chudy, ruchy miał niespokojne. Niebawem Julian spostrzegł, że obejście margrabiego jest jeszcze

bardziej ujmujące niż grzeczność biskupa z Besançon. Audiencja nie trwała ani trzech minut. Wychodząc, ksiądz rzekł do Juliana.

— Wpatrywałeś się w margrabiego jakby w obraz. Niewiele się rozumiem na tym, co owi ludzie nazywają grzecznością, niebawem będziesz w tym bieglejszy ode mnie; mimo to śmiałość twego spojrzenia wydała mi się niezbyt grzeczna.

Wsiedli z powrotem do fiakra, woźnica zatrzymał się na bulwarach; ksiądz poprowadził Juliana przez szereg salonów. Julian zdziwiony był zupełnym brakiem mebli. Patrzał na wspaniały złoty zegar przedstawiający scenę mocno, wedle niego, nieprzystojną, kiedy wytworny pan zbliżył się doń z przyjazną twarzą. Julian skłonił się lekko. Nieznajomy uśmiechnął się i położył mu rękę na ramieniu. Julian zadrżał i rzucił się w tył. Zarumienił się z gniewu. Ksiądz Pirard, mimo swej powagi, śmiał się do łez. Ten pan to był krawiec.

— Daję ci wolność na dwa dni — rzekł ksiądz, wychodząc — dopiero wówczas będziesz mógł być przedstawiony pani de la Mole. Kto inny strzegłby cię jak młodej dziewczyny w pierwszych dniach pobytu w tym nowym Babilonie. Giń od razu, jeśli masz zginąć: uwolnię się od tej słabości, jaką mam dla ciebie. Pojutrze rano krawiec odniesie ci dwa ubrania; dasz pięć franków czeladnikowi, który przyjdzie ci je przymierzyć. Poza tym, niech paryżanie nie usłyszą twego głosu: jeśli powiesz słowo, potrafią się go uczepić i wydrwić cię. To ich talent. Bądź u mnie pojutrze w południe... A teraz idź, giń... Zapomniałem: idź sobie zamów buty, koszule, kapelusz; masz tu adresy.

Julian spojrzał na pismo.

— To pismo margrabiego — rzekł ksiądz. — Jest to człowiek czynu, który przewiduje wszystko i woli raczej działać niż wydawać zlecenia. Bierze cię do domu, iżbyś mu oszczędził tego mozołu. Czy będziesz miał na tyle sprytu, aby dobrze wypełnić wszystko, co człowiek tak żywy wskaże ci półsłowem? Przyszłość to pokaże: uszy do góry!

Julian udał się, nie mówiąc słowa, do magazynów, których adres mu wskazano; zauważył, że wszędzie przyjęto go z szacunkiem; szewc zaś wpisując jego nazwisko do książki napisał p. Julian *de* Sorel.

Na cmentarzu Père-Lachaise jegomość jakiś, nader uprzejmy, a jeszcze bardziej liberalny w swoich odezwaniach, ofiarował się wskazać Julianowi marszałka Neya, którego względy polityczne pozbawiły nagrobka. Rozstawszy się z tym liberałem, który ze łzami w oczach tulił go niemal w objęciach, Julian spostrzegł, że nie ma zegarka. Wzbogacony tym doświadczeniem zjawił się trzeciego dnia o południu u księdza Pirard, który przypatrywał mu się bystro.

— Zrobisz się może próżnym fircykiem — rzekł surowo.

Julian miał wygląd młodego człowieka w grubej żałobie, z czym było mu istotnie do twarzy; ale poczciwy ksiądz był sam zanadto parafianinem, aby zauważyć u Juliana ten charakterystyczny ruch ramion, który wyraża na prowincji zarazem elegancję i ważność. Wrażenie, jakie odniósł margrabia, było bardzo odmienne od sposobu, w jaki zacny ksiądz ocenił grację Juliana.

— Czy ksiądz miałby co przeciw temu, aby pan Sorel brał lekcje tańca? — spytał.

Ksiądz osłupiał.

— Nie — odparł — Julian nie jest księdzem.

Skacząc po dwa stopnie po ukrytych schodkach, margrabia sam zaprowadził naszego bohatera do ładnej izdebki na poddaszu, z oknem na olbrzymi ogród pałacowy. Zapytał go, ile wziął koszul w magazynie.

— Dwie — odparł Julian onieśmielony tym, że tak wielki pan zniża się do tych szczegółów.

— Bardzo dobrze — rzekł margrabia z poważną miną rozkazującym i zwięzłym tonem, który uderzył Juliana — bardzo dobrze. Weź pan jeszcze dwadzieścia dwie. Oto pensja za pierwszy kwartał. — Schodząc, margrabia zawołał starego lokaja — Arsenie — rzekł — będziesz usługiwał panu Sorel.

W chwilę potem Julian znalazł się sam we wspaniałej bibliotece; był to rozkoszny moment. Aby go nikt nie zeszedł na tym wzruszeniu, zaszył się w ciemny kąt; stamtąd przyglądał się z zachwytem błyszczącym grzbietom książek. „Będę mógł czytać to wszystko — powtarzał sobie. — Jakżeby mi tu mogło nie być dobrze! Pan de Rênal uważałby sobie za wiekuistą hańbę zrobić setną część tego, co margrabia de la Mole zrobił dla mnie. Ale weźmy się do przepisywania".

Dopełniwszy tej roboty, Julian ośmielił się zbliżyć do książek; omal nie oszalał z radości biorąc w rękę Woltera. Pobiegł otworzyć drzwi, aby go nikt nie zaskoczył. Następnie z rozkoszą przeglądał każdy z osiemdziesięciu tomów. Były wspaniale oprawione: arcydzieło najbieglejszego rękodzielnika w Londynie. Było to aż nadto, aby upoić Juliana.

W godzinę potem wszedł margrabia, przejrzał kopie i zauważył ze zdziwieniem, że Julian pisze *sprzeciwiać* przez „sz". „Czyżby wszystko, co mi ksiądz opowiadał o jego wykształceniu miało być baśnią!" Margrabia mocno zniechęcony spytał łagodnie:

— Nie jest pan bardzo pewny w ortografii?

— W istocie — odparł Julian, nie zastanawiając się, jak bardzo szkodzi sobie tą odpowiedzią; wzruszyła go dobroć margrabiego, która przywiodła mu na pamięć oschły ton pana de Rênal.

„Stracony czas cały ten eksperyment z prowincjonalnym klerykiem — pomyślał margrabia — ale tak trzeba mi było pewnego człowieka!"

— *Sprzeciwiać* nie pisze się przez „sz" — rzekł margrabia. — Kiedy pan skończy przepisywanie, poszukaj w słowniku wyrazów, których nie będziesz pewny.

O szóstej margrabia wezwał Juliana; z widoczną przykrością popatrzył na jego buty.

— To moja wina — rzekł — nie powiedziałem panu, że codziennie o wpół do szóstej trzeba się ubrać.

Julian patrzał, nie rozumiejąc.

— To znaczy włożyć pończochy. Arsen będzie tego pilnował; dzisiaj ja sam cię wytłumaczę.

Domawiając tych słów, pan de la Mole poprowadził Juliana przez salon kapiący od złoceń. W podobnych okolicznościach pan de Rênal nie omieszkał nigdy przyśpieszyć kroku, aby wejść pierwszy. Próżnostka dawnego chlebodawcy sprawiła, że Julian nadeptał na nogę margrabiemu, urażając dotkliwie jego podagrę. „Och! Niezgrabiasz w dodatku" — mruknął margrabia. Przedstawił go wysokiej i imponującej damie; była to margrabina. Mina jej wydała się Julianowi dość impertynencka; coś w rodzaju pani de Maugiron, podprefekciny okręgu Verrières, kiedy celebrowała przy obiedzie w dzień świętego Karola. Oszołomiony wspaniałością salonu Julian nie słyszał, co mówi pan de la Mole. Margrabina ledwie nań spojrzała. Było tam kilka osób; Julian poznał z niewymowną przyjemnością młodego biskupa z Agde, który raczył doń przemówić parę słów swego czasu, przy ceremonii w Bray-le-Haut. Młody prałat przeląkł się widocznie tkliwych spojrzeń, jakie wlepiał w niego ośmielony Julian i nie kwapił się odnawiać znajomości.

Wszyscy wydali się Julianowi jacyś smutni, sztywni; w Paryżu mówi się cicho i unika się wszelkiej przesady.

Około wpół do szóstej wszedł do salonu ładny młodzieniec z wąsami, blady i smukły; miał bardzo małą głowę.

— Zawsze dajesz na siebie czekać — rzekła margrabina, którą pocałował w rękę.

Julian domyślił się, że to hrabia de la Mole. Z pierwszego wrażenia wydał mu się uroczy.

„Czy możliwe — pomyślał — aby to był człowiek, którego złośliwość ma mnie wypędzić z domu?"

Przyglądając się hrabiemu Norbertowi, Julian zauważył, że jest w butach i przy ostrogach. „A ja mam być w trzewikach, widocznie jako podrzędna figura". Siedli do stołu. Julian usłyszał, jak margrabia zwraca się do kogoś surowo, podnosząc nieco głos; równocześnie spostrzegł młodą osobę, jasną blondynkę o zręcznej kibici, która siadła naprzeciw niego. Nie spodobała mu się; przyglądając się jej uważnie pomyślał, że nigdy nie widział równie pięknych oczu; ale zwiastowały one wielki chłód duszy. Później Julian spostrzegł, że jest w nich wyraz nudy, zaciekawionej, ale pamiętającej o obowiązku imponowania. „Pani de Rênal miała bardzo piękne oczy — myślał — wszyscy się nimi zachwycali, a jednak nie były nic podobne do tych". Julian nie był dość obyty w świecie, aby poznać, że te błyski zapalające się od czasu do czasu w oczach panny Matyldy (słyszał, że tak ją nazywają), to były iskierki dowcipu i złośliwości. Oczy pani de Rênal, kiedy się ożywiały, to ogniem namiętności lub szlachetnym oburzeniem, wówczas gdy słyszała o brzydkim uczynku. Pod koniec obiadu Julian znalazł określenie piękności panny de la Mole. „Ma oczy migotliwe" — pomyślał. Zresztą była fatalnie podobna do matki; która coraz więcej mu się nie podobała, tak że przestał na nią patrzeć. Hrabia Norbert natomiast wydał mu

się zachwycający. Julian był tak pod jego urokiem, że nie przyszło mu na myśl zazdrościć mu i nienawidzić go, dlatego że jest bogatszy i lepiej urodzony.

Julian zauważył, że margrabia ma znudzoną minę.

Przy drugim daniu rzekł do syna:

— Norbercie, proszę cię o względy dla pana Sorel, którego powołałem do mego sztabu, i z którego chcę zrobić człowieka, w czym, mam nadzieję, nie będzie mi się *sprzeciwiał*. To mój sekretarz — dodał do sąsiada — i pisze *sprzeciwiać* przez „*sz*".

Wszyscy spojrzeli na Juliana, który skłonił zbyt nisko głowę w kierunku Norberta, na ogół jednak sprawił korzystne wrażenie.

Widocznie margrabia musiał wspomnieć o okolicznościach tyczących wychowania Juliana, ktoś z gości bowiem zagadnął go o Horacego. „Rozmową o Horacym pozyskałem sobie względy biskupa w Besançon — pomyślał Julian — widocznie oni znają tylko tego autora". Od tej chwili zapanował zupełnie nad sobą. Przyszło mu to tym łatwiej, ile że właśnie osądził, iż panna de la Mole nigdy nie będzie w jego oczach kobietą. Od czasu seminarium nabierał o ludziach coraz gorszego mniemania i niełatwo dawał się onieśmielać. Byłby jeszcze pewniejszy, gdyby jadalnia była umeblowana z mniejszym przepychem. Imponowały mu zwłaszcza dwa lustra na osiem stóp wysokie, w których, mówiąc o Horacym, widział swego interlokutora. Odpowiedź jego, jak na parafianina, wypadła niezgorzej. Miał ładne oczy, których blask pomnażała jeszcze nieśmiałość, drżąca lub uszczęśliwiona, kiedy mu się udało trafnie odpowiedzieć. Wydał się sympatyczny. Egzamin ten wlał nieco ożywienia w ceremonialny obiad. Margrabia gestem zachęcił interlokutora, aby się ostro brał do Juliana. „Czyżby on w istocie coś umiał?" — myślał pan de la Mole.

Julian odpowiadał wcale samodzielnie; poglądy jego ujawniały nie dowcip — rzecz niemożliwa dla kogoś nieznającego gwary paryskiej — ale pewną świeżość myśli, mimo że podanych bez wdzięku i smaku. Tyle było pewne, że jest to dobry łacinnik.

Przeciwnik Juliana był to członek Akademii, który przypadkowo dobrze posiadał łacinę; poznał w Julianie tęgiego humanistę i nie obawiając się już skompromitować chłopca, zaczął go w istocie przypierać do muru. Rozgrzany dysputą, Julian zapomniał wreszcie o przepychu sali i rozwinął na temat łacińskich poetów poglądy, których akademik nigdzie nie spotkał. Jako człowiek lojalny powinszował tego młodemu sekretarzowi. Szczęściem wszczęła się dyskusja o tym, czy Horacy był biedny czy bogaty; czy był człowiekiem światowym, oddanym rozkoszy, lekkomyślnym, składającym wiersze dla zabawy jak Chapelle, przyjaciel Moliera i La Fontaine'a; czy też biednym poetą-laureatem, wiszącym przy dworze i składającym ody na dzień urodzin królewskich jak Southey, przyjaciel lorda Byrona. Zaczęto mówić o społeczeństwie za Augusta i za Jerzego IV; w obu tych epokach arystokracja była wszechpotężna; ale w Rzymie wydarł jej władzę Mecenas, będący jedynie prostym szlachcicem, w Anglii zaś zepchnęła ona Jerzego IV niemal do stanowiska weneckiego doży. Dyskusja ta zbudziła po trosze margrabiego z odrętwienia i nudy, w jakiej pogrążony był z początkiem obiadu.

Julian nie znał zupełnie tych nowożytnych imion jak Southey, lord Byron, Jerzy IV; słyszał je po raz pierwszy. Ale zauważono powszechnie że, ilekroć rozmowa zeszła na sprawy tyczące Rzymu, odbijające się w dziełach Horacego, Marcjala, Tacyta, posiadał on niezaprzeczoną wyższość. Julian przywłaszczył sobie bez ceremonii niektóre myśli biskupa z Besançon z owej pamiętnej rozmowy; poglądy te spotkały się z ogólnym poklaskiem.

Skoro nagadano się do syta o poetach, margrabina, która czuła się w obowiązku zachwycać wszystkim, co bawiło męża, raczyła spojrzeć na Juliana.

— Pod nieokrzesaniem tego księżyka kryje się może niepospolity umysł — rzekł do margrabiny siedzący obok akademik.

Julian dosłyszał urywek tej rozmowy. Takie gotowe formułki dosyć były w guście pani de la Mole; przyjęła tę opinię o Julianie i rada była z siebie, że zaprosiła akademika na obiad. „Rozerwał margrabiego" — myślała.

XXXIII. PIERWSZE KROKI

Ta olbrzymia dolina napełniona blaskiem oraz tysiącami ludzi oślepiła moje oczy. Nikt mnie nie zna, wszyscy są wyżsi ode mnie. Głowę tracę.

Poemi dell av. Raine.

Nazajutrz bardzo wcześnie Julian przepisywał listy w bibliotece, kiedy panna Matylda weszła drzwiczkami ukrytymi w półkach na książki. Podczas gdy Julian podziwiał ten wymysł, panna Matylda zdawała się bardzo zdumiona i dość nierada, że go tam spotyka. Była w papilotach; wyraz jej twarzy wydał się Julianowi twardy, dumny, niemal męski. Panna de la Mole wykradała potajemnie książki z biblioteki ojca. Obecność Juliana udaremniała jej wyprawę tego ranka, co było pannie tym bardziej nie w smak, ile że przyszła po drugi tom *Księżniczki Babilońskiej* Woltera; godne dopełnienie na wskroś monarchicznego i religijnego wychowania, arcydzieła *Sacré-Coeur*! Biedna dziewczyna w dziewiętnastym roku życia potrzebowała już ostrej zaprawy dowcipu, aby znaleźć smak w powieści.

Około trzeciej zjawił się hrabia Norbert; przyszedł przejrzeć dziennik, aby móc wieczorem rozmawiać o polityce. Rad był, że ujrzał Juliana, o którego istnieniu zapomniał zupełnie. Był dlań nadzwyczaj uprzejmy; zaproponował przejażdżkę konną.

— Ojciec daje nam urlop do obiadu.

Julian zrozumiał to *nam*; wydało mu się czarujące.

— Och, panie hrabio — rzekł — gdyby chodziło o to, aby ściąć drzewo wysokie na osiemdziesiąt stóp, ociosać je i porżnąć na deski, śmiem powiedzieć bez przechwałki, że dałbym sobie rady; ale co się tyczy konia, nie wiem, czym na nim siedział sześć razy w życiu.

— To będzie siódmy raz — rzekł Norbert.

W gruncie Julian przypomniał sobie wjazd króla do Verrières i sądził, że wybornie jeździ konno. Ale wracając z Lasku Bulońskiego, na samym środku ulicy du Bac, spadł, wymijając nagle kabriolet i umazał się w błocie. Szczęściem posiadał dwa ubrania. Przy obiedzie margrabia, chcąc go zagadnąć, spytał, jak się udała przejażdżka; Norbert odpowiedział śpiesznie za Juliana ogólnikowo.

— Pan hrabia zbyt łaskaw — odparł Julian; — wdzięczen mu jestem i umiem się poznać na jego dobroci. Raczył mi dać ślicznego i łagodnego konika, ale ostatecznie nie mógł mnie przywiązać do siodła i w braku takiego zabezpieczenia wysypałem się na samym środku ulicy, tuż koło mostu.

Panna Matylda na próżno siliła się powściągnąć wybuch śmiechu; zaczęła rozpytywać o szczegóły. Julian odpowiedział z wielką prostotą i sam o tym nie wiedząc, okazał dużo wdzięku.

— Dobrze się zapowiada ten księżyk — rzekł margrabia do akademika — to nie do wiary, aby parafianin umiał się zachować naturalnie w podobnych okolicznościach; a do tego opowiadać swoje nieszczęście przy *damach*!

Julian tak rozweselił słuchaczy swą katastrofą, iż pod koniec obiadu, kiedy rozmowa zeszła na inne tory, panna Matylda wypytywała jeszcze brata o szczegóły nieszczęsnego wypadku. Indagacja trwała dość długo; Julian spotkawszy kilka razy oczy panny de la Mole ośmielił się odpowiedzieć wprost, mimo iż nie pytany. W końcu zaczęli się wszyscy troje śmiać niby trzech dzikusów.

Nazajutrz Julian wysłuchał dwóch wykładów teologii i wrócił, aby przepisać ze dwadzieścia listów. W bibliotece zastał opodal swego biurka młodego człowieka ubranego bardzo starannie, ale o pospolitych rysach i zawistnej twarzy.

Wszedł margrabia.

— Co pan tu robi, panie Tanbeau? — rzekł surowo do intruza.

— Sądziłem... — zaczął młody człowiek z uniżonym uśmiechem.

— Nie, panie, *nie sądziłeś* pan. Jest to próba, ale niefortunna.

Młody Tanbeau wstał i wyszedł, wściekły. Był to bratanek akademika popieranego przez panią de la Mole; kierował się na drogę naukową. Akademik uprosił margrabiego, aby go wziął za sekretarza. Tanbeau, który pracował w oddzielnym pokoju, dowiedziawszy się o łaskach Juliana, zapragnął je podzielić i usadowił się rano ze swą robotą w bibliotece.

O czwartej Julian ośmielił się po krótkim wahaniu zajść do hrabiego Norberta. Hrabia wybierał się właśnie na przejażdżkę; zakłopotał się trochę, był bowiem bardzo grzeczny.

— Sądzę — rzekł do Juliana — że niebawem zacznie pan brać lekcje jazdy; za kilka tygodni z przyjemnością wybiorę się z panem na spacer.

— Chciałem mieć ten zaszczyt i podziękować panu hrabiemu za jego łaskawość; niech mi pan wierzy — rzekł Julian bardzo poważnie — że czuję wszystko, co mu jestem winien. Jeśli koń nie skaleczył się wskutek mej wczorajszej niezręczności i jeśli jest wolny, chętnie przejechałbym się dzisiaj.

— Wybornie, drogi panie Sorel, na twoje ryzyko! Uważaj pan, że dopełniłem wszystkich perswazji zaleconych przez rozsądek; jest już czwarta, nie mamy czasu do stracenia.

Znalazłszy się na koniu, Julian spytał:

— Co trzeba robić, aby nie spaść?

— Wiele rzeczy — odparł Norbert, śmiejąc się do rozpuku — na przykład pochylić się wstecz.

Julian ruszył ostrym kłusem. Znaleźli się na placu Ludwika XVI.

— Ej, młody śmiałku — rzekł Norbert — za dużo tu powozów i w dodatku prowadzonych przez wariatów! Skoro spadniesz, przejadą bez ceremonii po tobie; nie zechcą kaleczyć pyska koniowi, osadzając go na miejscu.

Dwadzieścia razy Julian omal że nie spadł; ale ostatecznie zakończyło się bez wypadku. Za powrotem młody hrabia rzekł do siostry:

— Przedstawiam ci tęgiego chwata.

Przy obiedzie, mówiąc do ojca przez cały stół, Norbert chwalił odwagę Juliana; to było wszystko, co można było pochwalić w jego sposobie dosiadania konia. Młody hrabia słyszał z rana, jak masztalerze opowiadali w dziedzińcu o upadku sekretarza, drwiąc sobie nielitościwie.

Mimo tylu objawów łaskawości Julian uczuł się niebawem zupełnie osamotniony wśród tej rodziny. Wszystkie zwyczaje wydawały mu się dziwne, co chwila popełniał omyłki będące uciechą lokajów.

Ksiądz Pirard odjechał do swej parafii. „Jeśli Julian jest słabą trzciną — myślał — niech zginie; jeśli jest tęgim człowiekiem, niech sobie sam daje radę".

XXXV. PAŁAC DE LA MOLE

Co on tu robi? Czyżby mu się tu podobało? Czyżby on starał się tu podobać?

Ronsard.

O ile w dostojnym salonie de la Mole wszystko się wydawało dziwne Julianowi, o tyle nawzajem blady ten i czarno ubrany młodzieniec wydawał się bardzo dziwny osobom, które raczyły go zauważyć. Pani de la Mole podsunęła mężowi myśl, aby go wyprawić z jakimś zleceniem w dnie ceremonialnych obiadów.

— Mam ochotę przeprowadzić doświadczenie do końca — odparł margrabia. — Ksiądz Pirard utrzymuje, że popełniamy błąd, krusząc dumę ludzi, których dopuszczamy do siebie. *Można się oprzeć jedynie na tym, co stawia opór* etc. Ten chłopak razi zresztą jedynie swą obcą fizjonomią, poza tym jest głuchy i niemy.

„Aby się rozeznać w tym świecie — rzekł sobie Julian — muszę zapisywać nazwiska i po parę słów o charakterze osób, które spotykam w salonie".

Na początku pomieścił kilku przyjaciół domu, którzy na wszelki wypadek zabiegali się o względy Juliana w mniemaniu, że przez kaprys margrabiego posiada on nań wpływ. Były to mizerne i dość płaskie figury; ale trzeba dodać na chwałę tej klasy zapełniającej dziś arystokratyczne salony, nie byli jednako uniżeni wobec wszystkich. Niejeden zniósłby wiele od margrabiego, a nie ścierpiałby ostrzejszego słowa z ust pani de la Mole.

Cechą obojga państwa domu była duma i znudzenie; nadto przywykli obrażać ludzi dla rozerwania się, aby mogli posiadać prawdziwych przyjaciół. Ale wyjąwszy dni dżdżyste oraz momenty nudy *okrutnej* — co było rzadkie — przestrzegali zawsze doskonałej grzeczności.

Gdyby owych kilku dworaków, którzy okazywali tak ojcowską sympatię Julianowi, opuściło pałac de la Mole, margrabina byłaby zupełnie osamotniona; otóż w pojęciu kobiet tej sfery samotność to rzecz straszna, to symbol *niełaski*.

Margrabia był wzorowy dla żony; czuwał, aby jej salon był dostatecznie zaludniony; nie parami Francji, gdyż uważał, że nowi jego koledzy nie są dość *urodzeni*, aby bywać u niego jako przyjaciele, a nie dość zabawni, aby ich przyjmować jak niższych od siebie.

Sekrety te przeniknął Julian znacznie później. Polityka, która wypełniała rozmowy w domach mieszczańskich, w sferze margrabiego wypływa jedynie w chwilach ostatecznej rozpaczy.

Taka jest nawet w tym wieku nudy nieubłagana potrzeba zabawy, iż zgoła w dnie obiadów, ledwie margrabia opuścił salon, wszyscy uciekali. Byle nie żartować z Boga, z księży, z króla, z wpływowych dygnitarzy ani z artystów protegowanych przez dwór, ani ze wszystkiego, co jest *przyjęte*, byle nie chwalić Bérangera, dzienników opozycyjnych, Woltera ani Russa, ani niczego, co trąci odrobiną swobody myśli, byle zwłaszcza nie mówić nigdy o polityce, można było swobodnie rozprawiać o wszystkim.

Nie ma kroci ani orderów, które by mogły walczyć z taką etykietą. Każda myśl bodaj nieco żywsza wyglądała tam na grubiaństwo. Mimo dobrego tonu, wyszukanej grzeczności, dworności, nuda malowała się na wszystkich twarzach. Młodzi ludzie składający obowiązkową wizytę, bojąc się wymówić jakieś słowo, które by pozwoliło podejrzewać myśl lub też zdradziło zakazaną lekturę, milczeli, rzuciwszy parę gładkich słów na temat Rossiniego i pogody.

Julian zauważył, że rozmowę podtrzymują zazwyczaj dwaj wicehrabiowie oraz pięciu baronów, których pan de la Mole poznał na emigracji. Panowie ci posiadali po sześć do ośmiu tysięcy funtów rocznego dochodu; czterej z nich byli zwolennikami „*Gazety Codziennej*[47]", a trzej „*Francuskiej*[48]". Jeden miał co dzień do opowiedzenia jakąś anegdotę ze Dworu, w której słowo *cudowne* powtarzało się raz po raz. Julian zauważył, że ten miał pięć orderów, gdy inni tylko po trzy.

W zamian za to sterczało w przedpokoju dziesięciu lokajów w liberii, przez cały wieczór podawano co kwadrans herbatę i lody, o północy zaś lekką wieczerzę i szampańskie.

Była to przyczyna, dla której Julian zostawał niekiedy do końca; poza tym nie pojmował prawie, jak można poważnie słuchać rozmów w tym wspaniale złoconym salonie. Niekiedy spoglądał po obecnych dla sprawdzenia, czy oni sami nie drwią z tego, co mówią. „Poczciwy de Maistre, którego umiem na pamięć, powiedział to sto razy lepiej, a mimo to jest bardzo nudny".

Nie sam Julian odczuwał tę duszność. Jedni pocieszali się mnogimi porcjami lodów, drudzy przyjemnością powtarzania przez resztę wieczoru: „Idę właśnie z pałacu de la Mole, gdzie słyszałem, że Rosja etc..."

Julian dowiedział się od jednego z filarów salonu, że nie dalej jak przed pół rokiem pani de la Mole nagrodziła dwudziestoparoletnią wytrwałość, robiąc prefektem poczciwego barona de Bourgignon, który był podprefektem od czasu Restauracji.

Wielkie to wydarzenie odświeżyło zapał gości; już dawniej niewiele rzeczy mogło ich obrazić, obecnie nie obraziliby się o nic. Rzadko zdarzało się, aby komuś zrobiono afront wprost; ale parę razy pochwycił Julian przy stole, między margrabią a jego żoną, wymiany słów bardzo dotkliwe dla osób siedzących między nimi. Dostojni ci państwo nie ukrywali szczerej wzgardy dla wszystkich niemających z rodu *prawa wstępu do karocy królewskiej*. Julian zauważył, że jedynie słowo *wojny krzyżowe* oblekało ich twarz w głęboką powagę zmieszaną z szacunkiem. Zwyczajny szacunek miał zawsze odcień łaski.

Pośród tej pompy i nudy Julian interesował się wyłącznie panem de la Mole; z przyjemnością usłyszał raz z jego ust zaprzeczenie, jakoby w czymkolwiek przyczynił się do awansu nieboraka Bourgignon. Była to uprzejmość dla margrabiny: Julian znał przebieg sprawy od księdza Pirard.

Pewnego ranka, kiedy w bibliotece margrabiego ksiądz pracował z Julianem nad wiekuistym procesem, Julian spytał nagle:

— Proszę ojca, ten codzienny obiad w towarzystwie pani margrabiny, czy to mój obowiązek czy też specjalny fawor?

— To wysoki zaszczyt — odparł ksiądz zgorszony. — Nigdy akademik N***, który od piętnastu lat zasługuje się, jak może, nie zdołał go uzyskać dla swego siostrzeńca.

— To dla mnie, proszę ojca, najuciążliwsza strona urzędu. Nawet w seminarium tak się nie nudziłem. Czasem widzę, że ziewa nawet panna de la Mole, która wszakże musi być

[47] *Gazeta Codzienna* — fr. „*Quotidienne*".
[48] *Gazeta Francuska* — fr. „*Gazette de France*".

przyzwyczajona do rozrywek tego salonu. Przez litość, niech mi to ojciec wyrobi, abym mógł jadać po dwa franki w jakiej garkuchni.

Ksiądz, prawdziwy parweniusz, był bardzo tkliwy na zaszczyt siadania do stołu z magnatem. Silił się rozbudzić te uczucia w Julianie, kiedy lekki szmer sprawił, że obaj odwrócili głowę. Julian ujrzał pannę de la Mole. Przyszła po książkę i słyszała wszystko: powzięła stąd pewien szacunek dla Juliana. „Ten przynajmniej nie urodził się służalcem jak ów stary ksiądz. Boże! Jakiż on szpetny!"

Przy obiedzie Julian nie śmiał popatrzyć na pannę de la Mole, ale ona zagadnęła go łaskawie. Tego dnia spodziewano się licznych gości, namówiła go, by został. W Paryżu młode panny nie lubią ludzi starszych, zwłaszcza gdy są nieco zaniedbani. Julian nie potrzebował zbyt wielkiej spostrzegawczości, aby zauważyć, że pozostali w salonie koledzy pana de Bourgignon mieli zaszczyt być stałym przedmiotem żarcików panny de la Mole. Tego dnia — może dla popisu — szczególnie była okrutna dla nudziarzy.

Panna de la Mole stanowiła ośrodek małej grupy, która tworzyła się prawie co wieczór za olbrzymią berżerką margrabiny. Tam skupiali się margrabia de Croisenois, hrabia de Caylus, wicehrabia de Luz i paru jeszcze młodych oficerów zaprzyjaźnionych z Norbertem lub jego siostrą. Panowie ci zasiadali na wielkiej niebieskiej kanapie. Obok kanapy, z dala od świetnej Matyldy, Julian siadał milcząco na wyplatanym krzesełku. Ten skromny posterunek był przedmiotem zazdrości dworaków; Norbert sadowił na nim młodego sekretarza, zwracając się doń lub wciągając go do rozmowy parę razy w ciągu wieczoru. Tego dnia panna de la Mole spytała go, jak wysoka może być góra, na której wznosi się cytadela w Besançon. Julian w żaden sposób nie umiał powiedzieć, czy ta góra jest wyższa czy niższa od Montmartre. Często śmiał się serdecznie z tego, co mówiono w tym kółku, ale czuł, że byłby niezdolny do takiej rozmowy. Był to niby cudzoziemski język, który rozumiał, ale którym nie umiałby mówić.

Kompania Matyldy była tego dnia szczególnie wrogo usposobiona dla napływających gości. Przyjaciele domu mieli oczywiście pierwszeństwo jako lepiej znani. Można się domyślać, z jaką uwagą Julian słuchał; wszystko go interesowało, i treść, i forma żartów.

— A! Pan Descoulis — rzekła Matylda — nie nosi już peruki; czyżby się chciał dobić prefektury blaskiem swego geniuszu? Patrzcie, jak wystawia to łyse czoło, brzemienne jakoby wielkimi myślami.

— Ten człowiek zna cały świat — rzekł margrabia de la Croisenois — bywa także u mego wuja, kardynała. Zdolny jest lata całe pielęgnować jedno kłamstwo w domu każdego z przyjaciół, a ma ich dwustu lub trzystu. Umie hodować przyjaźń, to jego talent. Od siódmej rano w zimie sterczy już zabłocony pod drzwiami któregoś z przyjaciół. Od czasu do czasu obraża się i pisze tuzin listów z zerwaniem. Następnie godzi się i pisze znowuż tuzin listów z wylewami przyjaźni. Ale najświetniejsza jego rola to szczere i proste oddanie zacnego człowieka, który nie chowa urazy. Manewr ten powtarza się, ilekroć ma prosić o jaką usługę. Wikariusz mego wuja cudownie opowiada życie pana Descoulis od czasu Restauracji. Ściągnę go tu do nas.

— Et, nie bardzo wierzę w takie gadania; to zawodowa zazdrość między mizerakami — rzekł hrabia de Caylus.

— Pan Descoulis będzie miał miejsce w historii — odparł margrabia — dokonał dzieła Restauracji z księdzem de Pradt oraz panami de Talleyrand i Pozzo di Borgo.

— Ten człowiek obracał milionami — rzekł Norbert — i nie pojmuję, że mu się chce przychodzić tutaj, aby znosić docinki mego ojca, nieraz bardzo dotkliwe. „Ile razy zdradziłeś przyjaciół, mój dobry Descoulis?", pytał go raz na cały głos z końca stołu.

— Ale czy to prawda, że on zdradzał? — rzekła panna de la Mole. — Któż nie zdradzał?

— Jak to! — rzekł hrabia de Caylus do Norberta — bywa u was Sainclair, sławny liberał; kiż licho on tutaj robi? Muszę podejść do niego, zagadnąć go, pociągnąć za język; powiadają, że dowcipny.

— Ale jakim cudem matka twoja go przyjmuje? — rzekł pan de Croisenois. — Ten człowiek ma poglądy tak dzikie, tak szlachetne, tak niezależne...

— Patrzcie — rzekła panna de la Mole — oto ów niezależny człowiek kłania się do ziemi panu Descoulis i ściska jego dłoń. Myślałam prawie, że pocałuje go w rękę.

— Widocznie Descoulis jest w lepszych stosunkach z władzą niż przypuszczamy.

— Sainclair bywa tutaj, aby się dostać do Akademii — rzekł Norbert — spójrzcie, jak się kłania baronowi L...

— Mniej podle byłoby uklęknąć po prostu — odparł pan de Luz.

— Drogi Sorel — rzekł Norbert — ty, który masz olej w głowie, ale przybywasz z prowincji, staraj się nigdy nikomu nie kłaniać tak jak ów poeta; nawet samemu Bogu Ojcu.

— A, otóż i żywe wcielenie dowcipu, baron Bâton — rzekła panna de la Mole, naśladując z lekka głos oznajmiającego lokaja.

— Zdaje się, że nawet służba śmieje się tu z niego. Cóż za nazwisko, baron Bâton! — rzekł de Caylus.

— „Cóż znaczy nazwisko?", tłumaczył nam kiedyś — odparła Matylda. — „Wyobraźcie sobie państwo księcia de Bouillon, gdyby go oznajmiono po raz pierwszy: trzeba jedynie, aby publiczność oswoiła się trochę..."

Julian oddalił się. Mało wrażliwy jest na finezje lekkiej drwiny, wymagał od żartu, aby się wspierał na rozumnej podstawie. W ucinkach młodych ludzi widział jedynie skłonność do obmowy i to go raziło. W swej prowincjonalnej czy angielskiej pruderii posuwał się tak daleko, że dopatrywał się w tym zazdrości, w czym się z pewnością mylił.

„Hrabia Norbert — powiadał sobie — który w moich oczach sporządzał trzy bruliony, mając skreślić list na kilkanaście wierszy do pułkownika, byłby bardzo szczęśliwy, gdyby w swoim życiu napisał jedną stronicę taką jak Sainclair".

Snując się niepostrzeżenie, dzięki swej nieznaczącej pozycji, Julian zbliżał się kolejno do rozmaitych grup; posuwał się z dala za baronem Bâton, pragnąc go posłyszeć. Ów tak inteligentny człowiek wyglądał jakiś nieswój; uspokoił się dopiero wówczas, kiedy wyrzucił z siebie kilka efektownych frazesów. Julian odniósł wrażenie, że ten rodzaj inteligencji potrzebuje przestrzeni. Baron nie umiał rzucić ciętego słówka; aby zabłysnąć, trzeba mu było co najmniej czterech zdań, każde po kilka wierszy.

— *Ten człowiek rozprawia, nie rozmawia* — rzekł ktoś za Julianem. Obrócił się i poczerwieniał z przyjemności, usłyszawszy nazwisko hrabiego Chalvet. Był to największy umysł owej epoki. Julian spotykał często jego nazwisko w *Pamiętniku z wyspy św. Heleny* oraz w urywkach historii dyktowanych przez Napoleona. Hrabia Chalvet był oszczędny w słowach; określenia jego były niby błyskawice, trafne, żywe, głębokie. Skoro on zaczyna mówić, natychmiast dyskusja posuwa się naprzód. Rozumował faktami; przyjemnie było go słuchać. Zresztą w polityce był skończony cynik.

— Ja jestem niezawisły — mówił do jakiegoś jegomościa upstrzonego orderami, z którego drwił widocznie. — Skąd wymagać, abym dziś miał te same przekonania co przed sześciu tygodniami? W takim razie zasady byłyby moim tyranem.

Czterej otaczający go poważni młodzi ludzie skrzywili się; ci panowie nie lubili żartów. Hrabia zrozumiał, że się posunął za daleko. Szczęściem dostrzegł przezacnego pana Balland, wcielenie uczciwej obłudy. Zagadnął go; wszyscy otoczyli ich kręgiem, wiedząc, że biedny Balland będzie kozłem ofiarnym. Dzięki swej moralności i mozołom, mimo iż bardzo szpetny i obciążony początkami kariery trudnymi do opowiedzenia, Balland znalazł bogatą żonę, która umarła; następnie drugą, równie bogatą, której nie pokazuje. Cieszy się w pokorze ducha sześćdziesięcioma tysiącami renty, ba, nawet ma pochlebców. Hrabia Chalvet zagadnął go o to wszystko i to bez żadnej litości. Niebawem zebrało się koło nich ze trzydzieści osób. Wszyscy uśmiechali się, nawet poważni młodzi ludzie, nadzieja epoki.

„Po co on przychodzi do pana de la Mole, gdzie jest przedmiotem pośmiewiska?" — myślał Julian. Zbliżył się do księdza Pirard, aby o to zapytać.

Pan Balland wymknął się.

— No! — rzekł Norbert — jeden ze szpiclów mego ojca poszedł; zostaje jedynie mdły kuternoga, Napier.

„Czyżby tu było słowo zagadki? — pomyślał Julian. — Ale w takim razie czemu margrabia przyjmuje pana Balland?"

Surowy ksiądz Pirard, zaszyty w kąt salonu, krzywił się, słysząc oznajmiane nazwiska.

— Ależ to jaskinia — powiadał jak Bazylio w *Cyruliku* — widzę tu same podejrzane figury.

Surowy ksiądz nie znał satelitów wielkiego świata. Ale za pomocą przyjaciół swoich, jansenistów, miał dokładne wiadomości o ludziach, którzy dostają się do salonów jedynie dzięki zręczności w oddawaniu usług wszystkim stronnictwom lub też dzięki skandalicznemu bogactwu. Przez chwilę odpowiadał obszernie na ciekawe pytania Juliana; po czym urwał nagle stroskany, że wciąż musi mówić źle o drugich, i wyrzucając to sobie jako grzech. Ksiądz Pirard, jansenista, przy tym z natury żółciowy, a poczytujący sobie za obowiązek miłość bliźniego, był całe życie w walce z sobą.

— Cóż za fizjonomia, ten ksiądz Pirard — mówiła panna de la Mole, gdy Julian zbliżył się do kanapy.

Juliana drażniły te słowa; mimo to panna miała słuszność. Ksiądz Pirard był bezsprzecznie najzacniejszym człowiekiem w tym salonie, ale jego popryszczona twarz, odzwierciedlająca zgryzoty sumienia, była w tej chwili odrażająca. „I wierzyć tu fizjonomiom — myślał Julian — w chwili właśnie gdy ksiądz Pirard najskrupulatniej wyrzuca sobie jakąś przewinę, wygląda potwornie; podczas gdy na obliczu takiego Napier, notorycznego szpiega, odbija się czyste i spokojne szczęście". Ksiądz Pirard uczynił wszelako wielkie ustępstwo dla swego stronnictwa: przyjął służącego, był bardzo starannie ubrany.

W tej chwili Julian zauważył coś niezwykłego: wszystkie oczy zwróciły się ku drzwiom, zapanowała niemal cisza. Lokaj oznajmił sławnego barona de Tolly, który z okazji wyborów ściągnął na siebie ogólną uwagę. Julian przysunął się i ujrzał go bardzo wyraźnie. Baron przewodniczył w pewnym okręgu; wpadł na genialną myśl usunięcia kartek zawierających listę jednego stronnictwa; dla wyrównania zaś zastępował je innymi kartkami, zawierającymi nazwiska, które mu były sympatyczne. Kilku wyborców, spostrzegłszy ten manewr, nie omieszkało powinszować panu baronowi. Nieborak był jeszcze blady od tej awantury. Niepoczciwi napomykali coś o galerach. Pan de la Mole przyjął go chłodno. Baron wymknął się.

— Śpieszy się do pana Comte[49] — rzekł hrabia Chalvet.

Powstał śmiech.

Wśród kilku wielkich panów, przeważnie milczących, oraz intrygantów, raczej ludzi nietęgiej opinii, ale zdolnych, którzy tego wieczora tłoczyli się w salonie pana de la Mole (przebąkiwano, że ma zostać ministrem), młody Tanbeau zdobywał sobie ostrogi. Jeśli nie posiadał jeszcze bystrości sądu, zastępował ją, jak zaraz zobaczymy, energią słowa.

— Czemu nie skazano tego człowieka na dziesięć lat więzienia? — mówił w chwili, gdy Julian zbliżał się do grupy — Takie gady należy trzymać w lochach; powinni gnić w ciemności, inaczej jad ich nabiera siły i staje się groźniejszy. Cóż za sens ma tutaj tysiąc talarów grzywny! Jest ubogi, dobrze, tym lepiej; ale stronnictwo zapłaci za niego. Należało mu się dać pięćset franków grzywny i dziesięć lat turmy.

„Tam do licha, o jakim to potworze mówią?" — pomyślał Julian, podziwiając gadatliwość słów i gestów kolegi. Szczupła i zapadła twarz siostrzeńca akademika wstrętna była w tej chwili. Julian dowiedział się rychło, że chodzi o największego współczesnego poetę.

— Och! nikczemnik! — wykrzyknął Julian wpółgłośno i szlachetne łzy zwilżyły jego oczy.

„A, łajdaku — pomyślał — odpłacę ja ci te słowa! Oto — myślał — tyralierzy stronnictwa, którego jednym z wodzów jest margrabia. A ten wielki człowiek, spotwarzany przezeń, ileż mógłby zebrać orderów, ile synekur, gdyby się sprzedał, nie powiadam już nędznemu ministerium pana de Nerval, ale jednemu z owych względnie uczciwych ministrów, którzy się przesunęli przed naszymi oczami".

Ksiądz Pirard, z którym pan de la Mole rozmawiał chwilę, skinął z dala na Juliana. Ale kiedy Julian, który słuchał właśnie ze spuszczonymi oczami jeremiad jakiegoś biskupa, uwolnił się i mógł się zbliżyć do swego protektora, ujrzał go w towarzystwie ohydnego Tanbeau. Płaz ten nienawidził księdza jako sprawcy faworu Juliana, co nie przeszkadzało, że mu pilnie nadskakiwał.

---

[49] *pan Comte* — Słynny prestidigitator. [przypis autorski]

— *Kiedyż śmierć oswobodzi nas od tego ścierwa*? — W tych słowach nacechowanych biblijną energią gryzipiórek mówił właśnie o czcigodnym lordzie Holland. Specjalnością jego było, że znał doskonale życiorysy współczesnych i właśnie uczynił szybki przegląd ludzi mogących sobie rościć pretensje do jakiegoś wpływu pod berłem nowego króla Anglii.

Ksiądz Pirard przeszedł do sąsiedniego salonu; Julian udał się za nim.

— Margrabia nie lubi bazgraczy, ostrzegam cię: to jego jedyna antypatia. Znaj łacinę, grekę, jeśli zdołasz, historię egipską, perską etc., będzie cię szanował i popierał. Ale nie waż się pisać bodaj jednej stronicy po francusku, zwłaszcza w materiałach poważnych, przerastających twoje stanowisko: nazwie cię bazgraczem i zrazi się do ciebie zupełnie. Jak to, mieszkając w pałacu magnata, nie znasz powiedzenia księcia de Castries o d'Alembercie i Russie: „Hołota! Chce to o wszystkim rozprawiać, a nie ma ani tysiąca talarów renty!".

„Wszystko tu wiedzą — pomyślał Julian — jak w seminarium!" Nakreślił w istocie kilka kartek dosyć bombastycznym stylem: panegiryk na cześć starego chirurga, który rzekomo zrobił go człowiekiem. I kajet ten, powiadał sobie Julian, stale był pod kluczem! Poszedł do siebie, spalił rękopis i wrócił do salonu. Świetne opryszki już znikły, zostali jedynie posiadacze wielkich orderów.

Dokoła stołu, który służba wniosła wraz z zastawą, skupiło się kilka dam bardzo *urodzonych*, bardzo nabożnych, bardzo przesadnych, liczących od trzydziestu do trzydziestu pięciu lat. Weszła właśnie świetna marszałkowa de Fervaques, przepraszając, że przybywa tak późno. Julian drgnął: w oczach i spojrzeniu miała coś z pani de Rênal.

Koło panny de la Mole było wciąż pełno; wyśmiewała się z akompaniamentem przyjaciół z biednego hrabiego de Thaler. Był to jedyny syn owego sławnego Żyda głośnego z bogactw, które zdobył, pożyczając pieniędzy królom na wojnę z ludami. Żyd umarł wcześnie, zostawiając synowi trzysta tysięcy talarów miesięcznej renty i nazwisko zbyt znane niestety! Wyjątkowe to położenie wymagałoby wielkiej prostoty charakteru albo też wielkiej energii i siły woli. Nieszczęściem hrabia był przeciętnym człowiekiem, pełnym wszelkiego rodzaju pretensji, które wmawiali mu pochlebcy.

De Caylus utrzymywał, że podsunięto mu zamiar starania się o pannę de la Mole, której nadskakiwał margrabia de Croisenois, mający sto tysięcy franków renty i w perspektywie tytuł książęcy.

— Och, nie obmawiajcie hrabiego, że ma jakiś zamiar — powiadał miłosiernie Norbert.

Zdolność *chcenia* to była rzecz, której najbardziej brakło hrabiemu de Thaler. Pod tym względem godzien był być królem. Radził się wszystkich, a nie miał odwagi iść za niczyją radą do końca.

Sama jego fizjonomia, powiadała panna de la Mole, wystarczała, aby obudzić szczerą wesołość. Była to osobliwa mieszanina niepokoju i rozczarowania; ale od czasu do czasu czytało się na niej wyraźnie ów przypływ pychy i zarozumiałości naturalny w najbogatszym człowieku we Francji, zwłaszcza kiedy człowiek ten jest dość przystojny i nie ma trzydziestu sześciu lat. „Jest nieśmiało-arogancki", powiadał pan de Croisenois. Hrabia de Caylus, Norbert i paru młodych furfantów dworowali zeń sobie, bez jego wiedzy, do syta; wreszcie z uderzeniem pierwszej wyprawili go.

— Czy to pańskie słynne araby czekają na pana u bramy w tę plutę? — spytał Norbert.

— Nie, to inna para, o wiele tańsza — odparł de Thaler. — Lewy kosztuje może pięć tysięcy franków; prawy tylko sto ludwików; ale też zaprzęgają go jedynie w nocy, dlatego że dobrze chodzi w parze.

Uwaga Norberta nasunęła hrabiemu myśl, że człowiekowi takiemu jak on wypada pasjonować się końmi i że nie należy koni narażać na słotę. Odszedł; niebawem pożegnała się i młodzież, żartując zeń sobie.

„Oto — myślał Julian, słysząc na schodach ich śmiechy — miałem sposobność ujrzeć przeciwieństwo mego położenia! Nie mam ani dwudziestu ludwików renty, znalazłem się obok człowieka, który ma dwadzieścia ludwików renty na godzinę, i żartowano sobie z niego... Taki widok może wyleczyć z zawiści".

XXXV. UCZCIWOŚĆ I ARYSTOKRATYCZNA DEWOTKA

Każda żywsza myśl uchodzi tam za nieprzyzwoitość, tak wszyscy nawykli do bezbarwnych słów. Biada temu, kto wkłada w rozmowę coś z siebie.

Faublas.

Po kilku miesiącach prób oto jaka była pozycja Juliana, w chwili gdy intendent wręczył mu trzeci kwartał zasług. Pan de la Mole powierzył mu zarząd majątków w Bretanii i Normandii. Julian odbywa często podróże w te strony. Ponadto prowadził korespondencję w sprawie wiekuistego procesu z księdzem de Frilair. Ksiądz Pirard zapoznał go ze szczegółami.

Na podstawie zwięzłych notatek, które margrabia gryzmolił na marginesie, Julian wygotowywał listy: prawie każda odpowiedź zyskiwała aprobatę.

W seminarium profesorowie żalili się na jego brak pilności, mimo to uważali go za jednego z najcelniejszych uczniów. Różnorodne te prace, prowadzone z całym zapałem obolałej ambicji, rychło odjęły licom Juliana prowincjonalną świeżość. Bladość ta przemawiała na korzyść Juliana w oczach młodych seminarzystów; wydali mu się mniej złośliwi, mniej płaszczący się przed pieniądzem niż koledzy z Besançon; oni zaś uważali go za suchotnika.

Margrabia darował mu konia. Obawiając się, że go ktoś może zobaczyć w czasie przejażdżki, Julia oznajmił, że lekarze zalecili mu to ćwiczenie.

Ksiądz Pirard wziął go z sobą na kilka zebrań jansenistów. Julian zdumiał się; pojęcie religii łączyło się nieodzownie w jego umyśle z pojęciem obłudy i nadzieją zysków. Podziwiał tych surowych i pobożnych ludzi niemyślących o dochodach. Wielu jansenistów nabrało dlań sympatii; wspierali go radą. Poznał tam hrabiego Altamira, wysokiego mężczyznę, liberała skazanego na śmierć w swej ojczyźnie, przy tym dewota. Uderzył go ten kontrast: dewocja i miłość swobody.

Z młodym hrabią Julian był chłodno. Norbert zauważył, że nadto żywo odcina się jego przyjaciołom. Do panny Matyldy Julian, uchybiwszy parę razy konwenansom, postanowił w ogóle się nie odzywać. Wszyscy w pałacu de la Mole byli dlań bardzo grzeczni; ale czuł się jakby zdegradowany. Zdrowy chłopski rozum tłumaczył mu to zjawisko pospolitym przysłowiem: *Nowe sito na kołek*.

Może widział rzeczy nieco jaśniej niż w pierwszych dniach lub też pierwszy czar paryskiej uprzejmości minął.

Z chwilą gdy kończył pracować, ogarniała go śmiertelna nuda; było to wyjaławiające działanie wielkoświatowej grzeczności, cudnej w istocie, ale tak odmierzonej, tak doskonale stopniowanej zależnie od pozycji. Zapewne można zarzucić prowincji pospolitość, ton nie dość grzeczny, ale przynajmniej czujesz, że tego, kto z tobą mówi, obchodzisz bodaj trochę. W pałacu de la Mole nigdy nikt nie uraził miłości własnej Juliana; ale często z końcem dnia miał ochotę płakać. Na prowincji garson w kawiarni zainteresuje się tobą, jeśli ci się zdarzy wypadek; ale jeśli ten wypadek zawiera coś dotkliwego dla miłości własnej, wówczas, ubolewając nad tobą, powtórzy dziesięć razy słowo będące dla ciebie męczarnią. W Paryżu każdy ma tę delikatność, aby ukryć uśmiech, ale też zawsze jesteś obcy.

Pomijam milczeniem mnóstwo drobnych przygód, które byłyby może okryły śmiesznością Juliana, gdyby nie znajdował się poniekąd poniżej śmieszności. Nadmierna wrażliwość była przyczyną, że popełniał tysiąc niezręczności. Każda jego zabawa miała swój cel; codziennie strzelał z pistoletu, był jednym z najlepszych w szkole fechtunku. Skoro miał wolną chwilę, zamiast wypełniać ją jak dawniej czytaniem, biegł do ujeżdżalni i dosiadał narowistego konia. W czasie przejażdżek z nauczycielem prawie zawsze w końcu znajdował się na ziemi.

Margrabiemu podobała się w Julianie jego wytrwała praca, jego milczenie, inteligencja; stopniowo zaczął mu powierzać wszystkie trudniejsze sprawy. W chwilach gdy jego górne ambicje zostawiały mu nieco wytchnienia, margrabia kierował interesami wcale roztropnie. Mogąc dzięki swej pozycji mieć wczesne wiadomości, grał szczęśliwie na giełdzie. Rozdawał setki ludwików, a pieniał się o setki franków. Ludzie bogaci i ambitni

szukają w interesach zabawy, nie rezultatów. Margrabia potrzebował szefa sztabu, który by zaprowadził w jego finansach jasny i łatwy do ogarnięcia porządek.

Pani de la Mole, mimo że tak obojętna z natury, żartowała niekiedy z Juliana. Nieobliczalność uczuciowych natur jest czymś wielce antypatycznym dla wielkich dam: jest to przeciwny biegun konwenansu. Parę razy margrabia ujął się za swym sekretarzem: jeśli jest śmieszny w salonie (mówił), wynagradza to w kancelarii. Julianowi zdawało się znowu, że pochwycił tajemnicę margrabiny; objawiała żywe zainteresowanie wszystkim, ilekroć oznajmiono barona de la Joumate. Był to człowiek niezmiernie chłodny, o niewzruszonej fizjonomii. Był wysoki, szczupły, brzydki, dobrze ubrany, przesiadywał wciąż na Dworze i na ogół nie mówił nic o niczym. Taki był jego sposób myślenia. Pani de la Mole byłaby po raz pierwszy w życiu niezmiernie szczęśliwa, gdyby mogła zań wydać córkę.

XXXVI. SPOSÓB WYMAWIANIA

Jeżeli można wybaczyć zadowolenie z siebie, to jedynie w młodości, wówczas bowiem jest ono przesadą rzeczy miłej. Musi iść w parze z miłością, weselem, beztroską. Ale zadowolenie z siebie z powagą! Z miną uroczystą i zarozumiałą! Ten ostatni szczebel śmieszności miał być przywilejem XIX wieku. I tacy ludzie chcą spętać hydrę rewolucji!

Johanisberg, pamflet.

Jak na świeżego przybysza, który w dodatku przez dumę nigdy o nic nie pytał, Julian nie popełnił zbyt wielu niezręczności. Jednego dnia, kiedy zaskoczony ulewnym deszczem schronił się do kawiarni, jakiś wysoki mężczyzna w grubym surducie, uderzony jego chmurnym spojrzeniem, zmierzył go oczami, zupełnie tak jak niegdyś w Besançon kochanek Amandy.

Julian zbyt często wyrzucał sobie, że puścił bezkarnie ową pierwszą zniewagę; nie ścierpiał tego spojrzenia. Zażądał wyjaśnień. Obcy obrzucił go z miejsca gradem obelg; goście otoczyli ich, przechodnie stawali pod drzwiami. Przez prowincjonalną ostrożność Julian miał przy sobie parę małych pistoletów; ściskał je w kieszeni konwulsyjnym ruchem. Mimo to zapanował nad sobą; powtarzał jedynie: „*Proszę o pański adres; gardzę panem*".

Wytrwałość, z jaką uczepił się tych kilku słów, ściągnęła w końcu uwagę tłumu.

Oczywiście! Niechże tamten, który tak rozpuścił gębę, da mu swój adres. Mężczyzna w surducie, słysząc uwagi w tym duchu, rzucił w nos Julianowi kilka biletów wizytowych. Szczęściem żaden nie trafił go w twarz; zdecydowany był zrobić użytek z broni, jeśli go tamten tknie. Wreszcie napastnik odszedł; od czasu do czasu odwracał się jeszcze, grożąc pięścią i ziejąc obelgami.

Julian był zlany potem. „Zatem jest w mocy lada wyrzutka wzruszyć mnie w ten sposób! — powtarzał z wściekłością. — W jaki sposób zdławić tę upokarzającą wrażliwość?"

Skąd wziąć świadków? Nie miał przyjaciela. Miał sporo znajomych; ale wszyscy regularnie po kilku tygodniach odsuwali się od niego.

„Nie umiem żyć z ludźmi i oto strasznie jestem ukarany" — pomyślał. Wreszcie przyszło mu do głowy odszukać eks-porucznika 96 pułku, nazwiskiem Lieven, biedaczynę, z którym fechtował się często.

— Służę panu — rzekł Lieven — ale pod jednym warunkiem: jeżeli nie zranisz przeciwnika, będziesz się zaraz na miejscu bił ze mną.

— Zgoda — rzekł Julian uszczęśliwiony i udali się szukać pana M. C. Beauvoisis, podług adresu wskazanego na bilecie, kędyś w dzielnicy Saint-Germain.

Była siódma rano. Dopiero kazawszy się oznajmić, Julian wpadł na myśl, że mógłby to być ów młody krewniak pani de Rênal, zatrudniony niegdyś przy ambasadzie w Rzymie lub Neapolu, który dał list polecający śpiewakowi Geronimo.

Julian oddał rosłemu lokajowi bilet rzucony mu w twarz poprzedniego dnia oraz własny.

Wytrzymano go wraz ze świadkiem dobre trzy kwadranse; wreszcie wprowadzono ich do wykwintnego apartamentu. Zastali tam młodego człowieka strojnego jak laleczka; rysy jego miały klasyczną i bezmyślną doskonałość greckich piękności. Bardzo wąską

głowę zdobiły wspaniałe włosy blond, utrefione starannie, ani jeden włosek nie odstawał. „Więc dla tej fryzury — pomyślał porucznik — błazen kazał nam godzinę czekać!" Jaskrawy robdeszan, ranne spodenki, wszystko aż do haftowanych pantofli było doskonale wypielęgnowane. Dystyngowana i martwa fizjonomia zwiastowała poprawne ubóstwo myśli; ideał dyplomaty typu Metternicha. Napoleon również nie lubił w swoim otoczeniu oficerów myślicieli.

Julian, któremu porucznik 96 pułku wytłumaczył, że pozwolić tak długo czekać na siebie, rzuciwszy komuś brutalnie bilet w twarz, jest nową zniewagą, wszedł ostro. Chciał być zuchwały, ale równocześnie rad by się był utrzymać w dobrym tonie.

Spokój pana de Beauvoisis, mina zarazem pełna taktu, ważności i zadowolenia z siebie, wytworna elegancja ramy, wszystko to tak zdumiało Juliana, że w mgnieniu oka stracił zapęd. To nie był zgoła wczorajszy jegomość. Zaskoczony tym, że spotyka tę dystyngowaną osobistość w miejsce brutala, którego szukał, nie mógł znaleźć słowa. Podał jeden z biletów, które mu rzucono.

— Tak, to moje nazwisko — rzekł młody dyplomata, w którym czarny strój Juliana, o siódmej rano, nie budził zbytniego szacunku — ale, na honor, nie pojmuję...

Sposób, w jaki wymówił ostatnie słowa, zdołał na nowo podrażnić Juliana.

— Przychodzę bić się z panem — rzekł i wytłumaczył w krótkich słowach sprawę.

Pan Karol de Beauvoisis po dojrzałym zastanowieniu sformułował dość korzystny sąd o kroju czarnego fraka. „Od Stauba, to pewna — powiedział sobie, słuchając wywodów Juliana — kamizelka w dobrym guście, buty przyzwoite; ale z drugiej strony ten czarny frak od świtu!... To aby łatwiej uniknąć kuli" — zakonkludował w duchu kawaler de Beauvoisis.

Znalazłszy to wytłumaczenie, wrócił do poprzedniej wyszukanej grzeczności, traktując Juliana niemal jak równego sobie. Rozmowa ciągnęła się długo, sprawa była drażliwa; w końcu jednak Julian musiał się poddać oczywistości. Doskonale wychowany młodzian, którego miał przed sobą, nie przedstawiał najmniejszego podobieństwa z wczorajszym brutalem.

Julian wyraźnie ociągał się z odejściem i przewlekał wyjaśnienia. Notował w myśli pewną arogancję *kawalera* de Beauvoisis; w ten sposób mówił kawaler sam do siebie, dotknięty tym, że Julian tytułuje go po prostu *panem*. Podziwiał jego powagę, zabarwioną odcieniem skromnego zadowolenia z siebie, które nie opuszczało go ani na chwilę. Uderzyło go szczególne mlaskanie językiem przy wymawianiu pewnych wyrazów... Ale ostatecznie w tym wszystkim nie było najmniejszej przyczyny do szukania zwady.

Młody dyplomata oddawał się z wielkim wdziękiem na usługi, ale eks-porucznik 96 pułku, który od godziny siedział z rozkraczonymi nogami, z rękami na udach i szeroko rozstawionymi łokciami, zawyrokował, że przyjaciel jego, pan Sorel, nie ma zamiaru szukać awantury, dlatego że komuś skradziono bilety wizytowe.

Julian gotował się kwaśno do wyjścia. Powóz kawalera czekał w dziedzińcu przed gankiem; przypadkowo podniósł oczy i poznał w woźnicy wczorajszego napastnika.

Ujrzeć go, ściągnąć za połę długiego surduta, zrzucić z kozła na ziemię i zacząć go okładać szpicrutą było dziełem jednej chwili. Dwaj lokaje próbowali bronić kolegi. Julianowi dostało się kilka szturchańców; natychmiast odwiódł kurek i strzelił w ich stronę; uciekli. Wszystko to stało się w ciągu minuty.

Tymczasem kawaler de Beauvoisis zstępował ze schodów z ucieszną powagą, powtarzając z pańska: „Co to? co to?". Najoczywiściej był bardzo ciekawy, ale dyplomatyczny chłód nie pozwalał mu okazać więcej zainteresowania. Skoro się dowiedział, o co chodzi, wyniosłość walczyła na jego twarzy z żartobliwą obojętnością, która nie powinna nigdy opuszczać twarzy dyplomaty.

Porucznik 96 pułku odgadł, że pan de Beavoisis miałby ochotę się bić; chciał tedy dyplomatycznie zabezpieczyć przyjacielowi korzyści inicjatywy.

— Teraz — wykrzyknął — jest powód do pojedynku!

— Tak by się zdawało — odparł dyplomata.

— Wypędzam tego łajdaka — rzekł do służby — niech inny siada na jego miejsce.

Otworzono drzwiczki: kawaler zmusił Juliana i jego świadka, aby siedli pierwsi. Udali się jednego z przyjaciół pana de Beauvoisis, który doradził spokojne miejsce spotkania.

Po drodze rozmowa toczyła się bardzo poprawnie; jedyną osobliwością był dyplomata w szlafroku.

„Ci panowie, mimo iż doskonale urodzeni — myślał Julian — nie są nudni jak goście pana de la Mole; i rozumiem czemu — dodał w chwilę później — pozwalają sobie być nieobyczajni". Mówiono o tancerkach, które we wczorajszym balecie zwróciły na siebie uwagę publiczności. Młodzi ludzie robili aluzje do śliskich anegdot, które tak Julianowi jak i świadkowi jego, porucznikowi 96 pułku, były zupełnie nieznane. Julian nie silił się udawać doświadczenia w tej materii i przyznał się otwarcie do swej niewiedzy. Szczerość ta podobała się przyjacielowi kawalera; opowiedział kilka anegdot ze wszystkimi szczegółami i bardzo dowcipnie.

Jedna rzecz szczególnie uderzyła Juliana. Powóz zatrzymał się na chwilę z powodu budowy ołtarza, który wznoszono na ulicy na procesję Bożego Ciała. Młodzi ludzie pozwolili sobie na parę konceptów: proboszcz wedle nich był synem arcybiskupa. Nigdy u margrabiego de la Mole, który miał ochotę zostać księdzem, nie pozwolono by sobie wymówić czegoś podobnego.

Pojedynek skończył się w jednej chwili: Julian dostał kulę w ramię, obwiązano mu je chustkami, zmoczono wódką, po czym kawaler poprosił grzecznie Juliana, aby się pozwolił odwieźć do domu. Kiedy Julian nazwał pałac de la Mole, dyplomata wymienił spojrzenie z przyjacielem. Julian miał dorożkę, ale rozmowa tych panów wydawała mu się nieskończenie bardziej zajmująca niż towarzystwo zacnego porucznika 96 pułku.

„Mój Boże! Zatem pojedynek to tylko tyle! — pomyślał Julian. — Co za szczęście, żem znalazł woźnicę! Jakiż byłbym nieszczęśliwy, gdybym mógł ścierpieć jeszcze tę zniewagę!"

Wesoła rozmowa nie przerwała się ani na chwilę. Julian zrozumiał wówczas, że dyplomatyczna komedia może się zdać na coś.

Nuda nie jest zatem czymś nieodłącznym od ludzi wielkiego świata! Żartują sobie z procesji Bożego Ciała, ośmielają się opowiadać ryzykowne anegdotki i to z nader malowniczymi szczegółami! Brak im jedynie zmysłu politycznego, ale brak ten sowicie równoważy się wdziękiem i zręcznością wysłowienia.

Julian uczuł żywą sympatię do tych młodych ludzi. „Jakże byłbym szczęśliwy, gdybym mógł ich częściej widywać!"

Ledwie się rozstali, kawaler pobiegł szukać informacji; nie były świetne.

— Okropna rzecz! — rzekł do świadka. — Nie podobna mi się przyznać, że biłem się z prostym sekretarzem pana de la Mole, i to dlatego, że woźnica ściągnął mi bilety wizytowe.

— Hm, to pewna, że jest w tym spora dawka śmieszności.

Tegoż samego dnia kawaler de Beauvoisis rozpowiedział wszędzie, że ów Sorel, zresztą młody człowiek bez zarzutu, jest naturalnym synem serdecznego druha margrabiego de la Mole. Pakt ten przyjęto bez trudności. Raz postawiwszy sprawę na tej stopie, młody dyplomata i jego przyjaciel raczyli odwiedzić Juliana kilka razy w ciągu dwóch tygodni, przez który to czas nie mógł opuszczać pokoju. Julian przyznał się im, że tylko raz jeden w życiu był w Operze.

— To niesłychane — rzekli — toż to jedyne miejsce, gdzie się chodzi; za pierwszym razem, kiedy wyjdziesz z domu, musisz iść na *Hrabiego Ory*.

W Operze kawaler przedstawił go słynnemu śpiewakowi Geronimo, który cieszył się wówczas olbrzymim powodzeniem.

Julian niemalże kochał się w kawalerze: to połączenie godności, tajemniczej powagi oraz zadowolenia z siebie czarowało go. Tak na przykład kawaler zająkiwał się nieco, ponieważ miał zaszczyt widywać często wielkiego pana dotkniętego tą wadą. Nigdy Julian nie widział w jednej osobie tylu śmiesznostek skojarzonych z doskonałością form, stanowiącą dla biednego przybysza z prowincji ideał do naśladowania.

Julian pojawiał się dość często w operze w towarzystwie kawalera de Beauvoisis, co wywoływało komentarze.

— Słuchaj no — rzekł jednego dnia pan de la Mole — jesteś tedy naturalnym synem szlachcica z Franche-Comté, mego serdecznego przyjaciela?

Julian próbował się tłumaczyć, że w niczym nie przyczynił się do tych pogłosek.

— Pan de Beauvoisis nie chciał, aby wiedziano, że się bił z synem cieśli...

— Wiem, wiem — przerwał mu pan de la Mole — ode mnie teraz zależy ustalić tę wersję, która zresztą jest mi na rękę. Chciałem cię też prosić o jedną grzeczność, która ci zajmie ledwie pół godziny dziennie: co wieczór, o wpół do dwunastej bądź w przedsionku Opery, wówczas kiedy towarzystwo opuszcza teatr. Widzę u ciebie jeszcze pewne prowincjonalne nawyczki, trzeba się tego wyzbyć; zresztą nieźle jest znać bodaj z widzenia wysokie osobistości, do których mogę ci dać kiedy zlecenie. Zgłoś się do kancelarii, poleciłem, aby ci wydano bilet.

XXXVII. ATAK PODAGRY

I otrzymałem awans, nie dla zasług, ale ponieważ mój przełożony miał podagrę.

Bertolotti.

Czytelnik czuje się może zdziwiony tym swobodnym, niemal przyjacielskim tonem; zapomnieliśmy powiedzieć, że od sześciu tygodni margrabiego więziła w domu podagra. Panna de la Mole bawiła z matką w Hyères u babki. Hrabia Norbert zachodził do ojca tylko na chwilę; bardzo byli dobrze z sobą, ale nie mieli sobie nic do powiedzenia. Pan de la Mole, skazany na towarzystwo Juliana, zauważył ze dziwieniem inteligencję chłopca. Kazał sobie czytywać dzienniki. Niebawem młody sekretarz nauczył się wybierać zajmujące ustępy. Powstał wówczas nowy dziennik, którego margrabia nienawidził; przysiągł, że nigdy go nie będzie czytał, a co dzień o nim mówił. Julian śmiał się. Margrabia, obrażony na współczesność, kazał sobie czytywać Liwiusza, bawił go improwizowany przekład łacińskiego tekstu.

Jednego dnia margrabia rzekł z ową nadzwyczajną grzecznością, która często niecierpliwiła Juliana:

— Pozwól, mój drogi Sorel, abym ci zrobił prezent z niebieskiego fraka: ilekroć zechcesz go włożyć i przyjść do mnie, będziesz w moich oczach młodszym bratem hrabiego de Chaulnes, to znaczy synem starego księcia, mego przyjaciela.

Julian nie bardzo rozumiał o co chodzi; tegoż samego wieczora spróbował wizyty w niebieskim fraku. Margrabia przyjął go jak równego sobie. Julian umiał odczuć prawdziwą grzeczność, ale nie miał pojęcia o odcieniach. Byłby przysiągł przed tym kaprysem margrabiego, że nie podobna traktować kogoś z większymi względami. „Cóż za cudowny talent" — pomyślał Julian, kiedy wstał, aby się pożegnać, margrabia zaś przepraszał go, że nie może odprowadzić z przyczyny podagry.

Ten osobliwy pomysł uderzył Juliana: „Czyżby sobie drwił ze mnie?" — myślał. Poszedł zasięgnąć rady u księdza Pirard, który, mniej grzeczny od margrabiego, pogwizdywał tylko i zaczął mówić o czym innym. Nazajutrz rano Julian zjawił się u margrabiego w czarnym fraku, z teką i listami do podpisu. Przyjęto go po dawnemu. Wieczorem, w niebieskim fraku, ton zupełnie odmienny: ściśle taki jak w wilię[50].

— Skoro pana nie nudzi zbytnio odwiedzać łaskawie biednego chorego starca — rzekł margrabia — powinien byś mi zwierzać wszystkie szczegóły życia, ale szczerze, jasno i zabawnie. Trzeba się bawić — ciągnął margrabia — tylko to w życiu coś warte. Nikt nie może mi co dzień ocalić życia na wojnie, ani co dzień darować mi miliona; ale gdybym miał tu, przy swoim szezlongu, Rivarola, odjąłby mi codziennie godzinę cierpienia i nudy. Znałem go dobrze w Hamburgu, na emigracji.

I margrabia zaczął opowiadać Julianowi anegdoty o Rivarolu i hamburczykach, których trzeba było czterech na to, aby zrozumieć jeden dowcip.

Pan de la Mole, skazany na towarzystwo kleryka, chciał go trochę rozruszać. Połechtał punkt honoru Juliana. Skoro żądano odeń prawdy, Julian postanowił mówić wszystko, przemilczając wszelako dwie rzeczy: swój fanatyczny kult dla pewnego imienia, które drażniło margrabiego, oraz swoje zupełne niedowiarstwo, niezbyt właściwe u przyszłego księdza. Drobne zajście z kawalerem de Beauvoisis zjawiło się bardzo w porę. Margrabia uśmiał się do łez ze sceny w kawiarni z woźnicą, który uraczył Juliana najplugawszymi wyzwiskami. Była to epoka doskonałej szczerości między chlebodawcą a sekretarzem.

Pan de la Mole zainteresował się tym niezwykłym charakterem. W początkach podsycał śmiesznostki Juliana, aby się nimi bawić; niebawem bardziej go zajęło prostować

[50] *wilia* — dzień poprzedzający.

łagodnie fałszywe pojęcie chłopca. „Zazwyczaj parafianie przybyli do Paryża podziwiają wszystko — myślał margrabia — ten nienawidzi wszystkiego. Tamci są zanadto sztuczni, ten nie dosyć; stąd głupcy biorą go za głupca".

Zimowe mrozy przewlekły atak podagry do kilku miesięcy.

„Wszak można się przywiązać do bolońskiego pieska — powiadał sobie margrabia — czemuż ja się tak wstydzę mego przywiązania do tego księżyka? Jest oryginalny. Traktuję go jak syna, więc cóż! Co w tym złego? Fantazja ta, jeśli potrwa, będzie mnie kosztowała, ot, diament wartości pięciuset ludwików w testamencie".

Raz poznawszy nieugięty charakter swego protegowanego, margrabia obarczał go codziennie jakąś sprawą. Julian zauważył z przerażeniem, że temu magnatowi zdarza się dawać dwa sprzeczne zlecenia w tym samym przedmiocie, co mogło poważnie narazić jego sekretarza. Odtąd miał zawsze przy sobie regestr, w którym notował decyzje, margrabia zaś podpisywał je. Julian przyjął pisarza, który kopiował poszczególne decyzje w osobnym regestrze zawierającym również kopie listów. Pomysł ten wydał się zrazu śmieszną pedanterią; ale w niespełna dwa miesiące zrozumiał jego korzyści. Julian poradził przyjąć bankowca, który by prowadził podwójną buchalterię dochodów i wydatków z dóbr, które Julian miał pod sobą.

Zarządzenia te dały margrabiemu tak jasny wgląd w swoje sprawy, że mógł sobie pozwolić na przyjemność paru nowych spekulacji, bez pośrednictwa agenta, który go okradał.

— Weź trzy tysiące franków dla siebie — rzekł jednego dnia do swego młodego ministra.

— Panie margrabio, moje postępowanie może być źle tłumaczone.

— Czegóż chcesz tedy? — podjął margrabia zniecierpliwiony.

— Aby pan margrabia zechciał sam wpisać to zlecenie w regestrze; na mocy tego zlecenia otrzymam trzy tysiące franków. Zresztą cały ten system rachunkowości jest pomysłu księdza Pirard.

Margrabia, ze znudzoną miną margrabiego de Moncade słuchającego rachunków intendenta, napisał zlecenie.

Wieczorem, kiedy Julian zjawiał się w niebieskim fraku, nie było mowy o interesach. Uprzejmość margrabiego była tak pochlebna dla obolałej wciąż ambicji naszego bohatera, iż niebawem mimo woli przywiązał się do miłego staruszka. Nie znaczy to, aby Julian był uczuciowy w paryskim rozumieniu, ale nie był potworem, nikt zaś od śmierci starego chirurga nie odnosił się doń z taką dobrocią. Zauważył ze zdumieniem, że margrabia chodzi koło jego miłości własnej ze względami, jakich nigdy nie zaznał u starego chirurga. Zrozumiał także, że chirurg bardziej był dumny ze swego krzyża niż margrabia z błękitnej wstęgi; ojciec margrabiego był wielkim panem.

Jednego dnia pod koniec rannej audiencji w czarnym ubraniu poświęconej interesom, Julian rozgadał się z margrabią, który go zatrzymał dwie godziny i chciał mu koniecznie dać kilka banknotów, przyniesionych przez agenta z giełdy.

— Spodziewam się, panie margrabio, że nie oddalę się od głębokiego szacunku, jaki mu jestem dłużny, skoro poproszę, by mi wolno było powiedzieć kilka słów.

— Mów, chłopcze.

— Niech pan margrabia pozwoli mi nie przyjąć tego daru. Nie był przeznaczony dla człowieka w czarnym fraku, zepsułby zaś zupełnie swobodę, jaką pan margrabia cierpi łaskawie u człowieka we fraku niebieskim.

Skłonił się z szacunkiem i wyszedł, nie oglądając się za siebie.

Rys ten zabawił margrabiego. Opowiedział go wieczorem księdzu Pirard.

— Muszę ci wreszcie coś wyznać, drogi księże. Znam pochodzenie Juliana i upoważniam cię, abyś go nie chował w sekrecie.

„Dzisiejszy jego postępek był godny szlachcica — pomyślał margrabia — daję mu tedy szlachectwo".

W jakiś czas później margrabia mógł wreszcie wychodzić.

— Pojedziesz na dwa miesiące do Londynu — rzekł do Juliana. — Listy, które będę otrzymywał, wraz z mymi dopiskami, każę ci przesyłać ekstrapocztą; ty będziesz sporządzał odpowiedzi i odsyłał mi je wkładając każdy list w dotyczącą odpowiedź. Obliczyłem, że zwłoka nie wyniesie więcej niż pięć dni.

Pędząc pocztą w stronę Calais Julian zdziwił się błahości rzekomych spraw, z którymi go wysłano.

Nie będziemy opisywali, z jakim uczuciem nienawiści, zgrozy niemal, wstąpił na ziemię angielską. Czytelnicy znają jego szaloną miłość do Bonapartego. W każdym oficerze widział sir Hudsona Lowe, w każdym wielkim panu lorda Bathurst, autora niecnych zarządzeń na wyspie Św. Heleny, nagrodzonego za nie dziesięcioletnim ministerium.

W Londynie poznał wreszcie wysoką elegancję. Zbliżył się z młodymi pankami rosyjskimi, którzy go wtajemniczyli w jej arkana.

— Masz wszelkie dane, drogi Sorel — mówili — masz z natury tę chłodną minę, będącą *o tysiąc mil od pierwszego wrażenia*, którą tak silimy się osiągnąć.

— Nie pojąłeś swojej epoki — mówił książę Korazow — *postępuj zawsze na wspak wszelkiemu oczekiwaniu*. Oto, na honor, jedyna religia naszych czasów. Nie bądź ani trzpiotem, ani pedantem, gdyż wówczas oczekiwano by po tobie szaleństw lub mizdrzenia, tym samym chybiłbyś zasadzie.

Jednego dnia Julian okrył się chwałą w salonie księcia Fitz-James, który zaprosił go na obiad, zarówno jak księcia Korazowa. Czekano całą godzinę. Sposób, w jaki Julian zachował się pośród dwudziestu czekających, jest do dziś dnia tematem rozmów młodych sekretarzy ambasad w Londynie. Mina jego była wręcz nieopłacona!

Na przekór swoim przyjaciołom-dandysom, zapragnął poznać słynnego Filipa Vane, jedynego filozofa, jakiego Anglia miała od Locke'a. Zastał go w chwili, gdy kończył siódmy rok więzienia. „Arystokracja nie żartuje w tym kraju — pomyślał Julian — co więcej, zniesławiono go, sponiewierano, etc."

Julian znalazł go wcale wesołym; wściekłość arystokracji rozpraszała jego nudy. „Oto — myślał Julian, wychodząc z więzienia — jedyny człowiek, jakiego widziałem w Anglii".

— *Ze wszystkich pojęć najpożyteczniejsze dla tyranów jest pojęcie Boga* — powiedział mu Vane.

Opuszczam dalszy ciąg systemu jako zbyt cyniczny.

— Cóż zabawnego przywiozłeś mi z Anglii? — spytał go pan de la Mole za powrotem. Julian milczał. — Jakież wrażenia? — dodał żywo margrabia.

— *Primo* — rzekł Julian — najrozsądniejszy Anglik jest szaleńcem godzinę w dniu; nawiedza go demon samobójstwa, który jest tam bóstwem domowym.

Secundo, talent i dowcip tracą z chwilą wylądowania w Anglii dwadzieścia pięć procent wartości.

Tertio, nie ma nic w świecie piękniejszego, bardziej zachwycającego, wzruszającego niż krajobraz angielski.

— Teraz ja ci coś powiem — rzekł margrabia — *Primo*, dlaczegoś opowiadał na balu u rosyjskiego ambasadora, że we Francji jest trzysta tysięcy młodych ludzi spragnionych namiętnie wojny? Czy sądzisz, że to jest pochlebne dla królów?

— Nie wiadomo, co robić, kiedy się rozmawia z wielkimi dyplomatami — rzekł Julian. — Mają manię poważnych dyskusji. Skoro się ograniczyć do komunałów, uchodzi się za głupca. Skoro sobie pozwolić na coś szczerego i świeżego, są jakby spadli z obłoków, nie wiedzą, co odpowiedzieć i nazajutrz o siódmej rano każą oświadczyć nieborakowi przez sekretarza, że się zachował nietaktownie.

— Wcale nieźle — rzekł margrabia, śmiejąc się. — Zresztą zakładam się, głęboki obserwatorze, żeś nie zgadł, po coś jeździł do Anglii.

— I owszem, panie margrabio; po to, aby raz na tydzień zjeść obiad u francuskiego ambasadora, który jest najuprzejmiejszym z ludzi.

— Jeździłeś po ten order — rzekł margrabia. — Nie chcę, abyś porzucał czarny frak, przywykłem zaś do lżejszego tonu, który przybrałem z człowiekiem we fraku niebieskim. Aż do nowej instrukcji przyjm do wiadomości: ilekroć ujrzę ten krzyż, będziesz młodszym synem mego przyjaciela księcia de Chaulnes, człowiekiem, który, sam o tym nie wiedząc, jest od pół roku w dyplomacji. Zauważ — rzekł margrabia poważnie i przecinając wyrazy dziękczynienia — że ja cię nie chcę wyrwać z twego stanu. Jest to zawsze błąd i nieszczęście, tak dla protektora jak dla protegowanego. Kiedy moje procesy cię znudzą lub kiedy przestaniesz mi być po myśli, wystaram ci się o dobre probostwo, jak dla naszego przyjaciela, księdza Pirard; nic więcej — dodał margrabia sucho.

Order nasycił chwilowo dumę Juliana; stał się o wiele mowniejszy. Mniej często przypuszczał, że ktoś chce go obrazić lub że jest przedmiotem owych żarcików, które można wykładać niezbyt pochlebnie, a które w ożywionej rozmowie mogą przejść niepostrzeżenie.

Order ten ściągnął nań osobliwą wizytę, mianowicie barona de Valenod, który przybył do Paryża podziękować ministrowi za swoje baronostwo oraz porozumieć się z nim. Miano go zrobić merem w miejsce pana de Rênal.

Julian śmiał się w duchu, kiedy Valenod dał mu do zrozumienia, iż odkryto, że pan de Rênal jest jakobinem. Faktem jest, że przy gotującym się wyborze nowy baron był kandydatem rządowym, gdy pan de Rênal wysuwany był przez liberałów.

Próżno Julian starał się czegoś dowiedzieć o pani de Rênal; baron, pamiętny widać dawnej rywalizacji, milczał jak grób. W końcu poprosił Juliana o pozyskanie mu głosu ojca przy wyborach. Julian przyrzekł napisać.

— Powinien byś, panie kawalerze, przedstawić mnie margrabiemu de la Mole.

„W istocie, *powinien bym* — pomyślał Julian — ale takiego łajdaka!..."

— Doprawdy — odparł — jestem zbyt skromną figurą w pałacu de la Mole, aby się podjąć tej roli.

Julian mówił wszystko margrabiemu: wieczorem opowiedział mu pretensje Valenoda oraz jego czyny i sprawy od 1814.

— Nie tylko — odparł pan de la Mole bardzo serio — przedstawisz mi jutro świeżego barona, ale zaproszę go na pojutrze na obiad. To będzie jeden z naszych prefektów.

— W takim razie — rzekł z zimną krwią Julian — proszę o miejsce dyrektora przytułku dla mego ojca.

— Doskonale — rzekł rozweselony margrabia — rzecz załatwiona. Spodziewałem się morałów. Wyrabiasz się.

Pan de Valenod opowiedział Julianowi, że dzierżawca loterii w Verrières umarł; Julian uczynił sobie zabawkę, aby dać tę posadę panu de Cholin, owemu staremu cymbałowi, którego petycję znalazł był niegdyś w pokoju pana de Rênal. Margrabia śmiał się szczerze z petycji, którą Julian wyrecytował oraz podpisał list z prośbą o tę posadę do ministra finansów.

Ledwie mianowano pana de Cholin, Julian dowiedział się, że poseł z jego departamentu prosił o tę posadę dla pana Gros, słynnego geometry. Szlachetny ten człowiek miał tylko tysiąc czterysta franków renty i co roku pożyczał sześćset franków świeżo zmarłemu dzierżawcy loterii, aby mu pomóc w wychowaniu dzieci.

Julian zdumiał się tym, co uczynił. „To nic — mówił sobie — jeśli chcę wspiąć się wyżej, trzeba będzie spełnić gorsze niesprawiedliwości i jeszcze umieć je ukryć pod sentymentalnymi frazesami. Biedny Gros! To on zasługiwał na krzyż, ja go dostałem i muszę postępować w duchu rządu, który mnie nim obdarzył".

XXXVIII. JAKI ORDER WYRÓŻNIA CZŁOWIEKA

Twoja woda nie chłodzi, rzekł spragniony geniusz. — Jest to wszelako najchłodniejsze źródło w całym Diaz-Bekir.

Pellico.

Jednego dnia Julian wracał z uroczej wioski Villequier nad Sekwaną. Pan de la Mole interesował się tym majątkiem, ponieważ ze wszystkich jego posiadłości ta jedna należała do słynnego Bonifacego de la Mole. Julian zastał w pałacu margrabinę z córką: przybyły właśnie z Hyères.

Julian stał się już skończonym dandysem i paryżaninem. Przywitał pannę de la Mole ozięble. Zdawał się zgoła nie pamiętać czasów, kiedy go tak wesoło wypytywała o szczegóły upadku z konia.

Pannie de la Mole wydał się wyższy i bledszy. Postawa jego, wzięcie[51] nie miały nic prowincjonalnego; rozmowa natomiast trąciła jeszcze nadmierną powagą, była zbyt rzeczowa. Mimo tego *racjonalizmu* nie było w nim nic płaskiego; czuło się tylko, że ten

[51] *wzięcie* — sposób bycia, zachowanie.

młody człowiek jeszcze zbyt wiele rzeczy bierze na serio. Ale czuło się zarazem, że jest to człowiek zdolny poprzeć to, co mówi.

— Brak mu lekkości, ale nie sprytu — rzekła panna de la Mole, żartując z ojcem z krzyża, który wyrobił Julianowi. — Norbert prosi cię o krzyż przez półtora roku, a przecież to jest *la Mole*!...

— Tak, ale Julian ma nieoczekiwane koncepty; rzecz, która owemu la Mole nie trafiła się nigdy.

Oznajmiono księcia de Retz.

Matyldę ogarnęło niezwyciężone ziewanie; odnajdywała starożytne złocenia i gości ojcowskiego salonu. Widziała z góry przenudny obraz życia, jakie ją czeka w Paryżu. A w Hyères żałowała Paryża!

„Mam dziewiętnaście lat! — myślała — to wiek szczęścia, mówią wszystkie te dudki o złoconych brzegach". Spojrzała na dziesiątek tomów z nowymi poezjami, nagromadzonych w czasie jej nieobecności na konsoli w salonie. Na swoje nieszczęście miała więcej rozumu od panów de Croisenois, de Caylus, de Luz i innych przyjaciół. Wyobrażała sobie wszystko, co jej powiedzą o pięknym niebie Prowansji, o poezji, Południu, etc., etc.

Piękne oczy, w których odbijał się wyraz nudy i, co gorsza, zwątpienia o możliwości zabawy, zatrzymał się na Julianie. „Ten przynajmniej jest nieco inny".

— Panie Sorel — rzekła owym jasnym, ostrym głosem, niemającym nic kobiecego, którym wszelako posługują się kobiety z wielkiego świata — panie Sorel, czy pan będzie dziś na balu u księcia de Retz?

— Pani, nie miałem zaszczytu być przedstawionym księciu. — (Zdawałoby się, że te słowa i ten tytuł ranią usta dumnego plebejusza).

— Zalecił memu bratu, aby pana przyprowadził; niech pan przyjdzie, opowie mi pan coś o Villequier; jest projekt, aby się tam wybrać na wiosnę. Chciałabym wiedzieć, czy zamek jest możliwy do mieszkania i czy okolica w istocie tak piękna, jak mówią. Tyle jest rzeczy przechwalonych!

Julian milczał.

— Niech pan przyjdzie na bal z bratem — dodała oschle.

Julian skłonił się. „Zatem nawet na balu mam obowiązek składać raporty wszystkim członkom rodziny! Czyż nie jestem płatnym rządcą?" (Zły humor Juliana wzrastał.) „Kto wie jeszcze, czy to, co powiem pannie, nie będzie krzyżowało zamiarów ojca, matki. To istny dwór udzielnego księcia. Trzeba by być zupełnym zerem, a mimo to dogodzić wszystkim".

„Niesympatyczna dziewczyna! — myślał, patrząc za oddalającą się panną, którą matka wezwała, aby ją przedstawić paru przyjaciółkom. — Przesadza każdą modę; suknia spada jej z ramion; jest jeszcze bledsza niż przed podróżą... Cóż za bezbarwne włosy, tak nieprawdopodobnie jasne, rzekłby kto, iż światło przechodzi przez nie na wskroś... Co za duma w ukłonie, w spojrzeniu! Cóż za ruchy królowej!"

Panna de la Mole skinęła na brata w chwili, gdy opuszczał salon.

Hrabia Norbert zbliżył się do Juliana.

— Drogi Sorel — rzekł — czy chce pan, abym cię wziął z sobą o północy na bal do księcia de Retz? Polecił mi wyraźnie, bym pana przyprowadził.

— Wiem dobrze, komu jestem winien tyle łaski — rzekł Julian, kłaniając się do ziemi.

W przystępie złego humoru, nie mogąc znaleźć nic do zarzucenia uprzejmemu, a nawet serdecznemu tonowi Norberta, zaczął nicować własną odpowiedź. Wydała mu się uniżona.

Przybywszy na bal, Julian zdumiał się wspaniałością pałacu Retzów. Nad wjazdem rozpięty był olbrzymi namiot z karmazynowej materii usianej złotymi gwiazdami, nie można wyobrazić sobie nic wytworniejszego. Pod tym namiotem dziedziniec zmienił się w gaj pomarańcz oraz kwitnących oleandrów. Ponieważ doniczki były starannie zakopane, zdawało się, że oleandry i pomarańcze wyrastają z ziemi. Droga, którą wjeżdżały powozy, wysypana była piaskiem.

Całość wydała się naszemu parafianinowi niesłychana. Nie miał pojęcia o takiej wspaniałości; w jednej chwili rozbujana jego wyobraźnia zapomniała o wszystkich kwasach.

W powozie, kiedy jechali na bal, Norbert był wesół, on zaś widział wszystko czarno; ledwie wjechali w dziedziniec, role zmieniły się.

Norbert był wrażliwy jedynie na kilka szczegółów, których wśród takich przepychów nie podobna było dociągnąć do całości. Szacował w myśli cenę każdej rzeczy i w miarę jak dochodził do pewnej cyfry, Julian zauważył, że staje się niemal zazdrosny i markotny.

Co się tyczy Juliana, wszedł do pierwszej sali zachwycony, pełen podziwu i prawie wylękły ze wzruszenia. Przy drzwiach do drugiej sali tłoczono się tak, że nie podobna było posuwać się naprzód. Dekoracja tej wielkiej sali odtwarzała Alhambrę w Grenadzie.

— Nie ma co, trzeba przyznać że to królowa balu — mówił jakiś młody elegant z wąsikami, którego łokieć wbijał się w pierś Juliana.

— Panna Fourmont, która całą zimę była najpiękniejsza — odparł sąsiad — czuje, że zeszła na drugi plan: popatrz, jaką ma minę.

— W istocie, stara się być piękną za wszelką cenę. Patrz, patrz na ten luby uśmiech, z jakim tańczy w kontredansie swoje solo. Na honor, to nieopłacone!

— Panna de la Mole czuje doskonale swój triumf, ale umie nad nim panować. Rzekłbyś, że boi się podobać temu, z kim rozmawia.

— Brawo! To wysoka szkoła.

Julian czynił daremne wysiłki, aby ujrzeć tę czarującą kobietę; gromadka wyższych od niego mężczyzn zasłaniała mu widok.

— Wiele jest kokieterii w tym szlachetnym umiarkowaniu — podjął młodzian z wąsikami.

— A te wielkie, niebieskie oczy, które się opuszczają tak wolno w chwili, gdy tuż, tuż, miały się zdradzić — dodał sąsiad — Na honor, bardzo sprytnie!

— Patrz, jak piękna Fourmont wygląda przy niej pospolicie — rzekł trzeci.

— Ten skromny wyraz oczu mówi: „Ileż uroków rozwinęłabym dla pana, gdybyś był godny mnie!"

— A kto może być godny boskiej Matyldy? — rzekł pierwszy. — Jakiś panujący książę, piękny, rozumny, przystojny, bohaterski i mający nie więcej niż dwadzieścia lat.

— Syn naturalny cara rosyjskiego... któremu, na intencję tego małżeństwa wykrojono by jakie księstwo, albo po prostu hrabia de Thaler ze swą miną przebranego parobka..

Zrobiło się miejsce koło drzwi, Julian mógł wejść.

„Skoro uchodzi za takie cudo w oczach tych lalusiów, warta jest, aby się jej przyjrzeć. Zrozumiem, co jest doskonałością w oczach tych ludzi".

Gdy jej szukał wzrokiem, Matylda spojrzała na niego.

„Obowiązek mnie woła" — rzekł sobie Julian; ale zły humor wyładował się tylko w tym wyrażeniu. Posunął się wiedziony ciekawością; silnie wycięta suknia Matyldy zabarwiła tę ciekawość uczuciem przyjemności, co prawda w sposób mało pochlebny dla jej miłości własnej. „Świeża jest" — pomyślał. Kilku młodych ludzi — Julian poznał tych, których rozmowie przysłuchiwał się we drzwiach — znajdowało się między nim a Matyldą.

— Pan spędził w Paryżu całą zimę — rzekła — prawda, że to najpiękniejszy bal w tym roku?

Nie odpowiedział.

— Ten kadryl pomysłu Coulona doprawdy prześliczny; i odtańczony znakomicie.

Młodzi ludzie obrócili się, aby ujrzeć, kto jest ów szczęśliwiec, z którego margrabianka chce koniecznie wycisnąć odpowiedź. Odpowiedź nie była zachęcająca.

— Nie mogę sądzić o tym, pani; życie spływa mi przy biurku; to pierwszy tak wspaniały bal, który oglądam.

Młodzi ludzie z wąsikami osłupieli ze zgorszenia.

— Jest pan filozofem, panie Sorel — podjęła panna żywiej — patrzysz na te bale, festyny, jak mędrzec, jak Jan Jakub Rousseau. Szaleństwa te raczej dziwią cię, niż pociągają.

Jedno słowo ugodziło wyobraźnię Juliana i wypędziło z jego serca wszelką iluzję. Usta jego przybrały wyraz przesadnej może wzgardy.

— Jan Jakub jest dla mnie głupcem, kiedy sili się wyrokować o wielkim świecie; nie rozumiał go i mierzył go duszą lokaja i parweniusza.

— Stworzył *Umowę społeczną* — rzekła Matylda ze czcią.

— Głosząc republikę i obalenie monarchii, parweniusz ten pijany jest ze szczęścia, jeżeli jaki książę raczy zmienić kierunek poobiedniej przechadzki, aby odprowadzić któregoś z jego przyjaciół[52].

— Ach, tak, książę de Luksemburg w Montmorency odprowadzający pana Coidet w stronę Paryża... — podchwyciła panna de la Mole z przyjemnością i upojeniem pierwszych rozkoszy erudycji. Była pijana swą wiedzą, coś jak członek akademii, który odkrył istnienie króla Feretriusza. Oko Juliana pozostało przenikliwe i surowe. Matylda miała chwilę entuzjazmu, chłód partnera oblał ją zimną wodą. Zdumiała się; zwykle to ona działała w ten sposób na drugich.

W tej chwili margrabia de Croisenois zbliżył się skwapliwie do panny de la Mole. Zatrzymał się na chwilę o trzy kroki, nie mogąc się przedostać. Patrzał na nią, uśmiechając się z tej przeszkody. Obok niego stała młoda margrabina de Rouvray, kuzynka Matyldy. Wspierała się na ramieniu męża, którego zaślubiła dopiero przed trzema tygodniami. De Rouvray, również bardzo młody, promieniał szczęściem człowieka, który zawarłszy małżeństwo z konwenansu, sklecone przez dwóch rejentów, znalazł w żonie doskonałą piękność. De Rouvray miał zostać księciem po śmierci wiekowego stryja.

Gdy margrabia de Croisenois, nie mogąc przebić tłumu, patrzał na Matyldę z roześmianą twarzą, ona wiodła swymi wielkimi oczami koloru nieba po nim i po jego sąsiadach. Czy może być coś pospolitszego niż ta cała grupa? Ten Croisenois chciałby mnie zaślubić; jest grzeczny, dworny, doskonale wychowany, jak de Rouvray. Ci panowie byliby bardzo mili, gdyby nie byli tak straszliwie nudni. On także będzie mnie prowadził na bal z tą ograniczoną i zadowoloną z siebie miną. W rok po ślubie mój powóz, konie, suknie, zamek o dwadzieścia mil od Paryża, wszystko to będzie tak wytworne, jak tylko może być; wszystko, co trzeba, aby doprowadzić do rozpaczy jakąś parweniuszkę, taką hrabinę de Roiville na przykład; a potem?...

Matylda nudziła się już w wyobraźni. Margrabia de Croisenois zdołał do niej dotrzeć i zagadnął ją; ale, pogrążona w zadumie, nie słyszała. Szmer jego słów mieszał się z gwarem balu. Wiodła machinalnie okiem za Julianem, który oddalił się z twarzą pełną szacunku, ale dumną i niechętną. W kącie, z dala od krążącego tłumu, ujrzała hrabiego Altamira skazanego na śmierć w ojczyźnie, znanego już czytelnikowi. Za Ludwika XIV jakaś jego krewniaczka zaślubiła księcia Conti; wspomnienie to ubezpieczało go nieco przeciw policji Kongregacji.

„Tylko skazanie na śmierć wyróżnia człowieka od innych; to jedna rzecz, której się nie da kupić. Ba, mimo woli urodziłam paradoks! Szkoda, że mi nie przyszedł do głowy wówczas, kiedym go mogła z honorem spożytkować". — Matylda miała zbyt wiele smaku, aby wsuwać w rozmowę dowcip ukuty zawczasu; ale miała też nadto próżności, aby nie podziwiać samej siebie. Wyraz zadowolenia spłoszył z jej twarzy wrażenie nudy. Margrabia de Croisenois, który ją ciągle zabawiał, przypisał sobie ten rezultat i podwoił wymowę.

„Co mógłby najsurowszy krytyk zarzucić temu konceptowi? — myślała Matylda. — Odpowiedziałabym mu tak: tytuł barona, wicehrabiego można kupić; order dostaje się; brat właśnie go dostał, a cóż takiego zrobił? Stopień — można uzyskać. Dziesięć lat służby lub pokrewieństwo z ministrem wojny i ot, jest się majorem jak Norbert. Wielki majątek!... to jeszcze najtrudniejsze, tym samym najbardziej godne uwagi. Zabawne! To zupełnie przeciwnie niż powiadają książki... Ba! majątki można zdobyć, żeniąc się z córką Rotszylda.

Stanowczo, mój aforyzm jest głęboki. Wyrok śmierci to jedyna rzecz, o którą nikomu nie przyszło na myśl się ubiegać".

— Zna pan hrabiego Altamira? — spytała pana de Croisenois.

Wyglądała na osobę tak nieobecną duchem i pytanie to miało tak mało związku z tym, co biedny margrabia prawił jej od pięciu minut, iż grzeczny kawaler zmieszał się. Był to wszakże rozumny człowiek i zażywający wielkiej opinii w tej mierze.

„Matylda jest nieco ekscentryczna — pomyślał — to wada; ale poza tym małżeństwo z nią daje tak piękną pozycję! Nie wiem, jak on to robi, ten stary la Mole; ale to fakt, że ma kapitalne stosunki we wszystkich partiach: ten człowiek nie zatonie. Zresztą ta eks-

[52] *Głosząc (...) przyjaciół* — [por.] Rousseau, *Wyznania*. Cz. II. [przypis autorski]

centryczność Matyldy może uchodzić za głębię, za *duszę*. Przy urodzeniu i majątku dusza nie jest śmiesznością; owszem, przynosi zaszczyt! Matylda posiada zresztą, o ile zechce, to połączenie dowcipu, rozumu i ironii, które stanowią najwyższy urok rozmowy..."

Ponieważ trudno jest robić dobrze dwie rzeczy na raz margrabia odpowiadał bezmyślnie, jakby wydając lekcję:

— Któż nie zna poczciwego Altamira? — I opowiedział historię jego nieudanego, śmiesznego, niedorzecznego spisku.

— Bardzo niedorzeczne — rzekła Matylda jakby do samej siebie — ale w tym był czyn. Chcę widzieć człowieka; przedstaw mi go pan — rzekła do zgorszonego margrabiego.

Hrabia Altamira był jednym z najzagorzalszych wielbicieli dumnej i wzgardliwej urody panny de la Mole; była to jego zdaniem jedna z najpiękniejszych kobiet w Paryżu.

— Jakaż by ona była piękna na tronie! — rzekł do pana de Croisenois i pozwolił się zaprowadzić bez oporu.

Nie brak w świecie ludzi, którzy chcieliby wpoić przekonanie, że nie ma nic równie niesmacznego niż spisek w XIX wieku; to trąci jakobinizmem. A cóż może być szpetniejszego niż jakobinizm nieudany?

Powstanie, Historia, Rewolucja

Spojrzenie, jakie Matylda wymieniła z panem de Croisenois, żartowało sobie nieco z Altamiry; ale słuchała go z przyjemnością.

„Spiskowiec na balu to ładny kontrast — myślała. Altamira, ze swym bujnym czarnym wąsem, wydał się jej podobny do spoczywającego lwa; ale spostrzegła niebawem, że duszę jego wypełniało tylko jedno: *użyteczność, podziw dla użyteczności*.

Wyjąwszy to, co mogło dać jego krajowi parlament i konstytucję, młody hrabia niczego nie uważał za godne swej uwagi. Opuścił z przyjemnością Matyldę, najładniejszą kobietę na balu, bo ujrzał wchodzącego peruwiańskiego generała. Zwątpiwszy o Europie takiej, jak ją urządził Metternich, biedny Altamira pocieszał się myślą, że Stany Zjednoczone, wzmógłszy się w potęgę i w siłę, zdołają zwrócić Europie wolność, którą im przesłał Mirabeau[53].

Tłum elegantów z wąsikami otoczył Matyldę. Spostrzegła, że nie oczarowała Altamiry i czuła się dotknięta jego odejściem; widziała, jak czarne oko jego błyszczy podczas rozmowy z generałem. Panna de la Mole spoglądała na młodych Francuzików z ową głęboką powagą, której żadna z jej rywalek nie była zdolna naśladować. „Który z nich — myślała — umiałby się narazić na skazanie na śmierć, nawet z najkorzystniejszymi widokami?"

To szczególne spojrzenie czarowało dudków, niepokoiło zaś ludzi inteligentnych. Lękali się, że panna wystrzeli nagle jakim ironicznym słówkiem, na które trudno będzie znaleźć odpowiedź.

„Urodzenie daje mnóstwo przymiotów, których brak raziłby mnie: widzę to na Julianie — myślała Matylda — ale poraża te właściwości duszy, które prowadzą na śmierć".

W tej chwili ktoś mówił koło niej:

— Ten hrabia Altamira to młodszy syn księcia de San-Nazaro-Pimentel; jeden z tych Pimentelów próbował ocalić Konradyna, ściętego w 1268. To jedna z najstarszych rodzin w Neapolu.

„Oto — pomyślała Matylda — ładne potwierdzenie mojej zasady: urodzenie odejmuje siłę charakteru, bez której człowiek nie narazi się na śmierć! Jest mi przeznaczone pleść dziś niedorzeczności. Skoro tedy jestem tylko kobietą jak inne, trzeba tańczyć!" Uległa prośbom margrabiego de Croisenois, który od godziny błagał o galopadę. Aby się pocieszyć po niepowodzeniach w filozofii, Matylda chciała być czarująca; pan de Croisenois odszedł upojony.

Ani taniec, ani chęć podobania się jednemu z najprzystojniejszych mężczyzn na Dworze, nic nie zdołało rozerwać Matyldy. Budziła same zachwyty, była królową, widziała to, ale było jej to obojętne.

„Jakże czcze życie wiodłabym z człowiekiem takim jak Croisenois! — mówiła sobie, gdy ją odprowadzał na miejsce w godzinę później... — Gdzież znajdę przyjemność — dodała smutnie — jeżeli po pół roku nieobecności, nie znajduję jej na balu, budzącym

[53] *Stany Zjednoczone (...) Mirabeau* — Stronica ta, pisana 25 lipca 1830, drukowana była 4 sierpnia.

zazdrość wszystkich kobiet w Paryżu? Otaczają mnie hołdy najwykwintniejszego towarzystwa. *Z miasta* jest tutaj zaledwie kilku parów i może paru Julianów. A mimo to — dodała z rosnącym smutkiem — los mi dał wszystko: ród, majątek, młodość, wszystko, wyjąwszy szczęście!

Najwątpliwsze[54] jeszcze z moich zalet, to te, o których mówiono mi cały wieczór. Inteligencja, wierzę; wyraźnie boją mnie się wszyscy. Skoro odważę się puścić na temat serio, po pięciu minutach rozmowy dobijają zdyszani, jakby robiąc wielkie odkrycie, do rzeczy, którą powtarzam im od godziny. Jestem piękna, mam ten talizman, za który pani de Staël byłaby oddała wszystko, a mimo to faktem jest, że umieram z nudów. Czemuż miałabym się mniej nudzić, zmieniwszy swoje nazwisko na tytuł margrabiego de Croisenois?

Boże! — dodała niemal bliska płaczu — czyż to nie jest człowiek doskonały? To arcydzieło hodowli naszego wieku; nie można nań spojrzeć, aby natychmiast nie znalazł na zawołanie czegoś miłego, dowcipnego; jest odważny... Szczególny jest ten Sorel — pomyślała i wyraz nudy w jej oczach ustąpił podrażnieniu. — Oznajmiłam mu, że życzę sobie z nim mówić i nie raczy się pojawić!"

XXXIX. BAL

Przepych toalet, blask świec, woń perfum; tyle pięknych ramion, biustów; bukiety, upajające melodie Rossiniego, malowidła Ciceri! Głowę tracę!

Podróże Uzerlego.

— Jesteś nie w humorze — rzekła margrabina do córki — ostrzegam cię, że to nieładnie wygląda na balu.

— Głowa mnie po prostu boli — odparła Matylda ze wzgardliwą minką — za gorąco tu.

W tej chwili, jakby dla usprawiedliwienia słów panny de la Mole, stary baron de Tolly zasłabł i zemdlał; trzeba go było wynieść. Przypuszczano apopleksję, niemiły wypadek.

Matyldy to nie obeszło. Miała tę zasadę, aby nigdy nie patrzeć na starców i na wszelkie rzeczy smutne.

Poszła tańczyć, aby uniknąć rozmów o apopleksji, niegroźnej zresztą, bo na trzeci dzień baron znów wypłynął.

„Ten Sorel nie przychodzi" — powtórzyła w myśli jeszcze raz, przetańczywszy. Szukała go niemal wzrokiem i spostrzegła go w drugim salonie. Rzecz osobliwa, zdawałoby się, że stracił ten wyraz niewzruszonego chłodu, który mu był tak właściwy; nie miał już miny angielskiej.

„Rozmawia z hrabią Altamira, ze skazańcem! — pomyślała. — Oko jego płonie posępnym ogniem, wygląda na przebranego władcę; spojrzenie jeszcze dumniejsze niż zwykle".

Julian zbliżył się, wciąż rozmawiając z Altamirą; wpatrywała się weń bacznie, studiując jego rysy, aby odnaleźć w nich owe wysokie przymioty zdolne pozyskać człowiekowi zaszczyt śmierci na rusztowaniu.

— Tak — mówił Julian do hrabiego Altamira, przechodząc koło panny de la Mole — Danton to był człowiek!

„O nieba! Byłby on Dantonem? — pomyślała Matylda. — Ale on ma rysy tak szlachetne, a ten Danton był straszliwie brzydki..."

Julian był jeszcze dość blisko, bez namysłu zawołała go; miała tę świadomość — nie wolną od dumy — że zadaje pytanie jak na młodą pannę dość osobliwe.

— Nieprawdaż, Danton był rzeźnikiem? — rzekła.

— Tak, w oczach niektórych osób — odparł Julian z wyrazem ledwie ukrywanej wzgardy i z okiem jeszcze rozpromienionym rozmową z Altamirą — ale nieszczęściem dla ludzi dobrze urodzonych był adwokatem w Mérysur-Seine; to znaczy, pani — dodał złośliwie — zaczął tak jak wielu parów, których tu widzę. To prawda, Danton miał olbrzymią wadę w oczach pięknych kobiet, był bardzo brzydki.

[54] *najwątpliwsze* — dziś: najbardziej wątpliwe.

Ostatnie słowo wyrzekł szybko, dziwnym i z pewnością niezbyt grzecznym tonem.

Julian czekał chwilę lekko pochylony, z wyrazem dumy i pokory zarazem. Zdawał się mówić: „Płacą mi za to, bym pani odpowiadał, a ja żyję z tej płacy". Nie raczył podnieść oczu na Matyldę. Ona ze swymi pięknymi oczami, w tej chwili nadmiernie rozszerzonymi i utkwionymi w Juliana, wyglądała jak jego niewolnica. Wreszcie, skoro milczenie przeciągało się zbyt długo, spojrzał na nią, jak służący patrzy na pana, pytając o rozkazy. Mimo że oczy jego spotkały wzrok Matyldy wciąż utkwiony w nim z tym samym dziwnym wyrazem, oddalił się z wyraźnym pośpiechem.

„On, tak rzetelnie piękny — rzekła wreszcie do siebie Matylda, ocknąwszy się z zadumy — z takim zapałem wysławia brzydotę! Nigdy nie myśli o sobie samym! To nie Caylus ani nie Croisenois. Ten Sorel ma coś z miny mego ojca wówczas, gdy tak dobrze udaje Napoleona na balu". Zapomniała zupełnie o Dantonie. „Stanowczo, nudzę się dziś straszliwie". Ujęła pod ramię brata i ku jego wielkiemu niezadowoleniu zmusiła go, aby się z nią przeszedł trochę po salach. Przyszła jej ochota posłuchać dalszej rozmowy skazańca z Julianem.

Tłum był ogromny. Udało się jej przydybać ich w chwili, gdy o dwa kroki przed nią Altamira zbliżał się do tacy, aby sięgnąć po lody. Rozmawiał z Julianem na wpół doń zwrócony. Spostrzegł ramię w haftowanym rękawie sięgające również do tacy. Haft zwrócił widocznie jego uwagę, obejrzał się, aby sprawdzić, do kogo należy ta ręka. W jednej chwili szlachetne i szczere jego oczy przybrały lekki odcień wzgardy.

— Widzisz tego człowieka — rzekł z cicha do Juliana — to książę d'Araceli, ambasador***. Dziś rano domagał się mego wydania u ministra spraw zagranicznych, pana de Nerval. O, tego tam, który gra w wista. Pan de Nerval dość byłby skłonny mnie wydać, dostarczyliśmy wam bowiem paru spiskowców w 1816. Jeśli mnie oddadzą w ręce memu królowi, zawisnę na szubienicy w ciągu dwudziestu czterech godzin. I to jeden z tych ładnych paniczyków z wąsikami ucapi mnie za kark.

— Nikczemni! — wykrzyknął Julian półgłośno.

Matylda nie traciła ani słowa. Nuda pierzchła.

— Nie tak znów nikczemni — odparł hrabia. — Ot, wspomniałem o sobie, aby ci dać żywy przykład. Popatrz na księcia d'Araceli; co parę minut spogląda na swoje złote runo; nie może się nasycić rozkoszą, że widzi to cacko na swej piersi. Ten biedny człowiek jest w istocie anachronizmem. Sto lat temu złote runo było zaszczytem, ale wówczas przeszłoby wysoko nad jego głową. Dziś między ludźmi z urodzeniem trzeba być takim Aracelim, aby się zeń czuć dumnym. Wywieszałby całe miasto, aby je dostać.

— Za tę cenę je dostał? — spytał Julian wzruszony.

— Niezupełnie — odparł chłodno Altamira — ot, kazał może wrzucić do rzeki ze trzydziestu bogatych właścicieli, którzy uchodzili za liberałów.

— Co za potwór! — dorzucił Julian.

Panna de la Mole, która przechyliła głowę z najżywszym zainteresowaniem, była tak blisko niego, że piękne jej włosy dotykały niemal ramienia Juliana.

— Jesteś bardzo młody! — odparł Altamira. — Mówiłem ci, że mam siostrę w Prowansji; jest jeszcze ładna, dobra, łagodna, wzorowa matka, obowiązkowa, nabożna bez dewocji.

„Do czego on zmierza?" — myślała panna de la Mole.

— Żyje szczęśliwie — ciągnął dalej hrabia Altamira — tak samo żyła i w 1815. Ukrywałem się wówczas u niej w majątku jej koło Antibes; otóż dowiedziawszy się o straceniu Neya, zaczęła tańczyć!

— Czy podobna? — rzekł Julian osłupiały.

— Zaciekłość partyjna! — odparł Altamira. — W XIX wieku nie ma już prawdziwych namiętności; dlatego Francuzi się tak nudzą. Praktykują największe okrucieństwa, ale bez okrucieństwa.

— Tym gorzej! — rzekł Julian. — Kiedy się popełnia zbrodnie, trzebaż bodaj czynić to z przyjemnością; to tylko jest w nich dobrego i jedynie w ten sposób można je po trosze usprawiedliwić.

Panna de la Mole, zapominając zupełnie o etykiecie, wcisnęła się prawie między Juliana a Altamirę. Brat, którego trzymała pod ramię, przyzwyczajony jej ulegać rozglądał się, jak gdyby się zatrzymał z powodu tłoku.

— Masz słuszność — rzekł Altamira — wszystko się dziś robi bez przyjemności, bez świadomości, nawet zbrodnie. Mógłbym ci wskazać na tym balu jakich dziesięciu ludzi, którzy przed sądem boskim staną jako mordercy. Zapomnieli o tym i świat również! Wielu z nich wzrusza się do łez na widok psa, który złamie nogę. Kiedy się ich odprowadza na wieczny spoczynek na *Père-Lachaise*, jakiś mówca obwieszcza, że jednoczyli wszystkie cnoty szlachetnych rycerzy i opowiada o wielkich czynach ich praszczura, kędyś za Henryka IV. Jeśli mimo uczynności księcia Araceli nie powieszą mnie i jeśli będę kiedy cieszył się swoim majątkiem w Paryżu, zaproszę cię na obiad z jakim dziesiątkiem morderców powszechnie szanowanych i wolnych od wyrzutów sumienia. My dwaj na tym obiedzie będziemy jedyni ludzie bez plamy krwi; ale ja będę przedmiotem wzgardy, prawie nienawiści, jako krwiożerczy potwór i jakobin, ty zaś po prostu jako człowiek z ludu, intruz w wykwintnym towarzystwie.

— Najzupełniejsza prawda — rzekła panna de la Mole.

Altamira popatrzył na nią zdumiony; Julian nie raczył spojrzeć.

— Zauważ, że rewolucja, na której czele się znalazłem — ciągnął hrabia — zawiodła jedynie dlatego, że nie chciałem strącić paru głów, ani też rozdzielić między naszych stronników kilku milionów znajdujących się w kasie, od której miałem klucz. Król, który pała dziś żądzą powieszenia mnie, a który przed buntem nazywał mnie po imieniu, dałby mi wielką wstęgę swego orderu, gdybym był strącił te głowy i rozdał te pieniądze; wówczas osiągnąłbym choć połowę celu i kraj mój miałby bodaj jakąś konstytucję... Tak toczy się świat: to partia szachów...

— Wówczas — wykrzyknął Julian z płomieniem w oku — nie umiał pan grać; dziś...

— Straciłbym te głowy, chcesz powiedzieć, i nie byłbym żyrondystą, jak mi to kiedyś dałeś do zrozumienia?... Odpowiem ci — rzekł Altamira smutnie — wówczas, kiedy zabijesz człowieka w pojedynku, co jest jeszcze mniej szpetne niż oddać go w ręce kata.

— Na honor! — rzekł Julian. — Kto chce osiągnąć cel, godzi się na środki; gdybym zamiast być niczym miał jakąś władzę, kazałbym powiesić trzech ludzi, aby ocalić czterech.

Oczy jego wyrażały ogień przekonania oraz wzgardę dla pospolitych sądów ludzkich; spotkał się z oczami panny de la Mole stojącej tuż obok i pogarda ta, miast zmienić się w wyraz uprzejmy i dworny, jak gdyby zdwoiła się jeszcze.

Dotknęło ją to, ale nie było już w jej mocy zapomnieć Juliana; oddaliła się z urazą, pociągając za sobą brata.

„Muszę się napić ponczu i dużo tańczyć — rzekła sobie — postaram się wybrać najświetniejszego partnera i zrobić furorę. Wybornie, oto ów sławny impertynent, hrabia de Fervaques". Przyjęła zaproszenie, zaczęli tańczyć.

„Pokażę ci — myślała — kto ma ostrzejszy języczek; ale aby sobie zadrwić z hrabiego, muszę go rozgadać". Niebawem reszta tancerzy udawała tylko, że tańczy kontredansa: nie chcieli tracić ani jednej z ciętych replik Matyldy. De Fervaques mieszał się; znajdując jedynie gładkie słówka w miejsce myśli, nadrabiał minami; Matylda, podrażniona poprzednim zajściem, dopiekała mu okrutnie. I zrobiła sobie wroga. Tańczyła do rana, wreszcie opuściła bal śmiertelnie znużona. Ale w powozie resztka sił, jakie w niej jeszcze zostały, obróciła się przeciw niej: uczuła się smutna i nieszczęśliwa. Julian wzgardził nią, ona zaś nie mogła nim gardzić.

Julian był w zachwycie. Bezwiednie upojony muzyką, kwiatami, pięknością kobiet, wykwintem, a zwłaszcza, ponad wszystko inne, swoją wyobraźnią, która roiła o odznaczeniach dla niego a wolności dla całego świata, rzekł do hrabiego:

— Co za piękny bal! Niczego tu nie brak.

— Brak myśli — odparł Altamira.

I fizjonomia jego wyrażała ową wzgardę, która jest tym dotkliwsza, im bardziej maskowana grzecznością.

— Wszak pan tu jesteś, hrabio. Czy to nie jest myśl, i to myśl w stanie buntu?

— Jestem tu dla mego nazwiska. Ale wasze salony nienawidzą myśli. Trzeba, aby była na wyżynie piosenki z wodewilu: wówczas może liczyć na nagrodę. Ale człowiek, który myśli, którego słowa tchną energią, świeżością, nazywa się tu *cynikiem*. Czyż nie tym przydomkiem jeden z sędziów ochrzcił Couriera? Wtrąciliście go do więzienia, wraz z Bérangerem. Wszystko, co się u was wznosi nieco wyżej duchem, Kongregacja oddaje na pastwę policji, z aprobatą wykwintnego świata. Tak, wasze zmurszałe społeczeństwo

ceni przede wszystkim pozory. Nie wzniesiecie się nigdy ponad junactwo: będziecie mieli Muratów, nigdy Waszyngtonów. Widzę we Francji jedynie próżność. Człowiek myślący samodzielnie łatwo się może wyrwać z czym nieostrożnym; cóż za hańba dla gospodarza domu!

Przy tych słowach kareta hrabiego, który odwoził Juliana, zatrzymała się przed pałacem. Julian oczarowany był spiskowcem. Altamira powiedział mu wielki komplement, widocznie z głębokiego przekonania:

— Pan nie posiadasz lekkości francuskiej, rozumiesz znaczenie użyteczności.

Przypadkowo przed dwoma dniami Julian widział tragedię Kazimierza Delavigne *Marino Faliero*. „Czy Izrael Bertuccio nie miał więcej charakteru niż wszyscy ci szlachetni Wenecjanie? — powiedział sobie nasz zbuntowany plebejusz — a jednak to są ludzie, których szlachectwo sięga roku 700, na wiek przed Karolem Wielkim, gdy najwyższa *śmietanka* z balu księcia de Retz ledwo, ledwo zdołałaby się wywieść z XIII wieku. I ot! pośród tej szlachty weneckiej, tak wielkiej przez swe urodzenie, wraża się w pamięć jedynie Izrael Bertuccio.

Rewolucja niweczy wszystkie tytuły dane przez kaprys społeczny. Wówczas człowiek zdobywa sobie po prostu to stanowisko, jakie mu daje jego odwaga wobec śmierci. Nawet inteligencja jednostki traci swą władzę.

Czym byłby dziś Danton, w tym wieku Valenodów i Rênalów? Nawet nie byłby podprokuratorem... Co mówię? Zaprzedałby się Kongregacji, byłby ministrem; bo ostatecznie ten wielki Danton kradł. Mirabeau także się sprzedał. Napoleon ukradł miliony we Włoszech, inaczej byłby osiadł na mieliźnie nędzy jak Pichegru. Jeden La Fayette nie kradł nigdy. Czyż więc trzeba kraść, trzeba się sprzedawać?" — myślał Julian. Pytanie to stanęło w poprzek rozumowań. Resztę nocy spędził na czytaniu dziejów Rewolucji.

Nazajutrz pisząc listy w bibliotece, myślał jeszcze o rozmowie z hrabią Altamira.

„W istocie — opowiadał sobie po długim dumaniu — gdyby hiszpańscy liberałowie związali z sobą lud wspólnictwem zbrodni, nie wymieciono by ich tak łatwo. To były zarozumiałe i gadatliwe dzieci... jak ja! — wykrzyknął nagle Julian, budząc się jakby ze snu. — Cóż zdziałałem takiego, co by mi dawało prawo sądzić tych nieboraków, którzy bądź co bądź raz w życiu odważyli się działać? Jestem jak człowiek, który wstając od stołu, powiada: «Jutro nie będę jadł obiadu; co mi nie przeszkodzi być silnym i rześkim jak dziś». Kto wie, czego doznaje człowiek w pół drogi do wielkiego czynu?..."

Te górne myśli zmąciło niespodziane zjawienie panny de la Mole, która weszła do biblioteki. Julian był tak przepełniony podziwem dla wielkości Dantona, Mirabeau, Carnota, którzy umieli nie dać się pokonać, że wzrok jego zatrzymał się na pannie de la Mole zupełnie bez myśli: nie ukłonił się jej, nie widział jej prawie. Skoro wreszcie wielkie jego oczy, tak szeroko rozwarte, spostrzegły jej obecność, zgasły nagle. Panna de la Mole zauważyła to z goryczą.

Na próżno poprosiła go o *Historię Francji* Velly'ego, umieszczoną na najwyższej półce, co zniewoliło Juliana do sięgnięcia po drabinkę. Julian wszedł na drabinę, znalazł tom, oddał go pannie, jeszcze nieprzytomny. Odnosząc drabinę uderzył w pośpiechu łokciem w szybę bibliotecznej szafy; brzęk szkła obudził go wreszcie. Zaczął skwapliwie przepraszać pannę de la Mole; chciał być grzeczny, ale był tylko grzeczny. Matylda widziała wyraźnie, że zaszła go nie w porę i że wolałby zostać ze swymi myślami niż z nią rozmawiać. Popatrzywszy nań długo, odeszła z wolna. Julian spoglądał za odchodzącą. Z przyjemnością stwierdził kontrast między prostotą jej stroju a wczorajszym wykwintem. Różnica fizjonomii była równie uderzająca. Młoda dziewczyna, tak wyniosła na balu, miała w tej chwili wzrok niemal błagalny. „Tak — myślał Julian — ta czarna suknia jeszcze lepiej uwydatnia jej kibić. Postawę ma królewską, ale czemu jest w żałobie? Jeśli spytam kogo o to, może znów popełnię niezręczność?".

Julian ochłonął zupełnie. „Muszę odczytać wszystkie listy pisane dziś rano: Bóg wie, ile znajdę nonsensów!" Gdy zmuszając się do uwagi, czytał pierwszy list, usłyszał szelest jedwabnej sukni; odwrócił się żywo; panna de la Mole stała o dwa kroki i śmiała się. To ponowne wtargnięcie podrażniło Juliana.

Matylda uczuła wyraźnie, że jest niczym dla tego chłopca; śmiechem chciała pokryć zakłopotanie, co jej też się udało.

— Widzę, że pana zaprząta coś bardzo zajmującego, panie Sorel. Czy nie jaka ciekawa anegdota tycząca spisku, któremu Paryż zawdzięcza obecność hrabiego Altamira? Niech mi pan powie, o co chodzi, straszniem ciekawa: będę dyskretna, przysięgam!

Zdziwiła się sama, słysząc własne słowa. Jak to! Ona błaga domownika! Zakłopotanie jej wzrosło, dodała lekko:

— Co mogło z pana, zazwyczaj tak zimnego, uczynić istotę natchnioną, coś na kształt proroka z Michała Anioła?

To niedyskretne pytanie, raniąc Juliana głęboko, wtrąciło go z powrotem w niepoczytalność:

— Czy Danton dobrze zrobił, że kradł? — rzekł gwałtownie z coraz dzikszym wyrazem. — Czy rewolucjoniści w Piemoncie, w Hiszpanii powinni byli wciągnąć lud do zbrodni? Oddać ludziom, nawet niegodnym, rangi, ordery? Czy ludzie, którzy by przywdziali te ordery, nie musieliby się lękać powrotu króla? Czy należało wydać skarb w Turynie na grabież? Słowem, pani — rzekł, zbliżając się ze straszną twarzą — czy człowiek, który chce wygnać z siebie głupotę, zbrodnię, powinien przejść jak burza i zadawać ciosy na oślep?

Matylda zlękła się, nie mogła wytrzymać jego spojrzenia, cofnęła się. Popatrzyła nań chwilę; następnie, wstydząc się swego lęku, lekkim krokiem wyszła z pokoju.

XL. KRÓLOWA MAŁGORZATA

Miłości, w jakimż szaleństwie każesz nam znajdować rozkosz?

Listy zakonnicy portugalskiej.

Julian odczytał listy; rozległ się dzwon na obiad. „Jakiż ja musiałem się wydać śmieszny tej lalce! — myślał — cóż za szaleństwo mówić jej szczerze to, o czym myślałem. Ba, może nie takie szaleństwo. W tej chwili szczerość była kwestią godności".

Po cóż zresztą pytała o rzeczy poufne! To była niedyskrecja, brak taktu. Moje poglądy na Dantona nie wchodzą w zakres świadczeń, za które jej ojciec mi płaci.

Kiedy Julian wszedł do jadalni, wyrwała go z dumań żałobna suknia panny de la Mole; uderzyła go tym więcej, iż nikt z rodziny nie był ubrany na czarno.

Po obiedzie uczuł, że egzaltacja, w której spędził cały dzień, minęła zupełnie. Szczęściem był tego dnia na obiedzie ów łacinnik, członek Akademii.

„Ten może najmniej będzie sobie drwił ze mnie — pomyślał Julian — jeśli, jak przypuszczam, pytanie moje o żałobę panny de la Mole okaże się głupstwem".

Matylda spoglądała nań dziwnie. „Oto zalotność kobiet wielkiego świata, jak mi je odmalowała pani de Rênal — myślał Julian. — Byłem opryskliwy dziś rano, nie uległem jej kaprysowi, kiedy miała chętkę do rozmowy. Nabrałem ceny w jej oczach. Ale to wróci, wróci, jej arystokratyczna pycha potrafi znaleźć odwet. Ha, niech próbuje. Cóż za różnica z tą, którą straciłem! Co za urocza naturalność! Co za prostota! Znałem jej każdą myśl wcześniej niż ona sama; czytałem w jej duszy. W sercu jej walczyła przeciw mnie jedynie obawa śmierci którego z dzieci; zrozumiałe i naturalne przywiązanie, sympatyczne nawet dla mnie, który przez nie cierpiałem. Byłem głupiec. Rojenia moje o Paryżu nie pozwoliły mi ocenić tej wzniosłej kobiety. Cóż za różnica, wielki Boże! A tutaj, co? Oschła i wyniosła próżność, wszystkie odcienie miłości własnej i nic więcej".

Ruszono od stołu. „Nie dajmy nikomu zagarnąć pana akademika" — myślał Julian. Zbliżył się doń, gdy wszyscy przechodzili do ogrodu, przybrał słodką i pokorną minę i jął wtórować jego oburzeniom na powodzenie *Hernaniego*.

— Gdybyśmy żyli w czasach Bastylii!... — rzekł.

— Wówczas nie odważyłby się! — wykrzyknął akademik z gestem godnym Talmy.

Patrząc na jakiś kwiat, Julian przytoczył parę słów z *Georgik* Wergilego, wykrzykując, że nic nie dorówna wierszom księdza Delille. Słowem, przymilał się akademikowi na wszystkie sposoby; po czym odezwał się najobojętniej:

— Widać panna de la Mole dostała spadek po jakim wuju i dlatego nosi żałobę.

— Jak to! Należysz pan do tego domu — rzekł akademik, przystając — i nie znasz jej dziwactwa? W istocie, dziwi mnie, że matka pozwala na to; ale, mówiąc między nami, siła charakteru nie należy do głównych cnót w tym pałacu. Panna de la Mole góruje

nad innymi w tym względzie i wodzi wszystkich na pasku. To dziś 30 kwietnia! — tu akademik zatrzymał się, spoglądając na Juliana z wiele mówiącą miną. Julian uśmiechnął się dwuznacznie.

„Co może być za związek między wodzeniem na pasku, czarną suknią a 30 kwietnia?" — pytał w duchu. Muszę być jeszcze tępszy niż mniemałem.

— Przyznam się... — rzekł do akademika wciąż pytająco.

— Przejdźmy się po ogrodzie — odparł ten, zachwycony, że będzie miał sposobność rozwinąć dłuższe opowiadanie w wytwornym stylu. — Jak to! Czy możliwe, abyś pan nie wiedział, co zaszło 30 kwietnia 1574?

— Gdzie? — spytał Julian zdziwiony.

— Na placu de Grève.

Julian był tak zdumiony, że to słowo nie objaśniło go w niczym. Ciekawość, oczekiwanie tragicznego wzruszenia, tak zgodne z jego charakterem, dawały oczom jego ów blask, tak sympatyczny dla opowiadającego. Akademik zachwycony, że znalazł wdzięcznego słuchacza, opowiedział obszernie, jak to 30 kwietnia 1574 najładniejszy kawaler swego czasu, Bonifacy de la Mole, oraz Hannibal de Coconasso, szlachcic z Piemontu, dali głowy na placu de la Grève.

— La Mole był ubóstwianym kochankiem królowej Małgorzaty Nawarskiej; a zauważ pan — ciągnął akademik — że panna de la Mole nosi imię Matyldy Małgorzaty. La Mole był równocześnie ulubieńcem księcia d'Alençon oraz serdecznym przyjacielem króla Nawarry, później Henryka IV, męża kochanki. W tłusty wtorek owego roku 1574 dwór znajdował się w Saint-Germain wraz z biednym Karolem IX, który dogorywał. La Mole chciał wyrwać z niewoli owych książąt, swych przyjaciół, których Katarzyna Medycejska trzymała pod strażą na dworze. Puścił się w dwadzieścia koni na Saint-Germain; książę d'Alençon stchórzył, la Mole oddał głowę katu.

Co zaś do panny Matyldy (sama mi to wyznała swego czasu, kiedy miała ledwie dwanaście lat; o, bo to jest charakterek!...) — tu akademik podniósł oczy do nieba — otóż, w całej tej awanturze najbardziej ją uderzyło, że królowa Małgorzata ukryta w jakimś domu na placu de Grève odważyła się wyprosić u kata głowę kochanka. I następnego dnia o północy, wziąwszy tę głowę do powozu, sama pojechała ją zagrzebać w kapliczce u stóp Montmartre.

— Czy podobna? — wykrzyknął Julian ze wzruszeniem.

— Panna Matylda gardzi bratem, ponieważ, jak pan widzi, nie myśli zgoła o tej starożytnej historii i nie wdziewa żałoby 30 kwietnia. Od czasu owej głośnej śmierci, i aby upamiętnić serdeczną przyjaźń Bonifacego de la Mole dla Coconassa (który to Coconasso jako szczery Włoch miał na imię Hannibal), wszyscy mężczyźni w rodzinie noszą to miano. Ów Coconasso zaś — dodał akademik, zniżając głos — był wedle słów samego Karola IX, jednym z najokrutniejszych siepaczy w dniu 24 sierpnia 1572[55]. Ale jak to możliwe, drogi panie, abyś pan, mieszkając tutaj, nie wiedział o tym wszystkim?

— Więc to dlatego dwa razy podczas obiadu panna de la Mole nazwała brata Hannibalem... Zdawało mi się, żem się przesłyszał.

— To był wyrzut. Dziw, że margrabia cierpi te szaleństwa... Mąż tej pannicy będzie miał ciężkie życie!

Słowom tym towarzyszyło jeszcze kilka satyrycznych uwag. Złośliwość i niechęć błyszcząca w oczach akademika niemile uderzyły Juliana. „Jesteśmy niby dwaj lokaje obmawiający swoich państwa — pomyślał. — Ale nic nie powinno mnie dziwić ze strony tego filara Akademii".

Jednego dnia Julian zastał go na kolanach przed margrabiną de la Mole; prosił ją o trafikę dla siostrzeńca na prowincji. Wieczorem garderobiana panny de la Mole, robiąc słodkie oczy do Juliana jak niegdyś Eliza, objaśniła go, że żałoba Matyldy nie jest bynajmniej obliczona na pokaz. Dziwactwo to tkwi głęboko w jej charakterze. Kochała szczerze owego la Mole, ulubionego kochanka najrozumniejszej i najdowcipniejszej królowej swego czasu, który zginął za to, że chciał wrócić wolność przyjaciołom. I co za przyjaciołom! Królewskiemu bratu i Henrykowi IV!

---

[55] *24 sierpnia 1572* — Noc Św. Bartłomieja. [przypis autorski]

Przyzwyczajony do idealnej szczerości pani de Rênal, Julian widział w paryżankach jedynie sztuczność; toteż o ile był nastrojony smętnie, nie umiał z nimi rozmawiać. Pana de la Mole stała się wyjątkiem. Z czasem naturalną jej dumę przestał brać za oschłość serca. Miewał z panną de la Mole długie rozmowy, przechadzając się z nią po obiedzie pod oknami salonu. Zwierzyła mu się raz, że czytuje historię d'Aubignégo, również Brantôma. „Osobliwa lektura — pomyślał — a margrabia nie pozwala jej czytać Walter Scotta!"

Jednego dnia z błyskiem szczerego zachwytu opowiedziała Julianowi ów postępek młodej kobiety za Henryka II, wyczytany w *Pamiętnikach* l'Etoile'a: przekonawszy się o niewierności męża, zasztyletowała go.

Cóż za triumf dla miłości własnej Juliana! Osoba otoczona takim uwielbieniem, która wedle wyrażenia akademika wodzi na pasku cały dom, raczy z nim rozmawiać w tonie niemal przyjaźni.

„Omyliłem się — pomyślał niebawem — to nie serdeczność, jestem jedynie powiernikiem z tragedii, to potrzeba wygadania się. Uchodzę tu za inteligentnego. Muszę przeczytać Brantôma, d'Aubignégo, l'Etoile'a. Będę mógł wówczas sprostować tę i ową z powiastek, które mi opowiada panna de la Mole. Trzeba mi wyjść z roli powiernika".

Stopniowo rozmowy jego z młodą dziewczyną, tak dumną, a zarazem tak swobodną, stały się bardziej zajmujące. Julian zapomniał o smutnej roli buntującego się plebejusza. Panna okazała się wykształcona, a nawet rozsądna. Zapatrywania jej w ogrodzie bardzo różniły się od tych, które wygłaszała w salonie. Niekiedy miewała wobec Juliana chwile zapału i szczerości, stanowiące kontrast ze zwykłą wyniosłością i chłodem.

— Wojny Ligi to heroiczny okres Francji — mówiła raz z zapałem. — Wówczas każdy bił się o triumf swego stronnictwa, a nie aby zdobyć mizerny krzyżyk, jak za waszego cesarza. Niech pan przyzna, że mniej w tym było egoizmu i małości. Lubię tę epokę.

— A Bonifacy de la Mole był jej bohaterem — rzekł Julian.

— Był przynajmniej bardzo kochany, a słodko jest być tak kochanym. Któraż dzisiejsza kobieta nie wzdrygnęłaby się przed dotknięciem głowy ściętego kochanka?

Pani de la Mole zawołała córkę. Obłuda, jeśli ma być użyteczna, powinna się ukrywać; Julian zaś, jak widzimy, zwierzył się poniekąd pannie ze swym uwielbieniem dla Napoleona.

„Oto olbrzymia przewaga, jaką oni mają nad nami — myślał Julian, zostawszy sam w ogrodzie. — Dzieje przodków wznoszą ich nad pospolite uczucia; przy tym nie muszą myśleć o środkach do życia! Cóż za nędza! — dodał z goryczą. — Niegodny jestem rozprawiać o tak wielkich rzeczach! Życie moje jest pasmem obłudy, dlatego że nie mam tysiąca franków renty na chleb".

— O czym pan duma? — spytała Matylda, wracając pędem.

Julian znużony był wzgardą dla samego siebie. Przez dumę wyznał szczerze swą myśl. Zaczerwienił się, opowiadając tak bogatej osobie o swym ubóstwie. Hardością tonu starał się podkreślić, że nie prosi o nic. Nigdy nie wydał się Matyldzie tak ładny: w oczach jego błyszczało uczucie i szczerość, których mu często brakło.

W niespełna miesiąc później Julian przechadzał się zamyślony po ogrodzie, ale twarz jego nie miała już owej filozoficznej dumy, w jaką oblekało go ustawne poczucie swej niższości. Odprowadził przed chwilą do pałacu pannę de la Mole, która twierdziła, że potknęła się, biegając z bratem.

„Oparła się na mym ramieniu bardzo szczególnie! — myślał. — Czy jestem śmiesznym zarozumialcem, czy też ona w istocie coś do mnie czuje? Słucha mnie z twarzą tak słodką, nawet wówczas gdy jej zwierzam cierpienia mej dumy! Ona, tak wyniosła! Zdumieliby się goście, gdyby ją ujrzeli z tą fizjonomią. To pewna, że dla nikogo nie ma tej dobroci i słodyczy".

Julian starał się nie przeceniać tej osobliwej przyjaźni. Sam porównywał ją do zbrojnego pokoju. Za każdym widzeniem, nim wrócili do poufnego tonu z dnia poprzedniego, zadawali sobie jak gdyby pytanie: „Będziemy dziś przyjaciółmi czy wrogami?". Julian zrozumiał, że dać się raz znieważyć bezkarnie tej hardej dziewczynie, znaczy stracić wszystko. „Jeżeli mamy się poróżnić, czy nie lepiej, aby się to stało od razu, w obronie słusznych praw mej dumy, niż broniąc się przed wzgardą, jaką pociągnąłby najmniejszy kompromis?"

Niejednokrotnie w dniach złego humoru Matylda próbowała tonów wielkiej damy: mimo że czyniła to bardzo zręcznie, Julian odpychał szorstko te zakusy. Jednego dnia przerwał jej wręcz: „Czy panna de la Mole życzy sobie coś rozkazać sekretarzowi ojca?" — spytał; winien jest wysłuchać jej rozkazów i spełnić je z szacunkiem, ale poza tym nie ma jej nic do powiedzenia. Nie bierze pensji za to, aby się jej spowiadał ze swych myśli.

Stosunek ten i towarzyszące mu wątpliwości rozproszyły nudę, jaką Julian odczuwał stale we wspaniałym salonie, gdzie lękano się wszystkiego i gdzie z niczego nie wypadało żartować.

„To by było zabawne, gdyby ona mnie kochała! Kocha czy nie — ciągnął w duchu Julian — mam powiernicę, inteligentną dziewczynę, przed którą drży cały dom, najbardziej zaś margrabia de Croisenois. Ten młody człowiek tak uprzejmy, łagodny, dzielny, kojarzący wszystkie dary rodu i majątku, z których jeden tylko uczyniłby mnie tak szczęśliwym! Kocha się w niej do szaleństwa, ma ją zaślubić. Ileż listów wypisałem na zlecenie pana de la Mole do obu rejentów w sprawie ślubnego kontraktu! A ja, który z piórem w ręku czuję się tak podrzędną figurą, w dwie godziny później tu, w tym ogrodzie święcę triumf nad tym uroczym człowiekiem; ostatecznie sympatia jej do mnie bije po prostu w oczy. Może nie cierpi w nim przyszłego męża: to by się dosyć godziło z jej dumą. Względy, jakie ma dla mnie, zawdzięczam roli powiernika, komparsa!

Ale nie; albo jestem szalony, albo ona durzy się we mnie: im bardziej jestem chłodny i pełen szacunku, tym bardziej ona szuka mego towarzystwa. To by mogło być rozmyślne, udane: ale wszak widzę, jak oczy jej się ożywiają, skoro zjawię się niespodziewanie. Czyżby paryżanki umiały do tego stopnia grać komedię? Ba, cóż! Pozory są za mną, cieszmy się pozorami. Boże, jakaż ona piękna! Ileż uroku mają dla mnie te wielkie oczy, oglądane z bliska, kiedy tak na mnie patrzą! Cóż za różnica tej wiosny z zeszłym rokiem, kiedy żyłem tak nieszczęśliwy, trzymając się jedynie siłą charakteru pośród trzystu złych i plugawych obłudników! Byłem prawie równie nikczemny jak oni".

Bywały i dni zwątpienia. „Ta dziewczyna drwi sobie ze mnie — myślał. — Porozumiała się z bratem, aby mnie wystrychnąć na dudka. Ale zdawałoby się, że tak szczerze gardzi niedołęstwem brata! «Jest odważny, to i wszystko», powiada. «Nie ma ani jednej myśli, w której by się ważył oddalić od szablonu». Zawsze ja muszę stawać w jego obronie. Dziewiętnastoletnia dziewczyna! Czyż w tym wieku można minutę po minucie trzymać się programu obłudy?

Z drugiej strony, ilekroć ona wlepi we mnie swe duże, niebieskie oczy z pewnym szczególnym wyrazem, zawsze hrabia Norbert oddala się. To mi jest podejrzane; czyż nie powinno by go oburzać, że siostra jego wyróżnia *domownika*? Bo słyszałem, jak książę de Chaulnes wyrażał się o mnie w ten sposób". Na to wspomnienie gniew tłumił w Julianie inne uczucia. „Byłżeby to kult staroświeckiego stylu u tego starego maniaka?"

„Więc cóż, ładna jest! — rozmyślał dalej Julian z oczami błyszczącymi jak u tygrysa. — Będę ją miał, a potem pójdę stąd i biada temu, kto mi zastąpi drogę!"

Zagadnienie to pochłonęło Juliana, nie mógł myśleć o niczym innym. Dnie spływały mu jak godziny. Co chwila, kiedy silił się zająć jaką poważną sprawą, myśl jego rzucała wszystko; w kwadrans później budził się z bijącym sercem, z zamętem w głowie, dumając: „Czy ona mnie kocha?"

XLI. KRÓLESTWO MŁODEJ PANNY

Podziwiam jej piękność, ale boję się jej rozumu.

Mérimée.

Tak Julian trawił czas na rozpamiętywaniu wdzięków Matyldy lub oburzał się na jej wrodzoną wyniosłość, o której zresztą zapominała dla niego. Gdyby był ten czas obrócił na obserwowanie tego, co się dzieje w salonie, zrozumiałby, na czym polega władza tej panny. Z chwilą gdy ktoś nie był po myśli pannie de la Mole, umiała go skarać za pomocą tak celnego, tak dobrze obmyślonego, tak niewinnego na pozór żarciku, że zadana przez nią rana jątrzyła się długo i boleśnie. Ponieważ nie przywiązywała żadnej wartości do rzeczy będących treścią życia dla całej rodziny, zachowała na wszystko obojętne spojrzenie. Miło jest pochwalić się bytnością w arystokratycznym salonie skoro się go opuści, ale to

wszystko; sama grzeczność może mieć urok jedynie przez pierwsze dni. Julian doświadczył tego na sobie; po zachwytach nastąpiło rozczarowanie. „Grzeczność — powiadał sobie — to tylko brak odruchów złego wychowania". Matylda nudziła się często: może nudziłaby się wszędzie. Wówczas złośliwe żarciki stanowiły dla niej szczerą rozrywkę i przyjemność.

Jeśli dała jakie nadzieje margrabiemu de Croisenois, hrabiemu de Caylus i paru dystyngowanym młodzieńcom, to może dlatego, aby zyskać ofiary nieco zabawniejsze od rodziców, od starego akademika, i od paru podrzędnych figur zabiegających o jej względy. Widziała w nich jedynie nowy cel dla pocisków.

Wyznamy z przykrością — bo mamy słabość do Matyldy — że ten i ów pozwolił sobie pisać do niej i ona odpisywała czasami. Śpieszymy dodać, że osóbka ta stanowi wyjątek w obyczajach jej sfery. Wychowanice szlachetnego klasztoru *Sacré-Coeur*, jeśli czym na ogół grzeszą, to nie brakiem ostrożności.

Jednego dnia Croisenois zwrócił Matyldzie dość kompromitujący list pisany doń poprzedniego dnia. Sądził, że tym dowodem ostrożności poprawi swoje widoki. Ale Matylda lubiła właśnie nieostrożność. Lubiła igrać z ogniem. Nie odezwała się do margrabiego przez sześć tygodni.

Bawiły ją listy tych młodych ludzi; ale wedle niej wszystkie były do siebie podobne. Zawsze najgłębsza, melancholijna miłość.

— Każdy z nich jest tym samym zwierciadłem doskonałości, każdy gotów puścić się do Palestyny — zwierzała się kuzynce. — Możesz sobie wyobrazić coś nudniejszego? Więc to takie listy będę otrzymywała przez całe życie! Styl zmienia się co dwadzieścia lat, wedle profesji będącej w modzie. Za czasów Cesarstwa musiał być mniej bezbarwny. Wówczas cała ta złota młodzież widziała lub spełniała czyny, które *naprawdę* miały coś wielkiego. Książę de***, mój wuj, był pod Wagram.

— Czyż to taka sztuka machać szablą? A kiedy się im to zdarzyło, opowiadają o tym tak często! — odparła panna de Sainte-Hérédié, kuzynka Matyldy.

— A jednak lubię te opowiadania. Brać udział w *prawdziwej* bitwie napoleońskiej, gdzie padało po dziesięć tysięcy ludzi, to dowodzi odwagi. Niebezpieczeństwo podnosi duszę i ratuje ją od nudy, w której toną moi biedni wielbiciele, a ta nuda jest zaraźliwa. Któremu z nich przyszło na myśl zrobić coś niezwykłego? Starają się zyskać mą rękę, wielka historia! Jestem bogata, ojciec mój zapewni zięciowi protekcję. Och! Gdybyż się znalazł jeden trochę zabawniejszy od innych!

Żywy, jasny, obrazowy sposób widzenia psuł, jak czytelnik widzi, język Matyldy. Niejedno słówko raziło uszy jej dwornych wielbicieli. Gdyby panna de la Mole nie była tak *w modzie*, uznaliby niemal, że styl jej jest nieco jaskrawy jak na skromną panienkę.

Ona znowuż była niesprawiedliwa dla paniczów z Lasku Bulońskiego. Patrzała w przyszłość nie ze zgrozą — to byłoby coś żywego — ale z odrazą bardzo rzadką w jej latach.

Czego mogła pragnąć? Majątek, urodzenie, dowcip, piękność — wedle głosu ogółu, w który wierzyła — wszystko to skupiło się z woli losu w niej.

Oto stan duszy owej panny budzącej zazdrość w całym Saint-Germain w epoce, kiedy zaczynała znajdować przyjemność w przechadzkach z Julianem. Zdziwiła ją jego duma, a zaimponował jej spryt młodego wieśniaka. „Zostanie biskupem, jak ksiądz Maury" — pomyślała.

Niebawem ten szczery i nieudany opór, jaki bohater nasz przeciwstawiał wielu jej myślom, zainteresował ją; myślała o tych rozmowach, opowiadała o nich szczegółowo przyjaciółce z uczuciem, że nigdy nie odda dobrze ich charakteru.

Naraz olśniła ją myśl: „Cóż za szczęście, ja kocham! — pomyślała jednego dnia z niewiarygodnym upojeniem. — Kocham, kocham, to jasne! W moim wieku, młoda, ładna, inteligentna dziewczyna, gdzie może znaleźć wrażenia, jeśli nie w miłości? Daremnie bym się siliła, nigdy nie zdołam pokochać panów de Croisenois, de Caylus i *tutti quanti*. Są doskonali, za doskonali może, słowem, nudzą mnie".

Przeszła w głowie wszystkie opisy namiętności, które czytała w *Manon Lescaut*, *Nowej Heloizie*, *Listach zakonnicy portugalskiej*, etc. Chodziło, rozumie się, jedynie o wielką miłość; miłostka była niegodna panny jej lat i urodzenia. Miano miłości dawała jedynie owemu heroicznemu uczuciu, jakie zdarzało się we Francji z czasów Henryka III i Bassompierre'a. Miłość taka nie ustępowała nikczemnie przeszkodom; przeciwnie, po-

pychała do wielkich czynów. „Cóż za nieszczęście — myślała — że nie mamy prawdziwego dworu, jak dwór Katarzyny Medycejskiej lub Ludwika XIII! Czuję się na wysokości wszystkiego, co śmiałe i wielkie. Czegóż nie uczyniłabym z dzielnego króla, jak Ludwik XIII, wzdychającego u mych stóp! Zawiodłabym go do Wandei, jak często mówi baron de Tolly, i stamtąd odzyskałby swoje królestwo; wówczas precz z konstytucją... a Julian byłby mym pomocnikiem. Czego mu zbywa? Nazwiska i majątku. Zdobyłby nazwisko, zdobyłby majątek.

Niczego nie zbywa takiemu Croisenois, a będzie całe życie jedynie książątkiem *półultra*, półliberałem, istotą zawsze niezdecydowaną i odległą od ostateczności, tym samym *zawsze na drugim planie*.

Gdzież jest wielki czyn, który by nie był *ostatecznością*, szaleństwem w chwili, gdy się go podejmuje? Dopiero kiedy się urzeczywistni, wydaje się czymś możliwym pospolitym istotom. Tak, miłość ze swymi cudami będzie władała w mym sercu; czuję ją po ogniu, jaki mnie ożywia. Należała mi się od nieba ta łaska. Nie na próżno skupiło ono na jednej istocie wszystkie swoje dary. Szczęście moje będzie godne mnie. Dni nie będą tak głupio podobne do siebie. Już w tym jest wielkość, jest odwaga, aby się ważyć kochać człowieka stojącego o tyle niżej. Spróbujmy, czy w dalszym ciągu okaże się mnie wart. Za pierwszą słabością, jaką w nim spostrzegę, rzucam go. Dziewczyna mego rodu i z tak *rycerskim charakterem* (to określenie jej ojca) nie powinna żyć jak gąska.

A czyż nie taką była moja rola, gdybym pokochała margrabiego? Miałabym nowe wydanie szczęścia kuzynek, którymi tak gardzę. Wiem z góry, co by mi powiedział poczciwy Croisenois i co ja bym odpowiedziała. Cóż to za miłość, przy której się ziewa? To już lepsza dewocja. Miałabym wesele takie jak niedawno jedna kuzynka, przy czym czcigodna rodzina roztkliwiłaby się, o ile nie byłaby wściekła o jakiś punkcik kontraktu wsunięty w ostatniej chwili przez rejenta jej oblubieńca".

XLII. BYŁŻEBY TO DANTON?

Potrzeba niebezpieczeństwa, oto natura pięknej Małgorzaty Walezjanki, mojej ciotki, która rychło zaślubiła króla Nawarry, obecnie panującego Francji pod mianem Henryka IV. Potrzeba hazardu stanowiła całą tajemnicę charakteru tej uroczej księżniczki; stąd jej kłótnie i jednania z braćmi od szesnastego roku życia. Owo, cóż może stawić na kartę młoda dziewczyna? To co ma najcenniejszego, swoją reputację, cześć całego życia.

Pamiętniki księcia Angoulème naturalnego syna Karola IX.

„Między Julianem a mną nie ma żadnych kontraktów, rejentów; wszystko jest heroiczne, wszystko będzie dzieckiem przypadku. Poza szlachectwem, którego mu brak, jest to wierne powtórzenie miłości Małgorzaty Walezjanki dla młodego La Mole, najdworniejszego kawalera swoich czasów. Czyż to moja wina, jeśli młodzi panicze ze dworu tak pilnie przestrzegają tego co *wypada* i bledną na samą myśl o śmielszej przygodzie. Mała wycieczka do Grecji lub Afryki jest dla nich szczytem odwagi, a i tam jeszcze umieją wędrować jedynie kupą. Z chwilą gdy znajdą się sami, boją się nie włóczni Beduina, ale śmieszności, i ta myśl doprowadza ich do szaleństwa.

Mój Julianek przeciwnie, lubi działać tylko sam. Nigdy w tej wyjątkowej naturze nie postanie myśl szukania pomocy i oparcia u drugich! Gardzi drugimi i dlatego ja nim nie gardzę. Gdyby przy swym ubóstwie Julian był szlachcicem, miłość moja byłaby tylko pospolitym głupstwem, płaskim mezaliansem; nie miałaby tego, co cechuje wielką namiętność; bezmiaru trudności do zwalczenia i tragicznej niepewności wyniku".

Panna de la Mole była tak przejęta tymi rojeniami, że nazajutrz bezwiednie prawie jęła wychwalać Juliana przed margrabią de Croisenois i bratem. Rozwinęła taką wymowę, że dotknęła ich.

— Strzeż się tego chłopca i tej energii — wykrzyknął brat — skoro powtórzy się rewolucja, pośle nas wszystkich na gilotynę.

Nie odpowiedziała wprost; zaczęła żartować z brata i margrabiego z powodu lęku, jaki w nich budzi energia. Jest to w gruncie jedynie obawa spotkania się z czymś nieprzewidzianym, lęk, że się nie zdoła sprostać temu czemuś...

— Zawsze, zawsze, panowie, obawa śmieszności; potwora, który na szczęście umarł w roku 1816.

„Nie ma już śmieszności — mawiał pan de la Mole — w kraju, gdzie są dwa stronnictwa".

Córka zrozumiała jego myśl.

— Tak więc, panowie — rzekła do przeciwników Juliana — będziecie drżeć ze strachu całe życie, a potem powiedzą wam:

Nie było zgoła wilka, był tylko cień jego.

Matylda pożegnała ich. Odezwanie brata przejęło ją zgrozą i lękiem, ale nazajutrz widziała w nim już tylko najwyższą pochwałę.

„W epoce, gdy wszelka energia umarła, jego energia budzi w nich niepokój. Powtórzę Julianowi powiedzenie brata; zobaczę, co odpowie. Ale wybiorę chwilę, kiedy mu oczy błyszczą. Wówczas nie potrafi skłamać.

To byłby Danton! — dodała po długiej zadumie. — Więc dobrze przypuśćmy, że rewolucja się zaczyna. Jaką rolę odegrałby Croisenois i brat? Wiadomo z góry: wzniosła rezygnacja. Byłyby z nich heroiczne barany, pozwalające się zarżnąć bez słowa. Jedyną ich obawą w chwili śmierci byłoby to, aby nie uchybić dobremu tonowi. Mój Julianek palnąłby w łeb jakobinowi, który by go przyszedł uwięzić, o ile by miał bodaj cień nadziei ocalenia. On się nie boi być w złym tonie; o, nie!"

To ostatnie słowo pogrążyło ją w zadumie; budziło przykre myśli i odjęło jej całą śmiałość. Przypomniały się jej żarciki panów de Caylus, de Croisenois, de Luz, brata. Wszyscy ci panowie zarzucali jednogłośnie Julianowi minę *księżą*: pokorną i obłudną.

„Ależ — podjęła nagle z okiem błyszczącym radością — cierpkość i wytrwałość ich żarcików dowodzi na przekór im, że jest to najwybitniejszy człowiek, jaki pojawił się tej zimy. Cóż znaczą jego wywody, śmieszności! Jest w nim coś wielkiego, co ich drażni, ich, zazwyczaj tak dobrych i pobłażliwych. Wiadomo, że jest biedny i że się kształci na księdza; oni mają epolety i nie potrzebują nauki; to wygodniej.

Mimo tego szpetnego czarnego ubrania i mimo tej księżej fizjonomii, którą biedny chłopiec musi mieć pod karą głodowej śmierci, charakter jego niepokoi ich, to pewna. A i tej księżej miny wyzbywa się, skoro tylko chwilę jesteśmy sami. A kiedy ci panicze powiedzą coś, co im się zdaje sprytne i oryginalne, czy pierwsze ich spojrzenie nie kieruje się na Juliana? Zauważyłam to doskonale. A mimo to wiedzą, że on nigdy się do nich nie odezwie, o ile go nie zapytają. Zwraca się pierwszy jedynie do mnie. Uważa mnie za duszę wyższą. Na ich uwagi odpowiada tylko o tyle, o ile wymaga grzeczność. Natychmiast uderza w ton szacunku. Ze mną dysputuje całymi godzinami; nie jest pewny swych poglądów, póki spotkają się u mnie z najlżejszym bodaj zarzutem. Wreszcie przez całą zimę nie było strzelaniny; jedynie słowami można było ściągnąć na siebie uwagę. Otóż ojciec mój, człowiek wyższy, który wysoko wzniesie losy naszego domu, szanuje Juliana. Wszyscy inni nienawidzą go; nie gardzi nim nikt z wyjątkiem dewotek, przyjaciółek matki".

Hrabia de Caylus miał lub też udawał wielką namiętność do koni; spędzał życie całe w stajni, często nawet jadał tam śniadanie. Ta namiętność w połączeniu z zasadą, aby się nigdy nie śmiać, zyskała mu mir wśród przyjaciół: był to luminarz tego kółka.

Nazajutrz, skoro wszyscy młodzi z wyjątkiem Juliana skupili się za fotelem pani de la Mole, de Caylus, wspierany przez margrabiego de Croisenois i Norberta, zaatakował żywo pochlebny sąd Matyldy o Julianie i to bez żadnej racji, od pierwszego słowa. Zrozumiała doskonale grę i była zachwycona.

„Sprzymierzyli się wszyscy — myślała — przeciw genialnemu chłopcu, który nie ma ani dziesięciu ludwików renty i który nie może im odpowiedzieć, chyba że jest pytany. Boją się go w tym jego czarnym ubraniu. Co by dopiero było w epoletach!"

Nigdy Matylda nie była tak olśniewająca. Od pierwszej zaczepki obsypała Caylusa i jego sprzymierzeńców sarkazmami. Zgasiwszy ogień żarcików, jakimi próbowali się bronić świetni oficerowie, rzekła:

— Niech jutro jaki szlachetka z Franche-Comté spostrzeże się, że Julian jest jego naturalnym synem, niech mu da nazwisko i kilka tysięcy franków, za sześć tygodni będzie miał wąsy jak wy, panowie; za pół roku będzie oficerem huzarów jak wy, panowie.

I wówczas tęgość jego charakteru przestanie być śmieszna. Wówczas, mój przyszły książę-panie, pozostanie ci wyłącznie dawny lichy argument: wyższość szlachty ze Dworu nad szlachtą z prowincji. Ale co panu pozostanie, jeśli zechcę pana przyprzeć do muru, jeśli przyjdzie mi ochota dać Julianowi za ojca jakiegoś hiszpańskiego granda, jeńca wojennego w Besançon za Napoleona, który to grand przez skrupuł sumienia uznaje syna na łożu śmierci?

Wszystkie te domysły o nieprawym pochodzeniu wydały się panom Caylus i de Croisenois w złym guście; oto jedyne wrażenie, jakie odnieśli z wywodów Matyldy.

Słowa siostry były tak jasne, że Norbert, mimo iż tak przez nią zawojowany, przybrał poważną minę, niezbyt, trzeba to przyznać, odpowiednią dla jego uśmiechniętej i poczciwej fizjonomii. Odważył się rzec kilka słów.

— Czyś ty chory, mój drogi? — odparła Matylda z poważną minką. — Musi być z tobą bardzo źle, skoro odpowiadasz na żart morałami. Ty i morały! Czyżbyś się ubiegał o posadę prefekta?

Urażona mina hrabiego de Caylus, zły humor Norberta i milcząca rozpacz pana de Croisenois zatarły się rychło w pamięci Matyldy. Musiała się zdobyć na postanowienie wobec myśli, która przemożnie zawładnęła jej duszą.

„Julian jest ze mną dość szczery — rzekła sobie — w jego wieku, na podrzędnym stanowisku, przy tej dręczącej go ambicji można odczuwać potrzebę przyjaciółki. Jestem może tą przyjaciółką, ale nie widzę w tym miłości. Przy takim charakterze jak jego, wyznałby mi tę miłość".

Ta niepewność, te roztrząsania wypełniły wszystkie chwile Matyldy. Po każdej rozmowie z Julianem znajdowała nowe argumenty; nuda, która ją trapiła dotąd, pierzchła.

Jako córka wybitnego człowieka, który mógł zostać ministrem i zwrócić duchowieństwu jego lasy, panna de la Mole była w *Sacré-Coeur* przedmiotem bezmiernych pochlebstw. Szkody, jakie stąd powstają, są nie do powetowania. Wmówiono w nią, że dzięki swemu urodzeniu, bogactwu, powinna być szczęśliwsza od innych. Jest to źródło nudy monarchów oraz ich szaleństw.

Matylda nie uniknęła tego zgubnego oddziaływania. Mimo całej inteligencji dziesięcioletnie dziecko nie może się opancerzyć przeciw pochlebcom całego klasztoru i to tak uzasadnionym na pozór.

Z chwilą gdy orzekła, że kocha Juliana, przestała się nudzić. Co dzień czuła się szczęśliwsza, że zdobyła się na wielkie uczucie. „To niebezpieczna zabawka — myślała. — Tym lepiej! Och, tym lepiej!"

„Bez wielkiej namiętności umierałam z nudy w najpiękniejszym okresie życia, między szesnastym a dwudziestym rokiem. Straciłam już najlepsze lata, słuchając zrzędzenia matczynych przyjaciółek, które w 1792 w Koblencji nie były podobno tak surowe jak ich dzisiejsze morały".

Gdy Matylda brnęła w tych niepewnościach, Julian nie mógł zrozumieć przeciągłych spojrzeń, które raz po raz zatrzymywały się na nim. Zauważył jedynie chłód hrabiego Norberta oraz wyniosłość panów de Caylus, de Luz i de Croisenois. Był do tego przyzwyczajony. Nieszczęście to spadało nań zazwyczaj po jakimś wieczorze, na którym zwrócił na siebie uwagę więcej niż przystało. Gdyby nie uprzejmość Matyldy oraz gdyby nie ciekawość, jaką w nim budziło to wszystko, wyrzekłby się towarzystwa młodych elegantów, kiedy po obiedzie udawali się do ogrodu za panną de la Mole.

„Tak, nie podobna się mylić — powiadał sobie Julian — panna de la Mole patrzy na mnie w osobliwy sposób. Ale nawet kiedy jej piękne oczy otwierają się dla mnie z największym wylaniem, widzę w nich zawsze jakiś odcień śledztwa, chłodu i złośliwości. Czy możliwe, aby to była miłość? Cóż za różnica z oczami pani de Rênal!"

Raz po obiedzie Julian, który udał się za panem de la Mole do gabinetu, wrócił szybko do ogrodu. Zbliżając się bez zastanowienia do grupy otaczającej Matyldę, zasłyszał kilka słów dość głośnych. Panna de la Mole spierała się o coś z bratem. Julian usłyszał dwa razy swoje imię. Postąpił bliżej; zapanowało milczenie i daremnie silono się je przerwać. Panna de la Mole i jej brat nadto byli podnieceni, aby znaleźć inny temat. De Caylus, de Croisenois, de Luz i jeszcze ktoś z młodych, wszyscy wydali się Julianowi lodowaci. Oddalił się.

XLIII. SPISEK

Urywki słów, przypadkowe spotkania przeobrażają się w oczach człowieka z wyobraźnią w najoczywistsze dowody, zwłaszcza jeśli rozpala go namiętność.

Schiller.

Nazajutrz Julian znowuż zaszedł Norberta i siostrę, gdy rozmawiali o nim. Za jego zjawieniem zapanowała, jak wczoraj, śmiertelna cisza. Podejrzenia jego nie miały granic.

— Czyżby ci mili panicze postanowili sobie zadrwić ze mnie? Trzeba przyznać, że to o wiele prawdopodobniejsze, bardziej naturalne niż rzekoma miłość panny de la Mole do biednego sekretarzyny. Zresztą czyż ci ludzie miewają namiętności? Siła ich leży w udawaniu. Zazdroszczą mi odrobiny wymowy. Zazdrość to też ich słabostka. Wszystko tłumaczy się kluczem. Panna de la Mole chce we mnie wmówić, że jest mną zajęta, po prostu, aby się zabawić z narzeczonym moim kosztem.

Okrutne to podejrzenie sprawiło przewrót w duszy Juliana. Myśl ta zniweczyła bez trudu zarodek miłości, który kiełkował w jego sercu. Miłość tę wyhodowała jedynie rzadka piękność Matyldy lub raczej jej królewskie wzięcie[56] oraz cudowne toalety. W tym był Julian jeszcze parweniuszem. Ładna kobieta z wielkiego świata jest podobno czymś najbardziej uderzającym dla zdolnego plebejusza w chwili, gdy wchodzi w wyższe sfery. Nie charakter Matyldy był przedmiotem zadumy Juliana w ubiegłych dniach. Był dość inteligentny, aby sobie zdać sprawę, że nie zna zgoła tego charakteru: wszystkie jego objawy mogły być jedynie pozorem.

I tak Matylda za nic w świecie nie upuściłaby mszy w niedzielę; prawie co dzień towarzyszyła matce do kościoła. Jeśli w salonie de la Mole ktoś niebacznie zapomniał, gdzie się znajduje i pozwolił sobie na cień żartu godzącego w prawdziwe lub urojone interesy tronu i ołtarza, Matylda lodowaciała natychmiast. Spojrzenie jej, zazwyczaj tak żywe, stroiło się w niewzruszoną dumę starego rodzinnego portretu.

Równocześnie Julian przekonał się, że panna posiada zawsze w swoim pokoju parę najwolnomyślniejszych tomów Woltera. On sam ściągał nieraz tom z tego wspaniale oprawnego wydania. Rozsuwając nieco pozostałe tomy, ukrywał brak tego, który zabierał; ale niebawem spostrzegł, że i ktoś drugi czytuje Woltera. Uciekł się do sztuczki praktykowanej w seminarium; umieścił parę ździebeł włosia na tomach, które, jak sądził, mogłyby zająć pannę de la Mole. Znikały na całe tygodnie.

Pan de la Mole, zirytowany na księgarza, który mu nasyłał obficie *fałszywe pamiętniki*, polecił Julianowi, aby kupował wszystkie śmielsze nowości. Ale iżby trucizna nie rozlała się po domu, sekretarz miał rozkaz chować te książki w szafce margrabiego. Niebawem zyskiwał pewność, że te nowe książki, o ile były bodaj trochę wrogie interesom tronu i ołtarza, rychło znikały. Z pewnością nie Norbert je czytywał.

Julian, przeceniając doniosłość tych faktów, przypisywał pannie de la Mole głębię Makiawela. Ta rzekoma zbrodniczość stanowiła urok w jego oczach, prawie jedyny duchowy urok, jaki posiadała. Znudzenie hipokryzją i morałami wtrąciło go w tę ostateczność.

Wyobraźnia jego bardziej wchodziła tu w grę niż serce. Dopiero napasłszy się w myślach kibicią panny de la Mole, wykwintem stroju, białością rąk, pięknością ramion, swobodą każdego ruchu, Julian czuł się zakochany. Wówczas dla dopełnienia uroku wyobrażał ją sobie jako Katarzynę Medycejską, głęboką i zbrodniczą. Był to ideał Maslonów, Frilairów, Castanedów, uwielbianych przezeń w młodości. Słowem, był to dlań ideał Paryża.

Czy może być coś pocieszniejszego niż wiara w głębię lub zbrodniczość charakterów w Paryżu?

„Nie podobna, aby to *trio* drwiło sobie ze mnie!" — myślał Julian. Kto zna jego charakter, wyobraża sobie chłodny i posępny wyraz, jakim odpowiedział na spojrzenia Matyldy. Z ironią odepchnął wynurzenia przyjaźni, o której zdumiona panna odważyła się natrącić[57].

---

[56] *wzięcie* — sposób bycia, zachowanie.
[57] *natrącić* — wspomnieć, nadmienić.

Podrażnione tym zwrotem serce młodej panny, z natury chłodne, znudzone, wrażliwe na grę inteligencji, pogrążyło się w namiętność, do której było stworzone. Ale w charakterze Matyldy było też wiele dumy; toteż uczuciu, które czyniło całe jej szczęście zależnym od drugiej osoby, towarzyszył smutek.

Przez czas pobytu w Paryżu Julian skorzystał już tyle, aby rozróżnić, że to nie jest oschły smutek nudy. Zamiast łaknąć, jak niegdyś, wieczorów, widowisk i rozrywek, Matylda unikała ich.

Muzyka francuska śmiertelnie nudziła Matyldę; mimo to Julian, który uważał sobie za obowiązek wystawać z końcem widowiska w przedsionku, zauważył, że Matylda bywa w Operze bardzo często. Zdawało mu się, że straciła nieco z owej doskonałej miary, jaśniejącej wprzódy we wszystkich jej postępkach. Sposób, w jaki rozmawiała z młodymi ludźmi, bywał niekiedy tak ironiczny, że aż obelżywy. Zdawało się Julianowi, iż szczególnie wzięła na ząb margrabiego de Croisenois.

„Musi ten człowiek szalenie kochać pieniądze, skoro nie rzuci tej panny, z całym jej majątkiem!" — myślał Julian. On sam, obrażony za ród męski, odnosił się do Matyldy ze zdwojonym chłodem; często wprost niegrzecznie.

Mimo iż postanowił nie dać się wziąć na lep sympatii Matyldy, bywała ona tak wyraźna, on zaś sam, w miarę jak mu z oczu zaczęła spadać łuska, był tak pod urokiem panny, że niekiedy nie wiedział, co z sobą począć.

„Zręczność i wytrwałość tych fircyków odniosłyby w końcu triumf nad mym niedoświadczeniem — myślał — trzeba jechać i położyć temu koniec". Margrabia powierzył mu zarząd majątków i domów, których posiadał sporo w Languedoc. Podróż była nieodzowna: pan de la Mole zgodził się na nią z trudem. Wyjąwszy sferę wysokich ambicji margrabiego, Julian stał się dlań jego drugim „ja".

„Ostatecznie nie dałem się im złapać — powiedział sobie Julian, gotując się do wyjazdu. — Czy żarciki, jakimi panna de la Mole smaga tych panków są szczere lub czy mają jedynie uśpić mą nieufność, ostatecznie ubawiły mnie".

Jeśli nie chodziło tu o to, aby zadrwić z chłopskiego syna, charakter tej panny jest niezrozumiały co najmniej w równej mierze dla pana de Croisenois, co dla mnie. Wczoraj na przykład robiła wrażenie zupełnie szczerej: a ja, biedny i nędzny, miałem tę rozkosz, że pognębiłem swym faworem młodzieńca bogatego i znamienitego rodu. Oto mój najpiękniejszy triumf; będę go rozpamiętywał w kolasce pocztowej, gnając do Languedoc.

Julian trzymał wyjazd w sekrecie, ale Matylda wiedziała lepiej od niego, że ma opuścić Paryż nazajutrz i na długo. Oznajmiła, że ją strasznie boli głowa i że w dusznym salonie czuje się jeszcze gorzej. Przechadzała się długo po ogrodzie i tak nękała kąśliwymi żarcikami Norberta, panów de Croisenois, Caylus, de Luz i paru innych, że przepędziła ich w końcu. Julianowi przyglądała się w szczególny sposób.

„To spojrzenie mogłoby być komedią — myślał Julian — ale ten przyspieszony oddech, całe to pomieszanie! Ba! Czyż mnie sądzić o tym? Mam do czynienia z najświetniejszą i najsprytniejszą paryżanką. Ten przyspieszony oddech, który omal mnie nie wzruszył, jest może wystudiowany u Leontyny Fay, którą Matylda ubóstwia".

Zostali sami; rozmowa gasła. „Nie! Julian nic nie czuje dla mnie" — mówiła sobie Matylda szczerze zgnębiona.

Kiedy się z nią żegnał, ścisnęła mu ramię z siłą:

— Dostanie pan dziś ode mnie list — rzekła głosem tak zmienionym, że dźwięk jego ledwo był do poznania.

Okoliczność ta wzruszyła głęboko Juliana.

— Ojciec — ciągnęła — ceni go wysoko za usługi, jakie mu pan oddaje. *Musi* pan odwlec jutrzejszy wyjazd; niech pan znajdzie pozór.

I oddaliła się pędem.

Julian patrzył z zachwytem na jej uroczą kibić, nóżkę rzadkiej piękności, chód pełen wdzięku; ale czy odgadłby kto, co wypełniło jego myśl, skoro Matylda znikła? Uczuł się obrażony rozkazującym tonem, z jakim rzekła to *musi*. Ludwik XV także, w godzinę śmierci, odczuł bardzo niemile owo *musi* niezręcznie użyte przez nadwornego lekarza, a wszak Ludwik XV nie był parweniuszem.

Za godzinę lokaj oddał Julianowi list; było to po prostu wyznanie miłosne.

„Styl wcale naturalny" — zauważył w duchu Julian, siląc się za pomocą spostrzeżeń literackich powściągnąć radość, która kurczyła jego policzki i mimo woli zmuszała go do uśmiechu.

— Nareszcie, ja — wykrzyknął, nie mogąc opanować naporu uczuć — ja, biedny chłopak, otrzymuję oświadczyny od wielkiej damy! Co do mnie, spisałem się nieźle — dodał. — Umiałem zachować godność: nie powiedziałem, że ją kocham.

Zaczął badać kształt liter; panna de la Mole miała drobne pismo angielskie. Potrzebował fizycznego zajęcia, aby stłumić radość dochodzącą do szału.

„Wyjazd pański zmusza mnie do wyznania... Byłoby nad moje siły nie widywać pana..."

Jedna myśl olśniła Juliana nagłym odkryciem, przerwała rozczytywanie się w liście i zdwoiła jego uciechę.

— Pobiłem margrabiego de Croisenois! — wykrzyknął. — Ja, który umiem rozmawiać tylko poważnie! A on jest taki przystojny, ma wąsiki, śliczny uniform, umie zawsze znaleźć na poczekaniu zręczne słówko!...

Julian miał chwilę upojenia, błąkał się po ogrodzie oszalały ze szczęścia. Następnie udał się do kancelarii i kazał się oznajmić margrabiemu, który na szczęście był w domu. Dowiódł mu z łatwością, pokazując jakieś papiery z Normandii, że obrót tamtejszych procesów wymaga odłożenia podróży.

— Rad jestem, że nie jedziesz — rzekł margrabia, skoro ukończyli rozmowę o interesach — *lubię cię mieć przy sobie*.

Julian wyszedł; te słowa zmieszały go.

— A ja mam zamiar uwieść jego córkę! Córkę, w której ojciec mieści chlubę swego życia, uniemożliwić małżeństwo z panem de Croisenois; jeśli sam nie otrzyma mitry, ujrzy ją przynajmniej na jej głowie.

Przeszło mu przez głowę, aby jechać do Languedoc mimo listu, mimo rozmowy z margrabią. Ale ten błysk szlachetności zgasł szybko.

„Dobry sobie jestem — pomyślał — ja, plebejusz, aby się litować nad taką rodziną! Ja, którego książę de Chaulnes nazywa *domownikiem*! W jaki sposób margrabia pomnaża swój olbrzymi majątek? Grając na zniżkę, skoro się dowie w zamku, że nazajutrz ma nastąpić urojony zamach stanu. A ja, rzucony przez garbaty los na ostatni szczebel, ja, któremu ten los dał szlachetne serce, a odmówił bodaj tysiąca franków renty, to znaczy chleba, *ściśle biorąc chleba*, ja miałbym sobie odmówić przyjemności, która się nastręcza? Toć to orzeźwiające źródło, które gasi moje pragnienie w pustyni mierności przebywanej tak mozolnie! Na honor, nie głupim; niech każdy dba o siebie w pustyni egoizmu zwanej życiem".

Przypomniał sobie wzgardliwe spojrzenie pani de la Mole, a zwłaszcza jej dostojnych przyjaciółek. Przyjemność zwycięstwa nad panem de Croisenois spłoszyła do reszty ten przebłysk cnoty.

— Jakżebym chciał, aby się obraził! — wykrzyknął. — Jakże pewną ręką wpakowałbym mu teraz szpadę gdzieś pod żebro! — (Zaznaczył gestem cios). — Przedtem byłem chłystkiem wyzyskującym nikczemnie odrobinę odwagi. Po tym liście jestem mu równy.

„Tak — powiadał sobie z nieopisaną rozkoszą, sącząc z wolna słowa — zważono na szali zalety pana margrabiego i moje, i biedny cieśla przeważył".

— Brawo! — wykrzyknął. — Oto jak trzeba mi podpisać mą odpowiedź. Nie wyobrażaj sobie, panno de la Mole, że ja zapominam o moim stanie. Dam ci ja dobrze uczuć i zrozumieć, że to z synem drwala zdradzasz potomka sławnego Wita de Croisenois, który towarzyszył Św. Ludwikowi na wyprawę krzyżową.

Julian nie mógł powściągnąć radości. Musiał zejść do ogrodu. Pokój, w którym zamknął się na klucz, wydał mu się ciasny, duszny.

„Ja, biedny góralczyk — powtarzał sobie bez ustanku — ja, skazany wiecznie na ten smutny czarny strój! Ha! Dwadzieścia lat wprzódy nosiłbym mundur jak oni. Wówczas człowiek taki jak ja ginął lub był w *trzydziestym szóstym roku generałem*".

List, który trzymał w ręce, dawał mu wzrost i postawę bohatera.

— Teraz, prawda, w tym czarnym ubraniu można mieć w czterdziestym roku sto tysięcy franków dochodu i błękitną wstęgę jak biskup z Beauvais. Doskonale! — mówił,

śmiejąc się śmiechem Mefistofelesa — Mam więcej sprytu od nich; umiem wybierać mundur swej epoki.

Uczuł przypływ ambicji i przywiązania do duchownego stroju. „Iluż kardynałów niżej urodzonych ode mnie panowało! Mój ziomek Granvelle na przykład".

Stopniowe podniecenie Juliana uspokoiło się; rozsądek przeważył. Powiedział sobie tak jak jego mistrz Tartufe, którego rolę umiał na pamięć:

Mogę w tym widzieć podstęp niewinny z twej strony...
.....
Nie uwierzę tym słowom, tak pełnym słodyczy,
Póki łask twoich, pani, dowód wyraźniejszy
Powątpiewania mego w twą szczerość nie zmniejszy...

Tartufe. akt 4. scena 5.

— Tartufe także zginął przez kobietę, a był to chwat nie lada... Mogłaby komu pokazać mą odpowiedź... ale znajdziemy lekarstwo — dodał, cedząc z wolna słowa z akcentem tłumionego okrucieństwa — zaczniemy ją od najpłomienniejszych zdań z listu boskiej Matyldy.

Tak, ale czterech lokajów pana de Croisenois rzuci się na mnie i wydrze mi oryginał.

Nie; jestem dobrze uzbrojony i mam zwyczaj, jak wiadomo, palić bez ceremonii do lokajów.

Ale cóż, trafi się jeden odważniejszy i rzuci się na mnie. Przyrzeczono mu sto napoleonów. Zabijam go albo ranię, doskonale, tego właśnie chcieli. Wtrącą mnie do więzienia; stawią przed sądem karnym i wyślą wedle wszelkich form, abym dotrzymał w Poissy towarzystwa panom Fontan i Magalon. Tam będę sypiał na barłogu z czterystu nędzarzami... I ja miałbym się litować nad tymi ludźmi! — wykrzyknął, zrywając się gwałtownie. Czy oni znają litość nad biedakiem, skoro dostaną go w ręce!

Wykrzyknik ten był ostatnim tchnieniem wdzięczności dla pana de la Mole, która mimo woli dręczyła go trochę.

— Z wolna, z wolna, panowie szlachta, rozumiem tę makiawelską sztuczkę; ksiądz Maslon ani ksiądz Castanede, władca seminarium, nie mógłby wymyślić nic lepszego. Odbierzcie mi list *prowokatorski* i zrobicie ze mnie drugie wydanie pułkownika Caron w Kolmarze. Chwileczkę, panowie; prześlę ów ważny list w opieczętowanej paczce księdzu Pirard. To uczciwy człowiek, jansenista, niedostępny pokusom pieniężnym. Tak, ale on otwiera listy... nie, poślę Fouquému.

Trzeba wyznać, że spojrzenie Juliana w tej chwili było okrutne, fizjonomia wstrętna; odpychała szczerą zbrodnią. Był to nędzarz uzbrojony przeciw całemu społeczeństwu.

— *Do broni!* — wykrzyknął Julian. I jednym susem przebył stopnie pałacowego ganku. Wszedł do budynku publicznego pisarza; przestraszył go. — Przepisz pan — rzekł, podając mu list panny de la Mole.

Podczas gdy pisarz pełnił swą czynność, on sam napisał do Fouquégo; prosił o przechowanie cennego depozytu. „Ale — wpadło mu nagle do głowy — *czarny gabinet* na poczcie otworzy mój list i da wam to, czego szukacie... nie, panowie!"

Kupił w protestanckiej księgarni ogromną biblię, ukrył zręcznie list Matyldy w okładce, zapakował i wysłał dyliżansem pod adresem jednego z robotników Fouquégo, którego nazwiska nikt nie znał w Paryżu".

Dokonawszy tego, wrócił rad i wesół.

— Teraz do *pracy*! — wykrzyknął, zamykając się na klucz i zmieniając surdut.

„Jak to, pani — pisał do Matyldy — więc to panna de la Mole przesłała przez lokaja ten list nazbyt ponętny dla biednego drwala!... Zapewne chciała pani zadrwić z jego naiwności..." Po czym cytował najjaskrawsze zdania z otrzymanego listu.

Jego własny list przyniósłby zaszczyt dyplomatycznej zręczności kawalera de Beauvoisis. Była dopiero dziesiąta; Julian, pijany szczęściem i poczuciem swej potęgi, tak nowym dla biedaka, udał się do Opery. Słuchał śpiewu przyjaciela swego Geronimo. Nigdy muzyka nie działała nań w ten sposób. Był bogiem.

XLIV. MYŚLI MŁODEJ DZIEWCZYNY

Ileż niepewności! Ileż bezsennych nocy! Wielki Boże! Jakież poniżenie! On sam będzie mną pogardzał. Ale on jedzie, tracę go!

Alfred de Musset.

Matylda napisała swój list nie bez walki. Jaki bądź był początek skłonności jej do Juliana, niebawem wzięła ona górę nad dumą, która, odkąd Matyldą pamiętała sama siebie, władała wyłącznie w jej sercu. Tę wzniosłą i zimną duszę opanowało po raz pierwszy namiętne uczucie. Ale uczucie to, jeśli pokonało dumę, było jeszcze wierne nawykom dumy. Dwa miesiące walki i nieznanych wrażeń przetworzyły, można rzec, całą jej istotę moralną.

Matyldzie zdawało się, że widzi przed sobą szczęście. Wizja ta, tak wszechmocna dla śmiałych dusz skojarzonych z wyższym umysłem, musiała długo zmagać się z godnością oraz względami pospolitych obowiązków. Jednego dnia, Matylda zaszła do matki o siódmej rano, prosząc, aby jej pozwoliła na jakiś czas osiąść w Villequier. Margrabina nie raczyła nawet odpowiedzieć i kazała jej wrócić do łóżka. Był to ostatni wysiłek płaskiego rozsądku i hołdu wobec przyjętych pojęć.

Obawa występku oraz urażenia poglądów świętych dla panów de Caylus, de Luz i de Croisenois działały na nią dość słabo: ci ludzie nie są zdolni jej zrozumieć; radziłaby się ich, gdyby chodziło o kupno kolaski lub majątku. Istotnym jej lękiem było nie zrazić Juliana.

A może i on ma jedynie pozory człowieka wyższego?

Nienawidziła słabych; była to jedyna pretensja do ładnych chłopców, którzy ją otaczali. Im dowcipniej żartowali sobie ze wszystkiego, co odbiega od mody lub podąża za nią niezręcznie, tym więcej tracili w jej oczach.

„Są odważni, to wszystko. I to jeszcze jak odważni! — myślała. — W pojedynku; ale pojedynek jest już czczą ceremonią. Wszystko jest wiadome zawczasu, nawet to, co trzeba powiedzieć, padając. Skoro się leży na trawie, z ręką na sercu trzeba się zdobyć na szlachetne przebaczenie dla wroga oraz czułe słówko dla swej damy, często urojonej lub takiej, która idzie na bal w dzień śmierci amanta, aby nie budzić podejrzeń.

Łatwo wyzywać niebezpieczeństwo na czele lśniącego stalą szwadronu: ale niebezpieczeństwo samotne, pojedyncze, nieprzewidziane, naprawdę szpetne!

Ach, tak — dumała Matylda — na dworze Henryka III spotykało się ludzi wielkich charakterem jak i urodzeniem! Ha! Gdyby Julian był służył pod Jarnac lub pod Moncontour, nie wątpiłabym o nim. W owych czasach jurności i siły Francuzi nie byli lalkami. Dzień bitwy był niemal dniem najmniejszych wzruszeń.

Życie ich nie było spętane jak mumia egipska w powijaku zawsze wspólnym, wciąż jednakim. Tak — dodała — więcej trzeba było odwagi, aby wrócić samemu o jedenastej wieczór, wychodząc z pałacu de Soissons, gdzie mieszkała Katarzyna Medycejska, niż dziś aby uganiać po Algierze. Życie było pasmem przypadków. Obecnie cywilizacja wygnała przypadek, nie ma nic *nieprzewidzianego*. Jeśli objawi się w myślach, na wyprzódki smaga się je docinkami; jeśli w faktach, lęk wasz nie cofa się przed żadną nikczemnością. Do jakiego bądź szaleństwa popchnie nas strach, jest ono usprawiedliwione. Zwyrodniały, nudny wiek! Co by powiedział Bonifacy de la Mole, gdyby, wychylając z grobu uciętą głowę, ujrzał w 1793 jak siedemnastu jego potomków dało się ująć jak barany, aby w dwa dni potem dać szyję na gilotynie? Śmierć była rzeczą pewną, ale byłoby w złym tonie bronić się i zabić jednego lub dwóch jakobinów. Ach, w heroicznych czasach Francji, w wieku Bonifacego de la Mole, Julian byłby dowódcą szwadronu, a mój brat młodym księdzem, skromnym i cnotliwym, o statecznym wzroku i odmierzonych słowach".

Na kilka miesięcy w przód Matylda zwątpiła, aby mogła spotkać istotę nieco różną od wspólnego wzoru. Bawiło ją jakiś czas pisywać do paru młodych elegantów. Śmiałość ta, tak nierozważna, mogła ją zniesławić w oczach pana de Croisenois, księcia de Chaulnes, jego ojca i całej przyszłej rodziny, która na wieść, że zamierzone małżeństwo się rozchodzi, chciałaby znać powody. W dniu, w którym napisała list, Matylda nie mogła spać. Ale owe listy to były jedynie odpowiedzi. Tutaj ośmieliła się wyznać, że kocha. Napisała *pierwsza* (straszne słowo!) do człowieka stojącego na najniższym szczeblu. Okoliczność ta groziła

w razie odkrycia hańbą. Któraż z przyjaciółek matki ośmieliłaby się stanąć w jej obronie? Cóż za bajkę można by wymyślić, aby osłabić wzgardę salonów?

Już mówić byłoby okropne, ale pisać! „*Są rzeczy, których się nie pisze*" — wykrzyknął Napoleon, dowiadując się o kapitulacji Baylena. I to Julian przytoczył jej to odezwanie, jak gdyby dając jej zawczasu naukę.

Wszystko to jeszcze nic, lęk Matyldy miał inne przyczyny. Zapominając o wadze tej zbrodni wobec świata, o plamie haniebnej i nie do zmycia — obrażała bowiem swoją kastę — Matylda gotowała się pisać do człowieka innego zgoła typu niż panowie de Croisenois, de Luz, de Caylus. Głębia i tajemniczość Juliana mogły przerażać nawet w zwykłych stosunkach. A ona miała zeń zrobić swego kochanka, swego pana może!

„Jakież będą jego uroszczenia, jeśli kiedykolwiek będzie miał władzę nade mną! Więc dobrze, powiem sobie jak Medea: *Wśród tylu niebezpieczeństw zostałam sobie JA*.

Julian nie ma żadnego szacunku dla urodzenia — tak przypuszczała. — Co więcej, może zupełnie mnie nie kocha!"

W końcu, wśród tych straszliwych niepewności, uczuła nagły przypływ kobiecej dumy. „Wszystko powinno być niezwykłe w życiu istoty takiej jak ja!" — wykrzyknęła zniecierpliwiona. Duma, którą wszczepiano jej od dzieciństwa, walczyła z cnotą. W tej chwili doszedł jej wiadomości wyjazd Juliana i ten przyspieszył wszystko.

(Takie charaktery są na szczęście bardzo rzadkie).

Wieczorem, bardzo późno Julian wpadł na chytry pomysł, aby kazać znieść do odźwiernego ciężką walizę; do pomocy wezwał lokaja zalecającego się do pokojówki. „To może nie zdać się na nic — myślał — ale jeśli się powiedzie, panna będzie myślała żem wyjechał". Usnął bardzo rad ze swego konceptu. Matylda nie zmrużyła oka.

Nazajutrz wczesnym rankiem Julian wyszedł niepostrzeżenie z pałacu, ale wrócił przed ósmą.

Ledwie się znalazł w bibliotece, panna de la Mole zjawiła się w progu. Oddał jej odpowiedź. Uważał, że powinien do niej przemówić; była przynajmniej wyborna sposobność; ale panna nie chciała słuchać; wyszła, Julian był uszczęśliwiony, nie wiedziałby, co mówić.

„Jeśli to wszystko nie jest zabawką ułożoną z hrabią Norbertem, jasne jest, że to mój oziębły wzrok rozpalił pocieszną miłość w tej arystokratycznej pannie. Byłbym skończony dudek, gdybym sobie dał zawrócić w głowie tej jasnowłosej lali".

Pod wpływem tych rozważań Julian stał się jeszcze chłodniejszy i bardziej wyrachowany niż wprzódy.

„W bitwie, która się gotuje — dodał — duma będzie niby wyniosły pagórek stanowiący jej obronną pozycję. Na tym terenie trzeba manewrować. Źle zrobiłem, zostając w Paryżu; ta zwłoka poniża mnie i wystawia na sztych, jeśli to wszystko jest tylko grą. Jakimż niebezpieczeństwem groził ten wyjazd? Ja sobie drwiłem z nich, jeśli oni drwili ze mnie! A jeżeli jej sympatia jest szczera, pomnożyłbym ją tym stokrotnie".

List panny de la Mole dostarczył próżności Juliana tak żywych wzruszeń, że ciesząc się tym, co się stało, zapomniał rozważyć korzyści wyjazdu.

Nieszczęściem jego charakteru było to, że był zbyt wrażliwy na własne błędy. Ta omyłka podrażniła go bardzo; nie myślał już prawie o nieprawdopodobnym triumfie, który poprzedził tę drobną chybę, kiedy około dziewiątej panna zjawiła się w progu, rzuciła mu list i uciekła.

— Zdaje się, że to będzie romans w listach — rzekł, podnosząc list. — Nieprzyjaciel robi fałszywy ruch, oszańcuję się oziębłością i cnotą.

Matylda prosiła go o stanowczą odpowiedź; list jej miał akcent bólu, który pomnażał radość Juliana. Zrobił sobie tę przyjemność, aby przez dwie stronice wodzić w ciemnościach osoby, które chciałyby zeń sobie zadrwić, po czym, również dla żartu, oznajmił pod koniec, że wyjazd postanowiony jest na jutro.

— W ogrodzie znajdę sposobność doręczenia jej listu" — pomyślał; i udał się do ogrodu. Spojrzał w okno panny de la Mole.

Pokój jej znajdował się obok apartamentów matki, na pierwszym piętrze, ale nad antresolą. Piętro było tak wysokie, że kiedy Julian przechadzał się z listem w ręku w alei, panna de la Mole nie mogła dojrzeć z okna. Strzyżone sklepienie lip zasłaniało widok.

„Ech! — rzekł Julian podrażniony — nowa nieostrożność! Jeśli postanowiono zadrwić sobie ze mnie, wówczas pokazując się z listem w ręku, wspomagam plany wrogów".

Pokój Norberta znajdował się tuż nad pokojem siostry; gdyby Julian wychylił się spod lip, hrabia i jego przyjaciele mogliby śledzić wszystkie jego ruchy.

Panna ukazała się za szybą; wsunął list; ona spuściła głowę. Natychmiast Julian wrócił pędem do siebie; przypadkowo spotkał na schodach piękną Matyldę, która pochwyciła jego list z zupełną swobodą i z roześmianymi oczami.

„Ileż uczucia było w oczach biednej pani de Rênal — pomyślał Julian — kiedy nawet po pół roku romansu, odważyła się przyjąć list ode mnie! W życiu swoim, jak sądzę, nie popatrzyła na mnie tak wesoło".

Nie sformułował równie jasno dalszych refleksji: czy wstydził się może błahości pobudek? „Ale też co za różnica — dodawała jego myśl — ten wykwint rannej sukienki, ta wytworność obejścia!" Widząc pannę de la Mole światowy człowiek odgadłby na trzydzieści kroków sferę, do której należy. To się nazywa wartość oczywista!

Żartując tak Julian nie przyznawał się jeszcze przed sobą do całej swej myśli: pani de Rênal nie miała sposobności poświęcenia dlań margrabiego de Croisenois. Rywalem jego był jedynie ów ohydny podprefekt Charcot, który przezwał się *de Maugiron*, ponieważ Maugironów już nie ma.

O piątej Julian otrzymał list trzeci; rzucono mu go pod drzwi. Panna znowu uciekła. „Cóż za mania pisania! — pomyślał, śmiejąc się — kiedy można tak wygodnie rozmawiać! Nieprzyjaciel chce mieć moje listy, to jasne, i to w większej ilości".

Nie śpieszył się z otwarciem. „Znowu frazesy" — pomyślał; ale czytając, pobladł. Było tylko kilka wierszy.

„Pragnę rozmówić się z panem; muszę z panem mówić dziś wieczór; proszę być w ogrodzie z uderzeniem pierwszej po północy. Znajdzie pan koło studni drabinę ogrodową; niech pan ją przystawi do okna i wejdzie. Będzie dziś księżyc, mniejsza o to".

XLV. CZY SPISEK?

Ha! Jakże okrutny jest czas między powzięciem wielkiego zamysłu a wykonaniem! Ileż lęków! Ile niepewności! Chodzi o życie. — Chodzi o więcej, o honor!

Schiller.

„To zaczyna być poważne — myślał Julian... — i nieco zbyt wyraźne — dodał po zastanowieniu. Jak to! ta piękna panna może ze mną mówić w bibliotece z najzupełniejszą, Bogu dzięki, swobodą; margrabia w obawie, bym mu nie pokazał rachunków, nie zagląda tam nigdy. Jak to! Pan de la Mole i hrabia Norbert, jedyne osoby, które tu zachodzą, są prawie cały dzień za domem, można z łatwością wiedzieć, kiedy wracają, i oto wyniosła Matylda, dla której ręka udzielnego księcia nie byłaby zbyt szlachetna, chce, abym popełnił najobrzydliwszą nieostrożność!

To jasne, chcą mnie zgubić lub co najmniej zadrwić ze mnie. Zrazu chcieli mnie zgubić przez moje listy; okazały się zbyt ostrożne; trzeba im czynu jaśniejszego niż dzień. Ci piękni panicze mają zbyt wysokie pojęcie o mej głupocie lub próżności. Tam do licha, w najpiękniejszą noc księżycową piąć się dwadzieścia pięć stóp na pierwsze piętro! Wszyscy będą mieli czas mnie oglądać, nawet z sąsiedztwa. Ładnie będę wyglądał na tej drabinie!"

Julian udał się do siebie i pogwizdując, zaczął pakować walizę. Zdecydowany był jechać, nawet nie odpowiadając.

Ale to roztropne postanowienie nie wróciło mu spokoju. „Gdyby przypadkiem — rzekł nagle do siebie — Matylda działała z dobrą wiarą! Wówczas odegrałbym rolę skończonego tchórza. Ja nie jestem *urodzony*, trzeba mi tęgich przymiotów, płatnych gotówką, nie na kredyt czyjejś życzliwości, trzeba czynów!"

Kwadrans bił się z myślami. „Na co przeczyć? — rzekł wreszcie — będę w jej oczach tchórzem. Tracę nie tylko najświetniejszą ozdobę arystokracji, jak o niej mówiono na balu, prócz tego, boską przyjemność zwycięstwa nad margrabią de Croisenois, synem księcia, dziedzicem jego mitry. Uroczy młodzian, posiadający wszystkie przymioty, których mnie zbywa: dowcip, urodzenie, majątek...

Wyrzut ten ścigałby mnie całe życie; nie z powodu niej, tyle jest ładnych kobiet...

...Lecz honor jest jeden!

powiada stary don Diego. Otóż tutaj, jasno i wyraźnie cofam się przed pierwszym niebezpieczeństwem, które się nastręcza; pojedynek z panem de Beauvoisis to był żart! Tu sprawa zupełnie inna. Mogę być ustrzelony przez lokaja, ale to najmniejsza: mogę być zniesławiony!"

— To zaczyna być poważne, mój chłopcze — dodał wesoło, przedrzeźniając gaskoński akcent. — Tu idzie o *honor*. Nigdy biedaczyna rzucony przez los równie jak ja nie odnajdzie takiej sposobności; będę miał sukcesy, ale ot, pokątne...

Zastanawiał się długo, przechadzał się szybkim krokiem, zatrzymując się od czasu do czasu. W pokoju znajdował się marmurowy biust kardynała Richelieu, na który mimo woli Julian zwracał spojrzenie. Biust ten zdawał się nań patrzeć surowo, jak gdyby wyrzucając mu brak odwagi, będącej rasowym obowiązkiem Francuza. „Za twoich czasów, wielki człowieku, czyżbym się wahał?"

— W najgorszym razie — rzekł wreszcie — przypuśćmy, że to pułapka, jest ona bardzo szpetna i bardzo kompromitująca dla młodej panny. Wiedzą, że nie jestem człowiek, który by zmilczał. Trzeba mnie będzie tedy zgładzić. To byłoby dobre w 1574, za Bonifacego de la Mole, ale dzisiejszy la Mole nie odważyłby się na to. To już nie ci ludzie. Panna de la Mole budzi tyle zawiści! Czterysta salonów głosiłoby jutro jej hańbę i z jaką uciechą!

Lokaje szepcą już o szczególnych względach, których jestem przedmiotem; wiem, słyszałem...

Z drugiej strony, te listy! Mogą myśleć, że mam je przy sobie. Zdybawszy mnie u panny, odbiorą mi je. Będę miał sprawę z dwoma, trzema, czterema ludźmi, czy ja wiem? Ale skąd oni wezmą w Paryżu tylu ludzi? Gdzie znaleźć w Paryżu dyskretnych służalców? Boją się sądów, trybunałów... ba, nawet tacy: Caylus, Croisenois, de Luz, wszyscy. Ta chwila, ta głupia mina, jaką będę miał wśród nich, to musiało ich skusić. Strzeż się losu Abelarda, mości sekretarzu!

Więc dobrze, do kroćset, nauczę was i ja, będę rąbał w twarz, jak żołnierze Cesarza pod Farsalus. Co do listów, mogę je złożyć w bezpiecznym miejscu.

Przepisał ostatnie dwa listy, ukrył je w ozdobnym wydaniu Woltera w bibliotece i sam zaniósł oryginały na pocztę.

— Na jakież szaleństwo się puszczam! — mówił ze zdumieniem i grozą, wróciwszy do domu. Przez kwadrans nie pomyślał o tym, co miał uczynić jeszcze tej nocy.

— Ale jeśli się cofnę, będę pogardzał sam sobą. Całe życie czyn ten będzie dla mnie przedmiotem straszliwej wątpliwości, wątpliwość zaś taka jest dla mnie najdotkliwszym cierpieniem. Czyż nie doświadczyłem tego z kochankiem Amandy? Sądzę, że łatwiej darowałbym sobie zbrodnię; raz przyznawszy się, przestałbym o niej myśleć.

Jak to, byłbym rywalem człowieka noszącego jedno z najpiękniejszych nazwisk we Francji i miałbym sam, dobrowolnie, uznać swą niższość? Tak; nie iść to tchórzostwo. To słowo rozstrzyga o wszystkim — rzekł Julian, wstając — a przy tym panna jest bardzo ładna!

Jeśli to nie jest pułapka, jakież ona szaleństwo popełnia dla mnie!... Jeśli to mistyfikacja, do kroćset! Panowie, ode mnie zależy, aby żart przybrał obrót serio i tak też uczynię.

Ale jeśli mi zwiążą ręce, gdy wejdę do pokoju? Mogą ustawić jakiś potrzask!

„To tak jak w pojedynku — pomyślał, śmiejąc się — jest zastawa na każde pchnięcie, powiada mistrz fechtunku; ale Opatrzność, która chce, aby się to raz skończyło, sprawia, że jeden z przeciwników zapomina się zastawić. Zresztą, oto moja odpowiedź" — tu Julian wydobył pistolety i mimo że panewka była opatrzona, odnowił kapslę.

Zostawało jeszcze kilka godzin; w oczekiwaniu Julian napisał do Fouquégo. „Mój przyjacielu, otwórz załączony list jedynie w razie wypadku, jeśli usłyszysz, że stało się coś osobliwego. Wówczas wymaż nazwiska z rękopisu, który załączam, i sporządź osiem kopii, które roześlesz do dzienników w Marsylii, Bordeaux, Lyonie, Brukseli, etc.; w dziesięć dni później każ wydrukować rękopis, prześlij egzemplarz margrabiemu; po dwóch tygodniach porozrzucaj egzemplarze w nocy po ulicach Verrières".

Ten krótki memoriał, który Fouqué miał otworzyć jedynie w razie wypadku, Julian ułożył w sposób najmniej narażający pannę de la Mole; odmalował jedynie wyraźnie swoje położenie.

Julian wiązał właśnie paczkę, kiedy zadzwoniono na obiad; serce zaczęło mu bić. Wyobraźnia jego, rozgrzana opisem, który nakreślił, pełna była tragicznych przeczuć. Widział siebie schwytanego przez służbę, wleczonego do piwnicy z zakneblowanymi ustami. Tam któryś ze sług strzegł go bez ustanku, jeśli zaś honor dostojnej rodziny wymagał, aby sprawa wzięła tragiczny obrót, łatwo było zakończyć wszystko za pomocą trucizny niezostawiającej śladów; powiedziano by, że umarł na jakąś chorobę i przeniesiono by zwłoki do pokoju.

Wzruszony własną powieścią niby autor dramatyczny Julian wchodził do jadalni z istotnym lękiem. Patrzał na służbę w wielkiej liberii. Badał fizjonomie. „Których wybrano na nocną obławę?" — pytał sam siebie. W tej rodzinie wspomnienia dworu Henryka III są tak żywe, tak często wskrzeszane, że w poczuciu zniewagi potrafią oni być energiczniejsi niż kto inny z tej sfery. Spojrzał na panną de la Mole, aby wyczytać w jej oczach zamiary rodziny; była blada, fizjonomia jej miała coś zupełnie średniowiecznego. Nigdy nie wydała mu się tak wspaniała; była naprawdę piękna i imponująca. Uczuł w sercu prawie miłość. „*Pallida morte futura*" — pomyślał. (Bladość jej zwiastuje wielkie zamiary).

Czemu nie powiedzieć prawdy? Bał się. Ponieważ zdecydowany był na czyn, poddawał się temu uczuciu bez wstydu. „Bylem w chwili działania miał dość odwagi, cóż znaczą moje uczucia w tej chwili?"

Poszedł rozpatrzyć się położeniu, zbadać ciężar drabiny.

„Oto narzędzie — pomyślał ze śmiechem — którym mi jest przeznaczone posługiwać się! Tu i w Verrières. Cóż za różnica! Wówczas — dodał z westchnieniem — nie musiałem się strzec osoby, dla której się narażałem. I cóż za różnica w niebezpieczeństwie!

Gdyby mnie zabito w ogrodzie pana de Rênal, nie byłoby w tym dla mnie hańby. Z łatwością zdołano by upozorować śmierć. Tutaj, cóż za ohydne powiastki będą krążyć w pałacach de Chaulnes, de Caylus, de Retz, słowem wszędzie. Będę potworem w oczach potomności.

Przez dwa lub trzy lata — podjął, śmiejąc się i drwiąc z samego siebie. Ale ta myśl była mu straszna. — I co zdoła mnie usprawiedliwić? Przypuśćmy, że Fouqué wydrukuje mój pośmiertny pamflet, to będzie tylko jedno bezeceństwo więcej. Jak to? Przyjmują mnie w dom i za cenę gościnności, łask, drukuję pamflet, odsłaniając domowe tajemnice! Znieważam honor kobiety! Och, tysiąc razy lepiej być ofiarą!"

Był to dla Juliana straszliwy wieczór.

XLVI. PIERWSZA PO PÓŁNOCY

Miał pisać do Fouquégo z odwołaniem, kiedy wybiła jedenasta. Z hałasem przekręcił klucz, jak gdyby zamykał się na noc. Obszedł na palcach cały dom, zwłaszcza czwarte piętro, gdzie mieszkała służba. Nie zauważył nic podejrzanego. Pokojówka margrabiny wydawała wieczór, służba zapijała poncz bardzo wesoło. „Ci, którzy się tak śmieją, nie mogą być przeznaczeni do nocnej wyprawy, byliby poważniejsi".

Wreszcie zeszedł, aby się ukryć w ciemnym kącie ogrodu. „O ile to ma być sekret przed służbą, w takim razie muszą sprowadzić przez mur ludzi przeznaczonych na to, aby mnie pochwycić. Jeżeli pan de Croisenois zachował jeszcze nieco rozwagi, musi rozumieć, że mniej będzie kompromitujące dla jego przyszłej żony, jeśli mnie pochwycą, nim wejdę do sypialni".

Zbadał teren z wojskową ścisłością. „Chodzi tu o mój honor — myślał — jeśli popełnię jaką nierozwagę, nie będzie żadnym usprawiedliwieniem powiedzieć sobie: Nie przewidziałem tego".

Czas był rozpaczliwie pogodny. Około jedenastej księżyc wstał; o wpół do pierwszej oświecał całą fasadę od ogrodu.

„Oszalała" — powtarzał sobie Julian.

Kiedy wybiła pierwsza, świeciło się jeszcze w oknach Norberta. W życiu swoim Julian nie zaznał tyle strachu; widział jedynie niebezpieczeństwo, nie czuł żadnego zapału. Poszedł po ogromną drabinę, czekał pięć minut, aby dać czas na odwołanie rozkazu, i pięć

minut po pierwszej przystawił drabinę do okna. Wszedł powoli z pistoletem w ręku, zdziwiony, że go nikt nie napada. Skoro się zbliżył do okna, otwarło się z cicha:

— Jest pan — rzekła Matylda wzruszona — śledzę pańskie ruchy od godziny.

Julian był bardzo zakłopotany, nie wiedział, jak się zachować, nie czuł ani śladu miłości. W zakłopotaniu swoim myślał, że trzeba być przedsiębiorczym, spróbował uścisnąć Matyldę.

— Fe! — rzekła, odpychając go.

Bardzo rad, że go odtrąciła, rozejrzał się dokoła. Księżyc świecił tak jasno, że cienie, jakie rzucał w pokoju panny de la Mole, były zupełnie czarne. „Mogliby tam doskonale ludzie być ukryci tak, że ich nie widać" — pomyślał.

— Co pan tam ma w kieszeni? — spytała Matylda uszczęśliwiona, że znalazła temat rozmowy. Czuła się bardzo nieszczęśliwa; wszystkie uczucia skromności i lęku, tak naturalne u panny z wielkiego domu, odzyskały swą władzę i zadawały jej tortury.

— Mam rozmaitą broń i pistolety — odparł Julian niemniej rad, że może coś powiedzieć.

— Trzeba odsunąć drabinę — rzekła Matylda.

— Jest bardzo duża; może stłuc szybę.

— Nie trzeba tłuc szyb — odparła Matylda, starając się na próżno odzyskać naturalny ton. — Mógłby ją pan, jak sądzę, spuścić na sznurze. Mam zawsze zapas sznurów.

„I to ma być kobieta zakochana — pomyślał Julian — ona śmie mówić, że kocha! Co za zimna krew! Co za rozwaga, ostrożność! Nie, to jasne, nie pobiłem margrabiego de Croisenois, jak w swej głupocie sądziłem: jestem po prostu jego następcą. Ale, w gruncie, cóż mi to znaczy? Alboż ja ją kocham? Pobiłem margrabiego w tym rozumieniu, że on będzie bardzo nierad z tego, że ma następcę, a jeszcze bardziej, że tym następcą jestem ja. Z jaką dumą przyglądał mi się wczoraj u Tortoniego, udając, że mnie nie poznaje! Jak niechętnie przywitał się później, skoro już nie mógł inaczej!"

Julian przywiązał sznur do ostatniego szczebla i spuszczał pomału drabinę, wychylając się mocno, aby nie uderzyć w szybę.

„Doskonały moment, aby mnie zabić — pomyślał — jeśli jest ktoś ukryty w pokoju Matyldy". Ale wciąż panowało głębokie milczenie.

Drabina dotknęła ziemi, Julian zdołał ją ułożyć na grzędzie egzotycznych kwiatów pod murem.

— Co powie matka — rzekła Matylda — skoro ujrzy swoje krzewy połamane!... Trzeba rzucić sznur — dodała z zimną krwią. — Gdyby ktoś spostrzegł sznur u balkonu, trudno by to było usprawiedliwić.

— *A jak ja będę odejść?* — rzekł Julian żartobliwie, naśladując gwarę kreolską. (Jedna z pokojówek pani de la Mole urodziła się na San-Domingo).

— *Pan będzie odejść drzwiami* — rzekła Matylda zachwycona tym konceptem.

„Och, jakże ten człowiek godzien jest mojej miłości!" — pomyślała.

Julian opuścił sznur. Matylda ścisnęła mu ramię. Sądząc, że to nieprzyjaciel, odwrócił się żywo dobywając sztyletu. Matyldzie zdawało się, że ktoś otwiera okno. Stali nieruchomo, z zapartym oddechem. Księżyc świecił im prosto w twarz. Szmer nie powtórzył się, niepokój minął.

Wówczas wróciło zakłopotanie, równe po obu stronach. Julian upewnił się, czy drzwi zaryglowane; miał ochotę zajrzeć pod łóżko, ale nie śmiał; mogło się tam doskonale kryć paru lokajów. Wreszcie, aby sobie później nie wyrzucać tego zaniedbania, zajrzał.

Matyldę znowuż ogarnęła trwoga. Położenie przejmowało ją grozą.

— Co pan zrobił z listami? — rzekła wreszcie.

„Cóż za sposobność sprawienia niespodzianki tym panom, jeśli słuchają, i uniknięcia bitwy!" — pomyślał Julian.

— Pierwszy zaszyty jest w Biblii, którą wczorajszy dyliżans uwiózł bardzo daleko.

Mówił wyraźnie i szczegółowo, tak aby go mogły słyszeć osoby ukryte w dwóch mahoniowych szafach, do których nie śmiał zajrzeć.

— Dwa następne są na poczcie i podążają tą samą drogą.

— Ależ, Boże! Po co te ostrożności? — wykrzyknęła Matylda przerażona.

„Po cóż kłamać?" — pomyślał Julian i wyznał jej wszystkie swoje podejrzenia.

— Oto więc przyczyna oziębłości twoich listów! — wykrzyknęła Matylda z akcentem raczej szaleństwa niż tkliwości.

Julian nie zauważył tego odcienia, owo „ty" sprawiło, że stracił głowę lub co najmniej podejrzenia jego rozwiały się; ośmielił się wziąć w ramiona śliczną dziewczynę, która budziła w nim tyle respektu. Odepchnęła go, ale miękko.

Sięgnął do swej pamięci, jak niegdyś w Besançon wobec Amandy, i wyrecytował kilka najładniejszych frazesów z *Nowej Heloizy*.

— Jesteś mężczyzną — odparła, nie słuchając zbytnio jego tyrad — chciałam doświadczyć twej odwagi, wyznaję. Twoje pierwotne podejrzenia, twoja stanowczość, dowodzą, że jesteś mężniejszy jeszcze, niż myślałam.

Matylda przemagała się, aby go *tykać*[58]; ten niezwykły sposób mówienia zaprzątał ją widocznie bardziej niż treść słów. *Tykanie* to, wyzute z czulszego akcentu, nie sprawiało Julianowi żadnej przyjemności; dziwił się, że nie czuje drgnienia szczęścia; musiał je wzbudzać w sobie rozumowo. Widział, że budzi szacunek hardej dziewczyny, która nigdy nie chwaliła niczego bez zastrzeżeń! Świadomość ta upoiła jego miłość własną.

Nie była to, trzeba przyznać, owa rozkosz, jaką znajdował niekiedy przy pani de Rênal. Pierwsze te chwile nie miały nic tkliwego. Było to upojenie ambicji, a Julian był przede wszystkim ambitny. Zaczął na nowo mówić o swoich podejrzeniach i ostrożności. Mówiąc, myślał, jak skorzystać ze zwycięstwa.

Matylda, jeszcze zakłopotana i jakby zgnębiona swoim krokiem, rada była, że znaleźli temat do rozmowy. Zaczęli mówić o sposobach widywania się. Julian upajał się inteligencją i tupetem, które rozwinął w tej dyskusji. Mieli do czynienia z ludźmi bardzo przenikliwymi, młody Tanbeau szpieguje niezawodnie, ale oni oboje też nie są znów tak niezręczni.

Cóż łatwiejszego niż spotkać się w bibliotece i tam się umawiać?

— Mogę zjawiać się bez obudzenia podejrzeń we wszystkich apartamentach — dodał Julian — prawie że w sypialni pani de la Mole.

Trzeba było nieodzownie przejść przez ten pokój, aby dostać się do pokoju córki. Jeśli Matylda woli, aby zawsze wchodził po drabinie, narażać się na to błahe niebezpieczeństwo będzie dlań rozkoszą.

Matyldę drażniła jego triumfująca mina. „Jest tedy moim panem!" — myślała. Już nękały ją wyrzuty. Rozsądek wzdrygał się przed tym bezmiarem szaleństwa. Gdyby mogła, unicestwiłaby siebie i Juliana. Kiedy chwilami siłą woli nakazywała milczenie wyrzutom, uczucia nieśmiałości i wstydu czyniły ją bardzo nieszczęśliwą. Nie przewidywała straszliwego stanu.

„Trzeba coś mówić — myślała — wypada przecie rozmawiać z kochankiem". Za czym jakby dla spełnienia obowiązku, z czułością raczej w słowach niż w tonie, opowiedziała mu wszystko, co przeżyła w ciągu ostatnich dni.

Jeśli się odważy zgodnie z jej rozkazem wejść do niej po drabinie, wówczas (tak postanowiła) odda mu się zupełnie. Ale nikt nigdy nie powiedział rzeczy równie czułych zimniejszym i grzeczniejszym tonem. Dotąd schadzka była lodowato chłodna; doprawdy, można było znienawidzić miłość. Cóż za nauka dla szalonej dziewczyny! Czy warto gubić przyszłość dla takiego momentu?

Po długich wahaniach, które powierzchownemu świadkowi mogłyby się wydać objawem wybitnego wstrętu — tak trudno jest instynktom kobiecym ustąpić nawet tak niezłomnej woli — Matylda stała się wreszcie powolną kochanką Juliana.

Zapały te były, co prawda, nieco wymuszone. Namiętna miłość była raczej naśladowaniem niż rzeczywistością.

Panna de la Mole mniemała, że dopełnia obowiązku względem siebie i względem kochanka. „Biedny chłopiec — powiada sobie — okazał tyle dzielności, powinien być szczęśliwy, inaczej byłby to z mej strony brak charakteru". Ale byłaby rada za cenę wiekuistego nieszczęścia wykupić się z tej okrutnej konieczności.

Mimo strasznego gwałtu, jaki sobie zadawała, panowała w zupełności nad słowami.

Żaden wyrzut, żadna wymówka nie zepsuły tej nocy, która wydała się Julianowi bardziej dziwna niż szczęśliwa. Cóż za różnica, wielki Boże, z ostatnią dobą w Verrières!

[58] *tykać* — tu: mówić na „ty".

„Te paryskie maniery potrafią wszystko zepsuć, nawet miłość" — powiadał w bezmiernej niesprawiedliwości.

Myślom tym oddawał się stojąc w wielkiej mahoniowej szafie, gdzie go ukryła Matylda za pierwszym szmerem w sypialni pani de la Mole. Matylda udała się z matką na mszę, pokojówki opuściły niebawem apartament i nim wróciły sprzątnąć, Julian wymknął się z łatwością.

Siadł na konia i zapuścił się w lasy w okolicy Paryża. Był bardziej zdumiony niż szczęśliwy. Szczęście, które od czasu do czasu wypełniało jego duszę, podobne było do uczuć młodego podporucznika, którego wskutek jakiegoś zdumiewającego czynu wódz zamianował z miejsca pułkownikiem; czuł się wyniesiony na olbrzymią wyżynę. Wszystko, co poprzedniego dnia było powyżej niego, znalazło się na równi lub niżej. Stopniowo, w miarę oddalenia, szczęście Juliana rosło.

Jeśli w uczuciach jego nie było tkliwości, to dlatego, że — mimo iż słowo to może się wydać dziwne — Matylda w całym postępowaniu dopełniła niejako obowiązku. We wszystkich wypadkach tej nocy nie było dla niej nic nieprzewidzianego prócz męki i wstydu, które znalazła w miejsce owej *doskonałej błogości* opisywanej w powieściach.

„Czyżbym się omyliła, czyżbym go wcale nie kochała?" — rzekła sobie.

XLVII. STARA SZPADA

I now mean to be serious; it is time.
Since laughter now-a-days is deem'd too serious.
A just at cive by virtue's called a crime.

Don Juan, *XII.*

Nie zjawiła się przy obiedzie. Wieczorem zeszła na chwilę do salonu, ale nie patrzyła na Juliana. Wydało mu się to dziwne. „Ale — pomyślał — nie znam ich obyczajów; zapewne ona mi to wytłumaczy". Bądź co bądź, z najwyższą ciekawością śledził rysy Matyldy; nie mógł ukryć przed sobą, że mają wyraz oschły i niechętny. Wyraźnie nie była to ta sama kobieta, która poprzedniej nocy odczuwała lub udawała wybuchy szczęścia zbyt gwałtownie, aby mogły być szczere.

Nazajutrz i trzeciego dnia ten sam chłód; nie patrzyła nań, nie zauważała jego obecności. Julian, pożerany niepokojem, był o sto mil od uczuć pierwotnego triumfu. Byłożby to przebudzenie cnoty? Ale to było zbyt płaskie słowo dla dumnej Matyldy.

„W zwykłych okolicznościach ona wcale nie wierzy w religię — myślał Julian — ceni ją jako rzecz użyteczną dla interesów kasty. Ale czy przez prosty wstyd nie może sobie wyrzucić błędu?". Julian sądził, że jest jej pierwszym kochankiem.

„Ale — powiadał znowu — trzeba przyznać, że w całym jej obejściu nie ma cienia prostoty, tkliwości; nigdy nie zdała mi się wynioślejsza. Czyżby mną gardziła? To by było godne jej: wyrzucać sobie to, co uczyniła, jedynie z powodu mego urodzenia".

Gdy Julian, dręczony uprzedzeniami czerpanymi w książkach i we wspomnieniach z Verrieres, ścigał majak tkliwej kochanki niemyślącej już o własnym istnieniu od chwili, gdy uszczęśliwiła lubego, próżność Matyldy burzyła się.

Ponieważ od dwóch miesięcy przestała się nudzić, nie lękała się już nudy; w ten sposób, nie mając o tym pojęcia, Julian stracił swą największą zaletę.

„Mam tedy władcę! — powtarzała panna de la Mole, tonąc w zgryzocie. — Jest człowiekiem honoru, doskonale; ale jeśli urażę jego próżność, zemści się, rozgłaszając nasz stosunek". Matylda nie miała dotąd kochanka i w tej okoliczności, która daje jakieś tkliwe złudzenie najoschlejszym duszom, wydana była na łup gorzkich refleksji.

„Ma nade mną straszliwą władzę, skoro panuje grozą i może mnie okrutnie skarać, jeśli go doprowadzę do ostateczności". Sama ta myśl wystarczała, aby pannę de la Mole pchnąć do wyzywania Juliana. Odwaga stanowiła główną jej cechę. Nic nie było w stanie jej poruszać ani zagasić w niej uczucia wciąż odradzającej się nudy prócz myśli, że stawia na kartę całe istnienie.

Trzeciego dnia, gdy panna de la Mole wytrwale udawała, że go nie widzi, Julian udał się za nią po obiedzie, wyraźnie wbrew jej woli, do sali bilardowej.

— Sądzi pan widocznie, że pan zyskał nade mną jakieś prawa — rzekła z ledwie wstrzymywanym gniewem — skoro, wbrew mej oczywistej woli, upiera się pan mówić ze mną? Wie pan, że nikt nie zdobył się na taką śmiałość?

Nic zabawniejszego nad tę rozmowę kochanków; bezwiednie żywili dla siebie uczucia nienawiści. Ponieważ żadne nie odznaczało się łagodnością, przeto, zachowując wzorowe formy, oświadczyli sobie niebawem, że zrywają na zawsze.

— Przysięgam pani wieczną tajemnicę — rzekł Julian — dodałbym nawet, że nigdy nie odezwę się do pani, gdyby tak wyraźna odmiana nie musiała zaszkodzić jej reputacji.

Skłonił się z szacunkiem i wyszedł.

Dopełniał mniemanego obowiązku bez zbytniego trudu; nie przypuszczał, aby był zakochany w pannie de la Mole. To pewna, że jej nie kochał trzy dni wprzódy, gdy siedział ukryty w mahoniowej szafie. Ale wszystko zmieniło się nagle z chwilą, gdy się poróżnił z Matyldą na zawsze.

Okrutna pamięć zaczęła mu odtwarzać najdrobniejsze szczegóły nocy, która w rzeczywistości zostawiła go tak chłodnym.

Tejże samej nocy, która nastąpiła po wiekuistym zerwaniu, Julian omal nie oszalał, zmuszony wyznać przed sobą, że kocha pannę de la Mole.

Okropne walki nastąpiły po tym odkryciu: sprawiło ono przewrót we wszystkich jego uczuciach.

W dwa dni później, zamiast nadymać się wobec pana de Croisenois, byłby go niemal uścisnął, zalewając się łzami.

Oswoiwszy się nieco z tą męką, uczuł błysk rozsądku: postanowił jechać do Languedoc, spakował walizkę i udał się na pocztę.

Serce w nim zamarło, kiedy przybywszy do biura, dowiedział się, że przypadkowo jest na jutro miejsce w dyliżansie. Zatrzymał je i wrócił oznajmić wyjazd margrabiemu.

Pan de la Mole wyszedł. Julian wpół martwy poszedł nań czekać w bibliotece. Jakież było jego uczucie, kiedy ujrzał tam pannę de la Mole.

Na jego widok przybrała wyraz niechęci, co do którego nie podobna było się mylić.

Zmożony cierpieniem, oszołomiony niespodzianką, Julian miał tę słabość, że przemówił do niej najtkliwszym, z duszy płynącym tonem:

— Więc nie kocha mnie już pani?

— Brzydzi mnie, że oddałam się pierwszemu lepszemu — rzekła, płacząc z wściekłości.

— *Pierwszemu lepszemu*! — wykrzyknął Julian i porwał stary średniowieczny miecz przechowywany w bibliotece jako osobliwość.

Ból jego, już tak dotkliwy w chwili, gdy odezwał się do panny de la Mole, pomnożyły stokrotnie łzy wstydu, które wylewała w jego oczach. Byłby najszczęśliwszy, gdyby ją mógł zabić.

W chwili gdy z trudem wyciągnął miecz z zardzewiałej pochwy, Matylda szczęśliwa z nowego wrażenia podeszła dumnie; przestała płakać.

Myśl o margrabim de la Mole, swoim dobroczyńcy, stanęła Julianowi żywo przed oczami. „Zabić jego córkę! — rzekł sobie — cóż za ohyda! — Już miał odrzucić szpadę. — Ani chybi — pomyślał — ona parsknie śmiechem na widok tego melodramatycznego gestu!" Ta myśl sprawiła, że odzyskał zimną krew. Obejrzał ciekawie brzeszczot, jak gdyby szukał na nim rdzawej plamy; następnie schował go do pochwy i spokojnie powiesił na złoconym gwoździu.

Czynność ta, dokończona bardzo wolno, trwała z minutę; panna patrzyła nań zdziwiona. „Omal tedy nie zginęła z ręki kochanka!" — powtarzała sobie.

Myśl ta przenosiła ją w najpiękniejsze czasy Karola IX i Henryka III.

Stała nieruchoma przed Julianem, który właśnie powiesił broń, patrzała nań już bez nienawiści. Trzeba przyznać, że była urocza w tej chwili, nie było w niej śladu *lalki paryskiej* (główny zarzut Juliana wobec paryżanek).

„Znowu gotowa bym ulec — myślała Matylda — dopieroż by się uważał za mego pana i władcę i to właśnie w chwili, gdym doń mówiła tak ostro". Uciekła.

— Boże! Jaka ona piękna! — rzekł Julian, patrząc za odchodzącą — pomyśleć, że niespełna przed tygodniem ta istota rzucała mi się w ramiona z taką furią... I te chwile nie wrócą nigdy! I to z mojej winy! I w chwili tak niezwykłego, tak chlubnego dla mnie

zdarzenia byłem na nie nieczuły!.... Trzeba przyznać, że natura dała mi płaski i nieszczęśliwy charakter!

Wszedł margrabia; Julian czym prędzej oznajmił wyjazd.

— Dokąd? — spytał nagle pan de la Mole.

— Do Languedoc.

— O nie, za pozwoleniem, mam dla ciebie, ważniejsze przeznaczenie; jeśli pojedziesz, to na północ... a nawet, mówiąc po wojskowemu, internuję cię w pałacu. Bądź łaskaw nie oddalać się na dłużej, mogę cię potrzebować w każdej chwili.

Julian skłonił się i wyszedł bez słowa, ku zdumieniu margrabiego. Nie był w stanie mówić, zamknął się w pokoju. Tam mógł swobodnie rozpamiętywać całą okropność swego położenia.

„Tak więc — myślał — nie mogę nawet się oddalić! Bóg wie, jak długo margrabia zatrzyma mnie w Paryżu. Boże! Cóż się ze mną stanie? I nie mam przyjaciela, którego bym się mógł poradzić: ksiądz Pirard nie pozwoliłby mi dokończyć pierwszego zdania, hrabia Altamira zaproponowałby mi udział w jakim spisku".

„A tymczasem ja oszaleję, czuję to, oszaleję!
Któż mną pokieruje, co się stanie ze mną?"

XLVIII. OKRUTNE CHWILE

I ona mi to wyznaje! Rozwodzi się nad najdrobniejszymi szczegółami. Piękne jej oczy utkwione w moich malują jej miłość dla innego.

Schiller.

Panna de la Mole, zachwycona, myślała jedynie o tym szczęściu, że jej omal nie zabito. Chwilami mówiła sobie: „Wart jest być moim panem, skoro już gotów był mnie zabić. Iluż salonowych lalusiów trzeba by stopić w jedno, aby uzyskać taki odruch?

Trzeba przyznać, że był bardzo piękny w chwili, gdy wszedł na krzesło, aby powiesić szpadę, ściśle w tej samej malowniczej pozycji, jaką jej nadał tapicer! Ostatecznie, to nie było takie szaleństwo, żem go pokochała".

W tej chwili, gdyby się nastręczył jaki sposób nawiązania z Julianem, chwyciłaby się go z przyjemnością. Julian, zamknąwszy się na dwa spusty, oddał się rozpaczy. W przystępie szaleństwa myślał już iść się jej rzucić do nóg. Gdyby miast tkwić w pokoju puścił się na wędrówkę po ogrodzie i pałacu tak, aby otworzyć furtkę sposobności, męczarnia jego zmieniłaby się może w jednej chwili w szczęście.

Ale ten spryt, którego brak mu zarzucamy, wykluczyłby ów wzniosły gest, jakim pochwycił miecz, który to gest nadał mu tyle powabu w oczach panny. Zwrot ten na korzyść Juliana trwał cały dzień; Matylda przedstawiała sobie w uroczych barwach krótkie chwile miłości, żałowała tych chwil.

„W istocie — mówiła sobie — miłość moja do tego biednego chłopca trwała w jego pojęciu od pierwszej po północy, kiedy go ujrzałam, jak wchodzi po drabinie z pistoletem w kieszeni, aż do ósmej rano. W kwadrans potem, kiedym słuchała mszy, przyszło mi na myśl, że on może mnie niewolić postrachem".

Po obiedzie panna de la Mole nie tylko nie unikała Juliana, ale zagadnęła go i zachęciła poniekąd, aby się udał z nią do ogrodu! Usłuchał. Brakło mu jeszcze tej próby. Matylda ulegała bezwiednie odradzającej się miłości. Znajdowała przyjemność w tym, aby się z nim przechadzać, patrzyła z ciekawością na ręce, które chwyciły miecz, aby ją zabić.

Po takim postępku, po wszystkim, co się stało, nie mogło być już mowy o zwadzie.

Stopniowo Matylda zaczęła mu się zwierzać ze stanu swego serca. Znajdowała rozkosz w takiej rozmowie; opowiadała mu o swych przelotnych sympatiach dla pana de Croisenois, dla pana de Caylus...

— Jak to! Caylus także! — wykrzyknął Julian; gorycz i zazdrość opuszczonego kochanka buchnęły w tym słowie. Matylda odczuła to; nie było jej to niemiłe.

Dręczyła dalej Juliana, skreślając mu swoje dawniejsze uczucia obrazowo, z akcentem prawdy. Wiedział, że mówi szczerze. Z bólem widział, że w miarę opowiadania Matyldy czyni odkrycia we własnym sercu.

Męka zazdrości nie może iść dalej!

Podejrzewać, że rywal cieszy się względami kochanki, to już dość okrutne, ale słuchać opisu uczuć kobiety, którą się samemu ubóstwia, to chyba szczyt męczarni.

Och! Jakże się czuł ukarany za pychę, w której wynosił się nad Caylusów i Croisenois! Z jakąż męką przeceniał w duchu ich najlżejsze przewagi! Z jak żarliwą szczerością pogardzał sam sobą.

Matylda wydawała mu się urocza, wszelkie słowo jest za słabe, aby wyrazić bezmiar jego podziwu. Idąc obok niej, spoglądał ukradkiem na jej ramiona, ręce, na jej królewskie ruchy. Gotów był paść do jej stóp, zmiażdżony miłością i męką, krzycząc: „Litości"!

„I ta osoba tak piękna, tak niepospolita, która raz jeden darzyła mnie swą łaską, teraz pokocha zapewne pana de Caylus".

Julian nie mógł wątpić o szczerości panny de la Mole; we wszystkim, co mówiła, dźwięczał ton prawdy. Na domiar niedoli Juliana bywały chwile, w których Matylda, zagłębiając się w swoje chwilowe uczucia dla pana de Caylus, zaczynała mówić o nich tak, jakby one jeszcze trwały. W głosie jej przebijała miłość, Julian to czuł.

Cierpiał bardziej, niż gdyby mu lano w piersi roztopiony ołów. W jaki sposób, doszedłszy do tego bezmiaru męki, biedny chłopiec mógłby zgadnąć, że jeśli panna de la Mole znajduje tyle przyjemności w rozpamiętywaniu cienia sympatii dla pana de Caylus lub pana de Luz, to dlatego, że rozmawia o tym z nim, z Julianem?

Nie podobna opisać męczarni Juliana. Słuchał zwierzeń miłości Matyldy do innych w tej samej alei lipowej, gdzie tak niedawno czekał, aż wybije godzina, aby wejść do jej pokoju. Nie podobna udźwignąć więcej cierpienia.

Ta bolesna rola trwała długi tydzień. Panna zdawała się szukać Juliana lub bodaj nie unikała rozmowy; tematem zaś, do którego wracali oboje z okrutną rozkoszą, były uczucia Matyldy do innych. Streszczała mu listy, które niegdyś pisywała, przytaczała słowa, zdania całe. Przyglądała się Julianowi ze złośliwą radością. Cierpienia jego sprawiały jej rozkosz.

Widać z tego, że Julian nie miał doświadczenia, że nie czytywał nawet romansów; gdyby był nieco sprytniejszy i gdyby z zimną krwią powiedział ubóstwianej dziewczynie, przerywając jej te zwierzenia: „Przyznaj, że choć nie mam tylu zalet co tamci, pomimo to kochasz mnie...".

Może byłaby rada, że ją odgadł; a przynajmniej powodzenie zależałoby najzupełniej od chwili i od wdzięku, z jakim Julian wyraziłby tę myśl. W każdym razie położyłby — może z korzyścią dla siebie — koniec sytuacji, która zaczynała już być monotonna.

— Nie kochasz mnie już, a ja cię uwielbiam! — wykrzyknął raz Julian, oszalały z miłości i męki. Było to chyba największe niezgrabstwo[59], jakie mógł popełnić.

Odezwanie to stłumiło w mgnieniu oka przyjemność, którą panna de la Mole znajdowała w rozbieraniu przed nim stanów swego serca. Zaczynała się dziwić, że po tym, co zaszło między nimi, nie oburzają go jej zwierzenia; w chwili gdy Julian zdradził się tak głupio, była już gotowa sobie wyobrazić, że on jej wcale nie kocha. „Widocznie duma zdławiła w nim miłość — myślała. — To nie jest człowiek, który by bezkarnie zniósł rywalizację takich panów de Caylus, de Luz, de Croisenois, mimo iż rzekomo uznaje ich wyższość. Nie, już go nie ujrzę u swych stóp!"

W poprzednich dniach w naiwności swego cierpienia Julian wysławiał przed nią przymioty tych panów: dochodził w tym do przesady. Odcień ten nie uszedł uwagi panny de la Mole, była zdziwiona, ale nie zgadywała przyczyny. Namiętna dusza Juliana, wychwalając szczęśliwego rzekomo rywala, współżyła z jego szczęściem.

Wykrzyknik ten, tak szczery, ale taki płaski, zmienił wszystko w jednej chwili. Upewniona o miłości Juliana, Matylda zlekceważyła go zupełnie.

Przechadzała się z nim w chwili, gdy padły te niezręczne słowa: odeszła; ostatnie jej spojrzenie wyrażało wzgardę. W salonie wieczorem nie spojrzała nań. Nazajutrz wzgarda ta wypełniła całe jej serce; uczucie, które przez tydzień kazało jej znajdować tyle przyjemności w przestawaniu z Julianem na serdecznej stopie, pierzchło; widok jego sprawiał jej przykrość. Wrażenie to dochodziło do wstrętu: nic nie zdołałoby wyrazić bezmiaru wzgardy, ilekroć oczy jej napotkały Juliana.

---

[59] *największe niezgrabstwo* — dziś: największa niezgrabność.

Julian nie rozumiał tego, co od tygodnia działo się w sercu Matyldy, ale odczuł jej wzgardę. Miał ten rozsądek, aby się jej pokazywać jak najrzadziej i nie patrzył na nią nigdy.

Ale to wyrzeczenie nie obeszło się bez okrutnej męki. Czuł się jeszcze nieszczęśliwszy. „Więcej serce ludzkie nie może znieść" — myślał. Pędził dni przy okienku na poddaszu, za szczelnie zamkniętą żaluzją: stamtąd mógł bodaj przyglądać się pannie de la Mole, kiedy się zjawiła w ogrodzie.

Cóż się z nim działo, kiedy, ją widział przechadzającą się z panem de Claus, de Luz lub innym jakimś figurantem z jej zwierzeń?

Julian nie miał pojęcia o takiej męce; musiał się powściągać, aby nie krzyczeć; tę niezłomną duszę przeorało w końcu cierpienie na wskroś.

Wszelka myśl nietycząca panny de la Mole stała mu się wstrętna; niezdolny był napisać najmniejszego listu.

— Ty masz jakiegoś bzika — mówił margrabia.

Julian, drżąc, aby go nie odgadnięto — zaczął bąkać o chorobie; w końcu uwierzono mu. Szczęściem dlań margrabia zrobił przy obiedzie żartobliwą aluzję do przyszłej podróży: Matylda zrozumiała, że ta podróż może być długa. Już od wielu dni Julian unikał jej, świetni zaś młodzieńcy posiadający wszystko, czego brakło temu blademu, posępnemu człowiekowi, niegdyś tak jej drogiemu, nie umieli rozproszyć jej zadumy.

„Zwykła panna — myślała Matylda — poszukałaby sobie wybrańca wśród tej młodzieży ściągającej w salonie wszystkie spojrzenia; ale cechą duszy wyższej jest to, że nie zdoła się wlec myślą po kolejach wyjeżdżonych przez pospólstwo.

Stawszy się towarzyszką człowieka takiego jak Julian (brak mu jedynie majątku, a ten ja mam!), będę budziła nieustanną uwagę, nie przejdę niespostrzeżona. Nie tylko nie będę się wciąż obawiała rewolucji, jak moje kuzynki, które ze strachu przed ludem nie śmią połajać opieszałego woźnicy, ale będę pewna, że odegram rolę, i ważną rolę, gdyż człowiek, którego kocham, ma charakter i ambicję bez granic. Czego mu brak? Przyjaciół, pieniędzy? Ja mu to dam". Ale myśląc o Julianie, widziała w nim istotę niższą, której miłość ma się na skinienie.

XLIX. OPERA KOMICZNA

O how this spring of love resembleth
The uncertain glory of an April day;
Which now shows all the beauty of the sun.
And by and by a cloud takes all away!

Shakespeare

Pochłonięta marzeniami o przyszłości i o ważnej roli, którą miała odegrać, Matylda zaczęła niebawem żałować nawet suchych i filozoficznych dysput z Julianem. Znużona górnymi myślami, niekiedy także żałowała szczęścia, którego zaznała przy nim; wspomnienia te nie były wolne od wyrzutu i nękały ją chwilami.

„Ostatecznie, można mieć słabostkę — mówiła sobie. — Kobieta taka jak ja może się zapomnieć jedynie dla wyższego człowieka; nikt nie powie, że mnie uwiodły jego ładne wąsiki ani jazda konna, ale jego głębokie wywody o przyszłości Francji, jego poglądy, w których rozwija analogię grożących nam wypadków z rewolucją z roku 1668 w Anglii. Uległam — odpowiadała na swoje wyrzuty — jestem słabą kobietą; ale przynajmniej nie omamiły mnie jak lalkę zewnętrzne powaby.

Jeśli przyjdzie do rewolucji, czemu Julian Sorel nie miałby być Rolandem, a ja panią Roland? Wolę to niż rolę pani de Staël: nasza epoka nie ścierpiałaby niemoralności obyczajów. To pewna, że nie dopuszczę się w życiu powtórnej słabości; umarłabym ze wstydu".

Rojenia Matyldy nie zawsze, trzeba przyznać, były tak surowe. Przyglądała się Julianowi, znajdowała uroczy wdzięk w całym jego zachowaniu się.

„Nie ma wątpienia — mówiła sobie — zdołałam w nim zniweczyć najlżejszy cień myśli o jakichś prawach nade mną. Nieszczęśliwy i namiętny wyraz, z jakim ten biedny

chłopiec oświadczył mi się przed tygodniem, dowodzi tego wyraźnie; trzeba przyznać, że to było dzikie z mej strony pogniewać się o słowa, w których błyszczało tyle szacunku, tyle miłości. Czyż nie jestem jego żoną? Ten wykrzyknik był bardzo naturalny i trzeba przyznać, bardzo ujmujący. Julian kochał mnie jeszcze po tych nielitościwych rozmowach, w których drażniłam go okrutnie mymi kaprysami dla tych paniczów, o których tak jest zazdrosny. Och! Gdyby wiedział, jak mało są groźni! Jak bardzo w porównaniu z nim wydają mi się mizerni i szablonowi".

Podczas tych rozmyślań Matylda wodziła ołówkiem po kartce albumu. Naszkicowany profil zdumiał ją i zachwycił: był uderzająco podobny do Juliana. „To głos nieba! To istny cud miłości — wykrzyknęła z uniesieniem — bezwiednie narysowałam jego portret".

Uciekła do swego pokoju, zamknęła się, wzięła się do pracy, próbowała serio zrobić portret Juliana, ale nie mogła; profil skreślony przypadkiem okazał się najpodobniejszy. Matylda była uszczęśliwiona, widziała w tym oczywisty dowód wielkiego uczucia.

Rozstała się z albumem bardzo późno, dopiero kiedy trzeba było jechać z matką na operę. Miała tylko jedną myśl: szukała Juliana wzrokiem, aby matka zaprosiła go do teatru.

Nie zjawił się: jedynie zwykli znajomi odwiedzili panie w loży. Przez pierwszy akt Matylda marzyła o ukochanym z najwyższą namiętnością, w drugim fraza, której towarzyszyła melodia godna Cimarozy, przeniknęła jej serce. Bohaterka mówiła: „Muszę się ukarać za nadmiar mego uwielbienia, nadto go kocham!".

Świat cały znikł dla Matyldy, gdy usłyszała tę boską kantylenę. Mówiono do niej, nie odpowiadała; matka łajała ją, ale panna ledwie mogła się przemóc, aby na nią spojrzeć. Egzaltacja jej dorównywała najwyższym wzruszeniom. Pełna boskiego uroku kantylena, której słowa zadziwiająco odpowiadały jej położeniu, zaprzątała wszystkie chwile niewypełnione myślą o Julianie. Miłość z głowy jest zapewne inteligentniejsza niż prawdziwa miłość, ale miewa jedynie rzadkie chwile upojenia; zbyt jest świadoma, bez ustanku sądzi siebie samą, nie tylko nie przesłania myśli, ale istnieje wyłącznie siłą myśli.

Za powrotem, nie zważając na matkę, Matylda oświadczyła, że ma gorączkę i przesiedziała do późna, powtarzając przy fortepianie kantylenę, która ją oczarowała:

Devo punirmi, devi punirmi,/ Se troppo amai, etc.

Rezultatem tej szalonej nocy było przeświadczenie, że zdołała zapanować nad swą miłością. (Ta stronica wielce zaszkodzi nieszczęsnemu autorowi. Dusze z lodu oskarżą go o nieprzystojność. Otóż, autor nie wyrządza zgoła tej zniewagi młodym gwiazdom paryskich salonów, aby przypuszczać, że bodaj jedna z nich zdolna jest do szaleństw obniżających charakter Matyldy. Jest to postać zupełnie zmyślona, poza sferą obyczajów, które zapewnią tak szacowne miejsce wiekowi XIX. Jeżeli czego, to nie rozwagi brakuje młodym panom stanowiącym ozdobę balów ostatniej zimy. Nie sądzę również, aby je można było oskarżać, że zanadto lekceważą świetny los, konie, majątki i wszystko, co zapewnia pozycję w świecie. Nie tylko nie żywią wstrętu do tych rzeczy, ale marzą o nich wytrwale; jeżeli co, to właśnie to pobudza bicie ich serca. Nie miłość też zapewnia los ludziom posiadającym pewne zdolności jak Julian; czepiają się oni kurczowo jakiejś koterii i kiedy ta koteria zwycięży, wszystkie pomyślności spływają na nich. Biada człowiekowi głębszemu, nienależącemu do żadnej koterii: wezmą mu za złe jego błahe i wątpliwe powodzenia, a nieskazitelna cnota będzie triumfować, okradając go. Bo, drogi panie, powieść to jest zwierciadło przechadzające się po gościńcu. To odbija lazur nieba, to błoto przydrożnej kałuży. Człowieka tedy, który nosi zwierciadło w swoim plecaku, będziecie obwiniali o niemoralność! Jego zwierciadło odbija kał, a wy oskarżacie zwierciadło! Oskarżajcie raczej gościniec, gdzie jest bagno, a bardziej jeszcze dróżnika, który pozwala, aby woda gniła i aby się tworzyły bajora. A teraz, kiedyśmy się już zgodzili, że taki charakter jak Matyldy niemożliwy jest w naszej roztropnej i cnotliwej epce, mogę z mniejszą obawą obrażenia uszu, opowiadać dalej szaleństwa tej sympatycznej dziewczyny).

Cały dzień szukała sposobności, która by potwierdziła jej triumf nad szaloną miłością do Juliana. Głównym jej celem było dokuczać mu na każdym kroku; ale żaden jego ruch nie uszedł jej uwagi.

Julian zbyt był nieszczęśliwy, a zwłaszcza zbyt wzruszony, aby odgadnąć tak skomplikowany manewr; tym bardziej nie umiał dostrzec zwrotu w sercu Matyldy; przypłacił to ciężko, nigdy może tyle nie cierpiał. Tak dalece nie panował nad swymi czynnościami, że gdyby jakiś zgryźliwy filozof powiedział mu: „Staraj się szybko skorzystać z pomyślnego nastroju; w tego rodzaju miłości *mózgowej*, jaką widuje się w Paryżu, kaprys nie może trwać dłużej niż parę dni", Julian zrozumiałby go. Ale mimo swego szaleństwa był człowiekiem honoru. Pierwszym jego obowiązkiem była dyskrecja; czuł to. Spytać kogokolwiek o radę, opowiedzieć swą mękę, byłoby dlań szczęściem człowieka, któremu w skwarze pustyni spadnie z nieba kropla chłodnej rosy. Zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, lękał się, aby nie odpowiedział wybuchem płaczu na jakie pytanie; zamknął się u siebie.

Matylda przechadzała się długo; kiedy wreszcie wróciła do pałacu, on zszedł do ogrodu; zbliżył się do krzaka róży i uszczknął zeń kwiat.

Noc była ciemna, mógł się oddać cierpieniu bez obawy świadków. Jasne było, że panna de la Mole kocha jednego z młodych wojskowych, z którymi dopiero co rozmawiała tak wesoło. Kochała wprzód jego, ale rychło poznała jego nicość!

„W istocie, czymże ja jestem! — powiadał sobie Julian z przeświadczeniem — Istotą bardzo płaską, pospolitą, nudną dla drugich, nieznośną dla siebie". Uczuł wstręt do wszystkich swych zalet, do rzeczy, które wprzód kochał z zapałem; i w tym zupełnym *rozstroju wyobraźni* chciał sądzić życie za pomocą wyobraźni! Częsta omyłka niepospolitych ludzi.

Niejednokrotnie nastręczała mu się myśl o samobójstwie; był to obraz pełen uroku, rozkoszny odpoczynek; szklanka wody ofiarowana nieszczęśnikowi, który kona w pustyni ze skwaru i pragnienia.

— Śmierć moja pomnoży jeszcze jej wzgardę! — wykrzyknął. — Jakież wspomnienie zostawię!

Skoro istota ludzka osunie się w otchłań, pozostaje jej jedynie determinacja. Julian nie był dość jasnowidzący, aby sobie powiedzieć: „Trzeba się odważyć"; ale patrząc w okno Matyldy, ujrzał przez żaluzję, że gasi światło; wyobraził sobie ten uroczy pokoik, który widział, niestety, jeden raz w życiu. Wyobraźnia jego nie sięgała dalej.

Wybiła pierwsza: usłyszeć dźwięk zegara i powiedzieć sobie „wejdę tam" było sprawą jednej chwili.

Był to błysk jasnowidzenia; argumenty cisnęły się tłumnie. „Mogęż być nieszczęśliwszy?" — powiadał sobie. Pobiegł do drabiny; ogrodnik przywiązał ją łańcuchem. Kurkiem z pistoletu, który połamał, Julian, ożywiony w tej chwili nadludzką siłą, skruszył ogniwo łańcucha, uwolnił w parę sekund drabinę i przystawił ją do okna.

„Pogniewa się, zmiażdży mnie wzgardą, więc cóż? Pocałuję ją, pocałuję po raz ostatni, pójdę do siebie i palnę sobie w łeb... wargi moje dotkną jej policzków, zanim umrę!"

Pędem wbiega po drabinie, puka w żaluzje; po chwili Matylda słyszy go, chce otworzyć okno, drabina nie puszcza: Julian czepia się żelaznego pręta służącego do przytrzymywania żaluzji i narażając się na spadnięcie, popycha gwałtownie drabinę i usuwa ją nieco. Matylda może otworzyć.

Wpada do pokoju ledwie żywy.

— Więc to ty! — mówi Matylda, rzucając mu się w ramiona.

*

Któż zdoła opisać bezmiar szczęścia Juliana? Szczęście Matyldy było niemal równie wielkie. Obsypywała się wyrzutami, oskarżała się przed nim.

— Ukarz mnie za mą piekielną dumę — mówiła, dławiąc go w ramionach. — Jesteś mój pan, ja twoja niewolnica, powinnam cię na kolanach błagać o przebaczenie za to, że chciałam się buntować. — Wysuwała mu się z ramion, aby mu paść do nóg. — Tak, ty jesteś moim panem — mówiła pijana jeszcze szczęściem i miłością — panuj zawsze nade mną, karz swą niewolnicę, kiedy się zechce buntować.

To znów za chwilę wydziera się z jego objęć, zapala świecę i Julian musi używać wszystkich sił, aby ją powstrzymać w chwili, gdy chce sobie uciąć całą połać włosów.

— Niech mi to przypomina — mówiła — że jestem twą niewolnicą; jeżeli kiedy ta ohydna duma mnie opęta, pokaż mi te włosy i powiedz: nie chodzi już o miłość, nie chodzi o wzruszenia, jakich możesz doznawać w tej chwili; przysięgałaś słuchać, honor nakazuje ci słuchać.

Ale roztropniej jest poniechać opisu tych szaleństw i upojeń.

Charakter Juliana okazał się na wyżynie jego szczęścia.

— Muszę zejść po drabinie — rzekł do Matyldy, skoro ujrzał, że świt jawi się na widnokręgu hen poza ogrodem. — Ofiara, którą sobie nakładam, jest godna ciebie; pozbawiam się kilku chwil najwyższego szczęścia, jakiego dusza ludzka może kosztować. Czynię to poświęcenie dla twej dobrej sławy; jeśli znasz moje serce, ocenisz gwałt, jaki sobie zadaję. Czy zawsze będziesz dla mnie tym, czym jesteś w tej chwili?... Ale honor przemawia, to dosyć. Wiedz, że po naszej pierwszej schadzce nie wszystkie podejrzenia zwróciły się na złodziei. Pan de la Mole kazał ustawić straż w ogrodzie. Croisenois otoczony jest szpiegami, wiadomo, co porabia każdej nocy.

Na myśl o tym, Matylda parsknęła głośnym śmiechem. Matka i panna służąca zbudziły się i zaczęły coś do niej mówić przez drzwi. Julian spojrzał na nią; zbladła, połajała służącą, matce nie raczyła nawet odpowiedzieć.

— Jeśli im przyjdzie na myśl otworzyć okno, zobaczą drabinę! — rzekł Julian.

Uścisnął jeszcze raz Matyldę skoczył na drabinę i zsunął się raczej niż zszedł, w jednej chwili był na ziemi.

W trzy sekundy później drabina znalazła się pod lipami, honor Matyldy był ocalony. Julian, oprzytomniawszy, spostrzegł, że jest cały we krwi i prawie nagi: skaleczył się zsuwając się nieostrożnie.

Nadmiar szczęścia wrócił mu całą energię: gdyby się znalazł w obliczu dwudziestu ludzi, rzucić się na nich samemu, byłoby dlań w tej chwili jedną rozkoszą więcej. Szczęściem waleczność jego nie spotkała się z żadną próbą; położył drabinę na zwykłym miejscu, owinął ją łańcuchem, zatarł ślady na grządkach pod oknem Matyldy.

Gdy wodził po ciemku ręką po miękkiej ziemi, aby się upewnić, że ślad jest zupełnie zatarty, uczuł, że mu coś pada na rękę, był to warkocz Matyldy: obcięła połowę włosów i rzuciła mu je.

Stała w oknie.

— Posyła ci to twoja służebnica — rzekła dość głośno — na znak wiekuistej wdzięczności. Wyrzekam się własnej woli, rozumu, bądź moim panem.

Julian zwyciężony omal nie pobiegł po drabinę, aby wrócić do jej pokoju. Wreszcie rozsądek zwyciężył.

Dostać się z ogrodu do pałacu nie było rzeczą łatwą. Udało mu się otworzyć siłą drzwi do piwnicy; znalazłszy się w domu, musiał wyważyć, możliwie najciszej drzwi do swego pokoju. Opuszczając wpół przytomnie sypialnię Matyldy, zostawił nawet klucz, który miał w kieszeni ubrania. „By — myślał — ona pamiętała o tym, aby ukryć ten zewłok śmiertelny!"

Wreszcie znużenie wzięło górę nad szczęściem; kiedy słońce wstawało, Julian zapadł w głęboki sen.

Dzwon na śniadanie ledwie go rozbudził; zeszedł do jadalni. Niebawem zjawiła się Matylda. Duma Juliana zaznała chwili upojenia na widok miłości błyszczącej w oczach tej pięknej i otoczonej hołdami kobiety; ale niebawem przeląkł się.

Pod pozorem braku czasu na dokończenie fryzury, Matylda ułożyła włosy tak, iż Julian mógł od pierwszego rzutu oka spostrzec rozmiary poświęcenia, jakie dlań uczyniła. Gdyby tak piękną twarz mogło cokolwiek oszpecić, Matylda byłaby to osiągnęła; połowa popielatych włosów była odcięta na pół cala przy głowie.

Przy śniadaniu całe zachowanie Matyldy zgodne było z tą nierozwagą. Można by mniemać, że sili się okazać całemu światu szaloną miłość. Szczęściem, tego dnia pan de la Mole i margrabia bardzo byli zajęci kwestią ostatniego rozdania orderów, przy którym pominięto księcia de Chaulnes. Pod koniec śniadania zdarzyło się Matyldzie, mówiąc do Juliana, rzec: *Panie mój*. Zaczerwienił się po białka.

Przypadkiem czy też z umysłu pani de la Mole nie zostawiła tego dnia córki ani na chwilę samej. Ale wieczorem przechodząc do salonu, panna znalazła sposobność, aby rzec Julianowi:

— Czy będziesz myślał, że to mój wybieg? Mama zarządziła, że garderobiana ma sypać w moim pokoju.

Ten dzień przemknął jak błyskawica. Julian był u szczytu szczęścia. Nazajutrz od siódmej rano siedział już w bibliotece; miał nadzieję, że panna de la Mole raczy się zjawić; napisał do niej długi list.

Ujrzał ją znacznie później, przy śniadaniu. Była starannie uczesana; sztuką zdołała zasłonić ubytek włosów. Spojrzała parę razy na Juliana, ale spokojnie i uprzejmie; nie było już mowy o nazywaniu go *swoim panem*.

Zdumienie Juliana tamowało mu oddech... Matylda wyrzucała sobie niemal wszystko, co dlań uczyniła.

Po dojrzałej rozwadze doszła do przekonania, że to jest osobnik, jeśli nie zupełnie pospolity, to w każdym razie niewyrastający na tyle ponad średnią miarę, aby zasługiwał na szaleństwa, na które się dlań odważyła. Razem wziąwszy, nie w głowie jej była miłość; tego dnia miała dość kochania.

Julian przechodził wzruszenie godne siedemnastoletniego chłopca. Wątpliwości, zdumienie, rozpacz nawiedzały go kolejno podczas tego śniadania, które wlekło się jak wieczność.

Skoro tylko mógł bez nieprzyzwoitości wstać od stołu, popędził raczej niż pobiegł do stajni, osiodłał konia i puścił się galopem; lękał się zhańbić jaką słabością. „Trzeba mi zabić w sobie serce fizycznym zmęczeniem — powiadał sobie galopując po Meudon. — Com ja uczynił, com rzekł, aby zasłużyć na takie obejście?"

„Nie trzeba nic robić, nic mówić dzisiaj — myślał, wracając do pałacu — trzeba być martwym fizycznie, jak jestem moralnie. Julian nie żyje już, to jego trup miota się jeszcze".

L. JAPOŃSKI WAZON

Serce jego nie obejmuje zrazu bezmiaru nieszczęścia: jest bardziej zmieszany niż wzruszony. Ale w miarę powrotu przytomności czuje głębię swej niedoli. Radość życia przestała dlań istnieć; zdolny jest czuć jedynie ukłucia rozpaczy. Ale co mówić o bólu fizycznym? Jakiż ból jedynie cielesny można porównać z tym bólem?

Jean Paul

Zadzwoniono na obiad, Julian ledwie zdążył się ubrać; zastał w salonie Matyldę, która nalegała na brata i na pana de Croisenois, aby nie jechał na wieczór do Suresnes do marszałkowej de Fervaques. Starała się być miła i czarująca. Po obiedzie zjawili się panowie de Luz, de Caylus z kilkoma przyjaciółmi. Można by rzec, iż panna de la Mole wraz z czułością siostrzaną odzyskała skrupuły konwenansu. Mimo że wieczór był prześliczny, nie chciała iść do ogrodu ani też oddalić się od berżerki pani de la Mole. Całe grono skupiło się koło błękitnej kanapy jak w zimie.

Matylda miała wstręt do ogrodu lub przynajmniej wydał się jej bardzo nudny; związany był ze wspomnieniem Juliana.

Nieszczęście paraliżuje inteligencję. Nasz bohater popełnił tę niezręczność, że zbliżył się do krzesełka, które niegdyś było świadkiem jego triumfów. Dziś nikt nie odezwał się doń, nikt go nie zauważył lub gorzej jeszcze. Przyjaciele panny de la Mole, którzy siedzieli na kanapce najbliżej Juliana, odwracali się plecami lub przynajmniej jemu się tak zdawało.

„Jestem w niełasce u dworu" — pomyślał. Przyjrzał się bacznie ludziom, którzy chcieli go przytłoczyć wzgardą.

Wuj pana de Luz piastował wysokie stanowisko przy osobie króla; stąd piękny oficerek zaczynał rozmowę z każdą zjawiającą się osobą od tego interesującego faktu; wuj pojechał o siódmej do Saint-Cloud i ma tam zostać na noc. Natrącał[60] o tym niby mimochodem, ale stale.

Przyglądając się panu de Croisenois surowym okiem nieszczęścia, Julian zauważył, że ten sympatyczny i poczciwy młodzian wierzy w ogromny wpływ spraw nadnaturalnych. Tak dalece, że martwi go i drażni, skoro widzi, że ktoś przypisuje jakiś ważniejszy wypadek prostej przyczynie. „Jest w tym coś z szaleństwa — myślał Julian. — To charakter zadziwiająco podobny do cesarza Aleksandra, jak mi go opisał książę Korazow".

[60]*natrącać* — wspominać, nadmieniać.

W pierwszym roku pobytu w Paryżu biedny Julian, świeżo wypuszczony z seminarium, olśniony tak nowymi dlań urokami tych ujmujących młodych ludzi, zdolny był jedynie podziwiać. Prawdziwy ich charakter zaczynał się dopiero rysować jego oczom.

„Odgrywam tu niegodną rolę" — pomyślał nagle. Chodziło o to, aby opuścić krzesełko w sposób nie zanadto niezręczny. Chciał coś wymyślić, silił się wycisnąć coś nowego z wyobraźni pochłoniętej innymi myślami. Próbował znaleźć coś w pamięci; ale, musimy przyznać, pamięć Juliana była niezbyt bogata w tego rodzaju sztuczki; biedny chłopiec był jeszcze bardzo nieobyty; toteż kiedy wstał, aby opuścić salon, uczynił to niezręcznie i rażąco. Przygnębienie malowało się zbyt wyraźnie w całej jego postawie. Odgrywał od trzech kwadransów rolę natrętnego famulusa, przed którym nikt się nie krępuje z okazaniem, co o nim myśli.

Krytyczne obserwacje, jakim dopiero co poddał swoich rywali, nie pozwoliły mu wziąć swego nieszczęścia zbyt tragicznie: przedwczorajsze wspomnienie działało nań krzepiąco. „Mimo wszystkich ich przewag — myślał, zapuszczając się w ogród — Matylda nie była dla żadnego z nich tym, czym dwa razy w życiu raczyła być dla mnie".

Myśl jego nie sięgała dalej. Nie pojął zgoła charakteru osoby, która zrządzeniem losu stała się bezwzględną panią jego szczęścia.

Cały następny dzień zamordowywał siebie i swego wierzchowca. Nie próbował wieczorem zbliżyć się do niebieskiej kanapy, której Matylda pozostała wierna. Zauważył, że hrabia Norbert nie raczy nań spojrzeć, kiedy go spotka w domu. „Musi sobie zadawać osobliwy gwałt — myślał Julian — z natury tak grzeczny!"

Sen byłby dla Juliana szczęściem. Na przekór fizycznemu utrudzeniu zbyt urocze wspomnienia jęły owładać całą jego wyobraźnią. Nie umiał sobie zdać sprawy, że forsowne wycieczki konne oddziałują jedynie na niego samego, w żadnej zaś mierze na serce lub umysł Matyldy; że więc tym samym zostawia trafowi decyzję swego losu.

Miał uczucie, że jedna rzecz przyniosłaby mu ulgę w tej męce: rozmowa z Matyldą. Ale co by jej powiedział?

Pewnego dnia o siódmej rano dumał głęboko na ten temat, kiedy nagle ona sama zjawiła się w bibliotece.

— Wiem, że pan pragnie ze mną mówić.

— Wielki Boże! Kto to pani powiedział?

— Cóż panu na tym zależy? Dość, że wiem. Jeśli pan jesteś człowiekiem bez honoru, możesz mnie zgubić lub bodaj próbować tego; ale to niebezpieczeństwo, którego zresztą nie przypuszczam, nie przeszkodzi mi być szczerą. Nie kocham już pana, moja szalona wyobraźnia oszukała mnie...

Rażony tym ciosem Julian, oszołomiony miłością i bólem, próbował się usprawiedliwiać. Nic głupszego. Czy może się ktoś usprawiedliwić z tego, że się nie podoba? Ale rozsądek nie miał już władzy nad jego postępkami. Ślepy instynkt parł go ku temu, aby opóźnić rozstrzygnięcie jego losu. Zdawało mu się, że póki mówi, jeszcze nie wszystko skończone. Matylda nie słuchała tego, co mówi, drażnił ją sam dźwięk jego głosu, nie mogła zrozumieć, jak on się ośmiela jej przerywać.

Wyrzuty i duma nękały ją po równi tego ranka. Uginała się pod tą okropną myślą, że dała nad sobą prawa mizernemu klerykowi, synowi chłopa. To prawie to samo — powtarzała, przesadzając swe nieszczęście — co gdyby się zapomniała z lokajem.

W dumnych i śmiałych charakterach jest tylko jeden krok od gniewu na siebie do oburzenia na innych; w takim razie wybuch wściekłości sprawia wielką przyjemność.

W jednej chwili panna de la Mole obsypała Juliana wyrazami wzgardy. Była to dziewczyna bardzo inteligentna, a inteligencja ta błyszczała zwłaszcza w sztuce dręczenia i zadawania okrutnych ran.

Pierwszy raz w życiu Julian znalazł się pod uciskiem wyższego umysłu ziejącego nienawiścią. Nie próbował się bronić, gardził w tej chwili sam sobą. Słysząc, jak panna de la Mole obrzuca go słowami tak okrutnie wzgardliwymi, tak dobrze obmyślonymi na to, aby zniweczyć w nim wszelkie dobre mniemanie o sobie, miał uczucie, że ona ma słuszność i że to wszystko jeszcze nie dosyć.

Co do niej, doznawała rozkosznego zadowolenia, karząc w ten sposób jego i siebie za swoje urzeczenie.

Nie potrzebowała szukać i wymyślać bolesnych rzeczy, którymi bryzgała mu w twarz z taką przyjemnością. Powtarzała jedynie to, co od tygodnia powiadał jej głos serca wzdragający się przeciw tej miłości.

Każde słowo mnożyło mękę Juliana. Chciał uciec; ona zatrzymała go rozkazującym gestem.

— Raczy pani zauważyć — rzekł — że pani mówi bardzo głośno; może ktoś usłyszeć.

— Więc cóż! — odparła dumnie panna — Któż się ośmieli powiedzieć mi, że słyszał! Chcę na zawsze uleczyć pańską mizerną ambicję z pewnych fałszywych pojęć.

Skoro Julian zdołał wyjść z biblioteki, był tak zdziwiony, że tym samym mniej odczuwał swoje nieszczęście. „Więc tak! Nie kocha mnie już! — powtarzał głośno, jak gdyby zdając przed sobą sprawę z położenia. — Kochała mnie może jaki tydzień lub dwa, ja zaś będę ją kochał całe życie.

Czy to możliwe, nie była niczym! niczym dla mego serca tak niedawno temu!"

Duma zalewała serce Matyldy. Zdołała tedy zerwać raz na zawsze! To, że mogła odnieść pełny triumf nad skłonnością tak potężną, napełniało ją szczęściem. „Nareszcie ten chłopak zrozumie i to raz na zawsze, że nie ma i nie będzie miał nigdy żadnej władzy nade mną". Czuła się tak szczęśliwa, że istotnie w tej chwili nie było w niej ani śladu miłości.

Po tak okrutnej, upokarzającej scenie u człowieka mniej namiętnego niż Julian miłość byłaby niemożliwa. Nie uchybiając ani na chwilę temu, co była winna samej sobie, panna de la Mole powiedziała mu mnóstwo rzeczy przykrych, a tak dobrze obliczonych, że mogły robić wrażenie prawdy nawet rozważane z zimną krwią.

W pierwszej chwili Julian wyciągnął z tej zdumiewającej sceny wniosek, że Matylda jest bezgranicznie dumna. Wierzył, że wszystko między nimi skończone, mimo to nazajutrz okazał się w jej obecności zmieszany i wystraszony. Była to wada, której dotąd nie można było mu wyrzucać. Zarówno w małych jak wielkich rzeczach wiedział jasno, co powinien i co chce uczynić.

Po śniadaniu, kiedy pani de la Mole poprosiła go o rewolucyjną, a mimo to dość rzadką broszurę, którą proboszcz przyniósł jej rano w sekrecie, Julian, biorąc druk z konsoli, strącił niebieski porcelanowy wazon, zresztą bardzo brzydki.

Pani de la Mole zerwała się, wydając krzyk rozpaczy i podeszła, aby obejrzeć szczątki ukochanego wazonu.

— To stara japońszczyzna — rzekła — miałam go po ciotecznej babce, przeoryszy w Chelles; był to dar Holendrów dla księcia regenta, który go dał swojej córce...

Matylda podeszła wraz z matką, uszczęśliwiona z katastrofy niebieskiego wazonu, którego nie cierpiała. Julian stał milczący i bynajmniej niezmieszany; znalazł się tuż obok panny.

— Wazon ten — rzekł — strzaskany jest na zawsze; tak i uczucie, które władało mym sercem; proszę, byś pani raczyła mi darować wszystkie szaleństwa, do których mnie przywiodła. — To rzekłszy, wyszedł.

— Można by rzec w istocie — rzekła pani de la Mole — że ten Sorel jest dumny i szczęśliwy z tego, co uczynił.

Słowa te ugodziły Matyldę wprost w serce. „To prawda — pomyślała — matka odgadła: to w istocie uczucie, które go przenika".

Wówczas dopiero pierzchła radość ze sceny, którą mu zrobiła wczoraj. „A więc wszystko skończone — rzekła sobie z pozornym spokojem — mam naukę na przyszłość; straszny, upokarzający błąd; nauczy mnie rozsądku na całe życie".

„Ach, czemuż to, co rzekłem, nie jest prawdą? — pomyślał Julian — czemu miłość do tej szalonej dziewczyny dręczy mnie jeszcze?"

Miłość ta miast wygasnąć, jak się spodziewał, czyniła szybkie postępy. „Szalona jest — powiadał sobie — ale czy nie jest urocza? Czy może być coś wdzięczniejszego? Czyż wszystkie upojenia najwykwintniejszej kultury nie skupiają się w jej osobie?"

Wspomnienia minionego szczęścia oblegały Juliana i zniweczyły niebawem wpływ rozsądku. Rozum daremnie walczy przeciw takim wspomnieniom; jego surowe zakazy mnożą jedynie ich urok.

W dwadzieścia cztery godziny po stłuczeniu starego japońskiego wazonu Julian był stanowczo jednym z najnieszczęśliwszych ludzi.

LI. SEKRETNE ZLECENIE

Wszystko, co opowiadam, widziałem: i jeśli mogłem się łudzić, patrząc, z pewnością nie oszukuję was, powiadając wam o tym.

List do autora.

Margrabia wezwał Juliana: pan de la Mole zdawał się odmłodzony, oczy mu błyszczały.

— Musimy trochę spróbować twej pamięci — rzekł do Juliana. — Powiadają o niej cuda. Czy mógłbyś się nauczyć na pamięć czterech stronic i wyrecytować je w Londynie, ale nie zmieniając ani słowa?

Margrabia miął gniewnie świeży numer „*Quotidienne*"; próżno silił się pokryć bardzo poważny wyraz twarzy, jakiego Julian nie widział u niego nigdy, nawet kiedy była mowa o procesie z księdzem Frilair.

Julian miał już na tyle sprytu, aby zrozumieć, że powinien podjąć bez zdziwienia lekki ton margrabiego.

— Ten numer „*Quotidienne*" nie jest może zbyt zabawny, ale jeśli pan margrabia pozwoli, jutro rano będę miał zaszczyt powtórzyć go w całości.

— Jak to! Nawet ogłoszenia?

— Najdokładniej, nie zbraknie ani słówka.

— Dajesz słowo? — rzekł margrabia poważniejąc nagle.

— Tak, panie margrabio; jedynie obawa chybienia słowu mogłaby zmącić mą pamięć.

— Zapomniałem spytać cię o to już wczoraj. Nie żądam przysięgi, że nigdy nie powtórzysz tego, co usłyszysz: nadto cię dobrze znam, aby ci czynić tę zniewagę. Zaręczyłem za ciebie, wprowadzę cię do salonu, gdzie będzie jakieś dwanaście osób, zapiszesz sobie wszystko, co kto powie. Nie obawiaj się, mówcy będą się trzymali kolei, nie mówię *porządku* — dodał margrabia, wracając do sceptycznego tonu, który był mu właściwy. — Z tego, co będziemy mówili, spiszesz jakie dwadzieścia stronic; wrócisz tu ze mną, ściągniemy je do czterech. Te cztery stronice wyrecytujesz mi jutro w miejsce numeru „*Quotidienne*". Natychmiast potem puścisz się w drogę, pocztą, jak młody furfant podróżujący dla rozrywki. Chodzi o to, aby cię nikt nie zauważył. Dotrzesz do wysokiej osobistości. Tam trzeba będzie jeszcze więcej sprytu. Chodzi o to, aby oszukać całe otoczenie: ile że między sekretarzami i służbą znajdują się ludzie zaprzedani wrogom i czyhający na naszych wysłanników, aby ich przytrzymać.

Otrzymasz zdawkowy list polecający.

W chwili gdy jego ekscelencja spojrzy na ciebie, wyjmiesz ten zegarek, który ci pożyczam na drogę. Weź go od razu i daj mi w zamian swój.

Sam książę osobiście spisze pod twym dyktandem owe cztery stronice, których nauczysz się na pamięć.

Dokonawszy tego, ale nie wcześniej, zauważ to dobrze, będziesz mógł, o ile ekscelencja zapyta, opowiedzieć przebieg posiedzenia.

Aby się nie nudzić w podróży, pamiętaj wciąż, że między Paryżem a rezydencją ministra znajdują się ludzie, którzy chętnie wygarnęliby z fuzji do pana Sorel. Wówczas koniec twojej misji i — co za tym idzie — fatalne opóźnienie; jakże bowiem, mój drogi, zdołalibyśmy się dowiedzieć o twej śmierci? Gorliwość twoja nie sięga tak daleko, abyś nas o tym powiadomił.

Biegnij natychmiast sprawić sobie kostium — ciągnął margrabia z niewzruszoną powagą. — Ubierz się, ot, modą z zaprzeszłego roku. Dziś wieczór trzeba, abyś był nieco zaniedbany; na drogę, przeciwnie, ubierz się jak zwyczajnie. Dziwi cię to, zgadujesz już?... Tak, chłopcze, jedna z czcigodnych osobistości, które będą dziś głos zabierać, snadnie mogłaby przesłać wskazówki, przy pomocy których uraczono by cię co najmniej porcyjką opium wieczorem w jakiej zacnej gospodzie, gdzie byś się zatrzymał na kolację.

— Lepiej — rzekł Julian — nadłożyć trzydzieści mil, a nie jechać prostą drogą. Chodzi tu, jak przypuszczam, o jazdę do Rzymu...

Margrabia przybrał wyniosły i niezadowolony wyraz, którego Julian nie widział u niego od Bray-le-Haut.

— Dowiesz się wówczas, kiedy uznam za stosowne ci powiedzieć. Nie lubię pytań.

— To nie było pytanie — rzekł Julian z zapałem — przysięgam, po prostu myślałem głośno, szukałem w głowie najpewniejszej drogi.

— Tak, ale na razie podrwiłeś tą głową. Nie zapominaj nigdy, że poseł w twoim wieku nie powinien przemocą wdzierać się w zaufanie.

Julian, bardzo upokorzony, zamilkł. Jego miłość własna szukała wymówki i nie mogła znaleźć.

— Zrozum i to — dodał pan de la Mole — że ile razy kto strzeli głupstwo, zawsze powołuje się na swoje serce.

W godzinę potem Julian zjawił się w gabinecie margrabiego w niepozornej postaci, w starym ubraniu, w krawacie wątpliwej białości; było coś arcymieszczańskiego w każdym jego rysie.

Widząc go, margrabia parsknął śmiechem: dopiero wówczas Julian dostąpił zupełnego odpustu.

„Jeśli ten chłopak mnie zdradzi — myślał pan de la Mole — komu zaufać? A kiedy się działa, trzeba komuś ufać. Mój syn i jego przyjaciele to ludzie dzielni, wierni bez granic; gdyby się trzeba było bić, zginęliby na stopniach tronu; umieją wszystko... z wyjątkiem tego, czego trzeba. Niech mnie licho porwie, jeśli znam jednego z nich, który byłby zdolny nauczyć się na pamięć czterech wielkich stronic i zrobić sto mil, nie dając się wytropić. Norbert umiałby zginąć jak jego przodkowie; przymiot dobry dla rekruta..."

Margrabia zadumał się głęboko. „A nawet, gdyby chodziło o to, aby zginąć — dodał z westchnieniem — może ten Sorel potrafiłby to równie dobrze jak on..."

— Powóz czeka, siadajmy — rzekł margrabia, jakby chcąc odpędzić natrętną myśl.

— Panie margrabio — rzekł Julian — gdy mi sporządzano to ubranie, nauczyłem się na pamięć pierwszej stronicy z dzisiejszego numeru „*Quotiedienne*".

Margrabia ujął dziennik, Julian wyrecytował, nie zmyliwszy ani słowa. „Dobrze — pomyślał margrabia, osobliwie *dyplomatyczny* tego wieczora — przez ten czas chłopak nie zauważy, którędy jedziemy".

Weszli do wielkiego, dość ponurego salonu obitego zielonym aksamitem. Na środku chmurny lokaj kończył ustawiać wielki stół jadalny, który zmienił się później w stół do pracy za pomocą olbrzymiego zielonego sukna poplamionego atramentem; zapewne spuścizna po jakimś ministerium.

Gospodarz domu (nazwiska nie wymieniono) był to otyły mężczyzna, którego fizjonomia i wymowa wyrażały mozół trawienia.

Na znak margrabiego Julian usiadł na szarym końcu. Nie wiedząc, co z sobą począć, jął zacinać pióra. Zerkając spod oka, doliczył się siedmiu uczestników, ale widział tylko ich grzbiety. Dwaj rozmawiali z panem de la Mole dosyć poufale; reszta odnosiła się doń mniej lub więcej uniżenie.

Zjawiła się nowa osobistość, bez oznajmiania. „Dziwne — pomyślał Julian — nie oznajmiają tutaj. Czyżby ta ostrożność była na moją cześć?"

Wszyscy powstali na powitanie nowo przybyłego. Miał ten sam wysoki order, co trzej obecni. Mówiono dość cicho; Julian mógł tedy sądzić o nim jedynie z postawy i fizjonomii. Był niski, krępy i rumiany; w błyszczącym oku widniała wściekłość odyńca.

Prawie równocześnie uwagę Juliana odciągnęła bardzo odmienna postać. Był to człowiek wysoki, chudy, mający na sobie kilka kamizelek. Oko miał łagodne, gesty uprzejme.

„Kubek w kubek stary biskup z Besançon" — pomyślał Julian. Człowiek ten widocznie należał do Kościoła, miał lat pięćdziesiąt parę i minę nadzwyczaj ojcowską.

Przybył też młody biskup z Agde i wydał się bardzo zdumiony, skoro, czyniąc przegląd obecnych, spostrzegł Juliana. Nie odezwał się doń ani słowem od uroczystości w Bray-le--Haut. Zdziwione jego spojrzenie zakłopotało i podrażniło Juliana. „Cóż u licha! — myślał — czy zawsze to, że kogoś znam, będzie mi się obracało na złe? Wszyscy ci wielcy panowie, których nigdy nie widziałem, nie onieśmielają mnie wcale, natomiast spojrzenie tego biskupiątka mrozi mnie. Trzeba przyznać, że ze mnie jest bardzo dziwaczna i nieszczęśliwa figura".

Niebawem wszedł z hałasem mały, bardzo czarny człowiek i zaczął mówić od samych drzwi; miał żółtą cerę i minę narwańca. Z przybyciem tego niezmordowanego gaduły potworzyły się grupy wyraźnie w tym celu, aby uniknąć jego nudnych wywodów.

Oddalając się od kominka, rozmawiający zbliżyli się do szarego końca stołu, gdzie był Julian. Pozycja jego stawała się coraz kłopotliwsza; ostatecznie, mimo wysiłków, nie mógł nie słyszeć. Mimo swego niedoświadczenia rozumiał całą wagę rzeczy, o których mówiono bez osłonek; a jak bardzo musiało owym osobom zależeć na tym, aby te rzeczy zostały tajemnicą!

Już, czyniąc to jak mógł najwolniej, Julian zaciął ze dwa tuziny piór; niebawem ucieczka ta miała się wyczerpać. Próżno szukał jakiegoś rozkazu w oczach pana de la Mole; margrabia zapomniał o nim.

„To śmieszne, co ja robię — myślał Julian, zacinając pióra — ale ci ludzie wyglądają na miernoty, a dźwigający z własnej lub cudzej woli tak wielkie sprawy, muszą być bardzo podejrzliwi. Moje nieszczęśliwe spojrzenie ma w sobie coś pytającego, coś nie dość pełnego szacunku, co by ich niezawodnie dotknęło. Jeśli spuszczę oczy, będzie wyglądało, jakbym nasłuchiwał".

Był niezmiernie zakłopotany, słyszał osobliwe rzeczy.

LII. DYSKUSJA

Republika! Na jednego, który poświęciłby wszystko dla sprawy, są dziś tysiące i miliony znające jedynie własne przyjemności, własną próżność. W Paryżu o szacunku dla człowieka rozstrzyga jego powóz, nie jego cnota.

Napoleon, Pamiętnik

Nagle wpadł lokaj, wołając: Książę de ***.

— Milcz, durniu — rzekł książę, wchodząc. Powiedział to tak dobrze, z takim majestatem, że Julian pomyślał, że umieć się zgniewać na lokaja stanowi całą umiejętność tej wielkiej figury. Julian podniósł oczy i spuścił je natychmiast. Tak dobrze odgadł rolę nowo przybyłego, że drżał, aby spojrzenie nie było niedyskrecją.

Książę był to mężczyzna pięćdziesięcioletni, wytwornie ubrany, poruszający się jak na sprężynach. Miał wąską głowę, duży nos, twarz martwą i wydatną; trudno o połączenie szlachetniejszej i bardziej nieznaczącej zarazem fizjonomii. Przybycie jego dało hasło do otwarcia posiedzenia.

Obserwacje Juliana przerwał nagle głos pana de la Mole.

— Przedstawiam panom księdza Sorel — rzekł margrabia — obdarzony jest zdumiewającą pamięcią; przed godziną wspomniałem mu o misji, którą może być zaszczycony i aby dać dowód pamięci, nauczył się na pamięć pierwszej stronicy „*Quotidienne*".

— He, he! Zagraniczne nowinki tego poczciwego N... — rzekł gospodarz domu. Wziął żywo dziennik, popatrzył na Juliana z miną tak ważną, że przez to aż komiczną i rzekł — Mów pan.

Zapanowało milczenie, wszystkie oczy zwróciły się na Juliana; recytował tak płynnie, że po dwudziestu wierszach książę rzekł:

— Wystarczy.

Mały człowiek ze wzrokiem odyńca usiadł. Był snadź przewodniczącym zebrania, zająwszy bowiem miejsce, dał znak Julianowi, aby przysunął stolik karciany stojący opodal. Julian usiadł, zaopatrzywszy się w przybór do pisania. Policzył osoby siedzące dokoła zielonego sukna; było ich dwanaście.

— Panie Sorel — rzekł książę — przejdź pan do sąsiedniego pokoju, zawołamy pana.

Pan domu przybrał niespokojną minę.

— Okiennice niezamknięte — szepnął do sąsiada.

— Nie ma potrzeby wyglądać oknem — krzyknął ktoś głupio za Julianem.

„Ot, wpakowałem się co najmniej w spisek — pomyślał Julian. — Szczęściem, nie jest on z tych, które prowadzą na rusztowanie. Gdyby zresztą i było niebezpieczeństwo, winien to jestem, i więcej jeszcze, margrabiemu. Szczęśliwy byłbym, gdyby mi dane było odkupić wszystkie strapienia, jakie mogą mu sprawić moje szaleństwa!"

Wciąż myślał o swoich szaleństwach i o swym nieszczęściu, rozglądał się tak, aby nie zapomnieć żadnego szczegółu. Przypomniał sobie dopiero wówczas, że nie wołano na wsiadanym nazwy ulicy i że margrabia przybył tu dorożką, co mu się nigdy nie zdarzało.

Długo zostawiono Juliana jego dumaniom. Salon, w którym się znalazł, obity był czerwonym aksamitem z szeroką taśmą złotej lamy. Na konsoli stał duży krucyfiks z kości słoniowej, na kominku, książka pana de la Maistre *O papieżu*, wspaniale oprawna, ze złoconymi brzegami. Julian otworzył ją, aby się nie wydawało, że podsłuchuje. Od czasu do czasu mówiono w sąsiednim pokoju bardzo głośno. Wreszcie drzwi się otwarły; zawołano go.

— Pomnijcie, panowie — rzekł przewodniczący, że od tej chwili mówimy w obecności księcia ***. Ten pan — rzekł, wskazując na Juliana — to młody lewita oddany świętej sprawie; dzięki swej zadziwiającej pamięci potrafi oddać najdrobniejsze słowo dyskusji.

— Pan ma głos — rzekł, wskazując jegomościa z ojcowską miną i w kilku kamizelkach. Julian pomyślał, że właściwiej byłoby go nazwać *panem w kamizelkach*.

Wziął papier i pilnie notował.

Tutaj autor chciał wykropkować całą stronicę.

— To będzie pretensjonalnie — rzekł wydawca — dla utworu zaś tak błahego jak pański, pretensjonalność to śmierć.

— Polityka — odpowiada autor — to kamień u szyi literackiego dzieła; musi je zatopić w pół roku. Polityka wśród gry wyobraźni, to niby wystrzał z pistoletu na koncercie: hałas brutalny, a pozbawiony siły. Nie harmonizuje z żadnym instrumentem. Ta polityka urazi śmiertelnie połowę czytelników, a znudzi drugą połowę, która ma ją w formie o wiele energiczniejszej w porannym dzienniku...

— Jeśli pańscy bohaterowie nie będą mówili o polityce, przestaną być Francuzami z 1830, a pańska książka nie będzie zwierciadłem, jak masz do tego pretensje...

Protokół spisany przez Juliana miał dwadzieścia sześć stronic: oto jego wyciąg bardzo blady, trzeba było bowiem, jak zawsze, opuścić rysy zbyt śmieszne, których nadmiar mógłby się wydać wstrętny lub nieprawdopodobny. (*Patrz:* „*Gazeta Sądowa*").

Człowiek w kamizelkach i z ojcowską miną (może jaki biskup?) uśmiechał się często; wówczas oczy jego, przesłonięte mrugającymi powiekami, przybierały szczególny blask i wyraz mniej niepewny niż zazwyczaj. Jemu pierwszemu kazano przemówić wobec księcia („Co to za książę?" — myślał Julian), widocznie w tym celu, aby, niby generalny adwokat, wyłożył przekonania wszystkich. Julian odniósł wrażenie, że mówca grzeszy mglistością oraz brakiem stanowczych konkluzji. W ciągu dyskusji sam książę uczynił mu nawet ten zarzut.

Po kilku wielce moralnych i filozoficznych ogólnikach, człowiek w kamizelkach rzekł:

— Szlachetna Anglia, sterowana przez wielkiego człowieka, nieśmiertelnego Pitta, wydała czterdzieści miliardów franków na walkę z rewolucją. Jeśli szanowne zgromadzenie pozwoli mi poruszyć szczerze myśl dość smutną, powiem tak: Anglia nie zrozumiała, że z człowiekiem takim jak Bonaparte, zwłaszcza gdy jako bronią przeciw niemu rozporządza się jedynie dobrymi intencjami, jedyną wartość mają środki osobiste...

— Och! Znowu apologia morderstwa! — żachnął się pan domu.

— Niechże pan nam oszczędzi sentymentalnych kazań! — wykrzyknął niechętnie przewodniczący, przy czym jego dzicze oko zalśniło okrutnym blaskiem. — Mów pan dalej — rzekł do jegomości w kamizelkach. Czoło i policzki przewodniczącego oblały się purpurą.

— Szlachetna Anglia — ciągnął dalej mówca — jest dziś zmiażdżona, gdyż każdy Anglik, kupując bochenek chleba, musi płacić procent od czterdziestu miliardów franków użytych przeciw jakobinom. Nie ma już Pitta.

— Jest książę Wellington — rzekł jakiś wojskowy, nadymając się powagą.

— Proszę o ciszę, panowie — wykrzyknął przewodniczący — jeśli mamy jeszcze dysputować, niepotrzebnie fatygowaliśmy pana Sorel.

— Wiadomo, że pan ma swoje sposoby — rzekł książę cierpko, spoglądając na jegomościa, który przerwał, eks-generała napoleońskiego. Julian domyślił się, że to słowo kryło jakąś osobistą i mocno obrażającą aluzję. Wszyscy uśmiechnęli się; generał odstępca był wściekły.

— Nie ma już Pitta, panowie — podjął sprawozdawca z miną człowieka, który stracił już nadzieję dogadania się. — Gdyby nawet znalazł się w Anglii drugi Pitt, nie da się dwa razy zmistyfikować narodu tymi samymi środkami.

— Dlatego też zwycięski generał, nowy Bonaparte, niemożliwy jest już we Francji! — wykrzyknął znów wojskowy.

Tym razem ani przewodniczący, ani książę nie śmieli okazać niezadowolenia, mimo że Julian czytał w ich oczach, że mają ochotę. Spuścili oczy; książę poprzestał na ostentacyjnym westchnieniu.

Ale referent nie krył swego niezadowolenia.

— Komuś jest pilno, abym skończył — rzekł z ogniem, odrzucając nagle uśmiechniętą maskę dworności i taktu, którą Julian uważał za wyraz jego charakteru — komuś pilno, abym skończył; daremne, widzę, są wysiłki, jakie czynię, aby nie obrazić niczyich uszu, chociażby najdłuższych. Zatem, panowie, będę zwięzły.

Powiem po prostu. Anglia nie da już ani grosza na ofiarę dla dobrej sprawy. Gdyby sam Pitt zmartwychwstał, nie potrafiłby, przy całym geniuszu, otumanić drobnych posiadaczy, którzy wiedzą, że krótka bitwa pod Waterloo kosztowała ich, sama jedna, miliard. Skoro żądacie, aby mówić po prostu — dodał, zapalając się — powiem: Myślcie sami o sobie, Anglia nie ma ani gwinei na wasze usługi, kiedy zaś Anglia nie płaci, wówczas Austria, Rosja, Prusy, które mają jedynie odwagę, a nie mają pieniędzy, mogą się zdobyć co najwyżej na jedną lub dwie kampanie przeciw Francji.

Wolno mieć nadzieję, że młodzi żołnierze skupieni pod hasłem jakobinizmu dostaną cięgi w pierwszej bitwie, może i w drugiej; ale w trzeciej, choćbym miał uchodzić w waszych zaślepionych oczach za rewolucjonistę, w trzeciej ujrzycie żołnierzy z 1794 innych zgoła niż wówczas, gdy ich powołano w 1792.

Tu rozległy się sprzeciwy.

— Młodzieńcze — rzekł przewodniczący — idź do drugiego pokoju przepisać początek protokołu.

Julian z wielkim żalem wyszedł. Sprawozdawca poruszył możliwości stanowiące przedmiot najczęstszych dumań Juliana.

„Boją się, abym sobie z nich nie drwił" — myślał. Kiedy go przywołano z powrotem, przemawiał pan de la Mole. Mówił z powagą, która znającemu go dobrze Julianowi wydała się bardzo zabawna.

— ...Tak, panowie, zwłaszcza o tym nieszczęśliwym narodzie można powiedzieć:

Będzie li bogiem, słowem albo miską?

Będzie bogiem! woła bajkopis. Do was to, panowie, zdają się odnosić te tak szlachetne i głębokie słowa. Działajcie sami, osobiście, a szlachetna Francja wstanie niemal taka, jaką ją uczynili nasi przodkowie i jaką oglądały jeszcze nasze oczy przed śmiercią Ludwika XIV.

Anglia (przynajmniej jej szlachetni lordowie) nienawidzi na równi z nami plugawego jakobinizmu: bez angielskiego złota Austria, Prusy mogą stoczyć ledwie parę bitew. Czy to wystarczy, aby sprowadzić szczęśliwą okupację, jak ta, którą pan de Richelieu tak głupio zmarnotrawił w 1817? Nie sądzę.

Ktoś przerwał, ale zagłuszyło to ogólne *pst*! Był to znów generał napoleoński, który marzył o błękitnej wstędze i chciał się zaznaczyć między redaktorami tajemnej noty.

— Ja nie sądzę — podjął pan de la Mole, skoro się uciszyło; położył nacisk na tym *ja* z dumą, która zachwyciła Juliana. „To się nazywa gracz — mówił, biegnąc piórem prawie równo ze słowami margrabiego. — Jednym dobrze zaakcentowanym słówkiem pan de la Mole unicestwił dwadzieścia bitew tego sprzedawczyka".

— Nie tylko samej zagranicy — ciągnął margrabia tonem bardzo umiarkowanym — możemy zawdzięczać nową okupację wojskową. Cała ta młodzież, która pisuje podburzające artykuły w „*Globie*", dostarczy kilka tysięcy przywódców, pomiędzy którymi może się znaleźć taki Kleber, Hoche, Jourdan, Pichegru, tylko niebezpieczniejszy.

— Nie umieliśmy mu stworzyć glorii — rzekł przewodniczący — trzeba go było uczynić nieśmiertelnym.

— Trzebaż wreszcie, aby Francja rozpadła się na dwa stronnictwa — podjął pan de la Mole — ale dwa stronnictwa nie tylko z nazwy, dwa stronnictwa bardzo wyraźne, odgraniczone. Musimy wiedzieć, kogo trzeba zmiażdżyć. Z jednej strony dziennikarze, wyborcy, słowem *opinia*; młodzież i jej satelici. Gdy oni się odurzają brzękiem czczych słów, my mamy tę niezawodną przewagę, że zjadamy budżet.

Nowe przerywania.

— Pan, proszę pana — rzekł margrabia do przerywającego z niezrównaną wyniosłością i swobodą — pan nie zjadasz, jeśli to słowo pana razi; pan pożerasz czterdzieści tysięcy franków z budżetu państwa i osiemdziesiąt tysięcy, które otrzymujesz z listy cywilnej. A więc, drogi panie, skoro mnie pan zmusza, biorę pana śmiało za przykład. Jak pańscy szlachetni przodkowie, którzy szli za świętym Ludwikiem na wojnę krzyżową, powinien byś pan za tych sto dwadzieścia tysięcy franków wystawić nam co najmniej pułk, kompanię, co mówię! pół kompanii złożonej z pięćdziesięciu ludzi gotowych walczyć i oddanych dobrej sprawie na śmierć i życie. Macie tylko lokajów, którzy w razie buntu napędziliby strachu wam samym.

Tron, ołtarz, szlachta, mogą zginąć jutro, panowie, o ile nie stworzycie sobie w każdym departamencie pięciuset oddanych ludzi; mówię oddanych, nie tylko z całą francuską odwagą, ale z hiszpańską wytrwałością.

Połowa tej armii powinna się składać z naszych dzieci, wnuków, z prawdziwej szlachty. Każdy z nich będzie miał przy boku nie jakiegoś łyka gadułę, gotowego przywdziać trójkolorową kokardę, jeśli się zdarzy nowy rok 1815, ale tęgiego chłopa, szczerego i prostego jak Cathelineau; szlachcic wpoi weń zasady: niech to będzie, o ile możliwe, jego mleczny brat. Niech każdy z nas poświęci *piątą część* swego dochodu, aby stworzyć tę małą, oddaną armię, pięciuset ludzi na każdy departament. Wówczas będziecie mogli liczyć na obcą okupację. Nigdy cudzoziemski żołnierz nie dostanie się do Dijon, jeśli nie będzie miał pewności, że znajdzie pięciuset sprzymierzeńców w każdym departamencie.

Cudzoziemscy monarchowie tylko wtedy zechcą z wami gadać, jeśli im zapewnicie dwadzieścia tysięcy szlachty gotowej chwycić za broń, aby im otworzyć bramy Francji. Ciężka to ofiara, powiecie; otóż, panowie, bezpieczeństwo naszych głów zależy od niej. Między wolnością prasy a naszym istnieniem jako szlachty jest walka na śmierć i życie. Zostańcie rękodzielnikami, chłopami albo bierzcie karabin. Bądźcie tchórzami, jeśli chcecie, ale nie głupcami; otwórzcie oczy.

Strójcie bataliony, powiem wam stówami pieśni jakobinów; wówczas znajdzie się jakiś szlachetny Gustaw-Adolf, który poruszony grożącą zagładą monarchicznej zasady pogna trzysta mil i uczyni dla was to, co Gustaw dla protestanckich książąt. Chcecie nadal rozprawiać, a nie działać? Za pięćdziesiąt lat będą w Europie sami prezydenci republik, ani jednego króla. A wraz z tymi czterema literami: K, R, Ó, L, zginą i księża, i szlachta. Widzę już tylko *kandydatów*, robiących słodkie oczy do plugawej *większości*.

Darmo mówilibyście, że Francja nie ma w tej chwili popularnego wodza, znanego, ukochanego; że armia oddana jest jedynie interesom tronu i ołtarza, że wyłączono z niej starych wiarusów, gdy w każdym pruskim i austriackim pułku znajdzie się pięćdziesięciu podoficerów, którzy byli w ogniu. Dwieście tysięcy młodzieży z drobnego mieszczaństwa rwie się do wojny...

— Dość już tych przykrych prawd — rzekła pewnym siebie tonem poważna osobistość piastująca widocznie jakąś wysoką godność kościelną, gdyż pan de la Mole uśmiechnął się przyjaźnie, zamiast się gniewać, co było nieomylnym znakiem dla Juliana.

— Dosyć przykrych prawd, streśćmy się, panowie: człowiek, któremu trzeba uciąć zgangrenowaną nogę, źle by uczynił, gdyby zapewniał chirurga: „Ta noga jest zupełnie zdrowa". Darujcie mi porównanie, panowie, szlachetny książę *** jest naszym chirurgiem.

Wreszcie padło wielkie słowo, pomyślał Julian; zatem to do *** będę gnał tej nocy.

LIII. KLER, LASY, WOLNOŚĆ

Pierwszym prawem każdej istoty jest zachowanie istnienia, życia. Siejecie szalej, a chcecie, aby wzeszły kłosy!

Makiawel

Poważny dostojnik mówił dalej; czuło się, że *wie*; z łagodną i umiarkowaną powagą, która niezmiernie podobała się Julianowi, wykładał te wielkie prawdy.

1° Anglia nie ma ani gwinei na nasze usługi; w modzie są tam ekonomia i Hume. Nawet *święci* nie dadzą nam pieniędzy, a pan Brougham wyśmieje się z nas.

2° Nie podobna bez angielskiego złota wycisnąć z monarchów Europy więcej niż dwie kampanie; dwie kampanie zaś nie wystarczą przeciw drobnemu mieszczaństwu.

3° Konieczne jest utworzyć we Francji zbrojne stronnictwo, inaczej monarchiczna Europa nie zaryzykuje ani tych dwóch kampanii.

Czwarty punkt, który ośmielę się panom przedstawić jako oczywisty, jest ten:

Nie podobna stworzyć we Francji zbrojnej partii bez pomocy kleru. Mówię to śmiało, ponieważ to udowodnię. Trzeba dać wszystko duchowieństwu.

1° Ponieważ zajmując się swymi sprawami noc i dzień pod kierunkiem ludzi wysoce uzdolnionych, przebywających z dala od wszelkich burz, o trzysta mil poza waszymi granicami...

— Och! Rzym! Rzym! — wykrzyknął gospodarz domu.

— Tak, panie, Rzym! — odparł kardynał dumnie. — Bez względu na mniej lub więcej dowcipne żarciki, które były w modzie za pańskiej młodości, oświadczam głośno w roku 1830, że jedynie duchowieństwo prowadzone przez Rzym umie trafić do ludu. Pięćdziesiąt tysięcy księży powtarza te same słowa w dniu wskazanym przez przełożonych, do ludu zaś, który ostatecznie dostarcza żołnierzy, bardziej przemówi głos kapłana niż głosy wszystkich robaków ziemnych... (Ta wycieczka osobista wywołała szmery).

Duchowieństwo przewyższa was rozumem, myślą, panowie — ciągnął podniesionym głosem kardynał — wszystko, coście uczynili, aby się zbliżyć do tego zasadniczego punktu, *a mianowicie, aby mieć we Francji zbrojne stronnictwo*, było naszym dziełem.

Tu nastąpiły fakta... Kto poruszył osiemdziesiąt tysięcy strzelb w Wandei? etc., etc.

Póki duchowieństwo nie ma swoich lasów, nic nie ma w ręku. Przy pierwszej wojnie minister wojny wytłumaczy swoim podwładnym, że nie ma pieniędzy dla nikogo, oprócz dla proboszcza. W gruncie Francja nie jest zbyt wierząca, a lubi wojnę. Ktokolwiek jej ją da, będzie podwójnie popularny, prowadzić bowiem wojnę, znaczy *wygłodzić jezuitów*, mówiąc gwarą pospólstwa; prowadzić wojnę, znaczy uwolnić tych pyszałków Francuzów od grozy zagranicznej interwencji.

Słuchano kardynała z uznaniem...

— Pan de Nerval — rzekł — powinien by ustąpić z ministerium; jego nazwisko niepotrzebnie drażni.

Na te słowa wszyscy wstali i zaczęli mówić naraz. „Znów mnie wyprawiają" — pomyślał Julian; ale nawet roztropny przewodniczący zapomniał o istnieniu Juliana.

Wszystkie oczy zwróciły się w jedną stronę: Julian poznał pana de Nerval, prezydenta ministrów, którego widział na balu u księcia de Retz.

Zamieszanie doszło do szczytu, jak powiadają dzienniki w sprawozdaniach z izby. Po dobrym kwadransie uciszyło się nieco.

— Nie będę twierdził, panowie — rzekł szczególnym głosem — że nie zależy mi na tece. Rozumiem, że moje nazwisko zdwaja siły jakobinów, zwracając przeciw nam wielu umiarkowanych. Usunąłbym się tedy chętnie; ale drogi Pana wiadome są jedynie dla niewielu; ale — dodał, wpatrując się bystro w kardynała — ja mam misję; niebo powiedziało mi: „Dasz głowę na rusztowaniu lub odbudujesz we Francji monarchię, sprowadzisz parlament do tego, czym był parlament za Ludwika XV". I *dokonam tego*, panowie.

Zamilkł, usiadł, zapanowała cisza.

„Tęgi aktor" — pomyślał Julian. Mylił się jak zawsze, przypisując ludziom za wiele inteligencji. Podniecony utarczkami ożywionego wieczoru, a zwłaszcza szczerością dyskusji, pan de Nerval wierzył w tej chwili w swą misję. Przy wielkiej odwadze człowiek ten nie miał rozumu.

Północ wybiła podczas ciszy, która zaległa po owym pięknym słowie: *dokonam tego*. Zdawało się Julianowi, że dźwięk zegara ma coś imponującego i posępnego. Czuł się wzruszony.

Niebawem dyskusja wybuchła na nowo z rosnącą energią, a zwłaszcza z nieprawdopodobną naiwnością. „Ci ludzie każą mnie otruć — myślał Julian. — Jak można mówić podobne rzeczy wobec plebejusza?"

Biła druga, kiedy rozprawiano jeszcze. Gospodarz od dawna spał, pan de la Mole musiał dzwonić, aby podano nowe świece. Pan de Nerval, minister, wyszedł o trzy kwadranse na drugą, przypatrzywszy się dobrze twarzy Juliana w lustrze. Po odejściu wszyscy uczuli ulgę.

— Bóg wie, co ten człowiek opowie królowi — szepnął do sąsiada *pan w kamizelkach*, gdy zakładano świece. — Może nas bardzo ośmieszyć i zwichnąć nam przyszłość. Trzeba

przyznać, że to był rzadki tupet, a nawet bezczelność z jego strony, aby się tu zjawić. Bywał tu, nim był ministrem; ale teka zmienia wszystko, pochłania człowieka; powinien by to czuć.

Ledwie minister wyszedł, generał napoleoński zamknął oczy. Zaczął mówić o swoim zdrowiu, o ranach, spojrzał na zegarek, po czym wyszedł.

— Założyłbym się — rzekł człowiek w kamizelkach — że generał pędzi za ministrem; będzie się tłumaczył z tego, że był tutaj i będzie utrzymywał, że nami powoduje.

Skoro na wpół drzemiąca służba uporała się ze świecami, przewodniczący rzekł:

— Radźmyż wreszcie, panowie, nie silmy się już przekonywać wzajem. Pomyślmy nad treścią noty, która za czterdzieści osiem godzin dojdzie wiadomości naszych zagranicznych przyjaciół. Wspomniano o ministrach. Możemy powiedzieć teraz, kiedy pana de Nerval już nie ma: co nas obchodzą ministrowie? Zmusimy ich do okazania woli.

Kardynał przytwierdził subtelnym uśmiechem.

— Bardzo łatwo, zdaje mi się, streścić naszą pozycję — rzekł młody biskup z Agde z ogniem fanatyzmu.

Dotąd biskup milczał; oko jego, zrazu spokojne i zimne, rozpłomieniło się już w pierwszej godzinie dyskusji. Obecnie dusza jego kipiała jak Wezuwiusz.

— Od 1806 do 1814 — mówił — Anglia popełniła jeden tylko błąd, mianowicie że nie wzięła na cel wprost i osobiście Napoleona. Z chwilą, kiedy ten człowiek utworzył książąt i szambelanów, z chwilą, gdy odbudował tron, misja, jaką Bóg mu powierzył, była skończona; wówczas należało go poświęcić. Pismo święte uczy nas w niejednym miejscu, w jaki sposób można uporać się z tyranem. (Tu kilka cytatów łacińskich).

Dziś panowie, nie jednego człowieka trzeba poświęcić, ale Paryż. Cała Francja wzoruje się na Paryżu. Po co uzbrajać po pięciuset ludzi na każdy departament? Ryzykowne i bezpożyteczne. Po co mieszać Francję w rzecz, która dotyczy osobiście Paryża? Paryż sam, ze swymi dziennikami i salonami, jest przyczyną złego; niech nowy Babilon zginie. Nie ma wyboru między Paryżem a ołtarzem. Ta katastrofa leży nawet w świeckich interesach tronu. Czemu Paryż nie ośmielił się pisnąć za Bonapartego? Spytajcie o to armaty spod świętego Rocha...

Ledwie o trzeciej rano Julian wyszedł z panem de la Mole.

Margrabia był zmęczony i zawstydzony. Kiedy mówił do Juliana, pierwszy raz w akcencie jego brzmiała prośba. Prosił go o przebaczenie, że nigdy nie zdradzi nadmiaru świętej gorliwości (to było jego wyrażenie), której przypadkowo stał się świadkiem.

— Nie wspominaj o tym naszemu przyjacielowi za granicą, chyba że koniecznie zechce poznać ducha naszych młodych zapaleńców. Cóż im znaczy, że państwo runie, oni zostaną kardynałami i czmychną do Rzymu. Nas, w naszych zamkach, wyrżną chłopi.

Poufna nota, którą margrabia sporządził z dwudziestu sześciu stronic protokołu Juliana, była gotowa ledwo o trzy kwadranse na piątą.

— Zmęczony jestem śmiertelnie — rzekł margrabia — znać to po tej notatce, która pod koniec nie jest dość przejrzysta; mało z czego w życiu byłem równie niezadowolony. Teraz, chłopcze — dodał — idź spocząć na kilka godzin; z obawy zaś, aby cię nie wykradziono, zamknę cię na klucz.

Nazajutrz margrabia zawiózł Juliana do ustronnego zamku, dość daleko od Paryża. Zastali tam osobliwych gości, którzy mocno wyglądali Julianowi na księży. Wręczono mu paszport wystawiony na fałszywe nazwisko, ale wskazujący prawdziwy cel podróży, którego Julian wciąż niby się nie domyślał. Wsiadł sam do kolaski.

Margrabia nie miał obawy o jego pamięć; Julian wyrecytował mu kilkakrotnie poufną notę. Pan de la Mole lękał się tylko, aby go nie przytrzymano w drodze.

— Staraj się zwłaszcza mieć minę furfanta, który podróżuje jedynie dla zabicia czasu — rzekł przyjaźnie, gdy opuszczali salon. — Był może niejeden zdrajca wśród nas na wczorajszym zebraniu.

Podróż była szybka i smutna. Ledwie Julian stracił z oczu margrabiego, zapomniał o nocie i o misji, aby myśleć jedynie o wzgardzie Matyldy.

O kilka mil za Metzem poczmistrz powiedział mu, że nie ma koni. Była dziesiąta wieczór; Julian, bardzo nierad, poprosił o wieczerzę. Przechadzał się koło domu i nieznacznie zajrzał do stajni. Koni nie było.

„A jednak ten człowiek wyglądał podejrzanie — myślał Julian — w tym chamskim oku było coś szpiegowskiego".

Jak widzimy, Julian zaczynał nie brać dosłownie wszystkiego, co mu mówiono. Zamierzał się wymknąć po wieczerzy; aby zaś dowiedzieć się czegoś o okolicy, poszedł zagrzać się w kuchni. Jakaż była radość, kiedy ujrzał sławnego śpiewaka, signor Geronima!

Wyciągnięty w fotelu, który kazał przystawić do ognia, neapolitańczyk lamentował na cały głos i sam jeden gadał więcej niż dwudziestu niemieckich chłopów dokoła niego.

— Ci ludzie mnie rujnują — zawołał do Juliana — przyrzekłem śpiewać jutro w Moguncji. Siedmiu panujących książąt zbiegło się, aby mnie słyszeć. Ale chodźmy się przejść — dodał znacząco.

Skoro się oddalili o jakie sto kroków tak, aby nikt nie mógł ich podsłuchać, śpiewak rzekł:

— Wie pan, co się święci? Ten poczmistrz to prosty oszust. Dałem w czasie przechadzki dwadzieścia su małemu synkowi, który mi wszystko wyśpiewał. Jest dwanaście koni na drugim końcu wioski. Chcą przytrzymać jakiegoś kuriera.

— Doprawdy? — rzekł Julian niewinnym tonem.

To jeszcze było mało wykryć zdradę; trzeba było móc wyjechać: na to ani Geronimo ani jego przyjaciel nie umieli poradzić.

— Czekajmy dnia — rzekł wreszcie śpiewak — nie ufają nam. Może podejrzewają mnie, może pana. Jutro zamówimy dobre śniadanie: gdy je nam będą gotować, wymkniemy się, najmiemy konie i dobijemy do najbliższej poczty.

— A pańskie rzeczy? — spytał Julian, któremu przyszło na myśl, że może sam Geronimo wysłany jest, aby go przytrzymać.

Trzeba było zjeść kolację i iść spać. Julian dopiero niedawno zasnął, kiedy go nagle obudził głos dwóch osób, które nie krępując się zbytnio, rozmawiały w jego pokoju.

Poznał poczmistrza uzbrojonego w ślepą latarkę. Światło padało na walizkę, którą Julian kazał wnieść do pokoju. Obok poczmistrza znajdował się jakiś mężczyzna, który spokojnie grzebał w otwartym kufrze. Julian dostrzegł jedynie rękawy jego ubrania, czarne i bardzo wąskie.

— To sutanna — pomyślał, ujmując ostrożnie pistolety, które umieścił pod poduszką.

— Niech się ksiądz nie lęka, nie zbudzi się — rzekł poczmistrz. — Potraktowałem ich wczoraj owym winem, które ksiądz sam przyrządził.

— Nie widzę żadnych papierów — odparł ksiądz. — Dużo bielizny, pachnideł, pomady, fatałachów: to jakiś światowy laluś pochłonięty uciechami. Emisariuszem będzie raczej ten drugi, który udaje włoski akcent.

Zbliżyli się, aby przetrząsnąć ubranie Juliana. Miał chętkę zabić ich jako złodziejów. Nie pociągnęłoby to groźnych następstw. Szaloną miał ochotę... „To byłoby głupstwo — rzekł sobie — naraziłbym swoją misję".

— To nie jest dyplomata — rzekł ksiądz, przetrząsnąwszy odzież, po czym oddalił się i dobrze uczynił.

„Jeśli mnie tknie w łóżku, biada mu — myślał Julian — może on przyszedł po to, aby mnie zasztyletować, tego bym nie zniósł".

Ksiądz odwrócił głowę, otworzył do połowy oczy; jakież było zdumienie Juliana! Był to ksiądz Castanède. W istocie, mimo iż silili się mówić po cichu, jeden głos wydał się Julianowi od początku znajomy. Uczuł pokusę, aby uwolnić ziemię od jednego z najnikczemniejszych łajdaków...

„A moja misja!" — rzekł sobie w duchu.

Ksiądz i jego akolita wyszli. W kwadrans potem Julian udał, że się zbudził. Poruszył cały dom.

— Otruty jestem! — krzyknął — cierpię straszliwie!

Chciał znaleźć jakiś pozór, aby pośpieszyć na pomoc Geronimowi. Znalazł go wpół odurzonego pod wpływem laudanum zawartego w winie.

Julian, przewidując tego rodzaju psikusa, przyrządził sobie na wieczerzę czekoladę przywiezioną z Paryża. Nie był w stanie rozbudzić śpiewaka, aby go skłonić do wyjazdu.

— Gdyby mi dano całe królestwo Neapolu — powiadał artysta — nie wyrzekłbym się w tej chwili rozkoszy spania.

— Ale siedmiu panujących?

— Niech czekają.

Julian odjechał sam i dobił bez dalszych przygód do wysokiej osobistości. Stracił cały ranek na zabiegach o audiencję. Szczęściem, około czwartej książę wybrał się na przechadzkę. Julian ujrzał go idącego pieszo i nie zawahał się poprosić o jałmużnę. Zbliżywszy się na dwa kroki do dostojnika, wydobył zegarek margrabiego i pokazał go znacząco.

— *Proszę iść za mną z daleka* — rzekł książę, nie patrząc.

Uszedłszy z ćwierć mili, książę wstąpił do małej kawiarenki. W tej to nędznej gospodzie, w jakiejś ciupie Julian miał zaszczyt wyrecytować księciu cztery stronice noty.

— *Proszę jeszcze raz i wolniej* — brzmiała odpowiedź.

Książę porobił notatki.

— *Idź pan pieszo do najbliższej stacji pocztowej. Zostaw tu rzeczy i kolaskę. Dostań się, jak zdołasz, do Strasburga, dwudziestego drugiego zaś* — (było to dziesiątego) — *bądź o wpół do pierwszej w południe w tej samej oberży. Nie wychodź aż za pół godziny. Milczenie!*

Oto jedyne słowa, jakie Julian usłyszał. Wystarczyły, aby go przejąć uwielbieniem. „Oto jak załatwia się sprawy — pomyślał — cóż by powiedział ten wielki mąż stanu, gdyby słyszał przed trzema dniami naszych gadułów?"

Julian dostał się za dwa dni do Strasburga; był przeświadczony, że nie ma tam nic do roboty. Nadłożył drogi dla zmylenia tropu. „Jeśli ten czart Castanède mnie poznał, niełatwo spuści mnie z oka... Z jakąż rozkoszą zadrwiłby ze mnie i udaremniłby mą misję!"

Ksiądz Castanède, naczelnik policji Kongregacji na całej północnej granicy, nie poznał go na szczęście; jezuici zaś w Strasburgu, mimo że czujni, nie wpadli na myśl śledzenia Juliana. W swoim błękitnym fraczku z orderem wyglądał na młodego wojskowego mocno zajętego swą osobą.

LIV. STRASBURG

O urzeczenie! ty posiadasz całą potęgę miłości, całą jego moc wytrwania w nieszczęściu. Jedynie jej urocze słodycze, jej upojenie znajdują się poza twą sferą. Nie mogłem powiedzieć, widząc ją śpiącą: ta anielska piękność, tak rozkosznie słaba, należy do mnie! Oto ją mam w swojej mocy, ją, którą niebo stworzyło w swym miłosierdziu, aby zachwycić serce mężczyzny.

Oda Schillera

Zniewolony spędzić tydzień w Strasburgu Julian silił się rozerwać myślami o chwale wojennej i poświęceniu dla ojczyzny. Byłże tedy zakochany? Nie miał pojęcia; czuł tylko w udręczonej duszy, że Matylda jest bezwzględną panią jego szczęścia jak i wyobraźni. Potrzebował całej siły charakteru, aby się nie poddać rozpaczy. Nie było w jego mocy myśleć o rzeczach niemających związku z panną de la Mole. Ambicja, zadowolona próżność odrywała go nieraz od uczuć, jakie budziła w nim pani de Rênal. Matylda pochłonęła wszystko; znajdował ją w każdej myśli o przyszłości.

W którąkolwiek stronę Julian spojrzał, przyszłość wydawała mu się nędzna i chybiona. Ten sam człowiek, w Verrières tak pełen zarozumienia[61] i pychy, obecnie popadł w nadmiar śmiesznej skromności.

Trzy dni wprzódy byłby zabił z przyjemnością księdza Castanède; w Strasburgu zaś, gdyby dziecko wszczęło z nim kłótnię, ustąpiłby dziecku. Rozmyślając na nowo o przeciwnikach i wrogach, których spotkał w życiu, dochodził zawsze do wniosku, że wina była po jego stronie.

Pochodziło to stąd, że obecnie nieubłaganą jego nieprzyjaciółką stała się owa potężna wyobraźnia, niegdyś wciąż zatrudniona obrazami świetnej przyszłości.

Zupełna samotność potęgowała jeszcze władzę czarnej wyobraźni. Jakimż skarbem byłby mu przyjaciel! „Ale — powiadał sobie Julian — czy jest serce, które by biło dla mnie? A gdybym miał przyjaciela, czyż honor nie nakazywałby mi wiekuistego milczenia?"

W tak smutnym usposobieniu objeżdżał konno okolice Kehl; jest to miasteczko nad Renem, unieśmiertelnione przez Dessaixa i Gouvion-Saint-Cyr. Wieśniak niemiecki pokazywał mu strumyki, drogi, wysepki na Renie wsławione męstwem tych wielkich wo-

[61] *zarozumienie* — dziś: zarozumiałość.

dzów. Julian, powodując koniem lewą ręką, trzymał w prawej wspaniałą mapę zdobiącą *Pamiętniki marszałka Saint-Cyr*. Naraz usłyszał wesoły okrzyk; podniósł głowę.

Był to książę Korazow, ów przyjaciel z Londynu, który przed kilkoma miesiącami odsłonił mu zasady *dandyzmu*. Wierny tej wielkiej sztuce Korazow, bawiący po drodze ze Strasburga od pół godziny w Kehl, nie przeczytawszy zresztą w życiu ani wiersza o oblężeniu z 1796, zaczął wszystko tłumaczyć Julianowi. Niemiecki chłopak spoglądał nań zdziwiony; rozumiał tyle po francusku, aby ocenić grube omyłki, jakie popełniał książę. Julian był o sto mil od myśli o tym, patrzał olśniony na pięknego młodzieńca, podziwiał jego wdzięk w dosiadaniu konia.

„Szczęśliwa natura — myślał. — Jak te spodnie doskonale leżą; jak wykwintnie ostrzyżony! Ach, gdybym ja był taki, nie zbrzydziłaby mnie sobie może po trzech dniach miłości".

— Wyglądasz jak trapista — rzekł książę, skończywszy wykład — przeholowałeś w powadze, którą ci wszczepiłem w Londynie. Smutek nie jest nigdy w dobrym tonie: należy być *znudzonym*. Jeżeliś smutny, to znaczy, że ci czegoś brakuje, że coś ci się nie powiodło. To *znaczy przyznawać się do upośledzenia*. Przeciwnie, być znudzonym, znaczy, że niełatwo coś ci się zdoła spodobać. Zrozumże, mój drogi, tę olbrzymią różnicę.

Julian rzucił talara wieśniakowi, który słuchał z rozdziawioną gębą.

— Dobrze — rzekł książę — w tym był wdzięk, była szlachetna wzgarda! Doskonale!

I puścił się galopa. Julian pognał za nim, przejęty cielęcym podziwem.

„Och! Gdybym był doń podobny, nie przełożyłaby nade mnie takiego Croisenois!" Im bardziej odczuwał rozumowo śmiesznostki księcia, tym bardziej gardził sobą, że je podziwia i cierpiał, że ich nie posiada. Nie podobna dalej posunąć wstrętu do samego siebie.

Książę zauważył jego smutek.

— Ejże, mój drogi — rzekł, kiedy wjeżdżali do Strasburga — czyś zgrał się do nitki, czy też zakochałeś się w jakiejś aktoreczce?

Rosjanie naśladują francuskie obyczaje, ale zawsze z pięćdziesięcioletnim opóźnieniem. Obecnie są w wieku Ludwika XV.

Te romansowe aluzje sprowadziły łzy do oczu Juliana: „Czemu nie miałbym się poradzić tego miłego chłopca?" — pomyślał nagle.

— Więc tak, książę — odparł — spotykasz mnie tu w Strasburgu mocno zakochanym, nawet opuszczonym. Urocza kobieta w sąsiednim mieście puściła mnie kantem po trzechdniowym miłowaniu i ta zdrada zabija mnie.

Pod zmienionym nazwiskiem odmalował księciu postępowanie i charakter Matyldy.

— Nie mów dalej — rzekł Korazow. — Aby wzbudzić w tobie zaufanie do lekarza, dokończę twego zwierzenia. Mąż tej młodej osoby posiada olbrzymi majątek lub raczej ona sama należy do najwyższej arystokracji miejscowej. W ogóle musi być z czegoś dumna.

Julian skinął głową, nie miał siły mówić.

— Doskonale — rzekł książę. — oto trzy gorzkie mikstury, które zażyjesz bez zwłoki.

1° Odwiedzać codziennie panią... jak się nazywa?

— Pani de Dubois.

— Cóż za nazwisko — rzekł książę, parskając śmiechem — ale przepraszam, dla ciebie jest wspaniałe. Chodzi o to, aby widywać co dzień panią de Dubois; nie bądź zwłaszcza chłodny ani urażony; przypomnij sobie wielką zasadę epoki: bądź przeciwieństwem tego, czego po tobie oczekują. Okazuj się ściśle taki, jakim byłeś tydzień wprzód, nim cię zaszczyciła swymi łaskami.

— Och! Byłem wówczas spokojny — wykrzyknął Julian z rozpaczą — myślałem, że nią gardzę...

— Motyl spala się od świecy — ciągnął książę — porównanie stare jak świat.

1° Będziesz ją widywał co dzień.

2° Będziesz się zalecał do którejś z jej przyjaciółek, ale bez pozorów namiętności, rozumiesz? Nie taję ci, rola twoja jest trudna; masz grać komedię, a jeśli wyda się, że grasz, jesteś zgubiony.

— Ona ma tyle sprytu, a ja tak mało! Jestem zgubiony — rzekł Julian smutnie.

— Nie, jesteś tylko bardziej zakochany, niż myślałem. Pani de Dubois jest głęboko zajęta sobą, jak wszystkie kobiety, którym Bóg dał albo za wiele szlachectwa albo za

wiele pieniędzy. Przygląda się sobie, zamiast przyglądać się tobie, tym samym nie zna cię. W czasie kilku paroksyzmów miłości, na jakie z wielkim wysiłkiem wyobraźni się zdobyła, widziała w tobie wymarzonego bohatera, nie to, czym jesteś w istocie. Cóż u diabła, toż to elementarz, drogi Sorel; czy z ciebie zupełny uczniak?

Brawo! wstąpmy do tego magazynu; cóż za wspaniały czarny halsztuk, można by rzec, że wyszedł z pracowni Johna Anderson, przy Burlingtonstreet. Zrób to dla mnie i kup go sobie, wyrzuć oknem ten czarny postronek, który masz na szyi.

A, ba — ciągnął książę, wychodząc z najwykwintniejszego sklepu w Strasburgu — w jakim świecie obraca się pani de Dubois? Wielkie bogi! Co za nazwisko! Nie gniewaj się, drogi Sorel, ale to nad moje siły... Do kogo będziesz się zalecał?

— Do pewnej skromnisi, córki bogatego pończosznika. Ma śliczne oczy, bardzo w moim guście; zajmuje pierwsze stanowisko w okolicy; ale mimo tych wielkości, rumieni się i miesza, skoro przy niej wspomnieć o handlu w sklepie. Nieszczęściem, ojciec był jednym z najbardziej znanych kupców w Strasburgu.

— Zatem kiedy mowa o *przemyśle* — rzekł książę, śmiejąc się — jesteś pewny, że piękna pani myśli o sobie, nie o tobie. Cudowna śmiesznostka i bardzo użyteczna w tym wypadku; nie pozwoli ci ani na chwilę stracić głowy dla jej pięknych oczu. Powodzenie zapewnione.

Julian miał na myśli marszałkową de Fervaques, która bywała często w pałacu de la Mole. Była to piękna cudzoziemka, zaślubiła marszałka na rok przed jego śmiercią. Całe jej życie miało jak gdyby tylko jeden cel, mianowicie pokryć niepamięcią to, że jest córką *przemysłowca*. Aby grać w Paryżu jakąś rolę, stanęła na czele stronnictwa cnoty.

Julian podziwiał szczerze księcia; czegóż nie dałby, aby mieć jego śmiesznostki! Gawęda przyjaciół ciągnęła się bez końca; Korazow był zachwycony: nigdy żaden Francuz nie słuchał go tak długo.

„Tak więc doszedłem w końcu do tego — powiadał sobie w upojeniu — że mogę dawać lekcje swoim mistrzom!"

— Porozumieliśmy się zatem — powtarzał Julianowi dziesiąty raz. — Żadnych objawów miłosnych, kiedy w obecności pani de Dubois będziesz rozmawiał z piękną córką pończosznika. W zamian za to — płomienne listy. Czytać dobrze napisany list miłosny to dla skromnisi największa przyjemność; to moment wytchnienia. Wreszcie przez chwilę nie gra komedii, ośmiela się słuchać swego serca! Zatem dwa listy dziennie.

— Nie, nigdy! — rzekł Julian zniechęcony. — Raczej dałbym się utłuc w moździerzu, niżbym sklecił bodaj trzy frazesy; jestem trup, mój przyjacielu, nie wydobędziesz ze mnie nic. Pozwól mi zamrzeć przy gościńcu.

— A któż mówi o składaniu frazesów? Mam w neseserze sześć tomów listów miłosnych w rękopisie. Są tam odmiany na wszelkie charaktery kobiece, nawet na najwyższą cnotę. Alboż Kaliski nie zalecał się w Richemond la Terrasse, wiesz, o trzy mile od Londynu, do najładniejszej kwakierki w całej Anglii?

Rozstając się z przyjacielem o drugiej z rana, Julian czuł się mniej nieszczęśliwy.

Nazajutrz książę wezwał kopistę i w dwa dni później Julian miał pięćdziesiąt trzy listy miłosne, skrupulatnie ponumerowane, przeznaczone dla najbardziej wzniosłej i melancholijnej cnoty.

— Nie ma ich więcej, bo Kaliskiego wystrychnięto na dudka, ale co ci to szkodzi, że córka pończosznika będzie dla ciebie okrutna, skoro chcesz tylko oddziałać na serce pani de Dubois?

Codziennie jeździli konno na spacer: książę szalał za Julianem. Nie wiedząc, jak mu okazać swą nagłą przyjaźń, ofiarował mu wreszcie rękę którejś z kuzynek, bogatej dziedziczki w Moskwie:

— Skoro raz się z nią ożenisz — dodał — przy moich stosunkach i przy orderze, który już posiadasz, zostaniesz pułkownikiem do dwóch lat.

— Ależ ten krzyż nie jest z ręki Napoleona, całkiem przeciwnie.

— Cóż to znaczy — rzekł książę — czyż nie on go ustanowił? I tak ten krzyż jest pierwszy w Europie.

Julian omalże nie przyjął; ale obowiązek kazał mu jechać do wysokiej osobistości; rozstając się z Korazowem, obiecał pisywać. Otrzymał odpowiedź na swą tajemną notę

i pomknął do Paryża; ale zaledwie dwa dni spędził sam, uczuł, że opuścić Francję i Matyldę byłoby dlań gorsze niż śmierć.

„Nie zaślubię milionów, które mi ofiaruje Korazow — powiedział sobie — ale pójdę za jego radą. Ostatecznie uwodzenie to jego zawód; myśli wyłącznie o tym od piętnastu lat, bo ma trzydzieści. Nie można powiedzieć, aby był głupi; jest sprytny i przebiegły; entuzjazm, poezja są zupełnie obce tej naturze; to istny prokurator: tym bardziej nie powinien się mylić. Tak trzeba: będę się zalecał do pani de Fervaques. Znudzę się może trochę, ale będę patrzył w te oczy tak piękne i tak podobne do oczu, które mnie kochały najbardziej w świecie. Jest cudzoziemką: nowy charakter do obserwacji. Szaleniec ze mnie, gubię się; trzeba mi iść za radami przyjaciela i nie dowierzać sobie".

LV. MISTERIUM CNOTY

Ale jeśli będę zażywał przyjemności tak rozważnie i ostrożnie, przestanie być przyjemnością.

Lope de Vega.

Ledwie wróciwszy do Paryża, po wyjściu z gabinetu margrabiego, który wydawał się bardzo zbity z tropu otrzymanymi depeszami, bohater nasz pobiegł do hrabiego Altamira. Z urokiem skazańca piękny ten cudzoziemiec łączył wielką powagę oraz szczęśliwą cnotę nabożności: te dwa przymioty, przede wszystkim zaś wysokie urodzenie zjednały mu względy pani de Fervaques, która zapraszała go często.

Julian zwierzył mu się bardzo serio, że jest w niej zakochany.

— Jest to osoba wysokiej i nieskazitelnej cnoty — odparł Altamira — tylko nieco przesadna i jezuitka. Bywają dnie, że rozumiem każde ze słów, którymi się posługuje, ale nie rozumiem całego zdania. Często budzi we mnie uczucie, że nie posiadam języka francuskiego tak dobrze, jak ludzie twierdzą. Znajomość ta ściągnie na ciebie uwagę, doda ci znaczenia w świecie. Ale chodźmy do Bustosa — rzekł hrabia Altamira, który miał umysł systematyczny — on swego czasu zalecał się do marszałkowej.

Don Diego Bustos wysłuchał w milczeniu niby adwokat udzielający konsultacji. Miał pulchną twarz mnicha, czarne wąsy i odznaczał się niezrównaną powagą; poza tym szczery *carbonaro*.

— Rozumiem — rzekł. — Czy marszałkowa de Fervaques miała przygody miłosne czy nie? Czy pan ma jakie widoki powodzenia? Oto kwestia. Rozumie pan tym samym, że co do mnie, nie powiodło mi się. Teraz, kiedy mi już o to nie chodzi, patrzę jasno: jest to osoba podlegająca kaprysom i jak to panu zaraz opowiem, porządnie mściwa.

Nie widzę w niej owego żółciowego temperamentu, który bywa udziałem płomiennych dusz i powleka wszystkie uczucia pokostem namiętności. Przeciwnie, rzadką swą piękność i świeże kolory zawdzięcza marszałkowa spokojnej naturze Flamandki.

Powolność i niezachwiany spokój Hiszpana niecierpliwiły Sorela; od czasu do czasu wymykało mu się kilka słów.

— Czy raczy mnie pan słuchać? — rzekł poważnie don Diego Bustos.

— Daruj pan moją *furia francese*: cały zmieniam się w słuch — rzekł Julian.

— Marszałkowa umie tedy nienawidzić; prześladuje bez litości ludzi, których nigdy nie widziała, adwokatów, biednych piosenkarzy *à la Collé*, zna pan?

Moja gosposia,
Luba Małgosia, etc.

Julian musiał wysłuchać cytatu w całości. Hiszpan lubował się swoim francuskim śpiewem.

Nikt chyba nie wysłuchał cierpliwiej tej rozkosznej piosenki.

— Marszałkowa — podjął don Diego, skończywszy śpiewać — pozbawiła posady autora tej piosenki.

Jednego dnia, dzieweczka hoża...

Julian zadrżał, że zechce ją odśpiewać. Hiszpan zadowolił się rozbiorem: utwór był w istocie bezbożny i nieobyczajny.

— Kiedy marszałkowa zaczęła się miotać na tę piosenkę — rzekł don Diego — zwróciłem jej uwagę, że kobieta na tym stanowisku nie powinna czytać wszystkich głupstw, które ukazują się w druku. Mimo postępów, jakie czynią w tym kraju nabożność i powaga, zawsze będzie istniała we Francji literatura karczemna. Kiedy pani de Fervaques sprawiła, że autorowi, spensjonowanemu oficerowi, odebrano posadę przynoszącą tysiąc osiemset franków rocznie, rzekłem: „Niech się pani ma na baczności, zaczepiła pani tego rymarza swoją bronią, może pani odpowiedzieć rymami: kropnie piosenkę na cnotę. Salony będą po stronie pani, ale ludzie, którzy się lubią pośmiać, będą powtarzali jego koncepty". Wie pan, drogi panie, co mi odpowiedziała marszałkowa? „Dla religii zniosłabym męczeństwo w oczach całego Paryża; byłoby to dla Francji nowe widowisko. Byłby to najpiękniejszy dzień mego życia". Nigdy oczy jej nie lśniły tak pięknie.

— Wspaniałe ma oczy! — wykrzyknął Julian.

— Widzę, że pan zakochany... Zatem — ciągnął poważnie don Diego Bustos — nie posiada ona owego gwałtownego temperamentu, który popycha do zemsty. Jeżeli mimo to lubi szkodzić, to stąd, że jest nieszczęśliwa: podejrzewam jakąś *niedolę moralną*. Może znudzona jest własną cnotą?

Hiszpan popatrzył na Juliana w milczeniu, które trwało dobrą minutę.

— Oto całe pytanie — dodał poważnie — i oto na czym możesz budować niejakie nadzieje. Dużo zastanawiałem się nad tym w ciągu dwóch lat, przez które byłem jej służką. Przyszłość pańskiej miłości zależy od tego problemu: czy ona jest znużona własną cnotą i zła dlatego, że jest nieszczęśliwa?

— Lub — rzekł Altamira, ocknąwszy się z głębokiego milczenia — może to to, co ci powiadałem dwadzieścia razy, po prostu francuska próżność: wspomnienie ojca, słynnego fabrykanta sukna, dręczy ten charakter z natury oschły i smutny. Dla tej osoby byłoby tylko jedno szczęście: mieszkać w Toledo, pod obuchem spowiednika, który by jej codziennie ukazywał ziejące piekło.

Kiedy Julian się żegnał, don Diego, coraz poważniejszy, rzekł:

— Altamira wspomniał mi, że jesteś jednym z *naszych*. Kiedyś dopomożesz nam odzyskać wolność, otóż, ja chcę panu dopomóc wzajem w tej rozrywce. Dobrze jest, abyś znał styl marszałkowej; oto cztery listy jej pióra.

— Przepiszę je — wykrzyknął Julian — i odniosę.

— I nigdy nikt nie dowie się ani słowa z tego, cośmy tu mówili?

— Nigdy, honorem ręczę! — wykrzyknął Julian.

— W imię Boże tedy! — dodał Hiszpan; po czym przeprowadził w milczeniu Altamirę i Juliana na schody.

Ta scena ubawiła nieco naszego bohatera; omal się nie uśmiechnął. „I oto nabożny Altamira — pomyślał — pomaga mi w zamierzonym cudzołóstwie".

Podczas całego poważnego wywodu don Diego Julian pilnie nasłuchiwał godzin, które wydzwaniał zegar pałacowy.

Zbliżała się pora obiadu, miał tedy ujrzeć Matyldę! Udał się do siebie i ubrał się bardzo starannie.

— Pierwsze głupstwo — mruknął idąc po schodach — trzeba dosłownie spełnić zlecenia księcia.

Wrócił do siebie i włożył najskromniejszy strój podróżny.

„A teraz — pomyślał — chodzi o spojrzenia". Było dopiero wpół do szóstej, obiad był o szóstej. Julian zeszedł do salonu; nie było nikogo. Na widok niebieskiej kanapki łzy napłynęły mu do oczu; policzki zaczęły go palić. „Trzeba się uporać z tą głupią czułostkowością — rzekł z gniewem — zdradziłbym się". Wziął dziennik, aby sobie dodać swobody i przeszedł się kilka razy z salonu do ogrodu.

Drżąc cały, ukryty za wielkim dębem, ledwie ośmielił się spojrzeć w okno panny de la Mole. Było szczelnie zamknięte; Julian omal nie upadł; długi czas stał tak oparty o dąb, następnie chwiejnym krokiem poszedł obejrzeć drabinę.

Łańcucha skruszonego przezeń w tak odmiennych, niestety, okolicznościach, dotąd nie naprawiono. Oszalały Julian przycisnął go do ust.

Nabłądziwszy się długo, Julian uczuł się straszliwie znużony; rad był z tej pierwszej zdobyczy. „Będę miał zgaszone spojrzenie i nie zdradzę się!" Pomału goście zaczęli napływać do salonu; każde otwarcie drzwi przejmowało śmiertelnym wzruszeniem serce Juliana.

Zajęto miejsca. Wreszcie zjawiła się panna de la Mole, spóźniona jak zwykle. Zarumieniła się na widok Juliana; nie wiedziała nic o jego powrocie. Zgodnie ze wskazówką Korazowa, Julian popatrzył na jej ręce i ujrzał, że drżą. Zmieszany nad wszelki wyraz tym odkryciem, zdołał ukryć swe szczęście pod maską znużenia.

Pan de la Mole rzucił mu kilka słów pochwały. W chwilę później zwróciła się doń margrabina, winszując mu jego zmęczonej miny; Julian powtarzał sobie co chwila: „Nie powinienem zbytnio się przyglądać pannie, ale nie należy też uciekać z oczami. Trzeba być takim, jakim byłem w istocie na tydzień przed swym nieszczęściem..."

Julian, rad z powodzenia, został w salonie. Pierwszy raz siląc się na uprzejmość wobec pani domu, dołożył starań, aby rozgadać towarzystwo i podsycać rozmowę.

Grzeczność jego znalazła nagrodę: koło ósmej oznajmiono marszałkową. Julian wysunął się z salonu; niebawem wrócił, ubrany najstaranniej. Pani de la Mole rada była niezmiernie z tej oznaki szacunku; chcąc wyrazić zadowolenie, rozgadała się przed panią de Fervaques o podróży Juliana. Julian siadł koło marszałkowej w ten sposób, że Matylda nie mogła widzieć jego oczu. Tak się umieściwszy wedle wszelkich reguł sztuki, rozpłynął się wobec pani de Fervaques w bezgranicznym podziwie. Tyrada na temat tego uczucia stanowiła początek pierwszego z listów darowanych mu przez księcia.

Marszałkowa wspomniała, że wybiera się do opery; Julian pośpieszył tam, spotkał kawalera de Beauvoisis, który go zaprosił do loży szambelanów, tuż obok pani de Fervaques. Julian wpatrywał się w nią bez przerwy. „Muszę — powiadał sobie, wracając — prowadzić *dziennik oblężenia*: inaczej zapomniałbym swoich strategicznych kroków". Zmusił się do napisania paru stronic o tym nudnym przedmiocie i osiągnął to, że — o cudzie! — prawie przestał myśleć o pannie de la Mole.

Matylda prawie zapomniała o Julianie w czasie jego podróży. „Ostatecznie, ten pan, to bardzo płaska figura — myślała — imię jego będzie mi zawsze przypominało największy błąd mego życia. Trzeba szczerze wrócić do utartych pojęć cnoty i honoru; zbyt wiele traci kobieta, zapominając o nich".

Okazała się skłonna uwieńczyć układy z margrabią de Croisenois prowadzone od tak dawna. Szalał z radości; byłby mocno zdziwiony, gdyby mu kto powiedział, że na dnie uczuć Matyldy, które napełniały go taką dumą, jest — rezygnacja.

Wszystkie pojęcia panny de la Mole uległy zmianie na widok Juliana. „Nie ma co, to jest naprawdę mój mąż — mówiła sobie — jeżeli szczerze mam wrócić na drogę cnoty, powinnam zaślubić jego".

Była przygotowana na natręctwo, na nieszczęśliwe miny Juliana; przygotowała sobie odpowiedzi, była pewna, że po obiedzie spróbuje przemówić do niej kilka słów. Tymczasem, wręcz przeciwnie, został w salonie; nawet nie spojrzał w stronę ogrodu. (Bóg wie, ile go to kosztowało!) „Lepiej pozbyć się od razu tych wyjaśnień" — pomyślała panna de la Mole; zeszła sama do ogrodu, Julian nie zjawił się. Matylda zaczęła się przechadzać w pobliżu oszklonych drzwi; ujrzała, jak Julian z zapałem opisuje pani de Fervaques ruiny, które zdobią wybrzeża Renu i dają im tyle wyrazu. Zaczynał nieźle używać sentymentalno-malowniczych frazesów cieszących się takim powodzeniem w pewnych salonach.

Książę Korazow byłby bardzo dumny, gdyby był w tej chwili w Paryżu: wieczór odbył się zgodnie z jego przepowiednią. Byłby również pochwalił Juliana przez dni następne.

Kilku członków tajemnego rządu miało do rozdania kilka wysokich odznaczeń; marszałkowa de Fervaques domagała się, aby jej stryjeczny dziadek otrzymał błękitną wstęgę. Margrabia de la Mole życzył sobie tego samego dla teścia; zespolili swe usiłowania. Marszałkowa zachodziła niemal codziennie do pałacu de la Mole. Od niej Julian dowiedział się, że margrabia ma zostać ministrem: przedstawił *kamaryli* genialny plan unicestwienia w ciągu trzech lat konstytucji bez najmniejszych wstrząśnień.

W razie gdyby pan de la Mole doszedł do władzy, Julian mógł się spodziewać infuły, ale wszystkie te wielkie interesy przesłoniły się w jego oczach jakby mgłą. Wyobraźnia jego widziała je jedynie mętnie i, można rzec, w wielkim oddaleniu. Straszliwe cierpienie zmieniło go w maniaka: treść życia skupiała się dlań w tym, jak się ułoży jego stosunek

do panny de la Mole. Obliczył, że po kilku latach starań zdoła obudzić w niej na nowo miłość.

Ten zimny umysł doszedł, jak widzimy, do zupełnego szaleństwa. Ze wszystkich przedmiotów, które wyróżniały go niegdyś, zostało mu jedynie nieco silnej woli. Wierny strategii Korazowa, siadał co dzień przy pani de Fervaques, ale nie podobna mu było znaleźć coś do powiedzenia.

Wysiłek, jaki sobie nakładał, aby się wydać w oczach Matyldy uleczonym, pochłaniał wszystkie siły jego duszy; siedział przy marszałkowej wpół żywy; oczy jego nawet, jak bywa przy nadmiarze fizycznego bólu, straciły cały blask.

Ponieważ pani de la Mole patrzała na świat jedynie oczami męża, który mógł ją uczynić księżną, od kilku dni dama ta wynosiła pod niebiosa zasługi Juliana.

LVI. MIŁOŚĆ MORALNA

There also was of course in Adeline
That calm patrician polish in the adres,
Which never can pass the equinoctial line
Of any thing which Nature would express:
Just as a Mandarin finds nothing fine,
At least his manner suffers not to guess
That any thing he views can greatly please.

Don Juan. *XIII, 84.*

„Cała rodzina ma trochę źle w głowie — myślała marszałkowa — zacietrzewili się w swoim księżyku, który umie jedynie słuchać i patrzeć, dość ładnymi oczami, to prawda".

Dla Juliana znowu marszałkowa była doskonałym niemal wzorem *patrycjuszowskiego* spokoju, który zasadza się na drobiazgowej grzeczności, a jeszcze bardziej na niezdolności do wszelkiego wzruszenia. Żywość ruchów, brak panowania nad sobą zgorszyłyby panią de Fervaques niemal tyle, co brak majestatu wobec niższych. Najmniejsza oznaka wrażliwości uchodziłaby w jej oczach za *pijaństwo moralne*, za które należy się rumienić jako za rzecz przynoszącą ujmę temu, co osoba wysoko położona winna jest sobie samej. Największym jej szczęściem było mówić o ostatnim jej polowaniu królewskim, ulubioną zaś jej książką były *Pamiętniki księcia de Saint-Simon*, zwłaszcza ich część genealogiczna.

Julian wiedział już, które miejsce przez swoje oświetlenie odpowiada typowi urody pani de Fervaques. Siadał tam zawczasu, ale starannie odwracał krzesło tak, aby nie widzieć Matyldy. Zdziwiona tym wytrwałym unikaniem jej, opuściła jednego dnia niebieską kanapę i siadła z robótką opodal fotela marszałkowej. Julian widział ją dosyć dobrze ponad kapeluszem pani de Fervaques. Oczy te, władnące[62] jego losem, przeraziły go zrazu, następnie zaś wyrwały go gwałtownie ze zwykłej apatii: zaczął rozmawiać i to z wielkim ożywieniem.

Zwracał się do marszałkowej, ale jedynym jego celem było działać na Matyldę. Zapalił się tak, że pani de Fervaques przestała go rozumieć.

Był to pierwszy triumf. Gdyby Julianowi wpadło na myśl uzupełnić go za pomocą kilku z niemiecka-mistycznych, religijnych i jezuickich frazesów, marszałkowa zaliczyłaby go do ludzi wyższych, powołanych do odrodzenia epoki.

„Skoro ma na tyle zły smak — mówiła sobie panna de la Mole — aby rozmawiać tak długo i z takim ogniem z panią de Fervaques, nie będę już słuchała".

I przez resztę wieczoru dotrzymała postanowienia, mimo iż z trudem.

O północy, kiedy Matylda odprowadziła ze świecznikiem matkę, pani de la Mole zatrzymała się na schodach, rozwodząc się nad Julianem. Matylda zmarkotniała do reszty, nie mogła zasnąć. Jedna myśl ją uspokoiła: „Człowiek, którym ja gardzę, może być jeszcze niepospolity w oczach marszałkowej".

Co się tyczy Juliana, epizod ten stał się dlań odtrutką przeciw przygnębieniu; przypadkowo oczy jego padły na teczkę z rosyjskiej skóry, w której książę Korazow wręczył

[62] *władnące* — dziś: władające.

mu owe pięćdziesiąt trzy listy miłosne. U spodu pierwszego listu Julian ujrzał dopisek: *Posyła się Nr 1. w tydzień po poznaniu.*

„Spóźniłem się — wykrzyknął Julian — toć już od dawna znam panią de Fervaques". Zabrał się do przepisania pierwszego listu; była to śmiertelnie nudna elukubracja o cnocie; szczęściem Julian zasnął przy pierwszej stronicy.

W kilka godzin później słońce zaskoczyło go śpiącego z łokciami na stole. Jedną z najprzykrzejszych chwil był moment, kiedy każdego rana, budząc się, *dowiadywał się* o swoim nieszczęściu. Tego dnia dokończył przepisywać list prawie wesoło. „Czy podobna — powiadał sobie — aby istniał młody człowiek piszący w ten sposób?" Niektóre zdania miały po dziewięć wierszy. U spodu ujrzał tę notatkę ołówkiem:

Doręcza się te listy samemu: konno, w czarnej krawatce, w niebieskim surducie. Oddaje się list odźwiernemu ze zbolałą miną. Jeśli się napotka pannę służącą, obetrzeć oczy i zagadać do niej.

Wszystko to wypełnił najściślej.

„Popełniam wielkie zuchwalstwo — pomyślał Julian, wychodząc z pałacu pani de Fervaques — ale to wina Korazowa. Odważył się pisać do tak słynnej cnotki! Zmiażdży mnie wzgardą, co mnie bajecznie zabawi. To, w gruncie, jedyna rozrywka, jaką jestem zdolny odczuć. Tak, okryć śmiesznością wstrętną istotę, która się nazywa *mną*, cóż za uciecha! Chętnie popełniłbym zbrodnię, byle się rozerwać".

Od miesiąca najpiękniejszą chwilą w życiu Juliana był moment, kiedy odprowadzał konia do stajni. Korazow zabronił mu wyraźnie, pod jakim bądź pozorem patrzeć na hardą kochankę. Ale krok konia tak dobrze jej znany, sposób, w jaki Julian pukał szpicrutą do stajni, aby zawołać stajennego, zwabiały niekiedy Matyldę do okna. Muślin firanek był tak lekki, że Julian mógł go przejrzeć; zerkając ukradkiem spod kapelusza, widział kibić Matyldy, mimo że nie widział jej oczu.

Wieczorem pani de Fervaques odnosiła się do Juliana tak, jakby nie otrzymała filozoficzno-mistyczno-religijnej rozprawy, którą tego samego rana wręczył odźwiernemu z taką melancholią. W wilię przypadkowo Julian odkrył sposób pobudzenia swojej wymowy: usiadł w ten sposób, że widział oczy Matyldy. Ona sama w chwilę po przybyciu marszałkowej opuściła kanapę, gardząc niejako dotychczasowym towarzystwem. Pan de Croisenois był zmiażdżony tym nowym kaprysem: jego widoczne cierpienie sprawiło ulgę męce Juliana.

Ten niespodziewany zwrot w jego życiu uczynił go złotoustym; że zaś miłość własna czai się nawet w sercach będących świątynią najdostojniejszej cnoty, marszałkowa, siadając do powozu, pomyślała: „Pani de la Mole ma słuszność; ten młody kleryk jest bardzo do rzeczy. Widocznie w pierwszych dniach obecność moja onieśmieliła go. Trzeba przyznać, że zwykły skład tego salonu jest dość lekkiego autoramentu; same cnoty wspierane powagą wieku, którym to ostudzenie było bardzo potrzebne. Ten młody człowiek musiał odczuć różnicę; pisze wcale dobrze; lękam się tylko, aby ta prośba o światło i o rady zawarta w jego liście nie kryła bezświadomie innego uczucia.

Bądź co bądź, ileż nawróceń zaczęło się w ten sposób! Dobrze wróży w moich oczach różnica między jego stylem a stylem młodych ludzi, których listy miałam sposobność widywać. Nie sposób nie odczuć namaszczenia, powagi i przekonania w liście tego młodego lewity; tak, on posiądzie słodką cnotę biskupa Massillon".

LVII. NAJPIĘKNIEJSZE PORADY DUCHOWNE

Praca! talent! zasługi! ba! przede wszystkim trzeba należeć do jakiejś koterii.

Telemak.

Tak więc myśl o infule zjednoczyła się pierwszy raz z myślą o Julianie w głowie kobiety, która wcześniej lub później miała rozporządzać najtłustszymi posadami we francuskim kościele. Korzyść ta nie byłaby wzruszyła Juliana, w tej chwili myśl jego nie ogarniała nic poza obecnym nieszczęściem; wszystko je potęgowało, widok własnego pokoju stał mu się nieznośny. Wieczorem, kiedy wracał ze świecą, każdy mebel, każdy ornament jak gdyby mówił do niego, głosząc cierpko jakiś nowy, szczegół jego cierpienia.

— Dziś bodaj mam przymusowe roboty — rzekł, wchodząc do pokoju z od dawna już nieznaną żywością — miejmy nadzieję, że drugi list będzie równie nudny jak pierwszy.

Był jeszcze nudniejszy. Wydał mu się tak głupi, że w końcu kopiował wiersz po wierszu, nie myśląc o sensie.

„To jeszcze bardziej napuszone — myślał — niż oficjalne dokumenty münsterskiego traktatu, które mój profesor dyplomacji dał mi do przepisywania w Londynie".

Wówczas dopiero przypomniał sobie listy pani de Fervaques, których oryginałów zapomniał zwrócić poważnemu Hiszpanowi. Odszukał je: były niemal równie górnolotne jak listy rosyjskiego panka. Zupełna mgła; mogły zaznaczyć wszystko i nic. „To harfa eolska stylu — myślał Julian. — Wśród najwznioślejszych maksym o nicości, nieskończoności, czymś rzeczywistym jest tu tylko straszliwy lęk przed śmiesznością".

Monolog, któryśmy tu skrócili, powtarzał się dwa tygodnie z rzędu. Usnąć, przepisując swój *komentarz do apokalipsy*, odnieść nazajutrz list z melancholijną miną, odprowadzić konia do stajni z nadzieją ujrzenia sukni Matyldy, pracować, wieczorem wpaść do opery, o ile pani de Fervaques nie było w pałacu de la Mole, oto jednostajne życie Juliana. Bogaciej przedstawiało się ono, kiedy pani de Fervaques zawitała do margrabiny; wówczas spod skrzydła kapelusza marszałkowej Julian mógł dojrzeć oczy Matyldy i stawał się wymowny. Jego malownicze i sentymentalne frazesy zaczęły nabierać śmielszej i wykwintniejszej formy.

Czuł, że to, co mówi, musi się wydać Matyldzie głupie, ale chciał ją olśnić dystynkcją wysłowienia. „Im bardziej to, co mówię, jest nienaturalne, tym bardziej musi się jej podobać" — myślał Julian: za czym z monstrualną śmiałością wydymał swój styl. Spostrzegł rychło, iż, aby się nie stać pospolitym w oczach marszałkowej, trzeba mu się zwłaszcza wystrzegać prostoty i rozsądku. Tej drogi trzymał się, skracając lub rozwijając swoje perory, wedle tego, czy widział uznanie czy obojętność w oczach dwóch wielkich dam, którym pragnął się podobać.

Na ogół życie stało mu się mniej okropne niż wówczas, kiedy dni płynęły w bezczynności.

„Hm — powiadał sobie jednego wieczora — oto już przepisuję piętnastą z tych elukubracji; czternaście poprzednich oddałem wiernie odźwiernemu marszałkowej. Będę miał zaszczyt zapełnić wszystkie szuflady jej biurka. Mimo to traktuje mnie tak, jakby nic nie otrzymała! Do czego doprowadzi to wszystko? Trzeba przyznać, że ten Moskal, przyjaciel Korazowa, zakochany w pięknej kwakierce z Richmondu, to nie lada figura; nie podobna być rozpaczliwiej nudnym".

Jak wszystkie mierne istoty, którym los pozwolił przyglądać się działaniom wielkiego wodza, Julian nie rozumiał zgoła szturmu przypuszczonego przez młodego Rosjanina do serca młodej Angielki. Pierwsze cztery dziesiątków listów miały za cel jedynie przebłagać za śmiałość pisania. Trzeba było zaszczepić tej słodkiej osóbce, która zapewne nudziła się śmiertelnie, nałóg odbierania listów może nieco mniej bezbarwny niż jej codzienne życie.

Jednego ranka oddano Julianowi list, poznał herby pani de Fervaques. Złamał pieczęć z pośpiechem, który kilka dni wprzódy wydałby mu się niepojęty: było to tylko zaproszenie na obiad.

Uciekł się do instrukcji księcia Korazowa. Nieszczęściem młody Rosjanin chciał być lekki jak Dorat, tam gdzie należało być prostym i zrozumiałym; Julian nie mógł odszukać dla siebie dyrektywy na czas tego obiadu.

Salon był bezgranicznie wspaniały, wyzłocony jak galeria Diany w Tuilleriach, z obrazami olejnymi w boazeriach. Na obrazach tych lśniły się jasne plamy. Julian dowiedział się później, że tematy wydały się pani domu nie dość obyczajne, kazała tedy poprawić obrazy. „O wieku moralności!" — pomyślał.

W salonie zauważył tych samych dostojników, którzy byli obecni przy układaniu tajnej noty. Jeden z nich, biskup ***, wuj marszałkowej, miał w ręku wydział beneficjów i, jak mówiono, nie umiał siostrzenicy niczego odmówić. „Jakiż olbrzymi krok uczyniłem — rzekł sobie w duchu Julian, uśmiechając się melancholijnie — i jak bardzo jest mi to obojętne! Jem oto obiad ze słynnym biskupem ***".

Obiad był nietęgi, a rozmowa niecierpliwiąca. „To *spis rzeczy* lichej książki — myślał Julian. Poruszając zuchwale najwyższe przedmioty, po trzech minutach człowiek pyta sam siebie, co większe: emfaza czy jego nieuctwo.

Czytelnik zapomniał zapewne o gryzipiórku Tanbeau, siostrzeńcu Akademika i przyszłym profesorze, który niskimi potwarzami zatruwał powietrze w pałacu la Mole.

Figurka ta obudziła raz w Julianie pierwszą myśl, iż, mimo że pani de Fervaques nie odpowiadała na listy, patrzy z pobłażliwością na uczucie, które je dyktuje. Czarną duszę pana Tanbeau dręczyły triumfy Juliana; ale że z drugiej strony niepospolity człowiek tak samo jak i cymbał nie może być w dwóch miejscach na raz, przeto: „jeśli Sorel zostanie kochankiem wzniosłej marszałkowej (powiadał sobie przyszły profesor), dama ta umieści go na jakiejś tłustej posadce duchownej, a ja pozbędę się go z pałacu de la Mole".

Ksiądz Pirard wypalił Julianowi długie kazanie z przyczyny jego powodzeń w pałacu Fervaques. Była w tym sekciarska zazdrość surowego jansenisty wobec jezuickiego i neomonarchicznego salonu cnotliwej marszałkowej.

LVIII. MANON LESCAUT

Owóż, raz upewniwszy się o głupocie i osielstwie przeora, dość często wygrywał sprawę, mieniąc czarnym białe, a białym czarne.

Lichtenberg.

Wskazówki Rosjanina zalecały stanowczo nie sprzeciwiać się w rozmowie osobie, do której się pisuje. Nie należy pod żadnym pozorem wypadać z ekstatycznego podziwu: to był zasadniczy ton każdego listu.

Pewnego wieczora w operze, w loży pani de Fervaques Julian wysławiał balet *Manon Lescaut*. Jedyną przyczyną tego entuzjazmu było, to że balet wydał mu się dość mierny.

Marszałkowa rzekła, iż balet nie dorównywa bynajmniej powieści księdza Prévost. „Jak to — pomyślał Julian zdziwiony i ubawiony — osoba tak cnotliwa może wychwalać romanse!" Zazwyczaj pani de Fervaques wyrażała się z najwyższą wzgardą o pisarzach, którzy za pomocą tych płaskich bajek silą się uwodzić młodzież, aż nadto niestety podatną zbłąkaniu zmysłów.

— Wśród tych niemoralnych i niebezpiecznych utworów — ciągnęła marszałkowa — *Manon Lescaut* zajmuje, jak powiadają, jedno z pierwszych miejsc. Słabość i zasłużone męczarnie występnego serca są tam (powiadają) odmalowane prawdziwie i głęboko; co nie przeszkodziło pańskiemu Bonapartemu wyrazić się na wyspie św. Heleny, że jest to romans pisany dla lokajów.

To odezwanie wróciło duszy Juliana całą jej energię. „Chciano mnie zgubić w oczach marszałkowej; powiedziano jej o moim entuzjazmie dla Napoleona. Dotknęło ją to niemile i nie mogła się wstrzymać, aby mi nie dać tego odczuć". Odkrycie to zabawiło Juliana na cały wieczór i rozbudziło jego werwę. Kiedy w przedsionku żegnał się z marszałkową, rzekła:

— Niech pan pamięta, że nie można równocześnie kochać mnie i Bonapartego; można, co najwyżej, brać go jako konieczne zło zesłane przez Opatrzność. Zresztą ten człowiek nie miał duszy dość wrażliwej, aby odczuwać arcydzieła sztuki.

„*Kochać mnie!* — powtarzał sobie Julian — to nie znaczy nic albo znaczy wszystko. Oto sekrety języka, których brak jest nam, biednym parafianom". I przypomniał sobie żywo panią de Rênal, przepisując równocześnie olbrzymi list przeznaczony dla marszałkowej.

— Czym się dzieje — spytała go nazajutrz marszałkowa ze źle udaną obojętnością — że pan mi mówi o Londynie i Richmondzie w liście, który pisałeś, jak się zdaje, wczoraj po operze?

Julian zmieszał się; kopiował wiersz po wierszu, nie myśląc o tym, co pisze, i widocznie zapomniał podstawić Paryż i Saint-Cloud w miejsce Londynu i Richmondu znajdujących się w oryginale. Zaczął coś pleść, ale nie mógł dokończyć; czuł niepohamowaną chęć parsknięcia śmiechem. Wreszcie, szukając wymówki, wpadł na tę myśl:

— Byłem tak podniecony tą rozmową o wznioślejszych, najwyższych celach duszy, że pisząc do pani, mogłem ulec roztargnieniu.

„Zrobiłem wrażenie — pomyślał — mogę sobie tedy oszczędzić nudy przez resztę wieczoru". Wybiegł pędem z pałacu Fervaques. Wieczorem przeglądając oryginał listu

skopiowanego w wilię, odnalazł szybko nieszczęsne miejsce, gdzie młody Rosjanin mówi o Londynie. Julian spostrzegł ze zdziwieniem, że list jest niemal czuły.

Kontrast, jaki pozorna lekkość Juliana tworzyła z wzniosłą, apokaliptyczną niemal głębią jego listów, obudził zainteresowanie marszałkowej. Podobała się jej zwłaszcza rozciągłość zdań; to nie był ów skoczny styl wprowadzony w modę przez Woltera, potwora niemoralności! Mimo że nasz bohater robił, co mógł, aby się wyzbyć w rozmowie wszelkich śladów zdrowego sensu, zachował jednak pewne antymonarchiczne i bezbożne zabarwienie, które nie uszło czujności pani de Fervaques. Otoczona osobami niezmiernie moralnymi, ale które często nie zdobyły się ani na jeden błysk myśli w ciągu całego wieczora, dama ta była niezmiernie tkliwa na wszystko, co trąciło cieniem nowości; ale równocześnie uważała za swój obowiązek czuć się zgorszona. Wadę tę nazywała *piętnem lekkomyślnej epoki*...

Ale takie salony może odwiedzać jedynie ten, kto się o coś ubiega. Czytelnik musi zapewne podzielać całą nudę jałowego życia, które pędził Julian. Są to istne stepy w naszej podróży.

Przez cały ten czas, w ciągu którego epizod z panią de Fervaques zagarnął życie Juliana, panna de la Mole musiała się bardzo zmagać z sobą, aby o nim nie myśleć. Dusza jej była pastwą gwałtownych walk; niekiedy łudziła się, że gardzi tym smętnym młodzieńcem; mimo woli jednak ulegała wrażeniu jego rozmowy. Zdumiewał ją zwłaszcza jego doskonały fałsz; każde słowo Juliana do marszałkowej było kłamstwem lub bodaj piekielnym maskowaniem jego myśli, które Matylda znała prawie we wszystkich przedmiotach. Machiawelizm ten zdumiewał ją. „Cóż za głębia! — myślała — co za różnica od napuszonych dudków albo też pospolitych hultajów, jak na przykład Tanbeau, przemawiających tym samym językiem!"

Mimo to Julian miewał dni bardzo ciężkie. Wysiadywać w salonie marszałkowej równało się dlań najcięższemu obowiązkowi. Wysiłek nałożonej roli odejmował duszy jego wszelką siłę. Często w nocy, przebywając olbrzymi dziedziniec pałacu Fervaques, musiał wytężać całą wolę i rozum, aby się nie poddać rozpaczy.

„Przemogłem beznadziejność seminarium — powiadał sobie — a cóż za widoki miałem wówczas przed sobą! Czy byłoby mi się powiodło czy nie, byłbym skazany na spędzenie życia ze wstrętnymi i odrażającymi istotami. Następnej wiosny, w niespełna rok później, byłem może najszczęśliwszym z młodych ludzi w moim wieku".

Ale często wszystkie te rozważania były bezsilne wobec okropnej rzeczywistości. Codziennie widywał Matyldę przy śniadaniu i obiedzie. Z mnogich listów, które mu dyktował pan de la Mole, wiedział, że w najbliższym czasie ma zaślubić pana de Croisenois. Sympatyczny ten człowiek bywał już dwa razy dziennie w pałacu: zazdrosne oko opuszczonego kochanka nie straciło żadnego z jego poruszeń.

Często Julian miał wrażenie, że panna de la Mole życzliwie przyjmuje swego przyszłego; wówczas, wracając do siebie, mimo woli spoglądał na pistolety.

„Ha! O ileż byłoby mądrzej wyprać znaki z bielizny i udać się do samotnego lasu dwadzieścia mil za Paryżem, aby skończyć to nędzne życie! Śmierć moja, gdzieś w obcej stronie, pozostałaby nieznana przez dwa tygodnie, a któż myślałby o mnie jeszcze po dwóch tygodniach!"

Było to bardzo dorzeczne rozumowanie. Ale nazajutrz kawałek ramienia Matyldy dojrzany między rękawkiem a rękawiczką wystarczał, aby pogrążyć młodego filozofa we wspomnieniach, które choć okrutne, wiązały go z życiem. „Więc dobrze! — powiadał sobie — doprowadzę do końca tę rosyjską taktykę. Jak się to skończy? To pewna, iż skoro przepiszę te pięćdziesiąt trzy listy, nie będę wymyślał dalszych.

Co do Matyldy, tych sześć tygodni tak uciążliwej komedii albo nie zmieni w niczym jej niechęci, albo zdobędzie mi chwilę pojednania. Wielki Boże! Umarłbym ze szczęścia. Nie mógł już o niczym myśleć".

Po długiej zadumie zdołał wreszcie podjąć bieg swych rozważań. „Zatem — powiadał sobie — uzyskałbym dzień szczęścia, po czym odżyłaby na nowo jej niechęć, oparta, niestety! na braku warunków do podobania się jej. Wówczas nie miałbym już żadnej ucieczki; byłbym złamany, zgubiony na zawsze... Jakąż mi ona może dać rękojmię przy

swoim charakterze? Mnie zaś niestety zawsze będzie zbywało wytworności manier, lekkości wysłowienia. Wielki Boże! Czemuż jestem sobą!"

LIX. NUDA

Być ofiarą namiętności, zgoda, ale namiętności, których się nie czuje! O smutny wieku XIX!

Girodet

Zrazu pani de Fervaques odczytywała długie listy Juliana obojętnie, później zaczęły ją zajmować; ubolewała jednak wciąż nad jedną rzeczą: jaka szkoda, że ten Sorel nie jest zupełnym księdzem! Można by go przyjmować na poufałej stopie; tymczasem tak, w tym świeckim ubraniu, z orderem, daje obecnością swą powód do drażliwych pytań; i wówczas co odpowiedzieć? Nie kończyła swej myśli: jaka złośliwa przyjaciółka może przypuszczać, a nawet rozgłaszać, że to jakiś pokątny kuzynek, krewniak ojca, jakiś kupczyk odznaczony w gwardii narodowej.

Do chwili, w której ujrzała Juliana, największą przyjemnością pani de Fervaques było kłaść tytuł *marszałkowej* obok nazwiska. Następnie próżność parweniuszki, próżność chorobliwa i drażliwa na wszystko, znalazła się w walce z zaczątkiem sympatii.

„Tak byłoby mi łatwo — myślała marszałkowa — zrobić go wielkim wikariuszem gdzieś w okolicy Paryża! Ale po prostu *pan Sorel*, do tego sekretarzyna pana de la Mole! To okropne!"

Po raz pierwszy tę duszę, która lękała się wszystkiego, poruszało uczucie niepłynące z jej społecznych pretensji. Sędziwy odźwierny zauważył, że kiedy przynosi list od tego pięknego, a tak smętnego młodzieńca, natychmiast z twarzy marszałkowej znika ów znudzony i niechętny wyraz, jaki przybierała dla służby.

Nuda życia wypełnionego wyłącznie ambicją i *reprezentacją*, bez żadnego udziału serca, stała się marszałkowej nie do zniesienia od czasu, jak myślała o Julianie. Wystarczyło jej spędzić wieczorem godzinę z tym szczególnym człowiekiem, aby nazajutrz panny służące miały wytchnienie od zwykłej opryskliwości swej pani. Rosnącego wpływu Juliana nie zdołały osłabić nawet umiejętnie sporządzone anonimy. Próżno Tanbeau dostarczał panom de Luz, de Croisenois, de Caylus zręcznych potwarzy, które panowie ci puszczali w obieg, nie zastanawiając się zbytnio nad ich prawdą. Marszałkowa, której umysł nie był zdolny do odporności wobec tych pospolitych środków, zwierzała się ze swych wątpliwości Matyldzie i zawsze wracała pocieszona.

Jednego dnia, spytawszy trzy razy służby, czy nie ma listów, pani de Fervaques postanowiła nagle odpowiedzieć Julianowi. Było to zwycięstwo nudy. Przy drugim liście marszałkowa zawahała się chwilę, kiedy jej przyszło własną ręką nakreślić ten tak pospolity adres: *Do pana Sorel, u margrabiego de la Mole*.

Wieczorem odezwała się do Juliana bardzo sucho:

— Musi mi pan przynieść parę kopert ze swoim adresem.

„I oto pasowano mnie na kochanka-pokojowca" — pomyślał Julian; po czym skłonił się, z umysłu naśladując minę Arsena, starego lokaja margrabiego.

Tegoż wieczora przyniósł koperty, nazajutrz zaś, bardzo wcześnie, otrzymał trzeci list; przeczytał z pięć wierszy z początku, a dwa lub trzy do końca. List zawierał cztery stronice bardzo drobnego pisma.

Stopniowo dama nabrała słodkiego przyzwyczajenia, aby pisywać co dzień. Julian odpowiadał, kopiując wiernie listy Rosjanina; bombastyczny zaś styl posiadał tę zaletę, iż pani de Fervaques nie zdziwiła się zbytnio brakowi ściślejszego związku z jej listami.

Jakże czułaby się upokorzona w swej dumie, gdyby Tanbeau, który z własnej gorliwości szpiegował Juliana, mógł ją objaśnić, że wszystkie jej listy nierozpieczętowane leżą w szufladzie.

Jednego ranka odźwierny przyniósł do biblioteki list marszałkowej. Matylda, spotkawszy go, ujrzała list i na liście adres kreślony ręką Juliana. Weszła do biblioteki, gdy odźwierny wychodził; list leżał jeszcze na stole; Julian, pochłonięty pisaniem, nie wrzucił go do szuflady.

— Nie, tego nie myślę znosić — wykrzyknęła Matylda, chwytając list — zapominasz zupełnie o mnie, o mnie, swojej żonie. Postępowanie pańskie jest haniebne.

Po tych słowach duma jej, jakby zdumiona szaleństwem jej kroku, zdławiła ją; zalała się łzami, ledwie mogła oddychać.

Zdumiony, pomieszany, Julian nie oceniał nawet, jakim cudem, jakim szczęściem była dlań ta scena. Pomógł Matyldzie usiąść; osunęła się niemal w jego ramiona.

Pierwszym wrażeniem Juliana, z chwilą gdy uczuł jej ruch, było uczucie bezmiernej radości. Następnie, prawie równocześnie, wspomniał Korazowa. „Jednym słowem mogę wszystko zgubić".

Ramiona jego zesztywniały, tak uciążliwy był wysiłek, który sobie nałożył z wyrachowania. ‚Nie mogę sobie pozwolić nawet na to, aby przycisnąć do serca to gibkie i urocze ciało; albo mną gardzi albo znęca się nade mną. Cóż za charakter!"

Tak przeklinając charakter Matyldy, kochał ją za to sto razy więcej; miał uczucie, że trzyma w ramionach królową.

Niewzruszony chłód Juliana zdwoił męczarnie dumy panny de la Mole. Nie miała tyle zimnej krwi, aby odgadnąć w jego oczach to, co czuł w tej chwili. Nie mogła się zdobyć na to, aby nań spojrzeć; drżała, iż spotka się z wyrazem wzgardy.

Siedząc na kanapie nieruchomo, z odwróconą głową, przechodziła najwyższe cierpienia, jakie duma i miłość mogą zadać duszy ludzkiej. Do jakiego kroku się zniżyła!

„Ja, nieszczęsna, naraziłam się na to, aby ktoś odtrącił moje najbezwstydniejsze awanse! I to kto? — dodawała pycha oszalała z bólu — domownik mego ojca".

— Nie, tego nie ścierpię — rzekła głośno.

I zrywając się z wściekłością, otworzyła szufladę. Stanęła w osłupieniu, ujrzawszy dziesiątek listów nierozpieczętowanych, podobnych zupełnie do tego, który widziała przed chwilą. Na wszystkich adresach widniało pismo Juliana, mniej lub więcej zmienione.

— Zatem — wykrzyknęła wpół przytomna — nie tylko jesteś kochankiem pani de Fervaques, ale nią gardzisz! Ty, plebejusz, gardzisz marszałkową de Fervaques!

Och! przebacz mi, drogi mój — dodała, rzucając się do kolan — gardź mną, jeśli chcesz, ale kochaj mnie, nie mogę żyć dłużej bez twej miłości.

I padła wpół zemdlona.

„Leży nareszcie ta harda istota u mych nóg!" — rzekł sobie Julian.

LX. LOŻA W BOUFFES

As the blackest sky
Foretells the heaviest tempest.

Don Juan.

Wśród tylu wzruszeń Julian czuł się bardziej zdziwiony niż szczęśliwy. Zniewagi Matyldy przekonywały, jak mądra była rosyjska taktyka. „*Mało mówić, mało działać*, oto dla mnie jedyny środek".

Podniósł Matyldę i bez słowa posadził ją z powrotem. Zaczęła płakać.

Aby pokryć wzruszenie, wzięła listy pani de Fervaques i otwierała je z wolna. Uczyniła nerwowy gest, poznając pismo marszałkowej. Obracała kartki, nie czytając; większość listów miała po sześć stronic.

— Opowiedz mi przynajmniej — rzekła błagalnie, nie śmiąc spojrzeć na Juliana. — Wiesz, że jestem dumna; jest to nieszczęście mego stanowiska, a nawet charakteru, wyznaję: pani de Fervaques zabrała mi tedy twoje serce? Czy uczyniła dla ciebie wszystkie ofiary, do jakich mnie pchnęła ta nieszczęsna miłość?

Głuche milczenie było odpowiedzią Juliana. „Jakim prawem — myślał — ona żąda ode mnie niedyskrecji niegodnej uczciwego człowieka?"

Matylda próbowała czytać listy; oczy pełne łez nie były do tego zdolne. Od miesiąca była nieszczęśliwa, ale ta wyniosła dusza wzbraniała się przyznać przed sobą do własnego uczucia. Jedynie przypadek spowodował ten wybuch. Na chwilę zazdrość i miłość zwyciężyły dumę. Siedziała na kanapie, tuż przy nim. Widział jej włosy, alabastrową szyję i przez chwilę zapomniał o swej roli; okolił jej kibić ramieniem, przycisnął niemal Matyldę do piersi.

Obróciła z wolna głowę; zdumiał go bezgraniczny ból, jaki wyrażały jej oczy, zmienione do niepoznania.

Julian uczuł, że go siły opuszczają, tak śmiertelnie ciężki był akt woli, jaki sobie nałożył.

„Jeśli się dam ponieść szczęściu kochania jej — myślał Julian — niebawem oczy te wyrażać będą jedynie wzgardę". Tymczasem ona zdławionym głosem, urywanymi słowy powtarzała mu zaklęcia żalu za swe postępowanie płynące z nadmiaru dumy.

— I ja mam dumę — rzekł Julian ledwie słyszalnym głosem, przy czym twarz jego odbijała ostateczne wyczerpanie.

Matylda zwróciła się żywo. Słyszeć jego głos było to szczęście, którego nadziei niemal się wyrzekła. W tej chwili pamiętała o swej dumie jedynie po to, aby ją przeklinać, byłaby chciała popełnić jakieś rzeczy niemożliwe, niewiarygodne, aby mu dowieść, do jakiego stopnia ubóstwia go, a brzydzi się sobą.

— Prawdopodobnie dla tej dumy — ciągnął Julian — wyróżniła mnie pani przez chwilę; z pewnością też za ten hart, jaki przystoi mężczyźnie, szanuje mnie pani teraz. Mogę kochać marszałkową...

Matylda zadrżała; oczy jej przybrały dziwny wyraz. Miała usłyszeć wyrok. Drgnienie to nie uszło uwagi Juliana; czuł, że męstwo jego słabnie.

„Ach — mówił sobie, nasłuchując dźwięku czczych słów, które wygłaszały jego usta, jakby jakiegoś obcego szmeru — gdybym mógł okryć pocałunkami te blade policzki i gdybyś ty tego nie czuła!"

— Mogę kochać marszałkową... — ciągnął i głos zamierał mu coraz bardziej — ale nie posiadam żadnych stanowczych dowodów jej sympatii....

Matylda spojrzała nań; wytrzymał to spojrzenie, sądził przynajmniej, że fizjonomia nie zdradziła go. Czuł, że miłość przenika go do ostatnich zaułków serca. Nigdy nie ubóstwiał jej tak jak w tej chwili; był niemal równie oszalały jak Matylda. Gdyby ona zdobyła się na trochę zimnej krwi i hartu, aby pokryć swe uczucia, padłby jej do nóg, wyrzekając się czczej komedii. Znalazł siłę, aby dalej mówić. „Ach, Korazow! — zakrzyknął w duchu — Czemuż cię tu nie ma! Jakżebym potrzebował słowa wskazówki!" Przez ten czas głos jego mówił:

— W braku innego uczucia, wdzięczność wystarczyłaby, aby mnie przywiązać do marszałkowej: była dla mnie dobra, pocieszała mnie, gdy mną gardzono.... Mam prawo nie wierzyć bezwzględnie w pewne pozory, zapewne niezmiernie pochlebne, ale też może bardzo nietrwałe.

— Wielki Boże! — wykrzyknęła Matylda.

— I cóż, jaką rękojmię daje mi pani? — podjął Julian porywczo i z siłą, jakby zapominając o dyplomatycznej przezorności. — Jakaż przysięga, jakiż bóg mi zaręczy, że usposobienie twoje będzie trwało więcej niż dwa dni?

— Bezmiar mej miłości i nieszczęścia, gdybyś mnie już nie kochał — rzekła, ujmując go za ręce i zwracając się ku niemu...

Nagły ten ruch rozchylił nieco narzutkę; Julian ujrzał prześliczne ramiona. Zburzone nieco włosy przypominały mu rozkoszną chwilę...

Miał już ulec. „Jedno niebaczne słowo — pomyślał — i rozpocznę na nowo długi ciąg dni rozpaczy. Pani de Rênal znajdowała rację, aby uczynić to, co serce jej dyktowało; ta światowa panna pozwala sercu wzruszyć się jedynie wtedy, kiedy sobie dowiodła silnymi argumentami, że powinna być wzruszona".

W mgnieniu oka ogarnął tę prawdę i w mgnieniu oka też odzyskał siłę.

Cofnął ręce, które Matylda tuliła, i z ostentacyjnym szacunkiem usunął się nieco. Nie podobna mężczyźnie dalej posunąć hartu. Zebrał rozsypane listy pani de Fervaques i dodał z pozorami grzeczności, jakże okrutnej w tej chwili:

— Panna de la Mole raczy mi pozwolić, abym się zastanowił nad tym wszystkim.

Oddalił się szybko i opuścił bibliotekę; słyszała, jak kolejno zamyka wszystkie drzwi.

„Potwór! Wcale się nie wzruszył... — myślała. — Ale co ja mówię, potwór! Jest mądry, roztropny, dobry; to ja zawiniłam więcej niż sobie można wyobrazić".

Wytrwała w tym usposobieniu. Tego dnia Matylda była prawie szczęśliwa, cała oddała się miłości; można by rzec, że nigdy w duszy tej nie zagościła pycha, i jaka pycha!

Zadrżała ze wstrętu, kiedy wieczorem lokaj oznajmił panią de Fervaques; głos ten zabrzmiał jej złowrogo. Nie mogła znieść widoku marszałkowej, stanęła jak wryta. Julian, niezbyt dumny ze swego bolesnego zwycięstwa, uląkł się własnych spojrzeń i nie zjawił się na obiad.

Miłość jego i szczęście wzrastały szybko, w miarę jak się oddalał od momentu bitwy; już czynił sobie wyrzuty. „Jak mogłem się jej oprzeć! — powiadał sobie. — Gdyby miała mnie przestać kochać, jedna chwila może odmienić tę hardą duszę. Trzeba zaś przyznać, że obszedłem się z nią strasznie".

Wieczorem czuł, że trzeba się bezwarunkowo pojawić w *Bouffes*, w loży pani de Fervaques. Zaprosiła go wyraźnie, zarówno jej obecność jak jego zuchwała nieobecność dojdą niechybnie do Matyldy. Mimo oczywistości tego rozumowania, nie miał siły, aby od początku wieczoru wmieszać się między ludzi. Gdyby musiał rozmawiać, straciłby połowę swego szczęścia.

Wybiła dziesiąta: bezwarunkowo trzeba się pokazać.

Szczęściem zastał lożę marszałkowej pełną kobiet; stanął przy samych drzwiach, zasłonięty przez kapelusze. Pozycja ta oszczędziła mu śmieszności: boskie akcenty bowiem Karoliny w *Matrimonio segreto* wycisnęły mu łzy z oczu. Pani de Fervaques ujrzała te łzy; tworzyły taki kontrast z hartem zwykłej jego fizjonomii, że ta światowa dusza, od dawna nasycona żrącymi kwasami parweniuszowskiej pychy, wzruszyła się. Reszta kobiecego serca, jaka w niej pozostała jeszcze, ozwała się. Zapragnęła słyszeć dźwięk głosu Juliana.

— Czy widział pan panie de la Mole? — rzekła. — Są na trzecim piętrze.

„Wszak to nie ich dzień — pomyślał Julian — co za zapał!"

Matylda skłoniła matkę, aby się wybrała do teatru, mimo nieodpowiedniej dla ich stanowiska loży, którą ktoś usłużny ofiarował się zdobyć. Chciała się przekonać, czy Julian spędzi wieczór z marszałkową.

LXI. PRZERAZIĆ JĄ

Oto arcydzieło waszej cywilizacji! Z miłości uczyniliście zwyczajną sprawę.

Barnave.

Julian pobiegł do loży. Oczy jego spotkały natychmiast załzawione oczy Matyldy; płakała nie krępując się, były tam jedynie podrzędne figury, przyjaciółka, która użyczyła loży i paru jej znajomych. Matylda położyła dłoń na ręce Juliana; zapomniała o obecności matki. Dławiąc się niemal od łez, rzekła tylko jedno słowo:

— *Wierzysz*!

„Byle tylko nie odezwać się" — myślał Julian sam bardzo wzruszony, zasłaniając, jak mógł, oczy ręką, niby od świecznika zalewającego blaskiem loże trzeciego piętra. „Jeśli przemówię, nie będzie mogła wątpić o mym wzruszeniu, głos zdradzi mnie, wszystko może się jeszcze popsuć".

Walka stała się dlań uciążliwsza niż rano, dusza jego miała czas ulec wzruszeniu. Lękał się, aby Matyldy nie ukąsiła próżność. Pijany miłością i rozkoszą, przemógł się, aby milczeć. Jest to wedle mnie jeden z najpiękniejszych rysów jego charakteru: człowiek zdolny do takiej siły woli może zajść daleko, *si fata sinant*.

Panna de la Mole nalegała, aby Julian wracał z nimi do pałacu. Szczęściem padał deszcz. Ale margrabina wskazała Julianowi miejsce naprzeciw siebie, wciąż go zagadywała, nie zostawiła mu czasu na rozmowę z córką. Można by rzec, iż margrabina czuwała nad szczęściem Juliana; nie lękając się już zepsuć wszystkiego nadmiarem wzruszenia, tonął w nim bez pamięci.

Czyż ośmielimy się wyznać, iż znalazłszy się w pokoju, Julian rzucił się na kolana i okrył pocałunkami listy Korazowa?

— O wielki człowieku! Ileż ci zawdzięczam! — wykrzyknął oszalały.

Stopniowo ochłonął nieco. Porównywał się z generałem, który ma wygrać wielką bitwę. „Przewaga jest stanowcza, olbrzymia — powiadał sobie — ale co jutro? Jedna chwila może wszystko zgubić".

Otworzył gwałtownym ruchem *Pamiętniki*, dyktowane na wyspie Świętej Heleny przez Napoleona i przez całe dwie godziny zmuszał się do czytania; czytał jedynie oczami, mimo to zmuszał się. W czasie tej dziwnej lektury głowa jego i serce nastrojone na najwyższy ton pracowały bez jego wiedzy. „To zupełnie inna kobieta niż pani de Rênal — powiadał sobie — ale nie sięgał dalej myślą".

— *Przerazić ją*! — wykrzyknął nagle, odrzucając książkę. — Nieprzyjaciel będzie mnie słuchał tylko o tyle, o ile stanę się groźny, wówczas nie ośmieli się mnie lekceważyć.

Przechadzał się po swoim pokoiku, pijany radością. Co prawda szczęście to bardziej płynęło z dumy niż z miłości.

— Przerazić ją! — powtarzał dumnie i miał prawo być dumny. — Nawet w najszczęśliwszych chwilach pani de Rênal wątpiła zawsze, aby moja miłość była równa jej miłości. Tutaj mam do czynienia z demonem, trzeba go *ujarzmić*.

Wiedział, że nazajutrz już o ósmej rano Matylda znajdzie się w bibliotece; zjawił się dopiero o dziewiątej, płonąc miłością, ale panując nad sercem. Nie upłynęła minuta, aby sobie nie powtarzał: „Utrzymywać ją wciąż w tej wątpliwości: *Czy on mnie kocha*? Świetne stanowisko, pochlebstwa, aż nadto czynią ją skłonną do pewności siebie".

Blada, spokojna, Matylda siedziała na kanapie, jakby wrosła w miejsce. Wyciągnęła rękę:

— Drogi mój, obraziłam cię, prawda; możesz gniewać się na mnie...

Julian nie spodziewał się takiej prostoty. Omal się nie zdradził.

— Chcesz rękojmi — dodała po chwili oczekiwania — masz słuszność. Wykradnij mnie, jedźmy do Londynu, będę zgubiona na zawsze, zhańbiona... — Miała tę siłę, aby wysunąć rękę z rąk Juliana i zasłonić sobie oczy. Wszystkie uczucia wstydu i cnoty niewieściej wróciły w tę duszę... — Więc dobrze! Okryj mnie hańbą — rzekła z westchnieniem — to będzie rękojmia.

„Wczoraj byłem szczęśliwy, bo miałem odwagę być surowym dla samego siebie" — pomyślał Julian. Po chwili milczenia zdołał się opanować na tyle, aby rzec lodowato:

— A skoro uciekniesz do Londynu, skoro będziesz zhańbiona, któż mi ręczy, że będziesz mnie kochała? Że moje sąsiedztwo w kolasce pocztowej nie będzie ci niemiłe? Nie jestem potworem; to, że panią zgubię w opinii, będzie dla mnie tylko jednym nieszczęściem więcej. To nie twoja pozycja stanowi przeszkodę; to, niestety, twój charakter. Czy możesz zaręczyć sama przed sobą, że będziesz mnie kochała bodaj tydzień?

„Och, niech kocha tydzień, tylko tydzień — powiadał sobie Julian — a umrę ze szczęścia. Co mi przyszłość, co mi życie! I to boskie szczęście może się zacząć dla mnie dziś, jeśli zechcę, zależy jedynie ode mnie!"

Matylda widziała jego zadumę.

— Jestem tedy zupełnie niegodna ciebie — rzekła, ujmując go za rękę.

Julian wziął ją w ramiona, ale w tejże chwili żelazna dłoń obowiązku pochwyciła jego serce. „Jeśli spostrzeże, jak dalece ją ubóstwiam, stracę ją". I nim wypuścił ją z objęć, odzyskał całą godność, jaka przystoi mężczyźnie.

Tego dnia i przez następne dni zdołał ukryć nadmiar szczęścia; bywały chwile, w których odmawiał sobie nawet rozkoszy wzięcia jej w ramiona.

Kiedy indziej znowu szał szczęścia tłumił wszelką przezorność.

Niegdyś miał zwyczaj spędzać wiele chwil koło altanki z dzikiego wina, przeznaczonej na to, aby ukryć drabinę. Siadał tak, aby móc z dala spoglądać na okno Matyldy i opłakiwać jej niestałość. Tuż obok wyrastał ogromny dąb, tak iż pień drzewa zasłaniał go od niepowołanych spojrzeń.

Kiedy przechodził z Matyldą koło tego miejsca, które mu tak żywo przypominało bezmiar niedoli, kontrast minionej rozpaczy a obecnego szczęścia za silny był dla Juliana; łzy nabiegły mu do oczu. Podnosząc do ust rękę ukochanej, rzekł:

— Tutaj żyłem, myśląc o tobie, tutaj patrzałem w te żaluzje, czekałem godziny całe szczęsnej chwili, w której ta ręka mi je otworzy...

Hart jego prysnął. Odmalował prawdziwymi barwami, takimi, jakich się nie da zmylić, bezmiar swej rozpaczy. Krótkie wykrzykniki świadczyły o jego obecnym szczęściu, które położyło kres okrutnej męce.

„Co ja czynię, Boże? — pomyślał Julian, opamiętując się nagle. — Gubię się".

W bezmiarze przerażenia zdało mu się, że widzi już w oczach panny de la Mole mniej tkliwości. Było to złudzenie; ale twarz Juliana zmieniła się nagle i stała się śmiertelnie blada. Oczy jego zgasły; wyraz dumy niewolnej od ironii zajął nagle miejsce najoddańszej[63] miłości.

— Co tobie, drogi? — spytała Matylda z czułością i niepokojem.

— Kłamię — odparł Julian twardo — i kłamię przed tobą! Wyrzucam to sobie, a wszakże Bóg wie, iż szanuję cię na tyle, aby nie kłamać. Kochasz mnie, jesteś mi oddana, nie potrzebuję frazesów, aby trafić do twego serca.

— Wielki Boże! Czyż to frazesy, wszystkie te urocze słowa, które powtarzasz mi od kwadransa?

— Niestety, biję się w piersi, droga Matyldo. Ułożyłem je swego czasu dla kobiety, która mnie kocha, a którą byłem nieco znudzony... To mój nieszczęsny charakter, sam spowiadam się z niego przed tobą, daruj mi.

Gorzkie łzy spływały po licach Matyldy.

— Z chwilą gdy mnie coś urazi i wprawi w zadumę — ciągnął Julian — moja niegodziwa pamięć, którą przeklinam w tej chwili, nastręcza mi ratunek i nadużywam go.

— Czy mimo woli popełniłam coś, co cię uraziło? — spytała Matylda z czarującą prostotą.

— Jednego dnia, przypominam sobie, przechodząc koło tych powojów, zerwałaś kwiatek, de Luz wziął ci go z ręki i ty mu go zostawiłaś. Stałem tuż za tobą.

— De Luz? To niemożliwe — odparta Matylda z wrodzoną wyniosłością — nie mam takich zwyczajów.

— Wiem z pewnością — odparł porywczo Julian.

— Więc dobrze, prawda, drogi mój — rzekła Matylda, spuszczając smutno oczy. Wiedziała stanowczo, że od wielu miesięcy nie pozwoliła panu de Luz na nic podobnego.

Julian spojrzał na nią z niewysłowioną czułością: „Nie — pomyślał — ona nie kocha *mniej*".

Wieczorem wymawiała mu żartem jego słabostkę dla pani de Fervaques.

— Mieszczanin zakochany w parweniuszce! Tego rodzaju serca to są jedyne, których mój Julian nie zdoła przywieść do szaleństwa. Zrobiła z ciebie dandysa — mówiła, bawiąc się jego włosami.

Od czasu, jak sądził, że Matylda nim gardzi, Julian stał się jednym z najlepiej ubranych ludzi w Paryżu; miał zaś nad zawodowymi elegantami tę wyższość, że raz dokończywszy toalety, nie myślał już o niej.

Jedno drażniło Matyldę; Julian w dalszym ciągu kopiował listy Rosjanina i przesyłał je marszałkowej.

LXII. TYGRYS

Beaumarchais

Pewien angielski podróżnik opowiada dzieje swej zażyłości z tygrysem; wychował go, pieścił, ale zawsze miał na stole nabity pistolet.

Julian dał się unosić nadmiarowi swego szczęścia jedynie w chwilach, gdy Matylda nie mogła tego szczęścia wyczytać w jego oczach. Ściśle dopełnił nałożonego sobie obowiązku, aby jej rzec od czasu do czasu coś przykrego.

Kiedy słodycz Matyldy, której przyglądał się ze zdumieniem, i nadmiar jej oddania miały mu już odjąć władzę nad sobą, wówczas zdobywał się na to, aby ją opuścić.

Pierwszy raz w życiu Matylda kochała.

Życie, które zawsze się wlekło dla niej żółwim krokiem, teraz leciało na skrzydłach.

Ponieważ trzeba było jakiegoś upustu dla jej dumy, harda panna wystawiała się na wszystkie niebezpieczeństwa, jakie miłość mogła na nią ściągnąć. Julian musiał być przezorny za nią: jedynie wtedy, kiedy chodziło o niebezpieczeństwo nie chciała ulec jego woli. Ale, pokorna i uległa z nim, objawiała tym większą butę wobec otoczenia, rodziców czy służby.

[63] *najoddańszej* — dziś: najbardziej oddanej.

Wieczorem w salonie wobec kilkudziesięciu osób przywoływała Juliana, aby z nim szeptać na osobności.

Kiedy raz Tanbeau usiadł koło nich, poprosiła, aby jej przyniósł z biblioteki tom Smolletta, w którym znajduje się rewolucja roku 1688; kiedy się zaś wahał, dodała:

— A niech się pan nie śpieszy. — Powiedziała to ze wzgardliwą wyniosłością, która była jak balsam dla duszy Juliana.

— Zauważyłaś spojrzenie tej żmii? — spytał.

— Wuj jego liczy kilkanaście lat służby w tym salonie, inaczej kazałabym go wygnać natychmiast.

Postępowanie jej z panami de Croisenois, de Luz etc., doskonale grzeczne co do formy, było w gruncie wyzywające. Matylda wyrzucała sobie zwierzenia, jakie uczyniła niegdyś Julianowi i to tym bardziej, że nie śmiała mu wyznać, iż przesadziła oznaki sympatii niemal zupełnie niewinnej, jakiej panowie ci byli przedmiotem.

Mimo najpiękniejszych postanowień za każdym razem duma kobieca broniła jej rzec Julianowi: „To dlatego, że mówiłam do ciebie, znajdowałam przyjemność w opisywaniu owej słabości, z jaką nie cofnęłam ręki, kiedy pan de Croisenois, położywszy dłoń na marmurowym stoliku, musnął mnie nią lekko".

Dziś zaledwie który z tych panów zbliżył się do niej na chwilę, natychmiast znajdowała jakiś interes do Juliana, a zawsze był to pozór, aby go zatrzymać przy sobie.

Uczuła się brzemienna i z radością oznajmiła to Julianowi.

— Wątpisz teraz o mnie? Czy to nie jest rękojmia? Jestem twą małżonką na zawsze.

Zwierzenie to wstrząsnęło Julianem. Omal nie zapomniał o zasadach swego postępowania. W jaki sposób być z umysłu chłodnym i obrażającym dla tej biednej dziewczyny, która się gubi dla mnie? Skoro zdawała się cierpiąca, wówczas, nawet w dnie, gdy przezorność odzywała się straszliwym głosem, nie znajdował już siły, aby jej rzucać w twarz owe okrutne słowa, tak nieodzowne wedle jego doświadczeń dla utrwalenia miłości.

— Muszę napisać do ojca — rzekła Matylda — jest dla mnie więcej niż ojcem, jest mi przyjacielem. Uważałabym za niegodne ciebie i siebie oszukiwać go choćby przez chwilę.

— Wielki Boże! Co chcesz uczynić? — spytał Julian przerażony.

— Spełnić obowiązek — odparła z oczami błyszczącymi radością. Czuła się wielkoduszniejsza od swego kochanka.

— Ależ on mnie wypędzi haniebnie!

— Będzie w swoim prawie, należy je uszanować. Podam ci rękę i wyjdziemy stąd główną bramą, w biały dzień.

Julian oszołomiony prosił, aby to odwlekła o tydzień.

— Nie mogę — odparła — honor tak każe, to mój obowiązek, trzeba go spełnić i to natychmiast.

— Zatem *rozkazuję* ci czekać! — rzekł wreszcie Julian. — Honor twój jest kryty, jestem twoim mężem. Ten ważny krok zmieni zasadniczo nasze położenie. Ja także jestem w swoim prawie. Dziś jest wtorek; w przyszły wtorek jest przyjęcie u księcia de Retz; wieczorem, kiedy pan de la Mole wróci, odźwierny wręczy mu nieszczęsny list... On myśli jedynie o tym, aby cię uczynić księżną, wiem doskonale; osądź, jaki będzie nieszczęśliwy.

— Chcesz powiedzieć: jak będzie się mścił.

— Mogę litować się nad mym dobroczyńcą, martwić się, że go nabawiłam zgryzoty; ale nie lękam się i nie zlęknę nigdy nikogo.

Matylda uległa. Od czasu, jak oznajmiła Julianowi swój stan, pierwszy raz przemówił do niej tak surowo; nigdy nie czuł tyle miłości. Tkliwa cząstka jego duszy chwyciła się z radością pozoru, jaki nastręczał mu ten stan Matyldy, aby sobie oszczędzić smagania jej okrutnymi słowami. Myśl o wyznaniu wszystkiego panu de la Mole wstrząsnęła nim. Czy będzie musiał rozłączyć się z Matyldą? I mimo całego bólu, jaki jej sprawi jego wyjazd, czy w miesiąc po tym wyjeździe, pomyśli jeszcze o nim?

Tak samo prawie obawiał się słusznych wyrzutów margrabiego.

Wieczorem wyznał Matyldzie ten drugi powód zgryzoty; następnie oszalały miłością wyznał i pierwszy.

Zmieniła się na twarzy.

— Naprawdę — rzekła — pół roku z dala ode mnie byłoby dla ciebie nieszczęściem?

— Strasznym, jedynym w świecie, który przejmuje mnie grozą.

Matylda czuła się szczęśliwa. Julian trzymał się tak wytrwale w swej roli, iż obudził w niej z czasem przeświadczenie, że z nich dwojga ona bardziej kocha.

Nadszedł nieszczęsny wtorek. O północy, wróciwszy do domu, margrabia zastał list z dopiskiem na adresie, że ma go otworzyć sam, bez świadków.

> Mój Ojcze!
>
> Wszystkie węzły między nami zerwane, zostają jedynie węzły krwi. Po moim mężu jesteś i będziesz zawsze istotą najdroższą mi na ziemi. Oczy moje napełniają się łzami, myślę o zgryzocie, jaką ci sprawiam; ale, iżby hańba moja nie była publiczna, aby ci zostawić czas do namysłu i działania, nie mogę dłużej odkładać zwierzenia, które ci mam uczynić. Jeśli twoja czułość dla mnie — a wiem, że jest bezgraniczna — raczy wyznaczyć mi małą pensyjkę, udam się, aby zamieszkać gdzie zechcesz, w Szwajcarii na przykład, wraz z mężem. Nazwisko jego jest tak nieznane, że nikt nie domyśli się twojej córki w pani Sorel, synowej cieśli z Verrières. Oto nazwisko, które tak ciężko przyszło mi napisać. Obawiam się dla Juliana twego gniewu, tak słusznego na pozór. Nie będę księżną, ojcze; ale wiedziałam o tym, kiedym go pokochała: ja pokochałam go pierwsza; ja go uwiodłam. Odziedziczyłam po tobie duszę zbyt wyniosłą, aby zwracać uwagę na to, co pospolite. Próżno, chcąc ci być powolną, siliłam się pokochać pana de Croisenois. Czemu mi pokazałeś człowieka naprawdę wyższego? Powiedziałeś mi to sam, kiedy wróciłam z Hyères: „Ten Sorel, to jedyny człowiek, który mnie nie nudzi". Biedny chłopiec jest, jeśli to możebne, równie zmartwiony jak ja przykrością, jaką ci sprawi mój list. Nie mogę przeszkodzić temu, abyś nie był oburzony jako ojciec; ale kochaj mnie jako przyjaciel.
>
> Julian zachowywał się wobec mnie z całym szacunkiem. Jeżeli odzywał się kiedy do mnie, to jedynie z głębokiej wdzięczności, jaką miał dla ciebie; wrodzona duma broni mu odnosić się inaczej niż urzędowo do osób stojących wyżej niego. Posiada on wrodzone poczucie różnic społecznych. To ja, wyznaję to z rumieńcem memu najlepszemu, przyjacielowi — i nikt inny nie usłyszy takiego wyznania! — to ja jednego dnia w ogrodzie ścisnęłam mu ramię.
>
> Skoro ochłoniesz nazajutrz, czemu miałbyś się na niego gniewać? Błąd mój jest nie do naprawienia. Jeśli żądasz, przez moje usta Julian przedłoży ci zapewnienia najgłębszego szacunku oraz rozpaczy, iż sprawił ci zgryzotę. Nie ujrzysz go; ale ja pójdę za nim tam, gdzie zechce. To jego prawo, to mój obowiązek, jest ojcem mego dziecka. Jeśli dobroć twoja zechce nam użyczyć sześć tysięcy franków na życie, przyjmuję to z wdzięcznością; w przeciwnym razie Julian zamierza się osiedlić w Besançon, gdzie będzie dawał lekcje literatury i łaciny. Mimo niskiego pochodzenia, jestem pewna, że wypłynie. Z nim nie obawiam się zostać w kącie. Jeśli wybuchnie rewolucja, pewna jestem, że odegra pierwszą rolę. Czy mógłbyś powiedzieć to samo o którym z ubiegających się o moją rękę? Mają ładne majątki ziemskie? To mnie bynajmniej nie rozczula. Julian zdobyłby wysokie stanowisko, nawet pod obecnym rządem, gdyby miał milion i poparcie mego ojca...

Matylda, która wiedziała, że margrabia jest to człowiek na wskroś impulsywny, napisała pełnych osiem stronic.

„Co robić? — powiadał sobie Julian, gdy pan de la Mole czytał ten list — gdzie leży *primo* mój obowiązek, *secundo* mój interes? Dług wdzięczności wobec margrabiego jest olbrzymi; bez niego byłbym jedynie podrzędnym hultajem, nie dosyć zaś hultajem, aby nie być przedmiotem nienawiści i prześladowania innych. Zrobił ze mnie światowca. Moje nieodzowne hultajstwa będą *primo* rzadsze, *secundo* mniej nikczemne. To więcej, niż gdyby mi dał milion. Zawdzięczam mu też ten krzyż i pozór dyplomatycznych usług, które wyrywają mnie z tłumu.

Gdyby wziął w rękę pióro, aby rozporządzić mym postępowaniem, co by napisał?..."

Dumania Juliana przerwało nagle zjawienie się lokaja.

— Margrabia wzywa pana natychmiast, jak pan stoi. Niech pan uważa, jest strasznie wzburzony — dodał ciszej służący, idąc obok Juliana.

LXIII. PIEKŁO SŁABOŚCI

Szlifując ten diament, niezręczny jubiler pozbawił go paru najżywszych iskierek. W średnich wiekach, co mówię? jeszcze za Richelieugo. Francuz umiał chcieć.

Mirabeau

Julian zastał margrabiego w furii: może pierwszy raz w życiu ten wielki pan wypadł z dobrego tonu; obsypał Juliana stekiem obelg. Bohater nasz był ogłuszony, zniecierpliwiony, ale nie zdołało to zachwiać jego wdzięczności. Ileż pięknych projektów, od dawna pieszczonych w duszy, biedny człowiek grzebie w jednej chwili. Ale trzeba mu coś odpowiedzieć, milczenie rozjątrzyłoby go tym bardziej. Odpowiedź zaczerpnął Julian z roli Tartufa.

— *Nie jestem aniołem*... Służyłem dobrze, pan margrabia opłacał mnie hojnie... Byłem wdzięczny, ale mam dwadzieścia dwa lata.... W tym domu dusza moja spotkała się ze zrozumieniem jedynie u ciebie, panie, i u tej uroczej istoty...

— Niegodziwcze! — wykrzyknął margrabia. — Urocza! Urocza! W dniu, w którym wydała ci się urocza, powinieneś był uciekać.

— Próbowałem; wówczas prosiłem o wysłanie mnie do Languedoc.

Zmęczony bieganiem po pokoju margrabia, zmożony bólem, rzucił się na fotel; Julian usłyszał, jak mówił półgłosem:

— Nie, to nie jest zły człowiek.

— Nie, nie dla pana — wykrzyknął Julian, przypadając do jego kolan. Ale zawstydził się strasznie tego kroku i podniósł się rychło.

Margrabia był w istocie nieprzytomny. Na ten gest Juliana zaczął go znów obsypywać karczemnymi wyzwiskami. Nowość tych klątw sprawiła mu może ulgę.

— Jak to? Moja córka ma się nazywać panią Sorel! Moja córka nie będzie księżną! — Za każdym razem, kiedy te dwie myśli rysowały się z całą jasnością, pan de la Mole cierpiał męki i tracił panowanie nad sobą. Julian lękał się, aby go nie zaczął bić.

W jaśniejszych chwilach, kiedy margrabia zaczynał się oswajać z nieszczęściem, zwracał się do Juliana z dość słusznymi wymówkami.

— Trzeba było uciekać, mój panie... — mówił. — Pańskim obowiązkiem było uciekać... Jesteś ostatnim łaj...

Julian podszedł do stołu i napisał:

„Od dawna życie stało mi się nie do zniesienia, kładę mu kres. Proszę, aby pan margrabia przyjął, wraz z wyrazami bezgranicznej wdzięczności, moje przeprosiny za kłopot, jaki może sprawić moja śmierć w pałacu".

— Niech pan margrabia raczy spojrzeć na ten papier. Zabij mnie pan lub każ mnie zabić swemu lokajowi. Jest pierwsza po północy, pójdę się przechadzać w ogrodzie, pod murem.

— Idź do wszystkich diabłów — wrzasnął margrabia za odchodzącym.

„Rozumiem — pomyślał Julian — nie byłby od tego, abym oszczędził lokajowi fatygi zabijania mnie... Niech mnie zabije, doskonale, daję mu tę satysfakcję... Ale, do krocset, ja kocham życie... mam obowiązki względem mego syna".

Myśl ta, która pierwszy raz nastręczyła się tak jasno jego wyobraźni, pochłonęła go zupełnie po paru minutach przechadzki wypełnionych uczuciem niebezpieczeństwa.

Ten nowy cel życia natchnął Juliana rozwagą. Trzeba mi czyjejś rady w postępowaniu z tym raptusem... To gorąca głowa, zdolna jest do wszystkiego. Fouqué jest za daleko, zresztą nie zrozumiałby człowieka takiego jak margrabia.

Hrabia Altamira... Mogęż być pewnym wiekuistego milczenia? Nie trzeba, aby moja prośba o radę miała znaczenie faktu i wikłała położenie. Hm, zostaje mi jedynie ponury ksiądz Pirard.... głowa ciasna, zamurowana jansenizmem... jakiś hultaj jezuita znający świat lepiej by umiał doradzać... Ksiądz Pirard jest zdolny obić mnie na samą wzmiankę o fakcie.

Geniusz Tartufa przyszedł w pomoc Julianowi. „Doskonale, wyspowiadam się u niego". Oto postanowienie, jakie powziął w ogrodzie po dwugodzinnej przechadzce. Nie myślał już o tym, że go może dosięgnąć kula, morzy go sen.

Nazajutrz bardzo rano Julian znalazł się o kilka mil od Paryża i zapukał do drzwi jansenisty. Przekonał się ku wielkiemu zdumieniu, że zwierzenie jego nie zaskoczyło zbytnio księdza.

— Jest w tym moja wina — mówił ksiądz, bardziej stroskany niż zagniewany. — Domyślałem się po trosze tej miłości. Przez przyjaźń dla ciebie, niegodziwy urwisie, nie zdobyłem się na to, aby ostrzec ojca...

— Co on pocznie? — rzekł żywo Julian.

(Kochał w tej chwili księdza i sprzeczka z nim byłaby mu bardzo przykra).

— Widzę trzy możliwości — ciągnął Julian: *primo* pan de la Mole może mnie zgładzić — tu Julian wspomniał o liście pozorującym samobójstwo, jaki wręczył margrabiemu — *secundo* może kazać hrabiemu Norbertowi zastrzelić mnie w pojedynku.

— Przyjąłbyś wyzwanie? — rzekł ksiądz, zrywając się wściekły.

— Nie dał mi ksiądz dokończyć. Oczywiście nie strzelałbym do syna mego dobroczyńcy. *Tertio* może mnie oddalić: Jeśli mi powie: „Jedź do Edynburga albo do Nowego Jorku", usłucham. Wówczas będzie można ukryć stan panny de la Mole; ale nie ścierpię nigdy, aby uprzątnięto mego syna.

— Możesz być pewny, że to będzie pierwsza myśl tego zepsutego człowieka...

W Paryżu Matylda była w rozpaczy. Zobaczyła się z ojcem koło siódmej. Pokazał jej list Juliana; lęk ją zdjął, że może przez szlachetność się zabił. „I bez mego pozwolenia?" — powtarzała sobie z bólem niewolnym od gniewu.

— Jeśli on zginął i ja zginę — mówiła. — To ty, ojcze, będziesz przyczyną jego śmierci... Będziesz może rad z tego... Ale przysięgam na jego cienie, że natychmiast wdzieję żałobę, będę publicznie *wdową po panu Sorel*, roześlę zawiadomienie o śmierci, możesz być tego pewny... Nie licz na moją podłość ani na moje tchórzostwo.

Miłość jej dochodziła do szaleństwa. Pan de la Mole patrzał na to bezradny.

Zaczął rozważać rzeczy nieco chłodniej. Matylda nie zjawiła się na śniadanie. Margrabiemu sprawiło to pewną ulgę, a zwłaszcza pochlebiło mu to, że spostrzegł, iż Matylda o niczym nie wspominała matce.

Julian zsiadł z konia... Matylda kazała go zawołać i rzuciła się w jego ramiona niemal przy pannie służącej. Julian nie był zbytnio zachwycony tym wybuchem; długa narada z księdzem Pirard uzbroiła go w rachubę i dyplomację. Wyobraźnię jego stłumił rachunek prawdopodobieństw. Matylda powiedziała mu ze łzami w oczach, że czytała jego samobójczy list.

— Ojciec może się namyślić; zrób to dla mnie i jedź natychmiast do Villequier. Siadaj z powrotem na konia, zniknij z pałacu, nim wstaną od stołu.

Widząc chłodną i zdumioną fizjonomię Juliana, zalała się łzami.

— Pozwól mnie działać — wykrzyknęła z uniesieniem, ściskając go — Wiesz dobrze, że nie z własnej woli rozłączam się z tobą. Pisz na imię pokojówki, adresuj obcą ręką, ja będę pisała całe tomy. Bądź zdrów! Uciekaj!

Ostatnie słowo uraziło Juliana, ale usłuchał. „To nieuniknione — pomyślał — iż nawet w najlepszej intencji ci ludzie znajdują sposób, aby mnie dotknąć".

Matylda oparła się stanowczo wszystkim *rozsądnym* projektom ojca. Nie chciała dopuścić rokowań na innej podstawie niż ta: będzie panią Sorel i będzie żyła skromnie z mężem w Szwajcarii albo przy ojcu w Paryżu. Odrzucała bezwzględnie projekt tajnego połogu. Wówczas byłaby wydana na potwarz i hańbę.

— W dwa miesiące po ślubie wyjadę z mężem w podróż i łatwo będzie udać, że nasz syn się urodził we właściwej porze.

Zrazu margrabia wściekał się, ale stanowczość ta zdołała go zachwiać.

— Masz tu — rzekł w chwili rozczulenia — masz tu obligację na dziesięć tysięcy franków renty, poślij ją swemu Julianowi i niech się urządzi tak, abym jej nie mógł odebrać.

Aby *usłuchać Matyldy*, znając jej namiętność władzy, Julian zrobił bezużytecznie czterdzieści mil; bawił w Villequier, załatwiając rachunki z dzierżawcami; dar margrabiego skłonił go do powrotu. Poprosił o gościnę księdza Pirard, który w jego nieobecności stał

się najużyteczniejszym sprzymierzeńcem Matyldy. Za każdym razem, kiedy margrabia zasięgał jego rady, dowodził mu, że wszelka inna droga niż publiczne małżeństwo byłaby zbrodnią w oczach Boga.

— A na szczęście — dodawał ksiądz — mądrość ludzka zgadza się tu z nakazem religii. Czy wobec gwałtownego charakteru panny de la Mole można by bodaj przez chwilę liczyć na sekret? Jeśli nie wstąpimy na otwartą drogę, świat będzie się o wiele dłużej zajmował zagadką tego mezaliansu. Trzeba powiedzieć wszystko naraz, zniweczyć wszelki pozór tajemnicy.

— To prawda — rzekł margrabia zamyślony. — W ten sposób, gdyby ktoś zechciał mówić o tym małżeństwie po upływie trzech dni, wyglądałby na dudka odgrzewającego stare bajki. Trzeba skorzystać z jakiegoś antyjakobińskiego zamachu rządowego i nieznacznie przemknąć się w jego cieniu.

Paru przyjaciół, których poradził się pan de la Mole, było zdania księdza Pirard. Główną przeszkodą, wedle nich, był charakter Matyldy. Ale mimo tych rozumowań duma margrabiego nie mogła się oswoić z myślą o wyrzeczeniu się mitry dla córki.

W pamięci i wyobraźni jego kłębiły się wszelkie szelmostwa i finty, możebne jeszcze za jego młodości. Ustąpić wobec konieczności, ulęknąć się prawa, zdawało mu się czymś niedorzecznym i hańbiącym dla człowieka jego stanowiska. Drogo dziś płacił czarowne marzenia, którymi opromieniał od dziesięciu lat przyszłość ukochanej córki.

„Kto by to przewidział? — powtarzał w duchu. — Dziewczyna tak dumna, tak wyniosła, bardziej ode mnie pyszna z nazwiska, które nosi! O której rękę zabiegało wszystko, co jest najświetniejszego we Francji!

Trzeba położyć krzyżyk na wszelkim rozsądku. Zadaniem tej epoki jest pomieszać wszystko! Idziemy ku chaosowi".

LXIV. CZŁOWIEK Z GŁOWĄ

Człapiąc na koniu, prefekt dumał: czemu nie miałbym zostać ministrem, prezydentem gabinetu, księciem? Oto, jak rozpocznę wojnę… Tym sposobem zakuję nowatorów w łańcuchy…

La Globe.

Żaden argument nie starczy, aby zniweczyć moc dziesięcioletnich marzeń. Margrabia pokonał gniew, ale nie umiał się zdobyć na to, aby przebaczyć. „Gdyby ten Julian mógł umrzeć przypadkiem" — powiadał sobie... Zgnębiona jego wyobraźnia znajdowała ulgę w ściganiu najniedorzeczniejszych majaków. Paraliżowały one wpływ roztropnych perswazji księdza Pirard. Tak upłynął miesiąc, nie posuwając rokowań ani o krok naprzód.

W tej sprawie rodzinnej jak i w sprawach politycznych margrabia miał świetne pomysły, do których zapalał się przez trzy dni. Wówczas plan nie dlatego mu się podobał, że się wspiera na logice, ale przeciwnie, logika znajdowała łaskę w jego oczach, o ile wspierała jego ulubiony plan. Trzy dni pracował z całą gorączką i zapałem poety, aby doprowadzić rzecz do pewnego punktu; nazajutrz już o tym nie myślał.

Zrazu Julian zbity był z tropu wahaniem margrabiego; po kilku tygodniach zaczął się domyślać, że pan de la Mole nie ma w tej sprawie żadnego określonego planu.

Pani de la Mole i wszyscy domownicy myśleli, że Julian podróżuje w sprawach administracyjnych; on tymczasem siedział na plebanii księdza Pirard i widywał Matyldę prawie co dzień; ona co rano spędzała godzinę z ojcem, ale niekiedy tygodnie całe nie wspominali o sprawie, która zaprzątała wszystkie ich myśli.

— Nie chcę wiedzieć, gdzie jest ten człowiek — rzekł pewnego dnia margrabia — prześlij mu ten list.

Matylda przeczytała:

> „Dobra moje w Languedoc przynoszą 20 000 franków rocznie. Darowuję 10 000 franków renty córce, 10 000 panu Sorel. Sam majątek staje się, oczywiście, również ich własnością. Poleci pan rejentowi, aby sporządził dwa oddzielne akty darowizny i aby mi je przyniósł jutro: po czym wszelkie stosunki między nami ustaną. Ach, panie, czy ja mogłem się spodziewać czegoś podobnego?
>
> Margrabia de la Mole".

— Dziękuję ci ojczulku — rzekła Matylda wesoło. — Zamieszkamy w zamku Aiguillon, między Agen i Marmande. Powiadają, że tam jest tak pięknie jak we Włoszech.

Darowizna ta zdumiała Juliana. Nie był to już ów surowy i zimny człowiek, któregośmy znali. Los syna zaprzątał zawczasu jego myśli. Nieprzewidziana ta i dość znaczna jak na biedaka fortuna zbudziła w nim ambicję. Wraz z żoną posiadał 30 000 franków renty. Co się tyczy Matyldy, wszystkie jej uczucia roztapiały się w ubóstwianiu męża, tak bowiem zawsze w swej dumie nazywała Juliana. Jej wielką, jedyną ambicją było zdobyć uznanie małżeństwa. Z przesadą rozpływała się nad genialnym rozumem, jaki okazała, jednocząc swój los z losem niepospolitego człowieka. *Wartość osobista* stała się w jej główce modnym hasłem.

Ciągła prawie rozłąka, mnogość spraw, brak czasu na gruchania miłosne dopełniły działania mądrej polityki obranej niegdyś przez Juliana.

Matyldę zniecierpliwiło w końcu, że tak mało widuje człowieka, którego pokochała szczerze.

W chwili podrażnienia napisała do ojca, zaczynając jak Otello:

„Tego, że przełożyłam Juliana nad uciechy światowe godne margrabianki de la Mole, wybór mój dowodzi wystarczająco. Szacunek świata, próżności są dla mnie niczym. Blisko sześć tygodni żyję w rozłące z mężem. To dosyć, aby ci dowieść, ojcze, mego posłuszeństwa. Do przyszłego czwartku opuszczę dom rodzicielski. Dzięki twej wspaniałomyślności jesteśmy bogaci. Nikt nie zna tajemnicy prócz czcigodnego księdza Pirard. Udam się do niego; on nas połączy; w godzinę po obrzędzie będziemy w drodze do Languedoc i nie zjawimy się w Paryżu, chyba na twoje rozkazy. Ale gnębi mnie, że świat ukuje z tego złośliwe pociski przeciw mnie, przeciw tobie, ojcze. Czy koncepty gawiedzi nie mogą popchnąć *poczciwego* Norberta do szukania zwady z Julianem? W takim wypadku, znam go, nie miałabym nad nim żadnej władzy. W duszy jego obudziłby się zbuntowany plebejusz. Zaklinam cię na kolanach, ojcze, przyjedź, aby być świadkiem mego ślubu. Twoja obecność stępi ostrze złośliwości świata, upewni życie twego jedynego syna, mego męża, etc., etc."

List ten wtrącił margrabiego w straszliwy kłopot. Trzebaż było wreszcie coś *postanowić*. Drobne narowy, zwykli przyjaciele, wszystko to straciło wpływ. W tych niezwykłych okolicznościach zasadnicze rysy charakteru urobione w wydarzeniach młodości odzyskały całą swą władzę. Ciężkie chwile spędzone na emigracji rozwinęły w panu de la Mole wyobraźnię. Po dwóch latach, w ciągu których margrabia zażywał olbrzymiego majątku i dworskich zaszczytów, rok 1790 wtrącił go w niedole wygnania. Twarda ta szkoła przeobraziła duszę dwudziestoletniego młodzieńca. W gruncie, raczej koczował wśród swych obecnych bogactw, niż podlegał ich panowaniu. Ale ta sama wyobraźnia, która uchroniła jego duszę od gangreny złota, wydała go na łup szalonego pragnienia tytułów dla córki.

W ciągu minionych sześciu tygodni chwilami, jakby w przystępie kaprysu margrabia chciał otoczyć Juliana bogactwem; ubóstwo zdało mu się czymś upadlającym, hańbiącym dla niego samego, pana de la Mole, czymś niemożliwym u męża jego córki; rzucał garściami pieniądze. Nazajutrz wyobraźnia jego szła innym korytem: zdawało mu się, że Julian rozumie niemą wymowę tej hojności, że zmieni nazwisko, przeprawi się do Ameryki, napisze do Matyldy, że jest dla niej pogrzebany. Pan de la Mole już roił, że taki list istnieje, wyobrażał sobie, jak się odbije na charakterze córki...

W dniu, w którym z tych młodzieńczych rojeń wyrwał go rzeczywisty list Matyldy, margrabia, nadumawszy się długo, w jaki by sposób zabić albo usunąć Juliana, marzył z kolei o tym, aby mu stworzyć świetny los. Postarałby się, aby Julianowi pozwolono nosić miano jednego z majątków; a czemu nie miałby z czasem przelać nań parostwa? Książę de Chaulnes, jego teść, wspominał mu kilkakrotnie, od czasu jak syna jego zabito w Hiszpanii, że rad by przekazać swój tytuł Norbertowi.

„Nie można odmówić Julianowi talentów, odwagi, może nawet świetności — powiadał sobie margrabia. — Ale na dnie tego charakteru jest dla mnie coś przerażającego. To wrażenie wywiera on na wszystkich, musi w tym być coś rzeczywistego — (im bardziej ów rzeczywisty punkt był nieuchwytny, tym bardziej przerażał wyobraźnię starego magnata). — Córka zaznaczyła to bardzo trafnie kiedyś w liście, który zniszczyłem:

«Julian nie uczepił się żadnego salonu, żadnej koterii». Nie zapewnił sobie żadnego oparcia przeciw mnie ani najmniejszej deski ratunku, jeśli ja go opuszczę... Czy to

nieznajomość dzisiejszego społeczeństwa?... Parę razy mówiłem mu: «Jedna jest tylko prawdziwa i skuteczna droga: salony»...

Nie, to nie jest zręczny i przebiegły kauzyperda, który nie straci ani jednej minuty, ani jednej sposobności... To nie jest charakter w stylu Ludwika XI. Z drugiej strony tyle w nim jest zasad wręcz nieszlachetnych... Gubię się w tym... Czyżby wpierał w siebie te zasady, aby służyły za tamę jego namiętności?

Jedno jest pewne: nie jest zdolny znieść wzgardy, tu go mam.

Nie posiada czci dla urodzenia, to prawda, nie szanuje nas z instynktu... To wada; ale ostatecznie dusza biednego seminarzysty mogłaby być wrażliwa jedynie na używanie i na pieniądze. Natomiast on nie może za żadną cenę znieść wzgardy".

Przyciśnięty do muru listem córki pan de la Mole musiał powziąć decyzję. „Oto wielkie pytanie: czy ten zuchwalec ośmielił się podnieść oczy na mą córkę dlatego, iż wie, że ją kocham nade wszystko i że mam sto tysięcy talarów rocznie?

Matylda zaręcza, że nie. Nie, mości Julianie, ten punkt musimy wyjaśnić.

Czy to jest prawdziwa, nieprzewidziana miłość? Czy pospolita chęć dochrapania się stanowiska? Matylda jest inteligentna, uczuła od razu, że to podejrzenie może go zgubić w moich oczach, stąd wyznanie, że to ona pierwsza się w nim rozkochała...

Dziewczyna tak dumna miałaby się zapomnieć do tego stopnia... uczynić pierwszy krok!... ścisnąć mu ramię w ogrodzie, wieczorem, cóż za ohyda! jak gdyby nie miała stu przyzwoitych sposobów wyrażenia swej sympatii! Ta obrona Juliana jest podejrzana: świadectwo Matyldy nie jest pewne..."

Tego dnia dumania margrabiego wydały konkretniejszy owoc. Mimo to nałóg przemógł: postanowił zyskać na czasie i napisać do córki, bo pisywali do siebie z jednego skrzydła pałacu do drugiego. Pan de la Mole bał się dyskusji i widzenia się z Matyldą. Lękał się, że zakończy wszystko nagłym ustępstwem.

List.

„Nie waż się robić nowych szaleństw; oto nominacja na porucznika huzarów dla kawalera Juliana *Sorel de la Vernaye*. Widzisz, ile robię dla niego. Nie sprzeciwiaj mi się, nie pytaj o nic. Niech w ciągu dwudziestu czterech godzin ruszy zgłosić się do Strasburga, gdzie jest jego pułk. Dołączam przekaz na mego bankiera i żądam posłuszeństwa".

Miłość i radość Matyldy nie miały granic; aby skorzystać ze zwycięstwa, odpowiedziała natychmiast:

„Pan de la Vernaye znalazłby się u twoich stóp, ojcze, przepełniony wdzięcznością, gdyby wiedział, coś raczył uczynić dla niego. Ale w pełni wspaniałomyślności zapomniałeś, ojcze, o mnie: honor twej córki jest w niebezpieczeństwie. Lada nieostrożność może spowodować wieczną plamę, której nie naprawi ani dwadzieścia tysięcy talarów renty. Poślę panu de la Vernaye dekret tylko wtedy, jeżeli dasz mi słowo, ojcze, że w ciągu miesiąca ślub nasz odbędzie się publicznie w Villequier. Wkrótce po tym terminie, którego błagam, abyś nie odwlekał, córka twoja nie będzie się mogła pokazać publicznie inaczej niż pod nazwiskiem pani de la Vernaye. Jakże ci dziękuję, ojczulku, żeś mnie ocalił od nazwiska *Sorel* etc., etc."

Odpowiedź margrabiego była nieoczekiwana:

„Bądź posłuszna albo cofam wszystko: drżyj, niebaczna! Nie wiem jeszcze, co jest zacz ten twój Julian, a ty wiesz jeszcze mniej ode mnie. Niech jedzie do Strasburga i niech się pilnuje. Oznajmię mą wolę do dwóch tygodni".

Ta stanowcza odpowiedź zaskoczyła Matyldę. Słowa: *nie znam Juliana* wtrąciły ją w zadumę, która niebawem wybujała w najczarowniejsze domysły; wierzyła, że są prawdą. „Dusza mego Juliana nie przywdziała przeciętnego uniformu salonów: ojciec nie wierzy w jego wyższość właśnie z przyczyn, które jej dowodzą...

Ale jeśli się nie poddam temu atakowi stanowczości, mogę doprowadzić do przykrej sceny; skandal naraziłby mą pozycję i mógłby zmniejszyć mój urok w oczach Juliana. W ślad za tym... ubóstwo przez dziesięć lat; otóż szalony wybór męża dla jego osobistych zalet można ratować od śmieszności jedynie blaskiem złota. Jeśli będę zmuszona żyć z dala od ojca, w jego wieku może zapomnieć o mnie... Norbert zaślubi jakąś miłą, sprytną kobietkę; księżna burgundzka usidlała na starość Ludwika XIV..."

Postanowiła być posłuszna, ale nie pokazała listu ojca Julianowi, ten dziki charakter mógłby się rzucić na drogę jakiegoś szaleństwa.

Wieczorem, kiedy oznajmiła Julianowi, że jest porucznikiem huzarów, radość jego nie miała granic. Radość tę można wytłumaczyć ambicją całego jego życia oraz namiętnym przywiązaniem do *syna*. Zmiana nazwiska oszołomiła go.

„Ostatecznie — myślał — mój romans skończony i mnie przypada cała zasługa. Potrafiłem obudzić miłość w tym potworze dumy — dodał w duchu, spoglądając na Matyldę — ojciec nie może żyć bez niej, a ona beze mnie".

LXV. BURZA

Mirabeau.

Dusza jego tonęła w zadumie; zaledwie odwzajemniał tkliwość Matyldy. Był milczący i posępny. Nigdy nie wydał się Matyldzie tak wielki, tak godny uwielbienia. Lękała się, aby jego drażliwość nie zniweczyła całej pozycji.

Wiedziała, że co rano prawie ksiądz Pirard zjawia się w pałacu. Czy nie mógł Julian przez niego dowiedzieć się czegoś o zamiarach ojca? Czy sam margrabia w chwili kaprysu nie mógł doń napisać? Po tak wielkim szczęściu, jak sobie wytłumaczyć surowe oblicze Juliana? Matylda nie śmiała go pytać.

Nie śmiała! Ona, Matylda! Od tej chwili w uczucie jej dla Juliana wkradło się coś nieokreślonego, nieoczekiwanego, niemal bliskiego grozy. Ta oschła dusza gorzała namiętnością taką, do jakiej w ogóle jest zdolna istota wychowana wśród owej wybujałej cywilizacji stanowiącej podziw Paryża.

Nazajutrz wczesnym rankiem Julian znalazł się u księdza Pirard. Wjechał na dziedziniec pocztowymi końmi zaprzężonymi do obdartej karety.

— Taki pojazd nie przystoi ci — rzekł surowy ksiądz z niezadowoleniem. — Oto dwadzieścia tysięcy franków, które przesyła ci pan de la Mole; masz je wydać w ciągu roku, unikając, o ile można, śmieszności. — (Tak znaczna suma powierzona młodemu człowiekowi przedstawiała w oczach księdza jedynie sposobność do grzechu).

Margrabia dodaje: Pan Julian de la Vernaye otrzymał te pieniądze od ojca, którego nie ma potrzeby określać bliżej. Pan de la Vernaye uzna może za właściwe przesłać jaki upominek panu Sorel, cieśli z Verrières, który go chował w dzieciństwie... Będę mógł podjąć się tego zlecenia — dodał ksiądz — nakłoniłem wreszcie pana de la Mole, aby się pojednał z tym jezuitą Frilair. Jego wpływy są stanowczo jak dla nas zbyt potężne. Uznanie twego wysokiego urodzenia przez tego człowieka, który trzęsie całym Besançon, będzie jednym z tajnych warunków układu.

Julian nie mógł zapanować nad swą radością, uściskał księdza, czuł, że dopływa do portu.

— Pfe! — rzekł ksiądz Pirard, odpychając go — cóż to za światowa próżność?... Co się tyczy Sorela i jego synów, ofiaruję im, własnym imieniem, pięćset franków pensji, którą podejmę się wypłacać każdemu z nich, o ile będę z nich zadowolony.

Julian stał się znowu chłodny i wyniosły. Podziękował, ale w sposób ogólnikowy i nieobowiązujący. „Byłożby możliwe — powiadał sobie — abym ja był naturalnym synem jakiego magnata wygnanego w nasze góry ręką Napoleona?" Z każdą chwilą myśl ta zdawała mu się mniej nieprawdopodobna. „Moja nienawiść do ojca, to też może dowód... Nie byłbym już potworem!"

W niedługi czas po tym monologu piętnasty pułk huzarów, jeden z najświetniejszych, znajdował się w pełnym rynsztunku na placu ćwiczeń w Strasburgu. Kawaler de la Vernaye dosiadał wspaniałego alzatczyka, za którego zapłacił sześć tysięcy. Został od razu porucznikiem, przebywszy podporucznikostwo jedynie w regestrach pułku, o którym nigdy nie słyszał.

Jego spokojna postawa, surowe i niemal groźne oczy, niezmącona zimna krew zyskały mu od pierwszego dnia poważanie. Wkrótce jego doskonała i pełna wiary grzeczność, zręczność w strzelaniu z pistoletu i władaniu bronią, którą objawił bez ostentacji, powściągnęły chętkę do żarcików. Po kilku dniach opinia pułku oświadczyła się na jego korzyść. „Wszystko ma ten młody człowiek — mówili starzy weredycy — z wyjątkiem młodości".

Ze Strasburga napisał Julian do księdza Chélan, dawnego proboszcza w Verrières, zgrzybiałego już prawie staruszka.

„Dowiedziałeś się zapewne, ojcze, z radością, o której nie wątpię, o wydarzeniach, które skłoniły mą rodzinę do zapewnienia mi losu. Oto pięćset franków: raczysz je ojcze, rozdać, bez rozgłosu i nie wspominając mego imienia, nieszczęśliwym, biednym dziś, jak ja byłem niegdyś, których z pewnością wspomagasz, jak niegdyś mnie wspomagałeś".

Julian był pijany ambicją, nie próżnością; ale zwracał wielką uwagę na wygląd zewnętrzny. Jego konie, uniformy, liberia jego ludzi, wszystko w najdrobniejszych szczegółach godne było angielskiego lorda. Ledwie zostawszy porucznikiem — od dwóch dni i dzięki protekcji — już obliczał, że, aby być naczelnym wodzem najpóźniej w trzydziestym roku, jak wszyscy wielcy generałowie, trzeba być w dwudziestym trzecim więcej niż porucznikiem. Myślał jedynie o sławie i o synu.

Pośród tych rojeń nieokiełznanej ambicji zaskoczyło go zjawienie się młodego pokojowca z pałacu la Mole, który przybył co tchu konno.

„Wszystko stracone — pisała Matylda — przybywaj najśpieszniej, rzuć wszystko, zdezerteruj w razie potrzeby. Skoro tylko przybędziesz, czekaj mnie w dorożce, koło furtki ogrodowej pod numerem... przy ulicy... Będę tam, może zdołam cię wprowadzić do ogrodu. Wszystko stracone i obawiam się, że bez ratunku; licz na mnie, znajdziesz mnie oddaną i mężną. Kocham cię".

W kilka minut Julian otrzymał pozwolenie i ruszył cwałem; ale straszliwy niepokój, który go pochłaniał, nie pozwolił mu podróżować w ten sposób dalej niż do Metzu. Najął karetkę pocztową i z nieprawdopodobną wręcz chyżością przybył w oznaczone miejsce. Furtka otworzyła się; w jednej chwili Matylda, zapominając wszystkich względów, rzuciła się w jego ramiona. Szczęściem była dopiero piąta rano; ulica była pusta.

— Wszystko stracone; ojciec, lękając się moich łez, wyjechał. Dokąd? Nikt nie wie. Oto jego list, czytaj.

I wsiadła do dorożki obok Juliana.

„Mógłbym wszystko przebaczyć, z wyjątkiem planowego uwiedzenia dla majątku. Oto, nieszczęsna dziewczyno, okropna prawda. Daję ci słowo honoru, że nigdy nie zezwolę na małżeństwo z panem Sorel. Zapewniam mu dziesięć tysięcy franków renty, jeśli się zgodzi wyjechać z kraju, najlepiej do Ameryki. Czytaj list, otrzymany w odpowiedzi na prośbę o informacje. Bezwstydnik sam mi poddał, abym napisał do pani de Rênal. Oświadczam ci, że nie przeczytam ani litery, którą byś napisała do mnie za tym człowiekiem. Nabrałem wstrętu do Paryża i do was. Proszę cię, byś osłoniła największą tajemnicą to, co ma się zdarzyć. Wyrzecz się *szczerze* tego szubrawca, a odzyskasz ojca".

— Gdzie jest list pani de Rênal? — rzekł Julian chłodno.

— Oto jest. Nie chciałam ci go pokazać, nim będziesz przygotowany.

List.

„Święty nakaz religii i moralności zmusza mnie, panie margrabio, do przykrego kroku; zasada, która nie może mylić, każe mi w tej chwili zaszkodzić bliźniemu, aby oszczędzić większego zgorszenia. Boleść, jakiej doznaję, musi ustąpić wobec poczucia obowiązku. Tak, w istocie, postępowanie osoby, co do której żąda pan całej prawdy, mogło się wydać niewytłumaczone lub nawet uczciwe. Mógł ktoś uważać za właściwe ukryć lub przekształcić część prawdy; przezorność wymagała tego, zarówno jak religia. Ale w rzeczywistości postępowanie to, które pan życzy sobie poznać, było wysoce naganne; bardziej niż mogę wyrazić. Chłopiec ten, ubogi i chciwy, opanowawszy przy pomocy najwytrawniejszej obłudy słabą i nieszczęśliwą kobietę, starał się zdobyć stanowisko i piąć się w górę. Przykry obowiązek każe mi dodać, iż — nie podobna o tym wątpić — pan J... nie ma żadnych zasad. Wszystko świadczy o tym, iż sposobem, w jaki stara się zdobyć stanowisko w domu, jest uwieść kobietę zażywającą największego wpływu. Pod pozorem bezinteresowności i pięknych frazesów dąży do jednego celu, mianowicie owładnięcia panem domu i jego majątkiem. Zostawia po sobie nieszczęście i wiekuiste zgryzoty, etc., etc."

List ten, długi i na wpół zatarty łzami, pisany był w istocie ręką pani de Rênal; staranniej nawet niż zazwyczaj.

— Nie mogę potępiać pana de la Mole — rzekł Julian, skończywszy czytać — jest sprawiedliwy i przezorny. Któryż ojciec oddałby córkę takiemu człowiekowi! Bądź zdrowa.

Julian wyskoczył z dorożki i pobiegł do kolaski pocztowej, która zatrzymała się na rogu.

Matylda, o której jak gdyby zapomniał, zrobiła kilka kroków biegnąc za nim; ale spojrzenia kupców, którzy wychylili się ze sklepów, a którzy ją znali, zmusiły ją do rychłego schronienia się w ogrodzie.

Julian puścił się do Verrières. W ciągu tej śpiesznej drogi nie mógł napisać do Matyldy, jak miał zamiar, ręka jego kreśliła jedynie nieczytelne znaki.

Przybył do Verrières w niedzielę rano. Udał się do miejscowego rusznikarza, który obsypał go powinszowaniami z powodu świeżej kariery. Cała okolica mówiła tylko o tym.

Julian z trudem zdołał mu wytłumaczyć, że pragnie pary pistoletów. Na jego żądanie rusznikarz nabił broń.

Rozległy się trzy uderzenia dzwonu: sygnał ten, dobrze znany na wsi we Francji, oznacza początek mszy.

Julian wszedł do nowego kościoła. Okna wysokiego budynku zasłonięte były karmazynowymi firankami. Julian znalazł się o kilka kroków za ławką pani de Rênal, która — tak mu się zdawało — modliła się żarliwie. Widok kobiety, którą tak kochał niegdyś, wprawił ramię Juliana w takie drżenie, iż zrazu nie podobna mu było wykonać zamiaru. „Nie mogę — mówił sam do siebie — fizycznie po prostu nie mogę".

W tej chwili młody kleryk, który służył do mszy, zadzwonił na podniesienie. Pani de Rênal pochyliła głowę tak, że na chwilę ukryła ją prawie zupełnie w fałdach szala. Julian nie widział jej już tak wyraźnie: wypalił z pistoletu, chybił; wypalił drugi raz, pani de Rênal upadła.

LXVI. SMUTNE SZCZEGÓŁY

Nie spodziewajcie się słabości z mej strony. Zemściłem się. Zasłużyłem na śmierć, oto jestem. Módlcie się za mą duszę.

Schiller.

Julian stał nieruchomo; nic nie widział. Skoro przyszedł nieco do siebie, spostrzegł, że wierni pierzchają z kościoła, ksiądz opuścił ołtarz. Julian udał się wolnym krokiem za jakimiś kobietami, które uciekły z okrzykiem. Jedna, chcąc się wydostać wcześniej, pchnęła go gwałtownie, upadł. Nogi zaplątały mu się w krzesło wywrócone przez tłum; kiedy się podniósł, uczuł, że ktoś go chwyta za kark; był to żandarm w pełnym rynsztunku. Machinalnie Julian sięgnął do pistoletów, ale drugi żandarm chwycił go za ręce.

Odprowadzono go do więzienia, wpuszczono do celi, założono mu kajdany na ręce i zostawiono go samego; drzwi zamknęły się na dwa spusty. Wszystko to stało się bardzo szybko. Julian zachował zupełną obojętność.

— A zatem wszystko skończone — rzekł głośno, przychodząc do siebie. — Tak, za dwa tygodnie gilotyna... Albo zabić się wprzód samemu.

Myśl jego nie sięgała dalej; miał uczucie, jakby mu coś ściskało głowę. Rozejrzał się, spoglądając, czy go kto trzyma. Po kilku chwilach zasnął głęboko.

Rana pani de Rênal nie była śmiertelna. Pierwsza kula przebiła kapelusz; druga dosięgła jej w chwili, gdy się odwracała. Kula ugodziła ją w ramię i, rzecz zadziwiająca, odbiła się od kości, którą strzaskała, po czym ugodziła w gotycki filar, odłupując złom kamienia.

Kiedy po długim i bolesnym opatrunku chirurg, poważny człowiek, rzekł do pani de Rênal: „Ręczę za pani życie jak za własne", uczuła głęboki żal.

Od dawna pragnęła śmierci. List, który zmuszona przez spowiednika napisała do pana de la Mole, zadał ostatni cios tej wyczerpanej ciągłym nieszczęściem istocie. Nieszczęściem tym była rozłąka z Julianem; ona nazywała je *wyrzutem*. Spowiednik, młody i gorliwy kapłan, przybyły z Dijon, czytał wyraźnie w jej sercu.

„Umrzeć tak, ale nie z własnej ręki, to nie jest grzech — myślała pani de Rênal. — Bóg mi przebaczy może, że się cieszę ze śmierci". Nie śmiała dodać, że umrzeć z ręki Juliana to szczyt szczęścia.

Ledwie pozbywszy się chirurga i przyjaciół, którzy zbiegli się tłumnie, przywołała Elizę.

— Dozorca — rzekła, rumieniąc się — to nieludzki człowiek. Z pewnością będzie się znęcał nad nim, sądząc, że mi tym sprawi przyjemność... Nie mogę znieść tej myśli. Czy nie mogłabyś się udać do niego, niby sama z siebie, i wręczyć mu zawiniątko wraz z kilkoma ludwikami. Powiesz mu, że religia nie pozwala się znęcać... ale przede wszystkim niech nikomu nie wspomina o tych pieniądzach.

Oto okoliczność, której Julian zawdzięczał ludzkie obchodzenie dozorcy; był to zawsze ów Noiroud, któremu, jak czytelnik pamięta, wizyta pana Appert napędziła takiego strachu.

Zjawił się sędzia.

— Zabiłem z rozmysłem — rzekł Julian — kupiłem i kazałem nabić pistolety u rusznikarza. Artykuł 1342 kodeksu karnego brzmi jasno, zasłużyłem na śmierć, oczekuję jej.

Sędzia, zdumiony tym sposobem zeznań, chciał jeszcze zadawać pytania, tak, aby obwiniony *wsypał się* w odpowiedziach.

— Czy pan nie widzi — rzekł Julian z uśmiechem — że się przyznaję do winy, ile tylko pan zapragnie? Niech się pan nie obawia, nie minie was łup, który ścigacie. Będzie pan miał tę przyjemność, aby mnie skazać. Niech mi pan oszczędzi swej obecności.

— Pozostaje nudny obowiązek do spełnienia — pomyślał Julian — trzeba napisać do panny de la Mole.

„Zemściłem się — pisał. — Nieszczęściem nazwisko moje pojawi się w dziennikach, nie mogę zejść ze świata incognito. Umrę za dwa miesiące. Zemsta była okrutna, jak ból rozłąki z tobą. Od tej chwili nie pozwolę sobie napisać ani wymówić twego imienia. Nie mów o mnie nigdy, nawet memu synowi; milczenie to jedyny sposób uczczenia mnie. Dla ogółu będę pospolitym mordercą... Pozwól mi rzec prawdę w tej uroczystej chwili: zapomnisz o mnie. Ta katastrofa, o której radzę ci nie wspominać nikomu w świecie, wyczerpie na szereg lat wszystko, co było romantycznego i burzliwego w twoim charakterze. Byłaś stworzona, aby żyć w świecie średniowiecznych bohaterów; okaż ich niezłomny hart. Niechaj to, co się ma stać, spełni się w tajemnicy, nie narażając ciebie. Przybierz fałszywe nazwisko i nie zwierzaj się nikomu. Jeśli ci koniecznie trzeba pomocy przyjaciela, przekazuję ci księdza Pirard.

Nie rozmawiaj z nikim innym, zwłaszcza zaś z ludźmi swojej sfery: z panem de Luz, de Caylus, etc.

W rok po mej śmierci wyjdź za pana de Croisenois; rozkazuję ci to jako twój mąż. Nie pisz do mnie, nie odpowiem. Mimo że, jak sądzę, mniej jestem niegodziwy od Jagona, powiem jak on: *From this time forth I never will speek word*.

Nie będę już więcej mówił ani pisał; ty otrzymasz moje ostatnie słowa, jak również moje ostatnie uwielbienie. — J. S."

Wysławszy ten list, Julian, nieco otrzeźwiony, pierwszy raz uczuł się bardzo nieszczęśliwy. Każdy poryw ambicji niweczyło mu kolejno w sercu to wielkie słowo: *Umrę*. Śmierć sama w sobie nie była w jego oczach *straszna*. Całe jego życie było jednym długim przygotowaniem do nieszczęścia; przy czym nie zapominał o tym, które uchodzi za największe.

„Jak to! — powiadał sobie — gdybym za dwa miesiące miał się pojedynkować z doskonałym fechmistrzem, czyż byłbym na tyle słaby, aby myśleć o tym ustawicznie i to z lękiem?"

Stracił jedną godzinę, siląc się zgnębić samego siebie w tej mierze. Kiedy przejrzał jasno swoją duszę i kiedy prawda ukazała się jego oczom równie wyraźnie jak jedna z kolumn więziennych, zaczął myśleć o wyrzutach.

„Czemu miałbym mieć wyrzuty? Obrażono mnie okrutnie; zabiłem, zasługuję na śmierć; to wszystko. Umieram, załatwiłem rachunki z ludzkością. Nie zostawiam żadnego zobowiązania, nie jestem nic winien nikomu. W śmierci mej haniebne jest tylko narzędzie: to jedno starczy aż nadto, aby mnie okryć hańbą w oczach łyków z Verrieres;

ale z intelektualnego punktu widzenia cóż to za głupstwo! Zostaje mi jeden sposób okrycia się blaskiem w ich oczach: rozrzucać między lud złoto, idąc na stracenie. Pamięć moja, złączona z pojęciem złota, zostanie dla nich świetna".

Po chwili dumania konkluzja ta stała się dlań oczywista; Julian powiedział sobie: „Nie mam już nic do roboty na ziemi" i zasnął głęboko.

Około dziesiątej wieczór dozorca zbudził go, przyniósłszy wieczerzę.

— Co mówią w Verrières?

— Panie Julianie, przysięga, którą złożyłem na krucyfiks wobec królewskiego trybunału, obejmując posadę, zniewala mnie do milczenia.

Milczał, ale nie wychodził. Widok tej grubej obłudy ubawił Juliana. „Muszę — pomyślał — kazać mu długo czekać na pięć franków, za które pragnie sprzedać swoje sumienie".

Skoro dozorca ujrzał, że Julian kończy wieczerzę, nie czyniąc żadnego zamachu na jego dyskrecję, odezwał się obleśnym głosem.

— Przyjaźń, jaką mam dla pana, panie Julianie, każe mi mówić, mimo że to jest ponoć sprzeczne z interesem sprawiedliwości, ponieważ to panu może posłużyć do obrony... Pan Julian jest poczciwy człowiek, ucieszy się tedy, skoro mu powiem, że pani de Rênal ma się lepiej.

— Jak to! Żyje? — krzyknął Julian oszołomiony.

— Co! Pan nic nie wiedział? — rzekł dozorca z głupawą miną, która niebawem zmieniła się w wyraz błogiej chciwości. — Słusznie by się należało, aby pan coś przesłał chirurgowi, który wedle prawa i sprawiedliwości nie powinien był nic mówić. Ale, aby sprawić przyjemność, poszedłem do niego, opowiedział mi wszystko...

— Zatem rana nie jest śmiertelna — rzekł Julian zniecierpliwiony — ręczysz mi za to życiem?

Dozorca, olbrzym wysoki na sześć stóp, cofnął się ku drzwiom przestraszony. Julian ujrzał, że obrał złą drogę; usiadł i rzucił panu Noiroud ludwika.

W miarę jak opowiadanie tego człowieka upewniało Juliana, że rana pani de Rênal nie jest śmiertelna, uczuł, iż łzy napływają mu do oczu.

— Wyjdź stąd! — rzekł szorstko.

Dozorca usłuchał.

— Wielki Boże! Żyje! — wykrzyknął Julian, skoro drzwi się zawarły; i upadł na kolana, płacząc gorącymi łzami.

W tej uroczystej chwili odzyskał wiarę. Cóż znaczą komedie księży? Czyż mogą ująć co z prawdy i wzniosłości mieszczących się w pojęciach Bóstwa?

Wówczas dopiero Julian zaczął żałować popełnionej zbrodni. Równocześnie — okoliczność, która obroniła go od rozpaczy — w tej chwili dopiero ustał stan fizycznego podrażnienia, jak gdyby szaleństwa, w jakim był pogrążony od wyjazdu z Paryża.

Łzy jego miały szlachetne źródło, nie wątpił ani na chwilę, że go skażą.

— Więc będzie żyła! — powiadał sobie. — Będzie żyła, aby mi przebaczyć i kochać mnie...

Nazajutrz, kiedy go dozorca zbudził, było bardzo późno.

— Chwat z pana, panie Julianie — rzekł. — Dwa razy zaglądałem i nie chciałem pana budzić. Ma pan tu dwie butelki doskonałego wina, które panu przysyła ksiądz Maslon, nasz proboszcz.

— Jak to, ten obwieś jeszcze tutaj? — spytał Julian.

— A tak — rzekł dozorca ciszej — ale niech pan nie mówi tak głośno, to by panu mogło zaszkodzić.

Julian rozśmiał się z serca.

— W moim położeniu jedynie pan mógłbyś mi zaszkodzić, gdybyś przestał być dobry i ludzki... Zapłacę ci dobrze — dodał Julian z wyniosłą miną, którą usprawiedliwiała wręczona równocześnie sztuka złota.

Noiroud opowiedział na nowo ze szczegółami wszystko, czego się dowiedział o pani de Rênal, ale nie wspomniał nic o odwiedzinach Elizy. Był pokorny i uniżony do ostatnich granic. Julianowi przemknęła przez głowę taka myśl: „Ten olbrzym-pokraka zarabia tu może jakieś trzysta, czterysta franków, ile że więzienie stoi zazwyczaj puste; mogę mu zapewnić dziesięć tysięcy, jeśli zechce uciec ze mną do Szwajcarii... Trudność w tym, aby

go przekonać o mojej dobrej wierze". Myśl o długiej rozmowie, jaką musiałby przebyć z tak plugawą istotą, obudziła w Julianie wstręt, zaczął myśleć o czym innym.

Wieczorem było już za późno. O północy zajechała po niego karetka pocztowa. Żandarmi towarzyszący Julianowi zachowywali się bardzo przyzwoicie. Rano, skoro przybył do więzienia w Besançon, pomieszczono go łaskawie na górnym piętrze gotyckiej wieży. Ocenił architekturę na początek XIV wieku; podziwiał jej wdzięk i lekkość. Przez wąską przestrzeń między murami oko Juliana ogarniało skrawek wspaniałego widoku.

Nazajutrz przebył śledztwo, po czym przez kilka dni zostawiono go. Był w duszy spokojny, cała sprawa wydawała mu się niezmiernie prosta: chciałem zabić, powinienem być zabity.

Nie myślał o tym bliżej. Sąd, przykrość publicznego występu, obrona, wszystko to wydawało mu się niby drobny kłopot, nudny ceremoniał, o którym będzie czas myśleć, gdy przyjdzie pora. Chwila śmierci nie obchodziła go również: „Pomyślę o tym po wyroku". Życie nie zdawało mu się nudne, patrzał na wszystkie rzeczy pod innym kątem, nie miał już ambicji. Rzadko myślał o pannie de la Mole. Zaprzątały go natomiast wyrzuty i nasuwały mu często obraz pani de Rênal, zwłaszcza w ciszy nocnej, którą w tej wyniosłej wieży przerywał jedynie krzyk morskiego orła.

Dziękował niebu, że jej nie zranił śmiertelnie. „Rzecz zdumiewająca! — powiadał sobie — Sądziłem, że listem swoim do pana de la Mole zniweczyła na zawsze moje przyszłe szczęście, oto w niespełna dwa tygodnie po liście nie myślę już zupełnie o tym, co mnie zaprzątało... Dwa, trzy tysiące franków, aby żyć spokojnie gdzieś w górach, w Vergy... Byłem wówczas szczęśliwy... Nie znałem swego szczęścia!"

Tu znów zrywał się nagle. „Gdybym był zranił śmiertelnie panią de Rênal, zabiłbym się... Trzeba mi tej pewności, aby nie czuć wstrętu do samego siebie.

Zabić się! Oto wielka sprawa — mówił sobie. — Ci sędziowie, tacy formaliści, tacy zażarci na biednego winowajcę, ludzie, którzy powiesiliby najlepszego obywatela, aby zarobić order... Umknąłbym się ich władzy, ich niezdarnym obelgom, które miejscowy dzienniczek nazwie krasomówstwem..."

„Mam do życia mniej więcej kilka tygodni. Zabić się! Na honor, nie — rzekł po kilku dniach. — Napoleon został przy życiu...

Zresztą, życie jest przyjemne, pobyt spokojny, nie ma natrętów" — dodał, śmiejąc się, i zaczął gotować spis książek, które zamierzał sprowadzić z Paryża.

LXVII. WIEŻA

Sterne.

Raz o niezwykłej porze usłyszał hałas na korytarzu; orzeł morski odleciał z krzykiem, drzwi otworzyły się i czcigodny ksiądz Chélan, drżący, z laską w ręku, rzucił się w objęcia Juliana.

— Och, wielki Boże! Czy podobna, moje dziecko... Wyrodku! chciałem powiedzieć.

Dobry starzec nie mógł dodać ani słowa. Julian zląkł się, aby nie upadł. Musiał go odprowadzić do krzesła. Ręka czasu zaciężyła nad tym człowiekiem, niegdyś tak pełnym energii. Wydał się Julianowi jakby cieniem samego siebie.

Staruszek zaczerpnął oddech.

— Przedwczoraj dopiero dostałem twój list z Strasburga z pięćset frankami dla biednych; doręczono mi go w górach, gdzie osiadłem u bratanka. Wczoraj dowiaduję się o katastrofie... O nieba! Czy to możliwe!

Starzec nie płakał, wyglądał jak nieprzytomny. Dodał machinalnie:

— Będzie ci trzeba twoich pięciuset franków, odnoszę ci je.

— Trzeba mi ciebie, ojcze! — wykrzyknął Julian wzruszony. — Mam zresztą pieniądze.

Ale nie zdołał już nic wydobyć ze staruszka. Od czasu do czasu ksiądz Chélan ronił kilka łez, które spływały w milczeniu po twarzy; następnie spoglądał na Juliana jakby zdziwiony, że chłopiec ujmuje jego ręce i niesie je do ust. Ta fizjonomia niegdyś tak żywa, wyrażająca najszlachetniejsze uczucia, nie była już zdolna ocknąć się z apatii. Jakiś wieśniak przybył niebawem do starca.

— Nie trzeba go męczyć — rzekł do Juliana, który zrozumiał, że to bratanek.

Zjawisko to pogrążyło go w głębokim przygnębieniu, łzy mu obeschły. Wszystko zdało mu się beznadziejnie smutne; czuł jak serce mu lodowacieje w piersiach.

Była to najokropniejsza chwila, jakiej doświadczył od spełnienia zbrodni. Ujrzał oto śmierć w całej jej szpetocie. Wszystkie złudzenia wielkości duszy, szlachetności pierzchły jak obłok przed burzą.

Ten straszny stan trwał kilka godzin. Po zatruciu moralnym trzeba leków fizycznych, szampańskiego wina. Julian uważałby się za tchórza, gdyby się do tego uciekał. Pod koniec okropnego dnia, który spędził, przechadzając się w ciasnej wieży, wykrzyknął wreszcie: „Szaleniec ze mnie! Tylko wtedy, gdybym miał umrzeć jak inni ludzie widok biednego starca powinien by mnie wtrącić w ten smutek; ale śmierć szybka i w kwiecie wieku zabezpiecza mnie właśnie od tej smutnej zgrzybiałości".

Mimo wszelkich rozumowań Julian czuł się roztkliwiony, słaby, a tym samym pognębiony tymi odwiedzinami.

Nie było w nim już nic surowego, wielkiego, żadnej rzymskiej cnoty; śmierć przedstawiała mu się na wielkiej wyżynie i jako rzecz mniej łatwa.

„To będzie mój termometr — myślał. — Dziś wieczór jestem dziesięć stopni poniżej odwagi, która mnie wiedzie na poziom gilotyny. Dziś rano miałem tę odwagę. Zresztą, o cóż chodzi? Bylem ją odzyskał w potrzebnej chwili". Porównanie z termometrem zabawiało go i zmieniło bieg jego myśli.

Nazajutrz po przebudzeniu wstydził się poprzedniego dnia. „Szczęście moje, spokój są zagrożone". Gotował się już napisać do prezydenta sądu z prośbą, aby nie wpuszczać doń nikogo. „A Fouqué? — pomyślał. — Gdyby się zdobył na to, aby przybyć do Besançon, jakżeby mu było przykro!"

Od dwóch miesięcy może nie wspomniał go. „W Strasburgu byłem wielkim głupcem; nie sięgałem myślą poza galony". Wspomnienie Fouquégo zajęło go i roztkliwiło. Przechadzał się wzburzony. „Oto jestem teraz na dwadzieścia stopni niżej poziomu śmierci... Jeśli ta słabość ma wzrastać, lepiej mi będzie się zabić. Cóż za radość dla takich Maslonów i Valenodów, jeżeli umrę jak nikczemnik!"

Przybył Fouqué; prosty ten i zacny człowiek nie posiadał się z bólu. Jedyną jego myślą — o ile w ogóle był zdolny zebrać myśli — było sprzedać całe swoje mienie, aby przekupić dozorcę i ocalić Juliana. Gadał długo i szeroko o ucieczce pana de Lavalette.

— Przykrość mi zrobisz — rzekł Julian. — Lavalette był niewinny, a ja jestem zbrodniarz. Niechcący dałeś mi uczuć różnicę... — Ale czy to prawda? Jak to! Sprzedałbyś wszystko? — rzekł Julian znów podejrzliwy i nieufny.

Fouqué uszczęśliwiony, że przyjaciel wchodzi w jego myśl, wyszczególnił mu obszernie, niemal co do franka, ile może dostać za wszystko, co posiada.

„Cóż za szczytna ofiara ze strony wieśniaka! — myślał Julian. — Ileż oszczędności, ileż brudnego niemal sknerstwa, które przyprawiało mnie o rumieniec, gdy na nie patrzałem, poświęca oto dla mnie! Żaden z tych pięknych młodzieńców, których widywałem w pałacu la Mole i którzy czytują *Rénego*, nie miałby tych śmiesznostek; ale z wyjątkiem bardzo młodych i nieznających jeszcze wartości pieniędzy, któryż z paryskich lalusiów byłby zdolny do takiego poświęcenia?"

Wszystkie prowincjonalizmy, wszystkie pospolitości Fouquégo znikły; Julian rzucił się w jego ramiona. Nigdy prowincja porównana z Paryżem nie święciła piękniejszego triumfu. Fouqué uszczęśliwiony zapałem, którego odbłysk ujrzał w oczach przyjaciela, mniemał, że Julian godzi się na ucieczkę.

Ten widok wzniosłości zwrócił Julianowi całą siłę, której pozbawiło go zjawienie się księdza Chélan. Był jeszcze bardzo młody; ale wedle mnie była to szlachetna latorośl. Zamiast iść od tkliwości do wyrachowania, jak większość ludzi, on, przeciwnie, z wiekiem byłby nabrał dobroci, zdolności do wzruszeń, wyleczyłby się z obłędnej nieufności... Ale na co te czcze przepowiednie?

Przesłuchania stawały się coraz częstsze, na wspak wysiłkom Juliana, którego wszystkie odpowiedzi dążyły do skrócenia sprawy. „Zabiłem lub przynajmniej chciałem zadać śmierć z rozmysłem" — odpowiadał co dzień. Ale sędzia był przede wszystkim formalistą. Zeznania Juliana nie skracały bynajmniej śledztwa; sędzia czuł się podrażniony w ambicji.

Julian nie wiedział, że go chciano przenieść do okropnej kaźni i że tylko dzięki staraniom Fouquégo zostawiono mu piękny pokój w baszcie.

W liczbie znanych osobistości, które Fouqué zaopatrywał w drzewo, znajdował się ksiądz de Frilair. Zacny kupiec dotarł do wszechpotężnego wikariusza. Ku niewymownemu zachwytowi Fouquégo, ksiądz de Frilair oświadczył, iż wzruszony przymiotami Juliana oraz usługami, jakie niegdyś oddał seminarium, chce wstawić się za nim do sędziów. Fouqué dojrzał w tym błysk nadziei; wychodząc i kłaniając się do ziemi, prosił wielkiego wikariusza, aby przyjął dziesięć ludwików i obrócił je na msze święte na intencję oskarżonego.

Fouqué mylił się grubo. Ksiądz de Frilair nie był Valenodem. Odmówił i starał się nawet wytłumaczyć dobremu wieśniakowi, że słuszniej by uczynił, zachowując te pieniądze na lepszy uczynek. Widząc, że nie podobna wyrazić się jasno bez nieostrożności, poradził mu, aby obrócił tę kwotę na jałmużnę dla biednych więźniów cierpiących najokropniejsze braki.

„Ten Julian to szczególny człowiek, myślał ksiądz de Frilair; nie rozumiem jego postępku, powinienem zaś rozumieć wszystko... Może się uda zrobić zeń męczennika... W każdym razie dotrę do jądra sprawy; może zdołam napędzić strachu pani de Rênal, która nie ma dla nas szacunku, mnie zaś, w gruncie, nie cierpi... Może też zyskam w tym wszystkim podstawę do publicznego pojednania się z panem de la Mole, który ma słabość do tego chłopca".

Kompromis podpisano przed paru tygodniami; ksiądz Pirard wyjechał z Besançon, natrąciwszy[64] o tajemniczym urodzeniu Juliana, w tym samym dniu, w którym nieszczęśliwy chłopiec targnął się w Verrières na życie pani de Rênal.

Julian widział już tylko jedną przykrość pomiędzy sobą a śmiercią, mianowicie odwiedziny ojca. Zwierzył Fouquému zamiar swój napisania do prezydenta sądu z prośbą, aby mu oszczędzono wszelkich wizyt. Ten wstręt do widoku ojca i to w takiej chwili, uraził głęboko uczciwe, mieszczańskie serce handlarza drzewa.

Zrozumiał nagle, czemu tylu ludzi tak serdecznie nienawidzi jego przyjaciela. Przez szacunek dla nieszczęścia skrył swoje uczucie.

— W każdym razie — odparł zimno — zakaz taki nie stosowałby się do twego ojca.

LXVIII. POTĘŻNE RAMIĘ

To tajemnicze postępowanie, ta wytworna postać, kto to może być?

Schiller.

Nazajutrz drzwi otworzyły się bardzo wcześnie. Julian zbudził się nagle.

„Och, Boże! — pomyślał — To ojciec. Cóż za przykra scena!"

W tej samej chwili kobieta w stroju wieśniaczki rzuciła się w jego ramiona. Zaledwie mógł ją poznać. Była to panna de la Mole.

— Niedobry! Dopiero z twego listu dowiedziałam się, gdzie jesteś. W Verrières dowiedziałam się o tym, co ty nazywasz twoją zbrodnią, a co jest tylko szlachetną zemstą, godną hardego serca bijącego w tej piersi...

Mimo jego uprzedzeń do panny de la Mole — uprzedzeń, których zresztą nie uświadamiał sobie zbyt jasno — wydała się Julianowi bardzo ładna. To, co robi, co mówi, czyż nie jest świadectwem szlachetnych uczuć wznoszących ją wysoko ponad wszelką małość i pospolitość? Znów miał uczucie, że kocha królową; jakoż po chwili przemówił do niej z rzadką górnością myśli:

— Przyszłość rysowała się mym oczom bardzo jasno. Po mej śmierci chciałem, abyś wyszła za pana de Croisenois jako wdowa. Szlachetna, ale nieco romantyczna dusza uroczej wdowy, wróciwszy na drogę pospolitego rozsądku pod wpływem niezwykłego, tragicznego i wielkiego dla niej wydarzenia, raczyła ocenić rzetelną wartość młodego margrabiego. Zgodziłaby się wreszcie być szczęśliwą szczęściem zwykłych ludzi: poważanie, bogactwo, zaszczyty... Ale, droga Matyldo, przyjazd twój do Besançon, o ile wyjdzie na jaw, będzie śmiertelnym ciosem dla pana de la Mole, a tego bym sobie nie przebaczył. Sprawiłem mu tyle zgryzoty! Akademik powie, że *wygrzał żmiję na łonie*.

[64] *natrąciwszy* — dziś: wspomniawszy, nadmieniwszy.

— Wyznaję, żem się nie spodziewała tyle chłodnego rozsądku, tyle troski o przyszłość — rzekła panna de la Mole nieco urażona. — Pokojówka moja, prawie tak rozsądna jak ty, wzięła paszport na swoje nazwisko. Przyjechałam tu pocztą jako *pani Michelet*.

— I pani Michelet dostała się tu tak łatwo?

— Och, zawsze jesteś człowiekiem niepospolitym, tym, który mnie zainteresował! Najpierw ofiarowałam sto franków sekretarzowi sędziego, który utrzymywał, że nie podobna wpuścić mnie do wieży. Ale, wziąwszy pieniądze, ten uczciwy człowiek kazał mi wyczekiwać, zaczął robić trudności, myślałam, że mnie chce okraść...

Urwała.

— No i...? — spytał Julian.

— Nie gniewaj się, Julisiu — rzekła, ściskając go — musiałam zdradzić swoje nazwisko temu panu, który brał mnie za jakąś gryzetkę z Paryża, zakochaną w pięknym Julianie... (To jego wyrażenia). Przysięgłam mu, że jestem twoją żoną i będę miała pozwolenie widywania się co dzień.

„Stało się — pomyślał Julian — nie mogłem zapobiec temu szaleństwu. Ostatecznie, pan de la Mole jest tak wielkim panem, że opinia potrafi znaleźć usprawiedliwienie dla młodego pułkownika, który zaślubi tę uroczą wdowę. Moja śmierć pokryje wszystko".

I poddał się z rozkoszą miłości Matyldy; było w tym szaleństwo, wielkość duszy, najdziwniejsze wrażenia. Oświadczyła zupełnie poważnie gotowość zabicia się wraz z nim.

Po pierwszych wylewach, kiedy Matylda nasyciła się szczęściem oglądania Juliana, żywa ciekawość owładnęła nagle jej duszę. Przyglądała się kochankowi, przerastał o wiele to, co sobie wyobrażała. Miała wrażenie, że zmartwychwstał Bonifacy de la Mole, ale heroiczniejszy[65].

Matylda obeszła najlepszych miejscowych adwokatów; obraziła ich ofiarując im złoto otwarcie, ale w końcu przyjęli.

Spostrzegła rychło, iż w zakresie wątpliwych, a doniosłych spraw wszystko w Besançon zależy od księdza de Frilair.

Kiedy pod skromnym nazwiskiem pani *Michelet* siliła się dotrzeć do wszechpotężnego członka kongregacji, napotkała zrazu niesłychane trudności. Ale tymczasem rozeszła się po mieście wieść o pięknej młodej modystce, oszalałej z miłości i przybyłej z Paryża, aby pocieszyć Juliana Sorel.

Matylda uganiała się pieszo po Besançon, miała nadzieję, że jej nie poznają. W każdym razie uważała, że z korzyścią dla sprawy będzie poruszyć wyobraźnię ludu. Szaleństwo jej szło tak daleko, że roiła o wznieceniu rozruchów w razie, gdyby Julian szedł na śmierć. Panna de la Mole sądziła, że ubrana jest skromnie, jak przystało ciężko stroskanej kobiecie; tymczasem wygląd jej ściągał wszystkie spojrzenia.

Była już w Besançon przedmiotem powszechnego zajęcia, kiedy po tygodniowych zabiegach uzyskała posłuchanie u księdza de Frilair.

Pojęcia potężnego członka Kongregacji oraz głębokiej, chytrej zbrodniczości były tak zespolone w umyśle Matyldy, iż mimo swej odwagi drżała, dzwoniąc do konsystorza. Zaledwie mogła iść, kiedy jej przyszło wstąpić na schody wiodące do pokojów wielkiego wikariusza. Pustka biskupiego pałacu przejmowała ją chłodem. „Siądę na fotelu, ten fotel chwyci mnie za ramiona i zniknę. U kogo moja pokojowa będzie mogła upomnieć się o mnie? Naczelnik policji nie odważy się ruszyć palcem... Jestem sama, sama w tym wielkim mieście!"

Objąwszy okiem apartament, panna de la Mole uspokoiła się. Przede wszystkim otworzył jej lokaj w wytwornej liberii. Salon, do którego ją wpuszczono, odznaczał się wykwintnym zbytkiem, jaki spotyka się w Paryżu jedynie w najwyższych domach. Ksiądz de Frilair zbliżył się z ojcowskim wyrazem twarzy: majaki straszliwych zbrodni pierzchły. Nie znalazła nawet na tej pięknej twarzy owej energicznej cnoty, tak odstraszającej dla paryżan. Lekki uśmiech, który ożywił rysy wszechpotężnego księdza, zwiastował dobrze wychowanego człowieka, światowego prałata, mądrego pasterza. Owionęła Matyldę atmosfera Paryża.

Kilka chwil wystarczyło księdzu de Frilair, aby wydobyć z Matyldy wyznanie, że jest córką jego potężnego przeciwnika, margrabiego de la Mole.

---

[65] *heroiczniejszy* — dziś: bardziej heroiczny.

— W istocie, nie jestem panią Michelet — rzekła odzyskując zwykłą wyniosłość. — Wyznaję to bez trudu, przychodzę bowiem zasięgnąć pańskiej rady co do możliwości ucieczki pana de la Vernaye. Po pierwsze, winien jest jedynie nierozwagi: kobieta, do której strzelił, ma się dobrze. Po drugie, gdy chodzi o przekupienie podrzędnych figur, mogę natychmiast złożyć pięćdziesiąt tysięcy franków, przyrzec zaś drugie tyle. Wreszcie, wdzięczność moja i mojej rodziny nie cofnie się przed niczym dla osoby, która ocali pana de la Vernaye.

Ksiądz de Frilair wydawał się zdziwiony tym nazwiskiem. Matylda pokazała kilka listów ministra wojny, adresowanych do pana Juliana Sorel de la Vernaye.

— Widzi pan, że ojciec zajął się jego losem. Zaślubiłam Juliana w sekrecie; otóż ojciec pragnął, aby uzyskał wyższy stopień wojskowy, nim się ogłosi małżeństwo nieco osobliwe dla panny de la Mole.

Matylda zauważyła, iż, w miarę jak ksiądz de Frilair dochodził do tych ważnych odkryć, wyraz dobroci i łagodnej słodyczy znikał z jego oblicza, na którym malował się w tej chwili spryt połączony z głębokim fałszem.

Ksiądz miał wątpliwości, odczytywał z wolna urzędowe dokumenty.

„Jaką korzyść mogę wyciągnąć z tych dziwnych zwierzeń? — myślał. — Oto znalazłem się nagle w bliskich stosunkach z przyjaciółką słynnej marszałkowej de Fervaques, wszechmocnej siostrzenicy Jego Eminencji biskupa***, który samowładnie rozdaje infuły we Francji. To, com uważał za odległą przyszłość, staje się rzeczywistością. To może mnie doprowadzić do celu".

W pierwszej chwili Matylda zlękła się nagłej zmiany potężnego człowieka, z którym znalazła się sama w odludnym pałacu. „Ale nie! — rzekła sobie rychło. — Czyż nie byłoby o wiele gorzej, gdybym się rozbiła o zimny egoizm księdza sytego władzy i użycia!"

Olśniony otwierającą się przed nim nagłą i nieprzewidzianą drogą do infuły, uderzony inteligencją Matyldy, ksiądz de Frilair przestał na chwilę panować nad sobą. Panna de la Mole ujrzała go prawie u swych stóp; nadzieja i ambicja wstrząsały go nerwowym dreszczem.

„Rozumiem — pomyślała — nic tu nie będzie niemożliwe dla przyjaciółki pani de Fervaques". Mimo dotkliwego jeszcze ukłucia zazdrości, zdobyła się na to, aby wyjaśnić, że Julian jest bliskim przyjacielem marszałkowej i że spotykał u niej co dzień Jego Eminencją biskupa***.

— Gdyby się ciągnęło bodaj kilka razy z rzędu listę trzydziestu sześciu przysięgłych spośród wybitnych mieszkańców departamentu — rzekł wielki wikariusz z okiem płonącym ambicją, kładąc nacisk na każde słowo — uważałbym za bardzo nieszczęśliwy traf, gdybym w każdej liście nie liczył jakiego dziesiątka przyjaciół i to z najinteligentniejszych. Prawie zawsze będę miał większość, więcej niż większość, gdy chodzi o skazanie, widzi tedy pani, z jaką łatwością przyszłoby mi uniewinnić...

Ksiądz urwał nagle, jakby zdumiony dźwiękiem własnego głosu; odsłaniał rzeczy, których nie mówi się profanom.

Ale z kolei Matylda osłupiała, kiedy ksiądz wtajemniczył ją w to, co głównie zdumiewało i zaprzątało całe Besançon w przygodzie Juliana, a mianowicie, że wzbudził on niegdyś żywą namiętność w pani de Rênal i namiętność tę długi czas podzielał. Ksiądz de Frilair spostrzegł z łatwością, jak mocno opowiadanie jego poruszyło Matyldę.

„Oto mój odwet! — pomyślał. — Mam wreszcie sposób powodowania tą energiczną osóbką: drżałem, że mi się to nie uda". Dystynkcja i wyniosłość Matyldy zdwajały w jego oczach urok tej rzadkiej piękności, która skłaniała się przed nim niemal błagalnie. Odzyskał całą zimną krew i nie zawahał się wbić sztylet w jej serce.

— Nie dziwiłbym się ostatecznie — rzeki lekko — gdybyśmy się dowiedzieli, że to przez zazdrość pan Sorel strzelił do kobiety, którą niegdyś tak kochał. Jest to osoba bynajmniej nie pozbawiona powabów cielesnych, od niedawna zaś przyjmowała bardzo często niejakiego księdza Marquinot z Dijon, jansenistę bardzo podejrzanych obyczajów, jak oni wszyscy.

Podchwyciwszy słabą stronę pięknej panny, ksiądz de Frilair krwawił z rozkoszą jej serce.

— Czemu — mówił, zwracając palące oczy na Matyldę — pan Sorel wybrał kościół, jeżeli nie dlatego, iż właśnie w tej chwili rywal jego odprawiał mszę? Wszyscy przyznają

wiele inteligencji, a jeszcze więcej przezorności szczęśliwemu człowiekowi, którym się pani interesuje. Cóż prostszego niż ukryć się w ogrodzie pana de Rênal, który znał tak dobrze? Tam, mając niemal pewność, że go nikt nie zobaczy, nie chwyci ani nie będzie podejrzewał, mógł zadać śmierć kobiecie, o którą był zazdrosny.

Rozumowanie to, tak słuszne na pozór, do reszty wyprowadziło Matyldę z równowagi. Ta dusza harda, ale nasycona oschłym rozsądkiem wielkiego świata, niełatwo zdolna była zrozumieć rozkosz drwienia sobie z wszelkiego rozsądku, tak żywą dla dusz z płomienia. W sferach, w których obracała się Matylda, namiętność wyjątkowo chyba zdoła się wyzuć z rozsądku; z okna skacze się zwykle z piątego piętra.

Wreszcie ksiądz de Frilair uczuł się panem sytuacji. Dał do zrozumienia Matyldzie (bez wątpienia kłamał), że urzędnik mający oskarżać Juliana jest na jego rozkazy.

Skoro los wyznaczy trzydziestu sześciu przysięgłych na bieżącą kadencję, ksiądz de Frilair obrobi wprost i osobiście najmniej trzydziestu.

Gdyby Matylda nie była taka ładna, wielki wikariusz nie mówiłby z nią tak jasno wcześniej niż za jaką piątą lub szóstą konferencją.

LXIX. INTRYGA

Castres 1676. Tuż obok mego domu brat zabił siostrę; szlachcic ów już raz dopuścił się morderstwa. Ojciec jego dał potajemnie sędziom pięćset talarów i ocalił mu życie.

Locke, Podróż po Francji.

Wyszedłszy z konsystorza, Matylda nie zawahała się wysłać umyślnego do pani de Fervaques; obawa narażenia się nie wstrzymała jej ani na sekundę. Zaklinała rywalkę, aby się wystarała o list do księdza de Frilair całkowicie pisany ręką biskupa***. Posunęła się nawet do tego, że błagała ją o przybycie do Besançon. Ze strony tej zazdrosnej i hardej duszy był to rys heroiczny!

W myśl rady Fouquégo była na tyle ostrożna, że nie wspomniała Julianowi o swych staraniach. Obecność jej nękała go już dość i bez tego. W obliczu śmierci Julian stał się skrupulatniejszy, niż był w życiu: miał wyrzuty nie tylko wobec pana de la Mole, ale i wobec Matyldy.

„Dziwna rzecz! — powiadał sobie — kiedy jesteśmy razem, miewam chwile roztargnienia, nawet nudy. Ona się gubi dla mnie, a ja ją tak nagradzam! Byłżebym niegodziwcem?"

Zagadnienie to niewiele by go zaprzątało dawniej, gdy poruszała nim ambicja: wówczas niepowodzenie było jedynym wstydem w jego oczach.

Czuł się zakłopotany i nieswój wobec Matyldy, tym bardziej, że ona sama objawiała mu w tej chwili szaleńczą miłość. Mówiła jedynie o ofiarach, które chce podjąć, aby go ocalić.

Podniecona uczuciem, z którego była dumna i które przeważyło jej pychę, pragnęła każdą chwilę wypełnić jakim niezwykłym postępkiem. Najdziksze, najniebezpieczniejsze dla niej projekty wypełniały jej długie rozmowy z Julianem. Dozorcy, hojnie opłacani, pozwalali jej rządzić się w więzieniu. Pomysły Matyldy nie ograniczały się do poświęcenia reputacji; nic jej nie ważyło objawić swój stan przed całym światem. Rzucić się na kolana przed powóz króla pędzący galopem, aby błagać o łaskę dla kochanka, ściągnąć na siebie uwagę monarchy narażając się na stratowanie, oto jedna z chimer, jakie roiła ta rozbujana wyobraźnia. Dzięki pośrednictwu przyjaciół była pewna, że zdoła się dostać do najbardziej zamkniętej części ogrodów królewskich w Saint-Cloud.

Julian nie czuł się godny takiego poświęcenia; prawdę mówiąc, znużony był heroizmem. Prosta, naiwna, prawie nieśmiała tkliwość byłaby mu trafiła do serca; gdy, przeciwnie, wyniosłej duszy Matyldy trzeba było zawsze publiczności, *drugich*.

Wśród wszystkich udręczeń, wszystkich obaw o życie kochanka, którego nie chciała przeżyć, czuła tajemną potrzebę zdumiewania gawiedzi nadmiarem swej miłości i wzniosłości postanowień.

Julian wyrzucał sobie, że cały ten heroizm go nie wzrusza. Cóż dopiero, gdyby znał wszystkie szaleństwa, którymi Matylda nękała oddaną, ale z gruntu rozsądną i ograniczoną duszę poczciwego Fouqué.

Nie wiedział dobrze, co można by zarzucić poświęceniu Matyldy: i on także poświęciłby majątek i naraził życie, aby ocalić Juliana. Zdumiewała go obfitość złota, które rozrzucała Matylda. W pierwszych dniach sumy te olśniły Fouquégo, który miał dla pieniędzy typową cześć mieszkańca prowincji. Wreszcie doszedł, że projekty panny de la Mole zmieniają się często i z wielką ulgą znalazł wyraz na określenie charakteru, który dlań był tak nużący: była kapryśna. Od tego epitetu do miana *narwanej*, największej klątwy, jaką zna prowincja, jest tylko krok.

„Rzecz dziwna — myślał jednego dnia Julian po odejściu Matyldy — że ta namiętność, której jestem przedmiotem, wzrusza mnie tak mało! A wszakże ubóstwiałem Matyldę przed dwoma miesiącami! Czytałem wprawdzie, że wobec zbliżającej się śmierci człowiek obojętnieje na wszystko; ale okropne jest czuć się niewdzięcznym i nie móc się zmienić. Czyżbym był egoistą? Czynię sobie w tej mierze najdotkliwsze wyrzuty".

Ambicja umarła w jego sercu, inna namiętność wynurzyła się z popiołów; nazywał ją wyrzutem z powodu morderstwa pani de Rênal.

W istocie zaś kochał się w niej do szaleństwa. Czuł się nad wyraz szczęśliwy, kiedy zostawszy sam z tą pewnością, że mu nikt nie przeszkodzi, mógł się cały oddać wspomnieniu szczęśliwych dni w Verrières i w Vergy. Najdrobniejsze wydarzenia tych minionych zbyt rychło czasów miały dlań urok i świeżość. Nigdy nie myślał o swych triumfach paryskich; nudziły go.

Zazdrość Matyldy odgadła po części ten stan, który wzmagał się z dnia na dzień. Czuła, że trzeba jej walczyć z miłością samotności. Niekiedy wymawiała ze zgrozą nazwisko pani de Rênal. Widziała, że za każdym razem Julian drżał. Odtąd namiętność jej nie miała już granic ani miary.

„Jeżeli umrze, i ja umrę — powiadała sobie zupełnie szczerze. — Co powiedziałyby paryskie salony, widząc, że panna mego nazwiska ubóstwia do tego stopnia kochanka przeznaczonego na śmierć? Aby spotkać takie uczucia, trzeba sięgnąć do epoki bohaterów; taką namiętnością drgały serca za Karola IX i Henryka III".

Wśród najwyższych uniesień, przyciskając do serca głowę Juliana, powtarzała ze zgrozą:

— Jak to! Ta urocza głowa miałaby iść pod nóż kata! Dobrze więc! — dodawała rozpromieniona heroizmem niewolnym od rozpaczy. — Wargi moje, które tulą się do tych pięknych włosów, zastygną w dobę później.

Wspomnienia tych chwil heroizmu oraz straszliwej rozkoszy przykuwały ją przemożnymi więzami. Myśl o samobójstwie, tak zaborcza sama przez się, dotąd tak odległa od tej hardej duszy, wniknęła w nią i niebawem zapanowała w niej z bezgraniczną mocą. „Nie, krew moich przodków nie ostygła we mnie" — powiadała Matylda z dumą.

— Mam cię prosić o jedną łaskę — rzekł jednego dnia Julian — oddaj swoje dziecko na mamki w Verrières, pani de Rênal będzie go oglądała.

— To bolesne, co mówisz... — i Matylda zbladła.

— To prawda, przepraszam cię stokrotnie — wykrzyknął Julian, jakby budząc się z zadumy i ściskając ją.

Osuszywszy jej łzy, wrócił do swej myśli, ale już zręczniej. Uderzył w ton melancholijno-filozoficzny. Mówił o tej przyszłości, która miała się dlań niebawem zamknąć...

— To fakt, droga Matyldo, że wielkie uczucia są przypadkiem w życiu, ale ten przypadek zdarza się jedynie u wyższych dusz... Śmierć mego syna byłaby, w gruncie, szczęściem dla twej rodziny; otóż nędzne dusze zrozumieją to w lot. To dziecko nieszczęścia i hańby pójdzie w poniewierkę. Mam nadzieję, że w epoce, której nie chcę określać, ale którą mam odwagę przewidywać, posłuchasz mej ostatniej woli: zaślubisz margrabiego de Croisenois.

— Jak to, zhańbiona?

— Hańba nie chwyta się nazwiska takiego jak twoje. Będziesz wdową, wdową po szaleńcu, ot i wszystko. Pójdę dalej; zbrodnia moja — jako że pobudką jej nie był pieniądz — nie będzie hańbiąca. Może do tej pory prawodawca-filozof zwalczy przesądy epoki i uzyska zniesienie kary śmierci. Wówczas jakiś życzliwy głos wspomni jako przykład: „Ot, pierwszy małżonek panny de la Mole był szaleńcem, ale nie był niegodziwym człowiekiem, zbrodniarzem. Niedorzecznością było strącać tę głowę..." Wówczas pamięć

moja nie będzie bezecna, przynajmniej po jakimś czasie... Twoje stanowisko w świecie, twój majątek i, pozwól sobie powiedzieć, twoja genialna inteligencja, stworzą panu de Croisenois, skoro zostanie twym mężem, rolę, do której sam nie byłby zdolny. Ma jedynie urodzenie i odwagę, a dwa te przymioty, które tworzyły pełnego człowieka w r. 1729, dziś, o wiek później, stały się anachronizmem i rodzą jedynie pretensje. Trzeba czegoś więcej, aby dziś stanąć na czele francuskiej młodzieży.

Twój silny i przedsiębiorczy charakter stanie się podporą stronnictwa, w które pchniesz swego męża. Będziesz godną następczynią pań de Chevreuse i de Longueville z czasu frondy... Ale wówczas, droga Matyldo, boski ogień, który cię ożywia w tej chwili, wychłodnie nieco.

Pozwól to sobie powiedzieć: za piętnaście lat miłość twoja dla mnie będzie ci się przedstawiała jako szaleństwo godne rozgrzeszenia, ale zawsze jako szaleństwo...

Urwał nagle i zadumał się. Znów znalazł się wobec tej myśli tak dotkliwej dla Matyldy: „Za piętnaście lat pani de Rênal będzie ubóstwiała mego syna, a ty zapomnisz o nim..."

LXX. SPOKÓJ

Dlatego dziś jestem mądry, że niegdyś byłem szalony. O, filozofie, który widzisz jedynie bieżącą chwilę, jakże twój wzrok jest krótki! Oko twoje niezdolne jest śledzić podziemną płacę namiętności.

Goethe.

Rozmowę tę przerwało śledztwo, po czym nastąpiła konferencja z adwokatem, który podjął się obrony. Były to jedyne przykre chwile owego leniwego życia wypełnionego tkliwym marzeniem.

— Zachodzi fakt morderstwa i to morderstwa z rozmysłem — oświadczył Julian zarówno sędziemu jak adwokatowi. — Przykro mi bardzo, panowie — dodał z uśmiechem — ale to sprowadza waszą działalność do nader szczupłych rozmiarów.

„Ostatecznie — powiadał sobie Julian, skoro zdołał się oswobodzić od tych figur — muszę być odważny, odważniejszy niewątpliwie od tych dwóch ludzi. Oni patrzą na ten fatalny pojedynek jako na szczyt nieszczęścia, jako na bezmiar grozy, gdy ja pomyślę o nim poważnie jedynie w sam dzień.

To dlatego, że ja poznałem większe nieszczęście — myślał Julian dalej. — O ileż więcej cierpiałem w czasie pierwszej podróży do Strasburga, gdy mniemałem, że Matylda rzuciła mnie na zawsze... I powiedzieć, że pragnąłem tak namiętnie tej bliskości, którą dziś przyjmuję tak chłodno... W istocie, czuję się szczęśliwszy sam, niż kiedy ta śliczna panna dzieli mą samotność..."

Adwokat, pedant i formalista, uważał go za szaleńca i myślał, wraz z ogółem, że to zazdrość wcisnęła mu pistolet w rękę. Jednego dnia spróbował Julianowi dać do zrozumienia, że domysł taki, bez względu na jego prawdziwość, byłby znakomitym środkiem obrony. Ale apatia oskarżonego ustąpiła w mgnieniu oka stanowczości.

— Jeśli pan dbasz o swoje życie — wykrzyknął Julian półprzytomny — nie waż się powtarzać tak ohydnego kłamstwa.

Ostrożny adwokat zląkł się na chwilę, aby go Julian nie zamordował. Przygotował obronę, ponieważ zbliżał się rozstrzygający dzień. W Besançon i w całym departamencie mówiono tylko o tej głośnej sprawie. Julian nie wiedział o tym, prosił, aby mu nigdy nie wspominano o tego rodzaju rzeczach.

Tego dnia Fouqué i Matylda chcieli mu udzielić niektórych pogłosek, zdolnych, ich zdaniem, obudzić nadzieję; Julian przerwał im przy pierwszym słowie.

— Zostawcie mi moje idealne życie. Wasze ploteczki, zdarzenia, szczegóły, mniej lub więcej dla mnie drażniące, wyrwały mnie z nieba. Każdy umiera, jak może; ja chcę myśleć o śmierci na swój sposób. Co mi *inni*? Moje stosunki z *innymi* będą gwałtownie przecięte. Przez litość, nie mówcie mi już o tych ludziach; dość już widywać sędziego i adwokata.

„W istocie — powiadał sam do siebie — zdaje się, że moim losem jest umrzeć, marząc. Istota nieznana jak ja, pewna, że zapomną o niej przed upływem dwóch tygodni, byłaby zaiste, bardzo niemądra, gdyby się siliła grać komedię....

Rzecz wszelako osobliwa, że sztukę używania życia poznałem dopiero od czasu, jak widzę jego kres tak blisko".

Spędził te ostatnie dni przechadzając się po wąskiej terasie na wieży, paląc doskonałe cygara, które Matylda sprowadziła przez kuriera z Holandii, i nie domyślając się, że teleskop całego miasta oczekuje co dzień jego zjawienia się. Myśl jego była w Vergy. Nigdy nie odzywał się do Fouguégo o pani de Rênal, ale parę razy przyjaciel wspomniał, że rychło przychodzi do zdrowia, a słowa te znalazły żywy oddźwięk w sercu Juliana.

Gdy dusza więźnia przebywała prawie ciągle w krainie marzeń, Matylda zajęta rzeczywistością, jak przystało arystokratkę, zdołała tak daleko posunąć korespondencję między panią de Fervaques a księdzem de Frilair, że padło nawet wielkie słowo *infuła*.

Czcigodny prałat zawiadujący listą beneficjów dodał w formie przypisku do listu siostrzenicy: *Ten biedny Sorel jest tylko narwany, mam nadzieję, że go uwolnicie*.

Na widok tego dopisku ksiądz de Frilair oszalał. Nie wątpił, że ocali Juliana.

— Gdyby nie to jakobińskie prawo, które nakazuje zestawienie olbrzymiej listy przysięgłych i którego istotnym celem jest odjąć wszelki wpływ ludziom dobrze urodzonym, ręczyłbym za werdykt. Zdołałem wszak uwolnić proboszcza z N***...

Tak mówił do Matyldy w wilię losowania trzech tuzinów przysięgłych na bieżącą sesję.

Nazajutrz ksiądz de Frilair ucieszył się, znajdując między nazwiskami, które wyszły z urny, pięciu członków Kongregacji w Besançon, zaś spoza obrębu miasta nazwiska panów Valenod, de Moirod, de Cholin.

— Ręczę przede wszystkim za tych ośmiu — rzekł do Matyldy. — Pięciu pierwszych to *narzędzia*. Valenod jest moim agentem, Moirod zawdzięcza mi wszystko, de Cholin to głupiec, który wszystkiego się lęka.

Dziennik obwieścił całemu departamentowi nazwiska sędziów; pani de Rênal ku niesłychanemu przerażeniu męża postanowiła udać się do Besançon. Pan de Rênal zdołał jedynie wymóc na niej, że nie opuści łóżka, aby nie być narażoną na przykry obowiązek świadczenia.

— Nie rozumiesz mego położenia — mówił eks-burmistrz. — Jestem obecnie liberałem i *odstępcą*, jak oni nazywają; nie ulega wątpliwości, że ten chłystek Valenod oraz ksiądz de Frilair wymogą na przewodniczącym i na sędziach wszystko, co może mi dokuczyć.

Pani de Rênal poddała się bez trudności. „Gdybym się zjawiła w sali sądowej — powiadała sobie — wyglądałoby to na domaganie się pomsty".

Mimo obietnic danych spowiednikowi oraz panu de Rênal, ledwie przybywszy do Besançon, napisała własnoręcznie do każdego z przysięgłych:

„Nie pojawię się w dzień sądu, ponieważ obecność moja mogłaby oddziałać niekorzystnie na sprawę pana Sorel. Pragnę tylko jednej rzeczy i to z całego serca, mianowicie jego ocalenia. Niech pan będzie przekonany: straszna myśl, iż z mego powodu posłano niewinnego na stracenie, zatrułaby resztę mego życia i skróciłaby je z pewnością. W jaki sposób moglibyście go skazać na śmierć, skoro ja żyję? Nie, to pewna, społeczeństwo nie ma prawa wydzierać życia, zwłaszcza takiemu człowiekowi jak Julian Sorel. Całe Verrières patrzyło na napady jego niepoczytalności. Biedny młodzieniec ma potężnych nieprzyjaciół; ale nawet wśród jego wrogów (a iluż ich jest!) któż mógłby podawać w wątpliwość jego talenty i głęboką wiedzę? Ten, którego panowie macie sądzić, nie jest zwykłą jednostką. Przez półtora roku blisko znaliśmy go nabożnym, roztropnym, gorliwym; ale parę razy na rok podlegał napadom melancholii, graniczącym z obłędem. Całe Verrières, Vergy, cała moja rodzina, sam pan podprefekt oddadzą sprawiedliwość jego budującej pobożności; umie na pamięć całe Pismo święte! Czyż bezbożnik przykładałby się lata całe, aby się wyuczyć świętej książki? Moi synowie będą mieli zaszczyt doręczyć panu ten list: to dzieci! Niech pan ich raczy spytać, opowiedzą panu o tym młodym człowieku wszystkie szczegóły, które pana przekonają, jakim barbarzyństwem byłoby skazać go. Zamiast mnie pomścić, zadalibyście mi śmierć.

Cóż mogą jego wrogowie przeciwstawić tym faktom? Rana moja — wynik jednego z napadów szaleństwa, jakie nawet dzieci mogły zauważyć u swego nauczyciela, jest tak lekka, że niespełna po dwóch miesiącach pozwoliła mi przybyć pocztą do Besançon. Jeśli się dowiem, że pan się waha, bodaj w najlepszej wierze, ochronić od barbarzyństwa praw

tak niewinną istotę, wstanę z łóżka, w którym zatrzymują mnie jedynie rozkazy męża, i pójdę rzucić się do pańskich stóp.

Racz pan oświadczyć, że nie stwierdzono zamysłu, a nie będziesz musiał sobie wyrzucać krwi niewinnego, etc..."

LXXI. SĄD

Okolica długo będzie wspominała ten proces. Sympatia dla oskarżonego dochodziła do wrzenia: zbrodnia jego była niezwykła, a nie była okrutna, a gdyby nawet! młodzieniec tak piękny... świetny jego los, tak rychło przecięty, pomnażał współczucie. „Czy go skażą?" — pytały kobiety znajomych mężczyzn i bladły, czekając odpowiedzi.

Sainte-Beuve.

Wreszcie nadszedł ów dzień, którego się tak lękały pani de Rênal i Matylda.

Niezwykła fizjonomia miasta zdwajała ich trwogę, nie pozostała nawet bez wpływu na mężną duszę Fouguégo. Cała prowincja zbiegła się do Besançon, aby być świadkiem tej romantycznej sprawy.

Od kilku dni nie było miejsca w żadnej gospodzie. Prezydent sądu zasypany był prośbami o bilety; wszystkie panie z miasta chciały być na rozprawie; sprzedawano po ulicach portrety Juliana, etc.

Matylda zachowała na tą chwilę stanowczą list pisany całkowicie własną ręką Jego Eminencji biskupa***. Prałat ów, władnący kościołem Francji i rozdający do woli infuły, raczył prosić o ułaskawienie Juliana. W wilię rozprawy Matylda zaniosła ten list wszechpotężnemu wikariuszowi.

Pod koniec posłuchania, kiedy miała odejść zalana łzami, ksiądz de Frilair wyszedł wreszcie ze swej dyplomatycznej wstrzemięźliwości.

— Ręczę za werdykt — rzekł sam niemal wzruszony. — Między dwunastu osobami mającymi orzec, czy zachodzi fakt zbrodni, a zwłaszcza z rozmysłu, liczę sześciu oddanych przyjaciół. Dałem im do zrozumienia, że od nich zależy moja infuła. Baron Valenod, którego zrobiłem merem, rozrządza całkowicie dwoma swymi podwładnymi, panami de Moirod i de Cholin. Wprawdzie los zesłał nam na kark dwóch przysięgłych bardzo nieprawomyślnych; ale mimo że ultraliberalni, posłuszni są w ważnych okolicznościach mym rozkazom. Prosiłem ich, aby głosowali za panem Valenod. Dowiedziałem się w sekrecie, że szósty przysięgły, przemysłowiec, kolosalnie bogaty i hałaśliwy liberał, wzdycha w sekrecie do pewnej dostawy w ministerium wojny i z pewnością nie chciałby mi się narazić. Kazałem mu powiedzieć, że pan Valenod zna moje intencje.

— A jakiż jest ten pan Valenod? — spytała Matylda zaniepokojona.

— Gdyby go pani znała, nie wątpiłabyś o powodzeniu. Śmiały krzykacz, bezczelny, pospolity, stworzony na trybuna głupców. Rok 1814 wtrącił go w nędzę, ja zaś zrobię zeń prefekta. Raczej użyłby pięści na przysięgłych, niżby pozwolił głosować przeciw sobie.

Matylda uspokoiła się nieco.

Wieczorem czekała ją druga rozmowa. Aby nie przedłużać przykrej sceny, której rezultat nie może być wątpliwy, Julian postanowił nie zabierać głosu.

— Adwokat mój będzie mówił — rzekł do Matyldy. — I tak aż nazbyt długo będę służył za widowisko moim wrogom. Tych łyków podrażniło szybkie wyniesienie, które tobie zawdzięczam; wierzaj mi, nie ma wśród nich ani jednego, który by nie pragnął mego skazania, co im nie przeszkodzi beczeć jak cielęta, kiedy mnie będą prowadzili na stracenie.

— Pragną twego upokorzenia, to prawda — odparła Matylda — nie sądzę jednak, aby byli okrutni. Obecność moja w Besançon, widok mej boleści poruszyłby wszystkie kobiety; twoja piękność dokona reszty. Jeśli powiesz choć słowo na rozprawie, całe audytorium będzie za tobą, etc., etc.

Nazajutrz o dziewiątej, kiedy Julian opuścił więzienie, aby się udać do Pałacu Sprawiedliwości, z trudem przyszło żandarmom usunąć ciżbę w dziedzińcu. Julian spał dobrze, był bardzo spokojny i nie doświadczał innych uczuć prócz filozoficznej litości dla tłumu zawistnych, który bez okrucieństwa miał oklaskiwać wyrok śmierci. Ku wielkiemu swemu zdziwieniu, zniewolony zatrzymać się w tłumie więcej niż kwadrans, spostrzegł, że

obecność jego budzi tkliwe współczucie. Nie usłyszał ani jednego wrogiego słowa. „Te łyki są lepsze niż myślałem" — powiedział sobie.

Kiedy wchodził do sali sądowej, uderzyła go jej wytworna architektura. Był to czysty gotyk, mnóstwo kolumienek prześlicznie ciosanych w kamieniu. Miał wrażenie, że jest w Anglii.

Niebawem całą jego uwagę pochłonęło kilkanaście ładnych kobiet, które naprzeciw ławy oskarżonego wypełniały trzy balkony nad trybunałem i przysięgłymi. Obróciwszy się do publiczności, ujrzał, iż cała trybuna biegnąca nad amfiteatrem pełna jest kobiet; przeważnie były młode i ładne; oczy miały błyszczące i rozciekawione. Poza tym był straszny tłok; bito się przy drzwiach, straż nie mogła utrzymać spokoju.

Kiedy wszystkie oczy szukające Juliana ujrzały, że zajmuje podwyższenie przeznaczone dla oskarżonego, przyjęto go szmerem zdziwienia i współczucia.

Można by rzec tego dnia, że nie ma dwudziestu lat; ubrany był skromnie, ale z nieskazitelną wytwornością, włosy i czoło były czarujące; Matylda sama dopilnowała toalety. Był bardzo blady. Ledwie usiadł, usłyszał ze wszystkich stron: „Boże! Jakiż młody!... Ależ to dziecko. O wiele przystojniejszy niż na portrecie".

— Panie oskarżony — rzekł żandarm siedzący po prawej — widzi pan tych sześć dam, o tam, na balkonie? — (To mówiąc, wskazywał lóżkę nad ławą przysięgłych). — To pani prefektowa — ciągnął — obok niej margrabina de M***, ta panu bardzo sprzyjała, słyszałem, jak rozmawiała z sędzią śledczym. Obok to pani Derville.

— Pani Derville! — wykrzyknął Julian i rumieniec oblał jego czoło. „Natychmiast po rozprawie — pomyślał — napiszę do pani de Rênal". Nie wiedział, że pani de Rênal jest w Besançon.

Przesłuchanie świadków trwało krótko. Zaraz po pierwszych słowach prokuratora dwie panie w loży na wprost Juliana zalały się łzami. „Pani Derville nie roztkliwia się tak" — pomyślał Julian. Zauważył wszelako, że jest bardzo czerwona.

Prokurator rozwiódł się z patosem a w lichej francuszczyźnie nad barbarzyństwem popełnionej zbrodni; Julian zauważył, że sąsiadki pani Derville zdradzają oznaki niezadowolenia. Kilku przysięgłych, widocznie znajomych tych pań, rozmawiało z nimi, starając się je uspokoić. „To chyba dobra wróżba" — pomyślał Julian.

Do tej chwili czuł bezgraniczną wzgardę dla wszystkich obecnych. Płaska elokwencja prokuratora spotęgowała to uczucie niesmaku. Stopniowo jednak oschłość Juliana ustąpiła wobec objawów sympatii, której był wyraźnie przedmiotem.

Rad był ze stanowczej miny swego adwokata.

— Bez frazesów — szepnął mu w chwili, gdy miał przemawiać.

— Cała ta emfaza z kiepska po Bossuecie, jaką wytoczono przeciw panu, tylko nam pomogła.

W istocie, jeszcze nie mówił pięciu minut, a już wszystkie kobiety miały chustki przy oczach. Adwokat, zagrzany, rzucał pod adresem przysięgłych słowa bardzo silne. Julian zadrżał, czuł się bliski płaczu. „Wielki Boże! Co powiedzą moi wrogowie?"

Miał się poddać wzruszeniu, które go ogarniało, kiedy szczęściem dlań podchwycił triumfalne spojrzenie barona de Valenod.

„Jak się błaznowi oczy świecą — pomyślał — cóż za triumf dla tej niskiej duszy! Gdyby moja zbrodnia sprawiła tylko to jedno, wystarczyłoby to, abym ją przeklinał. Bóg wie, co on nagada o mnie pani de Rênal!"

Ta myśl zagłuszyła wszystkie inne. Niebawem wyrwały Juliana z zadumy oznaki sympatii ze strony publiczności. Adwokat kończył. Julian przypomniał sobie, że wypada mu uścisnąć rękę. Czas zbiegł szybko.

Przyniesiono chłodniki adwokatowi i oskarżonemu. Wówczas dopiero uderzyła Juliana jedna okoliczność: żadna z kobiet nie opuściła sali, aby iść na obiad.

— Na honor, umieram z głodu — rzekł adwokat — a pan?

— Ja także — odparł Julian.

— Patrz pan, prefektowi także przyniesiono obiad — rzekł adwokat, wskazując lóżkę. — Bądź pan dobrej myśli, wszystko idzie dobrze.

Posiedzenie rozpoczęło się na nowo.

Gdy przewodniczący wygłaszał referat, zaczęła bić północ. Mówca zmuszony był przerwać; wśród powszechnej ciszy i lęku dźwięk zegara napełniał salę.

„Oto zaczyna się mój ostatni dzień" — pomyślał Julian. Niebawem rozpłomieniła go świadomość obowiązku. Dotąd panował nad swym wzruszeniem i trwał w zamiarze milczenia; ale kiedy przewodniczący spytał go, czy ma co do powiedzenia, wstał. Widział przed sobą oczy pani Derville, które w blasku świateł zdawały mu się bardzo błyszczące. „Czyżby płakała?" — pomyślał.

— Panowie przysięgli!

Lęk przed wzgardą każe mi zabrać głos: mniemałem, iż zdołam jej urągać w chwili śmierci. Panowie, nie mam zaszczytu należeć do waszej sfery; widzicie we mnie chłopa, który się zbuntował przeciw nikczemności swego losu.

Nie proszę was o łaskę — ciągnął Julian silniejszym głosem. — Nie robię sobie złudzeń, czeka mnie śmierć: będzie zasłużona. Ośmieliłem się targnąć na życie kobiety ze wszech miar godnej czci i szacunku. Pani de Rênal była dla mnie jak matka. Zbrodnia moja jest straszna, a popełniłem ją z *rozmysłem* Zasłużyłem tedy na śmierć, panowie przysięgli. Ale gdybym nawet mniej był winny, widzę tu ludzi, którzy, nie dając się uwieść współczuciu przez wzgląd na mą młodość, zechcą w mej osobie ukarać i zniechęcić na zawsze tę klasę młodzieży, która zrodzona w niskim stanie i poniekąd zdławiona ubóstwem miała szczęście zdobyć wykształcenie oraz miała to zuchwalstwo, aby się wcisnąć w sferę, którą pycha bogaczy nazywa *światem*.

Oto moja zbrodnia, panowie, i spotka się ona z karą tym surowszą, iż w rzeczywistości nie będą mnie sądzili moi równi. Nie widzę na ławie przysięgłych ani jednego zbogaconego[66] wieśniaka, widzę jedynie oburzone mieszczaństwo...

W tym tonie mówił Julian dwadzieścia minut; wypowiedział wszystko, co miał na sercu; prokurator, który zabiegał o względy arystokracji, podskakiwał na krześle; ale mimo abstrakcyjnego nieco tonu, jaki Julian wniósł w swoje przemówienie, wszystkie kobiety płakały. Nawet pani Derville trzymała chusteczkę przy oczach. Kończąc, Julian podkreślił jeszcze raz *rozmysł*, następnie żal, szacunek, synowskie i bezgraniczne uwielbienie, jakie w szczęśliwej epoce czuł dla pani de Rênal... Pani Derville wydała krzyk i zemdlała.

Pierwsza biła, gdy przysięgli udali się do sali obrad. Ani jedna kobieta nie opuściła miejsca, wielu mężczyzn miało łzy w oczach. Zrazu rozmawiano z ożywieniem; stopniowo jednak, w miarę jak się narada przysięgłych przewlekała, czuć było powszechne znużenie. Była to uroczysta chwila, światła zaczęły przygasać. Julian bardzo zmęczony słyszał dokoła siebie roztrząsania, czy ta zwłoka dobrze czy źle wróży. Ujrzał z przyjemnością, że wszystkie sympatie są za nim; przysięgli nie wracali, mimo to żadna z kobiet nie opuściła sali.

Z uderzeniem drugiej dał się słyszeć wielki ruch. Drzwi się otwarły. Baron de Valenod sunął poważnym teatralnym krokiem na przedzie, za nim przysięgli. Zakaszlał, po czym oświadczył, iż w duszy i sumieniu przysięgli orzekli jednogłośnie, że Julian Sorel winien jest morderstwa i to morderstwa z rozmysłem: orzeczenie to pociągało za sobą karę śmierci, którą też ogłoszono w chwilę później. Julian spojrzał na zegarek i przypomniał sobie pana de Lavalette; był kwadrans na trzecią. „To dziś piątek" — pomyślał.

„Tak, ale to jest dzień szczęśliwy dla Valenoda, który mnie skazał na śmierć... Zbyt pilnie jestem strzeżony, aby Matylda mogła mnie ocalić, jak pani de Lavalette... Tak więc za trzy dni o tej godzinie, będę wiedział, czego się trzymać co do *Wielkiego Być Może*[67].

Naraz usłyszał krzyk, który go przywołał do spraw tego świata. Kobiety dokoła niego szlochały; ujrzał, że wszystkie twarze zwracają się ku lóżce umieszczonej w kapitelu gotyckiego pilastru. Dowiedział się później, że znajdowała się tam Matylda. Ponieważ krzyk się nie powtórzył, wszyscy zaczęli na nowo przyglądać się Julianowi, któremu żandarmi torowali drogę w tłumie.

„Starajmy się nie dać przyczyny do śmiechu temu obwiesiowi Valenod — pomyślał Julian. — Z jaką obleśną i stroskaną miną wygłosił oświadczenie, które pociąga za sobą karę śmierci! Gdy ten poczciwy prezydent, mimo że jest sędzią od tylu lat, miał łzy w oczach, skazując mnie. Cóż za radość dla Valenoda pomścić się za dawne współzawodnictwo o panią de Rênal!... Nie ujrzę jej tedy! Stało się... Ostatnie pożegnanie niemożliwe jest między nami, czuję to... Jakże byłbym szczęśliwy, gdybym mógł jej wyrazić cały żal za swą zbrodnię!...

---

[66] *zbogacony* — dziś: wzbogacony.

[67] *Wielkiego Być Może* — [fr.] *Le grand Peut-etre*, wyrażenie, którego, wedle legendy, miał użyć umierający Rabelais. [przypis autorski]

Tylko te słowa: «Uważam, że mnie skazano słusznie»".

LXXII.

Odprowadziwszy Juliana do więzienia, zawiedziono go do celi przeznaczonej dla skazanych na śmierć. On, który zazwyczaj zauważył najdrobniesze okoliczności, nie spostrzegł, że nie prowadzą go z powrotem na wieżę. Myślał o tym, co by powiedziała pani de Rênal, gdyby przed ostateczną chwilą miał ją ujrzeć. Przypuszczał, żeby mu przerwała, chciał tedy od pierwszego słowa odmalować jej cały swój żal. „Po takim postępku, jak ją przekonać, że ją jedynie kocham? Bo ostatecznie chciałem ją zabić przez ambicję lub przez miłość do Matyldy".

Kładąc się, uczuł, że prześcieradło jest z grubego płótna. Z oczu spadło mu bielmo. „Aha, jestem w kaźni — pomyślał — skazany na śmierć. Słusznie...

Hrabia Altamira opowiadał mi, iż w wilię śmierci Danton powiadał swym grubym głosem: «To szczególne słowo *gilotynować* nie odmienia się we wszystkich czasach; można rzec: będę zgilotynowany, będziesz zgilotynowany, ale nie mówi się: *byłem zgilotynowany*».

Czemu nie — podjął Julian — jeśli jest przyszłe życie... Na honor, jeżeli tam znajdę Boga chrześcijan, przepadłem: jest to despota przejęty myślą o zemście; jego Biblia prawi jeno o straszliwych karach. Nigdy go nie kochałem, nie chciałem nawet wierzyć, aby go ktoś kochał szczerze. Jest bez litości — (przypomniał sobie ustępy z Biblii). — Ukarze mnie w okropny sposób.

Ale jeżeli znajdę Boga Fénelona! Powie mi może: «Będzie ci wiele przebaczone, bo wiele kochałeś»...

Czy wiele kochałem? Ach, kochałem panią de Rênal, ale postępowanie moje było okropne. Jak zwykle, proste i skromne serce porzucono dla świetnej błyskotki.

Ale też co za widoki!... Pułkownikiem huzarów, gdybyśmy mieli wojnę; sekretarzem poselstwa w razie pokoju; następnie ambasadorem... bo rychło połapałbym się w tych sprawach... a gdybym nawet był głupcem, alboż zięć margrabiego de la Mole potrzebowałby się obawiać rywalizacji? Wszystkie głupstwa przebaczono by mi lub raczej policzono za zasługę. Błyszcząc talentami i wiodąc wspaniałą egzystencję w Wiedniu lub Londynie...

Niezupełnie, drogi panie, gilotynka za trzy dni".

Julian śmiał się serdecznie z tego wyskoku humoru. „To prawda, człowiek ma w sobie dwie istoty — pomyślał. — Kiż diabłu wpadło do głowy uczynić tę złośliwą refleksję?

Więc dobrze, tak, mój przyjacielu, gilotynka za trzy dni — odpowiadał natrętowi. — De Cholin najmie okno do połowy z księdzem Maslon. Kiedy przyjdzie do zapłaty za najem, która z tych godnych osobistości orżnie drugą?"

Nagle przypomniał mu się ustęp z *Wacława*, tragedii Rotrou.

WŁADYSŁAW.

... dusza ma gotowa.

KRÓL, OJCIEC WŁADYSŁAWA.

I rusztowanie także: potoczy się głowa.

„Ładna odpowiedź!" — pomyślał Julian, otwierając błędne oczy. Myślał, że już jest w rękach kata.

Była to Matylda. Szczęściem, nie zrozumiała mnie. Ta refleksja wróciła Julianowi całą zimną krew. Matylda wydała mu się zmieniona niby po chorobie; była wręcz nie do poznania.

— Nikczemny Frilair zdradził mnie — wołała, łamiąc ręce; wściekłość dławiła jej mowę.

— Czy piękny byłem wczoraj, kiedym przemawiał? — odparł Julian. — Improwizowałem i to pierwszy raz w życiu! Co prawda, zachodzi grube niebezpieczeństwo, że i ostatni.

W tej chwili Julian grał na uczuciach Matyldy z zimną krwią biegłego pianisty grającego na fortepianie...

— Brak mi urodzenia, to prawda — dodał — ale wielka dusza Matyldy podniosła jej kochanka aż do siebie. Czy myślisz, że Bonifacy de la Mole lepiej się znalazł wobec sędziów?

Tego dnia biedna Matylda była serdeczna bez przesady, jak biedna szwaczka z poddasza; ale nie mogła wydobyć prostego słowa. Oddawał jej bezwiednie udręczenie, jakie ona mu nieraz zadała.

„Nikt nie zna źródeł Nilu — mówił do siebie w duchu Julian — nie było dane oku człowieka widzieć króla rzek w postaci strumyka. Tak samo żadne oko nie ujrzy Juliana słabym, choćby dlatego, że nim jest. Ale serce moje łatwo podlega wzruszeniu; najprostsze słowo, jeśli jest powiedziane z akcentem szczerości, może zmiękczyć mój głos lub nawet wycisnąć mi łzy. Ileż razy wada ta ściągnęła na mnie wzgardę oschłych serc! Zdawało się im, że proszę o łaskę: tego nie można ścierpieć.

Powiadają, że wspomnienie żony wzruszyło Dantona u stóp rusztowania; ale Danton dał siłę narodowi trzpiotów i nie pozwolił wrogowi dotrzeć do Paryża... Ja sam tylko wiem, co bym zdołał uczynić... Dla innych przedstawiam co najwyżej BYĆ MOŻE.

Gdyby pani de Rênal była tu w miejsce Matyldy, czy mógłbym ręczyć za siebie? Bezmiar mej rozpaczy i żalu uchodziłby w oczach Valenodów i wszystkich okolicznych patrycjuszów za niegodny lęk przed śmiercią; tak dumni są ci słabi ludzie, których majątek ich stawia powyżej pokus! Oto — powiedzieliby tacy Moirod i Cholin, którzy skazali mnie na śmierć — co znaczy urodzić się synem cieśli! Można zdobyć naukę, zręczność, *ale odwaga*!... odwagi nie da się nauczyć. Nawet przy tej biednej Matyldzie, która płacze teraz lub raczej nie może już płakać" — rzekł, patrząc na jej czerwone oczy... I uścisnął ją; widok prawdziwej boleści przerwał nitkę rozumowań... „Płakała całą noc — pomyślał — kiedyś jakże się będzie wstydzić tego wspomnienia! Uwierzy święcie, że młoda i niedoświadczona dała się odurzyć nikczemnym sofizmatom plebejusza... Croisenois jest dość słaby, aby ją zaślubić i na honor, dobrze uczyni. Matylda zrobi zeń wybitnego człowieka.

Mocą, jak duch krzepki i w objęciu śmiały,
Duszy zwykłych śmiertelnych narzuca ospałej.

Ha, ha! to zabawne: od czasu, jak mam umrzeć, wszystkie wiersze, jakie umiałem w życiu, przychodzą mi na pamięć. To musi być znak upadku sił".

Matylda powtarzała zgasłym głosem:

— Jest tam, w sąsiednim pokoju.

Wreszcie zwrócił uwagę na jej słowa. „Głos zesłabł — pomyślał — ale cały jej despotyczny charakter brzmi jeszcze w akcencie. Ścisza głos, aby nie wybuchnąć gniewem".

— Kto taki? — spytał łagodnie.

— Adwokat; przyniósł ci apelację do podpisu.

— Nie będę apelował.

— Jak to! Nie będziesz apelował — rzekła, wstając z oczami błyszczącymi gniewem — i czemuż to, jeśli łaska?

— Temu, że w tej chwili czuję się zdolnym umrzeć, nie narażając się zbytnio na śmieszność. A któż mi ręczy, czy za dwa miesiące, po długim pobycie w tej wilgotnej kaźni, będę tak samo nastrojony? Przeczuwam odwiedziny księży, ojca... Nie może być nic nieznośniejszego. Trzeba umierać.

Ten nieprzewidziany opór podrażnił do żywego wyniosłą Matyldę. Nie mogła się dostać do księdza de Frilair przed godziną, w której otwiera się więzienie w Besançon; wściekłość jej spadła na Juliana. Ubóstwiała go; ale przez dobry kwadrans w złorzeczeniach jej na charakter Juliana, w żalach, że go pokochała, ujawniła się cała ta harda dusza, która niegdyś, w bibliotece pałacowej, obsypywała go zniewagami.

— Dla chwały twego rodu niebo powinno było cię stworzyć mężczyzną — rzekł.

„Co do mnie jednak — myślał — byłbym głupi, gdybym się zgodził żyć jeszcze dwa miesiące w tej wstrętnej norze, wydany na pastwę bezeceństw i upokorzeń patrycju-

szowskiej zgrai[68], mając za jedyną pociechę złorzeczenia tej wariatki... Pojutrze rano tedy pojedynkuję się z człowiekiem znanym z zimnej krwi i znakomitej zręczności... «Bardzo znakomitej — dodał głos Mefistofelesa — nie chybia nigdy».

Więc dobrze, niech będzie, doskonale (Matylda dalej roztaczała swą wymowę). Dalibóg nie, nie będę apelował".

Powziąwszy to postanowienie, utonął w zadumie... „Listonosz przyniesie dziennik o szóstej, jak zazwyczaj; o ósmej, kiedy pan de Rênal go przeczyta, Eliza, stąpając na palcach, złoży go na jej łóżku. Później ona się obudzi; naraz czytając, wstrząśnie się; ładna jej ręka zadrży; doczyta do tych słów: *Pięć minut po dziesiątej przestał istnieć.*

Będzie płakała gorącymi łzami, znam ją; nic to, że chciałem ją zamordować; wszystkiego zapomni: osoba, której chciałem wydrzeć życie, będzie jedyną, która zapłacze szczerze nad mą śmiercią.

Och! Cóż za przeciwieństwo!" — myślał i przez dobry kwadrans, który trwała jeszcze scena z Matyldą, dumał jedynie o pani de Rênal. Mimo woli, nawet odpowiadając na pytanie Matyldy, nie mógł oderwać duszy od wspomnienia sypialni w Verriéres. Widział besansońską gazetę na kołdrze z pomarańczowej tafty. Widział tę białą rękę ściskającą papier konwulsyjnym ruchem, widział panią de Rênal płaczącą... Śledził bieg każdej łzy na tej ślicznej twarzy.

Panna de la Mole, nie mogąc nic wydobyć z Juliana, wezwała adwokata. Był to, na szczęście, dawny kapitan armii włoskiej z 1796, gdzie był towarzyszem broni Manuela.

Dla formy zwalczał postanowienie skazańca. Julian, pragnąc mu okazać szacunek, wyszczególnił swoje racje.

— Na honor, można rozumować i tak — rzekł w końcu pan Felix Vanneau: było to nazwisko adwokata. — Ale masz pan trzy pełne dni czasu do apelacji i moim obowiązkiem jest zjawiać się tutaj co dzień. Gdyby wulkan otwarł się pod więzieniem w ciągu dwóch miesięcy, byłbyś pan ocalony. Może pan umrzeć z jakiej choroby — rzekł, spoglądając na Juliana.

Julian uścisnął mu rękę.

— Dziękuję panu, jest pan dzielny człowiek. Pomyślę.

Kiedy Matylda wyszła wreszcie z adwokatem, czuł o wiele więcej sympatii do niego niż do niej.

LXXIII.

W godzinę później, gdy spał głęboko, obudziły go łzy spływające mu po ręce. „Ach, znowu Matylda — pomyślał na wpół przebudzony. — Przychodzi, wierna swym poglądom, zwalczać tkliwością moje postanowienie". Znudzony perspektywą patetycznej sceny, nie odwrócił oczu.

Usłyszał niezwykłe westchnienia, otworzył oczy: była to pani de Rênal.

— Ach, widzę cię jeszcze przed śmiercią, czy to złuda? — wykrzyknął, rzucając się jej do nóg. — Ale daruj mi pani, w twoich oczach jestem tylko mordercą — rzekł natychmiast, opamiętując się.

— Panie Julianie, przychodzę błagać, byś apelował; wiem, że pan nie chce... — Szlochania zdławiły ją; nie mogła mówić.

— Racz mi pani przebaczyć.

— Jeśli chcesz, abym ci przebaczyła — rzekła wstając i rzucając mu się w objęcia — wnieś odwołanie od wyroku.

Julian okrywał ją pocałunkami.

— Będziesz mnie odwiedzała co dzień przez te dwa miesiące?

— Przysięgam ci! Co dzień, chyba, że mąż mi zabroni.

— Podpisuję! — wykrzyknął Julian. — Jak to! przebaczasz mi! czy podobna!

Tulił ją w ramionach, szalał. Wydała cichy okrzyk.

— To nic — rzekła — uraziłeś mnie.

[68] *wydany na pastwę bezeceństw i upokorzeń patrycjuszowskiej zgrai* — To są myśli jakobina. [przypis autorski]

— W ramię — wykrzyknął Julian, zalewając się łzami. Odsunął się nieco i okrywał jej ręce palącymi całunkami. — Kto by mi to powiedział, ostatni raz, kiedy cię widziałem w twojej sypialni W Verrières?

— Kto by mi był powiedział wówczas, że napiszę do pana de la Mole ten bezecny list?

— Wiesz, żem cię kochał zawsze, kochałem tylko ciebie.

— Czy podobna! — krzyknęła pani de Rênal w upojeniu. Wsparła się na Julianie, który klęczał u jej kolan; długo płakali w milczeniu.

W żadnej epoce życia Julian nie zaznał podobnej chwili.

Po długiej pauzie, kiedy mogli mówić, pani de Rênal rzekła:

— A ta młoda pani Michelet lub raczej panna de la Mole?... bo zaczynam wierzyć w tę dziwną powieść!

— Jest to prawda jedynie z pozoru — odparł Julian. — To moja żona, ale nie kochanka.

Przerywając sobie po sto razy wzajem zdołali sobie wreszcie opowiedzieć z trudem to, czego nie wiedzieli. List do pana de la Mole napisał młody przewodnik duchowny pani de Rênal, po czym ona przepisała.

— Do jakiejż ohydy popchnęła mnie religia! — mówiła. — A i tak załagodziłam najokropniejsze ustępy.

Szczęście Juliana dowodziło pani de Rênal, jak zupełnie jej przebaczył. Nigdy nie był tak oszalały miłością.

— Uważam się wszelako za pobożną — mówiła dalej pani de Rênal. — Wierzę szczerze w Boga; wierzę także, a nawet mam najgłębsze przekonanie, że zbrodnia, którą popełniam, jest okropna, a z chwilą kiedy cię widzę, nawet po tych dwóch strzałach...

Tutaj, mimo jej wzdragań, Julian okrył ją pocałunkami.

— Zostaw mnie — ciągnęła — chcę ci wszystko powiedzieć, inaczej boję się, że zapomnę...

— Z chwilą gdy cię widzę, wszystkie obowiązki znikają, jestem już tylko miłością dla ciebie lub raczej słowo miłość jest za słabe. Czuję dla ciebie to, co powinna bym czuć jedynie dla Boga: połączenie czci, miłości, posłuszeństwa... W istocie, ja nie wiem, co ty budzisz we mnie... Gdybyś mi kazał pchnąć dozorcę nożem, spełniłabym tę zbrodnię, nim bym się zdołała zastanowić. Wytłumacz mi to dokładnie, nim się z tobą rozstanę, chcę czytać jasno w swoim sercu, bo za dwa miesiące, rozstaniemy się... Słuchaj, czy się rozstaniemy? — rzekła z uśmiechem.

— Cofam słowo — rzekł Julian, wstając — nie będę apelował od wyroku, jeśli trucizną, nożem, pistoletem, węglami lub jakim bądź sposobem będziesz się starała położyć koniec swemu życiu.

Fizjonomia pani de Rênal zmieniła się nagle; tkliwość ustąpiła miejsca głębokiej zadumie.

— A gdybyśmy umarli natychmiast? — rzekła wreszcie.

— Kto wie, co nas czeka w drugim życiu? — odparł Julian — może męki, może nic. Czyż nie możemy spędzić razem rozkosznych dwóch miesięcy? Dwa miesiące to dużo dni. Nigdy nie zaznałem takiego szczęścia.

— Nigdy nie zaznałeś takiego szczęścia!

— Nigdy — powtórzył Julian w upojeniu — mówię do ciebie tak, jakbym mówił do samego siebie. Niech mnie Bóg strzeże od przesady.

— Takie słowa to dla mnie rozkaz — rzekła nieśmiało z melancholijnym uśmiechem.

— A zatem przysięgasz na swą miłość dla mnie nie targnąć się na swoje życie bezpośrednio ani pośrednio... Pomyśl — dodał — trzeba byś żyła dla mego syna, którego Matylda porzuci na łaskę lokajów z chwilą, gdy zostanie margrabiną de Croisenois.

— Przysięgam — rzekła chłodno — ale chcę mieć twoją apelację napisaną i podpisaną własną ręką. Pójdę sama do prezydenta sądu.

— Uważaj, narażasz się.

— Po mej bytności u ciebie w więzieniu jestem na zawsze dla całego Besançon i okolicy pastwą języków — rzekła z głębokim smutkiem. — Przekroczyłam granice, honor mój stracony; prawda, że to dla ciebie.

W głosie jej było tyle smutku, że Julian uścisnął ją z nieznanym dotąd wzruszeniem. Nie było to już pijaństwo miłości; była to bezmierna wdzięczność. Pierwszy raz ogarnął rozmiar jej poświęcenia.

Jakaś miłosierna dusza powiadomiła bez wątpienia pana de Rênal o długich godzinach, jakie żona spędza w celi Juliana; po trzech dniach przysłał po nią wóz ze stanowczym rozkazem powrotu.

Ta okrutna rozłąka źle rozpoczęła dzień dla Juliana. Powiadomiono go w parę godzin później, że jakiś klecha-intrygant, który wszelako nie zdołał się wybić wśród jezuitów w Besançon, usadowił się od rana pod bramą więzienia, na ulicy. Padał silny deszcz, człowiek ten chciał odgrywać rolę męczennika. Julian był podrażniony, głupstwo to wzburzyło go mocno.

Rano już odmówił przyjęcia tego księdza, ale klecha wbił sobie w głowę, że wyspowiada Juliana i zdobędzie sobie reputację między damulkami w Besançon za pomocą zwierzeń, które rzekomo wydobędzie ze skazańca.

Oświadczał głośno, że spędzi dzień i noc u bram więzienia.

— Bóg mnie posyła, abym wzruszył serce tego nowego apostaty...

I pospólstwo, zawsze chciwe widowiska, zaczynało się gromadzić.

— Tak, bracia — mówił — spędzę tu dzień, noc i następne dni, i wszystkie noce. Duch święty przemówił do mnie, mam posłannictwo z góry: mnie przeznaczone jest zbawić duszę młodego Sorel. Połączcie się z moją modlitwą, etc.

Julian miał wstręt do skandalu i do wszystkiego, co mogło nań ściągnąć uwagę. Zamierzał uchwycić sposobną chwilę, aby się wynieść ze świata incognito, ale miał nadzieję ujrzeć jeszcze panią de Rênal, którą kochał bez pamięci.

Brama więzienna wychodziła na jedną z uczęszczanych ulic. Myśl o tym zabłoconym klesze powodującym zbiegowisko i skandal dręczyła go. „Do tego bez wątpienia raz po raz powtarza moje nazwisko!" Chwila ta była przykrzejsza niż śmierć...

Wołał parę razy odźwiernego, który był mu oddany i wysyłał go dla sprawdzenia, czy ksiądz stoi jeszcze.

— Proszę pana, klęczy w błocie — powiadał za każdym razem odźwierny — modli się głośno i odmawia litanię za pańską duszę.

„Błazen!" — pomyślał Julian. Równocześnie usłyszał głuche buczenie; to lud odpowiada na inwokacje litanii. Do ostateczności doprowadziło go, iż ujrzał, że sam odźwierny porusza wargami, powtarzając łacińskie słowa.

— Zaczynają gadać — dodał odźwierny — że pan musi mieć bardzo zatwardziałe serce, aby odrzucać duchowną pomoc tego świętego człowieka.

— O moja ojczyzno! Jakaś ty jest barbarzyńska! — wykrzyknął Julian pijany z gniewu. I dalej mówił z sobą głośno, nie troszcząc się o odźwiernego:

— Ten klecha pragnie mieć artykuł w dzienniku i będzie go miał na pewno. A, przeklęta prowincja! W Paryżu nie byłbym narażony na te utrapienia. Tam szarlataneria posunęła się wyżej.

— Wpuścić tego świętego kapłana — rzekł wreszcie. Pot spływał mu z czoła. Odźwierny uczynił znak krzyża i wyszedł z widocznym zadowoleniem.

Świątobliwy ksiądz był bardzo szpetny, a jeszcze bardziej niechlujny. Zimny deszcz, który padał, zwiększał mrok i wilgoć więzienia. Ksiądz chciał uściskać Juliana i zaczął się głośno rozczulać. Obłuda najniższego gatunku przebijała zbyt wyraźnie; w życiu swoim Julian nie był tak wściekły.

W kwadrans po wejściu księdza, Julian uczuł się zupełnym tchórzem. Pierwszy raz śmierć wydała mu się straszna. Myślał o stanie zgnilizny, w jakim znajdzie się ciało w dwa dni po straceniu etc., etc.

Miał już się zdradzić jakimś odruchem słabości lub też rzucić się na księdza i udusić go swym łańcuchem, kiedy przyszło mu do głowy poprosić świętego człowieka o odmówienie zań porządnej mszy za czterdzieści franków tegoż samego dnia.

Było blisko południe, ksiądz pomknął.

LXXIV.

Po jego wyjściu Julian długo płakał i płakał, że umiera. Czuł, że gdyby pani de Rênal była w Besançon, wyznałby jej swą słabość...

W chwili gdy najbardziej żałował nieobecności tej ubóstwianej kobiety, usłyszał krok Matyldy.

„Najgorsze z niedoli więzienia — pomyślał — to że nie można się zamknąć". Wszystko, co mówiła Matylda, drażniło go tylko.

Opowiedziała mu, iż w dzień sądu Valenod, mając w kieszeni nominację na prefekta, ośmielił się zadrwić z księdza de Frilair i zrobił sobie tę przyjemność, aby skazać na śmierć Juliana.

— „Cóż za pomysł miał Julian", mówił mi ksiądz de Frilair, „aby jątrzyć i zaczepiać drobną próżność tej *mieszczańskiej arystokracji*! Po co mówić o *kaście*? Wskazał im, co powinni uczynić we własnym interesie; te dudki nie myślały o tym i gotowe były rozbeczeć się. Ten *interes kasty* przesłonił w ich oczach zupełnie grozę skazania. Trzeba przyznać, że pan Sorel jest wielkim nowicjuszem w dyplomacji. Jeśli nie zdołamy go ocalić w drodze łaski, śmierć jego będzie po prostu *samobójstwem*..."

Matylda nie powiedziała Julianowi tego, czego sama nie domyślała się jeszcze; mianowicie, że ksiądz de Frilair, mając Juliana za straconego, uważał za pożyteczne dla swej ambicji starać się o jego następstwo...

— Idź wysłuchać za mnie mszy — zawołał Julian prawie nieprzytomnie z bezsilnego gniewu i podrażnienia — i zostaw mnie chwilę w spokoju. — Matylda, już zazdrosna o odwiedziny pani de Rênal i wiedząc o jej wyjeździe, zrozumiała przyczynę rozdrażnienia Juliana; rozpłakała się.

Boleść jej była prawdziwa; Julian widział to i drażniło go to tym więcej. Czuł nieprzepartą potrzebę samotności; jak ją uzyskać?

W końcu, Matylda, wyczerpawszy wszelkie perswazje, zostawiła go samego, ale prawie w tej samej chwili zjawił się Fouqué.

— Potrzebuję być sam — rzekł do wiernego przyjaciela. Widząc zaś jego wahanie, dodał — Obmyślam memoriał do prośby o ułaskawienie... zresztą... zrób mi tę przyjemność, nie mów mi nigdy o śmierci. Jeśli będę potrzebował w ten dzień szczególniejszych usług, pozwól, abym sam się o nie zwrócił.

Skoro Julian wywalczył sobie wreszcie samotność, uczuł większe jeszcze przygnębienie i lęk niż wprzódy. Niewiele sił, jakie pozostały jeszcze tej wycieńczonej duszy, wyczerpał na ukrywanie swego stanu przed panną de la Mole i Fouquém.

Nad wieczorem pocieszyła go jedna myśl.

„Gdyby tego rana, w chwili, gdy śmierć wydawała mi się tak szpetna, oznajmiono mi o egzekucji, *oko publiczności stałoby się bodźcem ambicji*. Może krok mój miałby coś sztywnego jak krok nieśmiałego eleganta, gdy wchodzi do salonu. Paru ludzi bystrych — o ile tacy zdarzają się na prowincji — mogłoby się domyślić mej słabości... ale nikt by *jej nie widział*".

Czuł, że mu spadło brzemię z piersi. „Jestem w tej chwili tchórzem — powtarzał sobie, nucąc — ale nikt się o tym nie dowie".

Jeszcze przykrzejsze zajście oczekiwało go nazajutrz. Od dawna ojciec zapowiadał swoje odwiedziny; tego dnia przed zbudzeniem się Juliana stary cieśla zjawił się w kaźni.

Julian doznał uczucia niemocy, spodziewał się najdotkliwszych wyrzutów. Dla dopełnienia przykrości tego rana doznawał ostrego żalu, że nie kocha ojca.

„Przypadek pomieścił nas obok siebie na ziemi — powiadał sobie, gdy odźwierny sprzątał z grubsza celę — i wyrządziliśmy sobie mniej więcej wszystko możliwe zło. Przybywa w chwili śmierci zadać mi ostateczny cios".

Z chwilą gdy znaleźli się bez świadków, starzec rozpoczął surowe wyrzuty.

Julian nie mógł wstrzymać łez. „Cóż za niegodna słabość! — mówił sobie wściekły. — Będzie rozgłaszał przesadnie mój brak odwagi; cóż za triumf dla Valenodow i dla wszystkich płazów rządzących w Verrières! Są we Francji potęgą, jednoczą wszystkie przewagi. Dotąd mogłem sobie bodaj powiedzieć: «Oni mają pieniądze, to prawda, wszystkie zaszczyty spływają na nich, ale ja mam szlachectwo duszy.»

I oto świadek, któremu wszyscy uwierzą, będzie świadczył w całym Verrières, ba, z przesadą, że byłem słaby w obliczu śmierci! Okażę się tchórzem w tej próbie, którą wszyscy zdolni są ocenić!"

Julian był bliski rozpaczy. Nie wiedział jak się pozbyć ojca. Udawać zaś tak, aby oszukiwać przenikliwego starca, było w tej chwili nad jego siły.

Umysł jego przebiegał wszystkie możliwości.

— *Mam trochę oszczędzonego grosza*! — wykrzyknął nagle.

To genialne odezwanie się zmieniło fizjonomię starca i położenie Juliana.

— Jak mam tym rozporządzić? — ciągnął Julian spokojniej. Wrażenie, jakie wywarł, odjęło mu wszelkie poczucie niższości.

Stary cieśla płonął żądzą niewypuszczania z rąk tych pieniędzy; Julian przebąkiwał coś o przekazaniu ich części braciom. Mówił długo i z ogniem. Julian bawił się w duchu.

— Zatem Bóg pokierował w ten sposób mą ostatnią wolą: dam po tysiąc franków każdemu z braci, a resztę tobie, ojcze.

— Doskonale — rzekł starzec — ta reszta słusznie mi się należy: ale, skoro Bóg okazał tę łaskę i wzruszył twoje serce, tedy, jeśli chcesz umrzeć jak dobry chrześcijanin, powinieneś spłacić długi. Zalegają jeszcze koszta twego żywienia i wychowania, na które łożyłem; o tym nie myślisz...

„Oto miłość ojcowska!" — powtarzał sobie Julian z goryczą, zostawszy sam. Niebawem zjawił się dozorca.

— Mój dobry panie, po odwiedzinach rodziców przynoszę zawsze moim klientom flaszkę szampańskiego. Trochę to drogie, sześć franków butelka, ale skrzepią człowiekowi serce.

— Przynieście trzy szklanki — rzekł Julian z dziecinnym zadowoleniem — i wpuście dwóch więźniów z gromadki, która przechadza się po korytarzu.

Dozorca wprowadził dwóch recydywistów gotujących się wrócić na galery. Byli to zbrodniarze bardzo weseli i w istocie niepospolici sprytem, odwagą i zimną krwią.

— Jeśli mi pan da dwadzieścia franków — rzekł jeden — opowiem panu szczegółowo swoje życie. Caca!

— Będziesz zmyślał? — rzekł Julian.

— O, *ni* — odparł — mój kompan, który zazdrości mi tych dwudziestu franków, wydałby mnie, gdybym coś przyłgał.

Historia zbrodniarza była straszna. Przebijało w niej mężne serce, w którym istniała już tylko jedna namiętność: pieniądz.

Po ich odejściu Julian był nie tym samym człowiekiem.

Wszelki gniew na samego siebie ścichł. Okrutny ból zatruty lękiem, który go nękał od rozstania z panią de Rênal, obrócił się w melancholię.

„W miarę, jakbym się nauczył jasno czytać w pozorach — powiadał sobie — ujrzałbym, że salony paryskie zaludnione są uczciwymi ludźmi jak mój ojciec lub zręcznymi łajdakami jak ci galernicy. Mają słuszność; nigdy mieszkańcy salonów nie budzą się rano z tą przeszywającą myślą: «Skąd wezmę dziś na obiad?». I wysławiają swą uczciwość! i powołani na sędziów przysięgłych skazują dumnie człowieka, który ukradł srebrną łyżkę dlatego, że omdlewał z głodu.

Ale jeśli wchodzi w grę Dwór, jeśli chodzi o to, aby zdobyć lub postradać tekę, uczciwi salonowcy popełniają zbrodnie zupełnie podobne do owych, jakie konieczność zdobycia obiadu podsunęła tym dwom galernikom.

Prawo, Głód, Pieniądz, Sprawiedliwość

Nie ma żadnego *prawa naturalnego*: to słowo jest jedynie starożytnym bzdurstwem godnym prokuratora, który prowadził na mnie obławę, a którego pradziad wzbogacił się konfiskatą za Ludwika XIV. Istnieje *prawo* jedynie o tyle, o ile istnieje ustawa zabraniająca czynić taką a taką rzecz pod grozą kary. Przed prawem *naturalna* jest jedynie siła lwa lub potrzeba istoty, której chce się jeść, której jest zimno, jednym słowem *potrzeba*... Nie, ludzie szanowni to jedynie hultaje, którzy mieli to szczęście, że ich nie schwycono na gorącym uczynku. Oskarżyciel, którego społeczeństwo wypuszcza na mnie, czerpie zyski z bezeceństwa. Ja popełniłem morderstwo i skazano mnie słusznie; ale z wyjątkiem tego jednego postępku Valenod, który mnie skazał, jest sto razy szkodliwszy.

Tak! — dodał Julian smutnie, ale bez gniewu — mimo swej chciwości, ojciec mój wart jest więcej niż oni wszyscy. Nigdy mnie nie kochał. Dopełniłem miary, bezczeszcząc

go haniebną śmiercią. Ta obawa braku pieniędzy, to przesadne pojęcie o niegodziwości ludzkiej, które zowie się *sknerstwem*, *ukazuje* mu potężny środek pociechy i bezpieczeństwa w sumie kilkuset ludwików, które mogę mu zostawić. Którejś niedzieli po obiedzie pokaże owo złoto zawistnym sąsiadom. «Za tę cenę, powie im jego spojrzenie, któryż z was nie ujrzałby z radością syna na rusztowaniu?»"

Filozofia ta mogła być prawdziwa, ale była zarazem taka, że mogła obudzić pragnienie śmierci. W ten sposób upłynęło pięć długich dni. Julian był łagodny i grzeczny dla Matyldy, którą pożerała zazdrość. Jednego wieczora Julian myślał serio o tym, aby sobie zadać śmierć. Cierpienie, w które wtrącił go wyjazd pani de Rênal, wyczerpało jego duszę. Nic nie miało już dlań powabu, ani w życiu, ani w wyobraźni. Brak ruchu zaczynał podkopywać jego zdrowie, rodził w nim egzaltację i słabość niemieckiego studenta. Tracił tę męską hardość, która energiczną klątwą odpycha niewczesne myśli oblegające duszę nieszczęśliwych.

„Kochałem prawdę... Gdzie ona?... Wszędzie obłuda lub bodaj szarlataneria u najcnotliwszych, nawet u największych... — tu skrzywił się z niesmakiem. — Nie, człowiek nie może zwierzyć się człowiekowi.

Pani de***, kwestując dla biednych sierot, mówiła mi, że pewien książę dał jej dziesięć ludwików: kłamstwo. Ale co mówię? Napoleon na wyspie Świętej Heleny! Ta proklamacja na rzecz króla rzymskiego, czysta szarlataneria.

Wielki Boże! Jeśli taki człowiek, i to w chwili, gdy nieszczęście powinno by go surowo przywołać do obowiązku, zniża się do szarlatanerii, czegóż można się spodziewać od reszty?...

Religia, Prawda, Ksiądz, Bóg

Gdzie prawda? W religii... Tak — dodał z uśmiechem bezmiernej wzgardy — w ustach takiego Maslon, Frilair, Castanède... Może w prawdziwym chrystianizmie, gdzie księża nie byli płatni, jak nie byli płatni apostołowie?... Ale święty Paweł był płatny przyjemnością rozkazywania, mówienia, rozgłosu...

Ha! Gdyby istniała prawdziwa religia... Ja, głupiec! Widzę gotycką katedrę, czcigodne witraże, moje słabe serce uzmysławia sobie kapłana z tych witraży... Dusza moja zrozumiałaby go, dusza moja potrzebuje go... Znajduję jedynie niechlujnego pajaca, coś w rodzaju kawalera de Beauvoisis bez jego wykwintu...

Ale prawdziwego kapłana, jakiegoś Massilona, Fénelona... Massilon wyświęcił księdza Dubois. *Pamiętniki Saint-Simona* zepsuły mi Fénelona; — ale wreszcie prawdziwego kapłana... Wówczas tkliwe dusze miałyby punkt zborny. Nie bylibyśmy samotni... Ten dobry kapłan mówiłby nam o Bogu. Ale o jakim Bogu? Nie owym z Biblii, małostkowym, okrutnym, dyszącym zemstą despocie... ale o Bogu Woltera, sprawiedliwym, dobrym, nieskończonym...

Kłębiły mu się w głowie ustępy z Biblii, którą umiał na pamięć... Ale w jaki sposób z chwilą, gdy ludzie zbiorą się we trzech, uwierzyć w to wielkie imię Bóg po straszliwych nadużyciach, jakich dopuszczają się z nim księża?

Żyć samotnie!... Co za męczarnia!..."

— Staję się szalony i niesprawiedliwy — zawołał Julian, uderzając się w czoło. — Jestem samotny tu w więzieniu; ale nie żyłem samotnie na ziemi; miałem silne poczucie obowiązku. Obowiązek, jaki sobie nakreśliłem, źle czy dobrze pojęty... był niby pień drzewa, o które opierałem się podczas burzy; chwiałem się, wahałem. Ostatecznie, byłem tylko człowiekiem... ale nie dało się porwać.

To wilgotne powietrze kaźni zbudziło we mnie myśl o osamotnieniu.

Po cóż jeszcze być hipokrytą, złorzecząc hipokryzji? To nie śmierć ani więzienie, ani wilgoć — to brak pani de Rênal mnie gnębi. Gdybym w Verrières musiał żyć całe tygodnie w piwnicy, aby ją widzieć, czyżbym się skarżył?

— Duch epoki działa we mnie — rzekł głośno z gorzkim uśmiechem. — Mówiąc sam ze sobą, o dwa kroki od śmierci, jeszcze jestem hipokrytą... O, wieku dziewiętnasty!

Śmierć, Klęska, Kondycja ludzka, Obraz świata

Myśliwiec strzela z fuzji w lesie, zdobycz spada, on rzuca się aby ją pochwycić. But jego depce mrowisko wysokie na dwie stopy, niszczy mieszkanie mrówek, rozrzuca mrówki, ich jaja... Najwięksi filozofowie wśród mrówek nie zdołają nigdy zrozumieć tego czarnego, olbrzymiego, przerażającego ciała: buta myśliwca, który nagle wpadł do ich mieszkania

z nieopisaną chyżością, poprzedzany straszliwym hałasem oraz migotaniem czerwonego ognia.

Tak samo śmierć, życie, wieczność, rzeczy bardzo proste dla kogoś, kto by miał organa dość pojemne, aby je ogarnąć...

Leciuchna łątka rodzi się w upalny dzień o dziewiątej rano, aby umrzeć o piątej wieczór; w jaki sposób zrozumiałaby słowo *noc*?

Dajcie jej jeszcze pięć godzin, a ujrzy i zrozumie, co to jest noc.

Tak i ja umrę w dwudziestym trzecim roku. Dajcie mi pięć lat jeszcze, aby żyć z panią de Rênal...

Zaczął się śmiać śmiechem Mefistofelesa. „Co za szaleństwo roztrząsać te wielkie zagadnienia!"

1. Jestem hipokrytą, jak gdyby ktoś mógł mnie słyszeć.

2. Zapominam żyć i kochać wówczas, gdy mi zostaje tak niewiele dni... Niestety! Pani de Rênal nie ma; może mąż nie pozwoli jej już wrócić do Besançon i szargać w dalszym ciągu swej czci.

Oto przyczyna osamotnienia, nie zaś brak sprawiedliwego, dobrego, wszechmogącego Boga, wolnego od złości, niełaknącego pomsty...

Ha! gdyby istniał... och! Padłbym do jego stóp: Zasłużyłem na śmierć — powiedziałbym — ale, o wielki, dobry łaskawy Boże, oddaj mi tę, którą kocham!

Była późna noc. Po paru godzinach spokojnego snu zbudził go Fouqué.

Julian czuł się silny i zdecydowany jak człowiek, który widzi jasno w swej duszy.

LXXV.

— Nie mogę wypłatać zacnemu księdzu Chas-Bernard tego figla, aby go wzywać — rzekł do Fouquégo — biedaczysko, nie mógłby trzy dni jeść obiadu. Ale staraj się znaleźć jakiego jansenistę, przyjaciela księdza Pirard i nienależącego do kliki.

Fouque czekał z niecierpliwością tego wynurzenia. Julian dopełnił przyzwoicie wszystkich obowiązków, jakie na prowincji człowiek jest winien opinii. Dzięki księdzu de Frilair, mimo złego wyboru spowiednika, Julian był w swej kaźni protegowanym Kongregacji, gdyby miał więcej sprytu, mógłby się wymknąć. Ale zatrute powietrze więzienia wywierało swój skutek; inteligencja słabła. Tym radośniej odczuł powrót pani de Rênal.

— Mój pierwszy obowiązek to ty — rzekła, ściskając go. — Uciekłam z Verriéres...

Julian nie miał wobec niej małostek ambicji; opowiedział wszystkie swoje słabości. Była dlań dobra i słodka. Wieczorem, ledwie opuściwszy więzienie, sprowadziła do ciotki owego księdza, który rzucił się na Juliana niby na żer; ponieważ marzeniem klechy było wcisnąć się w łaski młodych pań z wyższego towarzystwa, pani de Rênal skłoniła go z łatwością, aby się udał odprawić nowennę w Bray-le-Haut.

Żadne słowo nie zdoła wyrazić upojeń, szału miłości Juliana.

Przy pomocy złota, posługując się na wszystkie strony nazwiskiem ciotki, osoby bogatej i znanej z dewocji, pani de Rênal uzyskała wstęp do więzienia dwa razy dziennie.

Kiedy Matylda dowiedziała się o tym, zazdrość jej doszła do obłędu. Ksiądz de Frilair powiedział jej wręcz, że wpływy jego nie sięgają tak daleko, aby depcąc pozory, mógł się jej wystarać o prawo odwiedzania kochanka więcej niż raz dziennie. Matylda kazała śledzić panią de Rênal, chciała znać każdy jej krok. Ksiądz de Frilair rozwijał wszystkie zasoby zręczności, aby dowieść pannie de la Mole, że Julian jest jej niegodny.

Wśród tych udręczeń kochała go tym bardziej i co dzień prawie robiła mu straszne sceny.

Julian dokładał wysiłków, aby do końca zachować się poprawnie wobec biednej dziewczyny, którą tak bardzo naraził; ale co chwila ponosiła go szalona miłość do pani de Rênal. Kiedy za pomocą nieszczerych perswazji nie mógł przekonać Matyldy o niewinności odwiedzin rywalki, powiadał sobie: „Ostatecznie koniec dramatu jest już bardzo bliski; niech mi to posłuży za wymówkę, jeśli nie umiem lepiej udawać".

Panna de la Mole dowiedziała się o śmierci margrabiego Croisenois. Pan de Thaler, ów bogacz, pozwolił sobie na niewłaściwą uwagę z powodu zniknięcia Matyldy. Croisenois poprosił go, aby ją odwołał: Thaler pokazał mu anonimowe listy zawierające tak

kunsztownie zestawione szczegóły, że nie podobna było biednemu margrabiemu nie dojrzeć prawdy.

Pan de Thaler pozwolił sobie na grube żarciki. Pijany bólem i wściekłością, Croisenois zażądał tak ciężkiego zadośćuczynienia, że milioner wolał pojedynek. Głupota odniosła triumf; jeden z ludzi najgodniejszych miłości znalazł śmierć w niespełna dobę.

Śmierć ta wywarła dziwny i chorobliwy wpływ na zwątloną duszę Juliana.

— Biedny Croisenois — rzekł — był to w istocie rozsądny i zacny człowiek; mógł mnie znienawidzić wówczas, kiedy w salonie matki dopuszczałaś się dla mnie takich nietaktów; mógł szukać ze mną zwady; nienawiść, która następuje po wzgardzie, bywa zazwyczaj wściekła.

Śmierć pana de Croisenois zmieniła wszystkie poglądy Juliana na przyszłość Matyldy; przez kilka dni dowodził jej, że powinna przyjąć pana de Luz. Jest to człowiek nieśmiały, nie nadto jezuita, z pewnością się wybije. Ambitniejszy od pana de Croisenois, nie posiadając mitry w rodzie, nie będzie się wzdragał przed małżeństwem z wdową po Julianie Sorel.

— I to wdową, która gardzi wielką miłością — odparła zimno Matylda — dożyła bowiem tego, iż po pół roku kochanek jej przełożył nad nią inną kobietę, sprawczynię wszystkich ich nieszczęść.

— Jesteś niesprawiedliwa, odwiedziny pani de Rênal to świetna broń dla paryskiego adwokata, który będzie prowadził apelację; odmaluje obraz mordercy otoczonego staraniami swej ofiary. To może wywrzeć wrażenie, kiedyś może ujrzysz mnie bohaterem jakiego melodramatu, etc., etc.

Wściekła i bezsilna zazdrość, poczucie nieszczęścia bez nadziei (przypuściwszy nawet ułaskawienie Juliana, jak odzyskać jego serce?), wstyd i ból, że bardziej niż kiedykolwiek kocha niewiernego, wtrąciły pannę de la Mole w ponure milczenie, z którego nie mogły jej wyrwać ani nadskakiwania księdza de Frilair, ani szorstka prostota Fouquégo.

Co się tyczy Juliana, z wyjątkiem chwil, które mu zagarniała Matylda, żył miłością, prawie nie myśląc o przyszłości. Dzięki osobliwemu działaniu tego uczucia, wówczas gdy jest bardzo silne i szczere, pani de Rênal podzielała niemal jego beztroskę i pogodę.

— Niegdyś — mówił Julian — kiedy mogłem być tak szczęśliwy w czasie naszych przechadzek po lasach Vergy, wyobraźnia wiodła mą duszę w urojone krainy. Miast przyciskać do serca to cudne ramię, które było tak blisko moich warg, rwałem się w przyszłość; duchem byłem w odmęcie walk, które mi trzeba było stoczyć, aby zbudować olbrzymią fortunę... Umarłbym, nie zaznawszy szczęścia, gdybyś mnie nie odwiedziła w tym więzieniu.

Dwa wypadki zmąciły to spokojne życie. Spowiednik Juliana, mimo iż jansenista, nie zdołał się uchronić od wpływu jezuitów i bezwiednie stał się ich narzędziem.

Oświadczył mu jednego dnia, iż, o ile nie chce popaść w okropny grzech samobójstwa, winien użyć wszelkich środków, aby zyskać ułaskawienie. Zważywszy tedy, że duchowieństwo posiada wielkie wpływy w Paryżu, nastręcza się taki sposób; trzeba się nawrócić z wielką ostentacją.

— Z ostentacją! — powtórzył Julian. — Ha! I ty zatem, ojcze, odgrywasz komedię godną misjonarza...

— Wiek twój — odparł poważnie jansenista — wdzięczna powierzchowność, jaką otrzymałeś od Opatrzności, niezrozumiała dotąd pobudka zbrodni, heroiczne wysiłki panny de la Mole dla twego ocalenia, wszystko wreszcie, nawet ta zdumiewająca przyjaźń, jaką okazuje ci twoja ofiara, wszystko uczyniło z ciebie bożyszcze kobiet w Besançon. Wszystkiego zapomniały dla ciebie, nawet polityki...

Twoje nawrócenie znalazłoby echo w sercach i sprawiłoby głębokie wrażenie. Możesz oddać nieoszacowane usługi religii: i ja miałbym się wahać, dla tej błahej racji, że jezuici obraliby tę samą drogę! Tak więc, nawet w tym odosobnionym wypadku, który umyka się ich zachłanności, mieliby wyrządzić szkodę! Nie, to być nie powinno... Łzy wyciśnięte twoim nawróceniem przekreślą zgubny wpływ dziesięciu wydań Woltera.

— A co mi zostanie — odparł zimno Julian — jeśli będę musiał gardzić samym sobą? Byłem ambitny, nie wyrzucam sobie tego; postępowałem zgodnie z duchem epoki.

Obecnie żyję z dnia na dzień; ale czułbym się bardzo nieszczęśliwy, gdybym się zniżył do podłości...

Drugie wydarzenie, o wiele dotkliwsze dla Juliana, spowodowała pani de Rênal. Jakaś chytra przyjaciółka zdołała przekonać tę naiwną duszę, że powinna jechać do Saint-Cloud, rzucić się do kolan króla.

Zdobyła się na ofiarę rozstania z Julianem; po takim wysiłku przykrość uczynienia z siebie publicznego widowiska, która w innych okolicznościach wydałaby się jej gorsza niż śmierć, była niczym w jej oczach.

— Pójdę do króla, powiem głośno, że jesteś moim kochankiem; życie człowieka takiego jak Julian powinno przeważyć wszystkie względy. Powiem, że przez zazdrość targnąłeś się na moje życie. Są liczne przykłady, że w takich wypadkach nieszczęśliwi młodzi ludzie uzyskiwali łaskę przysięgłych lub króla...

— Nie chcę cię widzieć, zabronię cię wpuszczać do więzienia — wykrzyknął Julian — i możesz być pewna że nazajutrz zabiję się z rozpaczy, jeśli nie przysięgniesz poniechać wszelkiego kroku, który by nas wydał na łup gawiedzi. To nie twój pomysł, ta jazda do Paryża. Powiedz, co za intrygantka podsunęła ci go?...

Używajmy szczęścia przez tę resztę krótkiego życia. Skryjmy nasze istnienie; zbrodnia moja jest aż nazbyt oczywista. Panna de la Mole ma w Paryżu olbrzymie stosunki; bądź pewna, że zrobi co tylko w ludzkiej mocy. Tu, na prowincji, mam przeciw sobie wszystko, co zamożne i wpływowe. Krok twój podrażniłby jeszcze tych bogatych, a zwłaszcza statecznych ludzi, dla których życie jest tak łatwe... Nie narażajmy się na śmiech Maslonów, Valenodow i tysiąca lepszych może nieco.

Duszne powietrze kaźni stało się Julianowi nie do zniesienia. Szczęściem, w dniu, w którym oznajmiono mu, że trzeba umierać, słońce złociło pięknie przyrodę, Julian zaś miał przypływ odwagi. Przechadzka po świeżym powietrzu była dlań rozkoszą jak przechadzka po lądzie dla żeglarza, który był długo na morzu. „Wszystko idzie dobrze — myślał — odwaga mnie nie zawiodła".

Nigdy ta głowa nie była równie poetyczna jak w chwili, gdy miała upaść. Słodkie chwile, których kosztował niegdyś w lasach Vergy, cisnęły się tłumnie i z niezwykłą siłą w jego myślach.

Wszystko odbyło się po prostu, przyzwoicie, bez najmniejszej przesady z jego strony.

Dwa dni w przód rzekł do Fouquégo:

— Co się tyczy wzruszenia, za to nie mogę ręczyć; ta szpetna, wilgotna cela nabawiła mnie jakiejś gorączki, w której nie poznaję sam siebie; ale to pewna, że nikt nie ujrzy, bym pobladł ze strachu.

Zarządził zawczasu, aby rankiem ostatniego dnia Fouqué wywiózł Matyldę i panią de Rênal.

— Wsadź je do jednej karety — mówił. — Każ, niech pocztylion puści się z miejsca galopem. Padną sobie w ramiona albo też zmierzą się wzrokiem nienawiści. Tak czy tak, biedne kobiety znajdą chwilową ulgę w swej boleści.

Julian wymógł na pani de Rênal przysięgę, że będzie żyła, aby się zająć synem Matyldy.

— Kto wie? Może doznajemy wrażeń po śmierci? — mówił raz do Fouquégo. — Lubiłbym spoczywać, tak, spoczywać to właściwe słowo, w małej grocie, tam, na górze nad Verrières. Niejeden raz, opowiadałem ci to, schowawszy się na noc do tej groty, obejmując okiem najbogatsze okolice Francji, czułem w sercu płomień ambicji; wówczas żyłem tą namiętnością... Słowem, kocham tę grotę... to fakt, że położenie jej zdolne jest obudzić zazdrość w duszy filozofa... Słuchaj, ta poczciwa Kongregacja wybije monetę ze wszystkiego: jeśli się dobrze zakręcisz, sprzedadzą ci moje zwłoki...

Fouqué przeprowadził pomyślnie ten smutny handel. Spędził noc samotnie w swoim pokoju, czuwając przy zwłokach przyjaciela, naraz, ku jego zdumieniu, zjawiła się Matylda. Przed kilku godzinami zostawił ją o dziesięć mil od Besançon. Oczy miała błędne.

— Chcę go zobaczyć — rzekła.

Fouqué nie miał siły, aby przemówić lub wstać. Wskazał palcem wielki niebieski płaszcz na podłodze; w nim było zawinięte to, co zostało z Juliana.

Padła na kolana. Wspomnienie Bonifacego de la Mole i Małgorzaty Nawarskiej wlało w nią snadź nadludzkie męstwo. Drżącymi rękami rozchyliła płaszcz. Fouqué odwrócił oczy.

Usłyszał, że Matylda chodzi żywo po pokoju. Zapaliła kilka świec. Skoro Fouqué zdobył się na to, aby na nią spojrzeć, ujrzał, że umieściła przed sobą, na marmurowym stoliku głowę Juliana i całowała ją w czoło.

Matylda odprowadziła kochanka do grobu, który sobie wybrał. Sznur księży poprzedzał trumnę, ona zaś, bez niczyjej wiedzy, w powozie okrytym kirem, wiozła na kolanach głowę człowieka, którego kochała.

Skoro przybyli na szczyt jednej z wyniosłych gór łańcucha Jura, w nocy, w grocie wspaniale iluminowanej niezliczoną mnogością świec dwudziestu księży odprawiło mszę żałobną. Mieszkańcy wiosek górskich, przez które przechodził kondukt, udali się za nim, zwabieni niezwykłością obrzędu.

Matylda ukazała się w długiej czarnej szacie i po skończeniu ceremonii kazała rozrzucić między lud kilka tysięcy pięciofrankówek.

Zostawszy sama z Fouquém, pragnęła własnymi rękami pogrzebać głowę kochanka. Fouqué omal nie oszalał z boleści.

Staraniem Matyldy dziką tę grotę ozdobiono rzeźbami wykutymi wielkim sumptem we Włoszech.

Pani de Rênal dotrzymała obietnicy. Nie próbowała targnąć się na swoje życie, ale w trzy dni po śmierci Juliana umarła, uściskawszy dzieci.

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/stendhal-czerwone-i-czarne

Tekst opracowany na podstawie: Stendhal, Czerwone i czarne, tłum. Tadeusz Boy-Żeleński, Książka - Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1948

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (http://wolnelektury.pl). Reprodukcja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Marta Niedziałkowska, Paulina Choromańska.

Okładka na podstawie: Marcus Vegas@Flickr, CC BY-SA 2.0

Wesprzyj Wolne Lektury!
Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.
Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?
Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.
Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając zbiórkę na stronie wolnelektury.pl.
Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.